
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

129/29

PAMIĘTNIKI

FRANCISZKA Z BŁOCISZEWA

GAJEWSKIEGO.



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

Szkoła Strzelania Artylerii
Biblioteka

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

PAMIĘTNIKI

C 33

FRANCISZKA Z BŁOCISZEWA

GAJEWSKIEGO

PUŁKOWNIKA WOJSK POLSKICH (1802—1831)

DO DRUKU PRZYSPOSOBIONE
PRZEZ
PROF. D^RA STANISŁAWA KARWOWSKIEGO.

TOM I.
(4 ILUSTRACYE W TEKSCIE).

POZNAŃ: ZDZISŁAW RZEPECKI I SKA.
LWOW: H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SP.
NEW YORK: POLISH BOOK IMPORTING Co. INC.

BIBLJOTEKA SZKOŁY PODCHORĄŻYCH ARTYLERJI

92(Gapczyński): 93(438)9

32400/2





PRZEDMOWA.

Dużo już wyszło Pamiętników oficerów polskich z czasów Napoleońskich i z r. 1831, więc możnaby mniemać, że pułkownik Gajewski nic nowego powiedzieć nam nie może. Tymczasem rzecz ma się przeciwnie, Gajewski bowiem nie ogranicza się na przedstawieniu działań wojennych, nie opisuje tylko bitew, nie mówi tylko o sobie, lecz zwraca baczną uwagę na wszystko, co się za jego czasów działo, wnika we wszystkie stosunki życia.

Jako gorący miłośnik ojczyzny zastanawia się nad położeniem politycznem i ekonomicznem Polski w poszczególnych epokach, które przeżył, mówi o rolnictwie, przemyśle, handlu i stopniu oświaty Polaków, o stronnictwach i prądach, które się u nas z sobą ścierały, opisuje obyczaje i życie towarzyskie w rozmaitych okresach i rozmaitych częściach Polski, zajmuje się nie tylko wyższemi sferami świeckiemi, do których sam z urodzenia i stanowiska należał, ale także duchowieństwem, drobną szlachtą, mieszczaństwem, ludem wiejskim, którego los szczerze go obchodził, żydami, których uważał za najszkodliwszy żywioł kraju naszego, wreszcie urzędnikami niemieckimi i rosyjskimi, którzy nami rządzili.

Jako oficer najprzód przybocznej gwardyi saskiej, później wojska polskiego i francuskiego, wreszcie sztabu Napoleona, którego ubóstwiał i u którego boku pozostał aż do wyjazdu jego na Elbę, stykał się Gajewski z najrozmaitszemi wybitnemi osobistościami, widział i słyszał wiele, a że umiał patrzeć i słuchać, a pamięć miał niepospolitą, przeto Pamiętniki jego

pełne są nadzwyczaj zajmujących, a całkiem nieznanych szczegółów.

Po większej części trafne są jego spostrzeżenia, uwagi i charakterystyki poszczególnych osób i całych rodzin, a niema prawie znaczniejszej rodziny polskiej, zwłaszcza w W. Księstwie Poznańskiem i w Kaliskiem, o którejby w Pamiętnikach nie było mowy. Więc znajdzie tam czytelnik sylwetki wodzów naszych, ks. Józefa Poniatowskiego, do którego całą duszą autor był przywiązany, i Henryka Dąbrowskiego, generałów Zajączka, Kwaśniewskiego, Rautenstraucha, Rożnieckiego, Wincentego Krasińskiego, Sokolnickiego, Chłopickiego, Skrzyneckiego, Umińskiego, Sierawskiego Kickiego, Ambrożego Skarżyńskiego, Kurnatowskiego, Dłuskiego i innych, dalej Niemcewicza, Wybickiego i Lelewela, członków rodzin: Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Zamoyskich, Chodkiewiczów, Małachowskich, Ostrowskich, Bielińskich, Węgorzewskich, Działyńskich, Raczyńskich, Łubieńskich, Szołdrskich, Grudzińskich, Gorzeńskich, Brezów, Skórzewskich, Kwileckich, Mielżyńskich, Mycielskich, Chłapowskich, Potworowskich, Koczorowskich, Czarneckich, Stablewskich, Garczyńskich, Jaraczewskich, Prusimskich, Zabłockich, Grabowskich, Radolińskich, Radoszewskich, Biernackich, Bronikowskich, Jabłkowskich, Pstrokońskich Niemojowskich i wielu, wielu innych.

W sądach swoich jest Gajewski nieraz ostry i bezwzględny, nie oszczędza nawet własnej rodziny, ale nie kieruje nim nienawiść, lecz głębokie przekonanie o słuszności swego zdania. Z każdego słowa widać, że to człowiek prawy, szlachetny, prawdomówny i religijny, a wspomnienia jego mają tem większą wartość, że pisał je dla dzieci swoich, nie spodziewając się, że będą kiedyś drukowane, więc nie krępował się żadnymi względami i zupełnie szczerze i otwarcie wypowiadał, co czuł i myślał.

Treść pierwszego tomu Pamiętników jest taka: Dom rodzicielski w Wolsztynie, dwory okolicznego obywatelstwa wiejskiego, szkoły cylichowskie, Warszawa 1805 r., ówczesna zamożniejsza młodzież i arystokratyczne domy w Warszawie, umundurowanie i ustrój wojska polskiego i francuskiego, położenie kraju 1806 i 1807 r., służba w wojsku saskiem, dwór królewski i wyższe towarzystwo w Dreźnie, kampania 1809 r.,

podróż do Krakowa przez Kalisz, Piotrków i Częstochowę, wstąpienie do wojska polskiego, życie garnizonowe w Sieradzu, obywatelstwo wiejskie w Sieradzkiem, pobyt w Warszawie, kampania 1812 r., nadzwyczajne osobiste przygody, ostatnie kampanie Napoleona, niebezpieczne misye, powrót do kraju.

W drugim tomie opisuje autor stosunki w W. Księstwie Poznańskiem w pierwszym czasie po okupacyi pruskiej, stosunki w Kaliskiem do r. 1830, wreszcie przebieg powstania listopadowego, w którem brał udział jako pułkownik.

W dodatku rozwodzi się autor obszernie o rządach Paszkiewicza, o których dotąd bardzo szczupłe mieliśmy wiadomości.

Pamiętniki Gajewskiego są bardzo ważnym przyczynkiem do historyi naszej, a czyta się je z największem zajęciem.

Gajewski spisywał swe wspomnienia w starości, bez planu, z góry zakreślonego, więc też w rękopisie często się powtarza i mówi o jednej i tej samej sprawie lub osobie w rozmaitych miejscach. Połączyliśmy zatem, o ile możności, co do siebie należało, opuściliśmy niemal dosłowne powtórzenia i podzieliliśmy dla przejrzystości opowiadanie na rozdziały. Także tu i owdzie trzeba było poprawić zbyt rażące usterki gramatyczne i stylistyczne i zaopatrzyć tekst w odpowiednie przecinkowanie.

Oryginalny rękopis jest własnością pp. Gajewskich z Turzna w Prusach Zachodnich.

Pułkownik Franciszek Gajewski umarł w Poznaniu 9-go kwietnia 1868 roku. Pochowany został w grobie familijnym w Wolsztynie. Z żony, Emilii z Garczyńskich, pozostawił dwóch synów: Ewarysta, który został księdzem, i Józefa.

Dr. Stanisław Karwowski.



Pułkownik Franciszek Gajewski.



WSTĘP.

Dla was piszę, kochane dzieci moje, wam poświęcam opis życia mojego i owej wiekopomnej epoki Napoleona, której byłem świadkiem; głos mój, niejako pośmiertny, być może, przypomni wam w dalszym ciągu życia waszego ojca, który was zawsze kochał, a od początku życia waszego wam poświęcał wszyskie swe dążności. Mała już nas liczba towarzyszów Napoleona na tym świecie.

Od upadku bohatera przeszły ludy Europy rozmaite koleje, dwie dynastye zajmowały od owego czasu tron Francyi, a dzisiaj zasiada znowu na nim potomek więźnia z wyspy St. Heleny. Po ukończeniu krucyaty przeciwko cesarzowi Francuzów zebrano się w Wiedniu na obrady, a wtedy nastąpił nowy podział Europy. Nie baczono na narodowości, na kongresie oszukano ludy europejskie w ich sprawiedliwej nadziei, wszystkie albowiem usiłowania obradujących ministrów skierowane były raczej przeciwko duchowi ludowemu i w myśl powracających królików i książątek na dawne posady. Za nic poszły wtedy obietnice, dane ludom w czasie trwogi, niewdzięcznością odpłacono wysilenia i strumienie krwi przelanej; obalenie ducha wolności, ujarzmienie umysłów, przywrócenie feudalizmu średniowiecznego, oto były dążenia ówczesne.

Cechą 18-go stulecia była bezbożność, bezbożności przykładem sławili się na ten czas panowie, którzy hołdowali Voltaire'owi i encyklopedystom; lud zaraził się prawidłami, głoszonemi przez panów, a obrócił przeciwko nim zasady nowe; panowie, przerażeni, usiłowali nadaremnie walczyć przeciwko powstającej burzy; moralność, raz obalona, nie powraca rychło. Smutne doświadczenie przekonało, że niema swobody za obrębem nauki Chrystusa. Niestety, mała bardzo liczba rzeczywiście w duchu Ewangelii

nauczających znalazła się na ten czas. — Kto był przejęty świętością jej zasad, ten unikał wyższych sfer społeczeństwa, a w miejsce takich garnęli się ludzie obłudni i sprzedajni, którzy kierowali święte nauki w myśl arystokracyi, pałającej niechęcią ku wszystkiemu bez różnicy, co tchnęło rewolucyą, i rządów, smakujących w despotyzmie. Rządy żądały po posłannikach Chrystusa, ażeby się stali ślepemi narzędziami ich widoków, pochlebiali kapłanom, wymagali ofiar dla nich od ludu, same zaś nie oddały dóbr, zagrabionych Kościołowi w czasie zaburzenia. Podatki, w czasie wojny podwyższone, pozostały na tejże stopie, ba, nawet pomnożono je jeszcze. Rządy, czując, ile zgrzeszyły względem narodów, nie dowierzały ludom, a dla własnego bezpieczeństwa swego pomnażały wojska kosztem nieszczęśliwych mieszkańców kraju. Policya widziała się celem pieczołowitości monarchy, rozwinięta, o ile tylko się dało, potrafiła wniknąć we wszystkie związki społeczne, nie było nic tajnego dla niej, a liczba szpiegów płatnych, pomnażająca się codziennie, służyła ku spodleniu narodu. Ktokolwiek był wolnomyślący, ten był prześladowany, kto się podlił, mógł dojść do pierwszych posad rządowych, mógł liczyć na łaskę monarchy. Szkoły i uniwersytety zostały urządzone we widokach rządu; nauczano w nich być posłusznym służalcem, donosicielem potajemnym i hipokrytą. W ustach była moralność, a najobrzydliwszy cynizm w sercu. Wielkość cechowała dzieła Napoleona, okrucieństwo, noszące piętno wielkości, odznaczyło rewolucyą francuską; podłość i nikczemność nastąpiły po wielkich epokach. Po upadku cesarza Francuzów nastała era zdradzieckiej złości i hipokryzyi, mordowano w imię ludzkości, dręczono w imię Boga miłosiernego.

Jeden tylko kraj w Europie wytrwał w raz przyjętych zasadach; tym krajem była Rosya, tchnąca despotyzmem. Od czasu pomieszczenia się w hierarchii mocarstw europejskich pozostała wierną swemu posłannictwu. Testament Piotra Wielkiego był dla niej prawidłem świętem, a wszystkie kroki gabinetu petersburskiego zmierzały nieprzerwanie ku wypełnieniu go co do joty. Łagodny i ujmujący charakter cesarza Aleksandra dopomógł nadzwyczajnie widokom rządu jego; potrafił wzbudzić zaufanie w wszystkich członkach kongresu wiedeńskiego, mających przedewszystkiem na widoku zniszczenie hydry rewo-

łucyjnej, a upatrujących w Rosyi sprzymierzeńca potężnego. Nie pojmowali ówcześni ministrowie, że pomysły Napoleona o powszechnem panowaniu nad Europą była to rzecz czysto indywidualna, ustająca ze zgonem cesarza Francuzów, atoli przewaga Rosyi jest to fakt, codziennie występujący wyraźniej, wynikający już z położenia geograficznego tego olbrzymiego państwa, któremu dopiero narody zachodnie potrafią koniec położyć, gdy długą wojną zdołają Rosyą napowrót wtłoczyć w granice, jakie miała przed Piotrem Wielkim, albo gdy koleją wszystkiego na kuli ziemskiej rozpadnie się cała budowa pod własnym ciężarem.

Jakżem odbiegł w myślach moich od założonego sobie celu! Chcąc opisać wypadki życia mojego, spotrzegam się na drodze rozpoczęcia rozprawy politycznej.



Przodkowie moi. Dom rodzicielski. Sąsiedzi.

Urodziłem się w Margońskiej wsi pod Margoninem w Wielkiem Księstwie Poznańskiem dnia 31-go marca 1792-go roku, w domu hr. Fryderyka Skórzewskiego, syna generała, i owej swego czasu sławnej pani Ciecierskiej, żony jego, której dowcip i uroda zjednały jej względy Fryderyka Wielkiego, króla pruskiego, a ojca chrzestnego pana Skórzewskiego, wuja mojego. Wybicki wspomina o p. Ciecierskiej w swoich pamiętnikach. Matka moja, przybywszy do swej siostry rodzonej do Margońskiej wsi, t. j. do hr. Skórzewskiej, wydała mnie tam na świat. Rodzina moja liczy się w Wielkopolsce do najznakomitszych; jesteśmy spokrewnieni z Mielżyńskimi, Mycielskimi, Opalińskimi, Czackimi. Pradziad mój, Franciszek z Błociszewa Gajewski herbu Ostoja, starosta wschowski, kasztelan konarsko-kujawski, żonaty z Wiktoryą Chojeńską, urodzony r. 1675, był jeden z najmajętniejszych panów wielkopolskich; pozostawił dwóch synów po sobie, Rafała, kasztelana rogozińskiego, dziada mojego, i Wojciecha, starostę konińskiego. Dziad mój Rafał urodził się 1714 r., umarł r. 1776 w Wolsztynie, miasteczku swem dziedzicznem, po dziś dzień należącem do brata mojego Apolinarego.[1]) Ojciec mój Adam, prezes trybunału apelacyjnego w Poznaniu za czasów Księstwa Warszawskiego, odziedziczył po swoim ojcu majętność Wolsztyn. Bracia jego, Bonawentura Gajewski, starosta powidzki, odziedziczył majętności Runowo i Niepart, Ksawery majętność Borzęciczki. Córki dziada mojego wyszły za mąż za panów Kwileckich, Radolińskich, Sczanieckich, jedna umarła panną. Babkę moją, z domu Tworzyańską, panią bardzo bogobojną, zmarłą i pochowaną w Wolsztynie,

[1]) Dziś własność p. Stefana hr. Mycielskiego.

pamiętam jeszcze. Ojciec mój urodził się 1755 r. w Wrocławiu, umarł i pochowany został w Wolsztynie 1834 r. Matka moja, Eleonora z Garczyńskich Gajewska, była córką generała Garczyńskiego, adjutanta króla Stanisława Augusta.

Uderzało mnie to w domu rodzicielskim, że rozmawiano pomiędzy sobą zawsze po francusku, ze służącymi i ludem prostym po polsku, a po niemiecku z każdym przybywającym urzędnikiem, że słyszałem zawsze komendę niemiecką, gdy wojsko przechodziło przez Wolsztyn. Zapytałem się ojca mego o przyczynę tej rozmaitej mowy: «Bośmy przestali być wolnym narodem — mówił ojciec ze łzami w oczach. — Niema już Polski, Niemcy i Moskale rozszarpali ojczyznę naszą, wszakże pamiętaj, synu, żeś się rodził Polakiem, nie przestawaj nigdy kochać ojczyzny, a nie służ nigdy ciemiężycielom narodu twego; kara albowiem Boska spadnie rychlej lub później na grabieżników, Bóg sprawiedliwy».

Była to pierwsza wiadomość o naszym losie; panowie guwernerowie albowiem ciągle nam tylko o Francyi plotli i wbijali w pamięć dzieje narodu francuskiego. Matce naszej należy oddać sprawiedliwość, że była wielką patryotką i dokładała wszelkiego starania, by nas zaznajomić z dziejami narodu naszego. Gdy zaś w roku 1806 runęła potęga pruska pod ciosami Napoleona, matka nasza, bawiąca wówczas w Warszawie, nakłoniła wiele młodzieży do wstąpienia w szeregi wojska polskiego, później nie sprzeciwiała się mnie i bratu mojemu Ewarystowi, gdyśmy poszli tą samą drogą.

Nie doznałem w domu rodzicielskim owych błogich lat dziecinnych, których późniejsza pamiątka tyle urocza w całem życiu. O ile sięgam pamięcią, matka moja nigdy mnie nie kochała, zawsze upatrywała coś do mnie. Szczęście dziecka od matki jego zależy. Ja tego szczęścia nie doznałem; zawsze byłem potępiany w każdej sprzeczce z rodzeństwem, każda moja psota była srogo karana, rzadko kiedy usłyszałem od matki dobre słowo, a nieraz doznałem nieludzkiego obchodzenia się, gdy poddawała się gwałtowności swojego charakteru. Przeciwnie doznawał brat mój Ewaryst pieszczoty, nawet pobłażano mu we wszystkiem. Miał zawsze pierwszeństwo przedemną, był dzieckiem ukochanem. Jakżem cierpiał srogo! Ileż to

traciłem przywiązania do brata, a zaufania do rodziców. Dotąd boli mnie wspomnienie tej niesprawiedliwej różnicy, którą doznawałem do końca życia matki, która mnie nawet pozbawiła pięknej części majątku, po rodzicach pozostałego. Jednakże nie okazywała matka przed światem owej niesprawiedliwej różnicy, owszem, gdy się trafili goście w domu, starała się pokazać, że nas wszystkich kocha zarówno. Nie piszę tego z niechęci ku rodzicom, oni już w grobie; wznoszę codziennie modły do Pana Zastępów o ich wieczne szczęście, ale wam, kochane dzieci, daję tem samem przestrogę, abyście byli sprawiedliwemi względem waszych dziatek, nie ma albowiem nic zgubniejszego w rodzinie, jak owe pierwszeństwo, okazywane któremukolwiek dziecku; jestto prawdziwe ziarno niezgody, rzucone wśród rodzeństwa, niszczące związki familijne, prowadzące do rozjątrzenia umysłów i potargania najświętszych związków w społeczeństwie.

Zrazu bywało wiele gości w domu rodziców, później stały się odwiedziny rzadszemi. Dla mnie było to zawsze wielkiem szczęściem, gdy przybywała ciotka nasza, p. Skórzewska, która nas kochała jak własne dzieci, zachowuję też dla niej wdzięczność i przywiązanie, sięgające po za jej grób. Wuj mój rodzony, p. Antoni Garczyński, lubił mnie także bardzo, a życzliwości swojej nie zmienił do śmierci. Szanowano go powszechnie w obywatelstwie. Był dobrym Polakiem, obywatelem światłym, mianowany prefektem departamentu kaliskiego po r. 1806, dał dowody niepospolitych zdolności, zasłużył sobie na zaufanie rządu i na względy króla saskiego, a księcia warszawskiego, który go zaszczycił wielką wstęgą orderu Św. Stanisława; umarł 1813 w Dreźnie w czasie oblężenia.

Pani generałowa Węgorzewska, z domu Kwilecka, którą rodziła Gajewska, bywała także często u moich rodziców. Ona i jej małżonek była to para całkowicie sprzeczna sobie, nawet postać ich fizyczna była wzorem przeciwieństwa. Pan generał nie powąchał nigdy prochu, kupił sobie tytuł generała za polskich czasów i na tem koniec. Był to zawołany myśliwy, stracił połowę majątku na polowanie; psiarnia była jego salonem, knieja zwykłą siedzibą, prócz o psach i zwierzynie nie potrafił o niczem innem rozmawiać, krzyczał jak głuchy, miał pełno myśliwskich dykteryjek, niski,

chudy, ruchliwy, nadzwyczajnie żywego usposobienia, kłamał z urzędu, strzelał doskonale, a pił nielada. O ile on był chudy, o tyle żona jego była otyłą, w całem mojem życiu nie widziałem osoby, wyrównywającej jej tuszą; o ile on krzyczał, o tyle ona była łagodną, o ile on się w psach kochał, o tyle ona ich niecierpiała. Ta pani odegrała niepospolitą rolę w powstaniu 1794 r.; jeździła po obozach polskich, dostarczała naszym wiadomości, zagrzewała patryotyzmem jednych, podburzała drugich, brała udział we wszystkich knowaniach przeciwko Prusakom, była zagorzałą zwolenniczką rewolucyi francuskiej. Jednakże zmieniła swój sposób myślenia po nastąpionem wkroczeniu Francuzów do kraju naszego roku 1806, a mianowicie, gdy generał d'Hautpoul, zatrzymawszy się z dywizyą kirasyerów w dobrach męża w Obiezierzu, kazał bydło wyprowadzić z obór na rzeź: «Nous mourrons de faim», powiedziała mu generałowa. «Madame, odrzekł generał, en ce cas, c'est nous qui mourrons les derniers». Odtąd przestała pani generałowa śpiewać «Valeureux Français, volez à la gloire» i t. p. i nie przestawała narzekać na srogie uciemiężenie. Była to osoba pełna miłosierdzia i bogobojności, a cnotami swemi odkupiła błędy młodości.

Pomiędzy sąsiadami naszymi przepomnieć nie mogę pani hr. Mielżyńskiej z Chobienic. Zacna i cnotliwa ta pani, straciwszy w młodym wieku męża, poświęciła się całkiem wychowaniu trzech córek, a pomimo wielu korzystnych i świetnych partyi wszystkim konkurentom odmówiła. Dom jej był otwarty nieszczęśliwym, biedny znajdywał w nim przytułek, a znajomi gościnne przyjęcie. Ileż to szczęśliwych chwil tam przepędziłem! Częstokroć przysyłała pani Mielżyńska po nas do szkół cylichowskich, o dwie mile odległych, zwłaszcza, gdy dwa święta po sobie następowały; na ten czas biegaliśmy wesoło po ogrodzie chobienickim. Trzy córki pani Mielżyńskiej, Teresa, Gabryela i Konstancya, wyszły za mąż, dwie pierwsze za braci hr. Potulickich, Konstancya za swego krewnego, Macieja hr. Mielżyńskiego, znanego w Księstwie Poznańskiem z licznych dowodów miłości ojczyzny.

Państwo Koczorowscy mieszkali o małą milę od Wolsztyna w dobrach swoich Gościeszynie. I oni należeli do dobrych przy-

Szkoła Strzelania Biblioteka Myśliwska

jaciół rodziców moich, mieli troje dzieci, starszą córkę, którą wydali za p. Mielęckiego; syna Tertuliana, bardzo szanowanego obywatela, który ożenił się z hrabianką Bnińską. Drugi syn Adolf, zginął w pojedynku z panem Stanisławem Mycielskim.[1])

W szkołach cylichowskich. Siewieluński.

Gdy nas oddano do szkół w Cylichowie w marchii brandenburskiej 1802 r., liczyłem lat 10 skończonych, mój brat Ewaryst 7½. Mówiliśmy doskonale po francusku, czytaliśmy niezgorzej po polsku i po francusku, pisaliśmy tymi językami i mieliśmy początki rachunków i geografii. Przybywszy do Cylichowa, wiedziałem, że Moskale i Niemcy moją ojczyznę rozszarpali, że Suwarow wyrznął Pragę, że Prusacy postąpili zdradziecko z Polakami, miałem wpojone zasady religii katolickiej, które mi pozostały na cały ciąg życia mojego i pomimo zboczeń znów mnie nakierowały na drogę wiary. Matka moja odwiozła nas do owych szkół, gdzie zostaliśmy oddani pod dozór bezpośredni dyrektora pana Steinbarta. Podguwernerem naszym był emigrant francuski, monsieur Jacques, który stał z nami razem, korepetytorem i nauczycielem języka polskiego był pan Siewieluński, rodem z Łowicza, który się kształcił na nauczyciela w Cylichowie. Rodzice płacili panu Steinbartowi 12000 złp. za stancyą, stół i nauki gimnazyalne, osobno za lekcye prywatne, osobno też wynagradzali pana Jacques i Siewieluńskiego. Nie były w Cylichowie owe szkoły polskie, których opis pozostawił ksiądz Kitowicz w pamiętnikach swoich, gdzie napędzano batem rozum do głowy, a stróż, zawsze na pogotowiu, niepospolitą odgrywał rolę. W Cylichowie panowała systematyczność niemiecka przy wykładaniu nauk, profesorowie byli to ludzie światli i fachowi; kto chciał, ten mógł wiele skorzystać w tym zakładzie, a że się znajdowałem pomiędzy samymi Niemcami, wnet nauczyłem się doskonale po niemiecku. Oby nas byli rodzice pozostawili w tych szkołach aż do ukończenia wszystkich klas! Bylibyśmy niezawodnie wyszli z gruntownemi wia-

[1]) Stanisław Mycielski był dziedzicem Żerkowa, później Lubartowa.

domościami. Niestety, cały nasz pobyt w Cylichowie nie przeniósł pół trzecia roku. Biada młodemu człowiekowi, któremu przerywają nauki, nie pilnując systematecznego ich udzielania.

Siewieluński, liczący w owym czasie jakich 20 lat, zadawał sobie wiele pracy, nauczał nas języka polskiego i wpajał uczucia polskie w serca nasze, wykładając nam dzieje narodu. Szczerze przywiązaliśmy się do niego. Mr. Jacques uczuł zaś po francusku i dawał w szkole lekcye francuskie. Był to prosty człowiek, nadzwyczaj nieokrzesany, który prócz po francusku nic więcej nie umiał. Siewieluńskiemu zawdzięczam gorącą miłość do kraju, którą pomimo niesprawiedliwości rodaków względem mnie pałać nie przestałem. I on nas także pokochał i nie odstąpił, jakoż towarzyszył nam do Warszawy, gdy nas rodzice przenieśli do owego miasta, a dopiero opuścił, gdy po odrodzeniu się ojczyzny w r. 1807 został mianowany dyrektorem w Łowiczu. Posadę swoją zachował do r. 1832, a gdy Rosya obaliła wszystkie zakłady naukowe w nieszczęśliwej Polsce i szkoły zaprowadziła według systematu swego, przeniesiony został Siewieluński do Piotrkowa jako rektor tamtejszych szkół. I tam potrafił pomimo wszelkich przeszkód i ciągłego szpiegowania wpajać uczucia polskie w młodzież polską i kształcił ją na dobrych obywateli aż do otrzymania emerytury. Rząd rosyjski usunął go skwapliwie, gdy wysłużył swoje lata, i udzielił mu całkowitą pensyą, aby się tylko pozbyć Polaka. Starzec przeniósł się do Warszawy na spoczynek przy rodzinie i tam oddał ducha na łono Boskie 44-go r. Boże, świeć nad duszą jego!

Lubo nie było lepszych szkół od cylichowskich w krajach pruskich pod względem filologicznym, jednakże mniej zważano w nich na realne nauki, nie dbano o języki nowożytne i co dla nas nieodbicie było potrzebnem, nie było w nich żadnej nauki religii katolickiej. Opieka i dozór nad uczniami były łagodne, rzadko kiedy wymierzano kary cielesne; oczywiście, że nauki były bez wyjątku wykładane po niemiecku jako w kraju, liczącym się do Niemiec. Instytut ten, za miastem położony, miał zdrowe powietrze. Częstokroć wychodziliśmy z profesorem na przechadzki w okolicę, ale zabronionem było chodzić do miasta. Dotąd odżałować nie mogę, że mi rodzice nie dali ukończyć nauk w Cylichowie.

Podróż do Warszawy.

R. 1805 uradzili rodzice moi odwieść nas na dalszą edukacyą do Warszawy, gdzie matka nasza już mieszkała z córkami. Odebrał nas zatem ojciec z Cylichowa, lubo niechętnie, ale stosując się tym razem, jak i w każdej innej okoliczności do woli matki naszej. Siewieluński opuścił Cylichowę razem z nami, jemu powierzył ojciec dozór nad nami i dalsze nasze nauki aż do przyjazdu naszego do Warszawy. Przepędziwszy kilka tygodni w Wolsztynie, wysłani zostaliśmy do matki najętymi końmi. Ojciec nie wyruszał się z domu, gdzie miał opiekę nad najmłodszym bratem moim Apolinarym, będącym jeszcze naówczas dzieckiem; samotność ojca miała rozweselać stara Dzierżawska, panna na respekcie, powiernik jego Rutkowski, oraz zasłużony kamerdyner.

Nadzwyczajna drogość panowała w kraju w r. 1805; płacono wiertel pruski żyta (pół korca) po 30 złp.; wiertel pszenicy po 60 złp.; dobra ziemskie podskoczyły nadzwyczajnie w cenie; płacono mórg ziemi miary magdeburskiej po 180—240 złp. Ojcu mojemu ofiarowano za dobra jego imieniem ks. de Nassau, później króla holenderskiego, 2 miliony 600 000 złp. Ojciec żądał 3 miliony. W tymże roku zapłacił mu handlarz zboża 20 000 talarów za 2 000 korcy żyta; a wyliczył całą sumę dobrymi groszami (po $7^1/_2$ pol. grosza). Pieniądze trzeba było liczyć na podłodze dla braku stołów, zapakowano je w sądki, a następnie wymieniali je żydzi wolsztyńscy na talary bite; pieniędzy papierowych nie znano jeszcze.

Wyjechaliśmy do Warszawy w listopadzie 1805 r. Była to niemała podróż owego czasu, trwająca zwykle prawie cały tydzień. Jechaliśmy bryczką brodzką, trzema końmi ciągnioną, która trzęsła nadzwyczajnie, ale była pakowna. Na karczmach byli naonczas sami żydzi brodaci w pantoflach, ubrani po starozakonnemn i nadzwyczajnie brudni, dla tego kazał nas ojciec zaopatrzyć w potrzebną żywność, mającą wystarczyć do samej Warszawy. Miasteczka były nieomal wszystkie bez bruku. Składały się z domków drewnianych, gontami lub słomą krytych; rynek, zwykle błotnisty, ozdobiony był w pośrodku ra-

tuszem, w którym mieściła się karczma. Domostwa naokoło rynku takiego opatrzone były zwykle podcieniami; rzadko kiedy spostrzegano kamienicę murowaną, dachówką krytą, w miasteczku, a jeżeli się rzeczywiście w niem znajdywała, należała niezawodnie do Niemca, przybyłego z Prusakami. Lubo bruku nigdzie nie było, kazano nam wszędzie płacić brukowe. Chociaż z niebezpieczeństwem życia przeprawiano się po mostach, pobierano wszędzie mostowe. Najwęższa grobelka miała ustanowionego poborcę, żądającego myta drogowego. Podatek taki szedł na korzyść dziedzica, do którego należało miasto, most czy grobla. Arendował go zawsze żyd, który, jak mógł, obdzierał przejeżdżających.

W Kleczewie przyszło nam pierwszy raz nocować w żydowskiej karczmie. Doznałem przykrego wrażenia na widok bachorów, uczących się w izdebce przyległej, siedzieli naokoło stołu wraz z nauczycielem, brudnym tak samo jak oni, wszyscy wrzeszczeli raczej, niż czytali z dużej żydowskiej książki, a raz po raz nauczyciel któregokolwiek z nich napominał szturchaniem w plecy. Lekcya ta trwała cały wieczór.

Po za Kleczewem poczynały się od Ślesina osławione lasy Ślesińskie, ciągnące się wtedy pod samą Kłodawę. Sempolno, nędzna mieścina drewniana, była kłodami brukowana, po których nasza bryczka skakała jak na huśtawce. Babiak składał się z dwóch żydowskich karczem. Kłodawa wyglądała nieco porządniej; w Kutnie była już cukiernia, ulica brukowana i sporo murowanych kamienic, ale rynek był błotnisty oprócz drogi, wiodącej do austeryi, którą posiadał katolik. W Łowiczu, wcale porządnem mieście, zabawiliśmy dzień cały, ponieważ Siewieluński odwiedzał tam krewnych swoich. Cała ta podróż była niezmiernie uciążliwa dla nadzwyczajnego błota i złego stanu dróg, zaledwie można było 6 mil dziennie ujechać. Postrzelany i spustoszały kościół na Woli pod Warszawą świadczył jeszcze o oblężeniu Warszawy przez Prusaków w czasie powstania Kościuszki. Niestety, miała się tu nowa rzeź spełnić, gdy 1831 r. Paszkiewicz zdobywał Warszawę. To miejsce, gdzie dawniej królów obierano, wsławione śmiercią bohaterską Sowińskiego, przeistoczono dzisiaj na ruską osadę, a kościół zamieniono na cerkiew schyzmatycką.

Przywlekliśmy się wreszcie do Warszawy pod wieczór w słotny dzień listopadowy. Jechaliśmy w nadzwyczajnem błocie pomiędzy dwoma rzędami niskich domków; z każdego niemal wisiała wiecha słomiana, godło wyszynku wódki; przed domem był wystawiony stragan, na którym widniały śledzie, obwarzanki, wódka i inne specyały chłopskie, obok niego stała beczka soli. Żyd w pantoflach, krótkich spodniach, brudnych, połatanych pończochach, w czarnej długiej, jeszcze brudniejszej sukni, opasany czerwonym pasem, mający na głowie śpiczastą, czarną czapkę z uszami lisiemi, przy nim żydówka w dawnym żydowskim stroju, mająca czółko, perłami wyszywane na głowie, korale na szyi albo łańcuch złoty czy z innego metalu, u którego wisiał dukat, talar albo numizmat jaki, w kaftanie, futrem podszytym, w spódnicy jaskrawej, pończochach wełnianych i pantoflach bez tyłków (taki był ówczesny ubiór żydów), uwijali się koło towaru swego, zapraszali głośnym krzykiem powracające z targu chłopstwo, które się wlokło długim szeregiem na wózkach małych, jednym koniem zaprzężonych. Woźnica ubrany był w burkę ciemno-brunatną barwy habitu bernardyńskiego albo szaraczkową, miał kołpak czarny, barankowy na głowie, niekiedy siedziała i kobieta na wozie. Mijaliśmy zgraje wieśniaków takich, zapijających w owych improwizowanych szynkach, niezważających na błoto, a rodzina żydowska usługiwała im na wyskok. Dalej snuło się bydło na przedmieściu, gęsi i kaczki kąpały się w kałużach, co kilka kroków siedział dziad, śpiewający pieśni pobożne, a wyciągający skorupę żółwianą ku podróżnym; dalej szedł rond pruskich żołnierzy ścieżką, wydeptaną w błocie. Żołnierze sztywni, wypudrowani, z lokami, w małym trójrogatym kapeluszu na głowie. Wszędzie wizawa, krzyki, wołania; niskie okna pobryzgane były błotem, tłok na ulicy, wszędzie pełno życia. Taki był widok przedmieścia Warszawy, począwszy od Wolskich rogatek aż do Żelaznej Bramy. Odtąd przybierało miasto postać więcej porządną i można się było domyśleć, że Warszawa była niegdyś stolicą i mieszkaniem królów. Minęliśmy niedokończony olbrzymi pałac Jabłonowskich, koszary Mirowskie, a przebywszy kilka ulic porządnych, stanęliśmy wreszcie przed kamienicą Dobrycza przy Krakowskiem Przedmieściu, które zajmowała matka nasza.

Obeznany z dziejami narodu naszego, spoglądałem z zajęciem na pamiątki dawnej świetności. Kolumna Zygmunta stała w bliskości naszego pomieszkania, mogłem patrzeć z okna na zamek królów polskich, który, dzisiaj pusty, zdawał się być wielkim grobem, nawet cokolwiek Pragi nie ukrywało się przed widokiem moim pomimo zasłaniającego ją klasztoru Bernardynów. Miałem wpojoną od dzieciństwa miłość do ojczyzny, nauki matki, rozmowy z Siewieluńskim, czytanie dziejów ojczystych zdwoiły miłość taką do stanu prawdziwej namiętności. Przypominam sobie, że, czytając w dziejach starożytności, iż Amilkar kazał synowi Annibalowi zaprzysiądz w 9-tym roku życia wieczną nieprzyjaźń Rzymowi, powstaliśmy brat mój Ewaryst i ja i zaprzysięgliśmy przed Siewieluńskim wieczną nienawiść i zemstę zagrabicielom Polski. Widok pozostałych pamiątek narodowych pomnażał jeszcze nasze uczucia patryotyczne: zamek, herby polskie i litewskie, zdobiące jeszcze wiele domów, opodal Praga, zaledwo powstająca z zgliszczów po rzezi Suwarowa, fara, w której chorągiew turecka zdobiła sklepienie, posąg króla Jana III na moście w Łazienkach, postrzelany pałac Igelströma przy ulicy Miodowej, okopy Warszawy, przywodzące na pamięć wiarołomność Prusaków, gwar pospólstwa, wykrzykniki przekupek, obyczaje narodowe, procesye duchowieństwa — wszystko jednem słowem przypominało ojczyznę, a rozżarzało w mojem sercu żądzę poświęcenia się jej.

Edukacya w Warszawie. Młodzież warszawska.

W Warszawie oddano nas znowu pod dozór Francuza, l'abbé Borne, który nauki swoje w innym systemacie udzielał, a zatem rozpoczął znowu od początku. Wszystko, czego nas w Cylichowie nauczono, poszło w zapomnienie. Takim sposobem straciłem blisko 3 lata na marne; czas drogi, a dla młodego człowieka nieoceniony. L'abbé Borne wykładał nauki po francusku; Siewieluński uczył nas po polsku. Należy jednak Francuzowi oddać sprawiedliwość, że posiadał wiele wiadomości, mianowicie w matematyce, i szczerze się nami zajmował.

Matka nasza obrała nadzwyczajnie kosztowny sposób kształcenia dzieci, który jednak mało korzyści przynosił. Metrowie, płatni na godziny, dawali nam lekcye prywatne, wybór ich nie pozostawiał nic do życzenia. Należy się oddać sprawiedliwość matce, że nie szczędziła kosztów w tym względzie; co było zdatniejszych nauczycieli, takich wybrała dla nas. Ale nie było systematyczności w tych naukach, jedno nie opierało się na drugiem, a zamiast zważać przedewszystkiem na wykształcenie gruntowne umysłu naszego, zmierzała matka głównie do tego, aby nas wychować na zgrabnych, salonowych paniczów. Taniec, muzyka, francuski język, zgrabne ułożenie były zatem rzeczywistym celem wychowania naszego w Warszawie, nauki zaś gruntowne, wykształcenie umysłu, zgoła wszystko, co stanowi rzeczywistą wartość w człowieku, uważała matka za rzeczy podrzędne, mogące się nabyć łatwo i nie mające wielkiej wagi. Był to w owym czasie tryb kształcenia młodzieży majętniejszej; syn przekupki uczył się gruntownie, wychodził na człowieka użytecznego w społeczeństwie; panicz musiał być przedewszystkiem «un aimable roué». Tego żądały po nim kobiety, wyszłe ze szkoły nieszczęśliwej pamięci Stanisława Poniatowskiego.

Zabawy i wizyty stały także na przeszkodzie naszemu kształceniu się pod okiem matki. Zamiast kazać nam rozwiązywać matematyczne zadania albo tłomaczyć Cycerona, wożono nas do teatru lub na pensyą panien panny Vauchée, gdzie córki magnatów odbierały edukacyą. Owa pensya była zbiorem wszystkich guwernerów Francuzów, tam się schodzili na ulubioną gawędę «la causette», bez której Francuz żyć nie może. Oczywiście, że nam młodym chłopcom nadzwyczajnie do smaku przypadał taki tryb życia, ale jego skutki były zgubne, a dopiero w późniejszym wieku doświadczyłem, ile szkodliwym był nie tylko dla mnie samego, ale i dla społeczeństwa, zwłaszcza gdy odradzająca się ojczyzna wymagała po swych synach czegoś więcej niż pięknego tańca.

Wiele młodzieży kształciło się w owym czasie razem z nami, po najwięcej wyszli oni na obywateli słusznych i dobrych Polaków, niektórzy jednak nie umieli sobie na taki zaszczyt zasłużyć. Pomiędzy ostatnimi wymieniam Józefa Kwileckiego,

OBOZ SZKOŁ ARTYLERII

dzisiejszego właściciela Wróblewa. Znany był pomiędzy nami z przydomku «la guêpe», który otrzymał dla swojej złośliwości. Był synem generałowej Fiszerowej, która, rozwiódłszy się ze swoim pierwszym małżonkiem Kwileckim, poszła z patryotyzmu za mąż za generała Fiszera, powracającego wtedy z legionów Dąbrowskiego, a nie posiadającego żadnego majątku. Wnet się zmieniły losy — pani Fiszerowa straciła majątek, a generał Fiszer, pobierający znaczną pensyą jako generał dywizyi, utrzymywał z niej siebie i żonę.

Przypominam sobie zawsze z rozrzewnieniem przyjaciela mego Ludwika Kickiego. Prawdziwy ten Ajaks polski był od wszystkich kochany; przyjazny, słodkiego usposobienia, mężny jak lew, wspaniały i hojny, umiał się kobietom podobać, a serca wszystkich mężczyzn pozyskać. W r. 1808 mianował go ks. Józef adjutantem swym. Świetny młodzieniec w pysznym amarantowym mundurze huzarskim na siwym koniu zwracał powszechną na siebie uwagę. Nie znałem w całem życiu mojem równie miłego i sympatycznego człowieka. Jemu zawdzięczam względy księcia Józefa. Kicki towarzyszył księciu Józefowi we wszystkich bojach, aż, ranny pod Lipskiem, nie mógł swego wodza ratować w ostatniej jego chwili. Po powrocie wojska polskiego do ojczyzny i nowej jego organizacji mianował wielki ks. Konstanty adjutantami swymi wszystkich adjutantów ks. Józefa. Kickiemu wnet zbrzydła służba rosyjska, usunął się z niej wkrótce i osiadł na wsi. W kilka lat później ożenił się i pędził życie szczęśliwe na łonie rodziny, nie wchodząc w żadne związki polityczne. Gdy zabłysnęła w 30 r. nadzieja wyswobodzenia ojczyzny z pod ohydnego jarzma, opuścił Kicki ukochaną żonę i pospieszył połączyć się z dawnymi kolegami. Poległ śmiercią walecznych pod Ostrołęką, szczęśliwszy od wielu innych, patrzących do dziś dnia na spodlenie narodu.

«Ostatnie to było nasze wysilenie,
«Ale że ostatnie, tem droższe jest w cenie».

I Gutakowski, późniejszy dziewierz w. księcia Konstantego, kształcił się wtedy w Warszawie razem z nami. Był to w całem znaczeniu słowa «dobra dusza». Urodzony na wielkiego pana, zmarnował dwukrotnie niezmierny majątek raz

swój własny, drugi raz milionowe dobra, które otrzymał w zamian własnych włości odłużonych od cesarza Mikołaja.

Roman Sołtyk, syn kasztelana Sołtyka, znanego z patryotyzmu, uwięzionego tak samo jak i syn za przestępstwa polityczne w roku 1825, a przez sąd sejmowy uniewinnionego, był także moim szkólnym kolegą. Służył w wojsku jak wszyscy w epoce Księstwa Warszawskiego; w r. 1830 wstąpił do wojska jako generał artyleryi, wyszedł za granicę z innymi i umarł w Paryżu w emigracyi. Nie mogę przemilczeć o trzech braciach Skarżyńskich, kształcących się także w tym czasie w Warszawie; dwóch z nich wyszło z Polski po r. 1831 jako generałowie wojska polskiego; jeden, Andrzej, żyje w Księstwie Poznańskiem, drugi Kaźmierz, generał dywizyi, w Paryżu.

Domy arystokratyczne w Warszawie. Panny Grudzińskie. PP. Brońcowie.

Najbardziej arystokratyczne były w owym czasie domy kasztelanowej krakowskiej, p. Stanisława Potockiego, dziedzica Wilanowa, p. Aleksandra Potockiego, księcia Józefa Poniatowskiego, który mieszkał w pałacu pod Blachą zwanym, pani Tyszkiewiczowej, siostry jego, księżnej Pawłowej Sapieżyny, p. Małachowskiego, pani kasztelanowej Olbromskiej. Co do magnatów polskich, których dobra znajdywały się w prowincyach polskich, odpadłych do Rosyi albo do Galicyi, to mało który z nich bywał w Warszawie, a jeżeli przybył do miasta, to tylko na czas krótki. Wyższe zatem społeczeństwo ograniczało się tylko na pruskich poddanych. Ileż to zabiegów kosztowało kobiety, przybyłe z prowincyi, a nie mające stosunków z ową koterją, aby zostać przyjęte do jej towarzystwa. Rozsądek radził im żyć w swojem kółku, ale próżność wiodła tam, gdzie je czekał zawód i upokorzenie. Wszystkie połykały upokorzenia rozmaite, byle być w stanie powiedzieć, że były w tem lub owem towarzystwie uprzywilejowanem. Każdy bal lub wieczór, dany przez jakiegokolwiek członka tej klasy wyborowej, był powodem tysiącznych zabiegów, bilecików, dyplomatycznych transakcyi, aby tylko pozyskać zaproszenie, a zwykle

powracało się do domu z goryczą w sercu, w złym humorze i z upokorzeniem. Nie dla tego, żeby uchybiano grzeczności w domach takich, owszem była ona nawet wielką, ale owe panie, nadające ton w Warszawie, umiały doskonale dać uczuć osobom, nie należącym do ich kółka, że czynią im zaszczyt, przyjmując je do swych salonów. Nie wyłączam mojej matki z pomiędzy osób, poddających się przykrości takiej, i ona liczyła się niestety do ofiar kobiecej próżności, a biedna siostra moja Antonina, która poczynała natenczas wychodzić w świat, opłacała zwykle doznany zawód i upokorzenie miłości własnej matki. Nigdy nie potrafiła dogodzić wymaganiom matki pod względem ubioru swego, zawsze musiała odmieniać toaletę swoją i dlatego przybywała matka z córką zawsze zbyt późno na zabawę. Lubo pod każdym względem było nieprzyzwoicie opóźniać się zbytecznie na wieczór zaproszony, uchodziło jednakże w społeczeństwie prywatnem, chociaż nie można zaprzeczyć, że się uchybiało względom, należącym się gospodarstwu. Gdy po wkroczeniu Francuzów i przybyciu cesarza Napoleona do Warszawy poczęto dawać wieczory w zamku, na których cesarz bywał, matka według zwyczaju swojego spóźniła się z przybyciem i już cesarz był na pokojach, gdy wnijść chciała; nie wpuszczona, musiała powracać do domu, co tem boleśniej było dla niej, iż sprawienie ubiorów dworskich znaczne wydatki za sobą pociągnęło.

Poznałem na pensyi panny Vauchée trzy panny Grudzińskie, córki pani Brończowej, rozwiedzionej Grudzińskiej; były to miłe i nadzwyczajnie skromne panienki. Nie domyślałem się naonczas świetnego losu najstarszej Joanny, która zaślubiła cesarzewicza, wielkiego ks. Konstantego, i została ks. Łowicką; druga z nich poszła za hr. Gutakowskiego, o którym już była mowa w tych pamiętnikach, a trzecia połączyła się węzłem małżeńskim z generałem Dezyderym Chłapowskim, dziedzicem Turwi w W. Ks. Poznańskiem.

Pan Broniec, czasu swojego pierwszy elegant warszawski, sławny utracyusz, przesiąkły prawidłami owej ohydnej szkoły Stanisława Augusta, której bożyszczem był brzuch, a rozwiozłość w miejsce moralności chrześciańskiej kierowała czynami, miał dużo wzięcia, mianowicie, gdy, objąwszy znaczny majątek żony,

począł dawać dobre obiady. Straciwszy go w krótkim czasie, potrafił się wynieść na godność wielkiego marszałka dworu przy królu saskim, a księciu warszawskim. Odtąd żył zabezpieczony przed wierzycielami w zamku warszawskim, do którego nie miał przystępu komornik sądowy. Na miasto wychodził dopiero po zachodzie słońca, aby nie być przytrzymanym za długi; dawał wieczorki w zamku, a chwalił się, że potrafiłby zniszczyć króla saskiego w przeciągu trzech lat, gdyby mu dał nieograniczony kredyt.

Nie domyślał się nikt wtedy, że miła, ale nie szczególnej piękności panna Joanna Grudzińska potrafi tak dalece zająć w. księcia, że dla niej się zrzecze tronu rosyjskiego. Czy była szczęśliwą w całym blasku świetności, to inne pytanie. Księżna Łowicka była wzorem wszelkich cnót, jej miłosierdzie nie znało granic, stała się opiekunką wszystkich ubogich; a gdy jej małżonek ustąpił z Warszawy skutkiem rewolucyi 30 roku, towarzyszyła mu wszędzie aż do nagłej jego śmierci w Witebsku. I ona nagle umarła w Petersburgu.

Muszę tu przytoczyć charakterystyczny wypadek w życiu pani Brońcowej: Po śmierci ks. Łowickiej odesłał marszałek dworu w Petersburgu wszystkie pozastałości po księżnie pani Brońcowej, pomiędzy innemi zapakowano przypadkiem i garnitur brylantowych guzików, należących do brylantów korony. Pani Brońcowa, domyślając się pomyłki, udała się spiesznie do Lipska, gdzie przedała ów garnitur, a gdy reklamowano od niej owe drogie kamienie, wskazała nabywcę, zatrzymując jednakże ich wartość. Nie wiem, czy wielki mistrz garderoby cesarskiej zdołał odkupić brylanty.

Warszawa 1805. Wojsko rosyjskie. Cesarz Aleksander I i w. książę Konstanty.

Warszawa 1805 r. była jeszcze prawdziwem polskiem miastem, rzadko gdzie pojawił się w niej Niemiec, a jeżeli się tam znajdowali, żyli oni osobno i nie pokazywali się w polskiem towarzystwie, unikając ogólnego urągania się z nich. Kto tylko mógł, ten im płatał psoty; w całem mieście był duch

polski i nienawiść ku Prusakom. Szkoły księży Pijarów na Żoliborzu kształciły młodzież na dobrych Polaków; dała ona dowód patryotyzmu swego w czasie późniejszym i stała się prawdziwie użyteczną krajowi. Ktokolwiek naówczas pominął emigrantów francuskich, a oddał dzieci swoje na Żoliborz, ten się krajowi zasłużył. I teatr polski Bogusławskiego przykładał się nie mało do utrzymania ducha narodowego; nie zapomnę uczuć moich, gdym widział przedstawioną tragedyą Osińskiego Władysława pod Warną Barbarę Radziwiłłównę i inne sztuki patryotyczne. Owe wrażenia młodego wieku pozostawiają po sobie pamiątkę nie zatartą.

Widok Pragi, na którą codziennie patrzałem z okień moich, przypominał mi ciągle rzeź Suwarowa; ileż to razy zwiedzaliśmy z Siewieluńskim tameczne okopy, bronione przez Polaków pod tem miastem nieszczęśliwem. Świadkowi naoczni tej rzezi pokazywali nam stanowisko Polaków, miejsce, gdzie zginął generał Rynkiewicz. Opowiadali o barbarzyństwie Moskali, o ofiarach poległych. Jakież to gorżkie uczucia przepełniały serce moje, gdym patrzał na owe smutne pomniki.

Wnet rozeszła się wieść po Warszawie, że niebawem wkroczy korpus rosyjski do miasta. Jakoż nadciągnął on rzeczywiście. Było to wojsko, idące naprzeciw Francuzom, a w pomoc Austryakom, które pod Austerlitz doznało wiadomego losu. Patrzałam wówczas po raz pierwszy w życiu na owe zastępy północnego mocarza, z którymi w życiu poźniejszem tyle walk stoczyłem; spoglądałem ciekawie na tych żołnierzy; jedni przystrojeni w blaszane, mosiężne czapki, w kształt głowy cukru, drudzy w rogatych kapeluszach, kozaki brodate na małych koniach, oficerowie w niezmiernie wysokich kapeluszach, w mundurach obcisłych, przepasanych szarfami, wrzynającemi sie w ich biodra, uprząż powózek, jakiej nie widziałem jeszcze, wszystko zajmowało mnie do wysokiego stopnia. Patrzałem z okien mieszkania naszego na przybywające wojska, a zdawało mi się, że przybywały właśnie po sprawionej rzezi na Pradze, która opodal leżała. Zastępy Aleksandra ciągnęły w całej paradzie przez Warszawę, we dwa miesiące później powracały one milczkiem i manowcami, skruszone potęgą geniuszu Napoleona i oręża Francuzów.

Młody cesarz Aleksander bawił wtedy w Puławach, witany uprzejmie przez kobiety, których był ulubieńcem, słodki charakter jego stanowił wyjątek w rzędzie cesarzy Rosyi, a podbijał mu serca. On sam powiadał o sobie «Je suis une heureuse exception». Dalibóg, że mówił prawdę, był on wyjątkiem pomiędzy srogimi carami. Cesarz zaszczyczał na ów czas szczególną łaską swoją ks. Adama Czartoryskiego, ministra oświaty publicznej, a dzisiaj wyszłego z kraju, wyzutego przez srogiej pamięci Mikołaja z mienia. Cesarz Aleksander otaczał się na ów czas Polakami, zdawało się, że zamyślał ogłosić się królem polskim, przynajmniej żywili się tą nadzieją Polacy, bliżsi tronu jego. W roku 1815-tym doświadczyliśmy, na jaki sposób Polskę przywrócił. Ile cesarz Aleksander był łagodny i uprzejmy dla wszystkich, o tyle był srogi i dziki brat jego w. ks. Konstanty, towarzyszący mu w tej wyprawie na Francuzów; wiele pozostało anegdot po nim, które wszystkie malują człowieka niepohamowanej wściekłości charakteru, przytem był tchórzem, lubił dręczyć, gdzie nie narażał siebie samego. Ileż to ofiar uległo jego okrucieństwu pomiędzy Polakami, gdy objął 15 roku dowództwo naczelne wojska.

Teatry. Kalinowski.

Przybyło do Warszawy na ten czas dramatyczne towarzystwo francuskie. Przy zamiłowaniu naszem do wszystkiego, co z Francyi pochodzi, mieli aktorowie francuscy nadzwyczajne powodzenie; całe wyższe towarzystwo abonowało loże; sztuki odgrywano w teatrze, urządzonym w pałacu ks. Radziwiłła, wojewody wileńskiego (Panie Kochanku) przy Krakowskiem Przedmieściu. Oczywiście, że scena narodowa ucierpiała na tem, a ponieważ aktorowie nie brali żadnego zasiłku od rządu, groziła tem samem upadkiem, ale zaradzono złemu. Zebrało się grono patryotów, które wzięło w opiekę teatr narodowy. Na ich czele stanęła pani Sołtykowa; pomimo całej trudności walczenia z zamiłowaniem ogólnem do sztuk francuskich, potrafiła jednak sprowadzać wielu widzów na scenę polską i zmusiła niejako towarzystwo do

abonowania wszystkich lóż Bogusławskiego. Doprawdy należy jej się wdzięczność za poczynione zabiegi, w przeciwnym razie albowiem upadała scena polska pomimo całej sztuki i talentu Bogusławskiego, Dmuszewskiego, Kudlicza, Szczurowskiego, Ziółkowskiego, Osińskiego, Truskolawskiej, Ledóchowskiej i wielu innych; a świetne sztuki Niemcewicza, Felińskiego, Osińskiego, których dzisiaj nie wolno przedstawiać, byłyby i natenczas tylko zdobiły biblioteki, ale nie widziano by ich na scenie. Pomimo abonowania lóż, były one zawsze nieomal puste; parter jednakże był zwykle przepełniony; dla arystokracyi zanadto była powabną pani Fouruse, gdy we wodewilu jakim występowała, ażeby dla tej krzyczącej aktorki pomyśleć o patryotycznej scenie, a ponieważ aktorowie francuscy grali cztery razy na tydzień, przeto mało która pani zwiedzała polski teatr. Kalinowski postanowił położyć koniec urokowi takiemu.

Kalinowski był to Wołynianin majętny, mianowany kawalerem maltańskim przez nieboszczyka cesarza Pawła, chodził po Warszawie w pysznym mundurze maltańskim, zawracał głowy kobietom, hulał z młodzieżą, szydził z Niemców; gdy Francuzi wkroczyli do kraju, zaciągnął się do wojska, został pułkownikiem huzarów w wojsku westfalskiem; wykradł pannę Potocką, córkę jedynaczkę p. Prota Potockiego, człowieka bardzo bogatego; ale że był waryatem, poszła żona do rozwodu; on sam wziął dymisyą r. 1810 i odtąd żył na Wołyniu.

Otóż ten Kalinowski przyrzekł pani rejentowej koronnej Szymanowskiej, kobiecie surowych obyczai, nie mówiącej po francusku, żyjącej daleko od wszystkiego, co tchnęło elegancyą i obyczajami dwuznacznymi, słowem będącej postrachem młodych kobiet, a szanowanej powszechnie, że sprowadzi do teatru francuskiego daleko naturalniejszego śpiewaka od p. Fouruse, który ją zakasuje. Jakoż przyprowadził na parter pudla swego. Grano dnia tego: Les deux prisonniers, wodewil w guście ówczesnym; a gdy owa prima donna poczęła w tej sztuce z całem przymileniem śpiewać aryą: „Jeunes filles, qu'on marie, que votre sort est malheureux", chwyta Kalinowski pudla swego za uszy i powoduje żałosne skomlenie psa. Publiczność zrazu nie pojmuje, co znaczy przeraźliwe

wtórowanie pudla, aktorka przestała śpiewać, pies także umilkł; po chwili zaczyna pani Fouruse znowu swoją aryą, ale równocześnie zawył pudel przeraźliwie. Parter się gniewa, a Kalinowski przeprasza za drażliwość nerwów swojego pudla, który, jak oświadcza, nie może znieść fałszywych akordów. Jedni krzyczą, a drudzy się śmieją; panie w lożach obrażone do najwyższego stopnia, sztuka upada. Wtem zbliża się policyant do Kalinowskiego, donosząc mu, że prezydent policyi, Herr von Tylli, żąda go; Kalinowski wychodzi, zastaje pana prezydenta na wschodach, który go gromi po niemiecku; za całą odpowiedź chwyta Kalinowski Niemca i z wschodów zrzuca. Już tego było zanadto; pan prezydent kazał zuchwalca zaprowadzić do kozy na trzy dni. Cóż za różnica postępowania władzy dzisiejszej a ówczesnej! Dziś widzianoby w tej swawoli bunt przeciwko rządowi; cytadela i Sybir byłyby niehybnem następstwem czynu podobnego. Kalinowski, wypuszczony na wolność po trzech dniach kozy, stał się koryfeuszem polskiej partyi; młodzież witała go hucznie. Wymógł na niej, że się przeniosła do polskiego teatru, a chodziła do teatru francuskiego, gdy Bogusławski nie dawał widowiska. Pani de Vauban, będąca na czele domu księcia Józefa, pani Bronikowska i kilka innych dam jednak pozostały wiernemi teatrowi francuskiemu.

Książę Józef Poniatowski. Rautenstrauch.

Książę Józef Poniatowski nie opuszczał Warszawy, mieszkał tuż przy zamku w pałacu pod Blachą zwanym dla dachu, blachą pokrytego. Latem przebywał w Jabłonnie, swej majętności o trzy mile od Warszawy. Pani de Vauban, emigrantka francuska, osoba już przeszło 40 lat mająca, była na czele jego domu, przyjmowała pierwsze damy, oddawała im wizyty, a raz w tydzień otwierała salony swoje dla eleganckiej młodzieży. Książę Józef pędził życie wesołe, wiele czasu poświęcał intrygom i miłostkom z rozmaitemi kobietami, mianowicie hołdował pani Czosnowskiej, z którą miał syna, później przyznanego przez siostrę księcia, p. Tyszkiewiczową, która mu zapisała cały swój majątek. Jednakże pracował także książę w sztuce wojennej,

czytał wiele i nabierał coraz większej zdolności, o czem przekonał rok 1809. Książę Józef był nadzwyczaj litościwy, wspierał wielu biednych ludzi, mianowicie dawnych wojskowych polskich. Przyjął on w tym czasie za sekretarza prywatnego Rautenstraucha, syna białoskórnika warszawskiego, późniejszego generała lejtnanta rosyjskiego po upadku naszym 31 roku, ozdobionego orderami, jakie tylko car rosyjski posiada, senatora, dyrektora wydziału wojskowego, dyrektora komunikacyi lądowych i spławu, dyrektora teatru i baletu warszawskiego, obsypanego dowodami łaski cesarza Mikołaja, pana wielkiego majątku. Ów Rautenstrauch był naówczas małą figurką i uniżonym sługą wszystkich, siadał u stołu marszałkowskiego, stał u drzwi, gdy go książę przywołać kazał, nisko się każdemu kłaniał, a był szczęśliwy, gdy ktokolwiek z grona księcia do niego przemówił. Natura wyryła, jak się zdaje, na obliczu wielu ludzi piętno ich duszy i wewnętrznego usposobienia. Rautenstrauch miał włosy rude, był zyzowaty, blady, chorobliwej cery, szczupłej budowy ciała, nieśmiały, uniżony, łaszący się każdemu, ale był dowcipny, bystry, przebiegły, o tyle sumienny, o ile interes jego własny tego wymagał, próżny, mściwy i nadzwyczajnie lubieżny, lubił piniądze, był chciwy honorów, nie znał co przyjaźń. Wnet potrafił pozyskać zaufanie księcia, stał się powiernikiem jego i pośrednikiem rozmaitych miłostek pana swego, a stał się tym sposobem jego nieodstępnym towarzyszem. Po wkroczeniu Francuzów w roku 1806 mianował go książę Józef, już na ten czas minister wojny i naczelny wódz wojska polskiego, kapitanem, podszefem sztabu generalnego, wkrótce przeszedł rozmaite stopnie i został pułkownikiem, a że miał zdolności, był całkowicie na swojem miejscu jako dyrygujący biurami ministerstwa wojny. Po kampanii przeciwko Austryakom roku 1809 został generałem brygady. W roku 1812 wyszedł w tym stopniu na kampanią przeciwko Rosyi, jako podszef stabu najprzód pod generałem Fiszerem, a gdy ten poległ pod Tarutyną za Moskwą, pod naczelnictwem generała Różnieckiego. Po smutnym naszym odwrocie towarzyszył Rautenstrauch księciu Józefowi wszędzie aż pod Lipsk, gdzie pozostał po bohaterskiej śmierci księcia. Widząc, że cała przyszłość losów polskich znajdywała się już odtąd w ręku cesarza Aleksandra, dał na

ten czas dowody ohydnej niewdzięczności względem dobroczyńcy i pana swego, albowiem, gdy jeńcy polscy chcieli wyprawić wspaniały pogrzeb wodzowi swemu księciu Józefowi i żądali od Rautenstraucha pożyczki kilku set dukatów na ten cel, odmówił, oświadczając, że żadnych rachunków mieć nie chce z rodziną księcia Józefa, a oficerom, obdartym ze wszystkiego, nie dowierza. Różniecki i Rautenstrauch, szef sztabu i podszef sztabu wojska polskiego, pierwsi z pomiędzy wojskowych polskich, w Lipsku pozostałych, złożyli hołd cesarzowi Aleksandrowi, odtąd obadwa zaprzedali się Rosyi. Nagroda nie mogła ich chybić, jakoż po ogłoszeniu Królestwa Polskiego według uchwały kongresu wiedeńskiego 1815 r., został Rautenstrauch dyżurnym generałem nowo zorganizowanego wojska polskiego. Wnet postąpił na generała leytnanta, był członkiem komisyi śledczej, która tyle ofiar poświęciła podejrzliwości rosyjskiej, od r. 1822 do r. 1830 należał do sądu wojskowego, słowem stał się ślepem i posłuszem narzędziem woli w. ks. Konstantego, knutem w ręku pana, jak Mickiewicz powiedział.

Gdy wybuchła rewolucya w r. 1830, ubiegał się Rautenstrauch o ministerstwo wojny, jednakże niedowierzano mu i pomimo uznanych jego zdolności, nie chciano oddać tyle ważnej gałęzi administracyi krajowej w ręce człowieka, opinią publiczną potępionego. Rautenstrauch pokrył obojętnością mściwe uczucia, ale zasłabł nagle i był słaby aż do wkroczenia feldmarszałka Paszkiewicza do Warszawy. Witał przy rogatkach miasta w. ks. Michała, towarzyszył mu w mundurze polskim przy wchodzie jego tryumfalnym do nieszczęśliwej stolicy. On i Krukowiecki oddawali hołd zwycięscom i miotali obelgami na ustępujące wojsko narodowe.

Niebawem użył feldmarszałek Rautenstraucha do zdania sprawy i śledzenia postępków każdego wojskowego polskiego indywidualnie. Zajął się gorliwie takiem śledztwem, które mu nastręczało porę dogodzenia zemscie osobistej. Rautenstrauch pierwszy przyodział rosyjski mundur i przypiął rosyjską kokardę. Posunięty prze zcesarza na pierwsze godności w podbitym kraju, zasiadł w radzie administracyjnej, zastępował namiestnika w czasie jego nieobecności w Warszawie, utworzył sobie seraj z pomiędzy baletniczek, których był dyrektorem, widział się ob-

BIBLJOTEKA Poznań

darzony gratyfikacyami ze strony Mikołaja. Żył w dostatku i lubieżności, a skonał w 75 roku życia swego na rękach metresy swojej ulubionej. Żona albowiem jego, księżniczka Gedrojć z domu, odjechała go i wyszła do Francyi, niechcąc być świadkiem jego czynów i życia obrzydliwego. Rautenstrauch miał dwie żony, pierwszą, osobę nadzwyczajnej piękności, odpędził, ponieważ mu się sprzeniewierzyła i rozwiódł się z nią, nie dawszy żadnego wsparcia, a ponieważ była bez żadnego majątku, umarła biedna w nadzwyczajnej nędzy w Wilnie. Jedyna córka pozostała Rautenstrauchowi po pierwszej żonie (z drugiej nie miał potomstwa) wyszła za pana Bujno, obywatela z Augustowskiego, i odziedziczyła cały majątek po ojcu. Jakkolwiek ten człowiek wiele złego rodakom wyrządził, jednakże wymaga sprawiedliwość, aby przyznać, że się nadzwyczajnie opiekował losem wojskowych polskich po zwinięciu wojska polskiego.

Do jakiegoż to stopnia nieszczęścia musiała dojść moja biedna ojczyzna, kiedy żałowano Rautenstraucha po jego śmierci jako jedynego opiekuna Polaków!

Kamenecki. Molski. Raczyński. Niemcewicz. Puławy.

Zamilczam o dobroczyńcu moim, ks. Józefie Poniatowskim; jego życie całe należy do historyi — o nim powiedzieć można, co wymowni Francuzi o swym rycerzu Bayardzie wyrzekli: był »sans peur et sans reproche«.

Wieszał się przy księciu wesoły człowiek, wiecznie goły Kamenecki; jego jowialność zjednała mu względy księcia. Miał szczególny dar rozweselić każdego chociaż w najsmutniejszem położeniu; przytem umiał być wdzięczny; jakoż on i Ludwik Kicki nie odstąpili swego wodza aż do zgonu. Kamenecki kłamał z urzędu; potrafił każdą rzecz upstrzyć śmieszną barwą. U pani kasztelanowej Olbromskiej był stolik, przed samą panią domu postawiony, przy którym przyrzekł na słowo honoru, że każdego czasu powie prawdę. Gdy zatem okłamywał panny, będące na respekcie u pani kasztelanowej, a ona, usłyszawszy ich śmiechy wesołe, opowiadaniami Kameneckiego wywołane, przywoływała go do stolika i pytała,

czy prawdę powiedział, odpowiadał potulnie: »Kamenecki kłamał, mości dobrodziejko«. Nuż wyrzuty, dąsanie się ze strony panien, ale on się znów dowcipem jakim wywinąć potrafił. Równie jak innych adjutantów ks. Józefa mianował go ks. Konstanty swoim adjutantem po roku 1815; niedługo jednak wytrwał przy wodzu takiego rodzaju, jakoż podał się wkrótce do dymisyi, nie chcąc, jak się wyrażał, używać parowej kąpieli.

Poeta Molski słynął w owym czasie z wierszy po Warszawie. Trafnie powiedziano o nim:

Jaki chce, niech będzie los Polski,
Zawsze wierszem kadzi Molski.

Jakoż kadził osławionemu zdrajcy ojczyzny, wielkiemu marszałkowi koronnemu Raczyńskiemu za panowania nieszczęśliwej pamięci Stanisława Augusta. Bawił natenczas pan marszałek w Warszawie, mało kto z Polaków bywał u niego, ale gromadził u stołu swojego urzędników pruskich i... pana Molskiego. Pan marszałek był nadzwyczajnie skąpy i chciwy; pobierał pensyą dożywotnią od trzech dworów, którym ułatwił rozbiór własnej ojczyzny. Miał pałac swój własny w Warszawie przy Długiej ulicy, na którym przylepiono dwa następujące wiersze, podające miarę, ile go niecierpiano.

Dwa domy dzisiaj zakałą Warszawy,
Jeden dom Raczyńskich, drugi dom — poprawy.

Pan Raczyński spoglądał dumnie i zuchwale na nienawidzących go rodaków aż do runięcia potęgi pruskiej, ale gdy losem wojny władza Fryderyka Wilhelma III w niwecz obaloną została, a Francuzi zajęli Warszawę, kazał mu wydalić się z miasta marszałek Davoust; pospólstwo wybiło okna jego pałacu, on zaś sam, niedowierzając narodowi, wyniósł się cichaczem do Galicyi. Odtąd już się światu nie pokazał, nie wiem, gdzie umarł, wszakże to mi wiadomo, że pomimo wszelkich zabiegów ze strony jego wnuka, Edwarda Raczyńskiego, nie było księdza, któryby się chciał podjąć mowy na jego pogrzebie, aż po wielu trudach hojnym datkiem nakłonił spadkobierca jakiegoś księdza Wszelakiego do tego. Grzymała następnymi wierszami zachował nam nazwisko owego mówcy:

Dobrali się dwaj łajdaki,
Pan Raczyński — ksiądz Wszelaki.
On żył w świecie lada jako,
A ksiądz go chwalił wszelako.

Bard i męczennik polski, Julian Ursyn Niemcewicz, adjutant Kościuszki, tak samo jak wódz nieszczęśliwy, długo więziony w lochach cytadeli petersburskiej, powrócił w tym roku z Ameryki, dokąd był towarzyszył Kościuszce. Znalazł przytułek w Puławach, gdzie każdy Polak miał schronienie. Kto mógł, ten spieszył do Puław dla widzenia Niemcewicza. I moja matka wybrała się latową porą w r. 1806 do tej siedziby ks. Czartoryskich, zabrawszy nas wszystkich ze sobą. Przebyliśmy granicę austryacką pod Kobyłką, wioseczką o trzy mile za Warszawą. Po drodze wstąpiliśmy do Sobień, dziedzicznego majątku pp. Jezierskich, dalekich krewnych naszych, a rodziców dzisiajszego marszałka szlachty gubernii lubelskiej, hr. Jana Jezierskiego. Zatrzymywaliśmy się też w Maciejowicach dla zwiedzenia pobojowiska, na którem się rozstrzygnął nasz los. Naoczny świadek oprowadzał nas po niem, pokazywał gdzie ranny Kościuszko dostał się do niewoli, oprowadzał po wzgórzach, na których byli Polacy uszykowani, opowiadał o bitwie, wskazał mogiły, w których leżą polegli. Cały dzień nieomal przepędziliśmy z Siewielińskim na tem smutnem polu; opuściwszy je z żałobą w sercu, rozmawialiśmy jeszcze długo o nieszczęśliwej bitwie, która przegraną została z winy Ponińskiego, nie przybyłego w pomoc Kościuszce. W Maciejowicach podziwiałem pyszne konie ordynata Zamoyskiego, właściciela tej majętności, stojące w stajni wspaniałej, a ujeżdżane przez Anglików.

Puławy, siedziba Czartoryskich, wznosiły się wspaniale nad szeroką Wisłą, wśród niebotycznych topoli i lip, zdobiących rzekę po obu brzegach. Wśród nich ukazują się kopuły starożytnego zamku; park obszerny dodaje uroku tej prawdziwie książęcej siedzibie. Stara księżna poczynała wznosić ową sławną Sybillę, zburzoną przez jej zięcia, ks. wirtemberskiego, szpiega rosyjskiego, generała brygady w polskiem wojsku za czasów kongresowej Polski, który naszedł na Puławy na czele brygady rosyjskiej i kazał strzelać do zamku, gdzie mieszkała

matka jego żony. Widziałem już na ten czas słynne Puławy z gościnności swych właścicieli, widziałem je powtórnie w roku 1811 w całej okazałości swej, gdy nagromadzone pomniki narodowe wabiły do nich każdego, w którym biło serce polskie; widziałem nareszcie Puławy 31-go roku postrzelane i zrabowane, opuszczone przez rodzinę, zastępującą Opatrzność w tym nieszczęśliwym kraju. Dzisiaj zostały Puławy Nową Aleksandryą, w nich raczył car rosyjski pomieścić szkołę panien, którym stróże wyliczają rózgi z rozkazu ich szczególnej opiekunki cesarzowej Wszechrosyi (z wyraźnego rozkazu cesarzowej matki wyliczono każdej 10-tej pannie w Puławach po 15 rózg w przytomności radcy stanu Muchanowa w r. 1855).

Zabawiwszy dwa dni w Puławach, podejmowani z zwykłą gościnnością księstwa, napatrzywszy się sowicie Niemcewiczowi, który raczył wdać się znami w rozmowę, wybiegawszy się po parku i okolicy, matka moja zaś, przepędziwszy ze starszą moją siostrą Antoniną ten czas w społeczeństwie księstwa i świetnego towarzystwa, powróciliśmy do Warszawy. Jakież to uszanowanie wzbudzał Niemcewicz w sercu mojem! Spoglądałem z uwielbieniem na jego oblicze smętne. Gdy się samotnie przechadzał nad brzegiem Wisły, spostrzegł moje zajęcie, zawołał do siebie i przez niejakiś czas rozmawiał ze mną, a gdym mu powiedział, że przybyliśmy do Puław w jedynym celu widzenia go, że zaznajomiono mnie z wypadkami jego życia, że byłem w Maciejowicach i oglądałem pole bitwy, uściskał mnie z rozrzewnieniem i radził się kształcić, abym swojego czasu mógł także służyć ojczyźnie. Niemcewicz był wzrostu miernego, cokolwiek otyły, miał jasne włosy, długo zapuszczone, oko niebieskie, łagodne spojrzenie, lice blade; skromność odznaczała ruchy jego, unikał wrzawy, lubił samotność. Wszyscy kochali go i szanowali.

Bogusławski.

Zjawił się był w tym roku w Warszawie sławny złodziej, którego sztuki ogólną ciekawość wzbudziły. Był to niejaki Bogusławski, podobno rodzony brat ówczesnego dyrektora teatru warszawskiego. Dowcip jego przechodził wyobrażenie;

niestety wytężał, go do zbrodni, a oryginalność popełnionych kradzieży zajmowała publiczność do wysokiego stopnia. Pozbawił wtedy angielskiego kupca drogich kamieni, z którymi przybył do Warszawy, nadzwyczajnie dowcipnym i zuchwałym sposobem. Anglik stanął był w hotelu Wileńskim, rozmaite osoby odwiedzały go i oglądały brylanty, które miał na sprzedaż; pomiędzy innymi była u niego i księżna Pawłowa Sapieżyna, która targowała łańcuch i kolczyki, złożone z samych soliterów. Pewnego dnia przybywa nad wieczór Bogusławski do kupca tego. Zajechał karetą przed hotel i oświadcza przy wstępie, że jest marszałkiem dworu księżnej Sapieżyny, że przybył do niego w imieniu księżnej, która go prosi, aby jej przywiózł ów garnitur brylantowy, i dla tego przysłała karetę po niego. Anglik zabiera naszyjnik i kolczyki i siada bez podejrzenia z Bogusławskim do pojazdu. Jednakże zamiast do księżnej zawozi go złodziej do Bonifratrów, gdzie poprzednio uprzedził już był księży, iż im przywiezie Anglika, bawiącego u księcia Sapiehy, który zwaryował, a zabrawszy księżnie naszyjnik i kolczyki brylantowe, mieni je mieć na sprzedaż. Oddaje przy tem niby to list księcia Sapiehy, w którym była wyrażona prośba o podjęcie się kuracyi owego Anglika, odebranie mu łagodnym sposobem brylantów księżnej i oddanie takowych marszałkowi księcia, który ma sobie polecone odwiezienie Anglika do instytutu waryatów z dołączeniem 50-ciu dukatów na pierwsze koszta kuracyi. Można sobie wystawić zdziwienie Anglika, widzącego się w klasztorze zamiast w pałacu ks. Sapieżyny; a następnie wściekłość jego, gdy mu gwałtem odebrano kosztowności. Anglik nie umiał słowa po polsku, nikt go nie rozumiał, wzięto go za furyata i włożono na niego kaftan, przeszkadzający władać rękami. Bogusławskiemu oddano brylanty, z którymi niebawem drapnął. Owa kradzież narobiła wiele hałasu w Warszawie.

Prusacy.

Ściągnęły się z wolna chmury na widnokrąg polityczny państwa pruskiego. Fryderyk Wilhelm III, wodzony za nos

przez swą żonę, zadarł z Napoleonem, a chełpliwi zawsze Prusacy rokowali sobie skruszyć potęgę bohatera wieku 19-go. Prusacy, opierając się na sławie Fryderyka Wielkiego, ufni w zemstę wojska, zdawali się wyzywać Francuzów do boju. Polacy wyglądali z niecierpliwością rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich; nikt się z nadzieją swoją nie taił, z innej zaś strony powtarzali młodzi oficerowie pruscy szczegóły o bitwie pod Rosbach i mienili, że Francuzów w jednej chwili zgniotą. Nie mam zamiaru opisywania szczegółów wojny tej epoki, wiadome są one dostatecznie każdemu, dosyć, że potęga pruska skruszoną została po 5-cio tygodniowej kampanii.

W r. 1806 składało się wojsko pruskie z rekrutów, wydawanych do wojska według woli właścicieli i dzierżawców dóbr albo magistratu po miastach. Składało się zatem z ludzi najgorszego prowadzenia, których się chciano pozbyć. Oprócz tego werbowano do wojska ochotników, którzy znowu byli urwisze rozmaitych narodów, wstępowali w szeregi dla uniknięcia jakiejkolwiek kary za zbrodnie popełnione albo zmuszeni do tego przez długi. Ochotnicy dostawali pieniądze na rękę, zaprzedając się na umówioną liczbę lat, wszędzie uciekali z pułku za pierwszą sposobnością i zaciągali się znowu do innego pułku, gdzie ich powtórnie kupowano. Dezercya tak dalece była rozpowszechnioną w pruskiem wojsku, że rozsyłano nocne patrole po każdym zachodzie słońca dla chwytania zbiegów. Kapitan był gospodarzem swojej kompanii, dbał o nią, przyodziewał i żywił. Rząd płacił mu za to, a ponieważ ciągnione tym sposobem zyski należały do kapitana, można sobie wystawić los żołnierzy. Sukno, brane na mundury, było jak pajęczyna, spodnie zaledwie do łydek dochodziły, a wszystko było tak ciasne, że z trudnością przychodziło się żołnierzowi zapiąć; kamasze czarne zachodziły po za kolana i przykrywały spodnie. Żołnierz nosił trzewiki, robione ze starego rzemienia, miał mundur granatowy, wycięty od przodka, do niego były przyszyte dwa kawałki sukna białego, mające wyobrażać kamizelkę. Binda czarna stanowiła chustkę na szyję, a musiała być koniecznie ciasno spiętą, ażeby krew biedakowi nabiegała do głowy i nadawała mu cerę czerstwą i zdrową, lubo był rzeczywiście blady i chorowity dla nędznej strawy, którą spo-

żywał; każdy żołnierz musiał być upudrowany i nosił harcap, zwykle z konopi uwity, a zawieszony za kołnierz; na głowie miał kapelusik trójrogaty i loki, także sztucznie do kapelusza przymocowane, co go śmiesznej postaci nabawiało, ponieważ tak samo harcap jak loki wisiały nieporuszenie pomimo różnych ruchów głowy. Żołnierz pruski nie dostawał w owej epoce koszuli ze skarbu, ale miał przyszyte w rękawach po kawałku płótna, pokazującego się u rąk, które wyobrażały mankiety. A zatem, jeżeli żołnierz taki nie sprawiał sobie koszuli z własnego funduszu, nic prócz munduru nie miał na swojem ciele. Wojsko pruskie nie miało płaszczy, pewna ich liczba, przeznaczona li dla szyldwachów, wisiała w czylerhauzie, a żołnierze przyodziewali się nimi, gdy stali na warcie. Gdy się zanosiło na wojnę z Francuzami w r. 1806, poczęły patryotki pruskie zbierać składki na płaszcze dla wojska, królowa pruska stanęła na czele tego zgromadzenia, ale pomimo ofiar znakomitych nie przyodziano wszystkich żołnierzy.

Nikt nie ma wyobrażenia dzisiaj o nieludzkiem obchodzeniu się ówczesnem z pruskim żołnierzem; nawet nie da się porównać z obchodzeniem rosyjskiem, kije, puszczanie przez rózgi, katowania wszelkiego rodzaju, pogardzające wyrazy, którymi przemawiano do żołnierza, były zwyczajną rzeczą. Oficerowie wprawiali się w sztuce zgrabnego płazowania, nabywali tak nazwane fuchtelklingen tj. klingi do szpad, obwijające się za każdem uderzeniem o ciało delinkwenta, a rażące nawet piersi jego. Ileż to ofiar legło pod srogiem obchodzeniem się! Pomiędzy innemi słyszałem o majorze, który podczas parady bił uszykowanych żołnierzy po piszczelach, tak dalece, że w głos krzyczeli, a niektórzy nawet padali na ziemię. Tak żołnierz pruski, ściągnięty bindą, aż mu krew do głowy występowała i żyły nabiegały, wyglądał czerwono i czerstwo, ale gdy się rozebrał, był podobny do chodzącego trupa, częstokroć żebrał po ulicy i ubiegał się za jakimkolwiek zarobkiem, a czego się nikt podjąć nie chciał, to chętnie wypełniał pruski żołnierz za liche wynagrodzenie. Czyścił kloaki po miastach, usługiwał żydom, był tragarzem, rąbał drzewo, zgoła posługiwał każdemu, byle zarobić cokolwiek grosza i uśmierzyć głód dokuczający. Czy można było liczyć na ducha wojska takiego, w którem nie

było sympatyi dla rządu ani najmniejszego cienia honoru. Jednak wyruszył z nim feldmarszałek Möllendorf, znany z kampanii we Francyi, przeciwko Napoleonowi. Nie dziw zatem, że się wszystko rozpierzchło na wszystkie strony.

Pani Grabowska. Ambroży Skarżyński. Wojna 1806 r.

Jeszcze żyła na ten czas w Warszawie pani Grabowska, niegdyś metresa króla Stanisława Augusta (w czasie swoim Kara Boska nazwana przez Warszawiaków). Lubo już była w podeszłym wieku, pozostały jeszcze ślady dawnej piękności, a w obejściu swojem miała wiele powabu. Opowiadała rozmaite szczegóły o dworze dawnego króla i o nim, a umiała dobrze opowiadać, była dowcipna i wesoła. Dzisiaj podupadła na majątku, chętnie przyjęła obiad, gdy ją zaproszono, wszakże nie była natrętną, owszem zachowywała w każdej okoliczności swoją godność. Syn jej, którego miała z królem, był generałem polskim w czasie Księstwa Warszawskiego i poległ pod Smoleńskiem 1812 r., prowadząc swoją brygadę do szturmu.

W miesiącu wrześniu 1806 opuścił Warszawę cały garnizon pruski, same tylko zakłady pułków pozostały w mieście z generałem Köllerem, gubernatorem Warszawy. Pożegnał nas równocześnie Ambroży Skarżyński, krewny nasz, który w 16 roku życia swego wstąpił jako junkier do pułku dragonów pruskich generała Rocketta. Ambroży wytrwał z honorem w pułku swoim aż do ukończenia wojny, postąpił na porucznika w czasie tej kampanii, a wyszedł z wojska pruskiego dopiero po zawartym pokoju pod Tylżą w r. 1807. Na ten czas zaciągnął się do pułku szwoleżerów, dowodzonym przez Wincentego Krasińskiego (dzisiejszego generała broni w rosyjskiem wojsku), odznaczył się w Hiszpanii, w Austryi, w Rosyi, w Niemczech i w Francyi; został podpułkownikiem gwardyi starej w wojsku francuskiem, baronem państwa francuskiego i oficerem krzyża legii honorowej. Po upadku Napoleona wyszedł całkiem z wojska, ożenił się z panną Sokołowską, dziedziczką majętności Orłów nad Bzurą w Łęczyckiem. Gdy Polska powstała 1830 r.,

opuścił zacisze domowe i pospieszył walczyć na nowo za ojczyznę; został mianowany generałem, dowodził brygadą konnicy i wyszedł z kraju razem innymi, dzisiaj żyje w Księstwie Poznańskiem, utraciwszy swój i żony majątek. Jest to jedna z pomiędzy wielu innych ofiar cesarza Mikołaja.

Wojna z Francuzami, głośne radowanie się nasze, złorzeczenie Prusakom, opuszczenie garnizonu warszawskiego żadnej zmiany nie spowodowały z strony rządu względem Polaków. Nie doznawano żadnego prześladowania, a jedynym środkiem ostrożności było, że polecono właścicielom domów w Warszawie czuwać nad spokojnością i bezpieczeństwem publicznem. Co do nas, oczekiwaliśmy niecierpliwie Francuzów, nikt nie wątpił o pobiciu Prusaków, wyglądano wiadomości z linii bojowej, młodzież zaopatrywała się w broń i rynsztunek wojenny. Trudno przychodziło Siewieluńskiemu powstrzymać mój zapał, a lubo liczyłem dopiero 14 lat, jednakże nie dałem sobie z głowy wybić, że już potrafię walczyć o niepodległość kraju. Nie mieliśmy długo żadnej wiadomości o losie wojny, dopiero na początku listopada gruchnęła równocześnie nowina o przegranej pod Jeną i o wkroczeniu Francuzów do Berlina, o śmierci księcia Ludwika pruskiego pod Saalfeld i o rozbiciu tyle sławnego wojska pruskiego.

Jeden zatem zamach cesarza Napoleona zniszczył potęgę, zagasła gwiazda Fryderyka II, zniknął urok owego wysławionego wojska, wszystko rozprysło się w różne strony, sam król uciekł do Królewca z rodziną swoją. Berlin powitał cesarza Francuzów; Dąbrowski powracał z Włoch z legionami, Wybicki przybywał do Poznania z forpocztami francuskiemi, cała Wielkopolska powstała.

Beningsen, morderca cesarza Pawła, wkroczył do Warszawy na czele rosyjskiego korpusu i posunął swe posterunki aż nad Bzurę. Walka więcej krwawa następowała, bo co innego wojsko rosyjskie, a co innego Prusacy. Francuzi zagarnęli Marchią brandenburską, Westfalią, Śląsk, Pomorze, całą Wielkopolskę i część Prus Zachodnich. Proklamacye Dąbrowskiego i Wybickiego rozeszły się po całej Polsce, niebawem dostały się do Warszawy. Kto tego nie był świadkiem, ten nie potrafi sobie wyobrazić zapału naszego, wszystkich orgarnęła żądza poświę-

cenia mienia swojego i życia w tej sprawie narodowej, aby tylko pozyskać niepodległość ojczyzny. Wtem doszła nas wiadomość o przybyciu cesarza Napoleona do Poznania.

Od czasu zajęcia Warszawy przez Rosyan rozpoczęła tajna policya swoje dzieło, jednak pomimo jej czujności krążyły po mieście proklamacye Napoleona, Dąbrowskiego i Wybickiego; nie tajne były postępy wojsk francuskich, a ranni, przewożeni do Warszawy, świadczyli o zbliżającym się teatrze wojny. Niekiedy pędzono także niewolników, zabranych wojsku francuskiemu, nie pozwalano nikomu mówić z nimi, nie zatrzymywano ich wcale w Warszawie, ale gnano wprost za Wisłę. Usłyszeliśmy nareszcie głuchy huk armat, hurmem pobiegła publiczność za rogatki, ale nie wypuszczali kozaki nikogo za miasto. Brałem z bratem moim Ewarystem właśnie lekcyą konnej jazdy w Reitschuli przy Końskim targu, Siewieluński był z nami, gdy powstał niezwykły ruch na ulicy; wybiegliśmy ciekawi, coby nowego zaszło. Widziałem oficera francuskiego, przejeżdzającego w towarzystwie rosyjskiego oficera, pod konwojem kilku kozaków, a udającego się do głównej kwatery Beningsena na Pragę. Patrz — odezwał się Siewieluński, tak samo oni eskortowali Kościuszkę po zabraniu go do niewoli. Ukłoniłem się Francuzowi w jego śpiesznym przejeździe. W kilka dni doznał Siewieluński nadzwyczajnego strachu, miał albowiem w kapeluszu swoim proklamacyą Dąbrowskiego, a ponieważ mówiono, że wojsko rozpoczęło przygotowania do spalenia mostu łyżwowego pomiędzy Warszawą a Pragą, chciał się przekonać o rzeczywistej prawdzie, jakoż poszedł oglądać łyżwy mostu tego, przyczem przytrzymał go żołnierz, stojący na warcie, i oddał przechodzącemu rondowi. Zaprowadzono go na odwach pobliski, gdzie go przetrząsano i badano. Na szczęście nikt nie zajrzał do kapelusza, oficer, snać ludzki człowiek, naganił mu próżną ciekawość i wypuścił na wolność. Biedny Siewieluński dostał frebry za powrotem do domu.

Już ukazały się patrole francuskie pod Wolą; a Moskale przeciągali nocą przez Warszawę; pospólstwo wrzało z niecierpliwości, ale obecność Rosyan wstrzymywała niecierpliwość narodu. Kroki nieprzyjacielskie ustały przez dwa dni, panowała cisza ponura. Gubernator miasta generał Köller

oddał już był poprzednio zarząd miasta księciu Józefowi, a władzom miejskim polecił słuchać jego rozkazów, sam zaś skierował starania swoje ku ułatwieniu wyprowadzenia się z Warszawy licznym rodzinom urzędników pruskich i zakładom pozostałym; miał, być może, jakie 2000 ludzi pod rozkazami. Gdy nadeszła chwila stanowcza opuszczenia stolicy, dotrwał zacny ten człowiek w opiece swojej nad nią; jakoż zebrawszy resztki wojska pruskiego, utworzył z niego szpaler po obu stronach ulic, któremi odwrót miał mieć miejsce, a ustępujące wojsko rosyjskie musiało tym szpalerem przechodzić, co się wcale nie podobało kozakom. Wojsko cofało się w nocy w największej cichości, na ostatku poszli Prusacy, sam generał Köller pozostał w mieście aż do rana, poczem wsiadł do powozu i wyjechał; przed wschodem słońca gorzał most.

Byliśmy w miesiącu listopadzie, każdemu wiadomo, jak posępne powietrze u nas w tej porze roku; deszcz padał ze śniegiem. Szare światło zwiastowało całodniową słotę. Jeszcze byłem w łóżku, gdy mnie z niego wywabił krzyk rozlegający się po ulicy, spoglądam przez okno i widzę ze stu uliczników, ciągnących na długim postronku przywiązanego orła pruskiego, zrzuconego z pałacu Krasińskich, który był przeistoczony na ratusz przez Prusaków, zgraja chłopców wlekła go po błocie do Wisły, gdzie go wrzuciła do wody. Inni ludzie biegli przypatrywać się gorejącemu mostowi. Byliśmy wnet na ulicy, Siewieluński poprowadził nas ku mostowi, tam znajdował się ks. Józef na koniu, w cywilnym surducie, a kilkunastu znaczniejszych obywateli na około niego. Książę zwiedził główne ulice, kazał obsadzić odwachy obywatelami i urządził na prędce policyą. Były prezydent policyi miasta Warszawy za insurekcyi Kościuszki, p. Zakrzewski, objął napowrót swój dawny urząd. Sławny Kiliński, szewc warszawski, wyszedł także ze swojej nory i prawił już do pospólstwa. Jeszcze go widzę w kontuszu, w czapce na głowie, jak zachęcał lud na około niego zgromadzony, ażeby się uzbrajał i łączył z szeregami wojska niezwyciężonego Napoleona; nawet zamierzał już obierać króla polskiego! Cechy poczęły się gromadzić. Bohaterzy z r. 1794 witali się wzajemnie z rozrzewnieniem. Jeszcze

istniały dawne cnoty polskie po 12-to letniej niewoli, bo rząd pruski nie brał za cel panowania swego spodlenie narodu polskiego, nie demoralizował go systematycznie, nie zadawał mu jadu wyuzdania materyalnego. Zostawionem było carowi Mikołajowi zepsucie wszystkich warst towarzystwa w Polsce. Święta miłość ojczyzny, gotowość do ofiar każdego rodzaju dla dobra kraju, honor nieskazitelny w osobach pojedyńczych odznaczał jeszcze Polaków tej epoki.

Wkroczenie Francuzów do Warszawy.

Rodzaj bezkrólewia takiego trwał 36 godzin, około wieczora dnia następnego rozległy się radosne okrzyki od Wolskich rogatek; pojęto od razu, że się Francuzi zbliżają. Cała Warszawa pobiegła w te stronę powitać wojsko wkraczające, nikt nie zważał na plutę i szkaradne powietrze, tłum nadzwyczajny zgromadził się od Żelaznej bramy przez Koński targ aż na Saski plac. Exelmans, wtedy szef szwadronu dragonów, a w końcu życia swego generał dywizyi, wchodził do miasta na czele swego szwadronu. Radość powszechna dochodziła do szaleństwa, widziałem starców, ściskających buty maszerujących dragonów, wiwaty nie ustawały, kilkunastu młodych ludzi, siedzących na koniach, towarzyszyło szefowi szwadronu Exelmans, przewodnicząc mu po ulicach, każdy podawał żołnierzom zasiłek. Wiele ludzi nosiło natenczas jeszcze strój polski, a owi kontuszowi ściągali na siebie uwagę przybywających Francuzów. Oświecono wszystkie ulice w mgnieniu oka bez jakiegokolwiek rozkazu; a że pałac pana Raczyńskiego pozostał ciemny, wybito wszystkie okna w tym gmachu. Dowódca oddziału wytłómaczył z trudnością obywatelom, że się nie może stać zadość ich dobrej chęci przyjmowania żołnierzy po domach; obywatele albowiem upraszali jako o łaskę, ażeby rozkwaterowano dragonów; wytłomaczył im wreszcie dowódca, że w czasie wojny oddział, maszerujący w przedniej straży, musi zachować wszelką ostrożność. Ulokowano zatem szwadron w koszarach Mirowskich i tam poznoszono żywność żołnierzom i furaż, wystarczający na jaki tydzień.

Patrzałem ciekawie na owych dragonów, mieli oni długie fraki mundurowe ciemno zielonego koloru, wycięte na przodzie, wyłogi białe z ponsowemi wypustkami, kołnierze ponsowe, guziki mosiężne, na głowie nosili stalowe hełmy, opasane od spodu skórą niedźwiedzią. Ze stalowego grzebienia na hełmie takim wychodził od przodu pęk krótko uciętych końskich włosów, na kształt pendzla od zamydlania brody, z tyłu spadał z niego długi ogon z końskich włosów, sięgający aż na plecy żołnierza Nosili spodnie białe skórzane i buty długie pół palone, sięgające za kolana. Mieli siodła niemieckie, na zielonych czaprakach leżące na koniu, przy siodle był przyczepiony karabin piechotny, kolbą na dół wiszący, w rodzaju pochwy przy koniu, mieli i pistolety w olstrach. Nosili nieco zakrzywione pałasze w skórzanych pochwach. Ów oddział marszerował wesoło czwórkami, Prusaki i Rosyanie marszerowali zwykle trójkami. Dowódca był to młody człowiek śmiałej postawy. wesoły i rozmowny.

Nazajutrz wkroczył do miasta około południa waleczny Murat, w owym czasie w. ks. Bergu, następnie król neapolitański, a w końcu rozstrzelany w Reggio z rozkazu Ferdynanda VII, ojca panującego dzisiaj króla Obojga Sycylii. Siedział on na pysznym hiszpańskim ogierze. Złoto kapało z rzędu i odzieży. Miał na sobie zieloną, aksamitną węgierkę, wyszywaną złotymi sznurami i pętlicami, pałasz turecki wisiał przy pasie złotym, na głowie miał kapelusz wojskowy, obszyty złotym galonem, wyłożony w środku białemi strusiemi piórami, a trzy takie pióra powiewały nad nim. Spodnie miał atłasowe amarantowe na buty, przy butach złote ostrogi. Rząd konia był bogato złotem obsadzony, czaprak zielony, obszyty złotym galonem, a w rogach wielkie N przy każdej stronie. Murat był wysokiego wzrostu, wysmukłej postaci ciała, długie jego czarne włosy spadały mu na ramiona, miał bystre czarne oko, nosił wąsik mały, siedział na koniu pełen rycerskiej postawy.

Wraz z wielkim ks. Bergu weszło do miasta 6 pułków strzelców konnych, 6 pułków dragonów i 48 armat, do artyleryi konnej należących. U rogatek witał go ks. Józef, ozdobiony w wszystkie ordery swoje, na czele magistratu warszawskiego i znaczniejszych obywateli. Witały go i cechy miejskie, nawet

Kiliński wysunął się z mową do Murata, a gdy mu powiedziano, że nie rozumie po polsku, krzyknął całą siłą głosu swego „Salve Rex Poloniae!» które przywitanie powtórzono tysiącznie. Snać wkraczającemu księciu podobało się to, bo wdzięcznie ukłonił się Kilińskiemu.

Murat stanął kwaterą u hr. Stanisława Potockiego przy Krakowskiem Przedmieściu, wieczorem było miasto wspaniale oświecone, widziałem wiele transparentów alegorycznych. Teatr polski przedstawił nową sztukę, zastósowaną do okoliczności, pod tytułem «Okopy pod Pragą», po której była kantata na cześć Napoleona, oswobodziciela Polski; śpiewano ją przed wizerunkiem cesarza Francuzów.

Rosyanie i Prusacy patrzeli się z Pragi na uroczyste zajęcie Warszawy przez Francuzów, byli świadkami iluminacyi miasta i słyszeć mogli odgłos dzwonów, witających po wszystkich kościołach nową erę polskiego narodu. Moskal, przywykły do ślepego posłuszeństwa, nie wychodził zapewne z obojętności zwykłej, ale Prusakom gorżko musiało być na sercu, spadli oni od d. 20 października, dnia bitew pod Jeną i Auerstaedt, na ostatni szczebel potęgi i utracili w opinii europejskiej całą sławę, przez Fryderyka W. nabytą. Nie bawili też długo sprzymierzeni w Pradze, opuścili ją w parę dni.

Nowy rząd. Formowanie wojska polskiego. Gospodarka Francuzów. Rożniecki.

W nocy z 14 na 15 grudnia przybył cesarz Napoleon do Warszawy późno w noc. Już poprzednio wkroczył był do miasta korpus marszałka Davousta, mianowanego ks. Auerstaedt w nagrodę za odniesione świetne zwycięstwo nad Prusakami pod tą wioską. Zaraz po przybyciu swojem rozkazał ten wódz panu Raczyńskiemu wynieść się z Warszawy, do której już nie powrócił.

Niebawem przybył i Wybicki, a równocześnie zajęto się organizacyą rządu narodowego i wojska. Na czele rządu stanął szanowny Małachowski, marszałek sejmu czteroletniego. Rodzina Małachowskich odznaczała się każdocześnie przywiązaniem do kraju i nie spodliła się dotąd żadnym czynem, dla tego nie ma

łaski u rządu. Obrano także członkami rządu narodowego Sobolewskiego, Stanisława Potockiego z Wilanowa, Bielińskiego, Działyńskiego, Gutakowskiego i Wybickiego. Mianowano prefektów podobnie jak w Francyi do rozmaitych prowincyi, już wyswobodzonych, a podprefektów, zarządzających powiatami. Mianowicie zajęto się urządzeniem wojska polskiego, na czele którego stanął ks. Józef, ale dopiero po odebraniu od króla pruskiego uwolnienia od przysięgi, jemu wykonanej na wierność. Odtąd przewodniczył nam na polu chwały aż do zgonu swego pod Lipskiem.

Duszą rządu narodowego był Wybicki, wszystkich pobudzał energicznem swojem postępowaniem do sprężystego działania. Podjął się zaopatrywać wojsko w żywność, a był to zaiste trudny obowiązek w kraju, przepełnionym żołnierzami, który cierpiał nad wszelkie wyobrażenie skutkiem samowolnego postępowania generałów, rekwirujących co bądź po prowincyach, i ofiar, przez obywateli poczynionych, na sztyftujące się wojsko narodowe. Niemało się przyczynili maroderzy do zniszczenia kraju, który rabowali, gdzie im się tylko pora nadarzyła. Takie klęski spowodowały wnet wyludnienie się wielu okolic i ogólne zubożenie kraju. Chłop opuszczał chatę, a właściciel musiał ponosić całkowity ciężar wojny za siebie i chłopa. Zrazu ofiarowywano chętnie, co było, ale gdy zabierać zaczęto nawet i ziarno, przeznaczone na zasiewy wiosenne, gdy nie pozostało żywności dla utrzymania czeladzi dworskiej, gdy pozarzynano woły robocze, a konie pozabierano do pociągu, natenczas ostygł zapał pierwotny.

Jak bezwzględnie postępowali generałowie francuscy, przekona następujący wypadek: Marszałek Lannes, ks. Montebello, stanął kwaterą w Podlaskiem u p. Zielińskiego, majętnego obywatela tamtejszych okolic. Gospodarz domu przyjął wystawnie marszałka, ustawiono do wieczerzy piękne srebra i podano, co było najwyborniejszego w domu. Marszałek i sztab jego byli nadzwyczajnie zadowoleni, w nagrodę zaś przyjęcia takiego kazał pan marszałek zabrać właścicielowi wszystkie jego srebra. Podobnie postąpił generał Hautpoul, albowiem przybywszy z dywizyą kirasyerów do p. Węgorzewskiego, kazał dla wojska zarzynać woły robocze i krowy bez względu

na prośby właściciela, ażeby pozwolił posłać po mięso do pobliskiego magazynu w Obornikach. Generał d'Hautpoul niecierpiał Polaków, a gdy, straciwszy nogę pod Eylau, leżał amputowany, rzekł do cesarza, który go przyszedł odwiedzić i wynurzał mu swoje współuczucie: «Ce qui me fait bisquer c'est d'avoir perdu une jambe pour la Pologne, qui toute entière ne la vaut pas». Umarł skutkiem tej rany.

Nie spodziewano się w Warszawie rychłego przybycia Napoleona, nie było zatem żadnego uroczystego przyjęcia tem więcej, że było późno w nocy; jednakże oświecono miasto nazajutrz, wystawiono bramę tryumfalną przed zamkiem, a wszystkie władze oddały mu swój hołd. Stara gwardya objęła służbę w zamku; dwóch grenadyerów konnych stanęło na warcie przed bramą zamkową, a służba cesarska zajęła się około jego osoby. Razem z cesarzem przybyło ciało dyplomatyczne i dygnitarze państwa; przybył ks. Benewentu ks. Talleyrand, minister spraw zagranicznych, ks. Neuchatelu Berthier, major generalny wojska, pan Dovoust intendant generalny, i wielu innych. W czasie zimy przybyli także i rozmaici posłowie zagraniczni.

W Poznaniu zbierała się jedna dywizya nowego wojska polskiego pod dowództwem Dąbrowskiego, w Kaliszu organizował Zajączek drugą dywizyą, a ks. Józef począł sztyftować trzecią w Warszawie, mając prócz tego oddane sobie ministerstwo wojny. Osławiony w późniejszym czasie Rożniecki zajął się organizacyą konnicy. Sierakowski zbierał artyleryą. Wincenty Krasiński werbował do pułku ułanów, mającego być gwardyą cesarza Napoleona; był to ów sławny pułk szwoleżerów gwardyi, którego czyny głośne we wszystkich położeniach, w których się znajdywał, pozyskały mu świetne stanowisko we wojsku francuskiem. Krasiński nigdzie nim nie dowodził, prócz na paradach; ale dzielny Kozietulski prowadził go zawsze do boju, a miał takie nieszczęście, że w każdem spotkaniu zawsze był ranny.

Ks. Józef uczynił szczęśliwy wybór, mianując generała Fiszera szefem sztabu wojska polskiego; odpowiadał albowiem z każdego względu nowemu stanowisku swemu, zaprowadził wielki porządek w służbie, a ponieważ był oprócz tego i gene-

ralnym inspektorem piechoty, postawił tę broń na wysokim stopniu doskonałości, założył dla niej regulamin, którego nie dostawało w konnicy. Jemu rzeczywiście winna piechota polska sławę, którą się okryła w czasie całego bytu Księstwa Warszawskiego. Powiedziałem już poprzednio, że Rautenstrauch był podszefem sztabu i zajmował się biurowością.

Rożniecki wcale się nie zasłużył pod względem organizacyi jazdy polskiej, przybył z Italii z reputacyą doskonałego kawalerzysty, jednakże nie potwierdził jej pod żadnym względem. O ile się generał Fiszer odznaczył jako inspektor genenalny piechoty, o tyle Rożniecki pozostawił do żądania, będąc inspektorem generalnym jazdy. Nie zaprowadził w konnicy jednostajnego regulaminu, nie dbał o mustrę, mniej zważał na zdatność oficerów. Gnuśny, sarkastyczny, lubieżny, a tchórz, jakiego drugiego trudno wynaleść, zasłużył sobie na powszechną wzgardę nie tylko u Polaków, ale nawet i ze strony Rosyan dla brudnego postępowania swego.

Rożniecki urodził się w Rawskiem, był synem mieszczanina z jakiejś małej mieściny, której nazwiska nie pamiętam; poznałem jego krewnych w czasie mojego pochodu i stawania po kraju. Niewiadomo mi, w jaki on sposób wyszedł za granicę i dostał się do legionów polskich, gdzie był sztabsoficerem. Po zajęciu Wielkopolski przez Francuzów powołano legiony z Italii, razem z nimi powrócił i Rożniecki, jednakże musiał mieć jakieśkolwiek zasługi i znaczenie, skoro mu powierzono organizacyą konnicy. W powstaniu narodowem r. 1806 łatwo było zebrać pułki, ponieważ majętni obywatele dostarczali pieniędzy i koni z własnych zasobów, a jeńcy pruscy byli wybornymi, już wymustrowanymi rekrutami, o ile pochodzili z Polski; oprócz nich zaciągała się znaczna ilość ochotników. Ale ulegało więcej trudności zaprowadzenie jednostajnej mustry, uniformowania i okulbaczenia koni, a do tego nie przyszedł nigdy Rożniecki za Księstwa Warszawskiego. W każdym pułku było coś indywidualnego, nieharmonizującego z ogółem, czy to w mustrze czy w służbie czy też w gospodarstwie wewnętrznem. Rożniecki był sarkastyczny, grubijański, nadzwyczajnie chciwy, nie umiał postępować właściwie ze żołnierzem i dla tego drwiono sobie z niego po prostu za czasów

Księstwa Warszawskiego. W czasie kampanii 1807 r. organizował pułki i nie pokazał się wcale na linii bojowej; w kampanii austryackiej 1809 nie stoczył żadnej potyczki z nieprzyjacielem, lubo miał oddzielny korpus kilkutysięczny; umiał albowiem unikać spotkania, tak dalece, że Austryacy powiadali o nim: «Der General Rozniecki kostet uns bloss Hufeisen», ponieważ uganiali się napróżno za nim. Całą ohydę charakteru swego pokazał w roku 1812 pod Mirem, tam albowiem naprowadziwszy dywizyą konnicy polskiej, którą dowodził, na korpus Bagrationa, a widząc przemagającą siłę nieprzyjaciół, drapnął osobiście z placu boju, co gdy spostrzegł stary Kwaśniewski, już natenczas awansowany na generała brygady, a poprzednio dowódca 4-go pułku jazdy polskiej, zawołał z przed frontu na niego: «Panie generale Rożniecki, dokąd jedziesz, tam nie stoi nieprzyjaciel, umykasz, widzę tchórzysz». Rożniecki ani się nie obejrzał i pozostawił wszystko bez dowódcy. Gdy nazajutrz nadciągnął pułkownik Montrésor z pierwszym pułkiem jazdy, a głośno się odezwał z oburzeniem nad sromotą, jaką się okrył Rożniecki, i ubolewał nad stratą tylu walecznych kolegów, marnie poświęconych przez niego, przejął się Rożniecki głęboką niechęcią ku niemu i za pierwszą nadarzoną porą wprowadził pierwszy pułk jazdy na nieprzyjaciela, zostawiając go bez jakiegokolwiek wsparcia, skutkiem czego nieprzyjaciel zniósł cały pułk, pułkownik dostał się do niewoli, wielu ludzi poginęło, a Rożniecki radował się.

Aż dotąd nie pojmuję, jak mogła mu ujść taka niegodziwość bezkarnie. Gdy losy wojny położyły kres życiu chwalebnemu generała Fiszera pod Tarutyną, mianował aż zbyt dobry ks. Józef Rożnieckiego szefem sztabu wojska polskiego. Wszyscy ubolewali nad wyborem takim, do którego podobno Rautenstrauch księcia skłonił. Rożniecki, intrygant w całem znaczeniu słowa, użył nowej władzy ku zwaśnieniu generałów pomiędzy sobą, sam niecierpiał ks. Józefa, ale mu się łasił w oczy, obmawiał pokątnie. Od r. 12-go chronił się ile możności od bojów, nigdzie już nie widziano go na czele wojska. Gdy cały korpus ks. Józefa wystąpił na linią pod Lipskiem, twierdzi Rożniecki za pierwszym wystrzałem, że otrzymał kontuzyą, i prosi księcia o pozwolenie oddalenia się z przed frontu; natenczas

nie może waleczny Umiński dłużej zataić swej wzgardy dla niego i powiada mu wręcz przed wszystkimi: «Generale, twe ciało stworzone do kontuzyi, ale czoło twe bez konfuzyi». Rożniecki, nie zważając na urąganie powszechne, powraca do Lipska i obiera piwnicę jako kwaterę swoją, jako miejsce najbezpieczniejsze. Los chciał, że się spotkał w tym lochu z panem Godlewskim, posłem maryampolskim, który też schronił się pod ziemię dla uniknienia kul działowych. «A pan co tu robi?» odezwał się Rożniecki do niego. «Ja, panie generale» odpowiada mu Godlewski, «sądzę, że właściwiej mnie wypada takie zapytanie jemu uczynić. Skoro sejm będzie zwołany, nie będę siedział w piwnicy, a chociaż by pod gradem kul zasiądę na mojem miejscu i pilnować będę praw narodu mojego, bo mi honor wskaże stanowisko moje; dzisiaj jestem prywatnym człowiekiem, żaden obowiązek nie nakazuje mi wystawiać życia swego na niebezpieczeństwo, a zatem rozsądek wymaga po mnie, abym go unikał; ale ty, generale, jakże możesz podzielać tę dziurę ze mną, kiedy się właśnie rozstrzygają losy ojczyzny; kiedy żołnierze polscy wystawiają się na śmierć i walczą mężnie pod wodzą bohaterskiego księcia Józefa. Doprawdy, gdybym był generałem polskim, nie siedziałbym dzisiaj w piwnicy». Rożniecki tłomaczył się kontuzyą, pomimo której smacznie spożył obiad, przyniesiony do lochu. Sam Godlewski opowiadał mi ten wypadek.

Po przegranej naszej pojął Rożniecki, że nie było już co robić w szeregach francuskich, on i Rautenstrauch złożyli najpierwsi z Polaków hołd cesarzowi Rosyi. Wypuszczeni na wolność, powrócili niebawem do Warszawy; tam rozpoczął Rożniecki dzieło szpiegowania, w którem dotrwał aż do końca życia swego. Rosyjski rząd umie wynagradzać swych siepaczy; nawet wziął sobie za prawidło wywyższać ludzi, wyciągniętych z błota, a poniżać dawne rodziny. Rożniecki został obsypany łaskami; wielki ks. Konstanty gardził nim, dawał mu to uczuć w cztery oczy, ale go odznaczał swymi względami publicznie. Mianowany r. 16-go generałem broni i inspektorem konnicy, posunął się na równi z generałem Zajączkiem i Dąbrowskim, a miał znaczny dochód ze strony pułkowników kawaleryi, którzy musieli mu dawać kubany za każdą lustracyą.

Został szefem policyi tajnej, co także intraty niemałe mu przynosiło, bo wierzycieli swoich umieszczał na liście szpiegów i płacił im swe długi, kładząc takowe na karb wynagrodzenia za szpiegostwa. Został senatorem i wojewodą; był ozdobiony wielką wstęgą orderu Orła Białego, należał do wszystkich sądów śledczych od 16—30 r. Okradał bezkarnie żydów, do czego była mu policya pomocną, siepacze bowiem jego, rewidując sklepy kupieckie pod pozorem szukania kontrabandy, podrzucali towar zakazany pomiędzy towary żyda, którego następnie więzili, aż się opłacił panu generałowi. Wszystko uchodziło bezkarnie Rożnieckiemu. Dzieje owej epoki podadzą wiadomość o bezprawiach jego, o tysiącznych ofiarach, którym zadawał tysiączne katusze, o jego bezwstydnej lubieżności, o złodziejstwie w zawiadywaniu groszem publicznym. Rząd wiedział o wszystkiem, a nie karał go jednak, bo Rożniecki był doskonałym szpiegiem i posłuszną sprężyną woli rządu. Opływał dla tego w dostatkach, grał szalenie w karty, żył w cynizmie obrzydliwym, a, zdaje się, o Bogu nigdy nie wspomniał. Gdy usłyszał krzyk ludu, zrzucającego w nocy 29 listopada 30-go roku kajdany ze siebie, gdy huk dział odbił się o uszy jego, przejął się trwogą ten umysł nikczemny, uciekł p. Rożniecki co żywo, schronił się za szeregi rosyjskie. Odtąd przestał być czynnym. Nowa era naszych nieszczęść przekonać go miała, że znajdują się ludzie jeszcze nikczemniejsi od niego, a umiejący lepiej od niego kraść grosz publiczny. Rożniecki doznał w ostatnich latach swego życia równej wzgardy ze strony Rosyan jak od Polaków. Razu jednego, gdy cesarz Mikołaj odbywał przegląd wojsk swoich pod Powąskami, kazał się Rożniecki zawieść na plac mustry, mając bez wątpienia zamiar uprosić sobie jakąś łaskę od monarchy. Powóz jego stanął w bliskości cesarza, schorzały, wierny jego sługa wysiadł z niego i począł się zbliżać do pana swego, ale cesarz, spostrzegłszy niemiłą sobie figurę, pojechał na drugie skrzydło uszykowanego wojska. «Dobrze ci tak, szpiegu!» zawołał Rożniecki głośno «masz, jak sobie zasłużyłeś». Wszyscy usłyszeli ten głos drżący ze złości, nikt go nie pożałował, nikczemnik bowiem nie był wart litości, a wzgarda nawet ze strony tego, któremu jego nikczemność była poży-

teczną, musiała być koniecznym skutkiem życia całego, przepełnionego podłością. Nikt nie bywał u Rożnieckiego, umarł nie wspomniany przez nikogo.

Napoleon w Warszawie.

Kto tylko był w stanie dźwigać broń, ten spieszył do wojska; wszyscy nieomal rówieśnicy moi chodzili już w mundurach. Józef Kwilecki został adjutantem generała Fiszera, męża matki swojej; Ludwik Kicki był adjutantem ks. Józefa, tak samo Gutakowski; Kaźmierz Skarżyński, późniejszy generał dywizyi w rewolucyi 30-go r., dostał się do sztabu marszałka Lannes; Roman Sołtyk wstąpił do artyleryi; zgoła mało który pozostał do ukończenia nauk. Ja zżymałem się, złorzeczyłem moim 14-tu latom, że mi nie pozwalały pójść za drugimi. Już nie było lekcyi, bo profesorów nie było, każdy albowiem miał urzędowanie według fachu swojego, każdy starał się być krajowi użytecznym; jeden tylko abbé Borne pozostał przy nas; nawet kochany Siewieluński pracował w biurach ministra spraw wewnętrznych, a przychodził tylko wieczorem do mieszkania naszego. Niechęć księdza Borne do Napoleona i Francuzów przechodziła wyobrażenie; patrząc na mundury żołnierzy, na których się odznaczały narodowe trzy barwy: granat, pons i biały kolor, powtarzał nam co chwila: »Regardez les bien, voyez vous, c'est habillés comme cela, qu'ils coupaient les têtes, c'est dans cet uniforme qu'ils firent périr le roi« Jednem słowem, człowiek ten utracił cały spokój umysłu od czasu wkroczenia Francuzów, miał rodzaj szaleństwa, oczekiwał bezustannie chwili przyaresztowania swego; aż nareszcie opuścił nas, wyjechał z Warszawy, nie wiadomo dokąd i zniknął całkowicie. My zaś, mój brat Ewaryst i ja, zostaliśmy bez jakkiegokolwiek dozoru.

Po nadzwyczajnej błotnej jesieni nastąpił mróz ku końcowi grudnia; Francuzi korzystali z niego, by się przeprawiać przez Wisłę, posuwali albowiem tratwy i kłody, a w miarę zatrzymywania się kry o zaporę taką, potrząsali słomę na wodę, sączącą pomiędzy drzewem i lodem; takim sposobem po-

zyskali most przez całą szerokość rzeki przy wzmagającym się mrozie i mogli się bezpiecznie dostać na Pragę, którą też niebawem zajęli. Nieprzyjaciel ustąpił już aż za Narew; wojska posunęły się pod Sierock; rozpoczynała się zatem walka z Rosyanami, bo o wojsku pruskiem mowy już nie było.

Kilkakrotnie słyszałem rodaków moich, zarzucających Napoleonowi, że nas zawiódł w nadziei naszej i nie dotrzymał obietnicy wskrzeszenia Polski w dawnych jej granicach; atoli cesarz Francuzów w żadnym przypadku nie podjął się tego; zachęcał Polaków do powstania, żądał od nich, aby dowiedli, iż są warci być narodem, ale nigdy nie powiedział, że połączy rozszarpaną Polskę, poprzestawał każdocześnie na samych ogólnikach »Prouvez que vous êtes dignes d'être une nation« było wyrazem jego ulubionym, gdy mówił z Polakami. Zapewne niema narodu, któryby więcej ofiar poczynił od naszego ku wydobyciu się z niewoli. Polska zasłużyła sobie na koronę bohaterską i męczeństwa, całe mienie nasze poświęciliśmy dla narodowości naszej; ufam szczerze w Bogu, że położy koniec cierpieniom naszym; ale nie obwiniam Napoleona o nie dotrzymanie danego słowa. Działał jako cesarz Francuzów, miał przedewszystkiem na uwadze korzyść Francyi; a jeżeli wypadało odrodzenie się ojczyzny naszej z widoków tych, natenczas nakazywała mu polityka przystąpić do dzieła, jednakże nie mógł li tylko ze samego przywiązania do Polaków plątać Francyą w wojnę z trzema mocarstwami, dlatego nie czuję żalu do niego i powtarzam, że działał jako Francuz.

Napoleon miał dwór swój w Warszawie, co tydzień bywały przyjęcia u niego, wieczorami przyjmował także i kobiety, wszystkie damy były mu przedstawione, nie wyłączając mojej matki, lubił z niemi rozmawiać. Pani Walewska potrafiła ująć wojownika wdziękami swoimi, wkrótce została jego metresą i powiła z nim syna, dzisiejszego ministra spraw zagranicznych w Paryżu. Pani Walewska udała się do Francyi po wojnie 7-mego r., zaślubiła tam generała Ornano, mając już syna z Napoleonem, nie powróciła już do Polski i umarła w Paryżu.

Z pomiędzy wszystkich magnatów polskich i członków rządu, ubiegających się o łaskę cesarza, odznaczał on wzglę-

dami swymi najbardziej Wybickiego. Nadzwyczajna czynność Wybickiego pod względem zaopatrywania wojska w żywność zjednała mu względy Napoleona; częstokroć rozmawiał z nim o losach Polski, a dobry ten patryota korzystał z chwil takich, aby mu przedstawić, ile korzystnem będzie przywrócenie silnej Polski ku zabezpieczeniu całej Europy od przewagi rosyjskiej.

Majętniejsi polscy panowie otworzyli swe domy dygnitarzom i wojskowym francuskim w czasie karnawału 1807 r. Przy wrodzonej sympatyi Polaków dla Francuzów łatwo sobie wystawić, z jaką uprzejmością przyjmowały kobiety nasze tych gości. Polki posiadają dar podobania się, cóż dopiero kiedy sprzyjają gościowi. Francuzi byli w zachwyceniu, powtarzali głośno, że towarzystwo warszawskie w niczem nie ustępuje salonom paryskim. Ileż to intryg miłosnych zawiązało się w czasie tego karnawału! Nikt nie myślał o wojnie w towarzystwach, a obcy, nieświadomy stanu politycznego Europy, nawet nie byłby się domyślał, że o 7 mil od Warszawy gotują się wojska do walki.

Bawiono się w Warszawie, ale kraj ulegał srogiemu zniszczeniu, obywatele ziemscy nieomal wszystko potracili. Stan ten był błogosławioną epoką dla żydów, odtąd począł się panoszyć ten trąd narodowy. Żydzi, stworzeni do handlu, przebieglejsi od Polaków, bez jakiegokolwiek uczucia honoru, korzystali z klęsk wojny, podejmowali się liwerunków dla wojska, szachrowali z kimkolwiek, a skutkiem tego panoszyli się, wtedy gdy szlachta upadała na majątkach. Na ten czas począł się zmieniać ogólny duch polski, prawy syn ojczyzny poszedł żebrać w nagrodę swego poświęcenia się, a szachraj i niesumienny człowiek powstawał.

Opis dziejów naszych poda obraz wysileń Polaków, zapału i poświęcenia powszechnego, doznanych klęsk wszelkiego rodzaju, chętnie ponoszonych, rozlanie krwi najszlachetniejszej na bojowiskach celem odzyskania ojczyzny. Niestety, nasze wysilenia były daremne, wyrok Boski nie dopuścił osiągnięcia celu zamierzonego; po tylu ofiarach, po takiem bohaterstwie, upadli Polacy niżej niż kiedykolwiek. Nasi przodkowie zgrzeszyli, nierządem swoim doprowadzili ojczyznę do upadku, my cierpimy męczeństwo za ich błędy, nasze pokolenie jest



Dawniejszy dwór w Wolsztynie.

SZKOŁ ARTYLER
ZOO

pokolenie męczenników. Oby cierpieniem swojem wyjednało przebaczenie Boskie! Oby na mogiłach naszych powstała Polska, wolna od kajdan ją krępujących i od przywar narodowych! Zaiste cierpimy srogie męki od 60-ciu lat; kości polskie rozsiane po całej kuli ziemskiej; a nie tylko królowie, ale nawet i narody patrzą na nas niechętnem okiem. Jednak aż dotąd niezagładzone wady narodu naszego; zgubna zarozumiałość, zazdrość, niechęć do rodaka, skoro się okazuje zdolniejszym od innych, brak wytrwałości, niesnaski pomiędzy rodzinami nie zmieniły się wcale. I w epoce, o której piszę, poczynały one brać górę, ale silna wola cesarza Napoleona umiała każdego na swojem stanowisku przytrzymać i nie pozwoliła widokom osobistym występować; nikt się nie poważył iść przeciwko niej i tylko pokątne były intrygi. Nadzwyczajnie raziło to magnatów naszych, że Wybicki, prosty szlachcic, tułacz bez majątku, żyjący dziś li z pensyi swojej, a przed kilku miesiącami z miłosierdzia, zasiadał obok nich w rządzie narodowym, ale Napoleon rozkazał, a wszyscy milczeli, poświęcenie się zaś Wybickiego dla sprawy polskiej usprawiedliwiało z wszech miar wybór cesarza.

Działania wojenne.

Dąbrowski i Zajączek działali każdy według swej własnej woli, nie słuchając wcale rozkazów księcia Józefa, ministra wojny; mienili się być generałami francuskimi, niezależnymi od rządu polskiego. Z innej strony intrygowały kobiety u księcia, każda z nich miała swojego protegowanego, a książę nie umiał nic kobiecie odmówić. Rautenstrauch, już na ten czas w wielkich łaskach, intrygował z swej strony, forytował swoje figury, a takim sposobem mnóstwo pieczeniarzy zajęło w wojsku miejsca, należące się słusznie starym legionistom. Zajączek i Dąbrowski nie chcieli przyjmować przysłanych do ich dywizyi oficerów, nominowanych przez księcia Józefa, albo umieszczali ich w miejscach najgorszych; to dało znowu powód do niechęci wzajemnej pomiędzy oficerami nominacyi księcia, a oficerami nominacyi owych generałów, a lubo niechęć taka usta-

wała przed nieprzyjacielem, wszakże stała się zarodem kłótni, do której każdy Polak zawsze skory.

Dąbrowskiego dywizya wystąpiła najpierwsza na linią bojową. Poznańczycy dali wtedy tak samo jak każdocześnie dowód gorącej miłości ojczyzny. Cztery pułki piechoty, każdy po 2000 ludzi, i dwa pułki konnicy, po 800 koni każdy, pociągnęły w miesiącu lutym 1807 r., wzmocnić korpus marszałka Lefèvre, oblegającego Gdańsk. Dywizyą dowodził Dąbrowski, brygadami piechoty dowodzili generałowie Kosiński i Aksamitowski; jazdą dowodził generał Dąbrowski, syn generała dywizyi, wszakże wyszedł wkrótce z wojska. Pułkownikami piechoty byli: 1. hr. Mielżyński, który własnym kosztem pułk ubrał, 2. p. Poniński, brat prefekta departamentu poznańskiego, 3. p. Kęszycki, 4. p. Mojaczewski. Jazdą dowodzili: pułkiem jednym wuj mój rodzony, p. Franciszek Garczyński, wszakże zdał wkrótce dowództwo pułkownikowi Turno, który umarł generałem wkutek trudów kampanii rosyjskiej 1812 r. Drugim pułkiem jazdy dowodził pułkownik Kwaśniewski, stary legionista.

Niezadługo wyruszył i generał Zajączek z dywizyą swoją w okolice Elbląga. Nie znam szczegółów jej składu.

Utworzenie dywizyi w Warszawie nie poszło z równym pospiechem; zaledwie zdołano na początku wiosny wysłać z tej dywizyi niektóre pojedyńcze oddziały na linią bojową.

Cesarz Napoleon, przeszedłszy Wisłę z wojskiem swojem, nie dał odpoczynku nieprzyjacielowi; nastąpiły jedna po drugiej bitwy pod Serockiem i Pułtuskiem; walka stała się więcej zaciętą i morderczą; już albowiem była sprawa z Rosyanami — „Il ne suffit pas de vaincre le Russe“, mawiał Napoleon, „il faut le tuer“. Wyraz ten podaje wyobrażenie o zaciętości, z jaką walczono. Nie byli to już Prusacy, co po jednej przegranej rozpierzchiwali się jak kuropatwy, Moskal stał jak mur i pomimo wielu przegranych nie przestawał być groźnym.

Z pod Serocka usłyszeliśmy w Warszawie głuchy jęk dział; obawa przechodziła wielu; morderstwo w Pradze było każdemu w świeżej pamięci. Pobrano wszystkie powozowe konie w rekwizycyą pod rannych i konie mojej matki poszły z innymi na pole walki. Ponura cisza nastąpiła po świetnych zabawach, ciekawość wabiła każdego na ulicę.

Długie sznury wozów, rannymi napełnionych, ciągnęły z poza Wisły; ze strony przeciwnej przybywało wielu obywateli z resztkami dobytku swego, upatrując w Warszawie większe bezpieczeństwo dla siebie i rodzin swoich aniżeli na wsi. Znaczniejsze gmachy w mieście przeistoczono na szpitale wojskowe. Mnóstwo okolicznych chłopów, utraciwszy cały swój dobytek, żebrało po ulicach. Częstokroć leżał po nich koń albo bydle zdechłe, które oprawca nie zdążył sprzątnąć. — Pułki nadciągały jeden po drugim, miasto było przepełnione kwaterunkiem. Nawet i lokatorowie musieli je ponosić. Takim był obraz Warszawy na początku marca 1807 r.

Każdego przenikał żal, gdy słyszał o spustoszeniu na prowincyi. Jakże ostygł zapał powszechny! Pojmowano wprawdzie, że niepodobno ochronić się od klęsk, przywiązanych do wojny; krzepiono się nadzieją uzyskania niepodległości; wszakże bolesne było zniszczenie tylu zacnych rodzin. W tym stanie, tak przykrym dla każdego, pozostawaliśmy przez całą zimę.

Nadzwyczajnie zadziwiała nas piechota francuska, złożona ponajwięcej z ludzi małych, a krępych, wyglądających jak dzieci w porównaniu do pruskich żołnierzy, ale ruchliwych, wesołych i pełnych życia. Generał Violet stał kwaterą u nas, gdy przechodziło ulicą kilka pułków owej piechoty. Matka moja oświadczyła zadziwienie swe, patrząc na tych niskich żołnierzy „Oui Madame", rzekł generał Violet, „ils sont petits, mais ils gagnent de grandes batailles". Istotnie piechota francuska stanowiła wybór wojska francuskiego.

Wincenty Krasiński organizował swój pułk szwoleżerów; paradował po Warszawie w pięknym mundurze ułańskim, a wieczory przepędzał zwykle w cukierniach. Otóż znajdował się on wieczora jednego na ponczu garnuszkowym (pod taką firmą istniała kawiarnia przy Kapitulnej ulicy). Przybył tam i poeta Molski na ów poncz garnuszkowy. Krasiński w gronie oficerów, zapijając trunek, począł wyrzucać Molskiemu wiersze jego, napisane na cześć zdrajcy Raczyńskiego. Molski wyśmiewał Krasińskiego ze swej strony, iż pilnuje kawiarń warszawskich zamiast obozu; od słowa do słowa przyszło do kłótni i pojedynku w nocy przy latarkach na ulicy Kapitulnej. Obadwaj zapaśnicy ponieśli rany; poeta

odebrał cięcie w brzuch, pułkownik dostał po nosie. Ktoś opisał wierszami zajście, których koniec był następujący:

„Zlęknieni latarnicy, świadkowie potyczki,
„Chcąc wstrzymać krew walczących, pogasili świeczki,
„A śmiejąc się, mówili: Nie lepiej te blizny
„Ponieść na polu chwały, broniąc swej ojczyzny?...

Pojedynek ten został powszechnie wyśmiany, już to z przyczyny samej walki przy latarniach, już też i dla ran zadanych. Krasiński chodził jakie 4 tygodnie z plastrem na nosie, a Molski przez niejakiś czas nie mógł zjadać cudzych obiadów.

Razem z wiadomością o wygranej pod Pułtuskiem przybyło i wielu niewolników rosyjskich, transportowanych do Francyi. Na placu przed pałacem Krasińskich uszykowano kilkadziesiąt armat, zabranych nieprzyjacielowi. Lazarety były przepełnione. Napoleon wkroczył do Prus Wschodnich, a rodzina króla pruskiego schroniła się do ostatniego pruskiego miasta, do Memla, gdzie król pruski zimę przepędził. Niedobitki pruskiego wojska pod dowództwem generała Lestocq połączyły się z Rosyanami. Beningsen dowodził rosyjskiem wojskiem. Bitwa pod Preussisch-Eylau była jedna z najwięcej morderczych w historyi narodów. Francuzi otrzymali plac, wszakże 22 000 ludzi leżało na pobojowisku. »Encore une bataille comme cela, et l'empereur retournera triompher seul à Paris«, rzekł stary marszałek Augereau do otaczających łoże jego; niebawem odesłany został do Francyi. Napoleon zapomniał, że Augereau był dawniej jego kolegą.

Marszałek Lannes był także rannym w tej krwawej bitwie. Generał d'Hautpoul umarł z rany. Któż przypomni sobie dzisiaj nazwiska wszystkich poległych! Francuzi zajęli Królewiec następstwem bitwy pod Preussisch-Eylau; nieprzyjaciel cofnął się ku granicom Litwy; obydwa wojska rozłożyły się na leżach zimowych.

Talleyrand. Generałowie francuscy.

Zabawy, życie i ruch powróciły do Warszawy razem z Napoleonem. Ciało dyplomatyczne i posłowie zagraniczni przybyli z Paryża, pomiędzy nimi przybył i poseł austryacki. Zdarzyło mi się widzieć w tym czasie owego, dziś osławionego Talley-

randa de Périgord, biskupa francuskiego, apostatę, ale pierwszego dyplomatę swego wieku. Człowiek ten miał całkowicie niemą twarz, żadne wrażenie nie malowało się na niej. Marszałek Lannes mówił o nim w wyrazach żołnierskich: »Si on lui donnait un coup de pied dans le derrière, il n'y paraitrait pas sur son visage«. Rzeczywiście Talleyrand był tak dalece panem uczuć swoich, iż nigdy twarz jego nie podała wyrazu jakiegokolwiek wrażenia. Ubierał się jak za czasów Ludwika XVI, pudrował włosy i nosił loki, chromał na jedną nogę, słynął z dowcipu swego. Bardzo hołdował płci pięknej. Marszałek Berthier, późniejszy ks. Neuchatelu, zrazu szef sztabu wojska, dowodzonego przez generała Bonapartego, później major generalny wielkiego wojska i nieodstępny towarzysz cesarza Francuzów, przeszedł w służbę Ludwika XVIII po roku 14-ym, a wreszcie został wyrzucony oknem, niewiadomo z czyjego rozkazu w Baden, gdzie szukał schronienia po powrocie cesarza do Francyi w roku 15-ym u teścia swego wielkiego księcia panującego. Był niskiej postawy, szczupłej budowy ciała, mrukliwy, wiecznie złego humoru, niecierpiał wąsów, nienawidził zapachu tytoniu.

Generał Lassalle, sławny walecznością i wesołością swoją, jeden z ulubieńców Napoleona, dowodzący zawsze forpocztami, ubóstwiany przez huzarów swoich, palił tytoń dzień i noc, miał krótką fajkę zawsze przy sobie. Gdy do ks. Berthier wchodził, chował ją w szerokie szarawary swoje, a dym ostatni puszczał, otwierając drzwi do salonu majora generalnego, co ostatniego zawsze wielkiej złości nabawiało, ale Lassalle tłomaczył się, że, pędząc dzień i noc na biwakach, nie może od fajki odwyknąć. Będąc umieszczony w sztabie ks. Neuchatelu od 13-go roku, miałem wszelką sposobność poznania go szczegółowo, a przyznaję, żem żadnego geniusza nie spostrzegł w nim, nawet nie mogę mu przyznać pilności w służbie; wszystkiem albowiem, co się tyczyło rozporządzenia wojskiem, kierował generał Monthyon, szef sztabu, ks. Neuchatel podpisywał się tylko.

Roustan, mameluk cesarza, przywieziony z Egiptu przez pana swego, był pięknej budowy ciała, ubrany po turecku, wesoły i jowialny, sfrancuział całkowicie, ani znaku w nim nie pozostało owej powagi oryentalnej. Roustan mówił wiele,

śmiał się chętnie i lubił wino. Wypłacił się niewdzięcznością Napoleonowi, tak samo jak wielu innych; opuścił go albowiem w r. 1814 i pozostał w Paryżu.

Wojsko francuskie.

Stara gwardya składała się z pułku grenadyerów i z pułku strzelców pieszych, każdy po 4000 ludzi. Konnica gwardyi składała się z pułku grenadyerów konnych, z pułku dragonów, z pułku strzelców konnych, z dwóch szwadronów mameluków; w dalszych latach przyłączył cesarz do niej pułk szwoleżerów, t. j. ułanów polskich formacyi Krasińskiego, w nagrodę za zwycięstwo pod Somo-Sierrą.

Dwa szwadrony żandarmeryi wyborowej liczyły także do gwardyi, ale nie występowały do boju i tylko jako policya były uważane; czuwały nad bezpieczeństwem głównej kwatery.

Cała piesza gwardya, grenadyerzy i strzelcy była przyodziana w długie granatowe mundury, wycięte od przodu, z wyłogami ponsowemi i białym kołnierzem, u wyłogów były wypustki białe, u kołnierza wypustki ponsowe. Łapki przy rękawach były ponsowe z białemi wypustkami, cała gwardya miała guziki wyzłacane z orłem francuskim. Poły mundurów były wywinięte i ozdobione wyszytym granatem w pułku grenadyerów, a trąbką w pułku strzelców. Owe dwa pułki nosiły wysokie niedźwiedzie czapki, ozdobione pozłacaną blachą na przodku, na której był wypukły granat resp. trąbka, według różnicy broni. Ponsowe pióro zdobiło ową bermycę w czasie parady. Z tyłu nie sięgały owe czapki wysokości przodu, były one raczej poslusem ścięte, a dno ponsowem suknem zaszyte. Każdy żołnierz miał szlify wełniane, grenadyerzy nosili ponsowe, a strzelcy zielone szlify. Do parady przyodziewało to wojsko spodnie białe, na które sięgały aż za kolana czarne kamasze, trzewiki były w powszechnem użyciu u całej piechoty francuskiej, butów wcale nie znano. W codziennej służbie nosiła piesza gwardya granatowe pantalony, szerokie, na kamaszach. Każdy żołnierz miał u bermercy po prawej stronie narodową kokardę, w paradzie zdobiły ową czapkę także i kor-

dony białe, bawełniane. Oficerowie mieli srebrne kordony i złote szlify. Biały pas skórzany, wszakże nielakierowany, przytrzymywał czarną lakierowaną ładownicę, a był zawieszony na lewem ramieniu; na prawem ramieniu zaś był zawieszony taki sam pas, przy którym wisiał krótki pałasz.

U czterech rogach ładownicy były granaty, resp. trąbki pozłacane według różnicy broni tych pułków, na samym środku ładownicy przymocowana pozłacana blacha z wypukłym granatem resp. trąbka, tak samo jak u czapek. Owe dwa pułki gwardyi miały pierwszeństwo przed całem wojskiem, oficer czy żołnierz był o dwa stopnie wyżej liczony w porównaniu do liniowego wojska i tak był prosty żołnierz uważany jako sierżant w linii, a podporucznik jako kapitan; stosownie do tego pobierał i płacę swoję. Piesza stara gwardya pełniła służbę wewnątrz zamku i otaczała osobę cesarską. W obozach rozbijano wśród niej namioty cesarskie. W miejscu płaszczów nosiła owa gwardya paletoty granatowe, do wpół łydek dochodzące, na które zawieszali lederwerki. Piesza stara gwardya stała tylko dwoma rzędami w szyku bojowym, był to jej szczególny przywilej.

Konnica starej gwardyi składała się z pułku grenadyerów gwardyi. Pułk ten z olbrzymich ludzi i koni złożony, tak samo był ubrany i uzbrojony jak piesza stara gwardya, z jedyną różnicą, iż miał długie, proste pałasze. Był to pułk najcięższy całej francuskiej jazdy. Czynił porówno służbę konną i pieszą. Dragony gwardyi nosili zielony mundur z wyłogami białemi, a ponsowymi kołnierzami, przy wyłogach były wypustki ponsowe, a przy kołnierzach białe. Mundur był wycięty z przodku, a biała długa kamizelka o dwóch kieszeniach okrywała żołnierza do połowy brzucha. Guziki były pozłacane z orłami wypukłymi. Nosili spodnie łosiowe białe; buty długie w pół palone, na głowie mieli hełmy mosiężne, obwieszone od spodu szeroką przepaską ze skóry niedźwiedziej, a w środku hełmu tego sterczał grzebień mosiężny, z którego spadał ogon koński na ramiona i kark żołnierza, a wychodzący z przodu owego grzebienia rodzajem okrągłej szczotki. W paradzie zdobiło hełm taki ponsowe pióro, przyczepione do niego. Dragony nosili cokolwiek zakrzywione

pałasze w skórzanych pochwach, a zawieszonych na białym pasie skórzanym; ładownica piechotna wisiała na nich, na takimże pasie. Mieli karabiny piechotne, zawieszone u siodeł, lufę w górę, i pistolety w olstrach.

Pułk strzelców konnych gwardyi, którego mundur zwykle nosił cesarz Napoleon, był to raczej pułk huzarów, sądząc po jego mundurze. Nosił mantyki zielone, żółtą włóczką wyszywane; w przodzie zdobił ich dolman ponsowy, czarnym barankiem podbity; w paradzie nosili żołnierze zielone spodnie, węgierskim sposobem wyszywane, i węgierskie buty; w czasie kampanii mieli oni szaraczkowe rejtuzy, skórą wyłożone, na buty przywdziane. Pułk ten nosił okrągłe czapkie niedźwiedzie szersze od góry aniżeli u spodu, podpięte pod brodą rzemieniem, opatrzonym mosiężną karpią łuszczką; owe bermyce miały dno z ponsowego sukna, fałdowanego, i szeroki guzik na środku, ozdobione były kordonami żółtymi i pomponem w czasie parady, jako też i białemi piórami. Strzelcy konni mieli lederwerki żółte, pałasze krzywe w żelaznych pochwach, o rękojeści mosiężnej, krótkie karabinki, flankierskie plutony miały szturmaki i pistolety. Oficerowie nosili w kampanii i służbie codziennej fraki mundurowe zielone.

Cała francuska konnica miała koliste płaszcze, strzelcy zielone, inne pułki białe.

Dwa szwadrony mameluków, złożone po części z mameluków, zaciągniętych do służby w Egipcie, a uzupełnianych Francuzami lub ochotnikami innych narodów, w miarę ubytku, były całkowicie ubrane po turecku, tj. pstrokato w rozmaite barwy. Broń ich składała się z tureckiego pałasza, kindżała, pistoletu i szturmaka. Nosili zawoje na głowach, osiodłanie konia było całkiem tureckie.

Żandarmy gwardyi (gendarmerie d'élite) nosili długie granatowe fraki mundurowe, wycięte z przodu, z wyłogami i kołnierzem ponsowym, guziki pozłacane z orłami wypukłymi na nich, kamizelki długie ponsowe z łapkami, zupełnie jak dragony. Mieli żółte spodnie łosiowe i buty w pół palone. Na głowach nosili czapki niedźwiedzie, podobne do bermyców piechoty, ale mające skórzany rydelek od przodku. Nosili lederwerki żółte, na jednym pasie wisiał prosty kirasyerski

pałasz, na drugim ładownica, podobna jak u dragonów, mieli karabinki i pistolety. Artylerya gwardyi składała się z czterech bateryi pieszych i czterech bateryi konnnych. Artylerya piesza miała same 12-to funtowe armaty, artylerya konna miała armaty 8-mio funtowe.

Piesza artylerya była ubrana w mundurowe fraki granatowe, z takiemiż wyłogami i kołnierzem, a ponsowemi wypustkami u kołnierzy, wyłogach, łapkach i u połach munduru. Miała spodnie białe w paradzie i długie kamasze czarne, sięgające aż poza kolana. W codziennej służbie nosiła pantalony granatowe na kamaszach.

Artylerya piesza nosiła szako czarne na głowie, mające na przodku dwie armaty pozłacane z blachy mosiężnej, takie same zdobiły i ładownicę u żołnierzy. Guziki u mundurów były pozłacane z orłem. Każdy artylerzysta był w karabin piechoty uzbrojony i miał przy boku krótki pałasz piechotny. Artylerya konna była umundurowana w granatowe kolety zakroju jak u strzelców konnych, o jednym rzędzie guzików wyzłacanych, wypukłych, na których były orły wybite. Kamizelki mieli żołnierze ponsowe, wyszywane po huzarsku, granatowe spodnie węgierskie i buty węgierskie do parady, w codziennej służbie nosili rejtuzy szaraczkowe jak u strzelców konnych. Na głowie mieli czapki niedźwiedzie jak pułk strzelców konnych, mieli karabinki i pistolety. Artylerya nosiła białe lederwerki.

Pułk polski szwoleżerów czyli ułanów formacyi Krasińskiego, który w nagrodę za zwycięstwo pod Somo-Sierra został policzony do starej gwardyi — był ubrany w ułańską granatową kurtkę z karmazynowemi wyłogami, kołnierzem i wypustkami po wszystkich szwach. Nosił granatowe pantalony szerokie, z lampasem karmazynowym, miał białe akselbanty i białe szlify oraz białe guziki. Pułk ten nosił karmazynowe czapki ułańskie z dużem pozłacanem pół słońcem, w środku którego duże srebrne N jaśniało, u czapki były kordony białe i białe wysokie pióra, lance przyozdobione były chorągiewkami w pół karmazynowemi, w pół białemi, lederwerki były białe. Pułk ten był niezaprzeczenie jeden z najpyszniejszych w całem wojsku francuskiem.

Żołnierz starej gwardyj francuskiej pobierał jednego franka żołdu dziennego, dostawał półtora funta chleba pszennego, pół funta mięsa, kwaterkę wina albo półkwaterek wódki, kwaterkę ryżu czy krup, cztery łóty soli. Na konia swego pobierał dziennie po trzy garnce owsa i dziesięć funtów siana, wszystko obliczone na miarę i wagę polską. Całe wojsko francuskie było płatne, licząc 14 miesięcy na rok jeden, ponieważ miesiące, w których przypadały imieniny cesarza i cesarzowej, były podwójnie płacone, a gdy w dalszym czasie urodził się król rzymski, płacono miesiąc, w którym się urodził, także podwójnie, a zatem wojsko pobierało 15 miesięcy płacy corocznie.

Oprócz starej gwardyj była średnia i młoda gwardya, licząca razem 7500 wojska, do której wcielono gwardyą holenderską po przyłączeniu Holandyi do Francyi i rozmaite pułki liniowe za szczególne odznaczenie się w kampaniach.

Piechota liniowa francuska miała granatowe mundury, wycięte z przodu, białe wyłogi i ponsowe kołnierze i łapki. Wypustki ponsowe u wyłogów, a białe u kołnierzy i łapek. Guziki mosiężne z numerem pułku. Grenadyery nosili szlify czerwone wełniane, a woltyżery szlify zielone. Grenadyery mieli bermyce. Całe wojsko nosiło kamizelki białe, z łapkami, spodnie białe i długie czarne kamasze na spodniach. W czasie kampanii nosiło wojsko granatowe pantalony albo płócienne białe pantalony na kamaszach, które były także płócienne. Lederwerki były białe, nieglansowane, ładownice czarno lakierowane. Piechota miała szaraczkowe, lekkie płaszcze, zachodzące do połowy łydek, na głowach nosiła czerwone szako z pomponem i kordonami, od przodka była na niem blacha biała, na której był przytwierdzony numer pułku z blachy żółtej. Wojsko francuskie liczyło na ów czas 120 pułków piechoty liniowej, oprócz rozmaitych legii i oprócz gwardyi.

Konnica francuska składała się oprócz gwardyi z czterech pułków karabinierów, z 12 pułków kirasyerów, z 12 pułków dragonów, z 20 pułków strzelców konnych i z 12 pułków huzarów. Ułanów nie było w wojsku francuskiem aż do r. 1809. Karabinierzy mieli kolety białe z błękitnym kołnierzem, spodnie łosiowe białe i buty palone, mieli szyszaki mosiężne, obwiedzione skórą niedźwiedzią na szerokość dłoni, a ozdobione ponsowym

grzebieniem. Nosili oni mosiężne kirysy z przodu i z tyłu, szlify czerwone wełniane. Oficerowie mieli szlify złote. Kirasyerzy mieli długie granatowe mundury, wycięte od sprzodu, z białemi wyłogami, kołnierzem i łapkami, guziki białe z numerem pułku. U karabinierów były guziki żółte, także z numerem pułku. Kirasyerzy mieli białe kamizelki sukienne z łapkami, białe łosiowe spodnie i buty palone. Na głowie nosili szyszaki stalowe z obwódką ze skóry niedźwiedziej, a ozdobione końskim ogonem, tak samo jak opisałem u dragonów gwardyi. Nosili oni stalowy kirysy z przodu i z tyłu, lśniące się przy słońcu. Mieli szlify białe włóczkowe, a oficerowie srebrne. Zwykle rozstrzygali kirasyerzy i karabinierzy los bitwy, ponieważ ulubionym manewrem Napoleona było zgromadzenie w jednym punkcie masy kawaleryi, a w stosownej chwili rzucenie jej na linią walczących i złamanie szyku bojowego nieprzyjaciela.

Ciężka ta jazda siedziała na koniach olbrzymich, miała proste pałasze nadzwyczajnej długości, karabiny i pistolety. Już opisywałem dragonów francuskich przy ich wkroczeniu do Warszawy; wszyscy nosili zielone mundury długie, różnili się wyłogami, według pułków, na białych guzikach był oznaczony numer pułku. Długie ich karabiny spoczywały w skórzanym bucie, po prawej stronie przymocowanym do siodła, kolbą na dół, a lufą w górę, bagnety mieli w pochwach przy boku, obsadzali je na karabinach, gdy piechotną służbę wykonywali.

Strzelcy konni nosili zielone mundury, kolety zapinane na jeden rząd guzików okrągłych. Kołnierze zmieniały barwę stosownie do rozmaitych pułków. W paradzie nosili zielone, sukienne spodnie i buty węgierskie, w codziennej służbie i marszu nosili rejtuzy szaraczkowe, skórą obszywane. Na głowie mieli szako czarne, ozdobione kordonami białemi i pomponem, a na przodzie blachę, na której był numer pułku. W czasie parady zdobiło pióro białe owe szako. Wyborcze kompanie i oficerowie mieli bermyce w miejsce szaka. Broń ich składała się z pałasza zakrzywionego w żelaznej pochwie, a z mosiężną rękojeścią, z karabinka, flankierskie roty miały szturmaki, mieli także i pistolety, lederwerki były białe, nieglansowane.

Huzar był zwyczajnie ubrany po huzarsku, a tak samo uzbrojony jak strzelcy konni. Muszę tu powiedzieć, że konie lekkiej jazdy francuskiej nie były dobre, a pod względem ich zdolności nie mogły pójść w porównanie z końmi jazdy rosyjskiej, pruskiej i austryackiej.

Artylerya piesza francuska nosiła mundury granatowe według kroju piechoty, bez wyłogów i kołnierzy odmiennych, wypustki ponsowe występowały tylko u nich. Była tak samo przyodziana jak gwardyjska artylerya z różnicą, że w miejsce guzików pozłacanych służyły im guziki mosiężne. To samo powiedzieć mogę co do artyleryi konnej. Artylerzyści liniowi nie nosili także orłów na szaku i ładownicach, lecz mieli dwie lufy armatnie w ich miejscu z blachy żółtej, krzyżujące się na szaku lub ładownicy. Artylerya konna gwardyi miała bermyce, liniowa zaś nosiła szako, a tylko oficerowie nosili bermyce.

Nadzwyczajnie zdobili cieśle pułkowi piesze pułki francuskie. Przed każdym batalionem maszerowało kilkunastu cieśli czyli saperów; poprzedzali muzykę i doboszy, mieli bermyce grenadyerskie na głowach, każdy miał długą brodę, (w wielu przypadkach — przyprawioną) fartuch biały skórzany, dźwigał na rzemieniu lśniący topór ciesielski, a na plecach karabinek szaserski, zawieszony na flintpasie.

Po owych saperach następowała muzyka, gdy pułki w paradzie maszerowały. Na czele muzyki szedł olbrzymi trębacz major, ubrany dziwacznie, ale bogato, z długą trzciną w ręku, opatrzoną dużą gałką pozłoconą, którą rozmaite znaki dawał muzykantom i doboszom. Następnie jechał pułkownik, a przy nim adjutant pułkowy, po nim szef batalionu. W środku każdego batalionu orzeł złoty ze skrzydłami rozłożonemi zdawał się ulatywać nad batalionem. Był to wielki zaszczyt dla podoficera, któremu orła powierzono, zwykle zdobił krzyż legii honorowej jego piersi.

Żołnierz francuski nie był okrutny, zachowywał się z ludzkością, nawet dzielił się w wielu przypadkach z mieszkańcem, gdy poznał jego nędzę. Nie mogę tego powiedzieć o sprzymierzonych, wojska niemieckie albowiem były postrachem krajowców, mianowicie słynęli Westfalczykowie wyuzdaniem

swojem. W samych Niemczech nawet obawiano się ich na kwaterach: »Gott bewahre uns vor allem, was deutsch spricht«, powiedziała mi w Saksonii moja gospodyni, u której stałem kwaterą. Charakterem Niemca jest okrucieństwo, pastwi się on nad słabszym, gdy ma sposobność do tego.

Wojsko polskie.

Nowo sztyftujące się wojsko polskie przybrało zakrój tradycyjny w początku swoim, później odmieniono takowy. Piechota i konnica ubrane były początkowo w granatowe kurtki z kołnierzem amarantowym i wypustkami takiemi po szwach, nosili szarawary granatowe z karmazynowym lampasem, czapki czworograniaste na głowie, obszyte czarnym barankiem. Szlify srebrne i guziki białe. W następstwie ubierano piechotę w mundury granatowe według kroju mundurów francuskich, wyłogi, kołnierz i łapki były karmazynowe, żołnierz nosił białe płócienne spodnie na kamaszach letnią porą, a granatowe pantalony w zimie. Miał białą kamizelkę z łapkami, okrągłe szako na głowie z pomponem i kordonami. Wyborcze kompanie nosiły bermyce. Cała piechota miała białe płaszcze według zakroju francuskiego. Guziki i szlify były białe. Tak samo jak u Francuzów, mieliśmy także i naszych cieśli pułkowych, także z dużemi brodami, postępujących przed muzyką pułkową. I orzeł polski wznosił się nad batalionem, wiernie go strzegli żołnierze. Orły nasze pociągnęły aż do Moskwy, widziały je Iberyjskie kraje, wszędzie wśród chwały; dzisiaj niestety zdobią one zbrojownią moskiewską. Cała piechota miała lederwerki białe, nieglansowane i broń francuską, tak samo jak piechota francuska mieli grenadyerzy i woltyżerzy szlify włóczkowe i numera pułków swych, a na guzikach wybite i blachach u szaka, każdy żołnierz miał białą kokardę u szaka.

Konnica polska składała się ostatecznie po roku 1809 z 16 pułków ułanów, z 3 pułków strzelców konnych, 2 pułków huzarów i 2 szwadronów kirasyerów. Cała jazda miała bieżącą liczbę według pułków, bynajmniej według broni. Ułani byli ubrani w mundury granatowe z odmiennemi wyłogami, nosili

łapki czarne skórzane, ozdobione blachą białą od przodu, wyobrażającą pół słońca promieniejącego, na której był przykuty żółty numer pułku, czapka była ozdobiona kordonami białymi przy prawej stronie jaśniała kokarda narodowa, a na niej krzyż biały posrebrzany. Do parady powiewało pióro na czapce. Cała konnica polska nosiła szaraczkowe rejtuzy, skórą obszyte, w codziennym stroju, w czasie parady mieli ułani szarawary granatowe z lampasem barwy kołnierza. Lanca z chorągiewką na wpół karmazynową, na wpół białą, pałasz szeroki i jeden pistolet składały uzbrojenie ułana, roty flankierskie miały karabinki. Strzelcy konni byli całkowicie ubrani jak francuscy strzelcy konni. Huzarzy mieli mantyki i dolmany granatowe, jedni z sznurami białymi, drudzy z sznurami żółtymi. Kirasyerzy wcale się nie odróżniali od francuskich kirasyerów. Artylerya polska była przyodziana w mundury ciemno-zielone z kołnierzem, wyłogami i łapkami czarnemi, a pąsowemi wypustkami, nosiła pantalony zielone z pąsowym lampasem w paradzie, a płócienne białe pantalony w czasie codziennym letnią porą. Miała kamasze krótkie pod pantalonami. Nosiła szako z kordonami pąsowymi, pomponem i kokardą narodową na przodku. Artylerya miała mosiężne guziki, a oficerowie nosili szlify złote. Naprzodku szaka były dwie mosiężne lufy armatnie na krzyż. Artylerya konna nosiła szaserskie kurtki zielone z czarnym kołnierzem i łapkami, a pąsowemi wypustkami. Oficerowie nosili bermyce na głowie z złotymi kordonami, żołnierze mieli szaka z kordonami pąsowemi i dwie mosiężne lufy armatnie z przodku. Żołnierz w artyleryi konnej miał pałasz i parę pistoletów, w artyleryi pieszej był uzbrojony w karabin i pałasz piechotny, nosił ładownicę, lederwerki były białe.

Sztab wojska nosił mundur granatowy z karmazynowym kołnierzem bez wyłogów o dwóch rzędach guzików białych i kapelusz na głowie, szlify srebrne. Generał dywizyi miał dubeltowy haft srebrny na kołnierzu, generał brygady miał pojedyńczy haft, haft taki nosili generałowie i na łapkach.

Generałowie nosili kapelusze, wyłożone czarnemi strusiemi piórami. Książę Józef nosił zwykle granatową kurtkę ułańską z kołnierzem, z wyłogami i łapkami amarantowemi, na których

był haft generałów dywizyi. Miał ułańską czarno-pikowaną czapkę na głowie, rejtuzy amarantowe z lampasem srebrnym. Nadzwyczajnie było mu do twarzy w tym mundurze. Adjutanci księcia nosili amarantowe mundury huzarskie, srebrnymi sznurami wyszywane, błękitne kołpaki, kołnierze i łapki haftowane srebrem, obcisłe spodnie amarantowe, srebrem wyszywane, węgierskie buty i srebrne ostrogi.

Nie wyjdzie mi z pamięci obraz wodza mojego na pysznym karym koniu, z gwiazdą Orła Białego i legii honorowej na piersiach, gdy przed nim, świetnym orszakiem otoczonym, defilowały pułki polskie; zaiste był to obraz, przejmujący zapałem, owe piękne wojsko, pełne zaufania w sobie i w swoim wodzu, prowadzone honorem, ale nie kijami, owa młodzież polska, stworzona na żołnierzy! Miły Boże, wszystko znikło. Dzisiaj wolny Polak pędzi nędzne życie na wygnaniu albo w Syberyi, szpieg i zdrajca ojczyzny tryumfuje.

Byłem przytomny paradzie wojska francuskiego, odbytej przed Napoleonem w Saskim ogrodzie w miesiącu styczniu 1807; cesarz, przyodziany w historyczny swój surdut szaraczkowy, pod którym miał mundur szaserów gwardyi, siedział na arabskim siwym koniu. Miał mały kapelusik na głowie bez jakiejkolwiek ozdoby, z małą kokardą trójkolorową. Nosił białe kaśmirowe spodnie i w pół palone buty wysokie, zachodzące aż za kolana, nosił małą szpadę przy boku; na piersiach jego jaśniała gwiazda legii honorowej. Liczny orszak marszałków, generałów i oficerów rozmaitej broni otaczał go; każdy kapał od złota, wszyscy nieomal byli ozdobieni legią honorową, on sam jeden odznaczał się prostym swym ubiorem. Pułki defilowały jedne po drugich przy odgłosie muzyki i okrzyku »Vive l'empereur!« Orły się nachylały przed bohaterem, a on stał milczący i spoglądał na żołnierzy swoich. Najpierw defilowała piechota, później konnica, a na końcu artylerya. Oddziały szykowały się następnie na boku. Po odbytem defilowaniu ogłosił generał Mouton Duvernois, adjutant cesarski, olbrzymim głosem rozmaite awanse, przez cesarza w wojsku poczynione, wymieniając po nazwisku każdego, posuniętego oficera, z oznaczeniem nowego przeznaczenia jego, od generała aż do podporucznika. Każda nowa nominacya przywtórowaną

została odgłosem muzyki wojskowej, która krótkiem otrąbieniem i uderzeniem w bębny salutowała posuniętego oficera.

Rząd francuski, chcąc korzystać z zapału Polaków, powziął myśl utworzenia wojska polskiego na żołdzie francuskim, rodzaj wojska cudzoziemskiego; był to początek legii nadwiślańskiej, która się odznaczyła w Hiszpanii. Piechotą tej legii dowodził pułkownik Sobolewski, konnicą dowodził pułkownik Konopka. Myśmy tej legii prawie nie znali, ponieważ się znajdowała w Hiszpanii aż do 1812 r. I królowi westfalskiemu zachciało się mieć Polaków na żołdzie swoim, tu znowu sztyftował ów Kalinowski, o którym powyżej mówiłem, pułk huzarów, ale nie umiem powiedzieć o dalszych losach pułku tego.

Powrót do Wolsztyna.

Z nadejściem wiosny 1807 r. trzeba było także pomyśleć o powrocie do Wolsztyna, już bowiem nie był mój ojciec w stanie wystarczyć na dalsze kosztowne utrzymanie nasze w stolicy przy nadzwyczajnych kosztach wojny i ofiar po obywatelach wymaganych. Siewieluński, pracujący w biurach ministerstwa spraw wewnętrznych od czasu odrodzenia się ojczyzny, pożegnał się czule z nami. Poświęciwszy się zawodowi naukowemu, piastował go odtąd aż do r. 1853, w którym czasie wziął emeryturę, ale nigdy nie przestawał być szczerym przyjacielem naszym. Wyruszyliśmy zatem z Warszawy w początkach miesiąca kwietnia 1807 r. Znów przerwanem zostało kształcenie się nasze, jakoż żadnego guwernera nie mieliśmy, matka nasza chciała sama jedna lekcye nam dawać, mnie piętnastoletniemu chłopcu, i bratu mojemu, który już trzynaście lat ukończył. Można sobie wystawić, jakim trybem szły nauki.

Jakaż że to była smutna podróż nasza z Warszawy do Wolsztyna, bośmy się wlekli krajem całkowicie spustoszonym. Matka jechała karetą, do której furman najęty zaprzągł pięć silnych koni, my siedzieliśmy, brat mój i ja, na furmańskiej bryczce, ciągnionej przez cztery konie powozowe matki. Nie było szosy natenczas w Polsce; powozy grzęzły w błocie pod

same osie, zaledwie ujechać było można po 2 mile na dobę. Cały kraj był pusty, we wsi nad traktem stało opuszczonych wiele chałup, rozebranych na ogniska biwakowe, kominy tylko sterczały samotne. Konie padłe leżały na drodze. Jelita bydlęce, rozszarpane przez psy, oznaczały niedawne koczowiska wojska, tu i owdzie leżał trup ludzki nie pogrzebany. Dwory szlacheckie puste, szyby powybijane, zboża w snopkach powyrzucane z gumien, gumna poroztwierane, rzadko gdzie obdarty wieśniak, tułający się i żebrzący po nad drogą — i nigdzie ogrodzenia, nigdzie znaku uprawy, żadnego bydlęcia w okolicy. Drogi popsute do ostatniego stopnia, przez nikogo nie naprawiane.

Wojsko snuło się małymi oddziałami w od etapu do etapu. Taki był widok kraju od Warszawy do Poznania. Po miastach napotykano wyłącznie na mieszkańców, tam albowiem było bezpieczeństwo, ponieważ się w nich znajdywali komendanci placu i żandarmerya francuska, czuwająca nad porządkiem. Do nich chronili się zatem mieszkańcy wsiów, będąc pewni, że włóczęgi (maroderzy) nie będą na nich napadać. Można było w miastach dostać żywności i obroku dla koni, które wszakże drogo opłacano. Pamiętam, że, gdyśmy się zatrzymali w jakiejś wsi, zamieszkałej przez niemieckich kolonistów, gdzie furman stanął dla naprawienia czegoś przy powozie, matka wysiadła z pojazdu i poczęła rozmowę z Niemką, siedzącą nad drogą; ta pokazała jej na wpół rozebraną chatę swoją i, ciężko westchnąwszy, powiedziała, ile mieszkańcy ucierpieli, aż się nareszcie rozbiegli po utracie całego dobytku, a dodała z westchnieniem: »Wszakże tak być musiało, wszystko przepowiedziane w Objawieniu św. Jana«. »Tak to?«, zapytała się nasza matka z podziwieniem. »Tak, odpowiada Niemka, czytaj pani dziesiąty rozdział Objawienia św. Jana, wszystko, co się teraz dzieje, stoi tam przepowiedziane«. Nie mieliśmy Pisma św. pod ręką, ale, przybywszy do Poznania, przekonaliśmy się w niem o trafności uwagi owej biednej Niemki.

Ekonomiczne stósunki kraju. Obyczaje. Szkoły.

Ogólne zniszczenie kraju pociągnęło upadek obywateli za sobą; dobra, drogo kupione, upadły niesłychanie w cenie.

Przed wojną liczył lada właściciel pustkowia jakiego majątek swój na krocie, dzisiaj bankrutował nawet pan milionowy. Łatwość dostania pieniędzy za czasów pruskich nęciła wielu do spekulowania dobrami ziemskiemi, dzisiaj musieli owi spekulanci koniecznie upaść przy zniżeniu ziemi o 75 procent. Rząd pruski ułatwiał, ile mógł, pożyczki, mając na widoku podniesienie przemysłu rolnego, a tem samem pomnożenie bogactwa kraju, wszakże ów wielki kredyt obywateli ziemskich posłużył im raczej do upadku, ponieważ marnowali ponajwięcej zapożyczone kapitały. Najwięcej korzystali przy takich transakcyach faktorzy, używani starodawnym zwyczajem polskim przy każdym targu, wtykali obywatelom rozmaite drogie kamienie i fraszki w miejsce znacznej ilości pieniędzy pożyczonych, a potrącali sobie za negocyacyą aż do cztery od sta faktornego. Nasze żony, zawsze do zbytków skwapliwe, nie umiały się opierać pokusie kupienia pięknych pereł i brylantów, które chytry żyd mężom ofiarowywał w miejsce pieniędzy, a cóżby Polak nie uczynił dla uszczęśliwienia żony! Takim sposobem zahipotekowano dług na dobrach, a w rzeczywistości zaledwo połowa dostała się brzęczącą monetą do szkatuły. Ale nie dosyć na tem. Gdy pieniędze były, nuż dalej za granicę, trzeba było zwiedzić Europę, zabawić w Paryżu, Wiedniu, Rzymie; wiadomo każdemu, jak łechtało szlachcica, słyszącego się tytułowanym — »Herr Graf« przez kelnerów i kupców niemieckich. Nuturalnie, wypadało żyć po grafowsku, a takim sposobem poszły w świat pożyczone pieniądze. Dług pozostał, a intrata się wcale nie pomnożyła. Przy wybuchłej wojnie i zmniejszeniu się o dwie trzecie części intraty oczywiście musiał upaść nieprzezorny obywatel. Do upadku majątków naszych przyczyniła się także i próżność; każdy nieomal u nas chce żyć nad stan swój, zapatruje się na możniejszego i małpuje jego zwyczaje. Magnat wystawił pałac, otóż i sąsiad jego musi mieć taki sam, magnat ma meble zagraniczne, nuż kupuje szlachcic meble w Berlinie czy gdzie indziej, aby tylko za granicą; magnat ma dobrego kucharza, już za nic u szlachcica barszcz, zrazy i bigos, sprowadza Francuza, kupuje trufle, ostrygi i soje indyjskie. Żywi domowych próżniaków, sprawia liberye, ubiera się na odpust według

ostatniego żurnalu paryskiego, gra w karty, poluje, ma pojazdy i konie pyszne, a później narzeka na biedę, niechże narzeka sam na siebie, że był płochy i nie miał zastanowienia.

Przy takiem usposobieniu szło sobie gospodarstwo, jak mogło, nikt nie pomnożył inwentarza, nikt nie polepszył uprawy roli, nie pomyślano o korzystniejszym podziale pól. Zasiać dużo na roli, byle jak przysposobionej, mieć gorzelnią, rozpoić chłopów, las sprzedać za bezcen, oto było nec plus ultra rolnego przemysłu. Owiec nie było owego czasu, ale byli owczarze, którzy własne owce posiadali i płacili po 3 złote od sztuki dziedzicowi za utrzymanie ich, bydło rogate trzymał żyd w arendzie, żyd arendował mizerną gorzelnią, w której wódkę pędził ze zboża, żyd trzymał propinacyą w dzierżawie, żyd kupował krescencyą, przyjmował ekonomów, ba! nawet guwernerów dla dzieci pańskich.

Przychodzi mi tu na pamięć zabawne zdarzenie, które miało miejsce w owym czasie na Kujawach. Zachciało się pewnej jejmości, dziedziczce na dwóch folwarkach, mieć wykształconych synów po zagranicznemu. Męża, poczciwego szlachcica, dawnego dworskiego JW. wojewody Dąmbskiego, nie mogła nakłonić, aby zmienił kontusz na frak, aby włosy zapuścił i nosił harcap, nuż więc przeniosła całą pieczołowitość na dwóch synów, z których chciała wyrobić ludzi światowych, jak się wyrażała. Pierwszym warunkiem było, ażeby panicze mówili po francusku, reszta się znajdzie, mówiła pani S., ale jakże dostać Francuza, kiedy jegomość prócz księdza proboszcza i sąsiada, także w kontusz ubranego, nie znał nikogo i z nikim innym nie żył. Bywał wprawdzie w Toruniu i Łowiczu, nawet przed kilku laty do samej Warszawy puścił się, ale nie żył z ludźmi wysoko wykształconymi, co umieli po francusku, a nawet nie cierpiał cudzoziemców. Pani poszła po rozum do głowy i zleciła arendarzowi, ażeby wyszukał guwernera Francuza do dzieci. Czegoż żyd nie wyszuka?... Arendarz, będąc w miasteczku za spekulacyą, natrafił na jakiegoś chudopachołka, idącego z tłomoczkiem na plecach: «um in Polen sein Glück zu versuchen»... Jest to ogólny wyraz każdego Niemca, przybywającego do Polski, zazwyczaj z tłomoczkiem na plecach, a kupującego sobie wnet dobra. Arendarz zwierzył mu się z zlecenia przyjęcia guwernera do synów

pp. S., ale z koniecznym warunkiem, ażeby przyszły mentor umiał po francusku. Niemiec był głodny, ostatnie grosze snać już wydał, chwycił się zatem oburącz miejsca wakującego. Ale niestety nie umiał po francusku, genialny jednak koncept wyprowadził go z biedy. Wiedział, że owi państwo po francusku nie mówią i nie rozumieją, tak mu powiedział arendarz, udaje więc, że zna ten język doskonale, przyjmuje obowiązki nowe i szczerze zaczyna się trudnić kształceniem paniczów. Sam posiadał nauki, uczęszczał na uniwersytet i był człowiekiem honoru, nauczył chłopców doskonale po niemiecku, kształcił ich wyżej niż czyjekolwiek dziecko ze sąsiedztwa, a zamiast francuskiego języka, nauczył ich jakiejsiś mowy, o której nikt jeszcze nie słyszał, którą on sam wymyślił dla dogodzenia próżności pani domu. Jejmość nie posiadała się z radości, nawet Jegomość się radował, gdy w kilka lat mógł już się posłużyć którymkolwiek ze synów w sprawie z pruskim urzędnikem albo w Toruniu z kupcem. Gdy Francuzi do kraju naszego wkroczyli, zawitali także i do państwa S. Mama rada, że się popisać może synami, wysyła ich na powitanie żołnierzy, ale jakież jej zadziwienie, gdy żaden nie rozumie narzecza młodych ludzi, a oburzenie, gdy się przekonywa, iż konsolacya złodziejskim raczej językiem, ale nie po francusku mówi. Biedny guwerner, wzięty do indygacyi, przyznaje się, że nie umiał wcale po francusku, że jest rodem z Rostoku i że go nędza przymusiła do użycia fortelu, aby nie umrzeć z głodu. Wreszcie zakończył tak: «Moi Państwo, nauczyłem wasze dzieci wszystkiego, czego im potrzeba w obrębie tych dwóch folwarków, dziś już mogą być pomocą ojcu swemu, prawda, że po francusku nie mówią, ale czy im koniecznie potrzebny ten język na swoich folwarkach albo w Izbicy na targu? Wykształciłem ich na ludzi uczciwych i rozsądnych, żyd ich nie oszuka, pruski landrejter nie wyprowadzi w pole, pozostawiam do woli waszej postąpić sobie, jak sądzicie najsprawiedliwiej.» Taki argument trafił do przekonania panu S., ujął się za guwernerem, Jejmość się podąsała, ale że już było niewcześnie rozpocząć de novo edukacyą, udobruchała się i pan Fritz pozostał w obowiązkach swoich.

W r. 1805 płacono za korzec pszenicy 108 do 120 złp., za korzec żyta od 90—95 złp., cerealia spadły w porównaniu takiem

w cenie, natomiast poszła okowita, rogate bydło i konie nadzwyczajnie w cenę. Mianowicie konie były niesłychanie drogie. Nie znano naówczas jeszcze u nas koniczyny ani traw pastewnych, kartofle były osobliwością, gosparstwo w trzy pola, chłop był poddany, przywiązany do gleby, zależał od jurysdykcyi pana, odrabiał pańszczyźnę według widzimisia, nie wolno mu się było żenić bez pozwolenia dworu, musiał on i jego rodzina być tem, czem dziedzic rozkazał, czy rolnikiem czy kucharzem, ze wsi nie wolno mu się było oddalić. Dopiero od r. 1808 ustał taki stan rzeczy, gdy wola Napoleona skasowała poddaństwo w Księstwie Warszawskiem.

Podatki były nadzwyczajnie niskie za rządu pruskiego przed r. 1806, ofiara czyli 24 procent i podymne zwyczajne stanowiły cały podatek gruntowny, ale wprowadzono akcyzę po miastach od okupacyi pruskiej, monopol soli i patentowe.

Wrodzone usposobienie szlachty polskiej kazało jej się swarzyć i kłócić pomiędzy sobą, a stąd wynikały często procesy. Dawnymi czasy sądziły się sprawy w trybunałach, przy których była prześwietna palestra, za pruskich czasów zaprowadził rząd krajowe prawo pruskie, napisane po niemiecku, a zatem dla Polaków niezrozumiałe. Razem z nowem prawem sprowadziło się do Prus Południowych i Zachodnich (tak albowiem przezwano prowincye Polski, do Prus odpadłe), mnóstwo niemieckich sędziów, adwokatów i innych urzędników, wcale po polsku nie mówiących, którzy sądzili sprawy obywateli. Można sobie wystawić uczucie krajowców, mających bronić swych spraw w języku obcym, wcale nieznanym, przed cudzoziemcami, nie obeznanymi ze stosunkami w kraju. Strony sądziły, że wygrana zależy od wpływu adwokatów, a dla tego sypali im pieniądze. Ci pozostawiali ich w tem mniemaniu, a wnet porobili znaczne majątki. Koszta sądowe (sportlami zwane) niemało grosza wyciągały także z kieszeni obywateli. Mianowicie zajmowały sprawy graniczne nieomal wszystkich dziedziców dóbr, były następstwem klęsk, doznanych w Polsce od czasów Szwedów i powietrza morowego, nie było majątku, oznaczonego pewnemi granicami, a kłótliwe usposobienie nasze wzniecało procesy, niszczące obydwie strony. Słyszałem o dwóch braciach Zabłockich, dziedzicach dóbr Skarżyna w Kaliskiem, którzy, mie-

szkając 22 lat pod jednym dachem, procesowali się o działy majątku po ojcu przez cały ten peryod czasu i pozostawili nieroztrzygniętą sprawę swym spadkobiercom. Hr. Józef Mielżyński, starosta kopanicki, był prawdziwą plagą i postrachem swych sąsiadów, z każdym się procesował o granicę, a lubo niewidomy, chciał sam okazywać granicę swych włości. Procesował się całe życie pomiędzy innymi też z generałem Dąbrowskim o granicę pomiędzy Winnogórą, dobrami darowanemi generałowi przez Napoleona, a Miłosławiem, majętnością p. Mielżyńskiego. Ileż bym to podobnych przykładów mógł przytoczyć!

Budowle wiejskie były wogóle drewniane, dwory i oficyny nieomal w bale. We dworze była zwykle wielka sala, w której goście jedli, pili i nocowali, każdy na pościeli, przywiezionej ze sobą. Nie znano pościeli gościnnej natenczas. Gość przywoził ogromny tłomok, służący słał mu na świeżej słomie i zawieszał pawilon nad posłaniem. Wszyscy się mieścili w owej sali, tak mężczyźni jak kobiety, każdy pod pawilonem swoim. Pałace dopiero poczęto stawiać za pruskiego rządu.

Pan pisarz koronny hr. Mielżyński, nadzwyczajnie majętny obywatel, wystawił w Pawłowicach pod Lesznem jeden z najpyszniejszych pałacy w Poznańskiem; była w nim sala, całkowicie zwierciadłami wyłożona, które sprowadził z Wenecyi. Wuj mój, Fryderyk Skórzewski, wystawił pańskie mieszkanie w Lubostroniu, składające się z pięknego stylowego pałacu, obszernej, wygodnej oficyny i całego zabudowania, potrzebnego do dworu jego. Założył duży park, słowem przeistoczył górę, lasem obrosłą, na wilę, przypominającą Italią. Zakład ten kosztował go z górą 20 000 talarów. Rogalin, siedlisko hr. Raczyńskich, spadkobierców po marszałku, odpowiadało także zamożności tej rodziny. Tam wystawił generał Raczyński pyszny pałac; zacny ze swych cnót i oryginalności hr. Edward Raczyński wystawił kościół według wzoru kościoła w Nimes, la maison carrée zwanym.

Nie myślę opisywać wszystkich gmachów, wystawionych w Wielkiejpolsce za rządów pruskich. Razem z przeistoczeniem dawnych dworów polskich zmieniać zaczęła i szlachta polska ubiór narodowy; porzucono kontusze, ubrano się we fraki, a tem samem zniknęła różnica ubioru pomiędzy rozma-

itymi stanami. Piosnka dawna powiada trafnie o tem przebraniu się:

»A trudno poznać, szewc czy wojewoda,
Oba we fraku, bo dziś taka moda«.

Zamiłowanie w obyczajach zagranicznych pomnożyło znacznie wydatki domowe. Sprowadzano stylowe mahoniowe meble, adamaszki rozmaite na ściany, kryształowe pająki i żyrandole weneckie, tureckie dywany, marmurowe kominy, wino rozmaitego rodzaju. Szampan począł wchodzić w użycie przy obiadach, a przysmaczki kuchenne nie pozwalały się domyślać o szarej gęsi, której przyprawę opisuje ksiądz Kitowicz w pamiętnikach swoich.

Stan moralny upadał we wszystkich klasach społeczeństwa. Niestety, rozpowszechniała się nauka Voltaira i filozofia XVIII-go wieku; najświętsze prawidła naszej wiary były wyśmiewane; Polak zapomniał o żarliwości przodków swoich, a co gorsza, znaczna część duchowieństwa obojętnem okiem spoglądała na upadek wiary. Nieszczęśliwy był to peryod dla Polaków; nabywali przywary oświaty, pozbywali się cnót przodków swoich, a nie przejmowali się zaletami innych narodów. Szydzić z religii należało do dobrego tonu, a któż by chodził do spowiedzi? Na cóż księża? Takie aksyomaty głoszono w społeczeństwie; nie tylko nimi zarażano innych, ale rozsiewano po niższych warstwach narodu ów zaród bezbożności, który dzisiaj niestety rozkrzewił się pomiędzy ekonomami, służącymi i mieszczanami. Stan duchowny mało zapobiegał złemu, nie było światłego duchowieństwa natenczas w kraju; obojętność ogólna kapłanów przechodziła wyobrażenie ludzkie.

Kucharz była to znaczna figura w domowym składzie zamożnego obywatela, od niego zależała reputacya państwa, odgrywa aż dotąd niepospolitą rolę w Europie; dobremu kucharzowi płaci się aż do 10 dukatów miesięcznie oprócz wszelkiej wygody i utrzymania; wszakże cóż to znaczy w porównaniu do Rotschilda, który swojemu kucharzowi płaci rocznie 40 000 fr.

Dawni panowie polscy mieli zamiłowanie do koni czystej krwi polskiej; sławnemi były kiedyś stada hetmańskie i innych magnatów na Ukrainie; dzisiaj biorą rosłe konie przewagę, a polską czystą rasę koni trudno gdzie spotkać. Piękny dzia-

net, w pyszne siodło tureckie okulbaczony, ubrany w bogaty rząd turecki, dźwigał dawniej męża polskiego. Później nastały kolasy na pasach dla upudrowanych dworzan Stanisława Augusta. Dzisiaj mamy karety, kocze, najtyczanki, gigy, karykle itd., które dźwigają nasze panie i naszych panów. Jakież to rozmaite kształty owych powozów już widziałem! Były karety, całkiem oknami otoczone jakby oranżerya, były bomby jak kule okrągłe, były wysokie jak gołębniki, były znowu niskie, aż się obcierały o błoto po drogach. Dzisiaj ubiega się każdy o rosłe konie, dawniej starano się zwięzłe; dzisiaj sprowadzają ogiery z Anglii, dawniej sprowadzano ze Stambułu.

Obyczaje równej zmianie uległy; pozyskaliśmy więcej ogłady salonowej, kobiety nasze nabrały więcej elegancyi i wykształcenia naukowego. Pijaństwo wyszło po najwięcej z mody, lubo jeszcze nie wykorzenione zupełnie; już rzadko gdzie słychać o poczubieniu się, więcej się zajmujemy umysłowo, więcej pracujemy nad językiem narodowym. Niektórzy ziomkowie nawet zasługują sobie na sławę pośmiertną pod względem nauki; wreszcie upadła stanowczo nieszczęśliwa mania szukania we francuzczyźnie źródła wszelkich rozmów; ale epoka srogiej pamięci cesarza Mikołaja zadała znowu śmiertelny cios umysłowości polskiej przez skasowanie wszelkich instytutów, mogących posłużyć do wykształcenia młodzieży polskiej. Co świętej pamięci cesarz Aleksander dobrego zrobił pod tym względem, to zniweczył Mikołaj; szkoły dzisiejsze jestto tylko zakał nazwiska szkoły. Za czasów polskich po skasowaniu Jezuitów istniały szkoły uniwersyteckie i szkoły księży Pijarów, które mianowicie na Żoliborzu w Warszawie wiele się przyłożyły do utrzymania ducha narodowego, a z których powychodziło wielu zdatnych ludzi. Po okupacyi pruskiej zaprowadzono szkoły niemieckie, odpowiadające celowi swemu, lubo w duchu pruskim urządzone. Zniemczał się w nich wprawdzie uczeń, ale pojął ducha nauk i przysposobił umysł swój do nabycia dalszych wiadomości. Pod dzisiejszą organizacyą szkół polskich ani podobieństwo, ażeby młodzież z czegokolwiek skorzystała; niczego się tam nie nauczy prócz szpiegowania się wzajemnego i donoszenia profesorom o rozmowach kolegów.

Prusacy uczyli gruntownie, wykładali nauki w języku niemieckim, polski język puścili w niepamięć. Moda forytowała francuzczyznę; należało poniekąd w owej epoce do dobrego tonu źle mówić po polsku i plątać wyrazami francuskimi w rozmowie polskiej, tak samo jak za Jezuitów używano makaronizmu łacińskiego. Dobrzy Polacy poznali niebezpieczeństwo, grożące mowie narodowej, a chcąc zapobiedz jej zagładzie, zawiązali Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Utworzyło się w ten sposób grono mężów światłych, składające forum dla naszej narodowości. Tu zasiadał Stanisław Potocki, Staszyc, Czacki, Niemcewicz i wielu innych mężów, tchnących miłością ojczyzny. Odtąd poczęło wychodzić pismo peryodyczne, redagowane przez Przyjaciół Nauk, które się wielce przyłożyło do rozwoju literatury polskiej. Ogładzono mowę naszą, wydobyto z niepamięci dawne utwory literackie, pracowano nad opisem dziejów narodowych, jednem słowem, stanęło Towarzystwo Przyjaciół Nauk na stopie akademii polskiej. Należało do cesarza Mikołaja, ażeby ten zakład czysto naukowy zwinął i zagładził, tak samo jak zagładził, cokolwiek było polskiego w Polsce. Ukazem z r. 1833 zostało owo zebranie uczonych skasowane, a w gmachu, gdzie się gromadzili Polacy, którzy nad nauką narodową pracowali, założono kantor loteryi. Jest to jedna z najwyraźniejszych cech dzisiejszego ducha i tendencyi rządu rosyjskiego. Tam, gdzie pilnowano nauk, zasiada dzisiaj przechrzta Jakubowski z swymi wspólnikami.

Chłopi.

Chłopi byli poddanymi w Polsce aż do r. 1807; dzisiaj żyją jeszcze w poddaństwie w części kraju, zabranego do Rosyi po r. 1795. Należeli do inwentarza gruntowego; dziedzic kierował nimi według woli; ten był kucharzem, ów stangretem, inny parobkiem albo fryzyerem. Pan wybierał, co się mu podobało, czy mężczyznę czy kobietę do służby dworskiej, kojarzył małżeństwa w dobrach swoich, osadzał na gospodarstwie rolnem i miał staranie o ludność; żywił osadę w czasie nieurodzaju, a zabierał plon, gdy mu się zdawało, że się obro-

dziło. Chłopu nie było wolno opuścić wsi, w której się urodził, i był zawsze pod srogim batem ekonoma; nawet rząd pruski pozostawił go pod jurysdykcyą dziedziców, ustanowiwszy sądy patrymonialne. W owym czasie nie opuszczała ręka ekonoma kańczuga, był to poniekąd znak urzędu jego, tak samo jak szlifa oznacza oficera. Ileż to rodzajów katusz wymyślano na chama; ja sam pamiętam jeszcze gąsiory; były to 3 calowe bale, spuszczające się jeden na drugi w słupach wyrobionych. W tych balach wyrabiano wcięcia, służące na wsadzenie nóg i rąk delikwenta; spuszczano bale jeden na drugi, zabijano je klinami, a chłop, zaczepiony za ręce i nogi pomiędzy balami, wisiał po całych dniach w tej katuszy. Były także i kuny t. j. obroże żelazne, do słupa przybite, rodzaj pręgierza; zamykano ową obrożę chłopu na karku, a delikwent stał po całych dniach przy owym słupie, wystawiony na wszystkie obelgi ludzi i dolegliwości powietrza. Serce się wzdryga na myśl o nieszczęśliwym stanie wieśniaków polskich w tej epoce, tem boleśniej, gdy się pomyśli, że aż po dziś dzień istnieje ten stan na Litwie, Wołyniu i wszystkich prowincyach polskich, odpadłych do Rosyi. Nikt się nie trudnił wykształceniem chłopa, owszem poniżano go jeszcze, rozpajając gorzałką, ponieważ propinacya stanowiła znaczny dochód dziedzica. Bywały wsie, w których oddawano chłopu po 15 jaj z każdego rodzaju drobiu na wiosnę, a on musiał oddać na zimę po 15 sztuk drobiu odchowanego. Oddawano mu także 2 prosięta, a on musiał oddać w 3-cim roku 2 wieprze. Słynna z bogactwa swego pani Branicka na Wołyniu nałożyła tę osobliwą daninę na swych poddanych płci żeńskiej: otóż każda dziewka, za mąż wychodząca, musiała jej oddać warkocz swój; zwyczajem jest bowiem, że dziewka, wychodząca za mąż, obcina warkocz przy oczepinach; włosy te posyłała owa pani do Petersburga, gdzie je fryzierzy drogo kupowali. Nie skończyłbym, gdybym chciał opisać wszelkie rodzaje odrobków i danin, na chłopów pokładanych według woli i widzimisia mniejwięcej ludzkiego właściciela dóbr. Byłoby ciekawą i nauczającą rzeczą pod względem moralności opisać szczegółowo stan chłopa polskiego aż do usamowolnienia tej klasy ludu z wyraźnej woli Napoleona.

Dla tego, gdy uchylone zostało poddaństwo, ruszyli się chłopi hurmem; wszyscy nieomal opuszczali swe siedziby dla poszukania znośniejszego losu.

Ale panowie polscy potrafili i w tym razie obejść wolę cesarza Francuzów. Ogłoszono usamowolnienie chłopów, wszakże zatrzymano ich dobytek; wolno było chłopu opuścić swoją wieś rodzinną, ale nie mógł z niej nic zabrać, co należało do sprzętów i inwentarza gruntowego. Myślą Napoleona było, ażeby chłopi pozostali przy własności swych gruntów; rząd Księstwa Warszawskiego nie przyznał im owej własności, ale pozwolił poszukać innej siedziby. Ruszyło się zatem całe chłopstwo jak roje pszczół, szukając przedewszystkiem zmiany losu teraźniejszego. Taka ogólna wędrówka była powodem poniszczenia gospodarstw chłopskich; już niedbał odtąd gospodarz o swoją chałupę i o zabudowania gospodarcze, które mógł opuścić corocznie; wycinał drzewa owocowe, palił ogrodzenia, oczekując niecierpliwie św. Wojciecha, ażeby się przeprowadzić dokądinąd. Na ten czas począł ustawać patryalchalny stosunek dziedzica i chłopa; a ponieważ znajdowało się także i wielu dziedziców, dbających rzeczywiście o stan swych włościan, nie mogła nowa emancypacya poddanych jak tylko krzywdę wielką wyrządzić ludowi wiejskiemu. Całkowicie podupadł tą coroczną włóczęgą, aż doszedł do dzisiejszy nędzy. Stan taki służy za dowód niestosowności półśrodków w każdem przedsięwzięciu; gdyby było samolubstwo mężów, rządzących Księstwem Warszawskiem, pozwoliło im poczynić ofiarę z ziemi, posiadanej przez włościan w dobrach swoich, gdyby razem z uchyleniem poddaństwa byli chłopów ogłosili właścicielami gospodarstw, byłby się utrzymał stan wiejski przy mieniu i zamożności; ale ogłaszając ich usamowolnienie bez jakiegokolwiek prawa do ziemi, utworzyli tem samem klasę proletaryuszów, której w Polsce aż dotąd nie było. Napoleon, nie wchodząc w szczegóły, powiedział »Je veux que le paysan soit libre en Pologne«. Wypełniono dosłownie wolę jego, obdarowano chłopa wolnością tj. pozwolono mu żebrać po całym kraju.

Dla czego nie uchwycili patryoci ówcześni porę utworzenia klasy ludu, wiernie przywiązanego do ojczyzny, nadając im własność gruntów, od wieków posiadanych przez ich przodków?

W takim razie byłby chłop polski obywatelem kraju, dzisiaj nie może czuć przywiązania do niego, bo nie ma w nim nic własnego. Dla tego słyszałem ich nieraz mówiących — »Idą Polacy albo Idą Moskale«, jakoby ich wcale nie tyczyła którakolwiek strona. Patrzyli obojętnie na walkę naszą z ciemieżcą, im było porówno, dla kogo mają pracować.

Widoczna była róznica chłopów w dawnych Prusach Południowych a częścią Polski, odebranej Austryakom po wojnie 1809 r. W tej części snać stan wiejski musiał używać większych swobód; chłopi nie porozchodzili się pomimo ogłoszenia usamowolnienia, każdy pozostał na swej zagrodzie, nie spustoszono budynków, nie wycięto sadów owocowych; pan się ma lepiej i chłop pozostał zamożny.

Żydzi. Urzędnicy pruscy.

Przybywszy do Błonia na nocleg po opuszczeniu Warszawy, zastaliśmy wszystkie oberże zajęte przez wojsko; zaledwie nam wynaleziono nocleg w mizernej karczmie het za miastem. Roztasował się cały nasz dwór, przyniesiono słomy, wydobyto pościel z tłomoków, a po jakiej takiej wieczerzy udaliśmy się na spoczynek. Około północy przebudziło nas wołanie Francuzów, przybyłych na kwaterę, a wnet napełniła się cała izba.

Matka podniosła się z posłania i odezwała się uprzejmie do żołnierzy, prosząc o wzgląd dla siebie i córek: »Ah, il y a des dames, rzekł stary grenadyer, soyez tranquille, citoyenne, il ne vous arrivera pas de malheur, vous êtes sous la sauvegarde de l'honneur français;« a obracając się do kolegów, powiedział im: »Camerades, respect aux dames«. Jakoż zachowali się wojskowi jak najskromniej i uczciwiej. Rano wyszli razem ze świtem, pożegnawszy nas uprzejmie. Pytam się, czy jakiekolwiek inne wojsko było by sobie równie postąpiło.

Przybyliśmy do Poznania po sześciodniowej podróży, tam zastaliśmy ojca i wielu obywateli, zgromadzonych na narady publiczne. Panowie radowali się z klęski, Prusakom zadanej, kobiety bawiły się, zapraszano oficerów francuskich na bale, wielu obywateli ubiegało się za nieobsadzonymi urzędami,

żydzi faktorowali i podejmowali się liwerunków, drobna szlachta wyrywała sobie dozór na magazynami. Ojciec czule nas przycisnął do serca. Nie należał do liczby tych, którzy upatrywali powrót całkowity naszej ojczyzny, widział stanowisko nasze w czarnych kolorach, przepowiadał w ogóle bankructwo obywateli i marny koniec naszych wysileń. Mało kto podzielał jego zdanie, wszyscy widzieli nieomal w Napoleonie wskrzesiciela Polski, ojciec zaś powiadał, że o tyle nam dobrze życzy, o ile tego wymaga własny jego interes.

Niejednemu przyszło już żałować dobrego bytu swego, upadek wartości ziemi groziło bankructwem. A nie przewidywano końca ofiar, owszem wymagano od właścicieli dóbr coraz nowych datków, liwerunki nie miały końca. Zboże, słoma, siano, bydło, konie, słonina, spirytus, mundury, siodła, broń, czapki, buty, trzewiki, wszystko jednem słowem musiał dostarczać właściciel dóbr. Musiano żywić wojsko przechodzące, czynić zadosyć rekwizycyom generałów, którzy płacili bonami, tj. kwitkami, a podatki szły swoją drogą. Położenie takie musiało koniecznie zniszczyć wszystkich i ochłodzić pierwszy zapał.

Odkupywaliśmy krwią i majątkami naszymi ojczyznę, zatraconą przez winy naszych przodków, wszakże nie leżało w Boskich wyrokach, aby Polak korzystał z wysileń swoich. Najznaczniejsza część majątków ziemskich przeszła w obce ręce, sławne familie upadły: Nałęczowie, Toporczykowie itp. poszli żebrać, zasławszy pola swemi ciałami w niezliczonych bitwach, albo powymierali po klasztorach na łasce u Bernardynów. Przechrzty, lichwiarze, łacyendarze, magazynierzy, adwokaci, doktorzy, krawcy, Bóg wie kto, byle miał miedziane czoło i sumienie przestworne, zajęli ich miejsca i panoszą się dziś po gniazdach dawnych rodzin; okupują szlachectwo, dawając bale, a spoglądają z góry na tych, których przodkowie zasiadali w senacie.

Już powiedziałem, z jaką łatwością przychodziło dziedzicowi dóbr zaciągnąć pożyczkę za pruskich czasów, powiedziałem także, że owe pieniądze zostały roztrwonione bez wszelkiego zastanowienia polskich panów. Po wkroczeniu Francuzów do kraju zmieniły się stosunki zupełnie, nie tylko nikt pieniędzy nie wypożyczył, ale wierzyciele prywatni zażądali zwrotu swych kapitałów. Każdy nieomal Polak wysilił się do ostatniego

grosza na posługę kraju. Remanenta, jakie posiadał, dostarczył na liwerunki, nie był zatem w stanie uczynienia zadość wymaganiom wierzyciela swego. Rząd Księstwa Warszawskiego zaradził chwilowo ogólnemu bankructwu, ogłaszając moratorium. Środek ten ulżył wprawdzie ciężar posiedzicieli ziemskich, ale obalił kredyt do reszty.

Nikt odtąd nie pożyczył pieniędzy na procent, prawem dozwolony, a lichwa poczęła odtąd rozszerzać się po kraju. Lichwiarze wymagali ogromnych procentów, potrącanych z góry od kapitałów wypożyczanych. Stan ten istnieje do dnia dzisiejszego, zwykle wypożyczają się w Polsce sumy po 8 od sta na pierwsze hipoteki, potrącając procent od kapitałów z góry, a bywają przykłady, że od pieniędzy, wypożyczonych na obligi, pobierają lichwiarze po 48 od sta, potrącając sobie takowy od sumy wypożyczonej. Odemnie samego żądała pani Potocka, z domu Młokosiewiczówna, procentu następującego od sumy 100 000 złotych, które chciałem na dobra moje zaciągnąć dla wyposażenia syna mego. Za 100 000 złotych chciała wypłacić gotówką 75 000, ja zaś miałem zabezpieczyć na dobrach moich całkowite 100 000 i płacić od nich procent 5 od sta.

Była to epoka błogosławiona dla żydów, owe czasy Księstwa Warszawskiego. Ów trąd narodowy spanoszył się nadzwyczajnie. Żyd, przyzwyczajony do szachrajstwa od samego urodzenia, nadzwyczajnie uzdolniony do handlu, bystry i przebiegły, korzystał z ogólnego niedostatku, każdą okoliczność, każdy liwerunek, wszystko jednem słowem było dla niego powodem zysku. Żydzi chwytali się wszelkiej spekulacyi, nie było szachrajstwa im obcego, utworzyli pomiędzy sobą bandę złodziejską, chwytającą, co tylko zdawało im się korzystnem, a nawet ogarnęli wszystkie interesa obdłużonego kraju. Oni porobili milionowe majątki, a Polacy upadli.

Tak było, tak jest aż dotąd i bodaj, że pozostanie, dopóki moi rodacy nie przywykną do oszczędności i dopóki żydzi osobny naród, nam nieprzyjazny, stanowić będą w kraju.

Szlachta polska oddała siebie i majątki swoje na ołtarz ojczyzny, co nie pospieszyło do wojska, to w służbie cywilnej poświęciło się krajowi, wszakże potrzebowano zasiłku domowego w jednym i drugim zawodzie, ponieważ wycieńczony skarb nie potrafił regu-

larnie wypłacać pensyi, a natenczas nie domyślał się nawet Polak, że nastąpi epoka, w której bez wstydu i wzdrygania się brać będą urzędnicy kubany i opierać będą swe mienie na łapowem. Doczekaliśmy się tych czasów; rządy cesarza Mikołaja nauczyły pomiędzy innemi sprzedawać sprawiedliwość, obdzierać wdowy i sieroty, denuncyować rodaka za pieniądze. Oficer polski dalibóg, jeżeli nie poczęstował obywatela, to zapewne nie przyjął od niego datku, mnie oficer rosyjski pocałował w rękę, gdym mu darował pięć złotych, należące mi się od niego za pozwolenie popaszenia koni jego na łące przez jedną noc. Inne czasy, inne zwyczaje! Dawniej przewodniczył honor, dzisiaj knut.

Wiele Prusaków, w kraju pozostałych po wkroczeniu Francuzów, było w początkach celem prześladowania drobnej, a nieoświeconej szlachty. Któremu z cudzoziemców pozwolił stan jego majątkowy, ten umknął, ale byli i tacy, którzy, nabywszy nieruchomości w Polsce, nie chcieli domów swych opuszczać, a takich wzięto za cel niechęci, aż się rząd nowy za nimi ujął. Mianowicie powstał pomiędzy Niemcami popłoch, gdy rozstrzelano burmistrza z Gołańczy z rozkazu marszałka Davousta za donoszenie Prusakom o stanie rzeczy w Poznańskiem. Oddać należy atoli sprawiedliwość rządowi naszemu i pierwszym obywatelom w kraju, że wzięli osiadłych Prusaków pod swoją opiekę i nie dopuścili, aby ich krzywdzono, skoro tylko ustalił się porządek w kraju. W pierwszem zaburzeniu, gdy żadnej władzy jeszcze nie było, ucierpieli oni wprawdzie pojedyńczo, ale któż mógł zapobiedz złemu w takiej chwili, zwłaszcza przy ogólnej niechęci przeciwko Prusakom?

Pobyt w Wolsztynie. Książę warszawski w Wolsztynie. Wyjazd do Drezna.

Powróciłem do Wolsztyna tak samo głupi, jak byłem z niego wyjechał, liczyłem lat 15, a nie miałem żadnych gruntownych początków nauk, całe wychowanie moje było kierowane bez systematyczności; mijał bez pożytku ów czas nieoceniony dla każdego młodego człowieka, w którym właśnie po-

winien jaknajwięcej pracować. Mój brat i ja musieliśmy przed matką powtarzać lekcye i bajki, których kazano nam się uczyć na pamięć. Zostawieni sami sobie, błąkaliśmy się po ogrodzie, albo, dopadłszy koni, gnaliśmy po polu.

Znajdowałem się w Wolsztynie, gdy zostało ogłoszone Księstwo Warszawskie skutkiem pokoju Tylżyckiego. Nowy nasz pan, król saski, a teraz i książę warszawski, udawał się do Warszawy dla przyjęcia hołdu nowych swoich poddanych. Obrócił drogę na Kargowę i Wolsztyn, nocleg jego wypadał w Kargowie, pierwszem mieście nowego Księstwa, u hr. Unruga, dziedzica Kargowy. Wszystkie władze departamentu poznańskiego z prefektem panem Ponińskim Antonim na czele i wielu znaczniejszych obywateli przybyło tam przywitać nowego pana. Nasz ojciec przybył także pomiędzy innymi i zabrał mnie i brata mojego ze sobą. Szwadron 5 pułku jazdy (szasery pułkownika Turny) stanął w Kargowie dla eskortowania króla.

Jakże nas wszystkich zajmowało owe wojsko polskie, pierwszy raz widziane. Trębacze zatrąbili przy wjeździe króla pieśń narodową «Jeszcze Polska nie zginęła», a huczne wiwaty rozlegały się po rynku. Król saski był to pan dobry, szczerze pragnący szczęścia Polaków, był żarliwym katolikiem, a dla tego obojętnie widziany przez Sasów. Towarzyszyła mu królowa i córka jego, dawniejsza infantka polska, księżna Augusta. W orszaku jego znajdowali się minister interesów zagranicznych p. Boose, minister sekretarz stanu Księstwa Warszawskiego, pan Breza, kilku szambelanów i kamerjunkrów i spowiednik, Pater Schneider.

W towarzystwie królowej i królewny były same stare i straszne Niemki, a pomiędzy niemi wielka ochmistrzyni dworu, p. baronowa Zützerode, z której synem zaprzyjaźniłem się wielce w późniejszym czasie, służąc z nim w pułku Gardes du corps saskich. Znajdowali się przy królu kamerturki, laufry, szwajcary, wszystko w liberyi paliowej, sztywne, wystrugane Niemczyska.

Polak urodzony na żołnierza, postawa szwadronu jazdy nic nie pozostawiała do życzenia; złożony ze samych ochotników, siedzących na dzielnych koniach, wyrównywał najstarsze-

mu wojsku, w każdym żołnierzu widać było zaufanie w sobie, a postawa wojskowa zachwycała widzów. Krzyż legii honorowej zdobił już piersi wielu wojskowych; zasłużyli oni na niego na polach pod Frydlandem i Heilsbergiem. Niemcy ustawicznie powtarzali: «Was für schönes Volk, was für prächtige Soldaten!».

Nie wiem, jak długo byłoby potrwało przykre moje położenie, gdyby nie był przybył do Wolsztyna 111 pułk piechoty francuskiej na kwaterę. Wnet się zaprzyjaźniłem z oficerami, którzy mnie wiedli na rozmaite bezdroża, a ja, mając już po uszy dziecinnych lekcyi w domu rodzicielskim, a czując się w nim, wobec braku serca matki, a słabego, we wszystkiem jej ustępującego ojca, na wskroś nieszczęśliwym, postanowiłem zaciągnąć się jako prosty żołnierz do owego pułku.

Najmłodszy mój brat Apolinary, dzisiejszy dziedzic Wolsztyńskich dóbr, był dzieckiem w owym czasie; już okazywał wtedy zimny swój charakter; mało styczności miałem z nim, nasze koleje poszły od samego dzieciństwa odmienną drogą. Antonina, dzisiejsza hr. Platerowa, i Adela, która nie poszła za mąż, oto były moje przyjaciółki; one mnie nie przestały kochać w całym ciągu życia swego — a ja im sowicie ich przyjaźń odpłacałem z całem natężeniem serca mego.

Umówiłem się zatem z pułkownikiem Husson, dowodzącym 111 pułkiem piechoty, że zaciągnę się do jego pułku, skoro z Wolsztyna wyruszy, stojąc albowiem we dworze rodziców, nie chciał mnie przyjąć na służbę, dopóki nie wymaszeruje, wszakże kilka słów nieostrożnie przezemnie wymówionych, pozwoliło się matce domyślić o moich zamiarach, być nawet może, że sam pułkownik, uczciwością powodowany, ostrzegł ją o nich. Napisała do ojca, który, będąc prezesem sądu apelacyjnego w Poznaniu, tam przeważnie mieszkał. Wrócił skutkiem tego zaraz do Wolsztyna i bez jakiegokolwiek poprzedniego uwiadomienia zabrał mnie ze sobą do Drezna. Moje pożegnanie z matką było nadzwyczajnie chłodne, nie wiedziałem, dokąd jadę, ale dziękowałem Bogu, że się wydobyłem z pod jej opieki. Siostry czule uściskałem, przyrzekłszy im pisywać z któregokolwiek miejsca, dokąd ojciec mnie zawiezie.

Prawdziwem dobrodziejstwem Opatrzności dla mnie było zawiezienie mnie do Drezna i oddanie do szkoły inżynierów

saskich. Ojciec poruczył dozór nademną szczególnej opiece kapitana Schelliga, u którego zostałem umieszczony na pensyą. Minister saski, p. Boose, którego mój ojciec poznał u p. Brezy, ministra sekretarza stanu Księstwa Warszawskiego, doradził mu oddanie mnie pod dozór kapitana Schelliga. Hołd Tobie, zacny Schelligu, cokolwiek umiem, tobie jestem winien, wpoiłeś we mnie zasady honoru, wykształciłeś mnie i podałeś nauki, potrzebne do przyszłego zawodu mojego. Niestety, nie dokończyłem ich, wojna austryacka przerwała wykształcenie moje, a Schellig zginął od kuli austryackiej pod Wagram, ale o tem później.

W Dreźnie. Kapitan Schellig. Minister Breza. Grabowscy. Dobrzycki.

Ojciec mój nie mógł mnie stósowniej umieścić pod względem przyszłego zawodu wojskowego, który sobie obrałem, jak w szkole inżynierów i na pensyi u kapitana Schelliga. Rozpoczynały się zatem na nowo nauki moje po raz trzeci. Schellig zajął się mną gorliwie, jakoż nauczyłem się pod jego dozorem w przeciągu dwóch lat wszystkiego, co dotąd umiem. Poznałem był już, ile mi potrzeba pracować, chcąc powetować czas marnie stracony, a mogę powiedzieć, że dokładałem całej siły do nauki. Przeszedłem początkową matematykę, stereometryą trygonometryą, algebrę, poznałem planimetryą, mechanikę fortyfikacyjną, polową, uczyłem się strategii, fizyki, geografii, historyi narodów, rysunków topograficznych i języków rozmaitych. Przy dobrej chęci, otwartej głowie i pilności, nadzwyczajnie szybko postępowałem. W r. 1808 zabrał mnie Schellig ze sobą do swej pomocy przy rozmierzaniu trygonometrycznem kraju, co mi dostarczyło sposobność praktykowania i nabrania biegłości w rachunkach trygonometrycznych. Jestem przekonany, że byłbym został doskonałym inżynierem, gdyby nie była wojna 1808 r. przerwała moich nauk.

Ojciec mój polecił mnie w Dreźnie państwu Brezostwu. Pan Breza piastował urząd ministra sekretarza stanu przy królu saskim, a z całą rodziną swoją mieszkał w Dreźnie. Do-

znałem od nich, mianowicie ze strony pani Breziny, nadzwyczajnej opieki, byłem uważany przez nią jak własne dziecko, co niedziela musiałem się znajdować u ministra na obiedzie i zaprzyjaźniłem się bardzo z jego dziećmi, mianowicie z córką, dzisiajszą hr. Wołłowiczową. Względy pp. Brezów dały mi sposobność poznania kilku znakomitych rodzin, w Dreźnie przebywających. Zostałem wprowadzony przez nich do posła francuskiego, p. Bourguoin; poznałem p. Zabiełłę, hrabinę Loos i wielu innych. Odnowiłem także dawną znajomość z panią Grabowską, która mnie widywała w Warszawie u mojej matki. Wizyty oddawałem tylko w niedzielę albo w środę, jeżeli byłem zaproszony na bal jaki u tych państwa; inne dni, do nauk przeznaczone, przepędzałem w klasach. Czując potrzebę wykształcenia się, potrafiłem wydołać wszystkiemu; pracowałem gorliwie, po balu częstokroć siedziałem połowę nocy następnej nad zadaniem jakiem, aż je rozwiązałem. Schellig mruczał wprawdzie na owe zaprosiny w czasie karnawału r. 1809, ale, widząc pilność moją, nie sprzeciwiał im się. Zmieniałem wtedy mundur podoficerski, ubierałem się elegancko po cywilnemu i dalej! do pp. Brezów lub na jaki wieczór tańcujący, gdzie mnie zawsze chętnie wszędzie widziano, bom był niezmordowany. Pamiętam, żem u p. Bourguoin tańcował kozaka przed panią Staël de Holstein, sławną autorką »Korynny«. Nabierałem w ten sposób także owej ogłady salonowej, o którą się matka moja tak bardzo starała dla swych synów.

W tejże epoce byli dla edukacyi swojej w Dreźnie Józef i Adam Grabowscy z Poznańskiego, Dobrzycki z Kaliskiego, Gliński z Kujaw i Morzycki także z Kujaw. Oprócz Józefa Grabowskiego wszyscy już poumierali, Adam Grabowski w samym kwiecie młodości. Miał piękny majątek, jego dzieci służą. Józef Grabowski, brat jego, poszedł inną koleją; odbył kampanie r. 1813 i 14, został szefem szwadronu i otrzymał krzyż legii honorowej. Później był prezesem Landszafty w Poznaniu, został hrabią, marszałkiem sejmu prowincyonalnego w Poznaniu, szczególne względy pozyskał sobie u dworu pruskiego. Dobrzycki, w owym czasie świeży jak róża, skromny jak panienka, rozpił się w Kaliskiem; wszedł do służby saskiej, zwaryował skutkiem pijaństwa i zabił się, wyskoczywszy z okna

w Dreźnie. Gliński i Morzycki poumierali w swoich dobrach. Ojciec Dobrzyckiego, p. chorąży Dobrzycki, dziedzic Nakwasinowa w Kaliskiem, a innych dóbr w Poznańskiem, był jeden z najsławniejszych pijaków czasu swego; rzadko kiedy się upił, a gdy trunek go ogrzewał, kurzyło mu się z czupryny jak z komina; gdy głowa mu się wyparowała, pił na nowo. Baron Schweinichen, Ślązak i taki sam pijak jak Dobrzycki, usłyszał o sławie Polaka; chciał doświadczyć, czy zasługuje na nią i w tym celu przybył do Poznania na transakcye świętojańskie. Umówili się antagoniści i wobec wielu świadków zaczęli się próbować. Dobrzycki nalał wazę na 12 osób winem węgierskiem, wziął ją oburącz i wypił do Ślązaka; ten go wstrzymał. »Nie tak, odezwał się, ja nie pijam małymi kieliszkami.« Jakoż kazał sobie podać rodzaj szklannego węborka, przywiezionego naumyślnie ze sobą, i duszkiem wychylił do Dobrzyckiego. Chorąży przypiął się także do statka, ale mu tchu zabrakło i musiał odpocząć, a zatem przegrał zakład, lubo nie pozostawił w węborku ani kropli wina.

Tak pijali jeszcze w r. 1806.

Będąc w korpusie saskich inżynierów, oczywiście zapoznałem się z wielu Sasami; łagodne ich usposobienie wpłynęło na mój zbyt żywy charakter; koledzy potrafili przykładem swoim powściągnąć nieco moją popędliwość i lekkomyślność. Byłem sam jeden Polak pomiędzy Niemcami, musiałem się więc do nich zastosować; żywości mojej nie potrafiłem jednak całkowicie powściągnąć, a dla tego nazywali mnie: »Der wilde Pole«.

Podróż po krajach saskich.

Udałem się w miesiącu czerwcu 1808 r. w okolice Plauen, Saalfeld i Ziegenrück dla rozmiaru trygonometrycznego kraju, oraz dla oszacowania lasów rządowych jako pomocnik kapitana Schelliga. Zwiedziłem całą okolicę pomiędzy Plauen, Altenburg, Saalfeld, Eisenach; główna nasza kwatera była w miasteczku Ziegenrück nad rzeką Salą, leżącem w wąwozie pomiędzy górami wysokiemi. Była w pobliżu rudera starożytnego zamku rycerskiego, mającego jak każde podobne

zwalisko, swoją legendę o skarbach w nim ukrytych i duchach pokutujących. Bardzo wiele takich zwalisk znajduje się w tej okolicy, pochodzą one z czasu feudalności, a nazwa ich, »Die Thüringischen Raubschlösser«, dostateczną wskazówką, w jakim celu były one wystawione. Mieszkała tam szlachta, trudniąca się rabowaniem po gościńcach. Niektóre z tych starożytnych ruin, pomników z dawnego czasu, stały w nadzwyczajnie romantycznem położeniu, trudno mi było opuścić widok owych baszt, opierających się od wielu set lat wpływowi czasu.

Odbyliśmy wtedy pielgrzymkę do Wartburga, owego mniemanego więzienia Marcina Lutra, skąd toczył walkę z papieżem. Oglądałem kamień, wskazujący miejsce, gdzie poległ Ludwik, książę pruski, w r. 1806; zginął z ręki podoficera szaserów francuskich w pierwszych dniach wojny z Napoleonem. Prosty kamień ciosowy z napisem: »Hier fiel Ludwig von Preussen im Jahre 1806«, oznacza miejsce, w którem książę padł.

Saksonia była i zawsze pozostanie klasyczną ziemią rozlewu krwi w Niemczech.

Tak nam było dobrze w Eisenach, żeśmy kilka dni zabawili w tem schludnem mieście. Tu przybiera już cała okolica powierzchowność ciągłego ogrodu dla drzew owocowych, po polach pozasadzanych. Stąd wywożą na północ krocie korcy bursztówek, które stanowią znaczną gałąź handlu dla mieszkańców. W rok później uległo to piękne miasto okropnemu przypadkowi; prowadzono albowiem prochy dla wojska i w samem mieście wyleciało kilka furgonów w powietrze. Cała ulica została zniszczoną.

Przybywszy do Weimaru, zastaliśmy nadzwyczajny ruch w całem mieście; sposobiono się bowiem na przyjęcie monarchów, mających przybyć na kongres do Erfurtu. Mieli się zjechać cesarz Napoleon z cesarzem Aleksandrem. Właśnie przybyli monarchowie do Erfurtu w czasie bytności naszej w Weimarze. Sprowadzono z Paryża do Erfurtu, cokolwiek mogło posłużyć dla rozrywki wysokich gości, a pomiędzy innemi i aktorów. Na jednem przedstawieniu wyraził się aktor: »L'amitié d'un grand homme est un bienfait des cieux«. Cesarz Aleksander uścisnął w obec dygnitarzy przytomnych rękę Na-

poleona i wyrzekł głośno: »Je l'apprécie«. Mój Boże, jakże zapomniał o tej przyjaźni 1814 r.! Ale w Erfurcie silił się na przekonanie wszystkich o swej sympatyi dla cesarza Francuzów. Książę weimarski dawał wielkie polowanie dla monarchów, na którem ubito w polu kilka tysięcy zajęcy w przeciągu kilku godzin.

Całą podróż po księstwach saskich odbyliśmy pieszo, Schellig nam przewodniczył, podróż trwała do późnej jesieni, poczem powróciliśmy przez Lipsk do Drezna.

Wojna 1809 r. Bernadotte.

Znów rozpoczęły się nauki w klasach i odwiedziny po domach, gdziem był wprowadzony; nie traciłem czasu, pracowałem gorliwie, chcąc koniecznie postąpić na oficera. Schellig czynił nadzieję, że w ciągu roku będę mógł złożyć egzamin.

Korpus marszałka Davousta (księcia Auerstaedt) przechodził w pierwszych dniach grudnia przez Drezno; 111 pułk stanął na spoczynek w tem mieście. Jakżem się uradował, spotkawszy się na ulicy z kapitanem Paris, dobrym moim przyjacielem! Uściskał mnie i naśmiał się serdecznie z kroju munduru mego, przypominającego czasy Ludwika XIV. Zaprowadził mnie do pułkownika Husson, który mnie już nie chciał puścić, wszakże dozwolił, ażebym wziął urlop od Schelliga na ten dzień cały, który był jednym z najweselej przepędzonych w życiu mojem. Husson, radził mi, ażebym przeszedł do francuskiego wojska, skoro oficerem zostanę, i obiecał pomoc, jeżeli będzie taka moja wola.

Z wiosną 1809 oczekiwano co chwila wojny z Austryą, rozkazano fortyfikować Drezno; wojsko saskie przeszło na stopę wojenną. Mnie rozkazano wznieść redutę na Osterwiese, opatrzoną czterema bankietami i 12 strzelnicami, pozakładać palisady i magazyn do prochów. Do tej pracy dodano mi dwie kompanie piechoty i kilku saperów. W 4 dni była reduta ukończoną ku zadowolnieniu generała Gersdorfa, szefa sztabu wojska saskiego. Liczyłem na ówczas 17 lat, mogłem sobie tuszyć, że posunę się w wojsku, czułem, żem zrodzony na żoł-

nierza, a zapał mój dla Napoleona nie znał granic. Niestety, kampania 1812 zwichnęła całe plany moje, wielki człowiek uległ; widocznie strącony ręką Boską z wysokości swojej, a ja poszedłem do roli. Żałuję, żem nie uczynił jak wielu innych, mnie trzeba było się udać na wschód, ofiarować usługi moje wicekrólowi egipskiemu, a po rewolucyi lipcowej powrócić do Francyi, ale nie dostawało energii i miłość rodzinnego kraju przemawiała do serca. Gabinet wiedeński, odwieczny nieprzyjaciel Francyi, a mianowicie cesarza Napoleona, wybrał porę, gdy się on znajdował w Madrycie, a wojsko jego toczyło krwawą walkę z Hiszpanami, do wypowiedzenia wojny. Cesarz Francuzów powrócił spiesznie do Paryża; zabrał gwardyą i co było wojska pod ręką, zgromadził wojska konfederacyi reńskiej i stanął na linii bojowej. Austryacy opanowali od razu całą Bawaryą i królestwo wyrtemberskie, nawet zagrażali już granicom francuskim. Król saski i cała rodzina królewska ustąpili do Frankfurtu nad Menem, gdzie już się znajdowali królowie bawarski i wyrtemberski z dworami swoimi.

Marszałek Bernadotte (książe Ponte Corvo) objął dowództwo saskiego wojska. Jenerał Zeschwitz, dowodzący niem jako generał saski, słuchał jego rozkazów, generał Gersdorf był szefem sztabu saskiego korpusu. Wojsko składało się z dwóch dywizyi piechoty pod dowództwem generałów Zescha i Lecoque i z dywizyi konnicy pod dowództwem generała Tielemanna.

Książę Ponte Corvo, syn puszkarza z Grenoble, był aktorem przed rewolucyą francuską, zaciągnął się do wojska za czasów Ludwika XVI; był podoficerem, gdy wybuchnęła rewolucya, a został zaraz posunięty na oficera dla zastąpienia oficerów emigrujących.

Należał do zapalonych Jakobinów w czasie rządów Robespierra i dyrektoryatu. Napoleon zastał go generałem za powrotem z Egiptu, a że był zdatny i jemu przychylny, mianował go marszałkiem przy wstąpieniu na tron. Dowodził korpusem w kampanii r. 1805 przeciwko Austryi, po której został księciem Ponte Corvo. W roku 1806 okrył się sławą w wojnie przeciwko Prusakom; a w roku 1807 przeciwko Rosyanom.

W roku 1809 dowodził korpusem saskim; a gdy Anglicy zajęli Flissingen i kusili się o Antwerpią w roku 1809, wysłał

cesarz marszałka Bernadottego dla urządzenia obrony pobrzeża belgijskiego. Rewolucya w Szwecyi, pozbawiwszy tronu ówczesnego króla, powołała księcia Sudermanii do rządów krajem, a naród ogłosił Bernadottego jego następcą. Odtąd wyrzekł się dawny Jakobin swej ojczyzny, stał się nieprzyjacielem Napoleona, walczył przeciwko niemu, gdy po r. 1812 cała Europa przeciwko niemu powstała. Pod Lipskiem, Gross-Beeren, Jüterbock przelewał krew rodaków swych, przybył do Paryża po zajęciu tej stolicy przez sprzymierzonych, wstąpił wreszcie na tron szwedzki pod imieniem Jana IV, został lutrem, a, szczęśliwszy od bohatera, konającego na wyspie św. Heleny, umarł jako władca szwedzki i sprzymierzeniec Aleksandra.

Austryacki gabinet marzył o łatwem zwycięstwie. Napoleon był w Madrycie z największą częścią wielkiego wojska, kraje, należące do konfederacyi reńskiej, były po największej części ogołocone z wojska; związek, znany pod nazwiskiem Tugendbund, wzniecał niechęć ku Francuzom, już i bez tego posuniętą do wysokiego stopnia od czasu zaprowadzania systemu kontynentalnego. Prusacy pałali nienawiścią przeciwko Francuzom, a wnet partyzanci wystąpili przeciw Napoleonowi w Niemczech północnych. Wszystko zdawało się służyć planom austryackim. Ale mieli do czynienia z bohaterem, którego geniusz zniweczył rachuby, najlepiej ułożone.

Napoleon przybywa do Paryża na pierwszy odgłos zamiarów cesarza Franciszka, zabiera gwardyą, zatrzymuje korpus marszałka Davousta, zbiera rezerwy, a zanim wojska jego zdołały przybyć do walki, staje na czele wojsk konfederacyi reńskiej, uchodzących przed zastępami Austryi. Korpus saski, do którego należał Schellig i ja, opuścił Saksonią, aby się z cesarzem połączyć, który już zwyciężył Austryaków pod Regensburgiem na czele bawarskiego i wyrtemberskiego wojska.

Pomaszerowaliśmy przez Chemnitz, Plauen pod Stoft, wkroczyliśmy do Bawaryi, przebyliśmy Dunaj pod Straubingen, a w Passau połączyliśmy się z głównem wojskiem.

Prusacy, idąc tradycyjną koleją, przybrali dwuznaczną rolę. Król nie przestawał zaręczać posłowi francuskiemu o wiernem dotrzymaniu traktatów, a cichaczem wyprawiał partyzantów, działających niby z własnego popędu. Major pruskich

huzarów Schill wyruszył najpierwszy na czele połowy pułku swego. Źle mu się powiodło, zginął w Stralsundzie, cały jego korpusik został zniesiony, ale narobił wiele ambarasu. Westfalczykowie, lubo pod rządem brata cesarza, okazywali największą nieprzychylność dla niego i byli przygotowani do powstania, wstrzymały ich jednak zwycięstwa, nad Austryakami odniesione. Książę brunświcki stał się rzeczywiście groźnym, wystąpił na czele czarnej swej legii, do której przybywali ochotnicy z całych Niemiec północnych, wkroczył do Lipska, gdzie nałożył kontrybucyą, przebiegł całe królestwo westfalskie, pobił francuską dywizyą, a umiał się każdocześnie tak zgrabnie wyślizgnąć, że mu nie potrafiły dokuczyć ścigające wojska. Bardzo dopomagali mu mieszkańcy, uwiadamiając go o wszystkich obrotach nieprzyjaciół. Wreszcie dostał się do Hamburga, w Kuxhafen wsiadł na angielskie okręty. Ale nie należy do mnie opisywać kampanią 1809 r., ja tylko moje przygody kreślę.

Nienawiść Niemców do Francuzów wzmagała się z każdym dniem. System kontynentalny, niweczący cały handel w Europie, ucisk i zubożenie kraju, przymus żywienia wojska francuskiego i płacenia kontrybucyi, a nareszcie upokorzone uczucie narodowe u Niemców zniechęcały ich do Napoleona.

Profesorowie po uniwersytetach niemieckich wielce się przykładali do podburzania umysłów przeciwko niemu, jawnie głosili z katerdr powszechne powstanie narodu przeciwko ciemiężycielowi ludów. Nawet Sasi nie byli Francuzom życzliwi; a lubo z jedynej łaski Napoleona kraj ten wzmógł się w potęgę, wszakże złorzeczyli cesarzowi Francuzów. Słyszałem nieraz oficerów saskich, wynurzających nadzieję, że tym razem Napoleon ulegnie, a radujących się zawczasu na nastąpić mające oswobodzenie Niemiec.

Wojna austryacka przerwała edukacyą moją na dobre. Gdybym był dokończył nauki inżynierskiej, znajdowałbym się po dziś dzień niezawodnie na czele znacznego jakiegoś zakładu przemysłowego albo bym był inżynierem przy kolei żelaznej, nieszczęście wszakże chciało, że moje nauki przerwane zostały właśnie wtedy, gdym najwięcej z nich poczynał korzystać. Liznąłem, jak to mówią, wszystkiego po troszę, ale nie umiałem

nic dokładnie. Lubo posiadałem już nieco teoryi, wszakże żadnej praktyki nie miałem, a tu przerywała otwierająca się kampania nagle cały bieg szkolny. Wychodziłem w świat jako młokos niedoświadczony, pełen krwi gorącej, a mający wśród kampanii wielką łatwość puszczenia wodzy wszelkim namiętnościom. Żem nie został łotrem, dzięki Opatrzności, dzięki wam rodzice, a mianowicie matko, któraś pomimo srogości swej dla mnie wlała w serce moje zasady chrześciańskie i uczucia honoru! Błądziłem wiele razy w życiu mojem, zeszedłem kilkakrotnie z drogi cnoty, wszakże zawsze nawróciły mnie zasady religijne, w dzieciństwie wpojone, nigdy nie zapomniałem o Bogu, a wiara moja, chwilowe westchnienie do Boga, nawróciły mnie zawsze z bezdroża na tor pracy.

Jako przykomenderowany do sztabu głównego miałem prawo jechać konno. Schellig kupił mi dwa konie, na jednym z nich jechał służący, przyjęty dla nas obydwóch. Służba moja niczem nie była; Schellig, nie chcąc się ze mną rozłączyć, mienił, że mu jestem potrzebny, a z tego powodu udzielono mi rozkaz wyruszenia z korpusem. Wlokłem się zatem za sztabem, oddany sam sobie, niekiedy używano mnie do pisania raportów w kancelaryi szefa sztabu, ale ponajwięcej byłem bez zatrudnienia. Przybywszy na kwaterę, szukałem rozrywki w mieście, szedłem do kawiarni, hulałem z podoficerami, bo nie mogłem się bratać z oficerami. W marszu ciekawie się zajmowałem okolicą, dla mnie zupełnie nieznajomą, jej mieszkańcami, tyle odmiennymi od tych, com widział dotąd. Nadzwyczajnie mnie zadziwiło, gdym po raz pierwszy ujrzał woły zaprzężone, czołem i ciałem ciągnące wozy, a kute jak konie.

Jak mówiłem poprzednio, składał się korpus saski z dwóch dywizyi piechoty i z dywizyi konnicy. Towarzyszyło mu mnóstwo kobiet, albowiem każdy nieomal żołnierz saski był żonaty, a owe żony chciały wszystkie mężom towarzyszyć. Musiano je po kilka razy odpędzać, wszakże znajdowały się przy pułku po kilku dniach, a oficerowie im ułatwiali nawet ten udział w losach małżonków. Piechota saska, ubrana była w białe mundury, a różniła się wyłogami według pułków. Dwa bataliony gwardyi pieszej nosiły mundury ponsowe

z wyłogami i kołnierzem paliowym, na głowie mieli bermyce. Pułk »Gardes du corps«, który także należał do korpusu, miał kolety paliowe z wyłogami, kołnierzem i łapkami szafirowemi, białe łosiowe spodnie, buty palone, na głowach nosili natenczas jeszcze żołnierze stosowane kapelusze z piórem. Ten pułk pełnił służbę wewnątrz zamku królewskiego na pokojach i był pierwszym w wojsku saskiem, liczył się do ciężkiej jazdy. W dalszym czasie przemieniono mu kapelusze na hełmy wyzłacane. Pułk kirasyerów gwardyi nosił białe kolety z ponsowemi wyłogami, kołnierzem i łapkami, łosiowe spodnie, buty palone i tak samo kapelusze stosowane jak »Gardes du corps«, które także przemieniono na hełmy stalowe w późniejszych latach. Pułk ten nosił na piersiach czarne szmelcowane kirysy, na plecach ich nie miał. Pułk karabinierów saskich był tak samo ubrany jak kirasyery, z różnicą, że nie miał kirysów, a miał czarne wyłogi, kołnierze i łapki u koletów. Owe trzy pułki składały brygadę jazdy ciężkiej. Dwa pułki dragonów tworzyły brygadę jazdy lekkiej. Ci nosili ponsowe kolety. Jeden pułk (księcia Jana) miał czarne wyłogi, drugi pułk (księcia Alberta) miał seledynowe wyłogi, oba pułki miały żółte spodnie łosiowe, buty palone, kapelusze na głowach z piórem. Cztery baterye pozycyjne piesze i dwie lekkie baterye konne były przydzielone do saskiego korpusu. Artylerya saska, słynna z dokładności swojej, miała zielone mundury, wyłogi i kołnierze czarne, a wypustki ponsowe. Nosiła się całkowicie jak artylerya polska.

W kraju pozostała jeszcze jedna dywizya piechoty, pułk kirasyerów, pułk huzarów, dwa pułki dragonów i zakłady. W czasie wojny utworzono dwa nowe bataliony celnych strzelców.

Usłyszałem pierwszy huk armat, głucho dochodzący mnie w marcu z Hoff do Straubingen. Znajdowałem się pomiędzy górami, sam jeden jechałem konno, spoglądając ciekawie na chaty jakby przylepione do skały; były z kamienia, a deskami pokryte, na deskach ciężały duże kamienie dla zabezpieczenia ich od wiatrów, niekiedy bardzo gwałtownych w tych okolicach bezludnych. Nędza mieszkańców ponad granicą czeską dochodziła do wysokiego stopnia; żywili się ponajwięcej owsia-

nym chlebem, chodzili obdarto; wiele pomiędzy nimi miało gardło wydęte wolą (des goîtres). Umysł ich był tępy i niepojętny snać cierpieli od urodzenia; za każdem słowem płakali, o co się chciało ich zapytać, zawsze odpowiadali, płacząc. Paskudny to był naród aż do samego Straubingen. Miasta zaś były bardzo schludne, domy wszystkie kryte łupkiem, co dla mnie było nowością. Bydło rogate było cudnej piękności.

Byłem sam jeden, jak powiadałem wyżej, gdym usłyszał kanonadę walczących wojsk pod Regensburgiem, każdy wystrzał zdawał się z pod ziemi wychodzić, czułem rodzaj obawy, połączonej z ciekawością, a niecierpliwie oczekiwałem chwili, kiedy i ja wezmę udział w walce. Marząc już o awansie, o krzyżu, o honorach, tymczasem wlekł się dzieciuch-podoficer za drugimi bez zatrudnienia i celu. Pyszne panorama rozwinęło się przedemną, gdym pod Straubingen wyszedł z wąwozu. Bogaty kraj, duże miasto, wielu gotyckiemi wieżami ozdobione, szeroki Dunaj, to wszystko było w pobliżu, a pasmo gór, lśniących od śniegu, jakby brylantami obsiane, ograniczało krajobraz z daleka. Cóż to jest? zapytałem się przechodzącego wieśniaka, wskazując na owe góry, ginące w oddaleniu. «Nu, das sinn das Tiroler Gebirg» odpowiedział mi chłopskiem narzeczem swojem.

Zatrzymałem konia, zsiadłem z niego i wpatrywałem się długo w pyszny obraz; duch mój wznosił się porówno z olbrzymami, które oglądałem. Myśl moja zwróciła się do Boga, pomyślałem o rodzinie; szeptałem cichą modlitwę, łzy miałem w oczach. Nigdy w życiu nie uczułem silniejszego wrażenia na widok pysznej przyrody. Zwiedziłem wiele krajów, błąkałem się po górach, płynąłem na rozhukanem morzu, ale uczucie, jakiego doznałem pod Straubingen, spoglądając po raz pierwszy na Alpy, już się nie powtórzyło.

W chwilach gwałtownego wrażenia stoją nam w myśli mimowoli osoby, drogie naszemu sercu; i ja pomyślałem o moich siostrach, o Siewieluńskim, o poczciwej i zacnej rodzinie Brezów. Wyobraźnia moja poniosła mnie het tam na piaski wolsztyńskie, do Warszawy, do Drezna, na bale, całe życie moje stanęło mi żywo przed oczami w pamięci. Bóg wie,

jakbym był długo siedział w myślach zatopiony, gdyby mnie nadchodząca artylerya nie była z nich wyrwała. Kapitan Raabe, dowodzący artyleryą, który mnie znał, zawołał do siebie i pomaszerowaliśmy razem.

Daleki był dobrobyt ludu w Bawaryi od mienia Sasów; wszakże dopiero w Passau potrafiłem się naocznie przekonać o następstwach wojny, spoglądając na ogólne zniszczenie kraju. Nie pojmuję dotąd, z jakiego powodu zabrał mnie kapitan Schellig na kampanią austryacką. Liczyłem 17 lat, uczyłem się gorliwie inżynieryi; on sam był zadowolony z moich postępów w tej gałęzi wojskowości. Zdaje się zatem, że rozsądek nakazywał pozostawić mnie przy moich naukach zamiast zabierać ze sobą, a później wypuścić całkowicie z pod opieki.

Jakoż robiłem, co tylko mi przyszło do głowy; miałem osobną kwaterę swoją, a gdy mi było potrzeba pieniędzy, dawał mi je Schellig. Oczywiście do smaku przypadał mi rodzaj życia takiego, lubiłem ową ustawiczną zmianę sceneryi, ale przyszło mi w następstwie nadzwyczajnie ubolewać nad wykształceniem niedostatecznem.

Cała okolica pomiędzy Passau a Linz była nie do opisania zniszczoną. Komendant cytadeli w Passau przyjął odwiedziny Schelliga i moje; opowiadał nam szczegóły o wtargnięciu Austryaków do miasta jeszcze przed wypowiedzeniem wojny.

Komendant zaledwie zdołał się zamknąć w cytadeli, tak bowiem niespodziewany i nagły był napad Austryaków. Kilku oficerów i żołnierzy, należących do załogi warowni, dostało się do niewoli w mieście, dokąd byli poszli za urlopem. Nieprzyjaciel wezwał komendanta do poddania cytadeli, ale napróżno, pozostawiono zatem jeden pułk dla rozpoczęcia oblężenia; reszta Austryaków pociągnęła dalej.

Zatrzymawszy się dwa dni w okolicach Passau, przekroczył korpus saski granicę austryacką w dalszym swoim pochodzie ku Linz. Zaledwo wojsko stanęło w tem mieście, dano znać o zbliżającym się nieprzyjacielu, od Czech nadciągającym. Uderzono w bębny, wojsko stanęło pod bronią i przebyło Dunaj po długim drewnianym moście. Pobiegłem i ja na plac walki, lubo nie miałem tam nic do roboty. Przyznaję się, że pierwsza kula armatnia, która mi koło uszu ryknęła, była po-

wodem wrażenia wcale niemiłego; byłbym się chętnie oddalił z placu bitwy, ale mnie punkt honoru zatrzymał. Udałem się zatem do bateryi kapitana Raabe, który mi powierzył działo; wytrwałem aż do końca, celując armatą. Cała walka potrwała ze dwie godziny, poczem się nieprzyjaciel cofnął. Widok rannych pobudził wielką litość w mem sercu, każdego rannego prowadziło kilku żołnierzy, czy tego potrzebował czy nie, aby się tylko oddalić z linii. Austryacy pozostawili nieco jeńców w naszych rękach; korpus ich oddalił się ku czeskiej granicy, a Sasi zajęli kwatery w Linz i okolicy.

Góra Pestlinzberg, na której stał kościół i klasztor, panowała na całą okolicą; tam wysłał ks. Ponte-Corvo brygadę saską, a Schelligowi kazał ufortyfikować to miejsce Przepędziłem dwa tygodnie na Pestlinzberg, zajęty okopaniem klasztoru według oznaczenia Schelliga. Austryacy podsuwali się o wystrzał armatni do nas, ale żadnego działania nie przedsięwzięli.

Przyłączyłem się jednego dnia do kilkunastu Francuzów, którzy się puścili do wiosek (à la maraude) tj. w celu rabowania. Zostaliśmy przez patrol austryacki przywitani. Żaden z nas nie miał broni, a zatem nie było co myśleć, tylko trzeba było zmykać czemprędzej. Szczęściem, że nam nasza wycieczka uszła bezkarnie; żaden z nas nie był bowiem ranny i nie schwytano żadnego. Odtąd nie wychodziłem à la maraude. W czasie pobytu naszego pod Linz zaszła bitwa pod Aspern, w której poległ marszałek Lannes (ks. Montebello), a wojsko francuskie nadzwyczajnie ucierpiało. Po owej krwawej bitwie był rodzaj spoczynku z obydwóch stron; przywołano do Wiednia korpus saski, a zatem opuściliśmy okolice Linzu, które miasto obsadzone zostało przez Wyrtemberczyków.

Wojsko nasze żyło kosztem kraju, cokolwiekbądź potrzebnem było, brano w rekwizycyą. Był to systemat, niszczący kraj, mały pożytek mający dla wojska, a korzystny tylko dla dowódców oddziałów, wysłanych za żywnością, albo dla dowódcy głównego, który zabierał, co mu wpadło w ręce, i do Francyi wysyłał. Generał Vandamme słynął z rabusiostwa, ale był zdatny i waleczny; Napoleon mówił o nim: «Si j'avais deux Vandammes, j'en ferais fusiller un.» Ten generał zabierał

wszystko; nawet sztachety żelazne, ogradzające niektóre zamki austryackich magnatów, zabrać kazał i swój własny pałac ogrodził takiemi próbkami we Francyi. Ów systemat rekwizycyjny wzmagał się codziennie i był po części przyczyną nieszczęść kampanii r. 1812, w której znaczna część wojska rozeszła się po Litwie na rabunek, kraj zniszczyła, a osłabiła siłę Francuzów.

Wyruszywszy z Linzu, przybył korpus saski do Amstetten nad Dunajem. Austryacy, przeprawiwszy się w nocy przez tę rzekę, napadli na owe miasto i wywołali wielki popłoch pomiędzy Sasami, śpiącymi smacznie po kwaterach; wszakże cofnęli się niebawem na łodzie swoje, uprowadziwszy nieco niewolników. Korpus nasz zatrzymał się w St. Poëlten, mieście, leżącem nad stokiem gór, a słynnem z bogatego klasztoru Benedyktynów, położonego na samej górze nad miastem. Tu nas doszła wiadomość o klęsce pod Aspern. Sasi się radowali, ale obawiali się także o własną skórę. Saski żołnierz nie był bitny, wszakże oficerowie mieli nadzwyczajne wyobrażenie o sobie. Ks. Ponte-Corvo wysłał brygadę saskiej piechoty, dwie baterye i pułk kirasyerów do Styryi dla powzięcia wiadomości o nadciągającem wojsku z Włoch. Generał Gerard prowadził ten rekonesans, Schellig i ja należeliśmy do niego.

Miałem zatem sposobność zwiedzenia Alp, których szczyty widziałem ze Straubingen. Byliśmy w lipcu, pogoda nam sprzyjała, pociągneliśmy pięknym i zamożnym krajem. Wnet wstąpiłem pomiędzy nagie góry, granitowe i łupkowe, okryte świerkami, tam, gdzie ziema nad niemi leżała. Przechodziliśmy przez długie i schludne wsie, leżące nad strumieniami w wązowach, mijałem wysokie piece i huty, ale ruchu nie było, wojna rozproszyła robotników. Już napotykałem niekiedy śnieg na szczytach gór, a przedemną wznosiły głowy swoje olbrzymy pasma tyrolskiego, całe lśniące odwiecznym śniegiem. Dla mnie, mieszkańca płaszczyzn polskich, zachwycającym był cały krajobraz.

Generał Gerard, pierwszy adjutant ks. Ponte-Corvo, przewodniczył całej wyprawie. Był to człowiek nadzwyczajnie łagodnego usposobienia, uprzejmy i grzeczny, a obok tego dzielny żołnierz. Nie chciał marszałkowi towarzyszyć do Szwecyi, gdy został obrany następcą tronu w Sztokholmie, pozostał wier-

nym Napoleonowi; prześladowany za Bourbonów, jak wszystko, co należało do wojska cesarskiego, powrócił do służby za Ludwika Filipa, oblegał i wziął cytadelę w Antwerpii w czasie wojny Belgijczyków z Holendrami, a umarł marszałkiem francuskim, nie doczekawszy się powrotu dynastyi Napoleona. Otóż generał Gerard, słysząc mnie całkiem płynnie mówiącego po francusku, użył mnie do korespondencyi pomiędzy marszałkiem a nim, kazał mi także zdjąć plany okolicy, przez którą przechodziliśmy. Pierwsze poszło mi gładko, drugie trudnem nie było, jednakże przyszedł mi Schellig w pomoc, zdejmowałem szkic drogi, którą brygada przechodziła, nie zsiadając z konia. Schellig nauczył mnie poznawać dystanse, a przybywszy na kwaterę, rysowałem na papierze takie plany i codziennie oddawałem generałowi. Poznałem się w tym pochodzie z ks. Bernardem weimarskim, w owym czasie porucznikiem saskim w Gardes du corps, bardzo zaprzyjaźniliśmy się, będąc nieomal w równym wieku. Do dzisiaj znajduje się książę ten w służbie holenderskiej, gdzie jest generałem lejtnantem.

Nie można było odbyć przyjemniejszej wyprawy od rekonensansu tego, nigdzie nie było śladu nieprzyjaciela, kraj obfitował we wszystko, na kwaterach była wszelka wygoda, a przecudowne powietrze podnosiło urok krajobrazu. Pod miastem Bruck napotkaliśmy forpocztę armii włoskiej; białe mundury saskich kirasyerów były powodem, że nas Włochy wzięli za Austryaków, ale hr. Schulenburg, dowodzący naszą szpicą, sam jeden udał się do wojska włoskiego, któremu dał się poznać.

Oczekiwałem z niecierpliwością na nominacyą na oficera, położenie moje było mi bardzo nieprzyjemne w podrzędnem stanowisku mojem, zwłaszcza, że oficerowie sascy dali mi nieraz uczuć, że nie należę do ich społeczeństwa. Generał Gersdorf, szef sztabu korpusu saskiego, wziął mnie pod szczególną swą opiekę od samego początku kampanii, przedstawił mnie na podporucznika, ja z swej strony napisałem do pani Breziny i do ministra Boosego, prosząc o ich wstawienie się za mną. Zabiegi moje wzięły skutek pożądany, jakoż nadesłano mi do Bruck patent na podporucznika inżynierów saskich. Tu wyznaję szczerze, że na całym świecie nie było mniej uzdolnionego inżyniera odemnie, potrafiłem się ocenić, nie dałem się ułudzić



Adam z Błociszewa Gajewski.

miłością własną i dla tego translokowałem się wkrótce do kawaleryi saskiej. Starałem się jednakże w czasie późniejszym o nabycie nie dostarczających mi wiadomości, dużo pracowałem i czytałem i tuszę sobie, że byłbym został dobrym generałem, gdyby zmiana szczęścia i usunięcie Napoleona z tronu francuskiego nie były koniec położyły memu zawodowi wojskowemu.

Oficerowie sascy polubili mnie od początku kampanii; młodzi porucznikowie od kirasyerów, dowiedziawszy się o moim awansie, zabrali mnie w Bruck do cukierni i hucznymi wiwatami przyjęli do koleżeństwa. Dobrzy koledzy, dotąd słodkie dla mnie czasu tego wspomnienie. Pomiędzy nimi odznaczał się porucznik Lagrange swoją życzliwością. Świeżo przeszedł z wojska pruskiego do saskiego, był zapalonym patryotą niemieckim, należał do Tugendbundu; zabił się we dwa lata później w Dreźnie upadnięciem wraz z koniem na ulicy. Otóż poczęto grać w kostki w tej kawiarni, ja nie miałem wyobrażenia o tej grze, Lagrange kazał mi stawić kilkanaście guldenów na stół i rzucać kostki, niebawem wygrałem tysiąc guldenów, które mi przyszły właśnie w porę na umundurowanie się, ponieważ tak ja, jak i Schellig byliśmy bez funduszów.

Powróciwszy z wyprawy naszej do St. Pöelten, zameldowałem się w sztabie i otrzymałem niebawem urlop do Wiednia od generała Gersdorfa celem umundurowania się. Lagrange chciał mi towarzyszyć, jakoż pojechaliśmy razem konno do stolicy austryackiej. W Wiedniu zabawiłem tydzień, w którym czasie oporządziłem się po oficersku i zwiedziłem całe miasto.

Francuzi ponieśli nadzwyczajną stratę pod Aspern; zerwanie mostów na Dunaju było tego przyczyną. Oprócz walecznego marszałka Lannes poległo wielu generałów. Kirasyery nieomal wszyscy poginęli, a jakie 20 000 piechoty legło na placu. Po tej bitwie widział się Napoleon zmuszony wstrzymać dalsze działanie. Austryacy snać potrzebowali także odpoczynku, ponieważ nie działali zaczepnie. Powstanie Tyrolczyków, mających Andrzeja Hofera na czele, zajmowało wojsko bawarskie, włoskie wojsko, niby to pod dowództwem Eugeniusza Beauharnais, a kierowane rzeczywiście przez marszałka Messéna, musiało nadciągnąć, zanim Napoleon mógł przedsięwziąć zaczepne kroki. Z tego powodu panował rodzaj

rozejmu pomiędzy głównemi wojskami; Francuzi strzegli prawego brzegu Dunaju, a Austryacy bronili lewego; ich forpoczty dochodziły pod sam Leopoldstadt, jedno z przedmieść Wiednia. Biwaki francuskie znajdowały się na Praterze i wyspie Löbau. Cesarz Napoleon założył główną kwaterę swoją w Schönbrunn, Wiedeń był Francuzami obsadzony i tam bawiono się doskonale, arystokracya bowiem kraju, która pozostała w stolicy, otworzyła salony swoje Francuzom, lud wszakże austryacki okazywał nam wielką niechęć, czuł upokorzenie swoje skutkiem tryumfalnego wkroczenia wojska francuskiego do stolicy Habsburgów, przy którem nieśli grenadyerzy gwardyi kilkadziesiąt chorągwi austryackich. Kontrybucya, na miasto nałożona przez cesarza Francuzów, boleśnie dotknęła mieszkańców Wiednia, już i bez tego zmuszonych żywić wojsko francuskie. Nie można się było jednakże skarżyć na Wiedeńczyków, okazywali się usłużni i grzeczni; jakie było wewnętrzne ich usposobienie, w to mi nie wchodzić. Zresztą nie dopuszczała czujność policyi francuskiej do jakiegośkolwiek wybuchu patryotycznego ze strony pospólstwa, cichaczem radowano się w mieście ze skutków bitwy pod Aspern, wszakże świetna wygrana pod Wagram zmieniła wnet chwilowe ukontentowanie Wiedeńczyków na smutek.

Któryż to Polak nie zwiedzi, przybywszy do Wiednia, stanowiska króla Jana III, gdy oswobodził ową stolicę od Turków? I ja kazałem się zaprowadzić na Kalenberg, a spoglądając z tej góry na wieże kościoła św. Stefana, żałowałem, że król Sobieski marnie krew polską przelewał za sprawę niewdzięcznego i chytrego potomka Habsburgów. Ludwik XIV był lepszym politykiem, nie bronił Austryaków; Jan III, walcząc za ich sprawę, ratował tych, którzy wzięli udział w rozbiorze Polski. Nie można jednakże twierdzić, aby ocalenie Wiednia było przyczyną rozszarpania ojczyzny mojej, ale uratowało dynastyą, wiecznie nam nieprzyjazną, która skwapliwie podała rękę projektowi, uknutemu w nigdy nienasyconym gabinecie berlińskim.

Zwiedziłem szczątki tureckich bateryi, a raczej miejsce, na którem się wznosiły, przewodnik wskazał mi miejsce polskiego obozu. Przenosiłem się w duchu do owego czasu, gdy orły nasze spędzały półksiężyc z pod Wiednia. Nazajutrz po

świetnem zwycięstwie Sobieskiego już mu się oswobodzony cesarz niechętnym okazał przy pierwszem spotkaniu z królem polskim. Rzadko który Wiedeńczyk dzisiajszy wie o oswobodzeniu miasta swego przez Polaków, zna on: »Die Türken-Schanzen«, ale nie umie powiedzieć o wypadkach dziejowych. Gdym był w Wiedniu, mieli Austryacy zanadto do myślenia o Napoleonie, ażeby ich zajmowały wypadki dawniejsze.

Umundurowawszy się, pobiegłem oglądać paradę, odbywaną codziennie w Schönbrunn przed cesarzem. Liczna publiczność zbierała się tam codziennie, nie broniono nikomu przybliżyć się do cesarza, zachowując wszakże odstęp przyzwoity. Widziałem na owej paradzie ks. Jana Lichtensteina, generała austryackiego, przybyłego z innym generałem austryackim do głównej kwatery francuskiego wojska. Ks. Bernard weimarski, właśnie obecny w Schönbrunn, który się zaraz przyłączył do mnie, nie mógł się wydziwić nędznej powierzchowności tych Austryaków. On, Lagrange i ja przepędziliśmy wesoło ten dzień.

Na wyspie Loebau. Szwoleżery. Wagram.

Korpus saski nadciągnął także pod Wiedeń i rozłożył się biwakiem na wyspie Loebau. Mnóstwo oficerów saskich zwiedziło stolicę, przybył do niej i generał Gersdorf, któremu się niezwłocznie zameldowałem; kazał mi pozostać przy swojej osobie, a nazajutrz zabrał z sobą na wyspę Loebau, gdzie się z Schelligiem znowu połączyłem. Wyspa była przepełniona wojskiem rozmaitem. Właśnie nadciągał pułk szwoleżerów Krasińskiego, jeden z najpiękniejszych w francuskiem wojsku. Ubrany był w kurtki granatowe ułańskie z wyłogami, kołnierzem, łapkami i wypustkami amarantowemi po wszystkich szwach. Żołnierze nosili granatowe rejthuzy o jednym lampasie amarantowym, mieli czapki amarantowe ułańskie i pióra białe, na czapkach jaśniało z przodu pozłacane półsłońce promieniejące, w środku którego było N srebrne. Nosili białe szlify i akselbandy włóczkowe, oficerowie zaś srebrne kordony takie same u czapek, lederwerki białe, czapraki granatowe,

poszyte czarnym barankiem w środku, a obszyte amarantową szeroką oblamką na około, na rogach czapraka wyszytą była litera N z sukna amarantowego z koroną nad literą. Żołnierze byli uzbrojeni w lance z proporcem na pół białym, na pół amarantowym, mieli pałasze szaserskie, karabinki i pistolety. Pułk ten, świeżo zaliczony do starej gwardyi w nagrodę za świetną szarżę w wąwozach Somo Sierry w Hiszpanii, liczył jakie 2000 koni. Pierwszy go widziałem raz na wyspie Loebau. Znajdował się w nim Ambroży Skarżyński, mój krewny i szkólny kolega. Z radością wzajemną przywitaliśmy się, ale krótką była chwila naszego widzenia się, każdego bowiem służba wołała w inną stronę.

O dachu, pod którym możnaby się było schronić na wyspie Loebau, nie było mowy, cała albowiem wyspa była wojskiem przepełnioną. Cesarskie namioty w pasy białe i błękitne rozpięto wśród biwaku grenadyerów starej gwardyi. Pułkom naznaczono stanowiska, szałasów nawet nie było z czego robić, wszyscy byliśmy pod gołem niebem.

Słońce nachylało się ku zachodowi po za starymi dębami, zdobiącymi wyspę Loebau, po skwarnym dniu lipcowym nastąpił przyjemny chłód powietrza. Pułki rozłożyły się w bliskości głównego koryta Dunaju, rozkiełznano konie i każdy pomyślał o jadle. Tysiące markietanek, zaopatrzonych żywnością, z Wiednia sprowadzoną, wabiło głodne żołądki do swych koczowisk, żołnierze, rozpaliwszy ognie, poczęli gotować strawę. Ja, nakupiwszy żywności w Wiedniu, podzieliłem się z Schelligiem, który nic nie miał do jedzenia, powiedziawszy nawiasem, i nadzwyczajnie mi był wdzięczny za przezorność moją. Kazawszy sobie zrobić rodzaj namiotu z der koni naszych, spodziewaliśmy się przepędzić noc jako tako: »L'homme propose et Dieu dispose«, mówi przysłowie francuskie, wnet mieliśmy doznać całej jego prawdy. Śpiewy, krzyki, wołania rozlegały się po okolicy. Tysiące ognisk biwakowych jaśniały po obu brzegach rzeki. Bliższe ognie były nasze, opodal świeciły na widnokręgu blade ognie nieprzyjaciela. Noc była cudnie piękna, miliony gwiazd przepełniały firmament, żadna chmura nie okazywała się na niebie, ale powietrze było parne. Zwolna począł ustawać cały gwar, żołnierze zasypiali jedni

po drugich, ognie gasły. Co do nas, obwinięci w płaszcze, Schellig i ja, znajdowaliśmy się w głębokim śnie pogrążeni, gdy nas przebudza huk dział, połączony z łoskotem grzmotu, a ulewny deszcz do reszty otrzeźwił. Wnet byliśmy na nogach, toaleta nasza nie potrwała dwóch minut, a każdy pobiegł poszukać schronienia przed ulewą. Ja podlazłem pod kuźnią wojskową, ale i tam przemokłem zupełnie.

Marszałek Masséna rozpoczął w nocy z 5-go na 6-go lipca ową sławną bitwę pod Wagram. Przeprawił się około 3-ciej z rana przez Dunaj po moście, rzuconym na głównem korycie tej rzeki, a przypuszczał szturm do miasta Enzersdorf na czele 40000 korpusu swego. Jakiż to był okropny, ale i pyszny widok! Lubo cały przemokły, patrzyłem z ciekawością na scenę. Chmury okryły niebo, grzmot rozlegał się po całym firmamencie, błyskawice pruły w rozmaitych kierunkach czarne obłoki. W oddaleniu gorzało nieszczęśliwe Enzersdorf, tysiące ognistych pocisków spadało, świetne elipsy tocząc po niebie, na miasto w płomieniach; grzmot dział przyłączał się do poawu przyrody, a krzyki żołnierzy szturmujących dochodziły chwilami aż do nas. Niebawem odezwały się po całej wyspie bębny i trąby, wołające żołnierzy pod broń, wszystko było w ruchu. Nadedniem minęła nawałnica, chmury uleciały, a słońce, wschodzące w całym majestacie swoim, zwiastowało dzień pogodny. Wojsko stało uszykowane, pontonierzy kończyli 3-ci most łyżwowy, cesarz wydał rozkaz, przeprawa przez Dunaj poczęła się.

Dzień 6-go lipca 1809 r. pamiętnym będzie w dziejach świata; dla nas był to dzień chwały i krwawych bojów. Iluż to kolegów nie doczekało się zachodu tego pysznie wznoszącego się słońca, a, wychodząc na pole bitwy, mało kto miał przeczucie o zgonie swoim. Kochany Schellig nie spodziewał się śmierci. »Es wird heute heiss werden«, mówił mi, wsiadając na koń. Oj, doprawdy dwojakim sposobem było nam gorąco. Schellig padł na placu boju i nie doczekał się jutrzenki. Pokój tobie, zacny człowieku, moja wdzięczność nie wygaśnie dla ciebie do zgonu mojego! Biedny Schellig pozostawił żonę i dzieci bez majątku, syna widziałem w czasie kampanii 1813 r., był natenczas porucznikiem strzelców pieszych, nie wiem, jaki los był córki.

Biblioteka

Wojsko francuskie przeprawiało się od samego rana, nasz korpus stał uszykowany, oczekując swej kolei. Stara gwardya defilowała przed nami cicho, w porządku największym, przy odgłosie muzyki wojskowej, w paradne mundury ubrana. Opodal rozlegała się wrzawa boju, armatni ogień wzmagał się widocznie, Enzersdorf stało w płomieniach. Przyszła i na nas kolej; książę Ponte-Corvo wydał rozkaz, a saskie wojsko przeprawiło się za starą gwardyą, ekwipaże nasze pozostały na wyspie.

Enzersdorf było na drodze naszej, przeszliśmy przez owe miasto, zasłane trupami i na wpół spalone, a za niem rozwinął się korpus na polach pod ogniem nieprzyjaciół. Ks. Ponte-Corvo kusił się o wieś Adlerklaa, bronioną przez Austryaków; na prawo i lewo grzmiały działa; w tej chwili przyłączyły się i nowe armaty do ogólnej muzyki.

Niepodobieństwem, ażeby oficer pojedyńczy mógł objąć wzrokiem ogólne działanie wojsk w czasie bitwy; walczy na miejscu jednem wskazanem i widzi tylko, co się bezpośrednio dzieje na około niego; o reszcie może się tylko domyślać. Znajdowałem się właśnie w takim przypadku; widziałem szyki austryackie przedemną pod wsią Adlerklaa, widziałem nasze wojsko, idące ku nim batalionami, widziałem ludzi, padających od kul armatnich, widziałem wielu, zmykających lub kryjących się po rowach, słyszałem wrzawę wojny naokoło, ale nic nie mogę powiedzieć o ruchach ogólnych, a nie chcę przepisywać buletynu, opisującego bitwę.

Piechota saska posuwała się śmiało na wieś. Zastępy austryackie poczęły się posuwać na nasze prawe skrzydło, zapewne w myśli oskrzydlenia naszej linii. Ks. Ponte-Corvo stanął na czele pułku Gardes du corps i kirasyerów i przypuścił atak na nieprzyjaciela, zbliżającego się z tej strony. Austryackie szyki, lubo silną artyleryą wsparte, zostały rozbite w mgnieniu oka; 12 armat nieprzyjacielskich dostało się w ręce nasze i jakie tysiąc niewolnika. Hr. Schulenburg, porucznik kirasyerów, zdobył chorągiew; major baron von Hoyer od Gardes du corps był ranny kulą karabinową; kilkadziesiąt żołnierzy legło z naszej strony. Niema to jak wojsko austryackie, żeby dostać w skórę — po pierwszym wystrzale rzuciła piechota

broń, wołając o pardon. Cała sprawa niecałe pół godziny trwała. Cały sztab należał do natarcia tego; i ja brałem udział w niem. Już mnie ryk kul armatnich nie przerażał jak pod Linz, śmiało puściłem się na nieprzyjaciela, upatrując, gdzie można zdobyć chorągiew, ponieważ pragnąłem krzyża.

Szczególna to rzecz w usposobieniu naszem, owa żądza krwi, gdy się występuje do walki; wszakże ci ludzie nic mi nie przewinili, a biegłem na oślep na nich, chociaż ich nie rąbałem, bo się nie bronili wcale.

Po stoczonym boju już nie czułem nieprzyjaźni, owszem żal mi było rannych. Szczycę się z tego, że w całym czasie wojen, w których brałem udział, byłem ludzki i niejednemu nieprzyjacielowi uratowałem życie.

Ów atak kawaleryi naszej, chociaż doskonale się udał, był to dopiero wstęp do krwawej walki, oczekującej nas. Adlerklaa było zdobyte, tuż za tą wsią leżała wieś Wagram, otoczona okopami, broniona przez grenadyerów węgierskich i silną artyleryą. Wagram był to klucz pozycyi Austryaków. Saskie wojsko, ośmielone zdobytem Adlerklaa, ruszyło na tę pozycyą. Generał Lecocq, uszykowawszy całą dywizyą swoją w dwie kolumny do ataku, puścił się polami ku Wagram; nic nie zakrywało naszych przed austryacką artyleryą. Kule wyrywały po kilkanaście ludzi z głębokich kolum szturmującej dywizyi. Dwa razy wdarły się nasze zastępy do Wagram, ale wyparował je z niego nieprzyjaciel za każdym razem. Wreszcie niedostawało już sił wojsku saskiemu i poczęło się cofać. Ks. Ponte-Corvo zsiada z konia na ten widok, cały sztab tak samo czyni; książę bierze dywizyą Zeschau, w której się gwardya piesza saska znajdowała, i prowadzi ją osobiście do szturmu. Schellig na koniu kieruje batalionem saskim z innej strony; ja puszczam się za generałem Gersdorfem, który na czele pułku piechoty ks. Klemensa wdziera się w ogrody owej wsi. Już opanowano pierwsze domy, nasi występują na ulicę. Węgry bronią się z domostw, a poszykowane armaty uprzątają, cokolwiek się pokazuje.

Żołnierze, ożywieni przykładem oficerów, zdobywają dom po domu, posuwają się ogrodami. Krzyk, huk dział, świst i syczenie kul odurzają mnie zupełnie; pilnuję się generała

Gersdorfa, władze umysłowe ustały, jestem zimny, żadnego zapału nie czuję w sobie, cała moja uwaga skierowana na armaty nieprzyjacielskie, na stronę, z której kule dochodzą. Instynkt prowadzi mnie za węgieł domostwa, za którym sądzę się być bezpiecznie zasłoniętym. Generał posyła mnie z rozkazem wśród najbardziej zaciętej walki, idę pieszo w osłupieniu, przybywam do batalionu; dowódca poległ, kapitan zastępuje jego miejsce. Wtem naciera świeża kolumna austryacka; próżne nasze wysilenia, wszystko ustępuje ze wsi. Cofamy się aż do Adlerklaa. Noc zakryła całunem swojem pobojowisko, spoglądamy smutnie po sobie. Schelliga brakowało, już go nie widziałem więcej. Poległ, nikt o nim nic nie wiedział. Napróżno szukałem ciała jego po bitwie, nie mogłem na nie natrafić.

Smutno mi było, ale nie ja sam czułem żałość. Ks. Ponte-Corvo nie posiadał się ze złości, że nie opanował Wagramu; stary generał Zeschwitz ubolewał nad stratą tylu żołnierzy, pozostawionych na pobojowisku. Gersdorf wydawał rozkazy, wysyłał nas z nimi do rozmaitych oddziałów, był ponury, ale nie upadł na duchu.

Ucichło w końcu; przyszedłem cudownym sposobem do konia mojego, którego trzymał dragon ze świty generała Gersdorfa, i na nim cofnąłem się do Adlerklaa. Gdy wszystko ucichło, dałem drapaka na wyspę Loebau, gdzie był mój służący. Głodny i znużony, posiliwszy się, oddawszy równie głodnego konia jak ja służącemu, rzuciłem się na ziemię i spałem aż do świtu. Wszczynająca się na nowo walka przebudziła mnie, wsiadłem na świeżego konia i byłem wnet przy korpusie. Liczne zastępy austryackie zajęły pole pomiędzy Wagram a naszem stanowiskiem; jakie 50 armat zaczęło nas razić. Przybyła dywizya francuska wspierała osłabione wojsko saskie. Marszałek Bernadotte usiłował nadaremnie rozpocząć wstępny bój; przeważająca siła Austryaków zmusiła nas do odwrotu; nawet opanowali napowrót Adlerklaa. Wiele żołnierzy saskich poczęło zmykać ku mostom. Ciury dążyły do nich z końmi luźnymi, a groźna kolumna kilkunastotysięczna nieprzyjaciół posuwała się w kierunku Enzersdorfu. Kawalerya saska przypuściła dwa razy atak do niej, ale została odpartą ze stratą za każdym razem. Pełno koni bez jeźdźców okryło pole, sądziłem, że bitwa przegrana.

Zachować męstwo i zimną krew, idąc wstępnym bojem, to nie sztuka; nacierający żołnierz każdocześnie pała odwagą, ale nie stchórzyć, gdy się ustępuje, korzystać z każdego przypadku, mogącego służyć do wydarcia zwycięstwa, zatrzymać wahające się wojsko w groźnej postawie, do tego należy wytrwałość i wielkie doświadczenie. Sasi osłabli na duchu, cofali się z pospiechem ku Enzersdorf; ich artylerya ostrzeliwała się przyzwoicie, zadawając wielką stratę nieprzyjacielowi, ale liczniejsza artylerya austryacka miała wielką przewagę nad nami. Generał Gersdorf zgromadził całą dywizyą konnicy i szykował się właśnie do trzeciego rozpoczynającego się ataku, gdy przybyły adjutant ks. Ponte-Corvo przyniósł mu rozkaz, aby przyłączył się do jazdy francuskiej, poza Adlerklaa uszykowanej. Minęliśmy zatem wieś, a tu nam znowu nadzieja do serca powróciła. Generał Drouot uszykował na wzgórzu całą artyleryą, około 50 dział ciężkiego kalibru. Austryacy sypali kartaczami na nas; Sasi zmierzali ku mostowi, a dywizya francuska zasłaniała odwrót. Nieprzyjaciel opanował Adlerklaa, a groźna kolumna grenadyerów dążyła do Enzersdorf. Konnica austryacka, same kirasyery, minąwszy wieś, zabierała się do ataku na piechotę naszą. Wtem ryknęły działa, uszykowane przez generała Drouot i zmięszały grenadyerów austryackich. Był wielki czas, całe pole bowiem okryte było uciekającymi; furgony, ambulanse, żołnierze pojedyńczo, masztalerze, wszystko zmykało ku mostom, każdemu stał w pamięci wypadek bitwy pod Aspern, na temże polu stoczonej. Uszykowana konnica nasza, nie dawszy Austryakom czasu do przywrócenia porządku po morderczej salwie artyleryi, wpadła na nich i rozbiła całkowicie. Pułk szwoleżerów odznaczył się znacznie w tej potrzebie. Owa groźna kolumna, przypominająca gwardyą angielską pod Fontenoy za czasów Ludwika XIV-go, pękła i znikła jak bańka mydlana; mało co z nich uszło śmierci lub niewoli. Armaty austryackie zostały zdobyte, ich kirasyerzy zniknęli na ten widok. Adlerklaa było na nowo w naszych rękach. Wszakże oczekiwała nas powtórna walka w Wagram; tam bowiem stały świeże zastępy nieprzyjacielskie. Resztki saskiego korpusu i dwa francuskie pułki piechoty opanowały wreszcie ową drogo okupioną wieś. Okropny nas tu widok

spotkał; ulice i domostwa były zasłane trupami, ogrody tak samo pełne rannych i zabitych, połowa wsi spalona, wszystkie studnie zafarbowane krwią ludzką. Ranni, nieopatrzeni od 24 godzin, jęczeli we wszystkich zaułkach. Wiele trupów popalonych w domostwach zgorzałych widokiem swoim napełniały zgrozą. W pośród nieładu tego szukałem skwapliwie Schelliga; dowiedziałem się, z której strony poprowadził batalion do szturmu; wziąłem kilku żołnierzy, oglądaliśmy trupa po trupie, ale nadaremno, nic nie mogłem dowiedzieć się o nim. Wnoszę, że, odprowadzony do ambulansu, musiał w nim życie zakończyć. Tak on jak i koń jego przepadł.

Ranny w rękę marszałek Masséna przybył lekkim koczykiem po opanowaniu Wagramu i długo z ks. Ponte-Corvo rozmawiał. Obadwa marszałkowie, połączywszy swe wojska, obrócili siły swoje na prawe skrzydło austryackie, opierające się o Dunaj. Walka wszczęła się w bliskości przedmieścia wiedeńskiego Leopoldstadt. Austryacy stawili już słaby tylko opór; upadli na duchu, ustępowali z pozycyi w wielkim nieładzie. Zewsząd rozlegał się okrzyk: »Vive l'Empereur!«, któremu towarzyszły salwy batalionowe. Zabraliśmy nadzwyczajnie wielu niewolników, konnica puściła się w pogoń za uchodzącymi, tumany kurzawy wznosiły się po całem polu; sprowadzano co chwila działa i furgony, nieprzyjacielowi wzięte. Walka ustawała, ściganie poczynało się.

Cały ten dzień był nad wyobrażenie skwarny, upadaliśmy z pragnienia, a gdziekolwiek była studnia, tam woda z niej wyczerpana albo pełno trupów w niej; żołnierze nie mogli ugasić pragnienia. Ja kupiłem przypadkowo 12 pomarańcz w Wiedniu i zabrałem je w kieszenie czapraka swego; raz po raz odświeżałem sobie podniebienie niemi. Ks. Ponte-Corvo, spostrzegłszy pomarańczę w mojem ręku, odezwał się do mnie: «Vous êtes bien heureux d'avoir une orange, mon ami.» Podałem mu dwie. «C'est le cadeau le plus magnifique que vous puissiez me faire», wyrzekł, dziękując mi za nie.

Noc położyła koniec trudom naszym; korpus saski pozostał na pobojowisku, reszta wojska posunęła się w kierunku Brenna.

Wielka różnica zaszła w życiu mojem. Dotąd znajdowałem się pod opieką mentora, a zarazem przyjaciela, teraz oddany

sam sobie, musiałem pomyśleć o dalszem działaniu. Nie mogłem się mienić inżynierem, wiedziałem o niedostatku mych zdolności w tej broni, postanowiłem zatem przejść do konnicy saskiej, co też wykonałem niebawem, podawszy w kilka dni po bitwie pod Wagram stósowną prośbę generałowi Gersdorfowi. Napisałem z pobojowiska do ojca mego, uwiadamiając go o śmierci Schelliga i postanowieniu mojem przeniesienia się do konnicy.

Generał Gersdorf zapytał mnie się po bitwie o dalszych zamiarach moich, o stanie moich funduszy i o wszystkich szczegółach, dotyczących się mnie aż do chwili wstąpienia mojego do wojska saskiego. Gdym mu opowiedział wszystko, ofiarował mi pożyczyć pieniędzy aż do nadesłania zasiłku z domu rodzicielskiego i do sztabu mnie swojego policzył. Odtąd pełniłem służbę adjutanta jego aż do czasu przeniesienia się mego do pułku Gardes du corps saskich.

Trudno wyobrazić sobie zaduch powietrza w tej okolicy, zasłanej trupami, przy skwarze lipcowym. Trzydniowy nasz odpoczynek na pobojowisku była to prawdziwa męczarnia dla oficerów i żołnierzy. Generał Gersdorf zwiedzał z nami owe pola walki; oglądaliśmy pozycye austryackie i rozmaite okopy, przez nich wzniesione. Trupy, których jeszcze pogrzebać nie zdołano, leżały całkiem obnażone, nabrzękłe i czarne jak węgle; szkaradny był to widok, zaledwie było można od smrodliwości wytrzymać.

Mianowicie Wagram przedstawiał widok zniszczenia; nie było domu całego w tej nieszczęśliwej wsi, już nie wspominam o ofiarach poległych, które grzebano skwapliwie, ale cała wieś stała pustkami i była do szczętu zrabowana. Nieprzyjaciel obwarował szańcami miejsca przystępniejsze, niektóre domostwa zostały strzelnicami opatrzone (crénaux); a wszędzie odbicia kul kaleczyły mury. Napoleon nie był zadowolniony z ks. Ponte-Corvo i ze Sasów z powodu, że nie opanowali Wagramu dnia 6-go lipca; dał to księciu uczuć, wysyłając go do Antwerpii, a nam, pozostawiając nas wśród poległych. Rzeczywiście cofnięcie się nasze do Adlerklaa podało wypadek bitwy na los wątpliwy, a wygraną rozstrzygnął jedynie generał Drouot z artyleryą gwardyi i natarcie konnicy gwardyi na groźną austryacką kolumnę.

Markietanki francuskie.

Warto wspomnieć o życiu i działalności markietanek francuskich; nic podobnego nie widziałem w innych wojskach europejskich; chociaż markietanki innych narodów także żywią wojsko, kupują i sprzedają, są powiernicami żołnierzy, wszakże nie posiadają owego daru markietanek francuskich ulżenia losu nieszczęśliwego rekruta lub rannego, przyniesienia ulgi cierpiącemu żołnierzowi, a przedewszystkiem, nie posiadają tyle szlachetności w charakterze swoim. Któżby potrafił się domyśleć, patrząc na ową kobietę z twarzą ogorzałą, o ruchach grenadyerskich, nie przebierającą słowami, że w tej postaci, przypominającej dawne przekupki paryskie, tkwi serce czułe i bohaterska dusza. Widziałem owe markietanki, roznoszące wódkę czy wino wśród gradu kul, a pokrzepiające bezpłatnie żołnierzy, osłabionych utratą krwi; widziałem je wśród śniegów moskiewskich, noszące ratunek zmarzniętemu wojakowi, zabierające go na wózik i uwożące ze sobą; widziałem je z karabinkiem w ręku, broniące się odważnie w razie napadu. Ale wstąpmy na chwilę do ich szałasu (la cantine)! Tu wesoła wrzawa; przed szałasem rozniecony ogień, a przy nim «la papotte», zupa, ulubiona strawa francuska. Tu także i targ rozmaitych porabowanych sprzętów albo spuścizny po nieprzyjacielu, tam rubaszna biesiada lub też litościwe opatrywanie rannego; kostki, karty, pijatyka, a niekiedy i kłótnie. Markietanka krząta się wśród gości, ma staranie o każdego; — jest matką żołnierzy, cały pułk zna ją dobrze i potrafi ją ocenić, dla tego nazwali ją żołnierze «la Providence». Opuściła wraz z kochankiem rodzinną wioskę w młodocianym wieku, gdy konskrypcya powołała młodzieńca pod chorągiew. Towarzyszyła mu do Włoch, nad Ren, do Egiptu, nie odstąpiła pod Marengo, grzęzła w błocie pod Pułtuskiem, nigdy go nie opuściła; ustępowała mu miejsca na wóziku, gdy był ranny albo gdy upadał na siłach, zawsze była jego wierną towarzyszką. Nabyła doświadczenia, wędrując po świecie i żyjąc po obozach; dzisiaj stała się opiekunką nowo zaciężnego, udziela mu rady, ujmuje się za nim w wielu przypadkach, dodaje ducha, a rozmawia z nim chwilami o lubej okolicy rodzinnej.

Małżonek jej wychodził także z wioski swej pełen rozpaczy, gdy za czasów Rzeczypospolitej cała młodzież spieszyła bronić kraju, ona zastąpiła mu Opatrzność. Dzisiaj wyłysiał i osiwiał, szewrony, które nosi, świadczą o 25-ciu kampaniach odbytych, a krzyż legii honorowej zdobi piersi zasłużonego sierżanta. Zachował krótki swój harcap, który, starannie zwinięty, spada z pod bermycy na kołnierz munduru, przypominając czasy Robespierra. Wąs zawiesisty, a po części już siwy, dodaje powagi jego marsowatym rysom twarzy, wszakże jedynie postać jego odznacza się surowością, bo stary wojak ma czułe serce, broni słabego, staje się przyjacielem gospodarza swego na kwaterze, a strasznym się tylko okazuje w boju. Nauczył się szanować godną połowicę swoją, ulega jej każdocześnie i słucha jej rady, a idąc koleją powszechną, poddał się rządom pantofla.

«Opatrzność» wypłaca mu się sowicie, nie szczędzi zabiegów o wygody starego weterana, zawsze ma dla niego delikatny zakąsek na pogotowiu, a manierka jego nigdy nie bywa próżną. Ona pamięta chwile, gdy wędrowała pieszo obok wolontaryusza, oboje nie mieli zasobów, wszakże kupił jej buryka (osiołka) za pierwszą sposobnością i dał zaliczkę na zakupienie pierwszej baryłki wódki. Nie wyszło z jej pamięci, że on, stary żołnierz, był za młodu jej opiekunem, że już nieraz dobył pałasza w jej obronie, gdy, młodą będąc, wabiła do siebie swymi wdziękami; kapłan uzupełnił przed ołtarzem związek cywilny obojga kochanków, zawarli śluby małżeńskie tam gdzieś w świecie; dosyć, że jest jego ślubną żoną i z tego się szczyci. «Opatrzność», takie bowiem ma nazwisko, nie ma innego, znaną jest w całej dywizyi, nieraz zasiadał pan pułkownik do jej stołu. Małżonek jej byłby od dawna oficerem, gdyby umiał czytać i pisać, ale wyszedł bez żadnej nauki z wioski swojej, nie może przeto postąpić wyżej. Nabył wprawdzie znajomości sztuki wojskowej w czasie tylu kampanii. Zdarzało się nawet, że prowadził kompanią do walki, gdy oficerowie legli na placu; jego zdolności nie tajne przełożonym, jego dobre sprawowanie się zjednało mu ich szacunek, dla tego obchodzą się z nim oficerowie raczej jak z kolegą, nie dając mu uczuć swej wyższości, a Thibaudat, znany pod wojennem nazwiskiem: «La vieille moustache», doznaje wszelkich względ-

dów. Ta para zapomniała już o rodzinnem miejscu, pułk stał się dla niej ojczyzną i rodziną, ona go więcej nie opuści, a chyba u inwalidów znajdzie odpowiednią rodzinę. Takiemi były ogólnie wszystkie markietanki francuskie.

Po bitwie pod Wagram.

Po oddaleniu się ks. Ponte-Corvo dowodził generał Zeschwitz korpusem saskim. Był to starzec, niedołęga, do niczego, ale natomiast miał dzielnego szefa sztabu. Generał v. Gersdorf był rzeczywistym dowódcą saskiego korpusu jako szef sztabu generała Zeschwitza. Wszystkiem kierował, dla tego cenił go też Napoleon, w dowód czego ozdobił go wielką wstęgą orderu legii honorowej, a po kampanii został ministrem wojny króla saskiego.

Wojsko francuskie posunęło się po bitwie pod Wagram aż do Znajm w Morawie, my zaś odebraliśmy rozkaz wkroczenia do Węgier. Pod Marchek stoczyliśmy walkę z Austryakami dnia 24 lipca, przy którem spotkaniu miałem sposobność dać dowód waleczności w oczach mego generała, natarłem bowiem sam jeden na huzara i wziąłem go w niewolę. Generał Gersdorf i cały sztab śmiali się z wąsala, prowadzonego przez ośmnastoletniego młodzika. Austryacy nie stawiali wielkiego oporu. Spotkanie nie trwało dwóch godzin. Snać nieprzyjaciel był całkiem zdemoralizowany. Niema na świecie wojska wygodniejszego jak Austryacy. Przywykli w tej epoce brać w skórę od Francuzów, rzucali broń za pierwszem natarciem. Muszę wszakże oddać sprawiedliwość ich artyleryi, była wyśmienita i wielkie szkody nam wyrządzała. Konnica także dobra, mianowicie Węgry, ale piechota pod wszelką krytyką. Dnia 26 lipca wkroczyliśmy do Presburga, a w tymże samym dniu doszła nas wiadomość o zawartem zawieszeniu broni.

Sasi nienawidzili Francuzów, dla tego była im na rękę wiadomość o wzburzeniu się ludu w Niemczech północnych, o wystąpieniu majora Schilla i ks. brunświckiego. Radowali się niezmiernie, gdy się dowiedzieli o podpłynięciu floty angielskiej pod Vlissingen, już przepowiadali obalenie potęgi

Napoleona, za że ja gorąco broniłem sprawy cesarza, przeto mnie oficerowie sascy nie lubili, miałem wszakże partyą swoją, chociaż słabą, która trzymała stronę Francuzów. Lagrange, ów oficer, o którym już wspomniałem powyżej, nienawidził Francuzów, a szczególnym trafem lubił mnie bardzo, chociaż moje zdanie wyraźnie i na każdym kroku jego uczuciom się sprzeciwiało. Razu jednego spostrzegłem mały puginał na piersiach jego na gołem ciele. Gdym go się spytał o znaczenie tego narzędzia, spiesznie je ukrył, przeszedł się kilka razy po pokoju w milczeniu, wreszcie, zwróciwszy się nagle do mnie, spytał, wlepiwszy oczy w twarz moją, czy rzeczywiście jestem jego przyjacielem? A żem mu był doprawdy bardzo przychylny i wdzięczny za jego opiekę, gdym jeszcze był podoficerem, zapewniłem go gorąco o mojem uczuciu. »Dajże mi więc słowo honoru, że przed nikim nie wspomnisz o tem żelazie, a sam zapomnij o niem«, wyrzekł. Dałem żądane słowo i sumiennie dotrzymałem. Pierwszy raz czynię wzmiankę o tem; Lagrange już dawno w grobie. Nie wątpię, że ów puginał miał pewne swoje znaczenie w Tugendbundzie, do którego musiał należeć Lagrange.

Sądziłem się być w Polsce, gdy wkroczyłem do Węgier, tak wielkie podobieństwo owych okolic z moją ojczyzną. Również zupełnie od Marchek do Presburga chaty takie same lepianki jak u nas, nigdzie bitego gościńca, chłopy nieomal tak samo odziani jak nasi wieśniacy, sposób ich życia nie różni się od polskiego, nawet mowa słowacka ma wielkie podobieństwo z polskim językiem, a w tej okolicy same Słowaki osiedleni. Z innej zaś strony przypominały mi zaczynające się winnice, że jestem w kraju obcym, z którego rodacy moi czerpią starą myszkę. Widok Tatr, ku wschodowi wytykających wierzchołki swoje, wskazywał mi granice ziemi rodzinnej, a serce moje biło żywiej, bo miłość ojczyzny nigdy nie odstępuje Polaka, w jakiembądź położeniu się znajduje. Zdziwiłem się też bardzo na widok wsi licznych, całkowicie przez Cyganów zamieszkałych. Owa ludność trudniła się kowalską sztuką. Wielu z nich mieszkało w jurtach czyli w jamach podziemnych, nad któremi dach słomiany, a w lochu żadnego okna. Cyganie snuli się po naszym obozie, roznosili rozmaite

łańcuszki na sprzedaż, chcieli wróżyć, pokazywać rozmaite sztuczki, a gdzie mogli, to kradli. Z obrzydzeniem widziałem ich ćwiartkujących padłego konia, którego ścierw piekli i smacznie zajadali.

Napoleon powrócił do Schoenbrunn po zawartem zawieszeniu broni, wszystkie znakomitości niemieckie cisnęły się naówczas do niego, stał wtedy na szczycie swej wielkości, cała Europa biła czołem przed nim oprócz Anglii, która wytrwała w swej nieprzyjaźni i w końcu go zgnębiła.

Napoleon, połączony z Rosyą, trząsł stałym lądem, a dekrety jego zapowiadały tej lub owej rodzinie królewskiej, że przestała rządzić, tak samo jak rozkazem dziennym nakazywał członkom swej rodziny obejmować korony. Powtarzam wszakże, że w Niemczech burzyły się umysły przeciw niemu, a tajne towarzystwa, działające skrycie, kształciły morderców. Zwykle nie zachowywano żadnej ostrożności w czasie parady, codziennie w Schoenbrunn odbywanej; kto chciał, mógł się zbliżyć do cesarza. Otóż na jednej z tych parad zbliżył się młody człowiek nadzwyczajnie blisko do Napoleona; kazano mu się oddalić po kilka razy, lecz zawsze ponawiał swe kroki. Ks. Rovigo (generał Savary) począł mieć podejrzenie na owego widza natrętnego, kazał go aresztować i przetrząść. Znaleziono przy nim puginał i parę krucic; badany o zamiar swój, przyznał się zaraz, że chciał cesarza zamordować jako wroga Niemców. Cesarz rozmawiał osobiście z tym szaleńcem; nie będę powtarzał osnowy tej rozmowy, jest ona albowiem w wielu opisach życia Napoleona wydrukowaną. Byłby mu nawet darował cesarz życie, ponieważ był wspaniałomyślny; ale zacięty student powiedział mu wręcz, że upatrzy sposobność powtórnego zamachu, jeżeli go ułaskawi. Nie pozostawało zatem nic innego jak skazać go na śmierć. Jakoż został rozstrzelany. Takie było usposobienie Niemców w r. 1809.

Pojedynki. Przybycie ojca. W pułku Gardes du corps.

Kilku oficerów saskich umknęło z placu bitwy w czasie potrzeby pod Wagram, a pomiędzy nimi major v. Suessmilch

od dragonów księcia Jana; nie należało mi się, młodzikowi zaledwie posuniętemu na oficera, odzywać się z mojem zdaniem, skoro starsi oficerowie pokrywali milczeniem ten brak odwagi pana majora; wszakże gorąca krew moja nie potrafiła się pochamować; powstałem głośno na tych, którzy służbę czynili z tchórzem, a nawet powiedziałem, iż nie wart stanąć przed frontem pułku, odznaczającego się walecznością. Skutkiem takiej mowy zostałem wyzwany na pojedynek przez majora v. Suessmilch. Pierwsze to było zajście moje w życiu w sprawie honorowej; serce mi biło, alem nie stchórzył; poszedłem do Lagrangea, który się podjął mi sekundować, a porucznikowi Gordonowi, który powtórzył na paradzie moje zarzuty przeciwko majorowi Suessmilch, kazałem powiedzieć, że raczej zdatny jest na babę plotkarkę niż na oficera, z którego powodu miałem powtórny pojedynek.

Wyszedłem szczęśliwie z tych zajść, zostałem wprawdzie ranny w rękę, ale obciąłem porządnie przeciwników moich, z którego względu wynosili mnie koledzy pod niebiosa, dla tego, że młody, nie mający nawet wąsów, nie uląkłem się groźnego majora herkulesowej postawy i płatnąłem go porządnie po twarzy; porucznikowi Gordonowi zaś obciąłem dwa palce. Odtąd miałem wzięcie w sztabie; nawet generał Gersdorf uśmiechnął się, gdy mnie pierwszy raz widział z ręką na chustce zawiązaną, nazwał mnie: „Verwegener Pole“ i pozwolił służbę pełnić pomimo rannej ręki. Pan major Suessmilch musiał się podać do dymisyi.

Poczciwy mój ojciec, odebrawszy mój list, pisany z pobojowiska pod Wagram, w którym go uwiadamiałem o śmierci Schelliga i postanowieniu mojem do przeniesienia się konnicy, nie wahał się odszukać syna marnotrawnego i przybyć do mnie aż do Presburga.

Puścił się sam jeden z Wolsztyna w towarzystwie powiernika swojego Rutkowskiego, przebył Saksonią, Bawaryą i Austryą wśród wojsk maszerujących i przybył szczęśliwie do korpusu naszego. Jakże opisać radość moją na widok ukochanego rodzica! Nie pozwolił mi paść do nóg, wziął mnie w objęcia i przycisnął ze łzami do serca. Zdrową pozostałą ręką i ja go ściskałem; była to scena niema; stary Rutkowski płakał z roz-

czulenia, koledzy przytomni prosili mnie, abym ich ojcu przedstawił, każdy miał słowo obowiązujące dla niego, a ojciec, doskonale po niemiecku mówiący, dziękował każdemu serdecznie. Po pierwszej chwili, poświęconej uczuciom sercowym, przebrał się ojciec i poszedł ze mną do generałów Zeschwitza i Gersdorfa; ostatni zatrzymał ojca na obiedzie, ja codziennie jadałem u jego stołu wraz z całym sztabem.

Krótkie, szczęśliwe i wiecznie w mej pamięci pozostałe chwile przepędziłem z ukochanym ojcem. Jakże żałuję każdego, który nie doznał uściśnienia rodzicielskiego! Ja doznałem go raz tylko jeden w obecnej chwili, ale pozostało ono balsamem dla mnie na cały ciąg życia, a gdy w czasie późniejszym doznałem wyraźnej niesprawiedliwości z strony ojca, nie obwiniałem go nigdy. Przybycie jego do Presburga do mnie nie wyszło mi z pamięci. Dzisiaj oboje rodzice w grobie, ja sam już się ku niemu zbliżam, ale nie mija dzień, w którymbym nie zanosił gorących modłów do Pana zastępów o ich wiekuiste szczęście.

Po tygodniowym odpoczynku powrócił ojciec do Wolsztyna, opatrzywszy mnie sowicie w pieniądze; zezwolił także na przejście do pułku Gardes du corps saskich. Przywiózł był od ministra pana Boose i innych znakomitych mężów przy dworze saskim listy do generała Zeschwitza, polecające mnie, skutkiem czego byłem jeszcze lepiej traktowany w saskiem wojsku.

Pędziłem życie bardzo przyjemne w Presburgu, miałem doskonałą kwaterę, bywałem w rozmaitych domach węgierskich; mężczyźni mnie lubili, podobałem się paniom, a sam mało miałem do czynienia. Wszakże gorąca krew moja i niedoświadczenie wprowadzały mnie na różne bezdroża. Koledzy moi, widząc dobry stan mojej kasy, nakłaniali mnie do hulanek i zbytków; rychło bym był się pozbawił pieniędzy, gdyby nie generał Gersdorf, który z prawdziwą pieczołowitością ojcowską czuwał nademną. Wreszcie, chcąc koniec położyć moim wybrykom, odkomenderował mnie do pułku Gardes du corps, do którego byłem przedstawiony, aby się zawczasu służby nauczyć.

Wielkiej różnicy doznałem, przybywszy do pułku tego, rozłożonego po wsiach słowackich. W miejsce wygodnej kwatery, obfitującej w wszystko, stanąłem w lepiance, nie mającej

nawet podłogi, całkowicie podobnej do naszych chat wiejskich w Kaliskiem. Nie miałem w niej ni łóżka ni żadnego sprzętu, podoficer plutonu mego kazał żołnierzom zbić cztery deski, któremi opasano miejsce, mające być łóżkiem mojem, naniesiono słomy na ziemię, przykryto derą; takie było moje posłanie. Mniejsza o to, nie byłem delikatny, przyjąłem wesoło nowy sposób życia. Wkrótce nadeszła nominacya moja, zostałem więc podporucznikiem w pułku Gardes du corps. Uczyłem się mustry skwapliwie od starego wachmistrza szwadronowego, jakoż potrafiłem dowodzić plutonem przy wymaszerowaniu naszem z Węgier.

Powstanie Tyrolczyków. Sasi. Hrabina Palfi. Styrya. Bawarya. Powrót do Drezna.

Całe państwo austryackie używało pokoju od czasu rozejmu, inaczej jednakże działo się w Tyrolu. Górale tamtejsi, od wieków przychylni domowi habsbursko-lotaryńskiemu, a przyłączeni do Bawaryi skutkiem warunków pokoju w roku 1805, powstali za pierwszem wypowiedzeniem wojny Francuzom. Andrzej Hofer, karczmarz z okolic Insbruka, stanął na czele celnych strzelców tyrolskich. Zrazu powodziło się powstańcom, pomordowali wielu żołnierzy pojedyńczych i oddziałów słabych. Rząd austryacki posłał generała Chastelara w pomoc Tyrolczykom, wnet stali się oni panami całego kraju, oprócz niektórych miejsc obwarowanych. Ale gdy wojska Napoleona wkroczyły do państw austryackich i ciągłe porażki zmusiły Austryaków do ściągnienia korpusu generała Chastelara pod Wiedeń, a znowu, gdy całe wojsko bawarskie wkroczyło do Tyrolu z jednej strony, a z strony Brixen włoskie wojsko ich naciskało, rozeszli się chłopi zbuntowani, mała tylko garstka najwięcej skompromitowanych uciekła w góry i partyzantką Francuzom dokuczali.

Sasi ciągle się karmili, jak już wspomniałem, nadzieją rychłego upadku Napoleona. Niedorzeczne powstanie majora Schilla, zajęcie Vlissingen przez Anglików, groźne powstanie Tyrolu, wojna hiszpańska podniosły ich nadzieje; wcale się nie

taili z sympatyą swoją dla nieprzyjaciół Francyi. Niektórzy oficerowie sascy szukali wyraźnie kłótni i zaczepki z Francuzami, a że byli doskonałymi szermierzami, nie jednego biedaka wysłali na tamten świat. Mianowicie odznaczał się Lagrange w takich pojedynkach; zręczność jego w strzelaniu z pistoletu i w fechtowaniu była nadzwyczajna, nigdy nie był ranny, raniąc zwykle śmiertelnie przeciwników swoich.

Czy z niełaski czy też z innego powodu nie kazał nam cesarz Napoleon ani razu przed sobą wystąpić, gdy przeciwnie miał przegląd nad wszystkiemi wojskami konfederacyi reńskiej. Bardzo być może, że wiedział o duchu, panującym w saskiem wojsku. Staliśmy zatem spokojnie w Presburgu i okolicy aż do miesiąca października, w którym czasie nadszedł rozkaz powrotu do Saksonii. Inni się radowali, mnie przykro było opuścić panią Palfi, gdzie byłem jak w domu własnym; obiecałem powrócić, ale wnet zajęły mnie inne przedmioty, pozostało wszakże czułe wspomnienie o jej przyjaźni i miłem pożyciu w jej domu. Hrabina Palfi była wdową, miała swój pałac w Presburgu, należała do znakomitego rodu, była piękną, dowcipną, żywą, lubiła się bawić, szanowano ją powszechnie w Presburgu tak dalece, że było zaszczytem należeć do jej towarzystwa.

Naznaczono korpusowi saskiemu powrót do kraju na Styryą jako przez kraj niezniszczony. Odebrałem rozkaz robienia kwater dla pułku jako najmłodszy oficer, a zatem wyprzedzałem pułk o 24 godziny z oddziałem moim. Opuściliśmy Węgry w ostatnich dniach października. Korpus przeprawił się przez Dunaj pod Presburgiem o 7 mil od Wiednia, nie dotknął wszakże tej stolicy, ale skierował się na Laxenburg, Baden, Maria-Zell do Styryi. Radowało mnie, że zobaczę kraj nieznany, górzysty i pełen pysznych scen przyrody; koledzy nadzwyczajnie ubolewali, że im nie było dane odpocząć w Wiedniu i użyć przyjemności tego miasta.

Baden, sławne z swych kąpieli mineralnych, jeszcze znanych za Rzymian, jestto ładne miasto, położone w uroczej okolicy. Oglądałem w Laxenburgu zamek cesarza austryackiego, w Marya-Zell zwiedziłem bogaty klasztor i pyszny kościół tameczny, słynny cudownym obrazem Najświętszej Panny, bogaty

mnóstwem ofiar tak samo z dawnych czasów jak z teraźniejszych. Cała ta okolica jest wielce kaplicami ozdobiona na cześć królowej Niebios, a ludność nadzwyczajnie pobożna.

Nadzieja rychłego połączenia się z rodzinami swemi napełniała kolegów moich radosnem uczuciem, liczyli dni, potrzebne do przybycia do Drezna; mnie nie nagliła żadna żądza przybycia do tego miasta, byłem obcy każdemu, a jeżeli wspominałem niekiedy pp. Brezów i ich córkę Julią, były to uczucia wdzięczności, ale nic nadto. Nie miałem się zatem czego spieszyć do Saksonii, a z innej strony nieznośną mi była owa chytra nienawiść Sasów do Francuzów, chociaż powinienem wyznać, że korpus oficerów Gardes du corps stanowił wyjątek w tym względzie. Marzyłem zatem o mojej karyerze, chciałem się wsławić i osięgnąć najwyższe stopnie wojskowe. Ubóstwiałem Napoleona, pragnąłem się zbliżyć do niego i jemu poświęcić życie i zdolności swoje. Prosiłem zatem generała Gersdorfa, aby mnie odkomenderował do wojska francuskiego, udającego się do Hiszpanii, osobiście zaś zamyślałem napisać prośbę do generała Krasińskiego, ażeby mi dozwolił pełnić służbę w pułku szwoleżerów. Wszakże generał Gersdorf nie chciał się przychylić do prośby mojej, owszem sprzeciwiał się jej wyraźnie, oświadczając, że mu honor i sumienie nakazuje powrócić mnie zdrowego ojcu, który mi dał tak wielki dowód przywiązania; musiałem uledz jego sumienności i zaniechać kampanii hiszpańskiej.

Wojsko przechodziło cudną okolicą; przyroda nosiła cechę wielkości, a dobre mienie mieszkańców było nam rękojmią największej wygody w marszu naszym. Już śnieg pokrywał góry, otaczające drogę naszą, a na białem tle odbijały się w całym majestacie swoim wysokie świerki. Woda szumiała w strumieniach, z gór spadających, schludne wsie ciągnęły się po kilkanaście staj nad drogą; dym gęsty buchał kłębami z mnóstwa wysokich pieców, kuźnie, wodą poruszane, wydawały łoskot ogromnych młotów swoich i pisk miechów rozżarzających rudę, a dobrze zbudowana ludność, w malowniczym ubiorze swoim, dodawała ruchu i życia całemu krajobrazowi. Przyroda pyszna, wszędzie dobre mienie krajowców, gościnność wielka u ludu tego nic do życzenia nie pozostawiały. Wojna

nie zniszczyła go, kraj obfitował we wszystko; doprawdy, że musi być wielce przyjemnie żyć w tym kraju. Ileż to razy porównywałem błogi stan wieśniaków tamecznych z nędznem życiem chłopa naszego, zasiliwszy się w pierwszej lepszej chacie wybornym chlebem, delikatnym serem koźlim i krajowem winem, ofiarowanemi z dobrej chęci przez gospodynią przyjazną. Jakaż to czystość w tych chatach, a wszędzie wesołość i śpiewy.

Kraj ten, zamieszkały przez samych cyklopów, wszędzie kuźnice, wysokie piece, kopalnie rudy żelaznej. Tu młoty, wodą poruszane, kują sławne styryjskie żelazo, tam ruda płynie na kształt lawy rozpalonej; około niej uwijają się okopceni rzemieślnicy; stosy żużli sterczą przy owych fabrykach, dym wznosi się wysoko w powietrzu. Tu i ówdzie wysokie zamczysko, wystawione jeszcze przed krucyatami, wszakże zamieszkałe dotąd i zachowane w całkowitym stylu starowiekowym, pełno pięknych kościołów, wiele klasztorów, miasta porządne, wszystkie dachy pokryte łupkiem, rzeki rwące, a woda w nich czysta nad wyobrażenie, góry wysokie, ponajwięcej świerkami obrosłe, wszakże niekiedy i skały całkiem gołe, gdzieś niegdzie wąskie pola, bydło pyszne, drogi w dobrym stanie, ludność wesoła, dobroduszna i zamożna. Taka była Styrya w r. 1809.

Powiedziałem powyżej, że miałem polecone robienie kwater dla pułku. Maszerowałem zatem ponajwięcej nocą. Oddział mój i ja mieliśmy zawsze dobre kwatery i większą wygodę od kolegów, którzy, przybywając w znacznej liczbie, nie mogli wybierać stanowiska u zamożniejszych obywateli. Ja stawałem każdocześnie w kwaterze, do której pułkownik przybywał, i używałem w niej wygody, zanim on mnie zluzował. Musiałem wszakże trawić noce na koniu.

Żołnierze moi przysposabiali sobie na każdy stojec zapas trzask, któremi w Styryi lud zastępuje świece, i rozpalali je, skoro się ściemniało. Taka iluminacya trwała aż do białego dnia. Przebywaliśmy w ten sposób miasta, wsie, lasy i wąwozy, a przebudzony krajowiec wytykał głowę, okrytą szlafmycą, przez okno, spoglądając ciekawie na hufiec, postępujący wśród śpiewów. Ulubioną pieśnią żołnierzy była arya Schillera: «Auf, auf Kameraden, auf's Pferd, auf's Pferd!», która się rozlegała daleko wśród ciszy nocnej.

Przekroczywszy rzekę Inn, pominąwszy Braunau, do której fortecy nie wstąpił korpus nasz, przybyliśmy do Bawaryi. Tu panowało zniszczenie i nędza. Zamożny ten kraj nadzwyczajnie ucierpiał przes wojnę; tem większą nam się dała uczuć różnica pomiędzy nim a Styryą, że znaczna część wojska francuskiego i ligi reńskiej nasz korpus poprzedziła i wyczerpała wszystkie zasoby z magazynów; wszakże po trzechdniowym przechodzie dostaliśmy się do Straubingen po za Dunaj, a tam już nam było lepiej.

Saski korpus wkroczył wreszcie do kraju swego w pierwszych dniach miesiąca grudnia. W każdem mieście witali krewni i przyjaciele żołnierzy powracających, mnie jednego nikt nie powitał, nikt mi nie podał ręki przyjaznej, byłem obcy temu narodowi, a im więcej radości widziałem u kolegów moich, tem więcej czułem swoją samotność.

Dnia 11. grudnia wkroczyło wreszcie wojsko do Drezna w tryumfalnym marszu. Władze miejskie i cała ludność nieomal wyszły naprzeciwko nam; garnizon powitał nas przed bramami, król z rodziną królewską przyjmował swe wojsko z balkonu zamkowego, pod którym cały korpus defilował, uchylając chorągwie; na czele hufców niesiono kilka zdobytych chorągwi nieprzyjacielskich. Pułk Gardes du corps, mający konsystencyą w Dreźnie razem z pieszą gwardyą grenadyerów, był przed wszystkimi innymi serdecznie powitany przez Drezdeńczyków. Każdy ściskał rękę przyjaciela, z wielu okien powiewano chustkami do małżonków lub krewnych powracających. Poprowadzono wojsko przez główne ulice miasta, ażeby pokazać, że nie wszyscy wyginęli; następnie udał się mój szwadron do koszar swoich na Friedrichstadt.

Dwór saski. Salony drezdeńskie. Polacy w Dreźnie. Służba w Gardes du Corps.

Przy zsiadaniu z konia oddał mi służący ministra Brezy karteczkę pani Breziny, zapraszającej mnie na obiad. Wdzięczny byłem nadzwyczajnie tej zacnej rodzinie za życzliwość; odtąd uważałem ich dom jako dom własny. Przyjmowano

mnie tam jak syna, sama pani, jej nadobna córka, synowie Tytus, Eugeniusz i Henryk wybiegli naprzeciwko mnie, nawet mały August, jeszcze na rękach niańki, wyciągnął swe rączki do powracającego żołnierza. Szczęśliwy był dzień dla mnie; wszyscy Polacy, którzy bawili pod ten czas w Dreźnie, przybyli wieczorem do pp. Brezów. Wypytywania, śmiechy, wesołe żarty trwały do późnej nocy. Nie mając żadnego mieszkania, poszedłem do hotelu na nocleg, konie moje stanęły w koszarach pod pieczą sierżanta. Nazajutrz kazała mi pani Brezina nająć dwa schludne pokoje, w których się rozłożyłem.

Król saski zaszczycił oficerów swej gwardyi bez różnicy stopnia pozwoleniem pocałowania mu ręki; jakoż udał się cały korpus pułku naszego nazajutrz do zamku królewskiego, gdzie nas przedstawiał generał Zeschwitz jednego po drugim królowi. Fryderyk August, król saski, słynny z niezachwianej przyjaźni swojej do Napoleona i z nieszczęść, doznanych skutkiem tej przyjaźni, był dobrym, łagodnym panem; wszakże go naród nie lubił dla tego, że był katolikiem gorliwym i dla zamiłowania jego do myśliwstwa. Wyniesionego na godność królewską przez cesarza Francuzów uważali poddani za posłuszne narzędzie Napoleona. Nie dbali o tytuł królewski, a cierpieli nadzwyczajnie wskutek zaprowadzenia systemu kontynentalnego i ustawicznych przechodów wojsk francuskich. Ostatnia wojna przyczyniła się także do ciężarów, które Saksonia musiała ponosić; z jednej strony wkroczyli Austryacy do Drezna, z drugiej przebywał ks. brunświcki w Lipsku ze swoją czarną legią; obadwa te miasta musiały zapłacić nieprzyjacielowi kontrybucyą. Wielu saskiej młodzieży zaciągnęło się do legii czarnej (tak nazywał ks. brunświcki swoje hufce) i popłynęli do Anglii, jednem słowem wszystko podniecało Sasów do nienawiści przeciwko Napoleonowi, a w następstwie przeciwko własnemu królowi.

Aż dotąd nie zmieniono niczego co do ubioru i etykiety przy dworze saskim; wszystko było na tej samej stopie jak za króla Augusta II. Staroświecki krój ubiorów i mundurów przenosił widza do czasów Ludwika XIV; nie tylko szambelanowie i kamerjunkry, ale nawet oficerowie gwardyi musieli nosić harbejtle, będąc na służbie u dworu.

Do służby dworskiej należeli: kamerturki, kamerlokaje i laufry. Kolory kanarkowy i szafirowy były kolorami dworu panującego w Saksonii. W takiej barwie występowała służba dworska i Gardes du corps, pełniący służbę wewnątrz zamku. Stu Szwajcarów, uzbrojonych w staroświeckie halabardy, przypominających strojem walety na kartach francuskich, nosiło takiż żółty i szafirowy kolor. Kobiety występowały w rogówkach, gdy była gala u dworu. Kamerjunkry i szambelanowie nosili suknie francuskie, jedwabne, aksamitne, sukienne, u takiej sukni były duże stalowe albo emaliowane guziki, szpada francuska o stalowej obsadzie wisiała im u boku; mieli długie kamizelki, z pod których wychodziły żaboty koronkowe, a mankiety takie same przy rękach. Nosili krótkie spodnie, jedwabne pończochy i trzewiki ze sprzążkami. Każdy musiał mieć perukę, loki i harbejtel.

Damy honorowe nosiły suknie na rogówkach, wysoką fryzurę wypomadowaną, a na niej pióra strusie, trzewiki na wysokich korkach. W ten sam sposób występował król i rodzina królewska w dni galowe. Kamerturki nosili długie żółte kaftany wschodniego kroju, podbitka była modra, zzerokie spodnie żółte i papucie żółte, mieli kołpaki żółte na głowach. Byli to nadzwyczajnie otyli ludzie; dwóch stało zawsze przy drzwiach królewskiego pokoju.

Kamerlokaje ubrani byli w liberye żółte o niebieskim kołnierzu i łapkach, nosili krótkie spodnie niebieskie, pończochy bawełniane białe i trzewiki. W powszednie dni nosili modre pończochy. Mieli fryzury jak za czasów Ludwika XIV, harbejtle i kapelusze rogate.

Laufry mieli kurtki żółte, spadające aż do bioder, szamerowane srebrnym galonem, a podbite niebieską materyą, mieli niebieskie krótkie spodnie, białe pończochy i trzewiki, na głowie nosili «toque» z piórami (p. strusiemi) rodzaj wysokiej czapki aksamitnej niebieskiej, obszytej galonami. Wyprzedzali każdocześnie powozy, gdy jechała królewska rodzina. Służba stajenna miała taką samą żółtą liberyą.

Stu Szwajcarów, ubranych w paradzie, przypominało czasy Filipa II, króla hiszpańskiego. Ich obcisłe kurtki w pasy paliowe i modre o wykrawanych rękawach ponad łokciami bu-

fiastych, a ściskanych od łokcia do ręki, a z tych bufów wychodząca materya modra były całkowicie podobne do waletów na kartach malowanych. Kurtki także kończyły się u dołu rodzajem wykrawanych uszów, jedne żółte, drugie modre. Nosili krótkie bufiaste spodnie żółte, tak samo wycięte jak rękawy kurtek, a z tych wyciętych pasów wychodziła modra podszewka, mieli długie pończochy modre i trzewiki, nosili kryzy sztywne białe naokoło szyi, na głowie okrągły niski kapelusz z szerokimi brzegami, obszytymi srebrnym galonem; u kapelusza wiszące pióro strusie. Broń tych Szwajcarów składała się z halabardy staroświeckiej i ze szpady. Służbę pełnili przy rozmaitych bramach zamkowych.

Nasz pułk, t. j. Gardes du corps, pełnił służbę w pokojach królewskich. Pułk ten nosił dwa rodzaje mundurów, kolety w służbie, a fraczki lub surduty poza służbą. Jako ciężka jazda nosił paliowe kolety z kołnierzem i łapkami szafirowemi, kołnierz, łapki i przodek koletu, obszyte złotym galonem, szlify jak u Francuzów i akselbandy złote, w wielkiej paradzie pancerz wyzłacany z słońcem na piersiach, spodnie białe łosiowe, buty palone długie, srebne ostrogi, pałasz prosty kirasyerski o rękojeści pozłacanej, zawieszony na szerokim pasie złotym, ściskającym kolet nad biodrami, a spiętym złotą klamrą, na której był herb króla saskiego. Na głowie nosiliśmy hełmy wyzłacane z obwódką z niedźwiedziej skóry na około, a na tej skórze wieniec dębowy wyzłacany, na hełmie grzebień pozłacany, pokryty włosienną szczotką czarną. Cały pułk siedział na rosłych holsztyńskich koniach karych. Żołnierze mieli karabinki i pistolety. Oficerowie mieli ponsowe wicemundury, składające się z fraków mundurowych i surdutów, przy których były kołnierze, łapki i podszewka szafirowe. Owe wicemundury nosiliśmy, nie będąc w służbie, do nich noszono spodnie białe i buty w pół palone, kapelusz stosowany z piórem białem, szlify i akselbandy; na wielką galę czy to w zamku czy u jakiego wysokiego dygnitarza mieliśmy ponsowe mundury, złotem haftowane na wszystkich szwach, krótkie białe spodnie, białe kamizelki, pończochy i trzewiki.

Nasza służba pełniła się wewnątrz zamku, oficer służbowy miał swój osobny pokój, a żołnierze dużą salę, w której się

mieścili. Zwykle było 6 posterunków t. j. dwóch żołnierzy przed pokajami króla, dwóch przed pokojami królowej, a po jednym żołnierzu przed pokojami infantki ks. Augusty i przed pokojami książąt Antoniego, Maksymiliana i Klemensa. Etykieta dworska, raz zaprowadzona, nie ulegała żadnej zmianie, dla tego wiedziano o godzinach, w których król lub rodzina królewska wychodzili z pokoi swoich i przechodzili przez salę Gardes du corps, natenczas było obowiązkiem oficera służby znajdować się tam i kazać broń prezentować, nadto musiał po 9 wieczorem rond zrobić po zamku, zresztą siedział w pokoju swoim, dokąd kokoledzy przybywali, grał w karty, bawił się lub czytał. Tak nazwany Burg-Frieden nie dopuszczał, aby wydobywano pałasze w królewskim zamku, oficer przed wartą występującą nie dobywał pałasza, ale stał przed żołnierzami swymi z czarną hebanową laską w ręku. Zwykle zaciągało 30 żołnierzy na wartę. Wielkie skrzynie w postaci ław mieściły w sobie, w sali służbowej, materace dla żołnierzy i podoficerów, po 10-tej wyciągali żołnierze materace z owych skrzyń, o 6-tej z rana letnią porą, a o 7-mej zimową porą wkładali je na powrót i zamykali skrzynie, służące im we dnie do siedzenia. Miały one wyżłobione miejsca, w których opierano karabinki tak, że w ten sposób każdy siedzący żołnierz miał obok siebie broń.

Powinnością kapitana dyżurnego i oficera służbowego było być na pokojach królewskich, gdy się goście znajdowali wieczorem. Król grał zwykle partyą wista przy jednym stoliku, królowa przy drugim, dwa inne stoliki były ustawione dla wysokich dygnitarzy. Damy, zaproszone na wieczór, które w karty nie grały, rozmawiały pomiędzy sobą, mężczyźni, nie zajęci grą, mięszali się do tych rozmów.

Korpus oficerów pułku tego, złożony z najpierwszych rodzin saskich, bywał zapraszany, gdziekolwiek arystokracya dawała bale lub zabawy, oficerowie słynęli dobrym tonem i koleżeństwem pomiędzy sobą. Wielka wesołość i hulanka odznaczała nas od innych pułków. Dobre mienie każdego zaledwo wystarczało na rozmaite nasze wybryki, dla tego też nie mógł nikt służyć w Gardes du corps, któremu rodzice nie dodawali przynajmniej 1000 talarów rocznie do żołdu. Pierwsze wyekwipowanie oficera kosztowało 3000 talarów.

Najbardziej zaprzyjaźniłem się z synem wielkiej ochmistrzyni dworu, baronem v. Lützerode, kolegą i rówiennikiem moim. W późniejszym czasie został posłany do Petersburga, o czem mu się poprzednio nigdy nie śniło. Szefem pułku tego był generał Zeschwitz, starzec przeszło siedmdziesiątletni, wszakże nie widywaliśmy go nigdy, rzeczywiście trudnił się wszystkiem podpułkownik Bartenstein. Major, baron Lejser, dowodził szwadronem moim, był w r. 1828 generałlejtnantem. W r. 1835 jeździłem do niego do Saksonii za kupnem bydła i widziałem go raz jeszcze u siebie, wkrótce potem umarł.

Skutkiem powiększenia pułku Gardes du corps rozlokowano nas w pomniejszych miastach w okolicy Drezna, jeden szwadron przybywał kolejno co miesiąc na służbę do stolicy, mój szwadron stanął w Pirna, gdzie przyszło mi konsystować. Pirna, schludne miasteczko nad Elbą, na wstępie do Szwajcaryi saskiej, leży w powabnej okolicy, miałem dwie mile do Drezna, a cztery mile do granicy austryackiej. Jeździłem co sobotę do Drezna, dokąd przybyła matka moja z siostrami i z bratem Ewarystem, a powracałem w poniedziałek rano do Pirna, aby być na paradzie o godzinie dziesiątej. W Dreźnie bywałem w rozmaitych salonach, nie licząc domu kochanych pp. Brezów, bywałem u hrabiny Loos, u ministra spraw zagranicznych, barona Senft von Pilsach, który był poprzednio posłem dworu saskiego w Paryżu, a dom swój w Dreźnie urządził całkowicie na stopie francuskiej. Żona jego była osobą nadzwyczajnie miłą w towarzystwie i umiejącą doskonale robić honory domu swojego. Ks. Paweł Esterhazy, poseł austryacki, zapraszał mnie bardzo często do siebie, był kawalerem, a lubił towarzystwo młodych ludzi, nie mając sam więcej jak 25 lat. Bawiliśmy się doskonale w jego towarzystwie, nie lubił ceremoniałów, a znaczny jego majątek pozwalał mu dogadzać wszelkim fantazyom swoim. Także i poseł francuski p. Bourgouin był na mnie łaskaw; bywałem tam, ile razy dawał wieczór. Pan Bourgouin należał do dawnej szlachty francuskiej, wyemigrował w swoim czasie z Francyi, później powrócił do ojczyzny swojej, gdy Napoleon kazał zamknąć listę emigrantów, przyjął służbę cesarską, był posłem w Madrycie, napisał dzieło o Hiszpanii, po r. 1808 został mianowany posłem przy królu saskim.

Wiele bardzo rodzin przybyło do Drezna w r. 1810, pokój w północnej Europie nęcił do zabaw, a szlachta polska pragnęła dać się bliżej poznać królowi saskiemu, a w. ks. warszawskiemu. Przybył i naczelny wódz wojska polskiego, ks. Józef Poniatowski, wszakże zabawił krótko i napowrót do Warszawy pospieszył. Ordynat Zamoyski, panowie Stanisław Potocki, Działyński, Piotr Bieliński, Wybicki i wielu innych bawili natenczas w Dreźnie. Poznałem te wszystkie znakomite, a dla mnie ciekawe osobistości u ministra Brezy, który jako taki przyjmował każdego Polaka, do Drezna przybywającego. Mój szwadron był właśnie na służbie w stolicy, gdy najwięcej Polaków przybyło, z wielką radością kazałem moim żołnierzom oddawać honory każdemu wojewodzie, przybywającemu do króla, gdym zaciągał wartę w zamku. Przed księciem Józefem kazałem nawet broń prezentować, co tylko się czyniło przed członkami rodziny królewskiej. Za takie niewłaściwe uszanowanie księcia odebrałem surową naganę od majora Lejsera.

Poznałem w jesieni tego roku Dezyderego Chłapowskiego, późniejszego generała polskiego w czasie powstania 30-go r. Był natenczas oficerem ordynansowym przy cesarzu Napoleonie, a udawał się do ks. warszawskiego od swego ojca, starosty kościańskiego, a dziedzica Turwi. Wnet się z nim zaprzyjaźniłem, byłem jego przewodnikiem w Dreźnie, zawiozłem go do sławnej fortecy Königstein. Obydwaj młodzi, ożywieni jednym duchem, zbliżyliśmy się do siebie, w późniejszych kolejach poszliśmy jedną drogą. Tak on jak i ja nie służyliśmy carowi, tak on jak i ja pospieszyliśmy pomnożyć hufce narodowe, gdy naród powstał 30-go r. Nie będę się dalej rozwodził o późniejszych czasach Dezyderego Chłapowskiego na Litwie, nie będąc świadkiem jego działalności, nie mam o nim sądu, tyle jednaku dodać mszę, że, jeżeli zbłądził jako partyzant, stanowczo o zdradę nigdy nie można go było posądzać.

W domu rodzicielskim. Generałowie Dąbrowski i Kwaśniewski. PP. Ponińscy. PP. Mycielscy.

Udałem się na jesień 10 r. na urlop do ojca mojego, którego od Presburga nie widziałem. Pędził samotne życie w Wol-

sztynie, nie mając żadnego towarzystwa prócz najmłodszego brata mojego Apolinarego i starej Dzierżawskiej. Matka moja polubiła Drezno — jakoż powróciła z tej stolicy dopiero dwa lata później.

Ojciec mój uprzykrzył sobie świat, stał się mizantropem, podziękował za wszystkie urzędy, a zajmował się wyłącznie gospodarstwem, w czem pomocnym mu był stary sekretarz jego Rutkowski. Moje przybycie rozweseliło na chwilę ponurą cichość, panującą w dworze wolsztyńskim, przerwała się owa klasztorna jednostajność. Nie byłem do klauzury przywkł w pułku, szukałem zabawy w sąsiedztwie i zapraszałem towarzystwo do domu ojca. To mu się nie podobało, dla tego zawiózł mnie do Poznania, gdzie mnie w towarzystwa wprowadził.

Pierwszą wizytę oddałem generałowi Dąbrowskiemu i zbliżyłem się do wodza legionów z prawdziwą czcią i uwielbieniem. Przyjął mnie nader łaskawie, a że sam służył w saskiem wojsku za lat młodych, widocznie przyjemnem mu było rozmawiać ze mną o niem. Zaprosił nas, ojca i mnie, na obiad, wchodził w najdrobniejsze szczegóły organizacyi wojska saskiego, mnie zaś powiedział wyraźnie, że powinienem się przenieść do polskiego wojska, w którem obiecał swoją protekcyą.

Generał Dąbrowski był zwykłego wzrostu, dobrej tuszy, czerwony na twarzy, nie mówił płynnie po polsku, nie lubił reprezentacyi, w pożyciu domowem był bardzo łagodnym, ożenił się 1809 roku z p. Chłapowską, a najchętniej przesiadywał w Winnejgórze, majętności, darowanej mu przez cesarza Francuzów. Mógł natenczas liczyć z jakie 50 lat; kochał Wielkopolskę i otaczał się Wielkopolanami. Był dobrym Polakiem aż do zgonu, nie zmienił nigdy sposobu myślenia. Jego dom był miejscem zebrania wszystkich, którzy po r. 1815 pozostali wiernymi uczuciom prawdziwie polskim, dla tego też był nienawidzony przez w. ks. Konstantego.

Z pierwszego małżeństwa miał generał Dąbrowski syna, nieszczęśliwej pamięci generała Henryka Dąbrowskiego, o którym wolę całkowicie zamilczeć, i córkę, wydaną za mąż we Włoszech za markiza Polombini. Z drugiego małżeństwa pozostało także dwoje dzieci, Bronisław Dąbrowski, dzisiejszy dziedzic Winnejgóry, i córka, która poszła za mąż za Mańkowskiego, obywatela z Wołynia, który się przeniósł w Poznańskie.

Ojciec zaprowadził mnie także do generała Kwaśniewskiego. Był to typ dawnych konfederatów, huczny, buńczuczny, dobry jeździec, zawołany do kufla, śmiały w boju, miłujący niewygodę, krzykacz, ubóstwiany od żołnierza, mówił tylko po polsku, niecierpiał cudzoziemszczyzny, drwił z obcych obyczai, nie lubił tonu salonowego. Miał przysłowie: «Mój miły», które ustawicznie powtarzał, które nawet wysunęło mu się nieraz, gdy rozmawiał z królem saskim, co nadzwyczajnie bawiło króla. Kwaśniewski był wysłany w r. 1809 do Saksonii z 4-tym pułkiem jazdy polskiej, któremu dowodził w owym czasie jako pułkownik, aby się tam połączyć z dywizyą, operującą przeciwko ks. brunświckiemu. Król chciał widzieć ten pułk, jakoż nakazał mu wystąpić przed sobą. Kwaśniewskiemu, wiarusowi, przyszło na myśl zabrać króla i orszak do niewoli; przypuszcza atak na niego. Król, nie uprzedzony, a obawiający się wypadku, widząc pułk cały pędzący na niego, zwraca konia i zmyka. Ha! ha! ha! śmieje się na głos Kwaśniewski i woła na króla: «Stój, Najjaśniejszy Panie, to żart, nic Ci się złego nie stanie!» A zakomenderowawszy: Stój! wstrzymuje natarcie. Żołnierze stanęli jak wryci, konie parskały, tuman kurzawy powstał, a pułkownik rzekł, śmiejąc się: «A tom strachu napędził Niemcom!» Takim był Kwaśniewski, taki był naówczas duch wojska.

Kwaśniewski niecierpiał magnatów, mówił ciągle, że magnaci ojczyznę zgubili, ale szlachtę kochał i, gdzie mógł, dobrze jej czynił, pił z nią, grał w maryasza, ujeżdżał dzikie konie, jadł w obozie razem z żołnierzami, każdego, który nie był Polakiem, nazywał „plundrem“. Chudy, wysoki, nosił zawiesiste wąsy i włosy, nie wdawał się w żadne intrygi, pilnował służby i — butelki. Kwaśniewski przyjął nas po swojemu, upoił ojca i mnie i koniecznie namawiał do 4-go pułku jazdy.

Ówczasowy prefekt departamentu poznańskiego, p. Józef Poniński, żył wystawnie, był nadzwyczajne grzeczny, będąc pod pantoflem żony, kierował się według jej woli; mówiono też zatem, że ona była rzeczywiście prefektem departamentu. Pani Ponińska, z domu Zabłocka, pełna dowcipu, niska, zgrabna, przyjemnej twarzy, sprytna, lubiąca zabawy, nadzwyczajnie śmiała w pomysłach, umiejąca sobie poradzić w każdej okoli-

czności, rządziła dobrodusznym mężem. Od niej zależały nominacye, ona kierowała interesami, w jej przytomności zdawano raporta panu prefektowi, ona ponajwięcej decydowała w trudnych okolicznościach i dobrze decydowała. Dla tego miała daleko liczniejszy dwór od mężowskiego. Bawiono się doskonale w jej salonach. Mnie przyjęła z wielką uprzejmością, wnet byłem jej domownikiem, należałem do jej wszystkich zabaw, słowem nie mogła się obyć bez zemnie. Wesoło przepędziłem kilka tygodni w Poznaniu, mój ojciec powrócił do swojego zacisza; poczciwy starzec nie znajdował przyjemności w tym zgiełku i ustawicznych zabawach.

Już wspomniałem o pp. Mycielskich z Kobylopola. Znając ich od dzieciństwa, pospieszyłem do bliskiego ich pałacu. Tu panowały obyczaje francuskie, mowa francuska, a pełno Francuzów i Francuzek bawiło w tym dworze. Można było sądzić, że się jest w Francyi. Pan Mycielski miał znaczny majątek, wszystko było wystawne u niego, ale obok całej elegancyi panował wielki nieład w Kobylopolu. Kurzawa okrywała najpiękniejsze rzeczy, książki najrzadsze butwiały zimową porą, a wysychały latem w bibliotece, wystawionej w ogrodzie, a niezabezpieczonej od wpływu temperatury i powietrza. Kto chciał, ten okradał p. Mycielskiego; nie wchodził w szczegóły gospodarskie. Urodzony raczej na dygnitarza przy dworze jakiego króla aniżeli na szlachcica polskiego, nudził się na wsi, wyjeżdżał za granicę, ile tylko mógł, dla tego wielki nieład panował w jego pięknym majątku. Pani Mycielska, osoba nadzwyczajnie wykształcona, dzieliła całkowicie uczucia męża swojego, mieszkała z konieczności w Kobylopolu, a wzdychała do Francyi. Doprawdy żal było patrzeć na tych zacnych, dobrych i uprzejmych ludzi, dążących oczywiście do utraty majątku skutkiem wielkiego nieładu, panującego u nich.

Wybicki. Działyńscy. Bracia Miniszewscy. Pani Prusimska. Kanonik Chłapowski.

Jakżebym się mógł nie przedstawić wojewodzie Wybickiemu, mając sposobność do tego! Już w Dreźnie poznałem go

u ministra Brezy; w Poznaniu poszedłem mu oddać wizytę, gdy właśnie przybył do tego miasta z lubych swoich Manieczek. Wybicki zasłużył sobie na wieczną chwałę pomiędzy Polakami. On i Dąbrowski nie zwątpili o losach ojczyzny, żaden z nich nie hołdował ciemiężycielom narodu naszego. Wszakże pomimo jednego celu każdy z nich poszedł inną drogą; a różnili się także bardzo co do charakteru. Dąbrowski, nauczywszy się dopiero po polsku, gdy wstąpił w szeregi wojska naszego, był rzeczywiście Sasem. Urodzony z matki Niemki, a z ojca Polaka, osiadłego w Saksonii, odebrał wychowanie całkowicie niemieckie, służył początkowo w saskiem wojsku, wszedł dopiero do wojska polskiego w stopniu majora 1792 r. Nie lubił reprezentacyi już dla tego samego, że trudno mu się było wysławiać w ojczystym języku, był dobrym żołnierzem, posiadał znakomite wiadomości strategiczne, ale, walcząc całe życie za sprawę narodową, nie zapomniał i o własnej korzyści; był czas, gdzie mu bieda dokuczała; tułaczem, że tak powiem, pomimo stopnia swego, widział legion polski, którym dowodził, przerzucony ze służby francuskiej do służby włoskiej, ze służby włoskiej do służby neapolitańskiej, dla tego obawiał się cierpieć powtórnie niedostatek, gromadził pieniądze, jak mógł i gdzie mógł. Nieprzyjaciel reprezentacyi, nienawidził ks. Józefa i wszystko, co otaczało jego osobę, sprzeciwiał się mu, ile mógł. Najmilsze chwile jego były w Winnejgórze, tam żył swobodnie przy młodej małżonce swojej w towarzystwie kilku poufnych przyjaciół. Jak dobrze się mający szlachcic, lubił zapomnieć o interesach wojskowych, usuwał pilnie, cokolwiek mu mogło przypomnieć zawód wojskowy, trudnił się gospodarstwem i sknerzył.

Wybicki, wymowny, śmiały, sprężysty w postępowaniu, pewien siebie, nieoględny na własny byt, był gotów poświęcić wszystko i wszystkich, począwszy od siebie samego, dla dobra kraju. Lubo namiętnie przywiązany do swych Manieczek, oddanych mu przez Napoleona, ponieważ były skonfiskowane za panowania Prusaków i darowane pruskiemu generałowi Zastrowowi, nie przyjął ofiarowanych sobie dóbr narodowych przez rząd francuski, wychodząc z zasady, że rząd nie ma prawa szafować majątkiem polskim. Dla tego prosił tylko Napoleona

o powrócenie mu własnych dóbr, nie roszcząc żadnych pretensyi za wiadomą protestacyą na sejmie 1790 r. i za tułactwo swoje aż do r. 1806. Nawet powrócił generałowi Zastrowowi nakłady, poczynione w Manieczkach. Obywatele obawiali się Wybickiego, poznali albowiem, że u niego nic nie znaczy ród, majątek i jakiekolwiek stosunki, skoro idzie o dobro kraju. Jakoż dał dowód tego 1809 r., w czasie wkroczenia Austryaków do kraju, gdy cały kraj mienił się być zgubionym przed bitwą pod Raszynem i ustąpieniem ks. Józefa z Warszawy. Wybicki, posłany natenczas w Poznańskie i Kaliskie dla organizowania pospolitego ruszenia, stał się postrachem wszystkich obojętnych, narobił sobie mnóstwo nieprzyjaciół skutkiem niesłychanych ofiar, które wymógł od obywateli. Umiał wykryć każdą opieszałość i złą wolę, a surowe przedsięwzięte środki przeciwko niechętnym, zapewniały na przyszłość zadosyć uczynienie rozkazom jego. Złorzeczono mu natenczas pokątnie, wszakże nie śmiano jawnie wystąpić przeciwko niemu, ponieważ Wybicki posiadał publiczne zaufanie, a pierwszy dał z dóbr swoich przykład poświęcenia wszystkiego dla sprawy publicznej. Dbano natenczas o dobre imię i o tytuł dobrego Polaka, naród nie był zdemoralizowany, a zatem przykładał się każdy do ocalenia ojczyzny, chociaż było wielu takich, którzy z przymusu działali. W życiu prywatnem był Wybicki słodkiego usposobienia, w młodości swojej musiał być pięknym mężczyzną, na starość zachował szlachetne rysy i nadzwyczajnie żywe oko. Pewien rodzaj smętności odznaczał twarz jego, może były to skutki nadzwyczajnych przygód, których doznał, mówił płynnie i przyjemnie, miał prawdziwie wykwintny ton w towarzystwie. Wysoki, w czasie obecnym już otyły, umiał z przyzwoitością reprezentować godność, którą piastował. Bezinteresowność jego przechodziła wyobrażenie. Oddany usługom kraju, nie chciał nigdy przyjąć jakiegokolwiek wynagrodzenia, był ubogi całe życie swoje i nie pozostawił dzieciom żadnego majątku. Dąbrowski nie lubił salonowego życia, Wybicki znajdował się w niem swobodnie, pierwszy był chciwy, drugi bezinteresowny, Dąbrowski nie lubił całej koteryi księcia Józefa i zazdrościł mu wyraźnie, Wybicki tego uczucia nie znał. Dąbrowski, mężny w boju, zręczny w obrotach, umiał

oszczędzać krew wojska swojego, był ojcem żołnierzy. Wybicki, śmiały na mównicy, śmiały w przedsięwzięciu, gotów był wszystko postawić na szalę, byle kraj wyprowadzić z toni nieszczęścia. Obadwa zasłużyli się ojczyźnie, obadwa nie skazili swego nazwiska jakąkolwiek podłością, obadwa mogą być wzorem przyszłym pokoleniom, jeżeli, szczęśliwszym od nas, przyjdzie im wydźwignąć ojczyznę z toni dzisiejszego nieszczęścia.

Pan wojewoda Działyński, dziedzic Kórnika i wielu innych dóbr, człowiek uczony i majętny, zajmował pierwsze miejsce w społeczeństwie poznańskiem, należące się mu tak dla wysokiego urodzenia, jak dla ofiar, poczynionych dla kraju. Był to pan nadzwyczajnie grzeczny, uprzejmy dla każdego, zamiłowany w literaturze i sztukach pięknych, mający dom otwarty i doskonałego kucharza. Pan Działyński przepędził wiele lat w Paryżu i dla tego przejął się całkowicie obyczajami francuskimi, lubił Francuzów, ale był dobrym Polakiem. Miał przy sobie dwóch panów Miniszewskich, braci, jeden z nich był księdzem i trudnił się wychowaniem syna jedynaka wojewody, dzisiejszego hr. Tytusa. Ksiądz Miniszewski był bardzo oczytany, znał doskonale literaturę polską, a należał do małej liczby rzeczywiście uczonych Polaków w owej epoce. Drugiego Miniszewskiego mało znałem, nic zatem nie mogę o nim powiedzieć.

Pani wojewodzina, z domu Dzieduszycka, nosiła się bardzo wysoko, nie lubiły jej dla tego panie poznańskie, wszakże umiała doskonale robić honory salonu swego; wesoła, dowcipna, nawet nieco złośliwa, przekładała towarzystwo męskie od kobiecego. Dom ten był dla mnie bardzo przyjemny, wiele wesołych chwil przepędziłem w Konarzewie, zaprzyjaźniłem się z Tytusem i dotąd mamy z sobą serdeczne stosunki, chociaż, wyprowadziwszy się w Kaliskie, rzadziej się z nim widuję.

Jakżebym mógł zapomnieć o pani Prusimskiej, wspominając o towarzystwie poznańskiem, i o jej bracie rodzonym, księdzu kanoniku Chłapowskim! Już wyginął całkowicie typ oryginałów tego rodzaju. Oboje słynęli w swoim czasie z oryginalności. Ksiądz kanonik z kuchni i piwnicy, jego siostra z praktycznego rozumu i z wesołej rubaszności. Zgadzała się w zdaniu swojem z generałem Kwaśniewskim, nienawidziła

francuszczyzny, chociaż się sadziła na rozmowę francuską z Francuzami, co było zwykle powodem najśmieszniejszych qui pro quo, ponieważ Francuzi niemal zawsze inaczej rozumieli to, co im pani Prusimska zamierzała powiedzieć łamaną swą francuszczyzną. Dom jej był schadzką całej młodzieży, tam bowiem panowało sans gêne w najobszerniejszem znaczeniu słowa, hulano, piło się, w karty grano, chałasowano, tańcowano, co kto chciał.

Trzy córki pani Prusimskiej, wcale apetyczne buziaczki, miały całkowicie ton gryzetek paryskich, nie obrażały się byle czem były wesołe, lubiły chłopców; tak się albowiem same wyrażały. Pani Żółtowska, najładniejsza z tych trzech sióstr, była rozwiedzioną z mężem, szepleniła wdzięcznie, lubiła tańczyć, śmiała się chętnie i nie udawała świętoszki. Porucznik Wolski, zakochawszy się w niej, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu w Sędzinach u pani Prusimskiej w szale zazdrosnym, spowodowanym zalotnością swej bogdanki. Pani Prusimska mogła liczyć około 45-ciu lat, gdym został w jej dom wprowadzony; zażywała tabakę, piła poncz i wino, grała w maryasza z proboszczem, a z nami w faraona. Wszystko to już nie żyje! Panie, przyjmij ich do łaski swojej!

Stanisław Chłapowski, adjutant generała Dąbrowskiego i dziewierz jego, zaprowadził mnie do swego stryja, księdza kanonika Chłapowskiego. Przekonałem się u niego, że zasługiwał rzeczywiście na sławę, którą sobie zjednał kuchnią i piwnicą. Gdym go poznał, był już w latach podeszłych, ale lubił towarzystwo wesołe, a że mieszkał w swej kuryi na wyspie tumskiej jako kanonik katedralny poznański, nie omieszkał zatrzymać każdego odwiedzającego, czy na obiad czy na wieczerzę. Doprawdy, że warto było z zaproszenia korzystać, trudno albowiem marzyć o wykwintniejszej kuchni.

Raczyńscy.

Ksiądz arcybiskup Raczyński nosił swój płaszcz purpurowy na dwóch ramionach: niby to Polak, instynktem i moralnością Jezuita (z dawnej szkoły, bynajmniej dzisiejszej), ser-

cem Niemiec, pozorem Francuz, dla ambicyi Włoch, nikomu nie życzliwy prócz sobie samemu, chytry, złośliwy, przez nikogo nie lubiany, źle widziany od rządu, który mu nie dowierzał[1]), rzadko kiedy się pokazywał w swojej katedrze w Gnieźnie, jakoż po najwięcej siedział w Rzymie, odkąd Wielkopolska przestała być prowincyą pruską, dawniej bowiem miał swoje forum w Berlinie. Ubiegał się o kapelusz kardynalski u Stolicy Apostolskiej, ale mu się nie udało. Gdy w Polsce bawił, mieszkał przeważnie w Ciążeniu, które dobra były dla arcybiskupów gnieźnieńskich przeznaczone, albo też u swego krewnego, Filipa Raczyńskiego, w Rogalinie.

W czasie smutnej epoki panowania Stanisława Augusta doszedł marszałek Raczyński do najwyższych dostojeństw w Polsce. Wiadomo każdemu, ile się przyłożył do zatraty ojczyzny, za co pobierał od trzech dworów pensyą znaczną aż do śmierci. Pan marszałek naturalnie forytował swoją rodzinę, z jego łaski został ksiądz Raczyński arcybiskupem gnieźnieńskim. Stryjeczny brat jego, a zarazem zięć, Filip, dziedzic Rogalina, był generał-majorem wojsk koronnych.

Był to dziwak w całem znaczeniu tego słowa; pamiętam go z lat moich dziecinnych. Nosił się po francusku, à la Louis XV, miał wielką fryzurę i harcap, suknią francuską, krótkie spodnie i buty z stylpami. Otóż pozostawił pan generał dwóch synów po sobie, Edwarda i Atanazego, którzy odziedziczyli ogromny jego majątek. Edward wypłacił swój dług ojczyźnie. Służył albowiem w wojsku aż do roku 1810, po którym czasie poświęcił się naukom. I on był oryginałem, ale oryginałem szlachetnego rodzaju. Cóż komu do tego, że żył po swojemu, kiedy nikomu nie szkodził, owszem wiele dobrego uczynił niejednemu!

W Poznaniu wystawił bibliotekę, sprowadził do miasta źródlaną wodę i wystawił fontannę przy klasztorze Sióstr Miłosierdzia. Tum poznański jemu winien kaplicę Piastów. Jednem słowem, zasłużył sobie Edward Raczyński na wdzięczność rodaków, był to pan szlachetny, lubo oryginał. Wiele podróżował, ale nie jeździł do Paryża lub jakiej innej stolicy,

[1]) Zupełnie odmienną daje charakterystykę arcybiskupa Raczyńskiego Ks. Korytkowski, (Arcybiskupi Gnieźnieńscy). (Przyp. wydawcy).

lecz zwiedził Turcyą, o którym to kraju napisał dzieło. Nieszczęśliwie skończył, odebrał sobie bowiem życie wystrzałem z armaty własnej. Pozostawił jednego syna, dzisiejszego hr. Rogera.

Atanazy Raczyński inną poszedł zupełnie koleją. Już przedtem o nim wspomniałem, natura obdarzyła go ładną twarzą, raczej kobiecą aniżeli męską. Dopóki żył ojciec tych dwóch braci, nie mogli iść za własnym popędem; ojciec ich trzymał nadzwyczajnie surowo, kazał im się tak samo ubierać jak i on, a zatem nosili karcapy, byli ufryzowani, mieli loki, suknie francuskie i resztę ubioru odpowiednią. Generał Raczyński wysłał swych synów na uniwersytet do Getyngi pod dozorem guwernera, a wkrótce potem umarł, polecając ich opiece pana marszałka.

Oczywista rzecz, że wszystkie matki chwytały młodych paniczów, skoro się w świecie zaczęli pokazywać. Ale jakoś nie spieszyli się wchodzić w śluby małżeńskie. Pan Atanazy pokochał się w mężatce, prowadził z nią romans kilkoletni, wreszcie porzucił, gdy cała młodzież polska zaciągnęła się pod chorągwie nowo tworzącego się wojska polskiego. Jadąc na pysznym koniu w Warszawie jako prosty żołnierz, nie odpowiedział oficerowi, pytającemu się, czyj ten piękny koń; oficer posłał go na odwach dla braku uszanowania. Wyszedłszy z kozy, podał się Raczyński do dymisyi, wyjechał z Księstwa Warszawskiego i już odtąd stronił od Polaków. W r. 1816 ożenił się z księżniczką Radziwiłłówną i zaraz po ślubie wyjechał z żoną do Berlina, gdzie odtąd ciągle przebywał. Mianowany szambelanem i posłem dworu pruskiego w Lisbonie, żył tam kilkanaście lat. Żona, nie mogąc znieść jego dziwactw, pozostała w Dreźnie, później zamieszkała we Włoszech, gdzie umarła. Pan Atanazy nie pozwolił swym dzieciom (miał syna i córkę) nauczyć się języka polskiego. Córkę wydał za magnata węgierskiego, synowi kazał ożenić się z księżniczką Oettingen-Wallerstein, sam żył w Berlinie, trwając nieodmiennie w nienawiści swojej do Polaków.

Bracia Jaraczewscy. Fryderyk hr. Skórzewski. Garczyńscy.

Nie zapomnę dwóch braci Jaraczewskich, majętnych obywateli w Poznańskiem. Starszy Hieronim był i umarł ka-

walerem, bawił całe życie swoje w Paryżu, gdzie je też zakończył, chwilami tylko przybywał do swej majętności Jaraczewa. Nie było człowieka więcej wesołego od niego, posiadał tajemnicę życia przyjemnego, umiał używać znacznego swego majątku, zwiedził nieomal całą Europę w kabryolecie o jednym koniu i z jednym służącym. Za jego czasów nie domyślano się jeszcze kolei żelaznych, a drogi bite (chaussée) należały do wyjątków; gdzie znalazł przyjemność, tam się zatrzymywał, jak tylko poczuł przesyt, ruszał dalej, wszakże Paryż był jego ulubionem siedliskiem. Pod żadnym warunkiem nie chciał przyjąć urzędu; gdy przyszła chwila służyć ojczyźnie, niezależność była mu zanadto drogą, aby ją poświęcić w jakimkolwiek celu, od małżeństwa uciekał jak oparzony, chociaż nadzwyczajnie lubił towarzystwo kobiet, które umiał zabawić dowcipem i wesołością swoją. Był przyjacielem wojewody Działyńskiego i jego domownikiem, ile razy przybywał w Poznańskie, a należał do poufnego towarzystwa pani Działyńskiej, wszakże nie mogło go to zatrzymać w ojczyznie.

Przywykły do życia paryskiego, nie chciał się zastosować do obyczai krajowych, nie lubił biesiad długich, niecierpiał dużych kielichów, nie był myśliwym, nie marzył o gospodarstwie, lubo był dobry finansista i umiał kierować swoim majątkiem, powracał zatem czemprędzej do wygodnego swego mieszkania, rue de la Paix w Paryżu.

Brat jego, kasztelan Jaraczewski, ojciec chrzestny Heliodora Skórzewskiego, był to wzór dobroci, poczciwności i pedanteryi. Żona jego liczyła się w czasie swoim do pierwszych elegantek poznańskich; pan kasztelan był ojcem swoich poddanych, a prawdziwym przyjacielem tych, do których czuł przywiązanie. Dał tego dowód, zapisując testamentem znaczny swój majątek synowi przyjaciela swego, Heliodorowi Skórzewskiemu, synowi mego wuja Fryderyka. Aż dotąd wspominają chłopi majętności Jeziory kasztelana Jaraczewskiego, ponieważ ich w każdej doli ratował, żadnemu nie dał podupaść w czasie wojen, a nie było zapomogi, którejby im nie udzielił. Poświęciwszy się służbie krajowej przy odrodzeniu ojczyzny, został pan Jaraczewski mianowany prezesem sądu apelacyjnego w Poznaniu, a w rok później udzielono mu krzesło w senacie, jakoż został

kasztelanem, mój ojciec zaś postąpił na prezesa sądu apelacyjnego. Zdrowie kasztelana było nadwyrężone, nie mógł się poświęcić służbie tyle, ile byłby tego pragnął.

Wkrótce po swem wyniesieniu na kasztelana zapadł na chorobę, która go w roku 1817 do grobu wtrąciła; umarł, powszechnie żałowany przez rodaków, nie pozostawiwszy potomstwa.

Pan Fryderyk Skórzewski posiadał znaczne włości w okolicach Bydgoszczy, Rogoźna i w Rawskiem. Wychowany przez światłą matkę, z domu Ciecierską, należał do oświeconych obywateli polskich swojego czasu. Lubił wygodę, towarzystwo, miał bardzo łagodne usposobienie, pędził życie, pełne swobody, w pięknym swoim Lubostroniu nad Notecią. I on także nie przyjął żadnego urzędu, chcąc pozostać niezależnym; używał wspaniale ogromnych swych dochodów, miał zawsze na dworze swoim kilku szlachty podupadłej, wspierał biednych, lubił, aby go odwiedzać, sam rzadko gdzie bywał. Żona jego była wzorem dobroci, drogą w sercu mojem pozostawiła pamiątkę, niezatarte dla mnie chwile, spędzone w domu wujostwa. Państwo Skórzewscy mieli 6 dzieci: Heliodor, najstarszy, był adjutantem księcia Józefa; ranny pod Lipskiem, powrócił do domu rodziców; ojciec oddał mu jeszcze za życia majętność Próchnowo, pan kasztelan Jaraczewski zapisał mu Jeziory. On sam mało był lubiany dla dziwactwa swego, ale żona jego, z domu Grabowska, była pani z wszech miar szacunku godna, sama jedna umiała wychować dzieci, które wszystkie jak najlepiej się pokierowały. Rozsądna, rzędna i przezorna, potrafiła dziwactwa męża przed drugimi ukrywać, jakoż zasłużyła sobie na powszechny szacunek. Brat Heliodora, Arnold, całkiem innego usposobienia, zasłużył na szacunek i miłość obywateli. Odziedziczył Lubostroń; szlachetny ten człowiek słynie z dobroczynności. Szkoła polska w Paryżu na Batignolles zawdzięcza jemu istnienie swoje, jako też doktorowi Gałęzowskiemu, który cały swój majątek, własną pracą nabyty w Meksyku, dokąd był się udał po rewolucyi 1830 r., poświęcił na ten zakład. Arnold Skórzewski ożenił się z córką pułkownika Skórzewskiego, równie dobrą i miłosierną panią jak i małżonek; szkoda, że ci zacni ludzie mieszkają przeważnie w Paryżu, a rzadko kiedy na wsi.

Z rodziny matki mojej zasłużył sobie na pierwszeństwo z każdego względu pan Antoni Garczyński, jej brat rodzony, dziedzic majętności Tukowa. Przed wkroczeniem Francuzów do kraju już zasłużył sobie pan Antoni na zaufanie powszechne obywateli wielkopolskich, w dowód czego mianowany został głosem powszechnym na urząd prefekta departamentu kaliskiego, jak tylko Prusacy zostali wygnani. Nie było łatwą rzeczą piastować urząd w czasie ustawicznych przechodów wojska, nadużyć wszelkiego rodzaju z strony przechodzących komend i niesforności braci szlachty, którzy sądzili się przywróceni do czasów anarchicznych nieszczęsnej pamięci króla Stanisława Augusta. Garczyński wszystkiemu podołał, potrafił zaimponować generałom wojska Napoleona i szlachcie, a zarazem wzbudził powszechne zaufanie. Jego departament był najlepiej administrowany w Księstwie Warszawskiem. Król saski odwiedził dwa razy Kalisz w przejeździe swoim do Warszawy, a w nagrodę za porządek, jaki znalazł w departamencie, ozdobił prefekta wielką wstęgą św. Stanisława. Większe znaczenie miał naówczas order taki jak za czasów rosyjskich, gdzie rząd rozdaje ordery lada komu i lada za co. W r. 1813 przedstawiony został Garczyński na ministra spraw wewnętrznych, wszakże nieszczęśliwa wyprawa Napoleona do Rosyi położyła koniec bytowi Księstwa Warszawskiego. Kaliski departament odznaczył się i po kampanii 1812 r. dostawą nowo zaciężnego wojska; aż do ostatniej chwili nie ustąpił prefekt z miejsca, dopiero gdy generał Regnier, położywszy trupem pod Kaliszem jakie 5000 Rosyan, cofnął się z resztą niedobitków, powracających z Rosyi, ustąpił z miasta tego; połączył się z nim prefekt i obadwa cofnęli się ku Krotoszynowi. Garczyński, zmuszony opuścić Kaliskie, udał się do króla saskiego; pozostał w Dreźnie w czasie oblężenia miasta tego po bitwie pod Lipskiem, tam zapadł na tyfus, skutkiem którego umarł r. 1813 w miesiącu listopadzie. Nie był żonaty, miał majątek znaczny, który stał się powodem procesu pomiędzy matką moją łącznie z ciotką Skórzewską, a bratem tych pań, Stefanem Garczyńskiem, dziedzicem Szelejewa, późniejszym moim teściem, któremu prefekt dobra swoje zapisał. Skutek tych zatargów familijnych był jak zwykle ten, że obie strony nic nie

dostały; koszta sądowe pochłonęły sukcesyą; mój teść stracił w tym procesie najznaczniejszą część majątku swego własnego, a moja matka przyczyniła się uporem swoim do straty 10 000 talarów, które ojciec mój na proces ten wyłożył; mnie zrujnowała, o czem później mówić będę, i odwlekła o 7 lat połączenie się z moją żoną.

Najstarszy brat mojej matki, pułkownik Franciszek Garczyński, był czasu swego jeden z najurodziwszysh młodych ludzi; wielu kobietom zawracał głowy, był rotmistrzem w kawaleryi narodowej, należał do insurekcyi 1794 r.; za Prus Południowych pozyskał rangę majora w pruskiem wojsku; gdy Francuzi wkroczyli do kraju, przysłał mu Dąbrowski patent na pułkownika; jakoż dowodził późniejszym piątym pułkiem jazdy polskiej; wszakże niezgodny jego charakter nie mógł się przyzwyczaić do subordynacyi wojskowej. Pełen przesądów dawnych, nie umiał pułkownik Garczyński słuchać, sprzykrzył sobie służbę, a pozyskał skutkiem przyjaźni generała Dąbrowskiego posadę komendanta placu w Rawiczu, który urząd piastował do śmierci swej roku 1812.

Pułkownik Garczyński miał dwie żony: jedna, Mycielska z domu, która mu przyniosła w posagu znaczny majątek. Spłodziwszy troje dzieci z nią, rozwiódł się, ożenił się powtórnie z panią Węgorzewską, rozwódką po szambelanie Węgorzewskim, dziedzicu Kuklinowa[1]). I z tą żoną wziął znaczny posag; sam zaś miał z jaki milion majątku własnego. Wszakże wszystko utracił i umarł bankrutem.

Najmłodszy brat mojej matki, pan Stefan Garczyński, człowiek z gruntu dobry i poczciwy, został mianowany prefektem powiatu krotoszyńskiego po wkroczeniu Francuzów do kraju: pozostał na tym urzędzie aż do roku 1815, jako epoki zajęcia powtórnego prowincyi poznańskiej przez Prusaków. Utracił piękny swój majątek skutkiem owego nieszczęśliwego procesu o sukcesyą po bracie Antonim i przez zbytnie zaufanie w uczciwość przyjaciół, którym pożyczał pieniędzy, a nigdy z powrotem nie odbierał. Pan Stefan Garczyński był zagorzałym patryotą; służył wiernie krajowi w służbie cywilnej za czasów

[1]) Była to Katarzyna Radolińska, córka Andrzeja Radolińskiego z Białej i Anny z Gajewskich; synem jej był poeta Stefan Garczyński. Ob Dr Stanisław Karwowski, Historya rodu Radolińskich, str. 159. (Przyp. wydawcy).

Księstwa Warszawskiego; gdy wybuchnęła rewolucya 1830 r. zaciągnął się starzec do wojska, odbył kampanią, a wreszcie zakończył życie w Lubostroniu.

Bonawentura Gajewski. Kasztelanowa Krzyżanowska. Mielżyńscy. Niegolewscy.

Rodzony mój stryj, Bonawentura Gajewski, starosta powidzki, słynął czasu swego z zalotności, miał dar podobania się kobietom. Zwyczajem owych czasów rozwiódł się z pierwszą żoną, Mielżyńską z domu, która poszła później za pana Mycielskiego z Kobylopola, on zaś pojął za żonę córkę starosty Mycielskiego. Pan Bonawentura Gajewski utracił cały swój majątek. Miał z pierwszej żony dwoje dzieci: syna Józefa, który zginął w bitwie pod Ostrołęką jako pułkownik 16 pułku piechoty liniowej, broniąc przeciwko Rosyanom przeprawy przez Narew, i córkę Leokadyą, żonę owego osławionego hr. Engeströma, majora wojska polskiego, szpiega policyi Polski kongresowej, a później generała rosyjskiego.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o siostrze ojca mojego, pani kasztelanowej Krzyżanowskiej. Była to osoba bardzo wykształcona, z doskonałą głową. Małżonek jej posiadał znaczny majątek, był wielkim prawnikiem, umarł jeszcze przed rokiem 1806. Pani kasztelanowa dzierżyła pozostałym majątkiem mężowskim i swoim własnym z wielką oględnością; jakoż oddała synowi swemu Józefowi znaczne dobra, które stracił, ale w czasie późniejszym znowu potrafił je odzyskać skutkiem szczęśliwie kierowanego interesu sukcesyi po wojewodzie Opaleńskim. Siostra Józefa, Melania, połączona została węzłem małżeńskim z Wiktorem hr. Szołdrskim, najmajętniejszym obywatelem departamentu poznańskiego, który jednakże zmarnował całą fortunę i umarł w biedzie. Melania Szołdrska zniosła z pokorą chrześciańską zmianę losów, poświęciła się Bogu i umarła w wielkiej pobożności.

Postrachem sąsiadów, znajomych i nieznajomych w Poznańskiem był, jak już w innem miejscu wspomniałem, pan starosta Mielżyński, dziedzic Miłosławia, Dąbrowy i t. d., człowiek

bardzo majętny, a pieniacz, jakich mało podobnych na świecie. Nie było sąsiada, z którymby nie miał procesu granicznego, możnaby foliały napisać o jego zatargach prawniczych. Pozbawiony wzroku, sam kazał się przez dwóch lokai prowadzić dróżkami granicznemi, w czasie terminów chciał sędziom delegowanym wskazywać granicę.

Pieniactwo było od dawna charakterystyczną cechą ziomków moich, dzisiaj ustaje powoli ten nałóg, lubo się jeszcze dużo pieniaczy znajduje pomiędzy obywatelami, ale za młodych lat moich nie było obywatela, nie mającego procesu. Sądzę, że ta przywara odnosić się musiała jeszcze do czasów kwitnącej palestry po trybunałach polskich. Za pruskich czasów stała się ta wada źródłem spanoszenia się adwokatów pruskich, którzy, przybywszy do kraju z tłomoczkiem na plecach, spanoszyli się, potem pokupowali majątki kosztem swych klientów.

Synowie starosty Mielżyńskiego zasłużyli się krajowi; najstarszy, hr. Maciej, dał wiele dowodów patryotyzmu; aresztowany kilkakrotnie jako wplątany w rozmaite związki, mające na celu przywrócenie bytu narodowego, przypłacił więzieniem uczucia swoje polskie. Jeden z pierwszych udał się do Warszawy, gdy wybuchła rewolucya 1830 r., odbył kampanią przeciwko Rosyanom jako adjutant generała Chłapowskiego, później powrócił do dóbr swoich i świadczył wiele dobrego jeszcze dla polskiej emigracyi. W roku 1848 należał także do komitetu polskiego w Poznaniu. Brat pana Macieja Mielżyńskiego, Seweryn, dziedzic dóbr Miłosław, służył także w czasie rewolucyi 1830 r. w polskiem wojsku, był porucznikiem w pułku jazdy poznańskiej. Po nieszczęśliwym końcu wojny udał się do Szwajcaryi, nie chcąc uledz karze, na niego przez rząd pruski wymierzonej, który skazał na więzienie i pieniężne kary wszystkich tych, którzy pospieszyli walczyć za sprawę ojczyzny.

Dopiero po śmierci króla Fryderyka Wilhelma III powrócił pan Seweryn do kraju wskutek amnestyi, ogłoszonej przez dzisiaj panującego króla pruskiego, wszakże nic go wstrzymać nie mogło od dalszego działania za sprawę Polski. W roku 1846 znowu został aresztowany wskutek odkrycia spisku Mierosławskiego i przesiedział dwa lata w więzieniu w Berlinie. Powszechna rewolucya europejska 1848 r. wyswobodziła Sewe-

ryna z niewoli; on i wszyscy więźniowie Polacy zostali przez ludność wzburzoną w tryumfie wyprowadzeni na wolność.

Mielżyński powrócił do dóbr swoich miłosławskich, krótko wszakże spokoju używał. Rozpoczęła się reakcya na korzyść absolutyzmu w Prusach od Księstwa Poznańskiego. Już w miesiącu kwietniu wkroczyły pomorskie pułki do Księstwa, a pomimo upoważnienia królewskiego, pozwalającego utworzyć rząd i wojsko narodowe, rozpoczęli Prusacy walkę z formującem się wojskiem polskiem i mieszkańcami polskimi. Cóż mogli ludzie bezbronni przeciwko wojsku regularnemu? Stoczono potyczkę pod Miłosławiem, w której wojsko pruskie dostało w skórę od chłopów, kosami uzbrojonych. Chociaż Mielżyński nie należał do niczego i przypatrywał się tylko z parku swego na obroty wojsk, wszakże mu nie przepuściła złość Prusaków; został porąbany przez oficera kirasyerów pruskich, który w kwadrans potem zmykał sam co siły przed nacierającymi kosynierami. Odtąd siedzi Mielżyński spokojnie w Miłosławiu, gdzie udziela przytułku wszystkim, których srogość rządu rosyjskiego wypędza z kraju.

Trzeci syn starosty, Ignacy, walczył także za ojczyznę w 1830 r.; zginął w bitwie pod Szawlami, w której Giełgud dowodził.

Stanisław hr. Mielżyński, syn podkomorzego, dziedzic Pawłowic pod Lesznem, sztyftował własnym kosztem pułk piechoty zaraz po wkroczeniu Francuzów do kraju. Poświęcił się od tej chwili służbie wojskowej, w której dotrwał do r. 1815. Dowodził pułkiem swoim, odbył kampanią 1807, w której pułk ten oblegał Gdańsk, i walczył pod Frydlandem; w r. 1809 należał do załogi gdańskiej; w r. 1812 odbył kampanią rosyjską pod rozkazami marszałka Macdonalda, który wszedł do Kurlandyi z korpusem swym. Następnie powrócił Mielżyński do Gdańska, gdzie wytrzymał oblężenie. Po upadku Napoleona powrócił do dóbr swoich, nie należał już do nowej organizacyi wojska w Polsce kongresowej, żył odtąd spokojnie i umarł w Pawłowicach. W r. 1812 został mianowany generałem. Brat generała Mielżyńskiego, Mikołaj, mało się udzielał; pilnował obszernych włości swoich i był tylko znany z wielkiego swojego majątku.

Niepodobno mi zamilczeć o zacnej rodzinie Niegolewskich. Śmiało powiedzieć mogę, że cnota w tym domu należy do spuścizny. Pamiętam jeszcze starego stolnika, dziedzica Bytynia, cóż to był za typ cnót narodowych! Jaki wylany i szczery dla przyjaciół, jaki miłościwy dla poddanych! Mało już w Polsce mężów, jemu podobnych. Syn jego najstarszy, Apolinary, obiecywał powtórzyć cnoty ojcowskie. Chociaż jeszcze młody, już zasłużył na powszechny szacunek, niestety umarł, nie doszedłszy 30 lat. Drugi syn jego, z wszech miar szacunku godzien obywatel, poświęcił się rolnictwu. Pan Bóg mu błogosławił, jakoż znaczny majątek zebrał i dzieci swoje wyposażył przyzwoicie.

Najmłodszy z dzieci pana stolnika, Jędrzej Niegolewski, zaciągnął się do pułku szwoleżerów gwardyi Napoleona. On to w sławnej potyczce pod Somo-Sierrą w Hiszpanii, gdzie szwadron szwoleżerów zdobył działa nieprzyjacielskie, ustawione na stromej górze, legł na placu bojowym, 17 razy ranny. Cudownym sposobem wyleczony, odbył wszystkie kampanie aż do r. 1814 w sztabie ks. Neuchatel (Berthier), w którym kolegowałem z nim razem. Po upadku cesarza Francuzów powrócił razem z innymi do kraju w randze podpułkownika, ozdobiony krzyżem oficerskim legii honorowej. Odtąd nie służył Niegolewski, ale używał spokoju w zaciszu domowem przy boku młodej małżonki i w gronie dzieci swoich. Rewolucya nasza 1830 r. oderwała go z pośród miłej rodziny, znów przybył Niegolewski do Warszawy poświęcić resztę sił usłudze ojczyzny. Wszakże szybki koniec wojny nie dopuścił działania z jego strony. Niegolewski żyje dotąd, jest to oryginał w rodzaju swoim, wielce zabawny swymi wybrykami, doznaje powszechnego szacunku i miłości ze strony Polaków w Księstwie Poznańskiem, Niemcy niecierpią go.

Ile zasłużyła sobie na miłość i szacunek powszechny rodzina Niegolewskich, o tyle słynął N. N. jako szuler, pijak i człowiek, posuwający bezczelność do najwyższego stopnia. N. N., kawaler Orła Białego, stolnik koronny, pan dziedziczny wielu włości, zaczął swój zawód od pędzenia wołów ojcowskich po jarmarkach rozmaitych w Wielkopolsce. Ojciec jego bowiem handlował wołami, będąc dzierżawcą małej wioseczki

w okolicy Śremu. Już poczuwał pan N. N. w młodym wieku swoim powołanie do kart, którym zawdzięczał znaczne dobra, ordery i rozmaite guzy, odebrane przy faraonie.

Zdarzyło się, że ojciec wysłał syna z partyą wołów do Gostynia na jarmark. Tam po sprzedaniu towaru, zachciało się młodzikowi spekulacyi; jakoż puścił się w faraona, ale szczęście mu nie sprzyjało i przegrał 100 dukatów z pieniędzy, odebranych za woły. Nie było po co wracać do domu; za polskich czasów srogie były napomnienia ojcowskie, a synek nie dowierzał ojcu. Otóż ruszył konceptem i udał się pod protekcyą stryja rodzonego, ks. opata. Opowiedział mu swą przygodę i tyle na nim dokazał, że opat odwiózł marnotrawnego syna do ojca i wymógł na nim ułaskawienie za wybryk nieszczęśliwy. Po obiedzie odjechał ks. opat, a syn, polegając na verbum nobile godnego rodzica, pozostał z nim sam na sam w dobrej myśli. »Gdzieś się waść wałęsał całe 5 dni?« odezwał się ojciec do synka. Oj strach! pomyślał synalek, miałżeby ojciec złamać szlacheckie słowo? «Ojcze dobrodzieju», odpowiedział nieśmiało, «wszakżeś mi wybaczył i dałeś na to słowo stryjowi». «Tu niema mowy o wołach», odrzekł ojciec, «ani słowa o nich, zapomniałem o nich i nie chcę słowa złamać, ale powtarzam moje zapytanie, gdzieś się waść wałęsał całe 5 dni?» Trudno było usprawiedliwić się, pan synalek odebrał ojcowskie napomnienie, t. j. 100 odlewanych bizunów, wsypanych mu na kobiercu własną jegomościną ręką, za wałęsanie się poza domem bez wiedzy ojca.

Ten ustęp z życia pana N. N. słyszałem z ust jego własnych. Wszakże wspomnienie tak bolesne nie utkwiło na długo w pamięci naszego bohatera, jakoż zebrawszy nieco grosza, Bóg wie jakim sposobem, puścił się do Warszawy w czasie sejmu, tam grał w karty i już uzbierał sobie jakie 100 dukatów. Mając czoło miedziane, nie zważał na jakkiekolwiek uchybienie swej osobie, pchał się w towarzystwa, bywał u dworu królewskiego i gdziekolwiek grano w karty. Jednego razu przychodzi do ks. wojewody wileńskiego, owego historycznego «Panie kochanku.» Ks. Radziwiłł ciągnął bank, leżało 1000 dukatów na stole: «Attendez!», woła N. N., wyciąga waleta, rzuca na stół i bez zmięszania się bije cały bank. W trzecim abcugu wygrywa

walet, a szczęśliwy gracz zgarnia całą sumę do kieszeni. Gdy mi opowiadał ów szczegół życia swego, zapytałem się go, coby począł w razie przegranej? «No» odpowiedział, «nie miałem wprawdzie jak z jakie 30 dukatów w kieszeni, nie mając więcej, nie mogłem więcej stracić, a w najgorszym razie byliby mnie za drzwi wypchnęli.» Szczęśliwy ten wypadek, utwierdził pana N. N. w obranym zawodzie, już się nie puścił zielonego stolika, dostał wprawdzie po kilka razy po fizyonomii, gdy zbyt widocznie szczęściu dopomagał, ale to było mu obojętne, byle by zarobił. Nie znał wstydu. W owym czasie nie dobierano towarzystwa, kto grał, był wpuszczonym do salonów. W taki sposób przyszedł N. N. do znaczego majątku, kupił sobie Orła Białego, został stolnikiem koronnym. Obok zuchwalstwa swego w karty, był tchórzem; wyzwany kilkakrotnie na pojedynek, nigdy nie dotrzymał placu, za co dostał po skórze od majora X. r. 1808 w Śmiglu, gdy, wyzwany przez niego, strzelił do majora, poczem skoczył do okna sali, wołając: «Majorze, jeżeli strzelisz i ty, oknem wyskoczę». Major wziął go z najzimniejszą krwią za kark i okładał do woli pochwą od pałasza. Dotąd nie pojmuję, w jaki sposób dokazał N. N., że był przyjmowany do pierwszego społeczeństwa, każdy wiedział o jego brudnych czynach, o guzach, które mu wybito wiele razy, a każdy go zapraszał. Bywał u ks. Radziwiłłowstwa, gdy ks. Antoni był namiestnikiem króla pruskiego w Poznaniu, dawał obiady dla wyższych obywateli, zaprzyjaźnił się przy kartach z feldmarszałkiem Blücherem, który mu wyrobił u rządu tytuł, ożenił syna swego z panną Y. Każdy źle mówił o nim, a każdy bywał u niego, wreszcie umarł w dostatkach i w rozumieniu o sobie. «Male parta, idzie do czarta», mówi przysłowie nasze. Syn pana N. N., jeszcze żyjący p. J., utracił cały majątek, po ojcu odziedziczony, dzisiaj żyje w nędznej wioszczynie w Kaliskiem. O nim wolę zamilczeć.

Drugi łotr, ale niższej klasy, żyjący w Poznaniu pod ten czas, był niejaki Chruścicki, syn szlachcica z Gnieźnieńskiego. Jego oszustwa nieomal się równały sztukom Cartouche'a, doprawdy, dzieło można by o nich napisać, tyle one zabawne i dowcipne. Chruścicki był pięknym mężczyzną, przedstawiał się dobrze i umiał odgrywać każdą rolę. Od samej młodości okazywał



Eleonora Adamowa z Garczyńskich Gajewska.

szczególne zdolności do wyprowadzenia ludzi w pole i już w domu rodzicielskim znany był z oszustwa. Będąc w szkołach w Poznaniu, doszedł do takiej biedy, że nie miał butów i nie mógł wychodzić na ulicę. Gdy koledzy z niego żartowali, założył się z nimi o kilkanaście talarów, że będzie miał za tydzień buty nowe i beczkę wina, a ponieważ pieniędzy nie miał, ofiarował im odstąpić kwartalną pensyą, pobieraną od ojca, jeżeli przegra. Zgodzono się. Chruścicki posyła famulusa swego do dwóch szewców, sprowadza jednego po drugim, a u każdego z nich obstalował parę butów. Narzeka, gdy odnieśli (ma się rozumieć, że przyjmuje każdego w innym czasie), iż but jeden go ciśnie, zatrzymuje u siebie jeden but, a drugi każe szewcowi rozbić na kopycie. Już miał w ten sposób parę butów. Ubiera następnie swego famulusa po chłopsku, a ten oddaje mu list niby od ojca, gdy sam się znajdował przed kamienicą kupca Żupańskiego, handlującego winem. «Skąd jesteś?» zapytuje się Chruścicki chłopa mniemanego. «A bo to mnie wielmożny pon niezna, wszakże z dóbr godnego łojca, przysłał mnie tatulo po srawunki.» Chruścicki otwiera list i znajduje w nim karteczkę do Żupańskiego, w której żąda beczki wina, polecając wydać ją synowi. Kupiec wydał wino, fura zaszła, włożono beczkę i zawieziono wprost do naszego bohatera. List był zmyślony, podpis ojca sfałszowany, ale zakład — wygrany. Wiele podobnych przykładów mógłbym o nim przytoczyć. —

W cudzych borach sprzedawał drzewo kupcom zagranicznym i brał zadatki, udawał handlarza bydłem i sprzedawał obce woły na jarmarkach itd. Muszę opisać jedno oszustwo, sławne z oryginalności swojej. Chruścicki dowiedział się o księdzu, mającym znaczne pieniądze, kutwie, chciwym grosza. Zlecił podobnemu sobie łotrowi, chociaż nie tyle dowcipnemu, niejakiemuś Podgórskiemu, ażeby szpiegował owego dobrodzieja. Jakoż dowiedział się po niejakimś czasie, że przyjechał do Poznania i stanął na Chwaliszewie w oberży pod Sarną. Było to podczas adwentu. Ksiądz nie wychodził na miasto wieczorami, ale siedział w izbie gospodarskiej i tam piwko zapijał. Jednego wieczoru zajeżdża przed oberżę powóz, służący wchodzi i pyta się, czy może dostać osobny pokój dla hr. Z. N. na noc jednę. Oberżysta biegnie czemprędzej ze

światłem i wprowadza do swej izby owego znakomitego podróżnego, prosząc jw. hr., ażeby się w niej zatrzymał, dopóki stancya ogrzaną i uprzątniętą nie będzie. P. hr. siada i rozkazuje podać sobie szklankę ponczu. W pół godziny zachodzi znowu brodzka bryka przed »Sarnę«. Nowy gość wchodzi do izby — jest to gruby i krępy człowiek, w lisiej czapce i kożuchu, narzeka na zimno, żąda grzanego piwa, ale jak tylko spostrzega p. hr., kłania mu się aż do nóg i dziwi się, że jw. pan mógł stanąć pod »Sarną«. »Nie chciałem wjeżdżać do miasta nocną porą, odpowiada nieznajomy, nie mając zamówionej stancyi». Każe siadać podróżnemu przy sobie, podać mu ponczu. Można było poznać w toku rozmowy, że jeden jest pryncypałem, a drugi jego ekonomicznym oficyalistą, zarządzającym dobra rozległe w Prusach Zachodnich.

Łatwo się domyśleć można, że p. hr. nikim innym nie był jak tylko nasz Chruścicki, jego mniemany komisarz był to Podgórski, o którym już była mowa. Otóż p. komisarz poczyna zdawać szczegółową sprawę ze swojej czynności i z biegów interesów, a wspomina pomiędzy innemi, że ks. proboszcz umarł w dobrach pańskich. «Czy być może, zawołał hr. głosem, pełnym żalu — najlepszy mój przyjaciel, on, który się mną opiekował za młodych lat moich, mój najdroższy mentor». Aż łzy puścił z oczów i nie przestawał wyrzekać nad tą bolesną stratą, wyrzucał komisarzowi, że go nie uwiadomił o słabości drogiego mu proboszcza, a byłby pospieszył z lekarzem na ratunek. Chociaż komisarz zaręcza, że miano wszelkie starania, że doktór, zawezwany z Chełmna, nie odstępował nieboszczyka aż do śmierci, nic nie potrafiło ukoić żalu pana hr., aż wreszcie odzywa się komisarz. »Ej, jw. Hrabio, kto umarł, ten już nie powróci, a czyż to jw. Pan nie dostanie proboszcza, jakiegotylko zechce, na probostwo, przynoszące 5000 talarów rocznej intraty i nawet z górą?«.

Dotąd przysłuchiwał się ksiądz obojętnie tej rozmowie, ale, skoro tylko usłyszał o prebendzie, tyle przynoszącej, nadstawił ucha ciekawie. Komisarz zdawał dalszą relacyą o czynnościach swoich, o znacznym kapitale, pozostałym po księdzu proboszczu itp. i powiada wreszcie, że nie mógł dotąd zebrać jak tylko 10 000 talarów, pochodzących z czynszów, które właśnie

przywiózł ze sobą z pańskiego rozkazu na termin naznaczony, ale że mu nie dostaje jeszcze 5000 talarów, ponieważ nie sprzedał dotąd żadnej krescencyi. »A zmiłujże się waćpan, odzywa się hrabia, wszakże mam płacić 25 000 talarów za dwa dni, skądże wezmę 5 000, na które liczyłem z Chrząstowa?« Na te słowa odpowiada komisarz: »Nie miej JW. Pan żadnej obawy co do tego, jutro przyniosę na podpis pański nie tylko 5 000 talarów, ale całe 25 000, jeżeli tego potrzeba«. Wędka była rzuconą, połknął chciwy ksiądz haczyk. Jakoż udał się zaraz po oddaleniu się mniemanego hrabiego i komisarza do stancyi, już wygrzanej, do stajni na bliższe wywiedzenie się od służących o stanie owego probostwa wakującego. Tak służący jak sam hrabia byli to sami oszuści, dobrze już nauczeni swej roli, każdy chwalił dochody probostwa w Chrząstowie, chwalił budynki i zamożność ludu wiejskiego, dosyć, że taki apetyt wywołali w księdzu na ową prebendę, iż nie mógł mu się oprzeć. Nazajutrz, zaledwie rozwidniało na niebie, już szukał ksiądz do dnia pana hr. Na głos, wzywający do wejścia, wsuwa się księżysko pokornie do stancyi i proponuje nieśmiałym głosem leżącemu jeszcze w łóżku Chruścickiemu, ażeby raczył przyjąć od niego pożyczkę 5 000 talarów. Mniemany hrabia udaje zdziwionego, w jaki sposób mógł się dowiedzieć, że potrzebuje owych pieniędzy, ksiądz mu powiada, że był wieczorem poprzedniego dnia przypadkiem obecnym rozmowie jw. pana z jego komisarzem i w ten sposób dowiedział się o nieuzupełnionej sumie, mającej być przywiezioną przez rządcę, i o śmierci ks. proboszcza w Chrząstowie, ofiaruje się zatem dostarczyć hrabiemu pieniędzy, ale uprasza równocześnie o prezentę na wakujące probostwo. Hrabia udaje zdziwionego, że można tak znaczną sumę pożyczyć nieznajomemu, rzuca nadto uwagę, że łatwo można paść w ten sposób ofiarą oszukaństwa jakiego, nareszcie powiada, że nie zna księdza, że nie wie, co za jeden. Dość, że mową swoją doprowadził dobrodzieja do tego, iż ten go prosił jak o łaskę, żeby pieniądze przyjąć raczył. Dokazał swego, odebrał prezentę na probostwo we wsi Chrząstowie, jakiej nie ma w całej ziemi chełmińskiej, a Chruścicki wyjechał w południe z pod »Sarny« do Poznania.

Nowy proboszcz, uzyskawszy pozwolenie wyjazdu od konsystorza, udał się czemprędzej w chełmińską okolicę, dokąd się wlókł najniegodziwszą drogą, szukał swego probostwa do samego Bożego Narodzenia, aż, przekonawszy się w konsystorzu w Chełmnie, że żadnej parafii Chrząstowo niema w tej dyecezyi, powrócił na dawne miejsce, klnąc własną chciwość. Pieniądze przepadły, nawet ksiądz ich nie poszukiwał. Tysiące podobnych spraw wypłatał Chruścicki w życiu swojem, nigdy jednakże nie dostał się pod sąd, zawsze potrafił się wykręcić. Rozmaite role odgrywał, to hrabiego, to żyda, handlarza itd. naoszukiwał wielu ludzi, częstokroć na wysokim szczeblu szczęścia, opływający w dostatki, to znowu w nędzy, przeszedł najrozmaitsze koleje, wreszcie umarł w Poznaniu, żadnego nie pozostawiwszy majątku po sobie.

Kwileccy. Biskup Gorzeński. Kanonik Miaskowski. Książę Broglie. Panie Taylor, Reibnitz i inne. Poznań 1810 r.

Ileż to rówieników moich zeszło z tego świata i już tylko wspomnienia o nich! Zaledwie spotykamy się tu i owdzie pojedyńczo jeszcze po kościołach lub na zebraniach — starcy. My, którzy, pełni młodości, przetrwaliśmy wiekopomną epokę wielkiego Napoleona, teraz jesteśmy obcymi nowej generacyi. Wszyscy, o których wspomniałem, z małymi tylko wyjątkami, stanęli już przed sądem Boskim. Nieomal sam jeden pozostałem jako świadek owych bohaterskich czasów. Nasuwają mi się w pamięci znajomi, jedni po drugich, zdaje mi się, że ich widzę jeszcze, przypominam sobie ich postacie, twarze, ruchy, zdaje mi się, że ich słyszę i z nimi rozmawiam!

Pomiędzy innymi nie wspominałem jeszcze o rodzinie Kwileckich. Głową jej był kasztelan, dziedzic majętności Dobrojewa, dla wyrażenia swego, ciągle używanego, przezwany Amantissimus, pan majętny, ale rzadko skąpy. Kasztelan był ostatnim obywatelem, noszącym się jeszcze polskim strojem. Przeżył pana Czachórskiego, dziedzica Maniewa, który również do śmierci nie zmieniał ubioru. Pan Kwilecki miał

dwór całkowicie polski, lokai, poddanych, w liberyi, stangreta, poddanego, kamerdynera, zubożałego szlachcica, kozaczka, posuniętego z cielęciarka na ten stopień itd. Żona jego, pani bardzo zacna[1]), wycierpiała prawdziwy czyściec na tej ziemi z powodu oryginalności męża. Pomiędzy innemi przyszło mu raz do głowy kazać zrobić dla żony trumnę jeszcze za życia dla oszczędzenia kosztów w przypadku śmierci jej; posłał więc stolarza do kasztelanowej dla wzięcia miary na trumnę. Gdy żona, oburzona taką bezwzględnością, wymawiała mu niesmaczne postępowanie, tłomaczył się z przymileniem: »Waćpani zdrowa, będziesz żyła, dopóki wola Boska, trumna ją nie zabije, ten stolarz potrzebował roboty, tanio się zgodził, a ja miałem suche deski w zapasie.« Córkę jedynaczkę wydał za swego bratanka, Klemensa Kwileckiego; posagu jej nie dał żadnego za życia, dopiero w późnej starości. Kupił od pana Łąckiego wielką majętność Gosławice, którą oddał pod zarząd zięciowi. W r. 1813 panowała ogromna drożyzna w kraju, skutkiem nieurodzaju, spowodowanego suszą niebywałą, przypisywano ją komecie, widzialnym na firmamencie od początku czerwca do końca października. Wszystkie zboża wyschły, zanim ziarno dojrzało. Przechodzące wojska pomnażały niedostatek. Doszło do tego stopnia nędzy, że obywatele żadnego ziemiopłodu nie byli w stanie dostarczyć. Wojsko rozsyłało oddziały, które zabierały bezwzględnie wszystko, co im pod rękę wpadło. Oddział taki dotarł do Dobrojewa, gdzie kasztelan miał nadzwyczajne zapasy z lat dawnych, które wyprzedawał cząstkowo po niesłychanych cenach. Gdy konnica sprzątnęła wszystko, pozostawiła tylko kwitek w miejsce pieniędzy. Pan kasztelan, oburzony taką samowolą, popróbował wymierzyć sobie sprawiedliwość w Poznaniu. Nie wskórawszy nic, skargę podał do ministra spraw zewnętrznych i do samego ks. Józefa, nie dokonał jednakże niczego, musiał zadowolnić się swoim kwitkiem, który w czasie późniejszym zrealizowany został przez rząd pruski obligami państwa. Rodzina Kwileckich, zamożna i opływająca w dostatki, otrzymała tytuł hrabiowski r. 1816. Kasztelan używał tytułu tego przy schyłku życia. Zięć jego,

[1]) Podkomorzanka Weronika z Łąckich. (Przyp. wydawcy).

Klemens, do zgonu nie przestał być tym, którym był za młodych lat, tj. miłym, dobrym, kochanym i przystępnym dla każdego. Powszechnie też go lubiono, ja zaś specyalnie czczę jego pamięć, dał mi bowiem dowody największej przychylności, o czem w dalszym ciągu wspomnę. Brat rodzony Klemensa, Nepomucen, należał chyba do najnudniejszych ludzi na świecie. Majętny, niczem się nie zajmował, włóczył się całe życie od komina do komina, a dokąd przybył, wszystko krytykował i ze wszystkiego sobie kpił, w niczem dogodzić mu nie było można; wyjeżdżając, roznosił plotki, czem robił sobie nieprzyjaciół.

Józef Kwilecki z linii wróblewskiej, bliski krewny poprzednich, służył jako adjutant ojczyma swego, generała Fiszera, który zginął 1812 r. pod Tarutyną za Moskwą. Wyżej już o nim wspominałem.

Ksiądz kanonik Miaskowski, proboszcz katedry poznańskiej, prowadził natomiast dwór wielki, lubił ostentacyą, bywał w świecie, sam dużo gości przyjmował, miał wybornego kucharza, piwnicę wyśmienitą. Był bardzo lubiony w towarzystwie, dowcipny, oczytany, bardzo grzeczny, zawsze zachowywał przyzwoitą powagę, chociaż umiał być wesołym, a nawet bardzo uprzejmym dla płci pięknej.

W czasie teroryzmu emigrował z Francyi ksiądz kanonik książę de Broglie. Gdy przybył do Poznania, wyrobiła mu rodzina Mycielskich, że go przyjęto do dyecezyi poznańskiej, a biskup Gorzeński mianował go kanonikiem katedralnym. Tam utrzymywał się kanonik, dopóki Napoleon nie przywrócił religii katolickiej, poczem powrócił do swej ojczyzny. Książę de Broglie był w całem znaczeniu słowa prałatem z dawniejszych czasów francuskich, dworskie jego ułożenie, elegancya w powierzchowności, przyjemna, a zarazem światła jego rozmowa odbijały nadzwyczajnie od księży naszych.

Od początków panowania Stanisława Augusta zajęły u nas kobiety pierwsze stanowisko w społeczeństwie, a przyznać wypada, że słusznie im się należy z powodu ich wykształcenia i ułożenia miłego.

Chętnie hołduje Polak wdziękom i elegancyi tej drugiej połowy narodu, ale z drugiej strony umiały panie nasze, poznawszy się na wartości swojej, przewodniczyć w biegu wypadków życia ludzkiego. Dzisiaj chodzą kochani moi ziomkowie ponajwięcej w czepkach, a niejeden nawet w spódnicy. Czy

stan taki przewrotny długo jeszcze potrwa, tego trudno powiedzieć, ale dosyć na tem, że trwa.

Towarzystwo kobiet w Poznaniu było w owym czasie nadzwyczajnie przyjemne. Oprócz pani prefektowej Ponińskiej, przyjmowała pani Mycielska, pani Kołaczkowska, pani Augustowa Zabłocka, pani Żółtowska i inne damy, których nazwiska wyszły mi z pamięci.

Pani Taylor, sławna piękność swego czasu, z domu Krzycka, żona prezydenta miasta Poznania, odbierała hołdy nasze. Tak samo pani Mielęcka. Koczorowska z domu, przyjaciółka sióstr moich, a dobra znajoma moja. Była to ładna i nadzwyczajnie dowcipna kobieta, u której spędziłem najprzyjemniejsze chwile pobytu mojego w Poznaniu.

Poznałem także w tym czasie panią Reibnitz, Krzycką z domu, żonę pruskiego radcy rejencyjnego, który się spolszczył, rzecz nadzwyczajnie rzadka pomiędzy Niemcami, i pozostał w kraju pomimo odmiany rządu. I ona miała kółko swoje, lubo nie tyle wesołe jak u pani prefektowej Ponińskiej.

Poznań był nadzwyczajnie wesoły w roku 1810, bawiono się doskonale, oficerowie załogi ożywiali towarzystwo, a lubo czasy były krytyczne, wszakże dobry humor nie ustawał. Jakże mi miło było wśród swoich bawić się w tem mieście, dzisiejszem siedlisku Niemca i Żyda; nie było wprawdzie tak piękne jak dzisiaj, ale było polskie. Wielkopolanie dawali każdego czasu dowód wielkiej miłości ojczyzny w tym względzie nawet przed Warszawą zasłużyli na pierwszeństwo, wyraźnie przyznaje o sam Thiers w opisie dziejów konsulatu i cesarstwa francuskiego. Niestety dzisiaj Poznań fortecą pruską — nic tam już polskiego prócz serc, oddanych ojczyznie, i kaplicy Piastów.

Zabłoccy. Kalisz. Młodzież kaliska.

Nadszedł czas wyjazdu mojego, miałem się starać o pomieszczenie w polskiem wojsku. Generał Turno wziął mnie pod opiekę swoją; generał Dąbrowski radził i wymagał, stary Kwaśniewski nie dał spokoju, a uczucie moje rozkazywało. Ojciec mój opatrzył moją kasę, dodał starego Rutkowskiego

nibyto jako mentora do podróży do Krakowa, gdzie się miał znajdować generał Rożniecki, inspektor jazdy, do którego wiozłem listy rekomendacyjne od generała Dąbrowskiego i Turny. Napisałem zatem do pułkownika mojego do Drezna, prosząc o przedłużenie urlopu, a sam puściłem się do Krakowa na Kalisz, gdzie zamierzałem odwiedzić wuja mojego, Garczyńskiego, prefekta departamentu kaliskiego. Szkolny mój kolega, a w owym czasie dziedzic wsi pod Śremem, której nazwisko wyszło mi z pamięci, Piotr Zabłocki, rodzony brat pani Ponińskiej, zaprosił mnie do siebie do wsi, będącej na trakcie z Poznania do Kalisza. Pierwszy to raz w życiu znalazłem się u niego w towarzystwie polskiej młodzieży. Jakaż to różnica pomiędzy nią a Sasami! Tu szczera wesołość, nawet aż do zbytku; kielichy, o jakich nawet nie miałem wyobrażenia, a każdy musiał bezwzględnie, czy mu na zdrowie czy na śmierć, wypić aż do dna; gospodarz kolei pilnował, nikt nie mógł się wyłamać z pod prawa. Obiad suty, mięsiwa do zbytku, usługa niegodziwa, much pełno w sali, krzyk, chałas, każdy mówił, a nie słuchał drugich, oświadczenia przyjaźni, wiwaty jak najrozmaisze. Dosyć, że się wszyscy popili; mnie wyniesiono bez przytomności do bryki; co się z drugimi działo, tego nie wiem. Przebudziwszy się, zdziwiłem się mocno, widząc siedzącego obok mnie oficera pruskiego. — »Jestem Kaźmierz Zabłocki«, odezwał się nieznajomy, brat Piotra, »nie mogłem cię puścić samego w podróż w stanie, w jakim się znajdowałeś, a zatem towarzyszę ci, kolego, do Krakowa, gdzie mój pułk stoi.« Nie wypadało mi jak podziękować za ten dowód życzliwości, lubo w gruncie serca wcale pojąć nie mogłem, w jaki sposób zasłużyłem sobie na nią.

Ówczesny Kalisz, słynny jeszcze z mnóstwa szczurów, była to nędzna mieścina, brudna, pełna żydostwa, nie mająca prócz rynku i hotelu u Woelfla murowanych budynków. Prefekt Garczyński zajmował dawne kolegium jezuickie, późniejszą regencyą za Prus Południowych, następnie prefekturę, a dzisiaj pałac rządowy. Zostałem czule przyjęty przez wuja mego, musiałem kilka dni u niego zabawić, zastałem kilku krewnych w jego biurach, kształcących się na urzędników pod okiem

światłego męża. Pracował tam Tadeusz Garczyński, dzisiejszy hrabia i szambelan przy dworze pruskim, pracował i Romuald Garczyński, którego syn Walenty odziedziczył po ojcu piękny majątek Szczawin. Bonawentura Garczyński, syn pułkownika, znajdował się także w biurze prefektury; później zaciągnął się do wojska, odbył kampanią 1812 r, a po zajęciu Księstwa Poznańskiego przez Prusaków, wszedł do pruskiego wojska, w którem to służył do śmierci. Umarł w stopniu podpułkownika landwery. Był tam i Heliodor Skórzewski, Zwierzchlejski, Radoszewski i t. d. Wszyscy ci młodzi ludzie pracowali pod okiem prefekta, a każdemu na dobre wyszło, mianowicie Radoszewskiemu, który z mizernego szlachetki dostał się do urzędów wysokich, był prezesem komisyi wojewódzkiej, później radcą stanu, a, ożeniwszy się z panną Zajączkówną, wziął w suksesyi po namiestniku Zajączku piękne dobra Opatowskie.

Gdyby nie rozkaz wuja, byłbym co ducha uciekał z Kalisza; cóż to bowiem był naówczas za zbiór ruder, chat i błota! Zapadły na wpół ratusz stał pustkami wśród rynku, a kilkadziesiąt kamienic, otaczających go, stanowiły całą ozdobę siedliska władz departamentowych. Zdaje się, że kupcy i właściciele hoteli w Kaliszu musieli przejąć od swych poprzedników zwyczaj zdzierania, jakoż właściciel hotelu polskiego Woelfle nielitościwie mi zapłacić kazał za mój pobyt kilkudniowy w oberży jego, chociaż u niego mało co spożywałem, będąc ciągle u wuja.

Woelfle powinien był dojść do nadzwyczajnego majątku, hotel jego albowiem był w owym czasie jedynym w Kaliszu. Sprzedawał trunki i obiady cztery razy drożej niż po innych miastach, a przy znanem usposobieniu Kaliszanów do kielicha, którym dopomagali i oficerowie, sypały mu się formalnie pieniądze. Umarł wszakże bankrutem.

Widziałem w Kaliskiem bardzo wielu obywateli, ubierających się jeszcze po polsku.

Kochany mój kolega i towarzysz podróży, p. Kaźmierz Zabłocki, nieznośnym się okazał w parę dni po znajomości z nim. Bez ceremonii stanął w mojej stancyi w Kaliszu, jadł i pił na mój rachunek, a na domiar sprowadzał mi coraz to nowych kolegów, których trzeba było częstować. Jedyne dobre

Strzelania Artylerii Biblioteka

było, że wychodziłem wcześnie do prefekta, a zostawiałem tych panów z Zabłockim; zwykle szła ta zgraja potem do winiarni, gdzie się własnym kosztem bawiła późno w noc.

Podróż z Kalisza do Piotrkowa. Piotrków.

Puściłem się wreszcie w dalszą podróż do Krakowa, znieodstępnym Zabłockim, obróciwszy trakt na Częstochowę, którą rad byłem zwiedzić. Okolica, którą najętymi końmi przejeżdżałem, była smutna i uboga, pola zdawały się być co dopiero wykarczowane i zaludnione. Dworki liche, drewniane, budynki gospodarcze mizerne, chaty chłopskie nędzne, nie mające kominów, karczmy obszerne, a w nich żyd brudny z całą zgrają bachorów; miasta puste, po najwięcej niebrukowane, domostwa częściowo pod gontami, częściowo słomą kryte. Roje żydów w nich, gdzie niegdzie majster pijany albo mieszczanin, wracający z pługiem z pola. Ścieżki wydeptane w błocie po ulicach, kupy śmieci przed domami, a bydło paszące się na rynku. Winiarnia u żyda, a w niej pełno szlachty, ponajwięcej jeszcze w kontuszach. Chłop na wpół dziki, schorzały i nędzny; szlachcic głupi, zarozumiały i zabobonny. Mieszczanin pijak i niedołęga, żyd chytry, przebiegły i chciwy grosza. Lekarz żyd, cyrulik żyd, złotnik, krawiec, kuśnierz, kowal, zgoła wszystkie rzemiosła w ręku żydowskiem, oprócz jednego szewca. Propinatorowie żydzi, pachciarze krów żydzi, faktorzy żydzi, kupcy żydzi. Czego żądasz musisz brać od żyda. Ksiądz najwięcej sobą zajęty, mało staranny o moralne wykształcenie parafian. Taki był stan ludności tych okolic w owym czasie. Co do kraju samego, mosty dziurawe, drogi kręte, mało gdzie naprawiane, błoto lub piasek na przemian, częstokroć wypadło grzęznąć w prawdziwych topieliskach. Nigdzie porządnego domu zajezdnego, a nieochędostwo wszędzie. Pijaństwo rozpowszechnione we wszystkich klasach, przesądy wszędzie, upór bez granic, ale powszechna wesołość, gościnność wielka, przywiązanie do narodowości bez granic, dobrej chęci pełno. Tak przedstawiali się ludzie i kraj pomiędzy Kaliszem a Krakowem w r. 1810. Wyjątek stanowiły poniekąd Sieradz, Wieluń, Piotr-

ków i Częstochowa, tam panował już większy porządek i można się było domyślać, że to miasta.

Piotrków trybunalski, świetny za Zygmunta Augusta, huczny w czasach późniejszych, gdy w nim przesiadywała palestra, a wyroki wychodziły z trybunału, wiele utracił z dawnego znaczenia swego; pozostały jednak w nim ślady dawnej wielkości. Tu znajduje się porządny rynek i kilka ulic, otoczonych kamienicami murowanemi, wszystkie noszą cechę starożytności.

Jest tu parę dawniejszych klasztorów, gdzie grobowce mężów, ojczyznie zasłużonych. Były i szkoły księży Pijarów w owym czasie. Srogiej pamięci cesarz Mikołaj skasował je, tak samo jak wszystko, co tchnęło w Polsce duchem oświaty katolickiej. Znikął świetny zamek Zygmunta Augusta. Nikt nawet nie umie wskazać miejsca, na którym stał. Wysoka kamienica dwupiętrowa, w której zasiadał trybunał piotrkowski, stoi dziś pustkami na przedmieściu wśród domów żydowskich. Tak samo jak wszędzie w naszym kraju, odgrywał w Piotrkowie trybunalskim żyd brodaty główną, lubo niepozorną rolę. Żydzi owładnęli także tam całym handlem i przemysłem, a zagarnęli tym sposobem wszystkie pieniądze; mieszczanie oddani byli rolnemu gospodarstwu albo rzemiosłom, urzędnicy służbie, oficerowie mustrowali żołnierzy lub odwiedzali sąsiednie dwory; ksiądz modlił się lub zaglądał do gospodarstwa; wszyscy się schodzili w godzinach wolnych do winiarni lub szynkowni, a żyd spekulował milczkiem, jemu wiadomy był stan interesów każdego, zyskiwał na każdym i wszystkich trzymał na wodzy, chociaż się każdemu kłaniał. Od dawnych to już czasów słynął Piotrków węgrzynem i kaszą swoją. Nieraz patrząc na zwolenników trunku, sprowadzanego z Tokaju, sądziłem po ich apetycie, że cały winozbiór spożyją i wysuszą Węgry; bajki — nigdy go nie zabrakło. Polska szlachta sławnie piła w tych okolicach; garniec wina na osobę była to zwykła porcya i w tem żadnego zbytku nie widzieli; na ucztach nie mierzyli już wina garncami, ale liczyli na beczki, ile go wyczęstowano. Komu nie starczyło na wino, ten piwem częstował, ponieważ usposobienie Polaka każe mu koniecznie częstować. Byłem przyzwyczajony w Saksonii, że, chociaż się koledzy zgro-

madzili do cukierni albo na wino, każdy płacił za siebie i pił, dopóki chciał, bardzo zatem dziwnem wydawało mi się w Polsce, gdym widział, że jeden częstował wszystkich i przymuszał do picia tych, którzy już pić nie chcieli lub pić nie byli w stanie, nazywano to pieszczeniem, ja zaś nazywam to prostem barbarzyństwem.

Częstochowa.

Zwiedziwszy Piotrków, pojechałem do Częstochowy. Dzięki zasadom św. wiary naszej, zaszczepionych od młodości w mojem sercu przez matkę, nigdy nie przestałem czcić Boga Rodzicę, poczytywałem sobie jako obowiązek odbyć pielgrzymkę do Jasnejgóry. Wlokłem się piaskami i wśród jałowców ku cudownemu miejscu, spotykając tu i owdzie na mogiły, od szwedzkiej wojny pochodzące, i na rudery, pozostałe po konfederacyi barskiej. Okolica obfitowała w owe kwiczoły, których handel od Krakowa do Warszawy się ciągnie. Już dwie mile od Częstochowy spostrzega wędrownik wieże kościoła Paulinów, a równocześnie przypomina się Polakowi waleczność Kordeckiego. W dalszej odległości, nieco na boku leżą zwaliska zamku olsztyńskiego, tu znowu nasuwa się pamięci postać mężnego Kalińskiego, który poświęcił siódmego i ostatniego syna ojczyznie, broniąc przeciw Austryakom tego zamku.

Woźnica mój zawiózł mnie w Częstochowie przed oberżę Ferencowicza na Nowemmieście, jako nieodległą od Jasnejgóry. Zabłocki wiedział już o jego piwnicy, jakoż zajął się nią przedewszystkiem, mniej dbając o pokrzepienie ducha modłami przed cudownym obrazem Najświętszej Panny i o pomniki chwały narodu. Ten człowiek był mi nieznośny, pragnąłem, aby mnie opuścił, a nie śmiałem mu powiedzieć, żeby sobie jechał swoim kosztem. Zawsze zyskuje bezczelność na człowieku delikatnego usposobienia. Pierwszy, mając tylko własny interes na widoku, śmiało chwyta się środków, do niego zmierzających, drugi ulega, niecierpliwi się i znosi z wielkiem umartwieniem własnem. Już było słońce na zachodzie, gdym przechodził przez bramę fortecy, na około klasztoru zbudowa-

nej. Ponsowy mój mundur zwrócił uwagę szyldwacha, kazał mi wstąpić na odwach, z którego mnie przeprowadził podoficer do komendanta placu. Tu zostałem przyjęty z wszelką uprzejmością i koleżeństwem; komendant placu, kapitan piechoty, (nazwisko jego wyszło mi z pamięci) zaprosił mnie na wieczerzę, ale wymówiłem się, chcąc przedewszystkiem pomodlić się przed cudownym obrazem Matki Boskiej. Już słońce zachodziło, gdym przestąpił próg obszernego kościoła; był całkiem pusty, jeden tylko braciszek w białym habicie przesuwał się cicho po ganku i wnet zniknął pomiędzy arkadami. Zwróciłem się do modlącego dziada z długą siwą brodą, który stał się przewodnikiem moim; obydwaj padliśmy na kolana w kaplicy cudownego obrazu, wprawdzie zasuniętego przed oczami naszemi, wszakże, przejęty świętością miejsca, zasyłałem gorące modły do królowej Polski. Był to prawdziwy kontrast, ów dziad i ja; on już nad grobem, ja dopiero żyć poczynający, on wiekiem złamany, siwizną okryty, opierający się na kiju, w lichem przyodzieniu, z różańcem u pasa, a mający wyszyty czerwony krzyż sukienny na opończy białej; ja, liczący osiemnasty rok życia, czerstwy i zdrowy, w pysznym mundurze gwardyi saskiej, dzwigający u pasa ciężki pałasz kirasyerski, obadwaj na kolanach w głębokiem wzruszeniu, schylając czoło i korząc się przed majestatem Boskim.

Początek i koniec życia: ileż mi to pozostawało kolei, za nim dojdę do lat owego dziada! Nie przeczuwałem natenczas, jakie będą losy moje, byłem młody, widziałem wszystko w uroku młodej wyobraźni; o jakżem się gorżko zawiódł! Głęboka cisza, panująca w tej świątyni, poczynający zmierzch, wrażenie świętości przybytku usposabiały cudownie umysł mój do modlitwy — byłbym w tej chwili z rozkoszą stanął do męczeństwa, duch mój wznosił się swobodnie przed majestat Boski; uczucie, jakiego doznałem wieczoru tego, nie wygaśnie w pamięci mojej! Nienawidzę zgiełku po kościołach, okazałości obrządków naszej religii; organy, muzyka, śpiewy, bogactwa ornatów, ceremonie uroczyste, wszystko, jednem słowem, co do zmysłów przemawia, wprawia mnie w roztargnienie, odwodzi od modlitwy umysł mój, zapominam o ofierze, spełnianej na ołtarzu, a czuję powab sztuki. Ale msza cicha, odprawiona

w bazylice średniowiecznej przy niepewnem świetle dwóch świec gdy promienie słońca przeciskają się przez witraże stare, gdy tylko dzwonek chłopca, do mszy służącego, odzywa się pod wysokiem sklepieniem gotyckiem, gdy nic ciszy nie przerywa, prócz słów kapłana, powtarzającego ofiarę góry Kalwaryi, albo łkanie serca, skruchą przejętego, oto prawdziwy sposób modlenia się! Duch podnosi się wtedy przed sam tron Pana Zastępów, a wtedy czuje się doprawdy, że dusza nie należy do tego świata. Zaiste, potrzebna samotność do prawdziwej modlitwy; dla tego nie nawidzę odpustów i wszelkich niby to religijnych zbiegowisk, na których próżność i swawola zastępują miejsce skruchy i miłosierdzia, a rozmaite zdrożności bezkarnie popełniać się mogą. Klęczałem długo w tej świętej kaplicy; modliłem się za Napoleona, za ojczyznę, za rodzinę i za siebie, prosiłem Boga o sławę, o stopnie, a sądziłem w urojeniu mojem, że taki jest prawdziwy cel chrześcianina. Zawsze byłem bogobojny, ale nie miałem jeszcze światła religijnego, mniej mnie obchodziła wtedy wieczność od spraw ludzkich. Udałem się wreszcie do klasztoru samego, zakupiłem wotywę na przyszły dzień, zamówiwszy sobie dziada mego, który pamiętał jeszcze Puławskiego w fortecy, a Drewicza pod jej murami.

Powróciwszy do Ferencowicza, zastałem Zabłockiego pod dobrą datą w towarzystwie dwóch kolegów i mnicha Paulina; koniecznie mnie chciał zmusić do kielicha, ale odmówiłem mu sucho; ostrzegłem zaś gospodarza, ażeby mi nie kładł na rachunek tego, co mój towarzysz podróży spożyje; sam zaś wyszedłem zwiedzić starą Częstochowę. Owe miasto winne klasztorowi cały byt swój, należy do porządniejszych miast polskich. Odpusty, na które przybywa po kilkanaście tysięcy ludu, stanowią znaczne zyski dla Częstochowy; zresztą słynie także i z handlu winem. Od starego miasta do nowej Częstochowy wiedzie dzisiaj długa ulica, pięknemi kamienicami zabudowana. W czasie mojego pierwszego pobytu w tem mieście była to droga całkiem odkryta, przy której niewolno było stawiać bydynków ze względu na fortecę Jasnejgóry. Miasto samo w sobie nie miało nic wspomnienia godnego.

Jasnagóra była jeszcze opasana wałami w czasie tej mojej podróży, armaty stały na wałach a orzeł polski powie-

wał na wieży klasztoru. Dzisiaj nie słyszy już przybywający hasła polskiego około klasztoru, gruzy wałów zasypały fosy; zewsząd wolny przystęp do cudownego miejsca, a brudny Moskal w szarym płaszczu nuci dumkę narodową tam, gdzie dawniej rozlegał się śpiew rycerski o Boga Rodzicy. Obraz cudowny, podobno przez św. Łukasza malowany, strzeże sam jeden świątyni; najdzielniejsza to obrona, smutno jednak Polakowi spoglądać na te zwaliska, przypominają mu się epoki sławy narodu, w których, chociaż już Polska miała się ku upadkowi, jeszcze były serca dzielne i bogobojność nie zachwiała się w narodzie.

Zastałem nazajutrz dziada, na mnie czekającego. Po odbytej wotywie i spowiedzi poszedłem do komendanta na śniadanie, zastałem u niego przeora, z którym zaznajomiwszy się, miałem sposobność oglądania rozmaite dary monarchów i prywatnych osób, zachowane w skarbcu kościelnym; nie będę ich wymieniał, są one bowiem znane każdemu, który był w Częstochowie. Dziad mój czekał na mnie przed kościołem, oprowadził mnie po okolicy; pokazał mi miejsce, na którem leżał Puławski, gdy jednej nocy nie mógł zdążyć do fortecy przed Moskalami, którzy odparli wycieczkę jego. Nieprzyjaciel minął go, ścigając naszych; nie spostrzegł obwiniętego w płaszcz dowódcy, który po uspokojeniu się powrócił w ciemności do furty i dostał się do swoich. Ten dziad, który podług swoich opowiadań całe życie strawił na usługach Najświętszej Panny, pamiętał przybycie Stanisława Augusta na Jasnągórę; znał Kuźmę, Puławskiego, Zarembę, należał do konfederatów barskich, a pozostał w klasztorze, gdy się forteca poddała Drewiczowi. Opowiadał mi o żołnierzu pruskim, który ukradł brylantowe kolczyki z obrazu cudownego, ukrywszy się pewnej nocy w kościele. Kradzież została wykrytą i złodzej schwytany; ależ użył dowcipnego fortelu na swoją obronę! Oto powiedział przed sądem, że, będąc w ostatniej nędzy, pozostał zatopiony w modlitwach w kościele po opuszczeniu go przez wszystkich; miał się wtedy wśród nocy odezwać głos do niego, rozkazujący mu odjąć kolczyki z obrazu i użyć na ulżenie swojej biedy. Zapytani księża, czy przypuszczają możliwość podobnego zdarzenia, odpowiedzieli, że obraz, tylu cudami słynący, mógł

i w tym razie nowy cud objawić; wszakże prezydujący oficer pruski kazał kolczyki oddać, a zapowiedział żołnierzowi, że za powtórzeniem cudu takiego i przyjęciem jakiegokolwiek daru od Najświętszej Panny będzie przeprowadzony przez rózgi.

Doznałem osobliwszego uczucia, gdy odkryto cudowny obraz podczas wotywy; dreszcz mnie przejął, nieśmiało spoglądałem na wizerunek Boga Rodzicy, zdawało mi się, że groźny wzrok swój utopiła we mnie. Obraz ten, całkowicie ciemną farbą malowany na drzewie cedrowem; po lewej stronie znać na twarzy Najświętszej Panny dwa cięcia, pochodzące, jak niesie podanie, od Tatara, chcącego koniecznie uwieść święty wizerunek za czasów napadu Batu chana, któremu się moc niewidzialna oparła; nie mogąc owej mocy pokonać, cisnął pohaniec cudowny obraz i ugodził dwa razy w twarz. Znaki te miały się krwią zalać i po dziś dzień widoczne.

Droga do Krakowa. Kraków. Wieliczka.

Zwiedziwszy cały klasztor i kaplicę, leżącą u podnórza Jasnejgóry, puściłem się w dalszą podróż ku Krakowu na Koziegłowy, Olkusz, Rabsztyn, Siewierz. Już ani znaku dawnych bogactw Olkusza, już nie wydobywa góral srebra z wnętrza ziemi w tej okolicy, teraz musi poprzestać na galwanie, który nawet nie jest bardzo obfity. Ile sądzić mogę, musi dawne podanie o bogactwie srebra w kopalniach olkuskich być rzeczą urojoną; trudno albowiem przypuścić, ażeby w przeciwnym razie rozmaite rządy, które od czasów szwedzkich dzierżyły Polskę, nie miały znaleść sposobu założenia nowych kopalni, nie dochodzących do miejsc, wodą zalanych. Chciano wprawdzie za Polski kongresowej osuszyć dawne szachty, ale podjęte w tym celu roboty okazały się bezskuteczne. Zresztą nie daję temu wiary, aby nieprzyjaciel, zajęty obroną swoją i ciągłymi bojami, miał czas sprowadzać rzeczkę, płynącą pod Olkuszem, do kopalni srebra, raczej korzystał z skarbów podziemnych, dopóki był panem kraju, a jak mu przyszło zmykać, nie miał czasu zatapiać kopalni. Woda,

która zalała szachty, dostała się zapewne do nich skutkiem wrodzonego niedbalstwa Polaków; wnoszę, że nie zapobiegano wolnemu nurtowaniu źródeł podziemnych, które w czasie wojny z Szwedami zalały kopalnie, gdy cała ludność uchodziła przed dzikim nieprzyjacielem.

Siewierz, dawniej udzielne księstwo, należące do biskupów krakowskich, dzisiaj nędzna mieścina w okolicy piaszczystej. Kosiestawy nawet niewarte wspomnienia. Rabsztyn, jeden ze rzadkich zamków feudalnych w Polsce, leży nad samym gościńcem. Dzisiaj się w nim puszczyk odzywa, dawniej Rabsztyńscy gromadzili w dziedzicznej siedzibie szlachtę okoliczną na huczne biesiady.

Od Częstochowy począwszy, już się zmienia krajobraz. Płaszczyzna ustaje powoli, a okolica więcej przecięta. Im bliżej Krakowa, tem więcej urozmaicenia, kraj bardziej malowniczy. Widziałem opodal nagie mury zamku Tenczyńskich; dzisiaj same zwaliska, cudnie odbijające na tle widnokręgu; zamożna rodzina wygasła, zostało tylko po niej wspomnienie. Dzisiaj cała Polska odznacza się zniszczeniem; wszystko leży w gruzach, zamki powalone, rodziny podupadłe, miasta zubożałe, rolnictwo zniszczone, wiara zachwiana, cnoty dawne zapomniane, naród spodlony. Raduj się, Mikołaju! Dokazałeś swego! Wszędzie rudera i zniszczenie. Polska stoi jak szkielet; jest to straszydło, służące za przestrogę dla narodów, aby nie szukały urojonej swobody, nie żądały niepodobnej wolności, prowadzącej do anarchii, ale pilnowały porządku i wykonania praw. Mogiły i grobowce otaczają Kraków, zdają się one zapowiadać podróżnikowi o losie stolicy Zygmuntów; jedna tylko przyroda nie zmieniła swej ozdoby, bo jest dziełem Boskiem, a zatem wiecznie trwałem.

Krajobraz grodu Krakusowego jaśnieje zawsze ozdobiony jedną barwą; opodal Tatry, lśniące śniegiem okrywającym szczyty, na przodzie ta sama Wisła, co pochłonęła Wandę, w pobliżu cmentarze, mogiły i nędzne wioski. Kraków cały podobny do wielkiego cmentarza, w nim groby dawniejszych panów tej ziemi. Pozłacana kopuła kaplicy Jagiellońskiej przy kościele Najświętszej Panny pozostała sama jedna jako świadek lepszych czasów. Dobrze, że książę Józef z Krakowa wypło-

szył Austryaków w roku 1809, ponieważ już żydzi targowali od szaraparów i tę ostatnią pamiątkę świetności naszych królów.

Orzeł polski zagnieździł się napowrót na Wawelu, gdym przybył do Krakowa. Serce mi biło radośnie, gdym wjeżdżał do pierwszej naszej stolicy, ożywionej po długiej naszej niewoli. Właśnie zaciągała warta w czasie naszego przybycia. Komenda polska, duch polski, narodowość niezachwiana; obyczaje, mowa, ubiór ludu prostego nawet i żydkowie brodaci — wszystko jednem słowem wzbudzało moje uniesienie. Czułem, że jestem Polakiem i mam serce polskie, a dowiodłem tego przez cały ciąg mojego życia.

Aż mi się na sercu ulżyło, gdym się pozbył nieznośnego towarzysza mojej podróży; jakoż mnie pożegnał niebawem Zabłocki po rozlokowaniu się mojem w oberży «Pod Różą». Poszedłem do komendanta placu, od którego powziąłem wiadomość, że generał Rożniecki przed kilku dniami do Lublina wyjechał. Nie pozostawało mi jak puścić się za nim w dalszą podróż; wszakże postanowiłem przedtem zwiedzić wszystkie pomniki narodowe w Krakowie.

Począłem moje oglądanie od Wawelu, owego pierwotnego siedliska królów naszych, zamienionego na koszary przez Austryaków. Ani jednego szczątka dawnego znaczenia i świetności nie widzi tu zwiedzający, nic nie przypomina siedziby Jagiellonów, gołe mury, obszerne sale, przemurowane lub na kuchnie żołnierskie przerobione, gdzie niegdzie orzeł polski, wykuty w kamieniu, a tynkiem zasmarowany. Mijaj, Polaku, zeszkaradzony zamek dawnych królów twoich, spojrzyj w niebo, a poszukaj tam ojczyzny prawdziwej, bo tu na ziemi jej już nie masz!

Zwłoki Kaźmierza Wielkiego spoczywają w sarkofagu z marmuru czerwonego. Grobowiec Władysława Łokietka świadczy o lichym stanie sztuki rzeźbiarskiej w owym czasie w Polsce. Sobieski oczekuje dotąd na pomnik, trumna jego postawiona w podziemnem sklepieniu.

W późniejszym czasie umieszczono w temże miejscu trumny ks. Józefa Poniatowskiego i Kościuszki. Naród usypał mogiłę dla ostatniego, jest to rodzaj niemej protestacyi przeciwko rozszarpaniu ojczyzny. Cenzura nie dopuszcza nam ujmować się

za prawami naszemi, otóż góry sypiemy na świadectwo krzywdy doznanej. Żal głęboki przejmuje serce Polaka, błądzącego po kościele Panny Maryi w Krakowie, tu jeszcze pomniki dawnego bytu, lubo liche. Już niema w Krakowie Zygmunta Starego i Wierzynka, który króli podejmował; zniknął naród, zamożność dawna zmieniła się w ubóstwo. Skarby dawnych magnatów przewieziono nad brzegi Newy, ba, nawet sam car jada na półmiskach, zrabowanych w Nieświeżu. Siedlisko Piastów przemieniono na pomieszkanie knechtów austryackich; gdzie niegdyś chytry Krzyżak hołdował Jadwidze, gdzie spełniano wiwaty z złotych puharów, tam dzisiaj siedzą dziady i włóczęgi, bo koleją losów służy teraz zamek na Wawelu za dom schronienia dla ubogich. Za Austryaków wywieszał rekrut pludry swoje z tych okien, z których senatorowie ogłaszali rozkazy króla. Gdzie korony polskie były złożone, tam składano kamasze, a dziś składają groch i kapustę.

Kogoż winić o taką srogą przemianę? Czy monarchów ościennych, Katarzynę, Fryderyka i Józefa? Bynajmniej! Narzekajmy na przodków naszych, oni to przyczyną sromoty Polaków, oni przyprowadzili Polskę do upadku skutkiem niesforności i bezprawia! Naród, obejmujący 20 milionów ludności, z własnej winy tylko upada. A zatem nie narzekajmy na obcych, ale na naszych ojców. Dzisiaj zaś, lubo jesteśmy bez ojczyzny, w daleko gorszym stanie aniżeli żydzi za czasów średniowiecznych, nie traćmy naszej godności, nauczmy się siebie szanować w nieszczęściu, nie upadlajmy się, niechaj się nie sprawdzi, co pisał Krasiński:

Za nic Sybir, za nic knuty,
Ale naród w duchu struty,
Oto ból.

Poprawmy się, zapomnijmy o swarach, porzućmy wady dawne; a przedewszystkiem udajmy się do Boga z sercem, pełnem skruchy, nieśmy mu w ofierze nasze męczeństwo, poświęćmy je za grzechy ojców i na przyszłe szczęście synów. Niestety! Czyż można się spodziewać szczęśliwszej przyszłości? Polityka panów naszych każe im spodlić coraz więcej niewolników swoich; już utraciliśmy cnoty staropolskie, a nabyliśmy

pełno przywarów nowych. Jesteśmy tak samo jak dawniej zazdrośni sobie nawzajem, kłótliwi, zarozumiali, szlachta utraca powoli narodowość, zarazem z utratą majątku przeistacza się na nikczemnych służalców despotyzmu.

Energia zniknęła, wytrwałości nigdy u szlachty polskiej nie było. Wychowanie publiczne naumyślnie z gruntu skrzywione; mało który Polak młody posiada gruntowne wiadomości; religii prawdziwej mało, moralności żadnej, bigoteryi za wiele. A w ten sposób systematycznie spodlony naród marzy o wywybiciu się z pod jarzma, szuka ratunku w demokracyi, łudzi się nadzieją wzbudzenia współczucia uciśnionych narodów europejskich, szuka ratunku w rewolucyi socyalnej. Biada narodowi polskiemu, dopóki szczerze nie zawoła o pomoc do Boga, bo ludzie mu nie dopomogą!

Nie rzucajcie na mnie obelgami, rodacy, jeżeli któremu z was wpadną w ręce te pamiętniki, li tylko dla dzieci moich pisane. Nie mówcie, żem zły Polak, żem fanatyk i t. d., tak albowiem mówicie o każdym, który wam prawdę mówi. Ale zastanówcie się nad stanem moralnym narodu, zastanówcie się nad sprzedajnością ogólną ludzi. Czyż znajdziemy w dziejach innych narodów przykład równie hańbiącego zepsucia jak za panowania Stanisława Augusta i nowszych epok? Poniński, Raczyński, Gurowski, Kossakowski, Rożniecki, Wincenty Krasiński i tylu innych jeszcze, czyż nie są zakałem imienia polskiego? Któreż dzieje narodowe wskazać mogą tylu ludzi, sprzedających się jawnie nieprzyjacielowi? Ja wywiązałem się mojemu narodowi, poświęciłem ojczyźnie młodość, siły i najznaczniejszą część mienia. Dzisiaj, kochane dzieci, gdy już utraciłem nadzieję umrzeć w odbudowanej Polsce, nakładam na was obowiązek służenia dalej kochanej ojczyznie. Nie pozwalajcie w waszem sercu upadać duchowi polskiemu i starajcie się wpajać w dzieci wasze starodawne cnoty Polaków!

Nie myślę opisywać Krakowa, zwiedziłem ze smutną ciekawością ową dawną stolicę, byłem w kościele na Skałce, gdzie kiedyś Bolesław Śmiały zamordował św. Stanisława. Sławny Hildebrand siedział w owym czasie na tronie stolicy apostolskiej pod nazwiskiem Grzegorza VII. Papież, który potrafił upokorzyć dumnego cesarza Henryka, nie puścił bezkarnie zabój-

stwa, spełnionego przez króla polskiego. Bolesław Śmiały został wyklęty, a tytuł królewski odebrany władcom Polski.

Jakże nie być w Wieliczce, znajdując się w Krakowie? Zwiedziłem naturalnie słynną żupę solną. Widziałem jeszcze w tych kopalniach szczątki oświetlenia w czasie zwiedzenia salin przez króla saskiego, gdy przybył w tę okolicę po wojnie 1809 r. Wchodzi się do kopalni w Wieliczce dwoma otworami, są wschody, którymi wygodnie się spuszcza w wewnątrz ziemi, jest i szachta czy studnia, wykuta prostopadle aż do pierwszego piętra kopalni. Zwiedzający siada w pasy, umocowane do liny, góral, trzymający kaganiec rozpalony, stoi na drugim pasie takim, odsuwają podłogę, przykrywającą studnią, a wtedy widzi się podróżny z przerażeniem nad przepaścią. Koło poczyna się obracać, spuszczamy się szybko przez pierwsze warstwy ziemi, wnet zabłyśnie sól po ścianach studni, a w kilka minut staje się przed kaplicą. Tam ołtarz, wykuty w soli, krzyż duży i posągi św. Piotra i Pawła ze soli, wszystko pochodzące z czasów Zygmuntowskich. Ogromna sala, urządzona w tych lochach z rozkazu Suwarowa, zachowuje pamiątkę balu, danego pod ziemią przez mordercę Pragi. Wszakże nic więcej ciekawego w tych kopalniach, jak stawek mały, jak woda, przecycona solą. Na tej wodzie urządzono rodzaj małego statku, na którym można pływać. Gdy chłopaki, stanąwszy na wysokich słupach tej olbrzymiej jaskini, trzymając rozpalone łuczywo, śpiewają tyrolskie pieśni — zaliczyć można doprawdy widok ten podziemny do osobliwości rzadkich.

Puławy. Rożniecki. Książę Józef.

Odgrywając rolę błędnego rycerza, puściłem się w Lubelskie w pogoń za znikającym przedemną Rożnieckim. Miałem sposobność w tej podróży zwiedzić powtórnie Puławy. Jakże upiększyła owe miejsce ks. Czartoryska od czasu pierwszego tam pobytu! Wszystko tchnęło narodowością w tej siedzibie Czartoryskich. Oglądałym z uwielbieniem pamiątki narodowe, nagromadzone w Sybilli naówczas całkowicie wykończonej. Zewnętrzne mury ozdobiono szczątkami dawnych zamków

polskich; tu występowało nad powierzchnią ściany kilka cegieł, pochodzących z zamku Żółkiewskiego, przy nich grobowy kamień Szujskich, tam rozmaite kule, pozbierane z pobojowisk, na których wsławił się oręż polski, gdzie indziej odłamki grobów sławnych mężów lub zamków, obleganych przez Szwedów. Były i pamiątki, pochodzące z nieszczęśliwej Pragi. W środku Sybilli, w byzantyńskim stylu urządzonej, znajdowały się zabytki dawne wielkiej wartości, pałasz Sobieskiego, korona Szujskich, chorągwie, zdobyte na nieprzyjacielu, rozmaite szaty królewskie, buzdygany, proporce, rozmaite popiersia znakomitych ludzi, łuki i kołczany, a wszystko opatrzone dowodami autentyczności, wszystko założone według chronologii. Doprawdy, że Sybilla jedna tylko była w Europie. I jakaż to miła pamiątka! Cześć i chwała tobie, zacna rodzino! Wy, księstwo, jesteście dzisiaj wygnańcami z kraju, któremu przynosiliście zaszczyt przez cnoty wasze i miłość do ojczyzny, ale pamięć o was nie wygaśnie w sercach polskich. Dzisiaj rozpościera się w Puławach pani Grotten, uczy zalotności panny, oddane pod jej dozór, a wy, prawi synowie ojczyzny, znajdujecie jeszcze w obcym kraju sposobność być użytecznymi rodakom. Nie dowierzał wam wróg, byliście jedną z pierwszych ofiar, poświęconych jego nienawiści przeciwko wszystkiemu, co polskie, zabrał wam Moskal całe wasze mienie, zaledwie uszliście z życiem, a dziś — Puławy, przechrzcone na Nową Aleksandryą, zostały pensyonatem panien. Sybilla leży w gruzach, zniszczona przez wnuka księżnej, owego osławionego ks. wirtemberskiego, byłego generała polskiego, który przeszedł do Rosyan po wybuchu rewolucyi i armaty swoje wymierzył przeciwko zamkowi, gdzie mieszkały babka i matka jego. Mam nadzieję, że wasze zwłoki powrócone będą kiedyś ojczyznie, a wtedy grobem waszym powinny być — gruzy Sybilli; piękniejszego pomnika niepodobno rodzinie Czartoryskich wystawić.

Puławy były niegdyś przytułkiem prześladowanych Polaków, tam znalazło schronienie wielu synów ojczyzny, pozbawionych mienia przez wojny. Dzisiaj inne figury przechadzają się pod pysznemi topolami nadwiślańskiemi, czynownik w ciasno opiętym mundurze rosyjskim, pop z długą brodą, guwernantka w paryskiej toalecie, niekiedy i kozak w długim płaszczu si-

wym i czerwonej koszuli, upatrujący miejsce, gdzieby ryby złowić w Wiśle.

Sędziwy ks. Adam pędzi ostatek życia swego w Paryżu, ale i tam nawet spotyka go nie jedna gorycz ze strony własnych rodaków. Demokracya polska nie może mu darować, że jest Czartoryskim, a on jej odpłaca usługami, gdzie i jak może. Z jakąż godnością znosi swoje nieszczęście, z jakiemże poddaniem chrześciańskiem znosi smutne koleje losu swojego! Kocha pomimo całej ich niesprawiedliwości rodaków swoich, lituje się nad nimi i pierwszy uniewinnia ich, odnosząc do srogich ich cierpień obelgi, które miotają na niego, a ty, zacna księżno, wzorze cnót wszystkich, już dzisiaj jaśnieje nad głową twą aureola Świętych, czeka na ciebie wieczne szczęście w ojczyznie niebieskiej, gdzie już nie będzie Mikołaja i jego siepaczy. Przyjmijcie, zacni księstwo, od Polaka, umiejącego cenić cnoty wasze, hołd uwielbienia! Moje wyrazy nie dojdą do was, już będziecie ponosić wieczną nagrodę waszego męczeństwa, gdy czytać będą te pamiętniki, ale potomstwo niech wie, że byli i tacy pomiędzy Polakami, którzy umieli was ocenić.

Biada narodowi, który na mężów, najwięcej zasłużonych, błotem bryzga, narodowi, który, zamiast naśladować ich cnoty, wznieca podejrzenie! Tyś nieomal sam jeden pozostał, mości książę, z grona przewodników kraju, z grona męczenników narodu. Kościuszko, ks. Józef Poniatowski, Niemcewicz, Kniaziewicz, Zakrzewski, Małachowski, Ostrowski i tylu innych już w grobie. Oni spoglądają z wiekuistej ojczyzny na ostatniego przyjaciela, a szczęście ich tem większe, widząc niezłamany hart duszy twojej.

Dognałem wreszcie generała Rożnieckiego w Magnuszewie, w pałacu pułkownika hr. Tarnowskiego, dowódcy 12 pułku ułanów, gdzie odpoczywał po trudach służbowych. I ja wypocząłem wygodnie pod gościnnym dachem pp. Tarnowskich. Dobrze przyjęty przez generała Rożnieckiego, pozyskałem obietnicę być umieszczonym w pułku jazdy polskiej. Jakoż odebrałem w kilka miesięcy później nominacyą na porucznika w 5 pułku strzelców konnych pod dowództwem ówczesnego pułkownika, a późniejszego generała Kurnatowskiego. Rożniecki kazał mi oczekiwać na siebie w Warszawie, dokąd się udałem z Magnuszewa.

Któryż Polak nie wzdryga się na wpomnienie Rożnieckiego? Któremu ze współczesnych jego nie są wiadome zbrodnie i podłość charakteru tego niegdyś dzielnego kawalerzysty? Początek zawodu jego był chwalebny, wyszedł z kraju po rozebraniu ostatecznem Polski i służył zaszczytnie w legionach polskich pod Dąbrowskim. Rożniecki pochodził z Rawskiego, gdzie rodzice jego byli mieszczaninami w małem miasteczku, potrzeba zrobienia losu powiodła go do legionów. Dopóki nie miał stopnia i majątku, był dobrym żołnierzem, w Italii bił się dzielnie, był dobrym instruktorem jazdy, skutkiem czego postąpił na pułkownika ułanów w legii Dąbrowskiego. Gdy wszyscy Polacy powrócili do Polski po wypadkach 1806 r., przybył i Rożniecki, któremu poruczył ks. Józef utworzenie konnicy wojska polskiego. Nie był czynnym w r. 1807, ale, posunięty na generała, zajmował się organizacyą kawaleryi. W r. 1809 dowodził oddzielnym korpusem, z którym się posunął aż do Lwowa, pędząc Austryaków przed sobą. Opieszały w organizacyi, nie odpowiedział zaufaniu, pokładanemu w jego zdolności. Nie zaprowadził w konnicy owej jednostajności, z której piechota słynęła, nie zdobył się na regulamin dla niej tak dalece, że każdy pułk kawaleryi miał za czasów Ks. Warszawskiego osobny sposób wykonywania ruchów. Po ukończonej kampanii 1809 r. został mianowany generałem dywizyi, zachowując przytem godność instruktora konnych pułków. Już powiedziałem poprzednio o dalszem powodzeniu Różnieckiego, nie będę zatem powtarzał, dość, że mi kazał czekać na siebie w Warszawie.

Przybywszy do stolicy, miałem czas wolny, odnowiłem dawne znajomości, porobiłem nowe pomiędzy przyszłymi kolegami. Mój bogaty mundur ponsowy wzbudzał ciekawość, jedni brali mnie za Anglika, drudzy za Szwajcara, a każdy rad był mnie poznać. Uradowałem się mianowicie kochanemu Kickiemu, w owym czasie adjutantowi ks. Józefa. Powitał mnie z całą serdecznością, zaprowadził do swej siostry, ks. Sułkowskiej, której mąż był w Hiszpanii w owym czasie na czele pułku swojego, spędzałem u tej pani często wieczory nad wyraz przyjemne. Przybył wreszcie i generał Rożniecki, zaraz pospieszyłem do niego, kazał mi przyjść do siebie nazajutrz o godzinie 10 przed południem dla przedstawienia mnie ks. Jó-

zefowi, naczelnemu wodzowi wojska polskiego. Pamiętny dla mnie dzień, w którym się udałem pod Blachę, (tak nazywano pałac księcia Józefa). Któż z współczesnych nie zachował w sercu pamięci o ks. Józefie? Któż nie kochał owego polskiego Bayarda, rycerza sans peur et sans reproche, którego życie i zgon wieczną chwałą otaczać będą wspomnienie tego bratanka ostatniego króla polskiego. Ks. Józef Poniatowski, lubo już nie młody w r. 1810, zachował żywość młodego człowieka w swojem ułożeniu i powierzchownej postawie, dobroć i powaga wyrażone były na twarzy jego. Ubóstwiany od wojska, kochany od otaczających go osób, szanowany nawet od nieprzyjaciół swoich, poniósł nieskazitelny honor aż do grobu. Każdy jednakże ma swą słabą stronę, słabą stroną ks. Józefa były kobiety, nie potrafił im się oprzeć, nie umiał im żadnej rzeczy odmówić, a panie nasze potrafiły doskonale korzystać z tej słabości wodza naczelnego. Nieraz przyszło mu pożałować uległości swojej dla płci pięknej, która używała wpływu swego do posuwania w wojsku ludzi niezdatnych albo wystawiała bohatera na nieprzyjemne zawody. Książę zżymał się, złorzeczył swojej słabości, wyrzucał kobiecie nadużycie władzy, którą miała nad nim, ale jedno miłe spojrzenie ułagodzało go i znów powracał do miłych więzów. Jak każdy na świecie, miał książę także nieprzyjaciół, a narobił sobie wiele niewdzięcznych, wszakże piękna dusza jego zemsty nie znała, przebaczał i puszczał w niepamięć okazaną mu niechęć.

Ks. Józef rozpoczął zawód swój wojskowy w wojsku austryackiem, powrócił jednakże do kraju wkrótce po wstąpieniu na tron stryja swego. Walczył przeciwko Rosyanom 1790 r. jako generał brygady. Bitwa pod Dubienką ściągnęła wiele nieprzyjaznych głosów na niego, jak zwykle u nas bywa, obwiniano go o zdradę, nie bacząc, że było niepodobieństwem, odeprzeć siłę, o wiele przemagającą. Nieszczęśliwej pamięci słaby król Stanisław August nie umiał się opierać Rosyi, a nie posiadając zaufania narodu, nie potrafił go połączyć w jeden ścisły węzeł przeciwko coraz groźniejszemu nieprzyjacielowi uległ wymaganiom gabinetu petersburskiego, a pomiędzy innemi przywrócił dawny autorament w wojsku, skasował krzyż wojskowy virtuti militari i rozwiązał wiele pułków. Po takim

kroku hańbiącym przybył ks. Józef do zamku królewskiego na czele swego sztabu i złożył przed królem insygnia orderu wojskowego i wszelkie swoje dostojeństwa. Odtąd żył prywatnie w Warszawie, nie pokazywał się na zamku. Kobiety, których był ulubieńcem, zajęły go całkowicie w tej nieszczęśliwej epoce naszego bytu, miał niezliczone intrygi miłosne, zapomniał o wszystkiem innem. Pięknej urody, wspaniały, hojny, majętny, oddawał się rozrywkom i zdawało się, że duch rycerski jego zagrzęznął na zawsze w buduarach płci pięknej. Wszakże obudził się z letargu, gdy Kościuszko podniósł shańbioną chorągiew polską w Krakowie. Ks. Józef nie wahał się ani chwili jednej i widziano go niebawem połączonym z prawymi synami ojczyzny.

Nadaremne były wysilenia nasze; Polska skazana wyrokiem Boskim na służenie jako przykład narodom, musiała ponieść pokutę za kilkowiekową anarchią i rozpustę ojców naszych; upadł naród pod siłą przemagającą i z winy własnych swych dzieci — imię Polski wymazane zostało z karty geograficznej i mienie i dobytek obywateli przeszły w ręce zwycięsców. Cały przeciąg czasu od r. 1794 aż do r. 1806 przepędził książę Józef w Warszawie, żyjąc prywatnie. Gdy zabłysła nadzieja odzyskania ojczyzny w dawnych granicach po wkroczeniu Napoleona do kraju polskiego w r. 1806, postąpił sobie książę Józef jak człowiek honoru i dobry Polak. Nie wydobył oręża z pochwy, zanim go król pruski, któremu był przysiągł na wierność, nie zwolnił listem własnoręcznym od przysięgi, a wtenczas dopiero przyjął od cesarza Napoleona ofiarowany mu stopień generała dywizyi. Odtąd poświęcił się bohater całkowicie służbie wojskowej. Mianowany ministrem wojny przez rząd narodowy, organizował wojsko polskie w Warszawie w tym samym czasie, kiedy Dąbrowski w Poznaniu, a Zajączek w Kaliszu taką organizacyą przedsięwzięli. Ks. Józef nie odbył kampanii 1807 r., miał albowiem zatrudnienia innego rodzaju z pułkami nowozaciągniętymi; ale, gdy się wszczęła wojna 1809 r., wystąpił na czele hufców polskich przeciwko Austryakom. Kampania ta okryła sławą wojsko nasze i wodza swego; 16 000 korpus polski bez jakiegokolwiek wsparcia obcego pokonał 40 000 Austryaków, odebrał im

dawne nasze prowincye i zapędził aż pod Karpaty. Pokój, zawarty w Schoenbrunn 1809 r., przywrócił Polakom znaczną część zaboru austryackiego, nie wszystko jednak, co już wojsko nasze opanowało. Musieliśmy się cofnąć z Lwowa, ale Kraków pozostał w ręku naszem. Bitwa pod Raszynem dowiodła, że ks. Józef potrafił dowodzić wojskiem. Okrył się sławą w tym dniu pamiętnym dla oręża polskiego, gdzie cztery razy silniejsza siła nieprzyjacielska nie potrafiła przełamać szyków naszych.

Krótkie chwile pokoju od r. 1809—1812 użył ks. Józef do zaprowadzenia wzorowej organizacyi w wojsku. Wielce mu był pożyteczny dzielny generał Fiszer, który był wzorem dobrego szefa sztabu.

Nadeszła wreszcie godzina olbrzymiej walki; Napoleon wtargnął w granice rosyjskie 1812 r., wiodąc nieomal całą Europę na plac boju. Ks. Józef dowodził korpusem polskim w tej pamiętnej kampanii, lubo nie miał pod rozkazami swymi całego wojska polskiego, dochodzącego natenczas do 100 tysięcy żołnierzy. Nasze hufce podzieliły wszystkie trudy Francuzów w tej nieszczęśliwej wojnie, gdzie nie pokonał Napoleona nieprzyjaciel, lecz żywioły przyrodzenia. Książę Józef walczył od Niemna do Moskwy, był przy szturmie Smoleńska, pod Możajskiem dał dowód niepospolitej zdolności i odwagi, pod Tarutyną oparł się stanowczo i szczęśliwie napadającemu na wojsko nasze nieprzyjacielowi. Srogie mrozy i głód zniszczyły potęgę cesarza Francuzów. Wojsko, przeziębłe i zgłodniałe, ustąpić musiało wśród napadów nieustających z kraju zawojowanego. Polacy podzielili cierpienia ogólne, nie rozeszły się wszakże pułki nasze jak nieomal całe francuskie wojsko. Ks. Józef nie utracił ani jednego orła i przyprowadził garstkę walecznych napowrót do Warszawy. W całym tym nieszczęśliwym odwrocie odznaczył się bohater polski nieustraszonem męstwem i ludzkością swoją; własne furgony, a nawet i pojazd swój oddał dla rannych; zawsze był tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo, uratował resztki korpusu swego od zagłady, umiał utrzymać ducha w wojsku, a niezmordowana jego pieczołowitość potrafiła tego dokonać, że nasze hufce mniej od francuskich ucierpiały.

Krótkiego odpoczynku po powrocie do kraju użył nasz książę do zebrania, ile mógł, wojska nowego, któremu wskazał Kraków na miejsce zbiorne; do tego miasta cofnął się przed siłą przemagającą. Już nie było wojska francuskiego, Polacy, sami sobie oddani, stanowili sami jedni resztę tej potęgi, która przed 6 miesiącami zalała Rosyą. Zapóźno poznał Napoleon całą prawdę zdania ks. Józefa, który na radzie wojennej, odbytej pod Smoleńskiem, przeciwnym był zapuszczaniu się w głąb Rosyi i żądał, ażeby go z Polakami wysłać na Wołyń i Ukrainę, z których prowincyi przyrzekał sprowadzić 100 000 dzielnej jazdy, mogącej stawić czoło Kozakom, niepokojącym dniem i nocą wojsko francuskie. Jeszcze trzymaliśmy Kraków kilka miesięcy w naszem ręku. Książę użył wszelkich sposobów do pomnożenia wojska polskiego. Cała młodzież, nawet 18-letnie chłopcy pospieszyli pod orły polskie, ale daremne były wysilenia nasze, jeszcze miara sprawiedliwości Boskiej nie była snać dopełniona, a cierpienia, które nam znosić było przeznaczone Jego wyrokiem, miały o wiele jeszcze przejść to, co już doświadczyliśmy. Rząd austryacki dozwolił wolnego przechodu przez kraje swoje Polakom, wojsko polskie opuściło ojczyznę w miesiącu czerwcu 1813 r., Kraków został zajęty przez Rosyan. Intrygi rosyjskie i austryackie wysilały się bezskutecznie, ażeby skłonić ks. Józefa do porzucenia sprawy Napoleona i do pozostania w kraju; stały jego charakter oparł się wszystkim namowom, pozostał wierny aż do zgonu sprawie ojczystej i bohaterowi francuskiemu.

Ks. Józef zajął pozycyą pod Gabel w Saksonii po przeprowadzeniu korpusu polskiego, liczącego jakie 20 000 wojska, przez Galicyą, Morawy i Czechy; tu znowu się rozpoczęła walka. Austryacy, już połączeni z Rosyanami i Prusakami, wystąpili z siłą przemagającą przeciwko niemu; książę zniweczył ich zamiary, odparł stanowczo nieprzyjaciela. W owym czasie widzieli Polacy ogólną zdradę Niemców; nie było potyczki, w którejby wojsko tego narodu nie przechodziło do nieprzyjaciela. Doświadczył tego książę Józef pod Gabel, gdzie generał westfalski Nordmann przeszedł z dwoma pułkami konnicy do Austryaków. Nasze wojsko wszakże dochowało wierności w sprawie raz obranej. Wszczął się wreszcie bój stanowczy pod Lip-

skiem. Cała Europa zgromadziła swe wojska przeciwko Napoleonowi; sami Francuzi nawet dali przykład nieprzyjaźni przeciwko wielkiemu człowiekowi. Moreau legł pod Dreznem; teraz przybywał do walki ów Bernadotte, który z prostego grenadyera francuskiego dostąpił korony szwedzkiej. Jomini zbiegł i służył w wojsku rosyjskiem. Ks. Józef, niezachwiany wątpliwem położeniem cesarza Francuzów, walczył stale na czele Polaków. Potykał się już od 8-miu dni z nieprzyjacielem, spychającym go z pozycyi na pozycyą. Mianowany marszałkiem francuskim w sam dzień bitwy pod Lipskiem, dowodził na prawem skrzydle wojska przez 3 dni walki. Na czele garstki ludzi potrafił wstrzymać kuszenie się nieprzyjaciela o opanowanie pozycyi, jemu do obrony pozostawionej. Gdy odwrót wojska francuskiego nastąpił, zasłaniał miasto i cofające się korpusy. Trzy razy ranny, nie opuścił placu bitwy; już tylko dwóch adjutantów miał przy sobie, Kickiego i Kamienieckiego, reszta leżała ranna w Lipsku. Książę nie mógł się przeprawić przez rzekę Elsterę; most albowiem, wiodący do Lindau, wysadził podoficer saperów na widok zbliżających się do niego Krakusów Umińskiego, których Francuz wziął za Kozaków. Sasi dawali ognia z wałów miasta do naszych żołnierzy. Gdy radzono księciu, aby się poddał, odpowiedział te wiekopomne słowa: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go tylko oddam.“ Wolał śmierć ponieść od niewoli. Szukał zatem brodu przez wąskie koryto rzeki, a nie mogąc go znaleść, wspiął konia w ostateczności, próbując, czy nie przepłynie jego dzielny arabczyk ocembrowanego strumienia. Przedniemi nogami sięgnął koń brzegu przeciwległego, ale zadnie nie potrafiły się dostać na ląd, koń się przewrócił w wodę, zwalił jeźdźca i obadwa utonęli. Z wszystkich towarzyszących mu żołnierzy jeden tylko kapitan Deschamps rzucił się w wodę dla ratowania wodza, ale także utonął przy tem szlachetnem poświęceniu siebie; reszta popadła w niewolę. Taki był koniec życia księcia Józefa Poniatowskiego. Imię bohatera polskiego wymawiane zawsze będzie z czcią przez wszystkich szlachetnych ludzi, a potomność wspominać będzie męża, który w życiu całem nie zboczył z drogi, wskazanej prawemu synowi ojczyzny. Cóż za różnica pomiędzy księciem Józefem a Wincentym Krasińskim,

Rautenstrauchem, Rożnieckim, Stasiem Potockim i tylu innymi, którzy, zapomniawszy o godności imienia polskiego, zapełniali w czasie późniejszym przedpokoje cesarzewicza, wielkiego księcia Konstantego, cierpliwie znosili jego uchybienia i stali się ślepem narzędziem nieprzyjaznej nam woli cesarza Mikołaja.

Dopóki życia nie wygaśnie w sercu mojem pamięć księcia Józefa, modlę się codziennie za niego, a ksiądz proboszcz wymienia jego imię z ambony w niedzielę w dobrach moich Kosmowie, wzywając wiernych do modłów za duszę wodza mojego. Wyznać trzeba, że książę Józef skończył swe życie w najstosowniejszej chwili dla własnej swej sławy. Jakież albowiem byłoby jego stanowisko pod rządem rosyjskim? Bez wątpienia należy przypuścić, że byłby już nigdy nie wrócił do Polski, nieszczęście ojczyzny, spodlenie się wielu współtowarzyszy broni byłyby zatruły ostatnie chwile bohatera, którego śmierć tem więcej świetności dodała do życia nieskazitelnego.

Generał Fiszer. Przejście do wojska polskiego. Pobyt w Sieradzu. Major Fredro.

Powracam do rzeczy. Książę Józef rozmawiał uprzejmie ze mną, gdy mu zostałem przez generała Rożnieckiego przedstawiony; zapewnił mnie o życzliwości swojej i przychylił się do prośby zostania umieszczonym w polskiem wojsku. Po skończonej audyencyi poszedłem do generała Fiszera, którego żona mnie znała od dzieciństwa, aby pozyskać sobie łaskę jego. Generał Fiszer niskiego wzrostu, niepozornej postawy, małomówny, niczem się nie odznaczał powierzchownie, ale był czynny, pracowity, nadzwyczajnie sprężysty, dobry żołnierz, a instruktor piechoty, jakich mało, postawił tę broń w wojsku naszem na stopie doskonałej. Generał Fiszer wcześnie rozpoczął zawód wojskowy. Jako syn generała artyleryi wojska polskiego za panowania Stanisława Augusta wstąpił bardzo wcześnie do wojska, a był już majorem, gdy nastąpił rozbiór kraju. Fiszer wyszedł za granicę, zaciągnął się do legionów polskich, w których służył aż do roku 1803, po którym czasie powrócił do ojczyzny. Nie posiadając majątku, wziął małą

wioseczkę w Poznańskiem w dzierżawę, na której żył bardzo skromnie. Wszakże odgłos jego zdolności i uczciwości nie pozwoliły mu żyć zapomnianym od rodaków, każdy ubiegał się o zaszczyt zaznajomienia się z nim, a pani Kwilecka, majętna osoba, rozwiódłszy się z mężem, ofiarowała mu swoją rękę z czystego patryotyzmu. Fiszer poczytał sobie za szczęście, że go spotkał los taki, lubo żona jego była brzydka i nadzwyczaj złośliwa. Po wkroczeniu Francuzów do kraju i ogłoszeniu Księstwa Warszawskiego odmieniło się stanowisko małżeństwa tego. Generał Fiszer utrzymywał z swojej pensyi żonę, która cały swój majątek straciła. Dobry ten żołnierz był wrogiem oficerów, niedbałych o służbę; sumienny w obowiązkach swoich, żądał dużo od innych, nie zważał na stopień, nie miał żadnych ulubieńców, każdemu wymierzał sprawiedliwość według zasługi.

Nie zbogacił się, lubo miał do tego wszelką łatwość przy organizacyi coraz świeższych pułków, żył bez wystawy. W roku 1806 dowodził brygadą polską pod Frydlandem, 1809 roku dzielił znoje i sławę księcia Józefa jako szef sztabu wojska polskiego. Pod Smoleńskiem dał dowód niepospolitej odwagi, pod Możajskiem prowadził kolumny polskie na okopy nieprzyjaciela, zdobył je bagnetem, a następnie rzucił się na jego lewe skrzydło i zmusił do odwrotu. Poległ wreszcie na polach pod Tarutyną na trakcie z Moskwy do Kaługi, żałowany przez całe wojsko, szczęśliwszy jednak od tych, co go przeżyli, bo nie spoglądał na srogie losy nasze.

Wielka była różnica pomiędzy generałem Fiszerem, szefem sztabu wojska polskiego, a podszefem sztabu tego, Rautenstrauchem, o którym mówiłem powyżej.

Dotąd nie mogę odżałować, że opuściłem wojsko saskie, opuściłem bez zastanowienia się pułk konnej jazdy, w którym służyli synowie pierwszych rodzin saskich. Porzucałem korpus oficerów, jakich mało, byłem dobrze widziany u dworu, znany osobiście przez wszystkich tych, co otaczali króla, miałem życie jak najprzyjemniejsze, stałem blisko stolicy, byłem przyjmowany wszędzie, a takie świetne położenie zamieniałem na garnizon w nędznem miasteczku polskiem, na społeczeństwo, do którego nie byłem przywykł, na trudy służbowe, o których

nie miałem wyobrażenia, i na sposób życia, do którego od pierwszego dnia wstręt poczułem. Nieświadomy obyczai polskich, nie umiałem sobie zasłużyć na przychylność kolegów, nie umiałem pić — co w ich oczach było wielką wadą — nazywali mnie paniczem i dla tego przykrem było moje położenie w 5-tym pułku jazdy, do którego zostałem przeznaczony, ale o tem później.

W czasie mojej podróży po Polsce zgorzał Wolsztyn, dziedziczne miasto ojca mojego. Rynek i 4 ulice spłonęły całkowicie, zastałem, powróciwszy do domu, smutek, nędzę i perzyny. Kościół luterski i bóżnica spłonęły, jeden tylko katolicki kościół został. Ojciec mój przeznaczył z własnego natchnienia kościół w Komorowie, wsi, dotykającej do Wolsztyna, na użytek dysydentów, ale konsystorz poznański oparł się temu stanowczo. Jakoż musiał być kościół zwrócony na użytek katolików, lubo tylko raz w rok nabożeństwo w nim odprawiano. Krok ten ze strony konsystorza, chociaż kanonami Kościoła nakazany, nosił cechę nienawiści i był powodem rozdwojenia się lutrów i katolików, które miało złe skutki w następstwie. Pastor luterski Gerlach zgromadzał odtąd swych współwyznawców na miejscu, gdzie dawniej stał kościół luterski, i nabożeństwo odprawiał pod gołem niebem, dopóki nie wystawiono szopy, do której schodzili się lutrzy na modlitwę. W czasie późniejszym wystawiono kościół murowany dla dysydentów ze składek, do których się król pruski znacznie przyczynił po powtórnem zajęciu Wielkopolski przez Prusaków.

Krótko zabawiwszy w Wolsztynie, ponieważ mi się urlop kończył, powróciłem w miesiącu październiku do Drezna. Tu zastałem towarzystwo jak najświetniejsze, wszystko zapowiadało zabawy niezwykłe w tem mieście, ponajwięcej spokojnem, na zimę nadchodzącą, a ja biedny miałem widok przepędzenia jej na kwaterze u żyda polskiego. Serce mi się ściskało na taką perspektywę. Dobrze przyjęty przez kolegów, nie śmiałem ich uwiadomić o rychłem opuszczeniu pułku, ale musiałem wreszcie podać się do dymisyi. Przyjaciele moi, a mianowicie porucznicy: baron von Lützerode i baron von Berlepsch bardzo ubolewali nad tym krokiem mym. Hr. von

der Schulenburg w żaden sposób nie chciał dać wiary, abym ja, ich wodzirej na wszystkich balach, mógł przechodzić do wojska polskiego. Stało się wszakże, przysłano mi nominacyą na porucznika 5-go pułku jazdy polskiej pod dowództwem pułkownika Kurnatowskiego. Nadeszła chwila wyjazdu około nowego roku 1811. Porzucałem stanowisko, pełne powabu, w stolicy saskiej, a dążyłem do życia, o którem nie miałem wyobrażenia.

Żałowałem zmianę stanowiska mego, gdym się dostał na konstystencyą do Sieradza, w którem mieście był zaledwie jaki taki rynek w owym czasie, reszta, składała się z nędznych chat, słomą pokrytych. Nie można było znaleść towarzystwa pomiędzy obywatelami miejskimi, byli to gburzy, rzemieślnicy albo urzędnicy drobni, których obyczaje od siebie odstręczały. Szlachta okoliczna zjeżdżała się wprawdzie do Sieradza w dnie targowe na jarmarki, odpusty albo reduty, ale wszystkie zabawy takie kończyły się zwykle na pijatyce, której znieść nie mogłem.

W przejeździe do pułku przez Kalisz, zatrzymałem się tam kilka dni u prefekta Garczyńskiego, wuja mego. Właśnie znajdował się tam major Fredro z 25-go pułku jazdy, który przybył za urlopem do Kalisza. Oddałem mu wizytę i zawarłem z nim znajomość. Fredro w owym czasie pełen urody człowiek, liczący około 30 lat, był bardzo wykształcony, a potrafił zabawić rozmową swoją. Kobiety mianowicie lubiły go, choć z nich sobie żartował. Wychowany według zasad XVIII stulecia, nie wierzył w ich cnotę, miał tysiączne miłostki, korespondencye niezliczone z damami, a pieczętował każdy list taki inną pieczątką. Pamiętam jednę z tych pieczątek, na której człowiek był wyryty, kruszący kajdany, z napisem: «Elles sont rompues». Używał jej, ile razy zrywał swój stosunek z kobietą. Lubiony w Warszawie, tęsknił do społeczeństwa tamtejszego, w którem przepędził wiek młody. Wszakże rychły awans jego na majora pułku, stopień, idący w owym czasie przed pułkownikiem, zmuszał go siedzieć w Sieradzu. Tu hulał po okolicy, mało był w garnizonie, pił doskonale, szlachta go lubiła, polował i bawił się z nią, a umizgał się do kobiet. Nie odbył rosyjskiej kampanii, ponieważ dowodził zakładem

BIBLJOTEKA ... Poznań ... ODCHODZĄCYCH ARTYLERJI

pułku jako major. Gdy ks. Józef ściągnął do Krakowa wszystko, co do wojska należało, w początkach 1813 roku, przybył tam i Fredro, któremu oddał książę pułk w dowództwo i pułkownikiem go mianował.

W bitwie pod Kulm, w pobliżu Toeplitz, w której cały korpus generała Vandamme został zniesiony, dostał się Fredro do niewoli. Cesarz Aleksander I pozwolił mu udać się do Warszawy, gdzie przepędził wesoło cały przeciąg czasu aż do pokoju paryskiego 1814 r. Po ogłoszeniu Polski kongresowej został Fredro mianowany marszałkiem dworu królewskiego w Warszawie. Był to urząd właściwy dla niego, bo był dworakiem w całem znaczeniu słowa; potrafił się dobrze przedstawić, a przyjemny jego charakter umiał mu zjednać względy monarchy. Cesarz Aleksander ożenił go z Rosyanką, o której mówiono, że bardzo majętna, pokazało się jednak po ślubie, że mało co posiadała. Takiemu zawodowi zaradził dobry cesarz, udzieliwszy swemu marszałkowi nadwornemu znaczny datek ze swojej szkatuły.

Łatwo się domyślić, że Fredro opływał we wszystko, dopóki pan i dobrodziej jego żył, pędził życie swobodne i przyjemne w Warszawie, mieszkał w zamku, miał stół cesarski. Z takiego stanowiska wypędziła go rewolucya 1830 r.; udał się do Drezna, gdzie też życie zakończył, nie utraciwszy pensyi swojej, którą pobierał aż do śmierci. Widziałem się z nim po raz ostatni w Karlsbadzie 1837 r., dokąd przyjechał dla poratowania zdrowia. Już natenczas był bardzo zgrzybiały, cierpiał na całkowitą niemoc w nogach, wkrótce potem oddał ducha Bogu.

Lipscy. Oficerowie 5 pułku jazdy. Kurnatowski.

Fredro ofiarował mi miejsce w sankach swoich, puściliśmy się zatem na Błaszki do Sieradza. W Błaszkach zatrzymali nas na nocleg pp. generałostwo Lipscy, pan Lipski nosił nie wiedzieć dla czego tytuł generała. Dom tego obywatela był prawdziwą oazą wśród pustyni; doskonały kucharz, ciepło w pokojach, wszelkie wygody, a nadewszystko miłe towarzystwo

samej pani Lipskiej dały mi nader korzystne wyobrażenie o stanie wykształcenia obywateli tamecznych okolic. Fredro wyprowadził mnie z błędu, oświadczając, że prócz dwóch czy trzech domów podobnych w okolicy reszta była w całem znaczeniu słowa szlachtą poczciwą, ale całkowicie innego rodzaju.

Przybyłem do Sieradza dnia 12 stycznia 1811 r. Pamiętną mi będzie ta epoka. Zameldowałem się pułkownikowi Kurnatowskiemu, który mnie przyjął łaskawie i polecił kapitanowi-adjutantowi, majorowi hr. Bielińskiemu (dzisiejszemu kasztelanowi Bielińskiemu, synowi wojewody Piotra, dziedzicowi majętności Grodziec w Kaliskiem). Znaliśmy się dawniej, byliśmy nawet dalekimi krewnymi, zostałem przeto bardzo po przyjacielsku przyjęty przez Bielińskiego, który swą kwaterę ze mną podzielił. Była to izba jedna, ogołocona z wszystkiego, był w niej stół prosty drewniany i trzy krzesła, z których jedno kulawe. Łóżko musiał mi dopiero miejscowy burmistrz wynaleść, o pościeli ani myśli. Szczęście, że miał dywan, poduszkę skórzaną i koc nowy — inaczej byłbym leżał na barłogu. Cóż to za nagła zmiana dla mnie była!

Zostałem przeznaczony do 4-tej kompanii drugiego szwadronu. W ówczesnej organizacyi dzielił się pułk na 4 szwadrony, w każdym były po 2 kompanie, a w kompanii po trzy plutony; pluton zawierał po 33 konie. Szwadronem dowodził podpułkownik, kapitan dowodził kompanią, a porucznicy i podporucznicy mieli sobie oddane plutony. Pułkownik dowodził całym pułkiem, major pułku trudnił się administracyą pułkową, a w czasie wojny dowodził zakładem.

Szwadronem moim dowodził podpułkownik Siemiątkowski, późniejszy generał, który poległ na ulicy w Warszawie przy rozpoczęciu rewolucyi w r. 1830. Był to kolega dobry, wesoły, mający około 28 lat, dobry żołnierz i jeździec wyśmienity. Kapitan, dowodzący 4-tą kompanią, w której byłem umieszczony, nazywał się Wyderowski, stary pruski oficer, mrukliwy, gruby, nie lubiący towarzystwa, w którem butelki nie było, ostry w służbie, dla żołnierza tyran, mający wstręt do paniczów (tak nazywał mnie i Potworowskiego, dzisiejszego dziedzica Przysieki w Poznańskiem), a byliśmy na nieszczęście nasze i jego w 4-tej kompanii. Suchecki, drugi podpułkownik

(co dzisiaj odpowiada stopniu majora), nie wiem, czy miał 24 lata; był to w całem znaczeniu słowa dobre dziecko; wszyscy oficerowie niezmiernie go kochali.

Niepospolitą rolę odgrywał w pułku Spot, kapitan płatnik; wieczny wierzyciel z urzędu swego oficerów 5-go pułku jazdy. Pochodził z Kaszubów, źle mówił po polsku, był skąpy, a pożyczał oficerom na lichwę. Jako kapitan płatnik mógł bezpiecznie pożyczać, ponieważ wypłacał żołd. Kapitan hr. Stanisław Jezierski, szczególny przyjaciel pułkownika Kurnatowskiego, był dobrym oficerem, żołnierzem niepospolitej odwagi. Nieszczęśliwie skończył, bo odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu w r. 1832, będąc ojcem i mężem, a posiadając wszystko, co może posłużyć do uprzyjemnienia życia. Opuścił służbę wojskową r. 1814, żył swobodnie, miał się dobrze. Powiadają, że sobie życie odebrał z rozpaczy, patrząc na poniżenie narodu naszego po rewolucyi 1830 r.

Dowódca pułku, Zygmunt Kurnatowski, liczący naówczas 38 lat, wzrostu miernego, dobrej tuszy, z czarnym zarostem, był przystojny mężczyzna; posiadał dużo wykształcenia salonowego, przepędziwszy pierwszą młodość swoją w Berlinie, gdzie bywał w pierwszych towarzystwach. Ruchami zakrawał na Niemca, sposób wyrażenia się był niemiecki, co mu dawało nieco śmieszności. Był to dobry żołnierz, ostry w służbie, staranny o żołnierza, pilnujący porządku jak największego w pułku swoim; był nieustraszony w boju, dobry Polak, ale — był pełen próżności i mściwy. Lubo mało kto na świecie więcej mi zaszkodził od pułkownika Kurnatowskiego, sprawiedliwość wymaga, aby mu przyznać zdolności dobrego dowódcy pułku i dobrego Polaka.

Zaraz po wkroczeniu Napoleona do Prus Południowych w r. 1806 zaciągnął się Kurnatowski do tworzącego się wojska polskiego i został umieszczony w pułku, sztyftowanym przez wuja mego, pułkownika Franciszka Garczyńskiego, w stopniu szefa szwadronu czyli podpułkownika. Odbył kampanią 1807 r. przeciwko Prusakom, w r. 1809 walczył przeciwko Austryakom pod dowództwem ówczesnego pułkownika, a następnie generała Turno, dowódcy pułku po usunięciu się Garczyńskiego z frontowej służby. Po ukończeniu wojny posunięty został Kurnatowski na pułkownika, dowódcę pułku 5-go jazdy

w którym służył. Odebrał dowództwo nad nim po pułkowniku Turnie, posuniętym na generała. Zaprowadził w nim wzorowy porządek, wyuczył mustry doskonale w czasie spokoju od r. 1809—1812 r. Odbył kampanią 12-go roku na czele pułku tego i doprowadził resztki swych żołnierzy do Krakowa w porządku należytym. Roku 1813, gdy już nie było strzelców konnych w polskiem wojsku, dowodził Kurnatowski pułkiem ułanów, uformowanym z niedobitków, pozostałych po morderczej kampanii poprzedniej; walczył w korpusie ks. Józefa, był pod Lipskiem, a następnie dostał się do Francyi. R. 1814 odbył kampanią aż do pokoju paryskiego na czele pułku ułanów polskich. Kurnatowski powrócił do ojczyzny z całem wojskiem polskiem po zrzeczeniu się korony przez cesarza Napoleona. Przy nowej organizacyi wojska polskiego pod rządem rosyjskim posunął w. ks. Konstanty Kurnatowskiego na generała brygady i polecił mu organizować konną gwardyą polską, z którego obowiązku wywiązał się zaszczytnie w całem znaczeniu słowa, utworzywszy pułk strzelców konnych wzorowy. Mianowany generałem pomocnikiem, dowodził za w. ks. Konstantego dywizyą gwardyi, złożoną z trzech pułków rosyjskich i pułku gwardyi polskiej strzelców konnych, którego Kurnatowski nie przestał być szefem.

W czasie wybuchu rewolucyi 1830 r. Kurnatowski tak postąpił, jak się należało żołnierzowi, nie mającemu udziału w spisku. Nie wiedząc o niczem, poprowadził pułk swój na miejsce zbioru przy pierwszym alarmie i cofnął się z całą dywizyą jazdy ku Mokotowu według odebranego rozkazu. Powróciwszy z pułkiem swoim do Warszawy z wyraźnej woli w. ks. Konstantego, doznał przykrego przyjęcia ze strony ludu. On i generał Wincenty Krasiński, powracający razem, zostali błotem obrzuceni, a niezawodnie byliby padli ofiarą nienawiści rozjuszonego ludu, gdyby ich nie był wziął pod swoją opiekę ówczesny dyktator, generał Chłopicki. Doprowadziwszy ich do swego mieszkania pod zasłoną uczniów uniwersyteckich, wystąpił z nimi na balkon i tam zaręczył zgromadzonemu ludowi, który się domagał, ażeby mu wydano owych dwóch generałów, że pozostaną wiernymi sprawie ojczyzny i wolności. Kurnatowski dotrzymał zaręczenia.

Lubo pozostał wierny Mikołajowi i nie służył w szeregach przeciwko niemu, niczem się nie splamił przeciwko krajowi, siedział spokojnie w Warszawie, nie biorąc w niczem udziału. Po nieszczęśliwem rozwiązaniu sprawej narodowej wynagrodził car rosyjski wierność generała. Sądzę, że bolesne musiało przejąć go uczucie, gdy widział się postawiony w jedną kategoryą z Rożnieckim, Cywicińskim, Rautenstrauchem, Wincentem Krasińskim i innymi. Przyodział jednak mundur rosyjski przypiął kokardę rosyjską i został generałem rosyjskim, ale nie splamił się podłością, pełen uczucia polskiego, nie przeistoczył się na Moskala, nie służył w rosyjskich szeregach, przyjął stopień, bo nie miał majątku i nie miał z czego żyć, musiał się więc z pensyi utrzymywać. Mianowany prezesem izby obrachunkowej, usunął się wnet z tego miejsca, przekonawszy się o złodziejstwie nowo zorganizowanego rządu. Odtąd całkiem odosobniony, poświęcił się całkowicie domowemu życiu. Pan Bóg dotknął go boleśnie, zabierając mu córkę ukochaną, w której skupił całe swe uczucie. Pozostał mu syn, dzisiaj żyjący w Księstwie Poznańskiem, on sam żyje samotnie, częstokroć można go widzieć przy grobie ukochanej córki swej na cmentarzu Powąskowskim, zwykle tam po kilka godzin przepędza.

Życie w Sieradzu. Potworowski. Dąbrowski. Żołnierze.

Przekonałem się wnet po przybyciu mojem do Sieradza, że tryb życia w polskiem wojsku całkowicie odmienny od tego, co było w Saksonii. W owym czasie nie było żadnej restauracyi w całem mieście, żona podoficera gotowała dla wszystkich oficerów, począwszy od pułkownika. Żaden z nas nie był żonaty, nikt nie miał gospodarstwa, a zatem każdy z nas musiał przestawać na kuchni pani sierżantowej, każdy musiał mieć swoją łyżkę, nóż i grabki, a kto usta chciał obetrzyć, ten musiał się zaopatrzyć w własną serwetę. Wystawcie sobie izbę, kiedyś wybieloną, okna krzywe, ongi całe, stół długi karczemny, ławy długości stołu z desek zaledwo ociosanych, na stole

obrus, kiedyś biały. Talerze z fajansu najpospolitszego, kilka dzbanków glinianych wątpliwej czystości z wodą, szklanki ze szkła zielonego. Zasiadamy 10—12 oficerów w izbie, pełnej dymu i czadu. Pani sierżantowa i brudna kucharka przynoszą w misach glinianych rosół, sztukę mięsa, pieczeń i kapustę albo kartofle na stół. Kapitan Spot odgrywa rolę gospodarza, częstuje ową strawą, niema talerzy do zmiany; zjadłszy rosół, bierzemy sztukę mięsa, później pieczeń, jarzynę na tym samym talerzu. Każdy głód zaspakaja i wychodzi czemprędzej z tego lochu. Rano, jak tylko trębacz zatrąbił pobudkę, trzeba było wstawać i spieszyć wśród zawieruchy śnieżnej albo grzęznąć w błocie po kostki do stajni plutonowej, ponieważ pułkownik wymagał, ażeby oficer był przytomny czyszczeniu koni. Taka zabawka rozpoczynała się o 6 z rana i trwała do 8. Po czyszczeniu i zasypaniu koniom obroku wolno było panu porucznikowi posiedzieć na kwaterze do 10. Natenczas poczynała się parada, po paradzie mustra konna aż do 12, pomiędzy 12 a 1 obiad, o 3 trzeciej mustra karabinowa, potem do stajni, w której się siedziało aż do zmierzchu, rewidując przybory, będąc przytomnym powtórnemu czyszczeniu koni i zasypywaniu obroków. Na apelu musieliśmy być obecnymi, zgoła wymagał pułkownik po porucznikach służby, którą podoficerowie pełnili w Gardes du corps. Nieznośnym widział mi się stan taki, ale cóż było robić, musiałem być rozkazowi posłusznym.

Na pierwsze powitanie spoili mnie koledzy i jak nieżywego zanieśli do kwatery. Z nieprzywykłym do wina węgierskiego łatwą mieli gratkę. Ja na odwet zaprosiłem ich na węgrzyna do Grabowskiego i znowu spiłem się jak bela. Odchorowałem owe zaprzyjaźnienia i byłem wyśmianym, iż nic nie umiem. Pytano mnie się, czy w Dreźnie kawą niemiecką oficerowie zwykli się częstować. Przyjmowałem kwaśno wszelkie urąganie ze sposobu życia naszego w Gardes du corps, a stąd wszczynały się kłótnie; im więcej się gniewałem, tem więcej mi się koledzy sprzeciwiali.

Służył w tej samej kompanii co ja Edward Potworowski, bliski krewny pułkownika, był on natenczas podporucznikiem. Odebrawszy wychowanie w Niemczech, przejął się niemieckimi obyczajami, nawet źle mówił po polsku, ale był dobrym kolegą

Najwięcej bywałem u niego, obraźliwość jego wszakże trudną była do wytrzymania, a pomimo całej przyjaźni mojej dla niego miałem z nim pojedynek. Dąbrowski, drugi podporucznik, był wierutnym wisusem, a że miał dużo dowcipu, broił rozmaite figle. Żydzi byli mianowicie przedmiotem jego prześladowania, tak dalece znali go i obawiali się, że dawali mu, co tylko chciał, aby tylko ujść dowcipu jego. Przytem nie miał sumienia, długów porobił co nie miara. Rzecz doszła do pułkownika, który mu odciągać kazał połowę żołdu na spłacenie ich. Dąbrowski umiał dać sobie radę w tej przykrej doli, grał w karty i ogrywał wszystkich.

Duch ówczesnego wojska nie pozostawiał nic do życzenia, oficerowie pilnowali wszyscy prawideł honoru, niecierpieli pomiędzy sobą jakiegokolwiek czynu dwuznacznego, a jeżeli przypadkiem który kolega skaził mundur brudnym czynem, taki pomimo wszelkiej protekcyi musiał się podać o uwolnienie od służby. Natomiast panowała wielka wolność w pułkach, nie wglądano w drobnostki, a postępki, które były by pociągnęły za sobą niezawodnie uwięzienie w fortecy w czasie organizacyi za w. ks. Konstantego, uchodziły bezkarnie. Dla przykładu podaję następujący wypadek: Znajdowaliśmy się krótko przed rozpoczęciem wojny r. 1812 w cukierni u Sedla w Warszawie, już wypito ponczu parę waz. Potworowski znalazł, że poncz, świeżo nam podany, nie był dobry. Sedel, obecny temu, odezwał się: «Może pan nie piłeś nigdy Sedlowskiego ponczu, dla tego ci nie smakuje.» Na te słowa wylewa Potworowski całą wazę gorącego płynu Sedlowi na głowę, powiadając: «Kiedy ci tak smakuje, to go masz.» Sedel poszedł, oblany jak był, do ówczesnego komendanta Warszawy, generała Stasia Potockiego, który posłał adjutanta swego po nas wszystkich. «Cóż to, odezwał się, panowie uchybiacie obywatelom tak słusznym jak pan Sedel?» «Nie, panie generale, odpowiada Potworowski, my go tylko częstujemy.» Połajawszy nas, kazał się udać na kwatery. Za czasów w. ks. Konstantego bylibyśmy niezawodnie odsiedzieli po kilka tygodni na odwachu.

Kary cielesnej nie było w wojsku, żołnierz, prowadzony honorem, poznał wnet własną godność, a, jeżeli się splamił brudnym czynem, kompania go sądziła. Taki sąd kompanii był

okropny, żołnierze nie mieli litości nad delikwentem, wybierali z pomiędzy siebie sędziów, a wyrok, przysłany dowódcy kompanii, musiał tenże każdego razu złagodzić. Dezercya śmiercią była karana, jeżeli się zdarzyła w czasie wojny; jeżeli w czasie pokoju, szedł dezerter w kajdany. Występek przeciwko subordynacyi był karany rozmaicie, od aresztu aż do kary śmierci, według wielkości winy. Kradzież była karana kajdanami, pijakowi lano wodę na głowę aż do otrzeźwienia. Dla mniejszych przestępstw był szyldwach kilkodniowy, warta kilkodniowa, stanie kilkogodzinne pod bronią przy odwachu, maszerowanie pieszo przy tylnej straży. Jeżeli cały oddział zawinił, musiał występować z mundurami przewróconymi albo wypełniać służbę za drugich. Najsroższa kara jednakże był sąd kompanii.

Nasze wiarusy byli nadzwyczajnie przemyślni, potrafili rozmaitymi sposobami wyłudzić żywność od mieszkańców albo też i kraść zboże dla koni. Jeden z nich np. będąc na kwaterze w marszu u gospodarza, który mienił się być tak biednym, że nie miał rzekomo nic do jedzenia, kazał gospodyni podkowę ugotować. Baba, zdjęta ciekawością, pyta się, w czem ma gotować podkowę? «A nie inaczej jak w mleku», odpowiada żołnierz. Kobieta poskrobała się w głowę, ale wydobyła garnek z mlekiem i nalała niem ową podkowę, po chwili kazał jej wiarus osolić i zasypać jagłami ową strawę, a, gdy się ugotowały jagły, wylał sam na miskę i zaprosił gospodynią do uczty. «Wszakże to jagły po prostu», zawołała kobieta, «a podkowa twarda!» «To się wygotuje inną razą, matko, odpowiedział żołnierz, a teraz jedzmy, co ugotowane». Baba dopiero po niewczasie poznała się na fortelu. Inny znów przykład: Maszerując we Francyi ze szwoleżerami Krasińskiego, nocowaliśmy w miasteczku małem, nazajutrz wyruszyliśmy o świcie. Pułkownik Kozietulski prowadził pułk. Zaledwo minęło pół godziny od wyjścia z miasta, przybiega zadyszany plackomendant na chmyzie pocztowej, zatrzymuje cały pułk i żąda ścisłej rewizyi, ponieważ ukradziono mu cały jego drób tej nocy, obwinia więc żołnierzy o złodziejstwo. Stało się wedle jego woli, nastąpiła ścisła rewizya; przetrząsano mantelzaki, kieszenie u czapraków, rewidowano żołnierzy, ale nie znaleziono żadnego drobiu. Kozietulski

wygadał plackomendanta, który odjechał, przepraszając tysiącznie za posądzenie swoje.

Po upływie niejakiego czasu odezwał się kogut w drugim szwadronie, kaczka mu odpowiedziała, indyk się dołączył do rozmowy, zgoła powstała kompletna wrzawa drobiu. Śmiech i wesołość powszechna, chałas i powtarzanie ptasiej mowy. Pułkownik, zaciekawiony, wysłał adjutanta swego, ażeby się dowiedział o przyczynie tej wrzawy. Ten powrócił wkrótce i, śmiejąc się do rozpuku, mówi: »Wystaw sobie, pułkowniku, te djabły mają drób komendanta placu już upieczony«. »Nie może być«, odzywa się pułkownik, „a gdzież ci go potrafili ukryć?« »Otóż drób mieli w czapkach nad samem dnem, przykryli go furażerką, chustką i rozmaitymi drobiazgami. Nikomu nie przyszło na myśl rewidować czapek do dna, a tym sposobem uszła sztuczka bezkarnie.«

Panie Walewska i Stawiska. Jabłkowscy. Biernaccy.

Rok 1811 przeszedł spokojnie wśród wesołości w kraju naszym. Bawiliśmy się doskonale po dworach sąsiedzkich, do których bywaliśmy zapraszani. Zwykle zabierał Kurnatowski na takie zabawy kapitanów Bielińskiego i Jezierskiego, porucznika Potworowskiego i mnie, a gdy wypadała służba na którego z nas w owym czasie, prosiliśmy zawsze kolegę, który nas zastępował. Wszakże byli i tacy, którzy sarkali na ustawiczne nasze wycieczki; najwięcej się gniewał na nie Wyderowski, kapitan dowódca 4-tej kampanii. Nazywał Potworowskiego i mnie paniczami; oczywiście, że nas nie lubił, ponieważ nie byliśmy jego usposobienia, nie umieliśmy pić. Do niego dołączyli się wszyscy oficerowie, którzy pochodzili z drobnej szlachty, a których ton nie dopuszczał im obcować po dobrych towarzystwach.

W owym czasie znajdowała się w Charłupi pod Sieradzem pani Walewska, piękna i przyjemna żona dziedzica owego majątku. On był także bardzo gościnny w domu swoim. Tam zajeżdżaliśmy bardzo często i przepędzaliśmy przyjemne chwile.

Kurnatowski palił koperczaki do pani Walewskiej, ja żyłem z Walewskimi w poufałej przyjaźni. Miałem dar naśladowania śmieszności, jakie widziałem u drugich, nieraz rozśmieszałem do rozpuku panią Walewską, udając sentymentalność pułkownika mego, ale dowiedział się o tem i już odtąd był mi nieprzyjazny.

Pani Stawiska mieszkała także pod samym Sieradzem we wsi swojej dziedzicznej; bawiła u niej śliczna panna Korytkowska, która później poszła za mąż za p. Stanisława Biernackiego, dziedzica dóbr Małkowa pod Wartą. Podpułkownik Siemiątkowski i Edward Potworowski kochali się w niej, jeden patrzał na drugiego zawistnem okiem; Potworowski utyskiwał, że nie jest porucznikiem; nieraz mi powtarzał: »Ah, si j'étais chef d'escadron comme Siemiątkowski, je l'épouserai de suite!« Liczył wówczas 19 lat.

I państwo Jabłkowscy ze Sulmowa wielce się przyłożyli do uprzyjemnienia towarzystwa w okolicy Sieradza, lubo już w odleglejszej okolicy mieszkali, bo aż za Wartą. Pan Jabłkowski, który wiele podróżował, był bardzo przyjemnym człowiekiem w towarzystwie; dowcipny i wesoły, potrafił rozweselić każdego. Sama pani Jabłkowska, prześliczna kobieta, utrzymywała dom swój na stopie eleganckiej. Owi państwo mieszkali w pałacu murowanym, co było rzadką rzeczą w kaliskim departamencie, gdzie obywatele ponajwięcej w dworach się mieścili. Elegancki sposób życia tych państwa różnił się wielce od obyczajów najznaczniejszej części ówczesnych obywateli tych okolic.

Kasztelan Biernacki z Małkowa pod Wartą nosił się jeszcze po polsku. Był to człowiek chytry, nielubiany w obywatelstwie; pieniacz, wyzuł rodzinę Rudzkich z majątku. Łatwą było rzeczą zostać senatorem za czasów Stanisława Augusta. I on wtedy dostąpił tej godności. Wszakże za Księstwa Warszawskiego nie urzędował i prócz tytułu żadnego znaczenia nie miał. Syn jego Stanisław wydźwignął zaszargany majątek ojcowski po śmierci ojca przez rozmaite spekulacye, a mianowicie przez handel drzewa. Ożenił się z ową panną Korytkowską. Pani kasztelanowa, Małachowska z domu, była osobą światłą; wychowana w Warszawie, należąca do

jednej z najpierwszych rodzin w Polsce, dodawała temu domowi wiele znaczenia, lecz nawet przymioty pani kasztelanowej nie potrafiły małżonkowi jej zjednać poważania i miłości współobywateli; był za wielkim szachrajem i pieniaczem, aby być lubiany. Raz tylko jeden byłem w tym domu, wszystko było w nim urządzone po pańsku, ale brakowało wesołości.

Daleko przyjemniej bawiono się u stolnika Biernackiego w Lututowie. Zacny ten staruszek nie mógł się już bez cudzej pomocy z miejsca ruszać, pamiętał jeszcze Augusta III, a rad był, gdy go odwiedzano, mianowicie lubił wojskowych. Powiadał o sobie, że służył dawniej na kresach ukraińskich w kawaleryi narodowej; była to jego ulubiona rozmowa, żył w wspomnieniach, tylko że jego wspomnienia nie były tak smutne jak dzisiejszych Polaków. Nie zapomnę nigdy tego starca w żupanie żółtym atłasowym, siwego jak gołąb; był to typ pokolenia, którego wzorów już niema.

Zjechaliśmy się wszyscy do Lututowia na święty Józef. Stolnik Biernacki obchodził imieniny swoje. Tyle było gości, że nie mogli się pomieścić w dworze, a mianowicie nas rozkwaterowano po chałupach, z których chłopów wypędzono, bo imieniny u p. Biernackiego obchodzono przez trzy dni. Syn stolnika, późniejszy generał, a wtedy jeszcze pułkownik Biernacki, zastępował ojca w gospodarowaniu, przyjmował gości i robił honory domu, sam solenizant, ubrany w mundur wojewódzki, siedział na kanapie wśród otaczających go kobiet, do rodziny należących, i witał każdego przybywającego, przepraszając zarazem, że niemoc jego nie dozwala mu się ruszyć z miejsca. Widziałem w owym dniu wszystkich znaczniejszych obywateli kaliskich. Połowa nieomal nosiła jeszcze strój polski. Byli i prałaci, księża, a nawet i zakonnicy ze Złoczewa i Wielunia. Dwór obszerny, drewniany, sala na przestrzał; obiad długi, wina co niemiara, kielichy wiwatowe ogromne, a w kącie brudny stróż, obmywający talerze. Po obiedzie rozpoczęły się tańce, gdy uprzątnięto stoły z tej sali; sędziwi obywatele bawili się z panem stolnikiem starym węgrzynem.

Major Fredro pił doskonale, miał zawsze coś śmiesznego do opowiedzenia; tańcował i pił na przemian. Tak go polubił stary stolnik, że go przy sobie usadził i nie chciał do tańca

puścić, aż damy po niego przybyły. Była to scena zabawna, owe targowanie się tych pań ze stolnikiem o majora, który poszedł wreszcie do tańca po przyrzeczeniu, że za każdą figurą przybędzie dotrzymać kolei kielichowej; jakoż niezmordowanie wszystkiemu podołał. Śmiesznie musiało to wyglądać, gdy chłopi nas 6 oficerów w bermycach nieśli nazajutrz do dworu, ponieważ błoto w Lututowie, niemożliwe do przebycia, zatrzymywało każdego w swojej stancyi. Najęliśmy zatem owych wierzchowców nowego rodzaju; każdy gramolił się na bary chłopa, który go przenosił do dworu. Panie przypatrywały się z ganku tej kalwakacie. Fredro śpiewał na czele: »Partant pour la Syrie, le jeune et beau Dunois.«

Obyczaje w Sieradzkiem.

Takie były nasze zabawy w Sieradzkiem. — Znalazłem w obyczajach na prowincyi wiele jeszcze cnót dawnych Polaków, naród nie był jeszcze spadlony systematycznie. Polak był naówczas otwartego serca, kochał ojczyznę, dotrzymywał słowa, obawiał się opinii publicznej, gotów był do ofiar dla dobra publicznego, starał się o dobrą sławę. Krótki pobyt Prusaków w Wielkopolsce mało śladów po sobie pozostawił. Nie było jeszcze pomiędzy obywatelami ziemskimi przechrztów ni żydów ni hołoty, której napływ po dziś dzień zagraża całkowitemu upadkowi szlachty polskiej. Dawne rody szlacheckie strzegły z rzadkimi tylko wyjątkami tradycyjnego honoru klejnotu swojego. Prawda, że mężczyźni pieniali się do upadłego pomiędzy sobą, że pili niezmiernie, że nie było oświaty w kraju, ale za to byli uczciwymi, mienia swego nie oszczędzali dla dobra kraju, a, gdzie szło o godność szlachecką, tam wszyscy stawali za jednego. Kobiety nie oszczędzały wprawdzie pieniędzy na stroje, czytywały romanse francuskie, przepadały za cudzoziemczyzną, lubiły się bawić, ale nie były przejęte szkaradnymi obyczajami z czasów Stanisława Augusta. Dużo pozostawało do życzenia pod względem wychowania młodzieży. Rewolucya francuska zalała kraj nasz emigrantami, uciekającymi przed gilotyną. Znaleźli przytułek u nas,

nie było domu, gdzieby się nie znajdował Francuz; a ponieważ niechęć nasza do Niemców odstręczała Polaków od korzystania z ich oświaty, przenieśliśmy przeto sympatyą naszą do Francuzów, dla tego też powierzano emigrantom wykształcenie dzieci polskich. Ojcowie nasi mało zajmowali się dziećmi swemi. Dawnymi czasy przyjmowano do nich bakałarza, który przygotowywał ich do szkół publicznych, gdzie nauki kończyli. Zdolniejsi udawali się na uniwersytety. Po rozbiorze kraju nie posyłano już więcej dzieci do szkół, lecz kształcono je w domu pod dozorem guwernera, zwykle emigranta Francuza.

Obok wytworności w strojach, zbytków kuchni, a mianowicie piwnicy, zbywało na najpotrzebniejszej wygodzie domowej. Po za salonem panowały nędza, nieład i nieochędostwo. Polska, przepełniona odwiecznymi lasami, nie miała drzewa suchego na opał. Nigdzie nie było pokoju, zaopatrzonego w okna, szczelnie zamykane. Ogień palił się od początku zimy do końca maja dniem i nocą w ogromnych kominach, z których się zwykle dymiło; piece były źle postawione, nic dziwnego, że w pokojach było zimno, powietrze wciskało się z podwórza szparami, przy kominie było gorąco, nieco dalej już się marzło. Rzadko gdzie spotykało się ogrody owocowe, a, gdzie się znajdowały, tam nic innego nie było prócz gruszy, jabłoni i śliwek. U takich tylko obywateli, którzy nabrali wyższego wykształcenia, można było natrafić na owoce szlachetniejsze. Zwykle przychodził stróż bardzo wątpliwej czystości pomywać talerze do sali jadalnej w czasie obiadu, a, zasiadłszy przy kominku, pomywał w węborku, napełnionym w przytomności siedzących przy stole ciepłą wodą. Taki zwyczaj osobliwy nie raził nikogo. Ktokolwiek podróżował lub przybywał na nocleg w odwiedziny, ten przywoził ze sobą pościel, ponieważ ani pomyślano w owym czasie w jakimkolwiek dworze o pościeli gościnnej. A ponieważ dwory szlacheckie były po części szczupłe, przeto byli goście zmuszeni nocować wszyscy razem w sali jadalnej, do której wnoszono słomę, na tejże słano pościel, a nad pościelą zawieszano pawillony dla oddzielenia kobiet od mężczyzn. W całej Polsce zapomniano o wygodnym wychodku, zdaje się, że nasi ojcowie wcale nie dbali o to miejsce, tak jednak bardzo potrzebne dla wygody

codziennego życia. Nawet nie dostawano nocników po wielu domach, dla tego też przywożono ze sobą owe naczynia. Głównem zadaniem gospodarza było upoić gościa swego; nie było sposobu uchronienia się od kielicha. Tam, gdzie stan majątkowy nie dopuszczał, ażeby winem częstowano, nękał szlachcic gościa swego do piwa. Piwo grodziskie odgrywało pierwszą rolę w Wielkopolsce, sprowadzano je do każdego dworu bez wyjątku; zamożniejszy chłodził się niem po obfitej libacyi, biedniejszy częstował niem przybyłego. Wstawiano w takim razie półbeczkę w komin i toczono z niej w dzbanki tak długo, póty wszystkiego nie wypito. Kawa rozpowszechnioną była; panie polubiły ją namiętnie. Była to wielka plaga dla nich, kiedy kawa zdrożała aż do 10 złp. za funt skutkiem systemu kolonialnego. Za funt cukru płacono także po 10 złp. Chwytano się rozmaitych surogatów w tym czasie, mających zastąpić kawę. Używano palonego żyta, marchwi, a przedewszystkiem palonych migdałów ziemnych, rodzaj korzonków, hodowanych po ogrodach. Ów niedostatek kawy był przyczyną rozpowszechnienia się herbaty, którą dawnymi czasy chyba jako lekarstwo w aptekach kupowano. Mniej zamożni pili polewkę z piwa albo wódkę na śniadanie. Używanie wódki wzmogło się niesłychanie w czasie wojen. Dawniej piwo było trunkiem powszechnym po karczmach, ale, gdy wojny nastąpiły, rzucono się do wódki, dzisiaj mniej piwa używa pospólstwo, a każdy garnie się do wódki.

Polak, ludzki u siebie, hojny w podejmowaniu gościa, wylany z usposobienia swego, ma wadę nieszczęśliwą: niezgodę z sąsiadami. Nałóg pieniactwa, lubo mniej rozpowszechniony podziśdzień jak za czasów trybunalskich, jest dotąd prawdziwą plagą w narodzie. Polak, kochający ojczyznę namiętnie, niecierpi sąsiada, do czego przyłączał się zwykle spór o granice majątków — z czego powstawały nienawiści familijne, przechodzące od rodziców do dzieci. Upór jest wadą narodową u nas, jeden nigdy drugiemu nie ustąpi dobrowolnie. Częstokroć traciły strony, wiodące proces pomiędzy sobą, daleko więcej na koszta, aniżeli wart był sam objekt — ale tu przyłączała się miłość własna, ażeby koniecznie postawić na swojem. — Znałem dwóch braci Zabłockich, współdziedziców dóbr Ska-

rżyna pod Dobrą, którzy, mieszkając 33 lata pod jednym dachem, procesowali się przez te 33 lata o działy majątku owego, poumierali obydwaj, nie dokończywszy procesu, i zrujnowali się obydwaj kosztami, wynikłymi ze sporu.

Bywały świetne reduty w Sieradzu w czasie karnawału tego. Obywatele zjeżdżali się z okolicy; mnóstwo ślicznych kobiet przybywało, do których my wszyscy garnęliśmy się i dokładaliśmy starań, aby uprzyjemnić im zabawę. Każda reduta taka kończyła się pijatyką; szlachta nas częstowała, wszyscy obywatele, mający swych synów w wojsku, uważali nas jako kolegów dzieci swoich i lubili nas; my odwdzięczając im się, staraliśmy się rozweselić starszych, zabawić kobiety i okazać wszystkim naszą życzliwość. Służba w wojsku narodowem jest zawodem w równym stopniu zaszczytnym jak przyjemnym, kiedy miłość ojczyzny i szacunek dla krajowców żołnierzem powoduje.

Wymarsz do Warszawy. Niechęć Kurnatowskiego. Książę Dominik Radziwiłł i jego żona. Państwo Chodkiewiczowie.

Po wesołej zimie, spędzonej w brudnej kwaterze w Sieradzu, strawionej kolejno na wydoskonalaniu się w mustrze lub zbytkach lub nędzy, przyszedł do pułkownika rozkaz wyruszenia do Warszawy. Pułk wymaszerował spiesznie. Wszystko zapowiadało wojnę, każdy z nas radował się nadzieją zmierzenia się z Moskalem.

Rok 1811 był nadzwyczajnie suchy; przypisywano nadzwyczajne upały i posuchę tegoroczną komecie, pojawionym na horyzoncie, widocznym od miesiąca maja aż do końca listopada 1812 r. Owe ciało niebiańskie miało nadzwyczajnie długi ogon, skierowany z razu ku wschodowi, a przy końcu obrócony na zachód. Wszystkie zboża zeschły, zanim się ziarno wykształciło. Nastąpiła też w kraju drożyzna niezmierna. Niedostatek był tak wielki, że obywatele nie byli w stanie zadość uczynić wymaganiom administracyi krajowej, a przybywające wojska wszystkich narodów Europy wyczerpały wszystkie

zapasy. Musiano wreszcie uciec się do rekwizycyi; rząd wysyłał oddziały po kraju, które zabierały, cokolwiek gdzie znajdowały.

Smutny był stan właścicieli dóbr; nędza ogólna, a przechodzące wojska wypędziły ludność z wsi każdej. Te stały pustkami, a wojsko maszerujące kosiło zielone zboże na paszę dla koni. Od owego nieszczęśliwego wieczoru w Charłupi, gdziem udawał Kurnatowskiego, o czem się dowiedział, niewiem jakim sposobem, znienawidził mnie pułkownik i, gdzie mógł, tam mi dokuczał; wszakże, będąc protegowany przez samego księcia Józefa, który mnie od razu polubił od chwili, gdym mu przez Rożnieckiego był przedstawiony, nie potrzebowałem się jego niechęci obawiać; wszakże zawsze był mi Kurnatowski nieprzychylny, jak tylko chodziło o mój awans. I tak na przykład zamiast mi oddać słusznie należące mi się dowództwo czwartej kompanii, gdy zasłabł kapitan Wyderowski, oddał ją porucznikowi Dębińskiemu (późniejszemu generałowi, wsławionemu w kampanii 1830 roku i w wojnie węgierskiej); podburzał przeciwko mnie oficerów, kolegów moich, i doprowadził rzecz tak daleko, że, zniechęciwszy sobie pułk 5-tej jazdy, odbywszy dwa pojedynki w Warszawie, jeden z kapitanem Jaskulskim, drugi z kapitanem Jagminem, prosiłem generała Fiszera, ażeby mi wyrobił translokacyą do innego pułku. Ale zamiast uczynienia zadość mojemu żądaniu, powstał na mnie generał, nie uznał za słuszne moich powodów i rozkazał pozostać w pułku. Biada młodemu człowiekowi, który, dostawszy się do wojska, nie ma rozsądnego przyjaciela, a, oddany sam sobie, kieruje się według popędu żywego swego charakteru; ileż złego może później z tego wyniknąć! Takie było moje położenie w 5-tym pułku jazdy; zamiast ułagodzić niechęć Kurnatowskiego, zamiast go udobruchać, dotykałem go w jego własnej miłości, gdy tylko mi się nastręczyła pora; zamiast ubiegać się o przyjaźń kolegów, miałem ich za nic, komu byłem nieprzyjazny, jawnie okazywałem moją niechęć. Utworzyły się w pułku dwa obozy: pierwszy, mający pułkownika na czele, chciał mojej zguby; drugi kochał mnie, a mianowicie stawali zawsze major Fredro i podpułkownik Suchecki w mojej obronie. Stan taki nie mógł długo trwać; jakoż się wnet zmienił, ale o tem później.

Bieliński podał się do uwolnienia od służby. I jego nie lubił Kurnatowski; popierany jednak przez ojca swego, wojewodę, mniej dbał Bieliński o łaskę pułkownika. Był to Lovelace w całem znaczeniu słowa; kochał się wszędzie i był od kobiet kochany. Gdyby był swe pamiętniki napisał, całe szeregi miłosnych awantur wyszłyby na jaw. Traciłem w nim doskonałego przyjaciela, on z swej strony żałował rozłączenia się ze mną, ale, czyniąc zadość woli ojca, przechodził do służby cywilnej.

Pomiędzy domami, w których w Warszawie bywałem, najmilszy mi był dom księżnej Dominikowej Radziwiłłowej, Morawskiej z domu, żony pułkownika Dominika, ordynata na Nieświeżu, potomka owego sławnego księcia «Panie kochanku», wojewody wileńskiego. Książę dowodził 17-tym pułkiem jazdy; byli to ułani, których książę własnym kosztem utworzył, tak samo jak ordynat Zamoyski sztyftował 16-ty pułk jazdy ułanów. Książę Dominik Radziwiłł był nadzwyczaj majętny, dochody jego dochodziły do 7 milionów złp; był dobrym kolegą, przystępnym dla przyjaciół, hulaką w towarzystwie. Miał zawsze szereg młodzieży przy sobie, wybryki jego były sławne. Został pułkownikiem od razu, wystawiwszy najpiękniejszy pułk jazdy w całem wojsku, którym dowodził. Było szczęściem dla mniej majętnych oficerów służyć w pułku Radziwiłła, wspierał ich bowiem. Stół był u niego codziennie przystępny dla wszystkich oficerów, a nawet dostarczał niejednemu książę potrzebnych funduszy na umundurowanie się. Zostawszy pułkownikiem 1810 roku, odbył kampanią 1812 r. W roku następnym przeszedł do szwoleżerów gwardyi w stopniu majora, odpowiadającemu stopniowi generała brygady w linii. Widziałem go po raz ostatni 15 sierpnia w Dreźnie podczas obchodu imienin cesarza Napoleona. Umarł w tymże roku pod Moguncyą w skutek kontuzyi kuli armatniej, odebranej pod Hanau.

Księżna Dominikowa była w onym czasie jedna z pierwszych lwic całego świata; wspomina o niej nawet ksiądz arcybiskup de Pradt w swojem dziele «De l'ambassade française à Varsovie en 1812». Strzelała celnie z pistoletu, chodziła na polowanie i zrzucała bekasy w lot; jeździła konno jak mało

który mężczyzna, powoziła sama czterema końmi, paliła fajkę (cygar nie znano jeszcze w owym czasie), grała namiętnie w karty i była w całem znaczeniu słowa «une mauvaise tête». Przytem usłużna, dobroczynna, wesoła, łatwa w obejściu, miała całą młodzież warszawską na swe usługi. Bawiono się u niej wyśmienicie, schodzili się tam wszyscy młodzi ludzie z pierwszych rodzin. Kobiet nie lubiła księżna, mianowicie takich, które określają Francuzi «des prudes», dla tych była biczem Bożym. Pani generałowa Wielhorska, żona zastępcy ministra wojny, baba brzydka i złośliwa, nienawidziła księżnej Dominikowej i wygadywała na nią, co się zmieści; księżna, wiedząc o tem, zaprosiła ją raz do siebie na wieczór, na którym kazała być nam wszystkim; zaprosiła także i panią Chodkiewiczową, późniejszą księżnę Galicyn, oraz inne kobiety z swojej koteryi. Generałowa Wielhorska, nie mogąca się oprzeć ciekawości przypatrzenia się z bliska owemu towarzystwu, na które miotała zawsze przekleństwa i które nazywała karczemną zgrają, przybyła. Każdy z nas miał oznaczoną rolą do odegrania; ton przybrany był w najwyższym stopniu przyzwoity, sentymentalny i naukowy tak dalece, że generałowa nie mogła wyjść z podziwu, co to wszystko ma znaczyć.

Wśród rozmowy jak najpoważniejszej usłyszano nagle muzykę, drzwi salonu przyległego otwierają się, znienacka rozpoczyna się wieczór tańcujący; Artur Potocki chwyta prawie gwałtem panią Wielhorską do mazura; hulanka się rozpoczyna, następuje suta wieczerza, przy której szampan się leje i wszystkim dodaje wesołości. Wydzierającą się do domu gwałtem generałową księżna nie puszcza, zamęczamy babę tańcem, Roszkiewicz, sławny z dowcipu swego, wysila się, by ją zabawić. Kończy się na tem, że nawet i pani Wielhorska podziela ogólną wesołość i późno odjeżdża w najlepszem usposobieniu dla księżnej. Prawda, że odchorowała taniec, ale mawiała odtąd o księżnie: «C'est une mauvaise tête, mais une très bonne enfant, il faut passer quelque chose à la jeunesse».

Pani Chodkiewiczowa słynęła czasu tego z piękności, wesołego usposobienia i z rozmaitych awantur, przypominających czasy Stanisława Augusta; tomy o niej możnaby napisać. Była zapaloną patryotką, wszakże po wkroczeniu Rosyan do kraju

upodobała sobie księcia Aleksandra Galicyna. Cała Warszawa wiedziała o ich miłosnym stosunku oprócz pułkownika Chodkiewicza, który, zatopiony w chemii, nie miał czasu żony swej pilnować. Przed rokiem 1812 miała już pani Chodkiewiczowa rozmaite miłosne intrygi, ale książę Galicyn rozbałamucił ją na dobre, była jego zdeklarowaną faworytką, a w czasie, gdy Chodkiewicz bronił Modlina, oblężonego przez rosyjskie wojsko, jego żona żyła publicznie z nieprzyjacielem ojczyzny.

Bóg ukarał występną kobietę, rozwiódłszy się albowiem z pierwszym mężem, poszła za Galicyna, pomimo różnicy wiary (on był schizmatykiem) i pomimo całego patryotyzmu, którym się chełpiła. Urodził się syn z tego związku szkaradnego, jeszcze zanim rozwód nastąpił; był to młody człowiek, pełen zdolności i wykształcenia, znałem go osobiście; ale, sparaliżowany na ręce i nogi, całe życie przepędził w krześle, toczącym się na kółkach. A ponieważ nie mógł uzyskać ulegitymowania prawego pochodzenia, jako spłodzony w czasie małżeństwa matki z pułkownikiem Chodkiewiczem, co według praw rosyjskich niepodobnem czyni przyznanie dziecka jako pochodzącego z prawego łoża, umarł ten interesujący młody człowiek z rozpaczy w 24 roku życia swego. Ks. Aleksander Galicyn, straciwszy cały swój i żony majątek, powrócił do służby rosyjskiej, rozwiódłszy się z swoją żoną, ona zaś umarła w nędzy w Petersburgu.

Pułkownik Chodkiewicz, potomek hetmana w. koronnego, którego imię słynne w historyi narodu naszego, wszedł do służby wojskowej zaraz po kampanii z Austryakami 1809 r. Był to znakomity chemik, całkowicie oddany nauce swej ulubionej. Został komendantem placu Warszawy i pozostał nim aż do wkroczenia nieprzyjaciela do miasta tego. Zamknąwszy się następnie w twierdzy Modlinie, bronił jej walecznie do r. 1814, w którym nastąpił pokój. Mianowany generałem brygady w czasie nowej organizacyi wojska polskiego, powrócił na dawną posadę swoją, ale, narażony na codzienne brutalstwo w. ks. Konstantego, nie chcąc się mięszać w działania tajnej policyi, podał się do uwolnienia od służby i powrócił do prywatnego życia na Wołyń, do dóbr swoich, gdzie życie zakończył.

Roszkiewicz. Potoccy.

Już nikomu nie było tajnem zerwanie przyjacielskich stosunków cesarza Napoleona z cesarzem Aleksandrem, cała Europa szykowała się do wojny z Rosyą. — Rząd Ks. Warszawskiego nie pozostał w tyle, pomnożono liczbę wojska do 100.000, część pułków naszych pozostała na żołdzie francuskim, a ta była najszczęśliwszą, ponieważ była regularnie płatną; ci albowiem, którzy byli na żołdzie polskim, oczekiwali częstokroć po kilka miesięcy za płacą swoją. Kilka pułków naszych walczyło w Hiszpanii; ks. Sułkowski bił się z Hiszpanami od 1809 r., a powrócił do kraju dopiero w początkach r. 1812, gdy postąpił na generała brygady. Pułkownik Sobolewski zginął w tej morderczej wojnie, gdzie nieprzyjaciel ukryty groźniejszym był od wojska, walczącego w otwartem polu.

Nie można poczytać za złe Hiszpanom, że bronili swej sprawy narodowej. Oni tak samo jak my niecierpieli jarzma obcego, ale szczęśliwsze położenie ich kraju pozwoliło im się bronić od napaści Napoleona, z jednej tylko strony wstępującego do Hiszpanii, a górzyste prowincye ułatwiały walkę narodową pomiędzy mieszkańcami a wojskiem. Takiego korzystnego położenia nie mieli Polacy, nieprzyjaciel miał wolny przystęp wszędzie, dla tego też ulegliśmy od razu. Niektóre polskie pułki składały część garnizonów Gdańska i Kistrzyna, a takie były najszczęśliwsze z całego wojska, opływały we wszystko, były regularnie płatne, daleko lepiej przyodziane od wojska, będącego w kraju, a mając żywność u bogatych mieszkańców tych okolic, nie cierpiały niedostatku. W Gdańsku stały pułki księcia Michała Radziwiłła, pułk Krukowieckiego i pułk Chlebowskiego, t. j. pułki 2, 5 i 11 piechoty; pułk 9-ty jazdy, ułani, stał na Żuławach w okolicy Gdańska.

Książę Michał Radziwiłł przysłał z miasta tego puzderko gdańskiej wódki poecie Roszkiewiczowi, który, o ile był dowcipny i genialny, o tyle był pijakiem i rozwiązłym. Był to drugi Piron, ów sławny z konceptów swoich poeta francuski, wieczny antagonista Voltaira. Koncepty naszego Roszkiewicza były bardzo podobne do konceptów Pirona. Otóż, odebrawszy owe puzderko gdańskiej wódki, zamyka się u siebie i dopóty

nie wychodzi, dopóki wszystkich butelek nie wypróżnił, ale w samotności swojej napisał cudowną odę do Radziwiłła, dziękując mu za dar przesłany. Roszkiewicz był ułomny, niskiej postawy, nosił się zawsze brudno, bywał jednakże wszędzie i wszędzie dla dowcipu swego był dobrze widziany. Biada temu, którego wziął na kieł, ponieważ, o ile był dowcipny, o tyle był złośliwy, a w razie niechęci dla kogokolwiek, wynajdował z pewnością jego śmieszną stronę i wystawiał na pośmiewisko ogólne.

Zbliżanie się wojny z Rosyą ściągnęło nad Wisłę wszystkie wojska zachodniej Europy; przybyły i saskie wojska, a pomiędzy niemi i pułk Gardes du corps. Witałem z uniesieniem dawnych kolegów; był to prawdziwie szczęśliwy dzień dla mnie, przepędziliśmy razem wesoło całą dobę, nazajutrz udali się w dalsze strony. Widziałem jeszcze raz kochany ten pułk wśród morderczej bitwy pod Możajskiem, gdzie, dziesiątkowani kartaczami nieprzyjacielskimi, pędziliśmy cwałem wszyscy razem na redutę pod wsią Borodino.

Gubernatorem Warszawy w roku 1812 był generał Stanisław Potocki, Stasiem Potockim zwany dla odróżnienia go od senatora wojewody Stanisława Potockiego, dziedzica dóbr Wilanowa, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członka rządu narodowego w roku 1806, ministra oświecenia za Polski kongresowej.

Generał Staś Potocki pospieszył do wojska tak samo jak cała młodzież polska za wkroczeniem Francuzów do kraju w r. 1806; należał do zaufanych przyjaciół księcia Józefa, a był dobrym Polakiem w tej epoce. Przyjaźń naczelnego wodza w tym czasie pozyskała mu od razu stopień generała brygady przy nowo tworzącem się wojsku, został mianowany plackomendantem Warszawy, a później gubernatorem tego miasta, którego stanowiska nie opuścił aż do wkroczenia Rosyan. Wesoły, dobry kolega, nadzwyczajnie przyjemny w towarzystwie (nie umiem sądzić o jego zdolnościach wojskowych, nigdzie bowiem nie dowodził), był powszechnie kochany. Od czasu ogłoszenia Królestwa Polskiego na kongresie wiedeńskim, zmienił Staś Potocki całkowicie swoje uczucia narodowe i sposób postępowania, przeistoczył się na wiernego siepacza

i wykonawcę woli rządowej. Posunięty w honorach, został mianowany generałem porucznikiem przez cesarza Aleksandra I i ozdobiony wielu krzyżami i orderami, a nareszcie został senatorem-wojewodą. Należał w roku 1825 do składu sądu sejmowego, mającego sądzić obwinionych o spisek przeciwko monarsze, w którym dał głos swój na skazanie uwięzionych na śmierć. Łagodnego sposobu postępowania, był lubiany przez podoficerów szkoły podchorążych, a dla tego pospieszył do nich w pamiętnej nocy 29 listopada 1830 roku. Gdy szkoła powstała za sprawę narodu, chciał ją napowrót zwrócić na drogę subordynacyi wojskowej; nie udały mu się jego zabiegi, Opatrzność naznaczyła mu przy tej sposobności kres życia. Młodzież go otoczyła, błagała, aby na czele jej stanął, on zaś namawiał ich do powrotu do koszar. Gdy się podchorążowie przekonali, że próżne ich usiłowania, padło kilka strzałów, które położyły koniec życiu rozpoczętemu z chwałą, a zakończonemu nędznie. Dzisiaj wyryte nazwisko Stanisława Potockiego na żelaznym pomniku, postawionym z rozkazu cesarza Mikołaja na Saskim placu w Warszawie dla unieśmiertelnienia pamięci 8-miu generałów, poległych tej nocy za sprawę cara Moskwy.

Inną koleją poszedł hr. Stanisław Potocki, dziedzic Wilanowa, minister oświecenia publicznego w pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra I nad Królestwem Polskiem. Jemu pomnika nie kazał postawić car rosyjski, przeciwnie w niełasce umarł Potocki. Pomimo wysokich urzędów, które piastował, nie przestał nigdy ten zacny obywatel pracować na polu literatury polskiej, wielce się narodowi zasłużył jako organizator szkół w Polsce i uniwersytetu warszawskiego, dopomógł Lindemu do wydania słownika. Jemu i Staszycowi zawdzięczamy owe zakłady naukowe w kraju, w których odebrało wykształcenie swoje tylu mężów, przynoszących zaszczyt polskiemu imieniowi. Gdy zaś w roku 1823 rząd się począł zwracać do systematu, powszechnie przyjętego w zakładach naukowych w Rosyi t. j. do pozoru nauki, usuwając wszelkie gruntowne wiadomości, podał się Stanisław Potocki do dymisyi. Odtąd żył prywatnie w pysznej włości swej Wilanowskiej, oddając się naukom w towarzystwie mężów światłych, a mianowicie Niemcewicza, który mu zamknął oczy.

Hrabia Aleksander Potocki, syn wojewody Stanisława, o którym powyżej mówiłem, nie poszedł w ślady ojca. Był to człowiek próżny, pozbawiony zdolności umysłowych, nadzwyczajnie skąpy i dumny; piastował urząd wielkiego koniuszego przy dworze króla polskiego. Żona jego słynęła z dowcipu złośliwego, narażała się częstokroć na ostre odwety ze strony tych, których chciała dotknąć złośliwym konceptem. Zresztą była dobrą patryotką. Jej koterya stała w wiecznej opozycyi do wielkiego księcia Konstantego, który jej znieść nie mógł. Niecierpiała kobiet, przez które nawzajem była nielubianą, dom jej był pełen młodych ludzi, mających pretensye do dowcipu. Fredro należał do tego towarzystwa, w którem znajdował żywioł dla swego sarkastycznego usposobienia. Pani Aleksandrowa nie brała wcale za złe odpowiedzi ostrych i dotykających ją do żywego. Jednego razu powiedziała księciu Sergiuszowi Galicynowi, który się bardzo blisko do niej przysiadł: «Monsieur, éloignez votre fauteuil, vous me causez des maux de coeur, je trouve que tout Russe sent le musc ou le goudron». «Madame», odpowiedział jej Galicyn, wstając «il paraît que vous les avez flairés de bien près.» Pani Aleksandrowa za złe mu tego nie wzięła. Mężowi nie mogła wybaczyć wielkiej bierności i skępstwa niesłychanego, zupełnie z nim nie żyła, miała swój dwór i salony osobne, wreszcie rozwiodła się krótko przed rewolucyą i połączyła powtórnym węzłem małżeńskim z panem Duninem Wąsowiczem, który, będąc jeszcze porucznikiem gwardyi szwoleżerów, wiózł cesarza Napoleona sankami z Oszmiany do Warszawy w odwrocie z Rosyi. W nagrodę został szefem szwadronu gwardyi, a później był mianowany generałem w czasie rewolucyi 1830 r. Pani Potocka była nadzwyczajnie majętna, Wąsowicz nie miał nic, jej patryotyzm skojarzył to małżeństwo.

Po wkroczeniu Rosyan do Warszawy r. 1831 rozkazała jej policya opuścić to miasto, udała się więc z mężem do Krakowa, gdzie umarła. Wiele jeszcze możnaby powiedzieć o tej damie, której obyczaje tchnęły szkołą Stanisława Augusta.

Wiktor Szołdrski. Kurdwanowski. Ksawery Walewski.

W owym czasie słynął w Warszawie mój bliski krewny, Wiktor Szołdrski, człowiek bardzo majętny, a w równym stopniu ograniczony w umyśle. Uwziął się wypasać wszystkich pasibrzuchów warszawskich, a miał ich niemałą liczbę każdego dnia u siebie. «Idziemy do restauracyi Szołdrskiego» mówili wyjadacze, idąc do niego na obiad. Szołdrski, mianowany kasztelanem dla wielkiego majątku swego, siedział w Warszawie, gdzie prowadził życie rozwiązłe, utrzymywał w domu swoim dwie faworytki, spijał się ze swoimi amikusami, przegrywał w karty, jednem słowem marnował piękny swój majątek, ale dawał bale, dobre obiady, grano u niego aż do białego dnia, wyprawiał szlichtady i podwieczorki, a zatem był przyjmowany w wyższem społeczeństwie i bywano u niego. Nadano mu przydomek «sołtysa», pod którym był powszechnie znany w Warszawie. Bynajmniej się tem nie obrażał, owszem mówił, że jest sołtysem, a gminą jego cała Warszawa. Sławny dzisiejszy dom bankierski Epsteinów zbudował faktor p. Szołdrskiego, który z pieniędzy, zarobionych na kasztelanie, założył pierwszy węgieł ogromnego swego majątku. Rodzona moja siostra, pani kasztelanowa Krzyżanowska, bawiła także w Warszawie owej zimy z dziećmi swojemi, Józefem i Melanią. Powzięła myśl rozwiedzenia Szołdrskiego z pierwszą żoną, Lipską z domu, i ożeniła go powtórnie z własną córką Melanią. Pierwsza żona kasztelana, pani rozsądna i rzędna, kierowała całym zarządem owego znacznego majątku z łóżka swego, gdyż nie mogła się z niego podnieść, będąc sparaliżowaną na nogi. Mąż nie żył z nią, stale przemieszkiwała w Czaczu, majątku męża w Poznańskiem, on żył w Warszawie. Dopóki się pani kasztelanowa trudniła interesami, szło wszystko i pieniądze, potrzebne mężowi na hulanki, wystarczały z dochodów, ale wszystko się odmieniło po rozłączeniu tego małżeństwa. Administracya, jak zwykle wszystkie administracye naszych panów, wystawiała wielkie rachunki, a przysyłała mało pieniędzy. Narobiono długów i koniec był ten, że cały majątek poszedł na subhastę. Szołdrski, rozpiwszy się gorzałką, umarł w niedostatku.

Życie Melanii dzieli się na dwie epoki odrębne; w pierwszej opływała pani kasztelanowa we wszystkie zbytki, jakie tylko być mogą; żyła w przepychu, rozrzucała złoto garściami, była wszakże zawsze miłosierną, czyniła wiele dobrego dla ubogich, kochała ojczyznę, była dobrą katoliczką. W drugiej połowie życia była osobą, dla której wszystko było zanadto drogie, znajdowała się w całkowitym niedostatku. Korzyła się pod rózgą, która ją siekła, a wtedy zasługiwała doprawdy na uwielbienie. Znosiła wszystko z anielską cierpliwością. Nie zważając na nieprzyzwoitość grubiańską męża, który jej zarzucał utratę majątku, ratowała ostatnie szczątki tych niezmiernych posiadłości, trudniła się domowym zarządem, wychowywała dzieci swoje, a, gdy po śmierci małżonka synowie dorośli i nie potrzebowali jej pomocy, Melania oddała się całkowicie dobrym uczynkom, żyła dla biednych i cierpiących, znosiła upadek majątkowy i upokorzenia w obec świata z anielską cierpliwością, a wreszcie Bóg, litując się nad piękną tą duszą, powołał ją do siebie.

Słynny oryginał warszawski, p. szambelan Kurdwanowski, szlachcic z pod Kutna, dworak króla Stanisława Augusta, zbijał bruki warszawskie w owym czasie. Któżby nie znał z współczesnych moich pana Kurdwanowskiego, zwanego »Le marquis bien jambé« dla grubych łydek. Każdy ma swoją słabość na tym Bożym świecie; słabością p. Kurdwanowskiego było pozyskać reputacyą, że bywa w pierwszych towarzystwach, a dla dogodzenia swej manii znosił rozmaite upokorzenia, zawsze mienił się być zaproszonym do księżnej jakiejś albo wojewodziny, zawsze powracał niby od generała lub biskupa, a chyłkiem chodził »pod Konika« na flaki. Była to oberża przy ulicy Rymarskiej. Lubiliśmy go wszyscy, był wesoły, żartobliwy, żył z młodzieżą, niejednego nowicyusza w pole wyprowadził, ale nigdy złośliwie. Żył i umarł, oddając wizyty.

Do dnia dzisiejszego jest dla mnie zagadką, w jaki sposób utrzymywał się Ksawery Walewski przez 30 lat w Warszawie, nie mając grosza majątku. Za młodu strwonił puściznę po ojcu, odtąd Warszawy nie opuścił, zawsze jadał u Rosengarta na Podkońskiem, ubierał się przyzwoicie, znajdował się w towarzystwach męskich, gdzie grano w karty albo często-

wano się butelką. Miał syna Kaźmierza, którego wychowywał w własnej swej szkole, a który też poszedł w ślady ojca.

Ksawery Walewski był nader niebezpiecznym dla każdego młodego, niedoświadczonego człowieka, przybywającego z pieniędzmi do stolicy, bo wnet się z nim zaznajamiał, zaprzyjaźniał i wyssysał do grosza. Cechowała go znajomość świata i stosunków towarzyskich, czoło miedziane, brak jakichkolwiek zasad moralnych, zupełna niesumienność, połączona z miłem usposobieniem charakteru, powierzchownością ujmującą i z obyczajami salonowymi. Był to poprostu oszust wyższego rzędu, »un chevalier d'industrie«, jak mówią Francuzi. Nie wiem, jak skończył. Gdym do Warszawy powrócił 1815 r., już nikt nie wiedział o panu Ksawerym. Syn jego wstąpił do wojska, następnie wałęsał się po Litwie, był w przyjaźni z Radziwiłłami z Nieborowa, handlował fraczkami warszawskimi, które dowoził elegantom litewskim, nawet karet im dostarczał do ślubów. Po rewolucyi już nie słyszałem o nim.

Ordynat Zamoyski.

Hr. ordynat Zamoyski prowadził w owym czasie wystawne życie w Błękitnym pałacu w Warszawie. Niełatwy był dostęp do tego towarzystwa, a raczej do dwóch — pierwszego samego ordynata, drugiego — pani Zamoyskiej, z domu Czartoryskiej. Ktokolwiek przyjęty był do salonów pani hrabiny, ten mógł się uważać jako należący do pierwszej koteryi warszawskiej i eo ipso był we wszystkich pierwszych domach przyjęty. Sam ordynat był to w całem znaczeniu słowa arystokrata zakroju austryackiego, w Austryi bowiem młodość swą przepędził. Cały zajęty rachubą własnego mienia i pomnażaniem intrat znacznego majątku, mniej dbał o publiczne interesa. Zamiana miasta i fortecy Zamościa na ekonomie rządowe, przenoszące w dwójnasób wartość odstąpionej twierdzy, są tego dowodem. Zamiana ta, uczyniona za rządów cesarza Aleksandra I-go, oburzyła opinią publiczną. Pierwsze rozprawy miały z powodu tego miejsce na sejmie roku 1824, na którym poseł powiatu mariampolskiego, pan Godlewski, wezwał rząd ówcze-

sny, ażeby pomyślał także o wynagrodzeniu nieszczęśliwych mieszkańców Pragi, którzy dotąd nie pozyskali żadnego wsparcia po rzezi i spaleniu ich miasta przez Suwarowa, »o ile jeszcze fundusz jaki pozostał po hojności rządowej dla ordynata Zamoyskiego.«

Takie rozprawy nie posłużyły do pomnożenia wziętości rodziny hr. Zamoyskich, raczej zniechęciły do niej opinią publiczną, ale majątek ordynata wzmógł się, a w r. 1824-go już poczynano mniej dbać o opinią publiczną. Majątek ordynata Zamoyskiego zapewniał mu znaczenie pod każdym względem. Był dobrze widziany w Wiedniu, gdzie mieszkał aż do 1810 r. Gdy odpadła Galicya od państwa austryackiego skutkiem zawartego pokoju 1809 r. w Schoenbrunn, opuścił ordynat Zamoyski stolicę cesarstwa i przeprowadził się do Warszawy. Został mianowany wojewodą przez króla saskiego, a ks. warszawskiego. Darował natenczas wojsku kilka armat spiżowych i ofiarował potrzebne fundusze na umundurowanie pułku piechoty.

Gdy rewolucya wybuchnęła w r. 1830, udał się ordynat do Petersburga z najstarszym synem, a dzisiejszym ordynatem Inni synowie pozostali w kraju, wstąpili do wojska narodowego, w którym walczyli dzielnie. Generał Władysław Zamoyski trwa do dnia dzisiejszego w swem przywiązaniu do ojczystej sprawy i jest jednym z najznakomitszych członków emigracyi. Andrzej oddał się przedsiębiorstwu, przynoszącemu krajowi wielkie korzyści. Urządził żeglugę parową po rzekach polskich. Co zaś do Konstantego, najstarszego syna, a dzisiejszego ordynata jest to oryginał, mało z kim żyjący i w samej Warszawie mało znany. O innych synach p. Zamoyskiego, a miał ich pięciu, nic zupełnie nie wiem. Stary ordynat wyjechał po r. 1830 do Florencyi, oddawszy ordynacyą synowi Konstantemu, sam usunął się całkowicie i żył prywatnie w Italii aż do wybuchu rozruchów w całej Europie r. 1848. Po uśmierzeniu rewolucyi wszelkich przybył Zamoyski do Wiednia jako do centralnego punktu zasad średniowiecznych i tam zakończył życie w roku 1856-tym.

Całkiem inne było usposobienie hr. Zamoyskiej. Ta zacna pani wyssała z mlekiem macierzyńskiem ową miłość do kraju, którą przesiąkł ród Czartoryskich. Równie cnotliwa

jak piękna, zachowała przez cały bieg życia swego w wielkim świecie niezkazitelne dobre imię. Nikt nie mógł jej podejrzywać o najlżejsze naśladowanie prądów ówczesnych, a dobre jej imię nie było nigdy naruszone.

Małachowscy. Pac. Bieliński.

Rodzina Małachowskich, znana z przywiązania swego do ojczyzny, utwierdziła za czasów Ks. Warszawskiego sławę swego patryotyzmu. Niema przykładu w dziejach Polski, ażeby którykolwiek Małachowski zawinił ojczyznie. Po r. 1809 utworzył hr. Małachowski, dziedzic miasta Końskich i obszernych włości w województwie sandomierskiem, dwa szwadrony kirasyerów, jedynych w całem wojsku polskiem i odbył kampanią rosyjską na ich czele, podczas której dostał się do niewoli.

Powróciwszy do kraju po ukończonej wojnie, został wojewodą. Odtąd żył daleko od spraw publicznych w Końskich. Piękna jego córka Karolina poszła za pana Paca, generała adjutanta cesarza Napoleona, a następnie cesarza Aleksandra, któremu cesarz Mikołaj skonfiskował cały ogromny majątek za wzięcie udziału w rewolucyi polskiej 1830 r. Generał Pac udał się za granicę z jedynaczką córką, żonę już poprzednio utracił. Umarł w Smyrnie, córka powróciła do kraju pod opieką ciotki swej rodzonej, pani generałowej Niesiołowskiej majątku ojcowskiego jednak nie pozyskała z powrotem.

Wojewoda Piotr Bieliński dał przez cały ciąg długiego życia swego dowód nieugiętego usposobienia duszy. Synem szlachcica prostego, dziedzica wsi Widzim w Poznańskiem, na na pograniczu Śląska, nie odziedziczył znacznego majątku. Wojewoda miał brata, który umarł w Dreźnie kawalerem, i siostrę zamężną, za p. Jezierskim, dziedzicem dóbr Sobienie w Radomskiem, a późniejszego kasztelana za czasów Ks. Warszawskiego. Byli to rodzice owego Jana Jezierskiego, dzisiejszego koniuszego dworu, wielkiego faworyta cesarza Mikołaja. Po śmierci rodziców sprzedała rodzina Bielińskich dziedziczną wioskę swoją. Walery, młodszy brat Piotra, osiadł w Dreźnie, gdzie żył skromnie z szczupłych funduszów swoich. Piotr,

usposobienia przedsiębiorczego, rozpoczął znaczny handel rolą, na czem wiele zarobił, i kupił obszerne dobra Grodziec w Kaliskiem. Za czasów Rzeczypospolitej polskiej już zjednał sobie powszechne zaufanie, był posłem na sejm, a po wkroczeniu Francuzów do kraju powołali go współobywatele na członka rządu tymczasowego. Wydział finansowy został szczególnemu jego nadzorowi poruczony, zajął się nim z gorliwością. Ukończył obrachunki wierzytelności pruskich i podpisał imieniem rządu Ks. Warszawskiego konwencyą z gabinetem berlińskim, zawartą o wierzytelności rozmaitych zakładów pruskich w Ks. Warszawskiem. Mianowany wojewodą przez króla saskiego, a księcia warszawskiego, zasiadał Bieliński w senacie. Król, wynagradzając jego gorliwość, nadał mu tytuł hrabiowski. Po ogłoszeniu Polski kongresowej pozostał mąż ten zasłużony na stopniu swoim i należał do senatu królestwa. Opierał się stanowczo bezprawiom Nowosilcowa, ale nie mógł im położyć tamy. Wybrany na prezesa sądu sejmowego w roku 1823, mającego sądzić przestępców politycznych, obwinionych o spisek przeciwko monarsze, dał dowód niezachwianej prawości i odwagi. Żadne groźby, żadne obietnice, żadne intrygi stronników rosyjskich nie potrafiły go odwieść z drogi prawej. Napróżno starali się Nowosilcow, Wincenty Krasiński, Rautenstrauch, Rożniecki i inne figury rządowe nakłonić go do uczynienia zadość rządowi, który chciał koniecznie wyroku, potępiającego obwinionych; wojewoda Bieliński obstawał nieugięcie za prawem. «Jeżeli winni» odpowiadał, «mego syna rodzonego nie oszczędzę; jeżeli niewinni, żadna siła nie dokaże, abym ich potępił». Przyszło do głosowania, Krasiński, Rautenstrauch, Staś Potocki, Różniecki i Czarnecki byli za karą śmierci, wszyscy inni senatorowie uznali uwięzionych za niewinnych i zawyrokowali ich wypuszczenie na wolność. W. ks. Konstanty zatrzymał wszakże wojskowych w więzieniu; ci zostali wywiezieni na Sybir, cywilnych powrócono rodzicom. Całemu sądowi sejmowemu, tj. członkom, których głosy nie zgadzały się z wolą rządu, zabroniono opuszczać Warszawy, wojewoda Bieliński pozostał przez dwa lata w więzieniu tego rodzaju. W r. 1825 zapadł na zdrowiu — już nie powstał na nogi; umarł w marcu tegoż roku. Powsze-

chne współczucie całej ludności Warszawy, biorącej żywy udział w chorobie jego, musiało osłodzić ostatnie chwile sędziwego starca. Dom, w którym leżał, był formalnie oblężony przez publiczność, dowiadującą się o zdrowie wojewody. Cała Warszawa towarzyszyła zwłokom prawego Polaka w czasie obrzędu pogrzebowego. Pomimo zakazu władz towarzyszyły im uczniowie uniwersytetu, mnóstwo urzędników, cały senat i co tylko było osób znakomitych w stolicy, chociaż wiedziano, iż rząd niechętnem okiem patrzeć będzie na taką manifestacyą szacunku publicznego.

Wojna 1812 r. Przejście do wojska francuskiego. Opowiadanie pułkownika Przeździeckiego. Mordercy. Chłopi litewscy.

Przyszedł wreszcie i dla pułku naszego rozkaz udania się ku Niemnowi, jakoż wyruszył w pierwszych dniach maja na ową wiekopomną kampanią. Ja zostałem odkomenderowany do konwojowania z plutonem króla westfalskiego Hieronima Bonapartego, który się udawał do Modlina. Udało mi się u władz wyrobić sobie miejsce przy sztabie generała Grouchy, dowodzącego 4-tym korpusem jazdy wielkiego wojska. Korzystając z takiej sposobności, pozyskanej z powodu płynnego mówienia po francusku, podałem się natychmiast o przeniesienie do wojska francuskiego, wszakże tylko jako odkomenderowany z wojska polskiego. Jakież zatem było moje oburzenie, gdy mi nadeszło zupełne uwolnienie ze służby! Kurnatowski bowiem, korzystając z mojego podania i z nieobecności ks. Józefa, podał mnie na zasadzie prośby mojej na odkomenderowanie, po prostu do dymisyi.

Zastępca ministra wojny, generał Wielhorski, starzec niedołężny, ową dymisyą moją wygotować kazał. Brać uwolnienie ze służby w czasie przygotowującej się wojny jest to hańbą dla oficera. Poczułem żywo krzywdę, a że ks. Józef był pociągnął ku granicy, tak samo jak i korpus generała Grouchy, a pułk 5-ty zatrzymał się sam jeden z rozkazu wyższego w okolicy Węgrowa, nie pozostało mi nic innego do czynienia, jak udać się

czemprędzej do Warszawy i poszukać sposobności otrzymania nominacyi w wojsku francuskiem.

Pospieszyłem więc do hr. Zamoyskiej, wielce zawsze dla mnie łaskawej, opowiedzieć jej całe moje nieszczęście. Wyrobiła mi przez swoje wpływy rozkaz generała Dutaillis, gubernatora Warszawy, ze strony wojska francuskiego, ażebym się udał do sztabu generała Grouchy. Szkaradny postępek pułkownika Kurnatowskiego wpłynął nadzwyczajnie na późniejsze losy moje, ponieważ był przyczyną, że dostałem się do francuskiego wojska, chociaż nie przestałem należeć do polskiego. Jakoż ks. Józef, gdym mu się przedstawił w Dreźnie w roku następnym, wydał rozkaz, unieważniający moje uwolnienie ze służby polskiej, i nakazał mnie policzyć do korpusu oficerów nadkompletnych pod dowództwem generała Niesiołowskiego, ale o tem później.

Umundurowanie moje na nowo i zabiegi hr. Zamoyskiej, zanim pozyskałem nowe przeznaczenie moje, zatrzymały mnie w Warszawie do końca miesiąca czerwca. Byłem świadkiem otwarcia sejmu konfederacyjnego pod laską ks. Czartoryskiego, ojca ks. Adama, dzisiejszego wychodźcy z kraju. Byłem świadkiem owego pamiętnego posiedzenia sejmowego, na którem Królestwo Polskie w połączeniu z W. Ks. Litewskiem ogłoszonem zostało.

Trudny do opisania panował zapał natenczas pomiędzy posłami, w narodzie go nie było, ponieważ powszechne zniszczenie kraju było przyczyną obojętności. Trudno było unosić się nadzieją przyszłości szczęśliwej, będąc obecnie w nędzy. Było możliwem, że Polska powstanie, ale szlachta musiała iść żebrać po tylu ofiarach, a majątki nasze musiały przejść w inne ręce. Zapał zatem ograniczał się na posłach i małej liczbie świadków posiedzeń sejmowych, tam objawił sie świetnemi mowami i postanowieniami, których nigdy nie wykonano. Wysłano deputacyą do Wilna do cesarza Napoleona, mającego potwierdzić ogłoszenie połączenia Korony z Litwą i nadać nam króla. Napoleon ograniczył odpowiedź swą na ogólnikach, «Je verrai, si vous êtes dignes d'être une nation». Tymczasem urządził na Litwie rząd całkowicie odrębny, nie mający żadnej styczności z rządem polskim.

Wyruszyłem zatem w końcu czerwca z Warszawy, już jako oficer francuski, goniąc wielkie wojsko. Miły Boże, jakże sputoszony był cały kraj! Można było sądzić, że powtarzało się grasowanie Szwedów. Wsie opuszczone, okna wszystkie wytłuczone, część chałup porozbieranych, wszystkie ogrodzenia popalone, wnętrzności i skóry bydła pozabijanego rozrzucone po polach, szarpane przez gromady psów i drapieżnych ptaków, cała droga oznaczona padłymi końmi, których ścierwa nieznośnym zaduchem przepełniały powietrze, rzadko gdzie mieszkaniec, ukrywający się spiesznie na widok munduru wojskowego. Po miastach ludność, do szczętu zniszczona, zaledwo posiadała potrzebną żywność do utrzymania się do przyszłych żniw. Lud schorzały, noszący na twarzach piętno zobojętnienia całkowitego, po całej okolicy pełno maroderów, połączonych kupami, rabujących odległe wsie od traktu, kościoły zrabowane, stojące otworem, a służące wiele razy jako stajnie — taki był obraz całego kraju, począwszy od Warszawy aż do Wilna, a od Wilna aż do samej Moskwy.

Ja z swej strony upatruję sprawiedliwą karę Boską w klęsce wojska Napoleona, które nie uległo pod orężem Rosyan, ale sam Bóg, zesyłając niesłychane mrozy na nas, przemienił groźne zastępy na zgrają żebraków. Kto nie był świadkiem powszechnego rabunku kraju, kto nie patrzał na bezprawia, poczynione w owym czasie, na znieważanie świątyń Pańskich, na dopuszczanie się wszelkich zbrodni przez maroderów, ten nie może sobie wystawić tego, co się działo w czasie kampanii rosyjskiej. Napoleon usiłował napróżno zapobiedz złemu, nie było magazynów, żołnierz chciał jeść, koń musiał dostać żywność, wysyłano zatem po furaże i strawę dla wojska po okolicy, a połowa wysłanych żołnierzy nie powracała, przekładając rabunek na własny rachunek nad pełnienie służby, dzielenie z kolegami trudów wojennych i narażanie codziennie życia. Z tej przyczyny utworzyło się po Polsce i w Litwie wiele band rozbójniczych, złożonych z maroderów, przeciwko którym musiano wreszcie wysyłać komendy wojska, które z nimi formalne walki toczyły. Marszałek Davoust, stojąc w Mińsku na Litwie, przez czas niejaki kazał do 2000 takich maroderów wystrzelać za wyrokami sądów wojennych.

Spodziewając się większej wygody w drodze, zboczyłem z traktu wojskowego, przekroczyłem granicę Litwy pod Świsłoczą, a, obrawszy trakt na puszczę Białowiejską, zdążałem sam jeden z służącym ku Wilnu. Okolice, przez które jechałem, wcale nie były zniszczone, tam żaden maroder jeszcze się nie znalazł. Wszędzie przyjmowano mnie z największą gościnnością, nie zbywało mi na niczem tak dla siebie jak i dla koni. Powiadano mi, że Rosyanie ustępowali ciągle przed Francuzami, unikając bitwy starannie, po dworach szlacheckich, do których wstępowałem, opowiadano o zapuszczeniu się Napoleona aż pod Połock, dowiedziałem się także o klęsce naszej konnicy, dowodzonej przez Rożnieckiego pod Mirem. Obok ogólnej radości wydobycia się z pod jarzma rosyjskiego panowała wielka obawa przed maroderami, o których bezprawiach chodziły ciągle wieści zatrważające. Radziłem obywatelom uzbroić się należycie, uformować rodzaj straży bezpieczeństwa i siłę odpierać siłą aż do oczekiwanej organizacyi kraju i policyi. Zatrzymałem się przez kilka dni w Wilnie, chcąc obejrzeć osobliwości miasta i powziąć wiadomość o kierunku, w którym się udał generał Grouchy.

Będąc w stołecznem mieście Litwy, nie zaniechałem obejrzeć wszystkich pamiątek narodowych, wszakże mało ich w grodzie Gedymina. Ostrabrama celuje przed wszystkiemi innemi. Jest to Częstochowa Litwy; tu modlił się kiedyś ów typ narodowy, książę Radziwiłł (Panie kochanku). Był to pan nabożny w swoim rodzaju, pełno w Wilnie krąży o nim anegdot, pamiętniki rozmaite o nim wspominają. Byłem także w kościele katedralnym, nie ma w nim pamiątek przeszłości, ale jest kilka dobrych obrazów Smuglewicza.

Pokazywano mi miejsce, gdzie stały zamki książąt litewskich, dolny i górny; dzisiaj inne zabudowania tam stoją. Rosyanie starają się o zagładę pamiątek narodowych.

Będąc w gmachu uniwersyteckim, poszedłem z wizytą do magnificencyi, pana Śniadeckiego, który był tyle łaskaw, że mi osobiście towarzyszył do obserwatoryum. Pan Śniadecki, znakomity astronom, znany w całej Europie, pracuje z wielkiem zamiłowaniem w tej gałęzi nauki.

Most na rzece Wilii ściągnął moją uwagę pod względem malowniczego krajobrazu, odsłaniającego się z niego na bieg rzeki, jako też pod względem budowy swej.

Góry ponarskie mogłyby być przeistoczone na piękne miejsce przechadzek dla ludności miejskiej, gdyby dołożono pracy i starania, ale za mego tam pobytu nic zgoła nie przedsięwzięto w tym celu. Zresztą wydawało mi się Wilno drugą Jerozolimą dla roju żydowskiego w tem mieście, plugawiącego każdą ulicę. Żydzi nam nie sprzyjali, jednakże z nas korzystali po żydowsku. Jakoż nadzwyczajne zyski ciągnęli z Francuzów, których przy odwrocie naszym wyrzucali oknami i wyrzynali, gdy, na wpół zmarznięci, leżeli w ich pomieszkaniach.

Świeżo mianowany pułkownikiem nowo formującego się pułku na Litwie pan Przeździecki, z którym zawarłem znajomość, opowiadał mi później okoliczności wtargnięcia Napoleona w granice państwa rosyjskiego, jak następuje:

«Cesarz Aleksander przybył do Wilna w miesiącu maju; wojsko jego zajmowało całą Litwę, nie było wsi, w którejby jakiś oddział nie był, a świeże pułki ciągle przybywały. Beningsen był głównodowodzącym. Powszechne było mniemanie, że lada dzień zajmie Księstwo Warszawskie aż po Wisłę, wszakże inaczej się stało. Wojsko nie poruszało się, policya tem czynniejszą była. Hertel, policmajster przy sztabie głównym, wysyłał w głąb kraju albo na Sybir każdego podejrzanego.»

«W Wilnie bawiono się doskonale, jeden bal następował po drugim, uczty, wieczory tańcujące, spacery powozami, wszystko jednem słowem, co potrafiło wzbudzić wesołość, było przedsięwziętem.»

«Wojsko zachowywało się w największej karności; wszelkie artykuły rekwirowane płacono gotówką. Cesarz bywał na wszyskich zabawach, widocznie szukał popularności, a przyznać trzeba, że ją pozyskał; wszakże mu szkodziła srogość oberpolicmajstra Hertla, człowieka chytrego i krwi łaknącego. Cichaczem sprzątał jednego obywatela po drugim, skoro powziął podejrzenie o przychylność dla Polaków. Bardzo wiele osób zniknęło w ten sposób, nikt nie wie, gdzie się podziały. Kto był przezorny, a nie ufał sobie, ten umykał zawczasu albo się ukrywał po lasach niedostępnych, aż się doczekał przybycia

Francuzów. Wszystkie majątki takich obywateli zostały przez wojsko zrabowane. Co było ludności, zdatnej do wojska, zostało zabrane w rekruty bez wyjątku.»

»My wyglądaliśmy z niecierpliwością rozpoczęcia wojny, pełni ufności, że Napoleon zniszczy jednym zamachem wojsko rosyjskie. Taki był stan rzeczy do połowy czerwca. Pewnej nocy w czasie balu, dawanego przez generałową Beningsen, rodowitą Polkę, zameldowano cesarzowi Aleksandrowi, który był wyjątkowo wesoły i nadzwyczajnie wiele tańczył, że oficer przybył z nad Niemna. Przez nikogo nie spostrzeżony, wymknął się cesarz z sali, polecając, ażeby zabawy nie przerywano, jakoż tańczono do białego dnia. Cesarz Aleksander już był wyjechał ku Witebskowi, gdy poczęto opuszczać bal. Ciekawość i niepokój ogarnęły wszystkich, widzących gwardye, uszykowane po ulicach, czekające na rozkaz wymarszu. Oficerowie, którzy dopiero co tańczyli, biegli co żywo do kwater, by się przebrać i stanąć na swojem miejscu. Wszystko odbywało się cicho, obywatele wileńscy spali jeszcze po części, gdy wojsko opuszczało Wilno.«

«Nie jestem w stanie opisać uniesienia naszego na widok proporców i lanc ułanów polskich; przyjmowaliśmy wojsko Napoleona jako oswobodziciela po długiej niewoli. Widok orłów polskich, komenda w języku narodowym, witanie wielu Litwinów, już zaciągniętych pod znaki ojczyste, posunęły nasz zapał do najwyższego stopnia. Żydzi jedynie nam nie sprzyjali. Ten wierutny trąd polskiego narodu żałował Moskali dla szachrajstwa ustawicznego, w którem się znajdował z urzędnikami; dla tego stali się szpiegami rosyjskimi, donosili nieprzyjacielom o każdym ruchu Francuzów. Wielu szpiegów takich schwytano i rozstrzelano, mam jednak przekonanie, że nie zaprzestali swego rzemiosła.«

»W 24 godzinach po wkroczeniu francuskiego wojska do Wilna przybył cesarz Napoleon na czele pysznej starej gwardyi. Obok naszego uniesienia panowała powszechna ciekawość oglądania bohatera wieku bieżącego. Cesarz siedział na białym jak mleko koniu, sam był w szaraczkowym surducie swoim, który, rozpięty, pozwalał dojrzeć mundur szaserów gwardyi i gwiazdę legii honorowej na nim. Nosił mały kapelusz bez

jakiejkolwiek ozdoby z kokardą francuską, spodnie i kamizelkę białe, buty, sięgające po za kolana. Zdawał się być ponury, a raczej zamyślony. Wielką różnicę usposobienia i powierzchowności zauważyłem pomiędzy cesarzem Napoleonem a carem Aleksandrem; pierwszy robił wrażenie człowieka zimnego i odstręczającego od siebie, drugi był rozmowny, uprzejmy, przyjaciecielski. Otaczające osoby chwalą każda swego monarchę; co do mnie, to wyznaję, że byłbym się z większą śmiałością zbliżył do cesarza Aleksandra aniżeli do Napoleona.«

„W kilka dni po przybyciu cesarza Francuzów do Wilna już nas poczęły dochodzić wieści o niesłychanym rabunku całego kraju i o bezprawiach wszelkiego rodzaju, których się wkraczające wojska dopuszczały. Wilno przepełniło się wnet uchodzącymi z prowincyi obywatelami i przyszło nam żałować wzorowej karności wojska rosyjskiego.«

»Cesarz Napoleon usiłował na wszelki sposób złemu zapobiedz, wymierzano surowe kary na maroderów, rozstrzeliwano ich bez miłosierdzia. To wszystko nic nie pomogło przy wojsku, posuwającem się w kraj bez magazynów. Jak tylko żołnierz żywności nie pobiera, a znajduje się w konieczności pomyślenia sam o sobie, niepodobno, aby się obyło bez rabunku.«

«Przeprawa przez Niemen uskutecznioną została w sposób następujący: Uszykowano na wzgórzu bateryą, z 20 dział złożoną, która trzymała w oddaleniu Kozaków, 2 szwadrony weszły w rzekę tak daleko, jak tylko się dało, i stanęły naprzeciw prądowi wody, który to prąd złamały, a 8 pułków konnych przepłynęło Niemen. Przy tej przeprawie utonęło tylko dwóch żołnierzy, których woda z koni zsadziła.»

Takie było opowiadanie pułkownika Przeździeckiego. Z jego opowiadania przekonałem się, że owe maroderstwo wojska francuskiego pomnażało się z każdym dniem i musiało bezwarunkowo zgubnie wpłynąć na życzliwość wobec nas Litwinów, a nie tylko kraj cierpiał na niem, ale nawet wojsko widziało się pozbawione zasobów wszelkiego rodzaju. Jakoż nie były okolice porabowane w stanie dostarczyć żywności.

Wyszedł rozkaz od sztabu głównego utworzenia kolumn ruchomych, mających działać przeciwko maroderom, gdzie tylko ich znajdą. Każdy maroder schwytany, jeżeli przy nim zrabo-

Szkoła Strzelania Artylerii Litomierzyce

wane rzeczy znaleziono, zostawał rozstrzelany Kilka tysięcy takich rabusiów zginęło tym sposobem. Całkowity niedostatek obroków wpływał zgubnie na konie wojska francuskiego, większa połowa padła, zanim wojsko dostało się nad Dniepr.

Cesarz Napoleon zabawił w Wilnie tydzień cały, gdzie zajął się tymczasowem ustanowieniem rządu dla Litwy. Krok ten osłabił nadzwyczajnie zapał narodu, który pragnął połączenia z Polską, a widział się postawionym w koleje niepewności. Litwini głośno domagali się przyłączenia do Polski, posłowie, wysłani od sejmu w Warszawie, prosili Napoleona o połączenie dwóch narodów, uważających się za jedno ciało. Wszakże cesarz Francuzów inaczej osądził i poruczył ks. Bassano (Maret) rządy Litwy. Znalazło się wielu obywateli, którzy skutkiem tego postanowienia zaczęli sprzyjać rosyjskiej sprawie. Jasny był dowód osłabionego ducha życzliwości ku nam w organizacyi wojska litewskiego, które nie zdołało się zebrać przez cały czas okupacyi Litwy przez Francuzów. Z całego zaś sposobu postępowania zastępów Napoleona wnosić było można, że owe ogromne wojsko pójdzie w rozprzężenie rychlej lub później. Żadnej karności nie zachowywano w niem, żołnierz bił się wprawdzie walecznie, ale po walce działał, jak mu było dogodnem, zaledwo słuchał własnego oficera, a na oficera, nie należącego do pułku, w którym służył, gotów był się rzucić z bronią. Wielu generałów nie wypełniało rozkazów odebranych jak np. król westfalski (Hieronim, brat Napoleona). Ten wypuścił korpus ks. Bagrationa z powodu opieszałości w wykonaniu ruchów mu poleconych. Napoleon nie był już owym czynnym generałem z dawnych lat, już się dał unieść nałogom panujących, nie dopilnował osobiście wielu rzeczy, ale zdawał je na otaczających dygnitarzy. Ociężał, a lubo geniusz jego zapewniał mu przewagę w bitwach, generałowie z pierwszych lat uważali, że nie był już tym samym, co w czasie walk w Italii.

Dowiedziałem się wreszcie od gubernatora Wilna, generała Hoyendorpha, że korpus generała Grouchy stoi w okolicach Borysowa. Wziąwszy zatem kartę drożną, pospieszyłem do Mińska, nie tracąc czasu. Od Wilna do samego Mińska nie napotkałem żadnego wieśniaka, wszystkie wsie stały pustkami,

a wszędzie widziałem ślady rabunku i spustoszenia, nawet znaki krwi, pozostałe na wielu domach, zdradzały morderstwa, towarzyszące rabunkowi. Po miastach znajdowała się ludność, żyjąca pod opieką komendantów placów i żandarmeryi. Żydzi, zawsze przebiegli, potrafili dostarczać za drogie pieniądze nieco żywności i trunków. Chcąc koniom dać wytchnąć, wstąpiłem, jadąc z Oszmiany ku Mińskowi, do porządnego, ale całkowicie opuszczonego dworu szlacheckiego. Wszystkie okna stały w nim otworem, meble w nieładzie, komody otworzone, zamki powyłamywane, rozmaite sprzęty porozrzucane przedstawiały smutny widok następstw wojny. Po meblach eleganckich, woskowanych posadzkach, całem rozporządzeniu domu domyśleć się było można, że należał do zamożnego obywatela, mającego wykształcenie i gust wygórowany. W salonie wisiał portret Ludwika XVI, króla Francyi, w ramach wyzłacanych. Pod wizerunkiem nieszczęśliwego króla stał następujący napis: «L'infortuné Louis XVI, roi de France et de Navarre, décapité par ses propres sujets le 21 janvier 1792, le seul resté de la fortune du duc de Choiseuil.»

Znajdowałem się zatem w domu ks. de Choiseul, później małżonka panny Tyzenhaus, która się przedstawiła cesarzowi Napoleonowi z cyfrą cesarzowej rosyjskiej jako freylina dworu, a autorki pamiętników, gdzie tyle mówi o cesarzu Aleksandrze I. Książę de Choiseul osiadł na Litwie, opuściwszy Francyą, otrzymał majątek niewielki od szczodrobliwego cesarza Pawła, tam żył spokojnie, zachowując wierność upadłej dynastyi Burbonów. Łotry nie uszanowali nawet pamiątki, jemu drogiej, portretu króla Ludwika XVI, znalazł się ktoś, co pomazał ogromne wąsy na tym wizerunku.

Przyodziewek prostego ludu w tej części Litwy nie był podobny do ubioru chłopów polskich i nie miał także nic wspólnego z kaftanem rosyjskim. Chłop miał głowę podgoloną, oprócz warkocza, pozostawionego na środku czaszki, nosił siwą sukmanę, ściśniętą pasem rzemiennym nad biodrami, miał spodnie płócienne, a na nogach łapcie z łyka lipowego. W mowie zatrącał lud wiele wyrazów rosyjskich i trudno było mi go zrozumieć. Zabudowania wiejskie były o wiele lepsze od naszych, ale chaty mieszkalne wszystkie bez kominów, dym

wchodził do izby z wielkiego pieca, zajmującego jedną ósmą część izby mieszkalnej, a wychodził z niej na dwór oknami i drzwiami. Szyb nie było w oknach, lecz dziura, pozostawiona w ścianie, która się zamykała kawałem bala, trzymającego się ściany grubym sierdzieniem drewnianym, wpuszczonym w środek bala tego przez środek i w ścianę Był to rodzaj kołowrotu, jaki widuje się przy wjeździe do wsi naszych. Oczywiście wszystkie izby okopcone i czarne w chatach chłopskich, ale ciepłe i suche, ponieważ dym nie dopuszczał wilgoci. Widziałem na całej Litwie tak nazwane przedpłoty. Są to wysokie sosny, wkopane w ziemię, jedna o tyle odległa od drugiej, że żerdzie dotykają końcami swoimi dwóch drzew takich; na tych żerdziach, wpuszczonych w owe sosny, zawieszają wieśniacy zboże, wilgotnie sprzątnięte, aby wiatrem wyschło. Taka manipulacya w tym wilgotnym kraju zdaje się być nieodzownie potrzebną. W głębszej Rosyi mają chłopi w każdej stodole piece do wysuszania zboża. Po lasach rozległych, otaczających Mińsk, napotykałem na wiele barci, wysoko wyrąbanych w sosnach. Pod każdą barcią był rodzaj stołu, z trzosków łupanych spleciony, który, jak mi powiadano, zabezpieczał je od napaści niedźwiedzi, bardzo licznych w tych okolicach.

Mińsk jest porządnem miastem, mającem rynek murowanemi kamienicami okolony. Mieści w sobie kilka klasztorów, kilka cerkwi prawosławnych i unickich. Tu siedlisko gubernatora i rozmaitych dykasteryów jako w mieście gubernalnem. Po za Mińskiem zaczynała przeważać w owym czasie już religia grecko-schizmatycka czyli prawosławna, według wyrażania się Rosyan, mniej już było kościołów unicko-greckich, a cerkwie prawosławne przeważać poczęły. Spotrzegałem także, począwszy od tego miasta, większą zamożność ludu wiejskiego, wygodniejsze zabudowania wiejskie, mianowicie od Tołoczyna, widziałem już po okolicach wiele murowanych pałacy i cerkwie, wszystkie kryte blachą zieloną, pokostowaną, co nadawało wiele uroku krajobrazowi. Przebyłem drogę od Mińska do Borysowa nieomal jednym lasem. Tu wyraźne siedlisko niedźwiedzi, podobno się je napotyka częstokroć na samym trakcie. Borysów leży nad Berezyną nieszczęśliwej pamięci. Począwszy od tego miasta, już gościniec obsadzony z każdej strony dwoma rzędami

pięknych brzóz, odtąd znikają żydzi, przebiegłość rosyjskiego chłopa nie dopuszcza szachrajskich zysków żydowskich, dla tego nie osiedlają się w Rosyi. Ile zauważyłem, znajduje się chłop litewski na najniższym szczeblu cywilizacyi europejskiej, a byt jego daleko nędzniejszy od bytu niewolników murzynów. Nosi na twarzy swojej wyraźne piętno cierpienia i obawy, nie zna wesołości, kryje się przed widokiem możnych tego świata, a mianowicie przed widokiem pana swego. Poniewierany przez każdego, czuje swą niedolę od urodzenia. Miałem sposobność poznania usposobienia chłopów litewskich, pozostawszy w Wilnie parę tygodni przy odwrocie naszym z tej kampanii i byłem świadkiem, jak dalece są poniewierani od wszystkich, a mianowicie od żydów litewskich; dla tego stanowią chłopi osobną klasę społeczeństwa, tchnącą nieprzyjaźnią do innych. Chłop litewski rodzi się, żyje i umiera w uczuciu swej nędzy, gorzej traktowany od bydła, nie ma żadnej ulgi przez całe życie swoje, częstokroć karmi go pan wywarem z gorzelni i zaprząga go do woza, gdy inwentarz ciężaru z błota nie może wyciągnąć.

Gdzie rozsądnych swobód i wolności nie dostaje, tam utraca człowiek uczucie godności, a spodlona rasa puszcza się bez namysłu na bezdroża zbrodni, będąc przy tem bojaźliwą, chytrą i nikczemną. Wszędzie, gdzie powszechna niewola umysłu wchodzi w systemat rządzenia narodem, gdzie utrzymywanie ciemnoty w ludach głównym celem rządu, tam podobne skutki są widoczne.

Przygoda w Borysowie. Grouchy. Chastel. Bitwa pod Krasnem.

Aż do Mińska nikt nie mógł mnie objaśnić, gdzie znajduje się czwarty korpus konnicy pod dowództwem generała Grouchy, dopiero powiedział mi plackomendant tego miasta, że się przeprawił przed czterema dniami przez Berezynę pod Borysowem. Nie tracąc zatem czasu, pospieszyłem do mego przeznaczenia. Gdym stanął w Borysowie dnia 9 sierpnia, powiedziano mi, że korpus kawaleryi przechodził przez Tołoczyn przed dwoma dniami, nawet znajdował się w Borysowie oddział dragonów, nale-

żący do korpusu tego. Byłem 10-go w Tołoczynie, gdzie mi plac-komendant nie chciał dać kwatery pod pozorem, że miasto zrabowane nie może ciężarów ponosić, posłałem zatem służącego mojego z końmi wierzchowymi naprzód, a sam pozostałem w mieście dla posilenia się cokolwiek w oberży. Tu mnie smutna przygoda spotkała: służący zniknął z końmi, już go odtąd nie widziałem więcej. Przybyłem zatem dnia 11 sierpnia na wóziku o jednym koniu do kwatery generała Grouchy, stojącego biwakiem za Dnieprem, w bliskości miasta Orszy. Przyjęty dobrze od generała, zostałem przeznaczony na oficera przybocznego w sztabie generała Chastel, dowodzącego dywizyą lekkiej jazdy w tym korpusie. Generał Lahoussaye dowodził dywizyą dragonów, także pod rozkazami generała Grouchy.

Grouchy pochodził z rodziny, należącej do dawnej szlachty francuskiej, jego powierzchność oznaczała dworaka i człowieka dobrego tonu, otaczał się synami pierwszych rodzin francuskich, jego adjutantami byli pp. Soubise, La Rochefoucauld, Turenne i inni, równie dobrze urodzeni, szefem sztabu był pułkownik de Jumillac, Francuz nadzwyczajnie otyły, który w tej męczącej kampanii odparzył sobie brzuch o przód siodła i odtąd w powozie odbywał pochody. Ponieważ po biwakach zawsze zachowywano w sztabie generała Grouchy obyczaje salonowe, żadnego grubiaństwa nie słyszano, wszędzie doznawałem względów, a koledzy żyli pomiędzy sobą w przyjaźni jak najserdeczniejszej.

Inaczej się działo przy boku generała Chastel. Był to człowiek, pochodzący z niskiego stanu. Przybył do Paryża z Sabaudyi za czasów Ludwika XVI jako wyrobnik, których mnóstwo przybywa zawsze z owych okolic do stolicy Francyi, gdzie powszechnie znani są pod nazwą «Savoyards», przepędzają tam wiek młody, a, uzbierawszy cokolwiek grosza, powracają na starość w góry swoje. Otóż należał generał Chastel do owych Savoyardów, wstąpił w czasie rewolucyi do wojska francuskiego jako prosty żołnierz, przeszedł wszystkie stopnie aż do generała dywizyi, był z Napoleonem w Italii, w Egipcie i w Niemczech, dopiero co przybywał z Hiszpanii, a teraz dowodził dywizyą lekkiej jazdy, złożoną z dwóch pułków huzarów i z dwóch pułków strzelców konnych. Chastel był wprawdzie dobrym żołnierzem nieustraszonego męstwa, biegły w sztuce wojennej,

ale był nad wszelkie wyobrażenie grubianinem i nieznośnego usposobienia umysłu. Adjutanci i cały jego sztab były to nad wyraz nieszczęśliwe istoty; wszystkich nas dręczył służbą, wcale nam nie właściwą, a nie było wypadku, żeby mu ktokolwiek dogodził. Wyniesiony z gminu na generała dywizyi, znajdował upodobanie w tem, gdy mógł paniczów dręczyć, nazywał ich: «le pain blanc», ale był ojcem prostego żołnierza, jego dywizya była zawsze zaopatrzona w żywność, a nawet udzielał niekiedy furażu do sztabu generała Grouchy. Szczęściem umiałem dobrze grać w szachy, generał Chastel był namiętnym lubownikiem tej gry. Gdy przegrał kilka partyi ze mną, pozyskałem względy jego, nie postępował ze mną jak z innymi sztabowymi oficerami, ale trzymał przy sobie i w każdym dogodnym czasie siadał do gry.

Pierwszem mojem zatrudnieniem było nabyć konia wierzchowego; sprzedał mi go kapitan z pułku konnicy bawarskiej. Zapłaciwszy konia, pozostałem bez grosza, wszakże mniejsza o to, czegoż mi było bowiem potrzeba na linii bojowej, w kraju, gdzie mieszkańca nigdzie nie napotykano? Tu wypadało się odznaczyć lub zginąć z chwałą.

Gdym przybył do sztabu generała Chastel, odpoczywało wojsko po trudach marszu dalekiego. Napoleon znajdował się w Witebsku, marszałek Macdonald, (książe Tarentu) rozpoczął oblężenie Rygi, ks. Schwarzenberg na czele posiłkowego korpusu austryackiego i dywizyi saskiej pod dowództwem generała Régnier manewrował w okolicach Pińska przeciwko korpusowi Czyczagowa, przybywającego z Wołoszczyzny. Dąbrowski trzymał w oblężeniu Bobrujsk, Dynaburg był już w posiadaniu naszem, korpus marszałka Neya i konnica generała Grouchy znajdowały się nad Dnieprem o dwa dni od Smoleńska.

Ile mi znana strategia, sądzę, że Napoleon powinien się był zatrzymać w dalszem posuwaniu wojska swego w głąb Rosyi, a, wysławszy wojsko polskie na Wołyń i Ukrainę, zrewolucyonować prowincye, odpadłe od Polski. W takim razie byłby powinien po zajęciu Smoleńska zatrzymać wojsko swoje nad Dnieprem i Dźwiną aż do następnego roku. Ukraina byłaby dostarczyła koni dla kawaleryi francuskiej, których jej całkiem nie dostawało, wojsko polskie byłoby się pomnożyło

zaciąganymi z prowincyi, odebranych nieprzyjacielowi, wojska wszystkie byłyby zaopatrzone w żywność, a, wypocząwszy i przywróciwszy porządek w pułkach i w kraju zawojowanym, mógł cesarz rozpocząć nową kampanią od brzegów powyższych dwóch rzek. Jestem przekonany, że w takim razie byłby cesarz Aleksander zażądał pokoju, nie chcąc wystawić kraje swoje na losy wojny. Niestety, stało się inaczej, snać Opatrzność chciała położyć koniec powodzeniu Napoleona i ukarać dumę jego, wzrastającą codziennie. Napoleon w zaufaniu w szczęście swoje nie słuchał rady swoich generałów, których zdaniem było zatrzymać się nad owemi rzekami, sądził, że zwalczy upór gabinetu rosyjskiego, opanowawszy Moskwę. Gorżko opłacił swój upór.

Dnia 14 sierpnia przebyliśmy ze świtem Dniepr brodem i korpus nasz zajął Orszę, małe miasteczko, w którem się znajduje piękny klasztór pojezuicki. Zgromadził się w Orszy cały korpus nasz i dywizya piechoty generała Moreau, należąca do korpusu maszałka Davousta. Ks. Bagration dowodził tylko strażą rosyjską. Widziałem wojsko jego cofające się w największym porządku, roje Kozaków snuły się po całej okolicy, wrzask ich rozlegał się wszędzie, ale ostrożni, jak zwykle, nie zbliżali się pod strzał armat naszych. Konie francuskie były zbyt wycieńczone, ażeby można było z nimi harcować. Zdaje się, że wrzask należy do sztuki wojennej Kozaków, niema ruchu, w którym by nie krzyczeli. Generał Chastel porównywał ich do Beduinów w czasie wojny w Egipcie. Korpusy marszałków Neya i Davousta połączyły się z nami w Orszy, nad wieczorem przybyła gwardya i cesarz. Wojsko ruszyło pod Krasne. Pod miastem tem wojsko nieprzyjacielskie rozciągnęło się. Dnia 15 poszły cztery bataliony dywizyi Moreau do szturmu na pozycye nieprzyjaciela. W życiu swojem nie widziałem nic tyle zajmującego. Wielka równina w oddaleniu miasta Krasne, po za płotami tyralierzy nieprzyjacielscy, za miastem na wzgórzach jakie 60 000 Rosyan rozwiniętych, nasze zastępy nadchodzące jak czarna fala od zachodu, korpus nasz na samym przodku. Tu się wysuwają cztery bataliony z muzyką na czele, my stanęliśmy, muzyka doprowadza wojsko pod strzał armatni, dobosze biją do szturmu, jeden okrzyk: «Vive l'empereur et en

avant!» rozciąga się po całej linii, ogień karabinowy wszczyna się żwawo. Nie trwało kwadransu, a miasto było w ręku naszem. Wtem przybywa marszałek Ney do generała Grouchy, żądając, ażeby obszedł miasto i uderzył na cofające się rosyjskie zastępy. «On ne peut pousser nulle part», odpowiada generał. Jakoż kazał wszędzie szukać brodu przez rzeczkę błotnistą, ale nigdzie go nie znalazł: «On ne peut pas, quand on ne veut pas!», odpowiedział marszałek, zwracając konia. Słyszałem tę rozmowę. Generał Grouchy, dotknięty do żywego, rozkazuje generałowi Chastel, ażeby się przeprawił bądź co bądź przez rzekę. Chastel rozkazuje mi poszukać miejsca dogodnego do przeprawy, ale wszędzie topiele, znajduję wreszcie młyn, gdzie mały most prowadzi na drugi brzeg rzeki. Cała dywizya przeprawia się przez niego po koniu jednym. Jak tylko się przeprawiła brygada huzarów generała Daumangès, uszykowała się natychmiast i natarła na nieprzyjaciela, nie spodziewającego się zaczepki z owej strony, dwa bataliony rosyjskie dostały się skutkiem obrotu tego do niewoli. Tymczasem przybywała już w asekuracyi druga brygada, dowodzona przez generała Vaudzin.

Generał Lahoussaye obszedł miasto z drugiej strony z dywizyą dragonów. Jemu się lepiej powiodło, bo zabrał kilka tysięcy niewolnika i 20 armat nieprzyjacielowi. Doświadczyłem w tym dniu, ile może człowiek wypić, będąc w ogniu. Strzelec konny ofiarował mi garncową butelkę okowity w czasie przeprawiania się naszego przez rzekę, piłem z niej jak wodę, nie doznawszy żadnego zawrotu głowy; ogień i nacieranie na bataliony, w czworobok uszykowane, wyparowały działanie spirytusu. Dzisiaj nie odważyłbym się wypić kieliszka jednego takiej okowity.

Pomimo spędzenia nieprzyjaciela z pozycyi i zabrania kilku tysięcy niewolnika, cofnął się w groźnej postawie i nie okazywał żadnej demoralizacyi, widocznem było, że się cofał skutkiem odebranych rozkazów, bynajmniej jako zwalczony. Przy nacieraniu konnicy widziałem kilka batalionów rosyjskich upadających na ziemię, nie broniących się wcale. Jazda, sądząc, że się poddały, mijała ich, szykując się na inne wojsko, natenczas podnosiły się, a żołnierze pominięci dawali ognia do naszych. Nieład powstawał w pułku huzarów, wziętych pomiędzy dwa

ognie w ten zdradziecki sposób, ale brygada strzelców konnych, przybywajaca w tej chwili na plac boju, wpadła na chytrych i zdradzieckich Moskali i co do jednego zakłuła. Obydwie dywizye nasze nabrały dnia tego do 4000 niewolnika i 12 armat; gdyby konie nasze nie były zniszczone, osiągnięto by daleko większe jeszcze korzyści.

Kozacy. Chłopi. Bitwa pod Smoleńskiem. Generał Grabowski. Krukowiecki.

Kozaki odegrali główną rolę w całej tej kampanii, wojsko rosyjskie cofało się zawsze aż do Moskwy i oprócz kilku bitew walnych nigdzie się nie mierzyło z nami, ale Kozaki niepokoili nas dniem i nocą. Żołnierze nasi chętnie by się byli z nimi zmierzyli, wszakże lichy stan ich koni do tego nie dopuszczał, dla tego zakazano im surowo poczynanie harców. Nasza konnica maszerowała ciągle w ściśniętej kolumnie, a Kozaki uwijali się o jakie sto kroków przed nami. Rzadko kiedy wysunął się pluton francuski naprzeciw nim, w całej wojnie nie było przykładu, ażeby się Kozak dostał do niewoli.

Rabunek był pospolitą rzeczą w kraju, opuszczonym przez mieszkańców; generałowie patrzyli nań okiem obojętnem. Cerkwi nie szanowano, owszem popełniano w nich świętokradztwa, a takie postępowanie rozjątrzyło do najwyższego stopnia przeciwko nam zabobonną ludność. Niezawodnie chłopi rosyjscy byli by przeciwko panom swoim powstali, gdyby szanowaną była ich wiara, ale, widząc, co się dzieje, gromadzili się po lasach, z których wypadali na pojedyńczych żołnierzy i mordowali nielitościwie. Popy z swej strony, oddani całkowicie rządowi, zapowiadali powszechną krucyatę przeciwko bezbożnym Francuzom, przybywającym dla zagłady prawosławnej wiary. Okrucieństwa, popełnione na naszych żołnierzach przy odwrocie naszym, odnosić można do obudzonego fanatyzmu ludności z winy niekarności wojska.

Dnia 15 sierpnia posunęło się wojsko pod Smoleńsk. Nasz korpus, idący w przedniej straży, stanął naokoło pięknego, murowanego pałacu hr. Raczyńskiego, snać potomka dawnej

polskiej rodziny, z czasu, gdy ten kraj należał jeszcze do Litwy. Znaleźliśmy w śpichlerzu znaczny zapas owsa, co było nieoszacowanym skarbem dla koni naszych. Odebrano rozkaz późno wieczorem posunięcia się pod Smoleńsk, a główna kwatera cesarska stanęła w pałacu. Cały dzień następny stał korpus nasz nieczynnie pod Smoleńskiem, którego wieże na widnokręgu widziano już. Rozmaite korpusy zajmowały stanowiska, im naznaczone. Przystęp do miasta był zarośnięty gęstymi krzakami, w których się jegry rosyjscy ukrywali i do naszych ognia dawali. Wnet ryknęły armaty z murów miasta, a gęste kłęby dymu uniosły się ponad Smoleńskiem. Nasze działa nie odpowiadały im, wojsko maszerowało w milczeniu; oficerowie z głównego sztabu prowadzili każdą dywizyą na miejsce właściwe. Korpus polski, dowodzony przez księcia Józefa, zajął pozycyą nad Dnieprem na prawem skrzydle korpusu marszałka Neya i oparł się o tę rzekę na lewem skrzydle. Davoust stał w środku z swoim korpusem. Gwardya rozłożyła się w asekuracyi pod wsią Iwernowskiem; korpus włoski pod dowództwem wicekróla Eugeniusza stanął w drugiej linii. Konnica spuściła się do głębokiego wąwozu, wiodącego do Dniepru, gdzie nie była wystawioną na ogień armatni i stała nieczynnie w czasie szturmu.

Miasto Smoleńsk, pamiętne oblężeniem Zygmunta III i walkami Polaków z Rosyanami w rozmaitych epokach, leży na wzgórzu nad Dnieprem, przedzielającym je od przedmieścia, wybudowanego z drewnianych domów; obydwie części połączone pomiędzy sobą mostem, na Dnieprze wystawionym. Rzeczywiście nie jest Smoleńsk fortecą, ale wysoki i nadzwyczajnie gruby mur czerwony otacza miasto od jednego do drugiego końca ze strony zachodniej. Lew Sapieha oblegał ten gród napróżno; król Zygmunt III zaledwo zdołał go zdobyć z natężeniem całej siły rzeczypospolitej polskiej po dwumiesięcznem oblężeniu. Napoleona zatrzymał on 48 godzin w pochodzie.

Generał Grouchy, odbywszy rekonesans naokoło miasta, spuścił się do głębokiego wąwozu z całym korpusem swoim, któremu kazał zsiąść z koni i gotować strawę. Odtąd byliśmy nieczynnymi świadkami szturmu. Korpus marszałka

Neya rozpoczął walkę; kilka batalionów posunęło się na lewej stronie miasta nad Dnieprem i opanowało przedmieście, leżące w tej stronie. Nieprzyjaciel ustąpił z niego zrazu, ale, wzmocniony posiłkami z miasta przybyłymi, wyparował znowu Francuzów. W takiej kolei zmiennego powodzenia zeszedł w tej stronie walki cały dzień 16-go sierpnia aż do późnej nocy. Reszta wojska zajmowała stanowiska wskazane, przy czem odbyły się rozmaite spotkania pojedyńcze z nieprzyjacielem. Dzień 17 sierpnia rozpoczął się spokojnie, zdawało się, jakoby obydwie strony wahały się rozpocząć walkę. Słońce weszło w całej okazałości, ani jednej chmurki na widnokręgu nie było, a pozłacane kopuły cerkiew lśniły się w oddaleniu. Smoleńsk zdawał się ustrojonym w cały przepych swój w tym dniu, mającym być świadkiem jego zniszczenia. Żołnierze nasi gotowali strawę, czyścili broń, uwijali się po swych biwakach; markietanki roztaczały swe koczowiska. Kiedy niekiedy przybywały oddziały konnicy, powracające z furażowania, obładowane rozmaitem zbożem w snopie. Taki rozejm trwał aż do godziny 2-giej z południa, natenczas rozpoczęła się walka. Zatrąbiono «na koń», bębny powołały piechotę do broni.

Generał Brugère spędził na czele dywizyi jazdy Kozaków, niepokojących prawe nasze skrzydło nad Dnieprem. Ks. Józef opanował na czele polskiego wojska przedmieście, zwane «Słoboda rażeńska», a 60 naszych dział raziło piechotę nieprzyjacielską, pozostałą jeszcze pod murami Smoleńska. Korpus marszałka Davousta posunął się pod mur, otaczający miasto, i zajął środkowe przedmieście pomimo oporu dwunastotysięcznego korpusu nieprzyjaciół i silnego ognia armatniego, rażącego Francuzów z muru czy wału miejskiego. Marszałek Ney natarł znowu na przedmieście po lewej stronie skrzydła naszego, w którem dnia poprzedniego już walczono, a z którego nieprzyjaciel był ostatecznie naszych wyparował. Bitwa była ogólną na całej linii około 3 godziny z południa; 200 armat rzucało pociski na nasze zastępy, równie liczna artylerya nasza odpowiadała im. Polskie wojsko dokazywało cudów waleczności, podsunęło się pod same mury miasta, ale nadzwyczajne straty poniosło. Zginął natenczas generał Grabowski,

gdy prowadził do szturmu 2 pułki piechoty którego pułkownikiem był osławiony Krukowiecki.

Krukowiecki był plagą prawdziwą dla dowódców, znajdował się z nimi w ustawicznem nieporozumieniu od początku kampanii, drażnił sarkazmem swoim generała Grabowskiego, dowodzącego brygadą, w której się znajdował pułk drugi piechoty polskiej. Gdy mu generał rozkazał pójść do szturmu, wyrzekł głośno przed frontem: «Wygodniej rozkazać, aniżeli pułk prowadzić.» Generał Grabowski, dotknięty do żywego, zesiadł z konia, dobył szpady i zawołał: «Wiara, za mną!» Nie uszedł dwudziestu kroków, padł, raniony śmiertelnie od kuli karabinowej. Generał Grabowski był synem naturalnym króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Około 6 wieczorem były wszystkie przedmieścia w naszem posiadaniu, a Polacy zbliżali się do mostu na Dnieprze, zagrażając przecięciem komunikacyi garnizonu, broniącego Smoleńska, z resztą wojska. Smoleńsk był cały w płomieniach. Rosyanie, zamknąwszy się w mieście, dzielnie bronili przystępu do niego, a nasi, nie mając drabin, napróżno usiłowali wyłamać bramy za pomocą działowego ognia. Cała uwaga nieprzyjaciół skierowaną była na korpus polski, który w zaciętej walce zbliżał się coraz bardziej ku mostowi, nawet kule naszych dział już poczęły go dochodzić. Marszałek Ney z swej strony także posuwał się ku niemu nad brzegiem rzeki.

Walka ustała z nadchodzącą nocą i widziałem powtórzone panorama, jakie mi się przedstawiało w nocy, poprzedzającej bitwę pod Wagram w roku 1809 przy ataku marszałka Masseny na miasto Enzersdorf. Smoleńsk gorzał cały na tle ciemnego widnokręgu, ogniste granaty, opisujące świetne elipsy, padały na nieszczęśliwe miasto jak gęsty grad; każdy wystrzał karabinowy był widoczny, a ogień armatni, z muru puszczany przez Rosyan, tem groźniejszy być się zdawał, że go jasność słońca nie przytłumiała. Mury Smoleńska zdawały się gorzeć tak samo jak i miasto. Zewsząd rozlegał się krzyk: «En avant, en avant!», a bliżej nas ciągnęły długie kolumny piechoty, oświetlone blaskiem ognia. Był to wspaniały, ale i okropny widok.

Walka ustała około północy, padały wprawdzie pojedyńcze strzały tu i ówdzie, ale działa umilkły, wojska walczące

potrzebowały odpoczynku. Francuzi rozłożyli biwaki w oddaleniu dobrego strzału karabinowego od Smoleńska, cała okolica zajaśniała tysiącznymi ognikami, powstał gwar w miejsce ognia działowego, zewsząd rozlegało się wołanie i krzyki, a ambulanse poczęły się zapełniać rannymi. Rosyanie nie przeszkadzali zbieraniu rannych. Świt poczyna bardzo rychło na północy o tej porze roku. Skoro rozwidniało, posunęła się nasza piechota ku miastu, ale żaden strzał nie bronił jej przystępu. Już nie było Rosyan w Smoleńsku, przeprawili się przez Dniepr, zabrawszy z sobą całą ludność. Nasza piechota wyrąbała niebawem bramę i w mgnieniu oka rozbiegli się żołnierze po ulicach.

Zrabowanie Smoleńska. Bonawentura Garczyński. Barbarzyństwo Rosyan.

Odtąd poczyna wojna przybierać nową postać, nie walczy już żołnierz z żołnierzem, nie oszczędza się mieszkańca, a mieszkaniec nie doznaje opieki władz wojskowych, ale walczy cały naród przeciwko napastnikowi. Wkraczający Francuz w granicę starej Rosyi widzi w każdem żyjącem stworzeniu nieprzyjaciela. Można by nieomal powiedzieć, że powróciły czasy wędrówek ludów, z tą wszakże różnicą, że ludy z Zachodu parły narody wschodnie. Od Smoleńska poczęli Rosyanie niszczyć kraj, z którego ustępowali, i zabierać z sobą całą ludność, która się w głębi lasów chroniła. My natrafialiśmy tylko na zgliszcza i gruzy, żywej duszy nie było nigdzie, wojsko żadnego zasiłku nie znajdowało czy w miastach czy po wsiach, nawet trudno było o schronienie, bo Kozaki palili każde zabudowanie. Od Smoleńska aż do Moskwy spalili Dorohobuż, Rżask, Wiazmę i Możajsk, a ukoronowali dzieło spaleniem Moskwy. Stogi zboża, siano, nawet zboże, stojące na pniu, palili. Zmuszeni byliśmy wysyłać oddziały do furażowania opodal bitego gościńca, a wtedy napadali chłopi na furażujących i mordowali.

Barbarzyński sposób taki prowadzenia wojny przyczynił się bardzo do zdemoralizowania wojska francuskiego, które nie miało w całem znaczeniu słowa nic prócz ziemi, na której stało.

Wojsko nasze zajęło się zaraz po wkroczeniu do opuszczonego Smoleńska ugaszeniem ognia, szerzącego się w rozmaitych punktach. Miasto, opuszczone przez ludność całą, zostało do szczętu zrabowane. Generał Chastel, dowiedziawszy się o rabunku Smoleńska, wysłał mnie z oddziałem strzelców konnych i kilku furgonami dla przywiezienia żywności i furażu. Pospieszyłem z ciekawością do owego dawnego grodu, o posiadanie którego Polacy staczali z Rosyanami zacięte walki za dawnych czasów. Już zniknęły w Smoleńsku jakiekolwiek ślady polskiego panowanie, dzisiaj nawet mowy polskiej nikt tam nie usłyszy. Wszystko tam ruskie i prawosławne, a co więcej, mieszkańcy gubernii smoleńskiej nawet odznaczają się niechęcią dla wszystkiego, co polskie, przed wszystkimi Rosyanami. Wiele bardzo rodzin tej gubernii nosi polskie nazwiska, snać pochodzą od dawnej szlachty polskiej, pozostałej w kraju po zaborze. Tak samo znajduje się w okolicy Astrachanu wiele rodzin tatarskich, noszących polskie nazwiska, jak n. p. Sobolewscy, Wojuccy, Lassoccy itp., którzy pochodzić muszą zapewnie od Polaków, zabranych w jasyr w czasie napadów tatarskich na Polskę.

Dowiedziałem się od powracających ze Smoleńska żołnierzy, łupem obładowanych, że napróżno prowadzę furgony do miasta, Rosyanie bowiem zapalili przed opuszczeniem wszystkie magazyny, a zatem chyba po domach prywatnych będę musiał szukać żywności. Smutny to widok miasta, opuszczonego przez mieszkańców, ale daleko smutniejszy, gdy oddane na rabunek. Wszystkie kamienice, cerkwie i sklepy w Smoleńsku stały otworem, żołnierstwo wynosiło z nich sprzęty wszelkiego rodzaju; wołanie, wrzaski, śmiechy, przekleństwa rozlegały się po domach. Kufry, wytoczone na ulicę, rumot odbijania drzwi, trzask ognia, szerzącego się, huk zawalających się domów gorejących, łoskot przeciągających furgonów i dział, muzyka wojskowa, maszerująca na czele pułków wkraczających, markietanki, targujące się z żołnierzami o zabrane towary i sprzęty, żołnierze zajęci ładowaniem na furgony zrabowanych przedmiotów, trupy ludzkie, leżące tu i ówdzie, ścierwa zabitych koni — taki był widok miasta, przed kilku dniami zamożnego, a żadnego mieszkańca nigdzie. Takim był Smoleńsk, gdym

wstąpił do niego, takiemi były następnie wszystkie inne miasta aż do samej Moskwy.

Nadzwyczajnie mi było trudno zaopatrzyć się w cokolwiekbądź w tym powszechnym nieładzie. Żadnej karności nie było w wojsku, a, chcąc rabować, wystawiałem się na sprzeczkę i walki ze współzawodnikami. Postanowiłem zatem być świadkiem nieczynnym rabunku, pozostając na ulicy; żołnierzy moich wysłałem jednak do domów za żywnością, pozostawiłem sierżanta przy koniach i furgonach, sam zaś przechodziłem się po ulicach. Zdjęty ciekawością, wstąpiłem do cerkwi. Zgroza i obrzydzenie przejęły mnie na widok świętokradztw, popełnionych w domu Bożym. Cerkiew, lubo schizmatycka, wszakże przybytkiem modlitwy i wielbienia Boga, Stwórcy nieba i ziemi, zamienioną została na stajnią i biwak żołnierzy. Bóg sprawiedliwie ukarał wojska nasze za wyuzdaną zniewagę świętych przybytków i puszczenie w niepamięć wszelkich zasad moralności. Żołnierze wprowadzili konie swoje do cerkwi, sami rozłożyli w niej ogniska, tabernaculum stało otworem; żołnierze zajadali komunikanty poświęcone, kielichy zapewne od razu sprzątnęli; obdzierali ornaty z galonów, a książki z kosztownej oprawy; świeczniki leżały połamane na podłodze, a cokolwiek zdatnem było do podsycania ognia, to palili. Oddaliłem się czemprędzej z cerkwi z obawy, aby mnie tam zaraz nie spotkała kara Boska razem ze sprawcami tego świętokradztwa.

Spotkałem na ulicy mego ciotecznego brata, Bonawenturę Garczyńskiego, porucznika z pułku piechoty polskiej; serdecznie uradowaliśmy się jeden drugiemu. Poczęstował mnie wyśmienitą nalewką, miał sporą butelkę, porwaną z jakiejś kamienicy przez żołnierza oddziału jego. Pułkownik, dowódca pułku Garczyńskiego, przysłał go także do Smoleńska za żywnością i on tak samo jak ja rozesłał żołnierzy po domach.

Zaledwo mój oddział zdołał napełnić jeden furgon żywnością i furażem, reszta powróciła próżno do obozu. Tu zastałem marszałka Neya, rozmawiającego z generałem Grouchy. Właśnie powracał z rady wojennej. «Cesarz», mówił marszałek, «pożałuje kroku, w tej chwili przedsięwziętego: ciągniemy ku Moskwie! Nasza konnica zniszczona, konie arty-

leryi zaledwie zdołają uciągnąć armaty, owi barbarzyńcy palą i niszczą własny swój kraj, ale ogładzają nas tym sposobem; magazynów nie mamy pod ręką, a wojsko nasze zapuszcza się do krańców Europy, nie mając zabezpieczonej linii operacyjnej. Powracam z rady wojennej. Ks. Poniatowski prosił, błagał cesarza, ażeby go z Polakami wysłał na Wołyń i Ukrainę, a zaręczał, że w przeciągu trzech miesięcy dostarczy wojsku 100 000 jazdy i potrzebne remonta dla naszej konnicy. Wszakże cesarz inaczej rozporządził. Obyśmy tylko nie pozostawili kości naszych w tych pustyniach. Rosyanie nie są zwalczeni; biorąc przykład z starożytnych Partów, walczą, usuwając się przed nami, i wabią nas w coraz odleglejsze kraje, obliczywszy bardzo słusznie, że im więcej oddalamy się od rezerw, tem więcej tracimy na siłach». Niestety, okazało się wnet, ile mieściło się słuszności w rozumowaniu bohatera.

Dnia 20 sierpnia przeprawił się korpus nasz na drugi brzeg Dniepru po moście na łyżwach, nieprzyjaciel albowiem spalił most, łączący Smoleńsk z przedmieściem, przyczem cała jedna ulica tego przedmieścia zgorzała. Doprawdy, barbarzyństwo Rosyan i bezwzględność na własnych rannych przechodziła wyobrażenie ludzkie. Nie dosyć, że domostwa ziomków swoich obracali w perzynę, że pozbawiali ich całkowitego mienia, ale własnych kolegów, żołnierzy i oficerów, złożonych w tych domach dla ran, otrzymanych w boju, palili żywcem. Zgroza pomyśleć o takiem barbarzyństwie, cóż dopiero patrzeć na jego skutki! Widziałem, przechodząc przez owe popalone ulice, zwęglone ciała nieszczęśliwych ofiar; brzuchy ich popękały, a białe jelita wychodziły na czarną skórę, na wpół upiekłą. Gdy sobie wystawiam męki, dreszcz mnie dotąd przejmuje. Ten czyn sam jeden już może służyć za dowód, z jaką bezwzględną zajadłością walka się toczyła ze strony Rosyan. Znana od dawnych czasów dzikość usposobienia narodu tego, który, lubo w wyższych klasach społeczeństwa nabył ogłady obyczajów, wszakże nie pozbył się wrodzonego barbarzyństwa.

Ustępowanie Rosyan. Potyczka pod Grydnowem. Bitwa pod Borodinem.

Przebywszy Dniepr, skierował się 4-ty pułk jazdy na lewo od bitego gościńca w kierunku Duchowczyzny, wsi obszernej, liczącej jakie 300 zabudowań gospodarskich. Owe zboczenie z traktu głównego było dla nas rzeczą pożądaną, dostaliśmy się albowiem w okolice, obfitujące we wszystko, nieopuszczone przez mieszkańców. Było to dowodem, że owe uchodzenie ludności przed Francuzami następowało z rozkazu rządu despotycznego, wyganiającego lud osiadły gwałtem i pomimo jego woli. Generał Grouchy zakazał jak najsurowiej wszelkiego rabunku; tak samo wzbronił go wice-król włoski, następujący w tropy nasze, aby przekonać mieszkańców, że Francuzi nie rabują kraju, z którego ludność nie uchodzi przed nimi. Konie i ludzie nasi obfitowali w wszystko podczas tych 3 dni, po upływie których znów połączyliśmy się z wielkiem wojskiem pod Rżaskiem. W tych trzech dniach obfitości nie ukazał się nam nieprzyjaciel oprócz Kozaków, uważających opodal na ruchy nasze; nie było zatem żadnego spotkania. Na głównym gościńcu, wiodącym do Moskwy, inną postać miały rzeczy. Generał Gudin, dowodzący dywizyą piechoty, stracił nogę w ostrem spotkaniu pomiędzy Smoleńskiem i Dorohobużem; ostatnie to miasto, żwawo bronione przez tylną straż nieprzyjaciela, zostało po części spalone, a po jego zajęciu przez naszych żadnego zasobu żywności nie dostarczyło dla wojska.

Odwrót Rosyan wcale nie był ucieczką, cofali się w jaknajwiększym porządku; ich artylerya korzystała z każdej pozycyi, z której nas raziła, a, opuściwszy ją za zbliżeniem się naszych pomęczonych koni, znów obierała inną, z której powtarzała działanie swoje. Kozaki otaczali nieustannie wojsko nasze, zabierali maroderów i przeszkadzali wszelkiemu furażowaniu opodal od traktu. Rosyanie nie pozostawiali żadnego włóczęgi za sobą, tak dalece, że oprócz jeńców, zabranych w wstępnym boju, ani jeden niewolnik nie dostał się w ręce nasze od Smoleńska aż do samej Moskwy. U nas panował

już od Smoleńska wielki niedostatek żywności, od Rżaska poczęło się wojsko żywić końskiem mięsem.

Znużenie ludzi i koni dochodziło do najwyższego stopnia, konnica nie była w stanie kłusować. Każdy życzył gorąco stanowczego spotkania, rozstrzygającego o losie wojny, ale nieprzyjaciel nie przyjmował bitwy, a swymi ustawicznymi podjazdami co raz więcej osłabiał naszą siłę moralną. Słyszałem narzekania wielu generałów, wróżących o nieszczęśliwem rozwiązaniu się tej kampanii. Wesołość, właściwa usposobieniu żołnierza francuskiego, zniknęła, każdy przeczuwał zgubę swoją.

Nie będę opisywał codziennych utarczek z tylną strażą rosyjską, była to wieczna kanonada, wieczne harce z Kozakami. Gdzie się dochodziło do wsi, tę z pewnością palili Kozacy przed nami, niekiedy stanęła piechota rosyjska, zdawało się, że oczekuje na nas, a za rozwinięciem się Francuzów opuszczała pozycyą, dawszy kilka razy ognia.

Powzięto wiadomość od jeńców, zabranych w bitwie pod Walutiną Górą, w której generał Gudin nogi utracił, że feldmarszałek Kutuzów objął naczelne dowództwo nad wojskiem rosyjskiem w miejsce dowodzącego dotąd generała Barclay de Tolly. Sędziwy feldmarszałek, należący do stronnictwa staroruskiego, powołał do broni cały naród, ogłosił formalną krucyatę za wiarę, cara i ojczyznę. Popy nosili obrazy Świętych przed pułkami, a cudowny wizerunek Najświętszej Panny, uprowadzony ze Smoleńska, nie odstępował głównej kwatery. Kutuzow usiłował na wszelki sposób wzniecić wojnę narodową, tłomaczył ludowi, że walczyć powinien za Boga i cara, pobudzał w nim wzgardę dla naszych sił fizycznych. W takim celu pokazywał chłopom najlichszych jeńców francuskich, a, kazawszy zważyć tyraliera francuskiego, do niewoli zabranego, rozkazał uwiązać snopek słomy, odpowiadający ciężarowi, ową słomę kazał chłopom brać na widły i dźwigać. «Oto Francuz — mawiał do ludu zgromadzonego — wszakże go podnosicie z łatwością, tak samo podnosić możecie waszemi widłami każdego Francuza.» Chłopstwo potakiwało radośnie, nabierając otuchy do swych sił fizycznych.

Udało się naszemu wojsku ochronić Wiazmę, na które miasto nagle natarliśmy, od zniszczenia, jednakże władze ro-

syjskie uprowadziły całą ludność, wojsko nasze wkroczyło do pustego miasta. Tu pokrzepiła się nieco przednia straż, bo było dużo żywności, mnie się dostał spory garnek mleka i pół bochenka chleba, za które zapłaciłem żołnierzowi 20 złotych.

Począwszy od Wiazmy, stawiał nam nieprzyjaciel większy opór, a wedle wszelkich oznak można było przewidywać, że zamierza stoczyć walkę stanowczą przed Moskwą. Dnia 4 września stoczył korpus nasz i konnica polska potyczkę z kawaleryą rosyjską pod wsią Grydnowem. Liczna artylerya nieprzyjacielska dopomagała mu, nam dopomagała artylerya i woltyżery, walka byłą zacięta, ku wieczorowi Rosyanie się cofnęli. Dnia 5 ujrzeliśmy całe wojsko rosyjskie, rozwinięte w szyku bojowym na polach Możajska. Miało przed frontem swoim rzeczkę, utrudniającą przystęp, w odpowiednich miejscach nieprzyjaciel powznosił reduty. Cały ten dzień staliśmy bezczynnie, cesarz i marszałkowie oglądali stanowiska Rosyan. Dnia 6 spędziła tychże nasza piechota z pozycyi na prawem skrzydle i przebyła w bród rzeczkę Kaługę. Cesarz rozkazał dywizyi generała Compans zabrać redutę, pod wsią Szuwaryno usypaną, z której nas bardzo rażono. Francuzi opanowali ją trzykrotnie, za każdym razem jednak musieli ustąpić; może to dać miarę zajadłości, z jaką walczono. Wreszcie ustąpił nieprzyjaciel, ale zwycięstwo drogo było okupione, cały jeden batalion 16 pułku piechoty leżał zabity około szańca, oprócz niego zginęło wielu innych żołnierzy. Gdy cesarz, oglądając nazajutrz miejsce walki, zapytał się pułkownika, dowodzącego 16 pułkiem, gdzie pozostawił batalion brakujący, odpowiedział mu ponuro: «Il est dans la redoute, Sire», wzkazując na ciała poległe. Korpus 4 jazdy, generałowie Grouchy, Chastel, Lahoussaye i kilku jeszcze innych przepędzili ze mną noc z 6 na 7 września w lasku brzozowym. Zawołano nas sztabowych oficerów na śniadanie około 3 godziny po północy. «Jedzcie, Panowie, odezwał się generał Chastel, wzkazując na potrawę, z końskiego mięsa przyrządzoną, zapewne już jeść nie będziecie do nocy, wszystko rokuje na dzisiaj walną bitwę.»

Niebawem zatrąbiono na koń, a pułki zaczęły się szykować. Wtem nadbiegł oficer ordynansowy od cesarza dla poprowadzenia nas na pozycyą. Przybywszy na miejsce, odczytał generał

Grouchy rozkaz dzienny cesarski, który następnie odczytywali pułkownicy, każdy przed frontem pułku swojego przy okrzykach »Vive l'empereur!» ze strony żołnierzy. Treść owego skryptu cesarskiego była następująca: «Żołnierze! Oto dzień owej wielkiej bitwy, tak skwapliwie oczekiwany przez was, zwycięstwo zależy od waszej waleczności; przywróci ono w naszych szeregach obfitość, da nam wygodne leże zimowe, wreszcie zapewni nam rychły powrót do ojczyzny. Oczekuję po was tych samych czynów bohaterskich, jakimi się wsławiliście pod Austerlitz, Friedlandem, Wagramem, Witebskiem i Smoleńskiem, chwała wasza przejdzie do późnych pokoleń, o każdym z was powiedzą: «I on walczył pod murami Moskwy».

Nie będę opisywał walki; cóż może powiedzieć młody oficer o ogólnych ruchach, nie będący wtajemniczony w plan główno dowodzącego, patrzy tylko na jeden punkt, który widzi przed sobą. Generał Grouchy wysłał dywizyą dragonów na pole, ciągnące się po lewem skrzydle zajętej pozycyi, brygadę huzarów wysłał w pomoc piechocie włoskiej, podsuwającej się pod koryto rzeki Moskwy, dwie brygady lekkiej jazdy, przy których sam wraz z generałem Chastel pozostał, stanęły w asekuracyi 40 armat pozycyjnych, ustawionych przez generała Sorbière przed naszym frontem. Przed nami pod wsią Borodino wznosiła się reduta nieprzyjacielska, od której ponieśliśmy znaczne straty. Owa reduta zdawała się być kluczem całej pozycyi, liczne pułki piechoty nieprzyjacielskiej, uszykowane w czworoboki, opierały się o nią, a stały na równinie pomiędzy wsiami Borodinem i Semenskoj. Luki pomiędzy tymi czworobokami zajmowała artylerya i tyralierzy rosyjscy. Cała ta przestrzeń była gołem polem bez jakiegokolwiek gaju lub załomu, któryby nas chronił od kul z reduty. Wszystko, co opisuję, widziałem na własne oczy. Dywizya nasza składała się z dwóch pułków strzelców konnych francuskich, każdy po cztery szwadrony, z dwóch pułków dragonów saskich i z dwóch pułków szwoleżerów bawarskich, także po cztery szwadrony każdy, razem z 24 szwadronów. Po niejakim czasie przyłączyły się do nas dywizya dragonów generała Lahoussaye (16 szwadronów), 3 pułki kirasyerów francuskich (12 szwadronów), dwa pułki kirasyerów saskich. Jeden z nich był to Gardes

du corps króla saskiego, mój dawny pułk. Z jakąż radością pobiegłem przywitać się z dawnymi kolegami! Owe dwa pułki składały się z ośmiu szwadronów. Cała ta masa kawaleryi, zgromadzona w jednym punkcie, wynosiła 60 szwadronów; widocznie była przeznaczoną na rozstrzygnięcie bitwy przez uderzenie na którykolwiek punkt. Był to zawsze ulubiony manewr Napoleona.

Głęboka kolumna nasza stała się punktem celnym strzałów reduty, staliśmy nieporuszenie, a kule armatnie Rosyan przerzedzały nasze szeregi. Dywizya Chastel, będąca na samem czele, cierpiała najwięcej, Grouchy, Chastel, Demangès, pułkownicy Viale, Jumillac i cały sztab korpusu naszego, razem zebrany, stali nieco oddaleni od kolumny. Widocznie nieprzyjaciel poznał, że ta mała gromadka składała się z dowódców, bo wymierzył na nas strzały swoje, skutkiem których urwała kula armatnia rękę pięknemu pułkownikowi Pappenheimowi z szwoleżerów bawarskich, zwinął się z konia biedny, bladość śmiertelna pokryła lice jego, żołnierze ponieśli go na płaszczu do ambulansu. W kilka minut później spadł z konia generał Grouchy, otrzymawszy kontuzyą, odniesiono go również, poczem generał Lahoussaye objął dowództwo nad korpusem. Poprowadził nas o parę set kroków naprzód. Dziękowałem Bogu, żeśmy się wreszcie ruszyli z miejsca i usunęli z punktu celnego nieprzyjaciół. Nic przykrzejszego w czasie bitwy jak stać nieczynnie i służyć za cel nieprzyjacielowi.

Wnet odmieniła się scena; dwa pułki karabinierów i dwa pułki kirasyerów przypuściły atak od prawego skrzydła naszego na czworoboki piechoty rosyjskiej, rozłożone w odstępie wsi Borodino i Semenskoj. Ogień reduty obrócił się na nich, ale waleczne wojsko nie zraziło się i rozbijało jeden batalion po drugim. Wtem przybiega oficer ordynansowy cesarza i woła: «En avant sur la redoute!» wskazując redoutę pod Borodinem. Generał Montbrun obejmuje dowództwo, kolumna, długa na jakie ćwierć mili, rusza kłusem na bateryą, w mgnieniu oka rozbiegają się konie bez jeźdźców po polu, ludzie padają jak muchy. Generał Montbrun zabity, następuje po nim generał Corbineau i ten legł na placu. Generał Cauliancourt, brat wielkiego koniuszego, staje na czele naszem, ale i jemu kula

armatnia urywa nogę, generał Demangès spada z konia, ugodzony kartaczem w twarz, którą mu dziurawi na wylot. Kolumna jednakże kłusem postępuje naprzód, a przestrzeń, którą przebywa, oznaczona trupami i rannymi, kule armatnie i kartacze gwiżdżą i ryczą mi około głowy i nieomal odbierają przytomność; pułki nie zachowują przedziałów pomiędzy sobą, wszystko zbija się w jednę kupę, okrążamy redutę, aby z tyłu dostać się do niej. Już wyszliśmy z pod strzałów armatnich, ale czeka na nas piechota, która, przypuściwszy nas na jakie 50 kroków, przerzedza nasze szyki morderczą salwą. Drugiej już nie uczyniła, dwa bataliony legły rozsiekane i stratowane końmi. Dostaliśmy się wreszcie w tył reduty, karabiniery i kirasyery, nacierający od prawego skrzydła naszego, przyłączyli się do nas. Rosyanie dają ognia z drugiej swej linii, rażąc nas i swoje własne wojsko, uchodzące przed nami. Jakaż była rozpacz wszystkich, gdy, puszczając się wprost na redutę, napotykamy na głęboki parów, pełny jegrów rosyjskich, przedzielający nas od okopu. Znowu wytrzymaliśmy grad kul z ręcznej broni, już niema najmniejszego porządku pomiędzy nami, kirasyer jedzie obok huzara, dragon przy strzelcu konnym, Niemiec przy Francuzie, wszystko zbite w jedną masę, a parte przez przybywające szwadrony, spuszcza się jak może w parów, tratuje, kłuje, rąbie i siecze mężnie broniących się jegrów. Rosyanie szukają ratunku, kładąc się na ziemię, ale i tam dosięgają ich nasze pałasze. W jednej chwili wydobywamy się z wąwozu i nuż prosto na redutę. Była ta okropna scena, kanonierów rozsiekano bez pardonu obok dział, generała, ciężko rannego, zabrano do niewoli, dwa bataliony piechoty wołają o pardon z rozpaczą, a nasi żołnierze, rozjuszeni, o tem ani słyczeć nie chcą. My oficerowie błagamy za poddającymi się, ale z biedą przychodzi nam uratować życie tych kilkudziesięciu nieszczęśliwych. Już też przybywa i piechota nasza na redutę, artylerya o ile możności spieszy na wały, a cała druga linia rosyjska rusza z miejsca, ażeby zająć ten ważny punkt. Jak już mówiłem, Rosyanie bez względu na własnych żołnierzy skierowali z drugiej linii cały ogień na nas, a ich konnica wysuwa się do ataku, każdy z naszych dowodzących pułkami owej konnicy, która zabrała redutę, wybiega na otwarte pole,

a nie odstępujący ich trębacze trąbią apel. Wnet rozbiegają się żołnierze, pomęczeni mordowaniem jeńcow, każdy spieszy do zboru, a przerzedzone pułki formują się wkrótce, gotowe do spotkania z nadciągającą konnicą rosyjską. Ale nie przyszło do powtórnej walki, piechota francuska już była na wzgórzach, przed chwilą przez nieprzyjaciela zajmowanych, orły nasze świeciły nad okopami, skończyło się na kanonadzie, widocznie słabnącej, po której zastępy Rosyan cofnęły się ku Możajskowi. Bitwa była wygraną, ale nie stanowiła zwycięstwa. Noc zaszła, wszystko ucichło, znękane konie i żołnierze nasi nie byli w stanie gonić cofającego się nieprzyjaciela.

Nareszcie wolno mi było zesiąść z konia. Miły Boże, jakżem osłabł! Gorące pragnienie spiekło mi usta, kartacz urwał mi pochwę od pałasza, który sam wisiał mi u dłoni, skrwawiony i zaszły rdzą. Nerwy moje były do tego stopnia rozstrojone, że najmniejszy szelest wydawał mi się ryczącą kulą armatnią. Nie pytałem się o generała Chastel, chodziło mi przedewszystkiem o napojenie konia i siebie samego, jakoż spuściłem się z kilku innymi nad rzekę, gdzieśmy się wraz z końmi orzeźwili. Miałem owies, zawieszony na siodle, rozkiełznałem konia, założyłem mu torbę na głowę i podałem mu obroku. Co do mnie, napiłem się araku z manierki, a, położywszy głowę na poległym koledze, zasnąłem dali Bóg lepiej, aniżeli nieraz w wygodnem łóżku.

Następnego dnia odszukałem sztab czwartego korpusu jazdy. Koledzy witali jeden drugiego w miarę przybywania z rozmaitego noclegu, każdy albowiem musiał o sobie i koniu pomyśleć w tej nocy powszechnego nieładu. Generał Chastel chodził ponuro przed ogniskiem. «Odkąd wojuję, nie widziałem bitwy tak zaciętej, mawiał, zwyciężyliśmy wprawdzie, ale bez korzyści, nieprzyjaciel cofnął się, ale nie rozbity, może nam jutro nową bitwę wytoczyć. Koniec tej kampanii nie rokuje nic dobrego, oby tylko marszałek Ney nie był dobrym prorokiem!» Wysłano mnie do pułkowników z rozkazem podania liczby żołnierzy, będących pod bronią. Raporty pokazały, że cała dywizya stopniała na siedm szwadronów kompletnych. Na początku kampanii było 8 pułków czyli 32 szwadrony.

Widok pobojowiska przechodził wyobrażenie. Każde pole

bitwy robi smutne wrażenie, ale pobojowisko pod Możajskiem przejmowało zgrozą dla liczby poległych.

Czytałem w późniejszym czasie, że Napoleon pozwolił wojsku rosyjskiemu bezpiecznie się cofnąć po tej przegranej, nie chcąc użyć swej gwardyi, która, będąc nieczynną w czasie bitwy, byłaby zniszczyła cofające się rosyjskie wojsko, gdyby ją cesarz był wysunął naprzód. Nie należy do mnie wydawać sądu o wielkim wojowniku, jestem jednakże przekonany, że, gdyby nawet wysłał w bój ośm tysięcy grenadyerów i szaserów starej gwardyi, nie byłby zniszczył całego wojska nieprzyjacielskiego.

Bitwa z tylną strażą rosyjską. Za językiem.

Udało mi się nabyć dobrego wierzchowca po bitwie, co tem więcej było dla mnie pożądanem, że trudno wystarczyć podczas kampanii jednym koniem, a od utraty moich koni i służącego pod Tołoczynem nic więcej już o nich nie słyszałem. Cały nasz sztab udał się do rannego generała Grouchy, który mnie przyjął bardzo łaskawie, pochwalił za wytrwałość w czasie bitwy i obiecał, że jak tylko powróci do zdrowia i obejmie na nowo dowództwo nad korpusem, zaraz mnie weźmie do swego boku.

Wyruszyliśmy dnia 8 września na Możajsk pod Rożę, mając jak dawniej Kozaków przed sobą, palących i niszczących wszystko. Dnia 9-go stoczył nasz korpus krwawą walkę z tylną strażą rosyjską, będącą pod dowództwem generała Miłoradowicza. W tej walce pomięszać kazał generał Chastel batalion piechoty z dwoma pułkami jazdy, a, dopuściwszy coraz natarczywszych Kozaków i ułanów rosyjskich na półstrzału karabinowego, zadał im niespodziewaną salwą dotkliwą klęskę. Tym razem dostało nam się w niewolę kilku Kozaków, co było zdarzeniem nadzwyczajnem. Odtąd cofał się nieprzyjaciel bez dalszego oporu aż pod samą Moskwę.

Nieprzyjaciel widocznie nie chciał pustoszyć okolicy w pobliżu stolicy państwa. Wojsko nasze wkroczyło do Roży, wcale nie zniszczonej; tak ludzie jak i konie znaleźli w tem mieście dostateczne zapasy żywności, ale mieszkańcy poucho-

dzili, nie było nikogo dla udzielenia potrzebnych wiadomości. Generałowi Lahoussaye zależało jednak na języku co do ruchów Rosyan; ponieważ byłem jedynym Polakiem w całym korpusie, umiejącym się jako tako porozumieć z krajowcami, dał mi rozkaz puszczenia się w lasy okoliczne na czele plutonu strzelców konnych, ażeby złapać choć jednego człowieka.

Poszedłem, jak to mówią, na cztery wiatry, posunąłem się manowcami z wszelką ostróżnością; wysłałem po kilku żołnierzy dla patrolowania po skrzydłach, a szpice o kilkadziesiąt kroków przodem. Udzielona mi instrukcya ograniczała się na rozkazie posuwania się ku wschodowi. Trudne to było zadanie błąkać się po lesie w obcej okolicy i w kraju nieprzyjacielskim wśród uzbrojonego chłopstwa, czyhającego na pojedyńczych ludzi. Bóg mi wszakże poszczęścił, gdyż po kilku wiorstach drogi wśród lasu gęstego napotkali żołnierze tabun koni, pasących się na łące bez pasterza.

Ponieważ były popętane, łatwo nam przyszło zająć kilka najprzedniejszych i okiełznać, a, oddawszy je kilku żołnierzom do prowadzenia, puściłem się dalej. Żołnierz, będący na szpicy, doniósł mi, że mu się mignął chłop, uzbrojony w dzidę, pomiędzy drzewem, ale że zniknął niebawem z oczu jego. Kazałem szaserom trzymać karabinki na pogotowiu i mieć się na ostróżności. Żołnierzy, utrzymujących boczną straż, ściągnąłem do plutonu, ażeby ich mieć mniej wystawionych. W jakie półgodziny wypadło jakie stu chłopów na nas; było to właśnie na gołaźni. Nie zapomnę fizyognomii owych silnych brodaczy w kusych siwych burkach, uzbrojonych w dzidy, gdy wypadli na nas ze wszystkich stron z przeraźliwym krzykiem. Skończyło się jednak na krzyku, bo zniknęli równie szybko, jak się pojawili, za pierwszymi wystrzałami. Żołnierz z oddziału mego, puściwszy się za nimi, przebił pałaszem nieszczęśliwego mużyka, drugiego raniła kula karabinowa; obydwóch zostawiliśmy własnemu losowi. Niezawodnie musiała to być ludność męska pobliskiej wsi, która uszła w lasy przed nadciągającem wojskiem naszem. Udało mi się nad wieczocem zbliżyć się do obozu chłopów, rozłożonego wśród zasieku. Spostrzegłszy go z daleka, a ostrzeżony gwarem ludu rozmawiającego, zbliżyłem się z oddziałem moim niespostrzeżony pod

same ich legowisko, a, nie dawszy im czasu do namysłu, znaleźliśmy się w pośród nich. Wszczął się wielki popłoch od razu pomiędzy chłopstwem, ale ja wołałem kilkakrotnie: »Nie bójcie się mużyki, wam niczewo nie budet, my wasi!« Na te słowa zatrzymali się wszyscy, kilku śmielszych przybliżyło się do nas, zaręczyłem im, że »stanął mir«, że niczego od nich nie żądam prócz owsa i pokrzepienia dla sołdatów. Jakoż nanieśli mi w mgnieniu oka kilkanaście korcy owsa, jaj, ryby suszonej, wędlin co nie miara i wódki beczułkę. Prosiłem ich o powózkę i mołodca, by ową żywność do obozu zawieść, co niebawem uskutecznili, i w ten sposób rozeszliśmy się w jak najlepszem porozumieniu. Odchodząc od nich, dałem napoleona złotego starszemu na wódkę dla gromady, czem sobie ich bardzo ująłem, jakoż żegnali nas wśród tysiącznych »Boh z wami!«. Zapomniałem powiedzieć, że konie, ujęte przez nas, pouciekały wszystkie przy napadzie chłopów, spłoszone wystrzałami i krzykiem. Straciliśmy uzdeczki, któremi były okiełznane. Wyruszywszy z owego koczowiska, zakręcił parobek, kierujący powózką, na wschód, udając się ku Moskwie. Słońce było już na schyłku, a według zdania woźnicy mieliśmy jeszcze cztery wiorsty lasem. Nie chcąc pozostać w owej gęstwinie w ciemności, puściłem się przodem z dwoma szaserami, pozostawiwszy oddział pod dowództwem podoficera. Sam pospieszyłem kłusem, ażeby się zoryentować jeszcze za dnia, wyszedłszy z lasu, po którym błądziłem od samego rana. Udało mi się wprawdzie wyjechać na pole jeszcze za dnia, ale snać zmyliłem drogę, bo oddziału doczekać się nie mogłem, mimo, że czekałem za nim aż do ciemnej nocy. Musiałem zatem poszukać noclegu z dwoma mymi żołnierzami w odosobnionem zabudowaniu gospodarczem, które ujrzałem jeszcze w świetle dziennem wśród pola. Składała się z chaty i gospodarczych zabudowań blisko siebie, w środku było podwórko, a całe zabudowanie miało tylko jedne wrota. Można się więc było w niem zatarasować i na wszelki wypadek nie być napadniętym znienacka. Zastałem tu całą rodzinę przy wieczerzy, moje nagłe pojawienie się przeraziło wszystkich. Odezwałem się do nich: «Boh z wami!« i przeżegnałem się, oddając pokłon wizerunkowi Boga Rodzicy, w kącie izby zawieszonemu, jak u każdego Rosyanina. Nic nie

wzbudza w Rosyi tyle życzliwości dla obcego, jak oznaka uszanowania dla Najświętszej Maryi Panny i Świętych Pańskich. Naród ten jest do wysokiego stopnia bogobojny, a, jeżeli nie posiada moralności, wina duchowieństwa schizmatyckiego, nie posiadającego iskierki miłosierdzia chrześciańskiego ni oświaty.

Owa rodzina, tak zmieszana zrazu na mój widok, uspokoiła się wnet, patrząc na moje modlitwy. Gospodarz przywitał mnie wyrazami, których nie rozumiałem, ale, gdym mu powiedział po polsku, że żądam noclegu i owsa dla koni, ofiarował mi ochoczo wszystko. Nie przyjąłem noclegu w izbie, chcąc pozostać razem z szaserami mymi. Wprowadziwszy więc konie pod szopę i zatarasowawszy wrota, przepędziliśmy noc na podwórzu, pilnując kolejno. Skoro się poczęło rozwidniać, wyruszyliśmy z miejsca, przekulbaczywszy konie i nabiwszy broń naszą na nowo. Chłopów już nie było w chacie, tylko kobiety pozostały. Wyruszyliśmy czemprędzej, obawiając się napaści. Dostawszy się na pole, usłyszeliśmy wystrzały karabinowe, pochodzące z strony dużej wsi, będącej o jakie pół mili drogi od nas. Nie wątpiąc, że mój oddział napadnięty, udałem się cwałem w tę stronę.

Wieś obok miała z jakich 200 zabudowań wiejskich, tworzących każde z osobna chłopskie gospodarstwo, złożone z chaty, stodoły, stajni i obór, wszystko w czworobok ustawione i opatrzone wrotami z przodu i z tyłu. Istotnie ludność tej wsi napadła na mój oddział, który się był wieczora poprzedniego zakwaterował w jednym takim okólniku, ale szasery dali mężny odpór, a chłopi, przerażeni nagłem mojem pojawieniem się i sądząc zapewne, że znaczniejsza siła przybywa na odsiecz oddziałowi, pouciekali w mgnieniu oka, zabiwszy jednak jednego człowieka. Bez wątpienia byłby ten sam los spotkał cały mój oddział, gdyby nie moja niespodziana odsiecz. Nie tracąc czasu, wyniosłem się z owej wsi, kazawszy ją zapalić na czterech rogach. Był to zaiste smutny widok — owa wieś gorejąca z całym dobytkiem wieśniaków. Nie miałem sobie jednak nic do wyrzucenia, żadnej krzywdy nie doznali od moich ludzi. Oni nas zaczepili, zabili mi żołnierza, miałem zatem prawo ukarania ich.

Wyruszyłem bez przewodnika, bo chłop, prowadzący powózkę, darowaną mi dnia poprzedniego, uciekł w czasie napadu. Maszerowałem ku wschodowi, nie widząc żywej duszy ni w polu ni w lasku małym, przez który przechodziłem. Koło południa stanąłem przed pięknym pałacem murowanym, pokrytym blachą, na zielono pomalowaną. Pałac i wszystkie dworskie zabudowania stały pustkami, wszystko snać uciekło zawczasu, a za mojem zbliżeniem się stróż, zapewne pilnujący, umknął. Tu nie uszanowałem cudzej własności; rozjątrzony śmiercią poczciwego szasera i napadem chłopów, zezwoliłem na rabunek. Szaserzy wynaleźli wnet kryjówki, w których przedniejsze sprzęty się znajdowały, pomiędzy innemi piękne srebra stołowe. Przyznaję, żem także należał do podziału, dostało mi się kilka wspaniałych sztuk, wszakże nie korzystałem z nich długo, bom utracił w odwrocie wszystkie moje bagaże.

Jeszcze nie dostałem się tego dnia do korpusu mego, zaczem przyszło mi zażądać noclegu we wsi, w której nas mieszkańcy przyjęli dosyć gościnnie, lubo z widoczną obawą i niechęcią. Nie wyrządziwszy im najmniejszej krzywdy, opuściliśmy ich nazajutrz rano. Już zwiastowała nam łuna nadzwyczajna na widnokręgu tej nocy, że Moskwa gore; jak oko sięgnąć mogło ku wschodowi, jaśniał złowrogi ogień. Nie sądziłem zrazu, ażeby rząd rosyjski poświęcił dobrowolnie pierwszą stolicę dla zniszczenia wojska francuskiego, wszakże inaczej nie było.

Pożar Moskwy. Barbarzyństwo Rosyan. Książę Galicyn.

Dnia 15 września 1812 roku ujrzałem pierwszy raz starożytny gród Ruryków, ową Jeruzalem rosyjską, w której wedle słów Napoleona mieliśmy wypocząć na wygodnych leżach zimowych. Po blisko 50-ciu latach zdaje mi się, że jeszcze wszystko widzę: dzień był nadzwyczajnie pogodny, nie było chmurki na widnokręgu; jesień na północy bywa zwykle najpowabniejszą porą roku; dla przejrzystości powietrza mogłem objąć cały widnokrąg. Gdym się dostał na wzgórze, ukazała się nagle przed oczyma cała Moskwa. Z ciekawością patrza-

łem na owe niezliczone kopuły pozłacane, lśniące odbiciem promieni słonecznych. Miałem przed sobą ową stolicę potężnego narodu, przypominającego w Europie dzikość wieków barbarzyńskich, chytrość byzantyńską i despotyzm chiński.

Patrzałem na ten zbiór cerkwi i pałacy; okolica w bliskości miasta była również pałacami posiana. Przyszły mi na myśl czasy, w których wielki kniaź rosyjski hołdował hanowi tatarskiemu; kiedy Żółkiewski prowadził Szujskich z tego Kremlinu, wznoszącego się wśród świętego miasta prawosławnego i oddawał ich zgromadzonemu senatowi i królowi w Warszawie. Jakaż zmiana odtąd, spowodowana własną naszą winą! Gdym ze zdziwieniem spoglądał na stolicę Rosyi, miałem jeszcze nadzieję, że się moja ojczyzna odrodzi. Niestety, wyroki Boskie inaczej zrządziły, niewola sroższa aniżeli kiedykolwiek, wszystko nam zabrano oprócz wiary!

Nie mogłem sobie zdać sprawy, patrząc z ciekawością na rozległą Moskwę, co znaczą kłęby dymu, wznoszące się tu i ówdzie nad miastem; ani mi do głowy nie przyszło, ażeby Rosyanie mogli podpalić własną stolicę. Pozostawionem było rządowi rosyjskiemu, aby dowieść, do czego zdolny despotyzm w całej swej dzikości.

Rostopczyn zasłużył na równą sławę, co Herostrates z Efezu. Ten spalił wprawdzie tylko jeden budynek, liczący się do cudów świata starożytnego. Roztopczyn na większą sobie sławę zasłużył, paląc miasto całe, będące kolebką narodu jego, spalił kilka tysięcy niemowląt w domu podrzutków, spalił 40 000 żołnierzy rannych, będących w szpitalach, którzy walczyli za cara i system knuta. Cześć tobie, wielki Rostopczynie, należeć do bohaterów Rosyi! Nie nadstawiałeś wprawdzie czoła tam, gdzie można było zginąć, ale pozbawiłeś wojsko francuskie żywności, pozbawiłeś kilkakroć sto tysięcy mieszkańców całego mienia; poświęciłeś kilkadziesiąt tysięcy własnych żołnierzy i kilka tysięcy niemowląt na spalenie żywcem. Rostopczynie, jesteś wielkim człowiekiem, jesteś policyantem rosyjskim w całem znaczeniu słowa!

Moskwa gorzała równocześnie w rozmaitych punktach. Lubo się rząd wypierał udziału w spaleniu Moskwy, jestem przekonany, że gubernator nie działał bez tajnego rozkazu.

Nie można przypuścić, aby człowiek, nie mający polecenia, pozbawił ludność 400 000 całego mienia z własnego popędu, ażeby mógł wziąć odpowiedzialność na siebie przed Bogiem i ludźmi, spalić żywcem kilkadziesiąt tysięcy ofiar i dokonać czynu barbarzyństwa, bezprzykładnego w dziejach nowoczesnych. Po dokonanem dziele kładły winę gazety rosyjskie zrazu na Francuzów, ale, gdy publiczne pisma angielskie zaczęły podnosić pod niebiosa czyn, tyle korzystny dla Wielkiej Brytanii, natenczas przyjęli go Rosyanie na siebie.

Później, widząc, ile im owe barbarzyństwo zaszkodziło w opinii wszystkich uczciwych ludzi, spędzili całą winę na gubernatora Moskwy. Rząd rosyjski oddał Rostopczyna pod sąd, uznał go winnym, wydalił z kraju i na tem się wszystko skończyło. Rostopczyn żył w dostatkach w Paryżu, ale połowa ludności moskiewskiej umarła z nędzy. Zadziwia mnie jednakże pomimo dobrze mi znanej nikczemności policyjnych urzędników rosyjskich, że gubernator znalazł siepaczy, posłusznych jego rozkazom. Wyraźne niepodobieństwo bowiem, aby sam jeden mógł tego dzieła zniszczenia dokonać, musiał koniecznie mieć do tego wspólników. Podziwienia godną tajemnicę zachowano w przygotowaniach do spalenia Moskwy. Zniszczono wszelkie narzędzia, służące do ugaszenia pożaru; wypuszczono na wolność zbrodniarzy, którym wskazano część miasta, jaką spalić mielić. Wywieziono wszelkie kosztowności, będące własnością wtajemniczonych, a publiczność nie domyśliwała się niczego. Mała tylko liczba osób była przypuszczona do tajemnicy. Chociaż każdy taki człowiek miał rodzinę, krewnych i przyjaciół, jednak nikt nikogo nie ostrzegł. Daje to dowód ścisłości związków familijnych pomiędzy policyantami rosyjskimi. Po przegranej pod Możajskiem ogłoszono pompatyczne biuletyny w Moskwie, donoszące o świetnej wygranej, oprowadzano po wszystkich ulicach niewolników zabranych, a dla pomnożenia ich liczby powtarzano kilkakrotnie ową defiladę. Nakazano iluminować domy na oznakę radości. Wszyscy winszowali sobie wspólnie, że minęło niebezpieczeństwo, że Francuzi cofają się w nieładzie. Taki stan trwał 48 godzin.

Dnia 14 września wyszedł zrana rozkaz do całej ludności miasta, ażeby opuściła stolicę natychmiast; księża wychodzili

z wszystkich monasterów i cerkwi w długich procesyach, unosząc obrazy św., a opuszczali miasto, śpiewając psalmy pokutne. Lud się łączył z nimi. Policyanci i odkomenderowani żołnierze wyganiają z domu, co tylko żyje. Każdy ładuje, co tylko może. Kto nie ma sprzężaju, unosi na barkach część sprzętów swoich, wszędzie płacz i złorzeczenia Francuzom. Starcy i kaleki wloką się, wołając o miłosierdzie. Rzecz godna uwagi: nikt nie złorzeczy rządowi barbarzyńskiemu, poświęcającemu tyle ofiar. Rostopczyn nie czekał tej sceny — usunął się z Moskwy dnia poprzedniego. Huk oddalony armat dodawał okropności tej nagłej ucieczce. Wojsko przechodziło w milczeniu głównemi ulicami, nie zatrzymując się wcale. Nad wieczorem nie było już mieszkańców w Moskwie; wiele potrafi dokonać rząd despotyczny. Generał Miłoradowicz i Kozaki Platowa zajmowali jeszcze stolicę. Ostatni palili wszystkie stogi, nagromadzone wokoło miasta.

Od tego czasu wzrosła nienawiść do Francuzów pomiędzy pospólstwem rosyjskiem i to do najwyższego stopnia; dzikość i barbarzyństwo narodu nie miało granic, lud prosty pastwił się w okrutny sposób nad niewolnikami, a zwierzchność patrzała obojętnie na wszystko. Mało który Rosyanin odznaczył się szlachetnością i ludzkością w czasie całej tej kampanii; a ponieważ przykłady tego rodzaju należą do wyjątków, nie mogę zamilczeć postępku ks. Aleksandra Galicyna, który był naczelnikiem wojennym w Kaliszu od r. 1846. Otóż ks. Galicyn, pełniąc obowiązki adjutanta przy feldmarszałku Kutuzowie w czasie kampanii 1812 r., został wysłany z depeszami do Mińska, już zajętego przez Czyczagowa, gdy nasze wojska cofały się ku Berezynie. Galicyn był namiętnym myśliwym, a umiał się z czasem tak urządzić, iż mu pozostało 24 godziny na polowanie w puszczach naokoło Mińska. Urządzono obławę na niedźwiedzie; oficerowie i Galicyn porozstawiali się, czychając na zwierza. Wtem wychodzi z gęstwiny grenadyer francuski, mizerny, obdarty. Spostrzegłszy księcia, zbliża się ku niemu, salutuje po wojskowemu i powiada: «Mon officier, je suis votre prisonnier.» «Que faites — vous ici?», zagaduje go Galicyn. — «Voilà quinze jours que j'erre dans les fôrets», odpowiada żołnierz, «et je ne puis parvenir à rejoindre mon

aigle.» Galicyn chciał go umieścić we dworze polskim, gdzieby miał przyzwoite utrzymanie aż do końca wojny, ale grenadyer nie przyjął. «Si je ne puis rejoindre mon aigle», odpowiedział, je dois partager l'infortune de mes camarades». Galicyn obdarzył go kilku dukatami i wskazał mu stronę, w którą powinien się udać dla połączenia się ze swoimi.

Rosyanie pozwalali sobie na wszelkie bezprawia względem nieprzyjaciela, zła wiara, niedotrzymanie słowa, okrucieństwo, pastwienie się nad bezbronnym; jednem słowem, co tylko było można wymyśleć w uczuciu nienawiści, to wszystko się działo. Francuzi ze swej strony, widząc systematyczne pustoszenie kraju, niszczyli także wszystko, cokolwiek pozostało. Nie przepuszczali żadnemu żyjącemu stworzeniu, owszem zabijali wszystko, ludzi, zwierzęta. Ja sam widziałem na własne oczy pozabijane piękne ogiery, zabrane gdzieś w lesie, których nie można było użyć do zaprzęgu. Rosyanie rozkoszowali się pastwieniem się nad niewolnikami, a chłopów zachęcali do zadawania im katuszy, rannych pozostawiali na placu boju, obdarłszy ich z wszelkiej odzieży, aż ich śmierć uwolniła od głodu i cierpień. Kobiety, które wpadały im w ręce, znieważali; niewolników pędzili nago w czasie mrozów, dochodzących do 30 stopni, konających wyrzucali na ulicę. Wojna ta przybrała podobieństwo barbarzyńskich napadów Attyli, aż pękły ostatnie ogniwa, łączące zastępy Napoleona, a owe jego wielkie wojsko, postrach Europy, ręką Boską i mocą żywiołów przyrodzenia rozproszonem zostało. Bo w naszej przegranej Rosyanie nie mieli udziału: Bóg ukarał Napoleona, ludzie przeciwko niemu nic nie zdziałali, nie odnieśli korzyści, nie zwalczyli go.

Francuzi w Moskwie.

Król neapolitański wkroczył dnia 14 września do Moskwy około południa. Nikt nie oddawał mu kluczy od miasta, nikt nie przyjmował; kilkanaście pułków konnicy i artylerya francuska ciągnęły sznurem przez puste ulice, wszędzie panowało milczenie, a jeżeli brodaty mużyk wychylił tu i ówdzie głowę

z pod zaścianka, znikał spiesznie przed naszymi. Muzyka nasza wojskowa grała w opuszczonem mieście, Francuzi wkraczali z tryumfem do starożytnego grodu, ale nie było świadków owego tryumfu. Wszystkie domy były pozamykane, musiano drzwi wybijać. Gdy dochodzono do Kremlinu, padło kilkadziesiąt strzałów; byli to zagorzalcy, którzy postanowili bronić cerkwi, wszakże rozpędzono ich natychmiast, a kolumny przeciągnęły aż do drugich rogatek miasta na przeciwległej stronie. Konnica roztasowała się po ulicach, piechota zajęła kamienice.

Nazajutrz przybył cesarz Napoleon i zajął Kremlin; gwardya strzegła go, korpus 4-ty piechoty rozłożył się w samem mieście. Napoleon zabronił surowo wszelkich nadużyć, spodziewał się bowiem rychłego powrotu ludności. Nikt nie miał przystępu do kamienic oprócz wyznaczonych oddziałów, a domy, przeznaczone dla wojska, strzeżone były przez żandarmów, ażeby je uchronić od rabunku.

Największa część wojska stanęła biwakiem około stolicy, szemrząc głośno, że jej był wzbroniony wstęp do miasta. Tak upłynął dzień 15-ty. Błąkałem się jeszcze w okolicy Roży, dopiero 16-go połączyłem się znowu z korpusem, do którego należałem. W nocy z 16-go na 17-go września wszczął się ogień, podobno podpalono przedewszystkiem bank i dom podrzutków (hospitalny dom). Wojsko, stojące w Moskwie, pospieszyło na ratunek, jakoż pożar został prędko ugaszony. Wszakże pozapalano niebawem rozmaite inne części miasta, co naprowadziło na myśl, że ogień naumyślnie podkładano. Żandarmerya pilnowała wszystkich ulic i schwytała kilkunastu podpalaczy, którzy się przyznali, że działają z rozkazu rządu rosyjskiego. Tych złoczyńców rozstrzelano w samej Moskwie. Ogień się wzmagał po wszystkich ulicach przez 17 i 18 września. Gwałtowny wiatr, który powstał 18-go, dopomagał żywiołowi tak dalece, że wojsko musiało ustąpić z miasta, podobnego do morza ognistego. Dnia 17-go wyprowadził się cesarz z Kremlinu i stanął kwaterą w zamku Petropawła o milę od Moskwy. Widok gorejącej Moskwy przechodził wszelkie wyobrażenie. Cały widnokrąg był w ogniu od wschodu, a lubo korpus nasz stał o dobrą milę od Moskwy, jasno było jak we dnie przez wszystkie noce aż do ustania pożaru. Każdy łatwo

pojmował, że spalenie Moskwy zniweczyło całkowicie plan Napoleona zimowania w tem mieście, a wojsko narażone było na wszelki niedostatek. Odtąd zaczęły się niepowodzenia i nieszczęścia nasze.

Dnia 21 września ustał pożar. Z całego miasta pozostał tylko Kremlin i jakie 200 kamienic i z 500 dworców, rozrzuconych po ogrodach. Wszystkie składy, fabryki, magazyny były popalone, wszelkie zasoby zniszczone. Widok tych zgliszczów przerażał i wzniecał smutne przeczucie. Gorąco i zaduch po ulicach nie dozwalały przez kilka dni przechodzić pomiędzy rozżarzonemi gruzami. Zdjęty ciekawością, pospieszyłem do Moskwy. Generał Chastel, któremu chodziło o żywność, dodał mi kilkudziesięciu szaserów i wszystkie furgony dywizyi dla zapełnienia ich czemkolwiekbądź.

Domy niektóre w Moskwie miały dziwaczną postać po ogniu. Niektóre mury były całkowicie oblane powłoką szklaną, na innych utworzył się pokost rozmaitej barwy. Były takie, po których cynk stopniały przylepił się, co dawało domowi takiemu niejako wygląd, że ze srebra budowany. Na wielu ulicach nie pozostał ani jeden cały dom, wszystko leżało w gruzach, po innych stały kamienice jakby cudem ochronione. Bardzo wiele trupów, na wpół spalonych, leżało na ulicach. Podobno szpitale wojskowe i dom podrzutków przedstawiały okropny widok; ja ich nie zwiedzałem, unikając o ile możności widoku podobnego; aż nadto miałem scen smutnych codziennie przed oczyma. Atmosfera cała przesiąkła nieznośnym czadem. Wpośród ogólnego zniszczenia odznaczały się cerkwie, najznaczniejsza część ocalała skutkiem swej wysokości i dachów, blachą pokrytych. Owe dachy, pozłacane lub niebiesko pomalowane, lśniły dawnym blaskiem wpośród zniszczenia ogólnego. Tu znalazła przytułek część ludności moskiewskiej, która w dalszym ciągu pobytu naszego w Moskwie powróciła do rodzinnego miasta. Niestety, owi biedni ludzie postradali wszystko, żebrali o kawałek chleba u naszych żołnierzy, ponieważ same tylko gruzy zastali w miejsce swych domów. Okryci po największej części łachmanami, tułali się pomiędzy dymiącem się pogorzeliskiem, szukając po sklepach i piwnicach strawy jakiejkolwiek dla zaspokojenia głodu. Widziałem niektórych,

którzy surowemi warzywami i ścierwem padłych koni żywili się, bardzo wielu używało spalonego zboża, które mełli i rodzaj zupy z niego gotowali. Niestety, i nas czekała podobna kolej.

Po spaleniu Moskwy odebrało wojsko rozkaz wydobycia z pod gruzów, cokolwiek mogło mu być użytecznem. Każdy pułk wysyłał zatem oddziały na rabunek, niejeden przy tej sposobności zaopatrzył się na całe życie, a, jeżeli zdołał uniknąć niebezpieczeństwa odwrotu, mógł odtąd pędzić życie swobodne w dostatkach. Powiadano mi pomiędzy innemi o pewnym oficerze starej gwardyi, który znalazł w gruzach domu spalonego kilkadziesiąt dużych brylantów w pudełku metalowem. Dojechał potem szczęśliwie i bez szwanku do Królewca, nie opuściwszy orła swojego. Tu dopiero sprzedał jeden brylant, kupił powóz, zabrał orła pułkowego i dowódcę swego batalionu, a, wziąwszy ekstrapocztę puścił się do Paryża, gdzie szczęśliwie zajechał. Sądzę, że mu się już odechciało odtąd służby wojskowej, a znalezione brylanty posłużyły mu zapewne do otrzymania jakiej posady cywilnej.

Okoliczność ta przywodzi mi na myśl dwa przypadki podobnego szczęścia, wydarzone w Hiszpanii, gdzie, jak wiadomo, wielu wojskowych znaczne kosztowności porabowało. Ułan polski z gwardyi szwoleżerów Krasińskiego figuruje w pierwszym. Dwa szwadrony pułku tego stały w Toledo, gdzie jeden z kościołów obrócono na stajnią. Ułan rzeczony, będąc pewnego dnia na szyldwachu, spostrzegł po za wielkim ołtarzem miejsce na ścianie, na którem się tynk odznaczał odmienną barwą. Postarawszy się o młot, przekonał się, stukając po murze, że owe miejsce odznacza się rzeczywiście od innych części odmiennym dźwiękiem; spostrzeżenie to swoje zachował w tajemnicy, przybył na powtórną służbę do stajni, opatrzony potrzebnemi narzędziami do odkucia muru. Wydostał z owej kryjówki szkatułę, pełną kosztowności. Ówczesnemu dowódcy obydwóch szwadronów, pułkownikowi Kozietulskiemu, ofiarował rozmaite drogie kamienie, prosząc, ażeby się mógł dostać do Chantilly pod Paryżem do zakładu pułkowego, lecz nadaremnie. Udał się potem ów ułan pod opiekę dowodzącego generała w owem mieście, którego nakłonił bez wątpienia datkiem znacznej wartości do odkomenderowania go jako ordy-

nansa do siebie. Odtąd już nie stawał do frontu, wszędzie pilnował generała, a, dostawszy się szczęśliwie do Francyi, kupił sobie majątek ziemski, ożenił się z Francuską i jest sobie dzisiaj obywatelem poważanym w swoim departamencie. — Drugi wypadek mniej był szczczęśliwy dla żołnierza, który złoto znalazł. Było to podczas szturmu Saragossy, miasto broniło się zawzięcie, Francuzi musieli zdobywać każdą kamienicę z osobna; obie strony, rozjuszone do najwyższego stopnia, nie udzielały sobie pardonu. Otóż spostrzega marszałek Lefebvre, który dowodził oblężeniem, grenadyera, dźwigającego na ramieniu worek spory. »Grenadier, à votre rang!« zawołał marszałek. »Monsieur le Maréchal«, odpowiada żołnierz, »quand on a eu la chance de trouver un pareil chat tel que le-voilà, on ne se bat plus« i wskakuje równocześnie na worek. Stary Lefebvre nie był zbyt cierpliwym człowiekiem; przyskakuje konno do grenadyera i zrzuca worek, który pęka, a tu rozsypują się hiszpańskie kwadruple z niego. Na widok tego złota rzuca się kilkudziesięciu żołnierzy; grenadyer lży marszałka, co mu ślina do ust niesie, zbiera, co może, złota, nawet sporą część worka uratował, ale, wracając do pułku swego, grozi marszałkowi za plecami: »Mon premier coup de fusil sera à ton adresse!«

W Moskwie zaopatrzyła się stara gwardya przed wszystkimi innymi pułkami w żywność na całą zimę, w sukna i skóry na rozmaite potrzeby. Furgony starej gwardyi i artyleryi nie były w stanie pomieścić tej masy artykułów porabowanych, zyskała na tem młoda gwardya, której bardzo znaczna część sprzętów również się dostała. Sam widziałem grenadyerów starej gwardyi w Moskwie, którzy formalne sklepy pozakładali i rozmaite porabowane towary sprzedawali. Liniowa piechota zaopatrzyła się także niezgorzej, lubo nie w tym stopniu co gwardya; najmniej konnicy się dostało. Nam szło mianowicie o furaż i żywność, dla tego szukaliśmy przedewszystkiem magazynów, niestety, prawie bez wyjątku zostały spalone.

Śmieszny był widok niektórych pułków piechoty po opuszczeniu Moskwy; widziałem pułk włoski cały ubrany w płaszcze paliowe, inne bataliony były odziane w płaszcze innej barwy: czarne, szaraczkowe, pąsowe, seledynowe itp. w miarę,

jak stało sukna. Artylerya i pociągi miały furgony naładowane bogatym łupem, który jednak wpadł bez wyjątku w czasie odwrotu w ręce Kozaków.

Cesarz Napoleon nie powrócił do Kremlinu po ugaszeniu ognia, lecz pozostał przez cały czas pobytu naszego w okolicy Moskwy w pałacu petrowskim. Kremlin zajęły rozmaite biura wojskowe, jako też ustanowiona municypalność miasta, złożona z mieszkańców, którzy powrócili do swych zgorzałych siedzib. Wszyscy obywatele Moskwy, którzy się podjęli urzędowania takiego, zostali wywiezieni na Sybir po powrocie Rosyan do stolicy. Generał Duzonel był gubernatorem Moskwy, korpus włoski obsadził miasto, inne korpusy posunął cesarz ku Kałudze, częściowo zaś zatrzymał tak samo jak i gwardyą przy sobie. Konnica wysłana została ku Kałudze po wypoczynku 8 dniowym pod Moskwą. Miałem sposobność być w tem mieście kilka razy; zwiedziłem wszystkie części jego i byłem naocznym świadkiem rabunku. Kamienice leżały wprawdzie w gruzach, ale piwnice były nietknięte, z nich zatem i z wielu składów, uchronionych od pożaru, wynosiło żonierstwo wszystko, cokolwiek mu w rękę wpadało. Zmarnowano nadzwyczajną ilość wiktuałów, a mianowicie wina i okowity. Widziałem, jak żołnierze strzelali z pistoletów do kuf, podstawiali naczynia pod nie i z pełnemi odchodzili, nie troszcząc się o zatkanie dziury. Brodziłem nieraz po piwnicach aż po za kostki w winie wyciekłem. Bardzo wiele rzeczy pomarnowano, zanim władze jakikolwiek porządek zaprowadziły.

Kremlin jest to miasto osobne wśród innego miasta; oryentalny ten zamek nosi dotąd cechę wschodnich budowli, inne budynki Moskwy naśladują budowle miast europejskich, wszakże znajduje się wiele dworców na przedmieściach, wybudowanych w czysto rosyjskim stylu; tam odgrywa »kurna komnata« i piec, zajmujący czwartą część izby, główną rolę. Rzecz szczególna, że w Rosyi nieznane są łóżka w niższych klasach; cała rodzina śpi na tapczanach albo na piecu, okrywając się kożuchami.

Powrót do dywizyi. Zwiedzenie Moskwy. Spotkanie z bratem Ewarystem.

Powróciwszy z owej wyprawy w lasy pod Rożą, o której wspominałem, zastałem dywizyą Chastel, do której byłem przydzielony przez generała Grouchy, w włości hr. Razumowskiego o dobrą milę od Moskwy.

Generał Chastel zajmował piękne pomieszkanie w samym dworze, w którym się znajdowała pyszna biblioteka francuska. W ogrodzie była obszerna cieplarnia, pełna drzew owocowych i winnej latorości, cała postać dworu tego oznaczała zamożnego właściciela. Generał powitał mnie wbrew swojemu zwyczajowi uprzejmie i koledzy radowali się z mojego powrotu, wszyscy bowiem uważali mnie za straconego; tymczasem wracałem nie tylko zdrów, ale prowadziłem jeszcze z sobą dla sztabu i dla generała kibitkę, naładowaną owsem i żywnością, co było nie małą zasługą w obecnych okolicznościach. Prawda, żem żołnierza jednego stracił, poczciwego mego ordynansa Lefebvra, nie była to jednak moja wina, nie uczyniono mi też żadnego wyrzutu. Nie dano mi jednak długo wypocząć, zaraz następnego dnia wysłał mnie generał Chastel do Moskwy na czele znacznego oddziału ludzi, oddawszy mi wszystkie furgony sztabu z poleceniem, abym dostarczył żywności i furażu dla niego i jego adjutantów. Łatwo mi było w pierwszych dniach rabunku Moskwy wypełnić polecenie, wszakże później trudno mi było zaopatrzyć się w jakiebądź wiktuały, 6 razy zaś zostałem wysłany do Moskwy po żywność i furaż. Naładowawszy zatem furgony, odesłałem je pod eskortą oddziału mojego, sam zaś pozostałem, wiedziony ciekawością, w mieście wraz z ordynansem moim. W pierwszych dniach po pogorzeli był jeszcze bruk niektórych ulic tak dalece rozpalony, że nie można było po nim stąpać, wielu żołnierzy, których chciwość za łupem wprowadziła pośród żarzące się gruzy, postradało życie, nie mogąc się dostać na świeże powietrze.

Zwiedziłem nasamprzód Kremlin w wszystkich jego częściach, cerkwiach, pałacach, rynkach i zaułkach. Jestto prawdziwy zamek mocarza wschodu, typ całkowicie oryentalny.

Wystawiałem sobie Iwana, brodatego cara, otoczonego brodatymi bojarami i popami; wystawiałem sobie groźnego kata, towarzysza nieodstępnego pana swego, gdy zasiadał na tronie, a trzymał w ręku knut zamiast berła. Tempi passati, dzisiaj zasiada mocarz największego państwa na kuli ziemskiej na tym samym tronie, a po pozornej ogładzie dworu jego sądzić by można, że poddani jego pędzą życie swobodne, gdy tymczasem w rzeczywistości jest całkiem inaczej.

Ciekawość zaprowadziła mnie do grobów carów Rosyi. Snać wyprzedził mnie inny w tej wędrówce podziemnej, bo drzwi tego przybytku śmierci stały otworem, żadna jednak trumna nie była naruszoną. Tu leżał Piotr Wielki, założyciel istotny potęgi dzisiejszego państwa rosyjskiego, który kazał otruć własnego syna Aleksieja. Tu spoczywał Iwan Groźny, tu bezecna Katarzyna, która własnego małżonka, nieszczęśliwego Piotra III, zamordować kazała, tu Paweł, zamordowany przez swoich faworytów. O krwawe dzieje Rosyi, mordy, katusze, knuty, Sybir, a wszystko pod maską ogłady obyczajów! Moskala czuć wonią pachnideł, wszakże wydobywa się z pośród niej zapach trupi.

«Grattez, Madame, et vous trouverez la peau de l'ours», mawiał kiedyś Napoleon o pewnym Rosyaninie, zalecającym się do pięknej kobiety, a miał wszelką słuszność. Pomimo pozoru ogłady powierzchownej, zawsze przebijać będzie u Rosyanina typ okrucieństwa.

Nikt nie mógł mi wskazać nazwiska monarchów, w tych trumnach spoczywających, wszyscy bowiem mieszkańcy Kremlina rozpierzchli się za przybyciem Francuzów; błądziłem sam jeden w tym przybytku śmierci. Nademną gwar, krzyk, turkot, tu cisza; znajdowałem się wśród tych, którzy nabroili dużo złego, skazali na srogą śmierć wielu niewinnych, wyciskali strumienie łez, umarli, otoczeni blaskiem wielkości, po śmierci całowano rękę skrzepłego trupa niby z wdzięczności, że dobrze władał knutem.

Powróciłem na widownią świata z słońcem zachodzącem, miałem jeszcze tyle czasu, żem mógł rzucić okiem na cudowny obraz jakiegoś Świętego, który, wpuszczony w mury jednej z bram Kremlina, jest przedmiotem czci ludności Moskwy

i całej Rosyi. Obraz ten, zbyt wysoko umieszczony w murze, nie pozwolił mi dokładnie zbadać, kogo przedstawia, zdaje mi się jednak, że świętego Sergiusza. Dwa takie obrazy zdobią dwie bramy tego starożytnego zamku; lud widzi w nich palladium państwa. Chłop ruski klęczy i bije czołem przed nimi i modli się gorąco do nich. W ostatnich czasach pobytu naszego w Moskwie dużo powróciło brodatych kupców i mużyków; każdy żegnał się i czapkę uchylał przed owymi obrazami, a patrzał na nas okiem, pełnem nienawiści.

Przepędziłem noc u kolegi, który stał w porządnym dworcu na przedmieściu Moskwy. Pierwszy to raz od Tołoczyna spałem pod dachem, a co więcej, zasnąłem bez obawy napadu Kozaków. O, wy panicze, którym zawadza fałda w prześcieradle, ani wyobrażenia mieć nie będziecie o rozkoszy, gdy po długiem biwakowaniu może się człowiek rozebrać, wyspać wygodnie i nazajutrz umyć! Błąkając się następnie po rozmaitych częściach miasta, oglądając ciekawie rudery pozostałe i niektóre budowle oszczędzone, spotkałem się trafem losu z bratem moim Ewarystem, o którym nie wiedziałem wcale, że się znajduje w wojsku. Należał do sztabu księcia Neufchâtel (Berthier). Można sobie wystawić radość moją: «Ewarysiu! Franciszku!» zawołaliśmy równocześnie i padliśmy sobie w objęcia. O jakaż to radosna była chwila! Nie mogłem się uspokoić z radości. Jakże mu do twarzy było w jego pięknym mundurze! Ewaryst zabrał mnie ze sobą na kwaterę, gdzie przepędziliśmy cały dzień i noc następną. Mój brat był we wszystko zaopatrzony; ludzie jego wzięli pod opiekę swoją ordynansa mego i konia, a my przy czajniku wspominaliśmy z rozrzewnieniem naszą rodzinę, przeszłość i mówiliśmy o przyszłości.

Szybko noc przeszła. Niektórzy Polacy, także umieszczeni w sztabie głównym, zeszli się do mego brata, wszyscy świeży, utrefieni. Musiałem brzydko wyglądać między nimi w moim jedynym mundurze, zbrukanym po biwakach i codziennych potyczkach, wszakże wszyscy nadzwyczajnie przyjacielsko obchodzili się ze mną i słuchali z równem współczuciem epizod życia mojego w tej kampanii. Tak minęła noc. Nazajutrz o wschodzie słońca byłem już przy generale Chastel, który dnia tego wyruszał z dywizyą ku Kałudze.

Ewaryst nie był stworzonym na żołnierza, poszedł za głosem honoru, biorąc udział w tej walce, po której Polacy spodziewali się odrodzenia ojczyzny. Przeczuwałem, że nie wyjdzie bez szwanku z tej krwawej kampanii, a com widział w jego kwaterze, potwierdziło mnie w mojem mniemaniu. Wszystko tchnęło elegancyą i wygodami rafinowanego życia u niego, lecz nie myślał o zapasach owsa i żywności, odzież jego lśniła się, a niemiał dotąd kożucha. Wielka pod tym względem sprzeczność zachodziła pomiędzy nami, ja byłem obdarty, ale już miałem dobre futro, przed 24 godzinami wynalezione, a należące, być może, do jakiego zwoszczyka ruskiego. Miałem kibitkę, pełną owsa i żywności, miałem cztery pary podków w zapasie, mój brat miał konfitury i fortepian w kwaterze. Ewaryst był całą gębą, co się zowie, młodzieńcem dobrego tonu, śpiewał przyjemnie, grał pięknie na fortepianie, tańcował wybornie, był ulubieńcem kobiet. Jego piękna postawa ujmowała od pierwszego wejrzenia, miał nadzwyczajnie dobre serce, a ton wyborny w salonach. Ponieważ był delikatnej konstytucyi, trudy wojenne nadwyrężały zdrowie jego, wybredny w jedzeniu, nagromadził w kwaterze swojej mnóstwo łakoci, ale nie takich, co wzmacniałyby siły. Wódki nie pił, a nie wiem, czy potrafiłby przełknąć aż do zajęcia Moskwy kęs razowego chleba.

O konie swoje tylko dbał o tyle, aby były wychędożone, co zaś do obroku, spuszczał się pod tym względem na starego wiarusa, którego mu udzielono z pułku neufchâtelskiej konnicy. Spotkałem brata mojego powtórnie pod Tołoczynem w czasie okropnego odwrotu naszego. Miły Boże, w jakimże był nędznym stanie! Przemarzły, opopielony, obdarty, zgłodniały! Rzewnie zapłakałem nad nim, zaklinałem, aby się ze mną połączył, a przysięgałem mu, że go szczęśliwie odwiozę do Wolsztyna. Niestety, nie dał się przekonać, więcej zaufał Litwinom, u których spodziewał się dostać przytułek wśród srogiej zimy. Inaczej Bóg zrządził, dostał się do niewoli, z której dopiero powrócił roku 1816; miał zdrowie ze szczętem zrujnowane i umarł w Paryżu 1818 roku w kwiecie życia swego.

Jużeście, dzieci moje, zwiedzili grób stryja waszego na cmentarzu Père Lachaise, ty, synu mój Ewaryście, kazałeś odnowić

pomnik stryjowi, wystawiony przez dziadka twego, dzięki tobie, żeś stryja, a przyjaciela mego pamięć miał w poszanowaniu!

W pałacu Rostopczyna. Nad rzeczką Czarniawą. Bitwa pod Tarutynem. Napad pod Winkowem. Kapitan Kos.

Nasz korpus przechodził 26-go września przez Moskwę, udaliśmy się ku Kałudze, w którym kierunku całe wojsko poruszać się poczynało. Dywizya Chastel stanęła 28-go we włości grafa Rostopczyna, byłego gubernatora Moskwy. Piękny pałac jego stał całkowicie opuszczony, a wszystkie folwarczne zabudowania były spalone. Na drzwiach pałacu był przylepiony napis następujący: »J'ai vécu ici au sein de ma famille heureux et tranquille durant de longues années. De ma propre main je mets le feu à mes propriétés, ne voulant pas qu'elles fussent souillées par le brigand Bonaparte et sa horde révolutionnaire«. Podpisane »Le Comte Rostopczyn«.

Podpalacz Moskwy nie przepuścił swoim włościom. Miotając obelgami na Napoleona i na wojsko nasze, dał dowód gniewnego usposobienia. Spalił własny śpichlerz i folwarczne zabudowania, nie mógł inaczej zrobić, spaliwszy stolicę państwa, lżył nas, a zakończył życie w Paryżu wśród tych samych Francuzów, przed którymi palił miasta i wsie. Pamiętniki, pozostałe po Rostopczynie, równie nędzne jak przylepiona karta na drzwiach pałacu jego.

Nie oszczędzili żołnierze nasi pałacu gubernatora Moskwy, zniszczyli wszystko, co tylko się w nim znajdowało, niczemu nie przepuszczono. Cieplarnie, meble, wszystko jednem słowem uległo zniszczeniu, wycięto szpalery w ogrodzie, popalono kioski, pospuszczano stawy, nic nie oszczędzono prócz pałacu, który, murowany i wiązany żelaznemi belkami, nie uległ spaleniu. Jadłem tam po raz pierwszy biługę (sterlet), rybę nadzwyczajnie cenioną u Rosyan.

Mieliśmy niezwykłe ciepła w owej porze, zwykle już mrozy panowały w innych latach w tych okolicach. Ciągła pogoda zdawała się rokować wojsku naszemu jaki taki odwrót,

a być może, że łagodna pora złudziła cesarza Napoleona i stała się powodem owego długiego pobytu w Moskwie, którego według mnie nic usprawiedliwić nie może. Lubo nieprzyjaciel wdawał się w układy, by uzyskać pokój, wszakże widoczną była jego chytrość. Nie potrafił nas oszukać, mianowicie tych, co byli na forpocztach, a codziennie przekonać się mogli o pomnażających się siłach jego i zuchwałości Kozaków. Już nie było można furażować jak pod zasłoną piechoty i artyleryi, a przy każdem furażowaniu przychodziło do zaciętych potyczek. Każda noc oznaczoną była napadami Kozaków na rozmaite stanowiska nasze, chłopi uzbrojeni czyhali po lasach, a biada temu, który się dostał w ich ręce. Nie do opisania nędzny stan koni naszych nie dopuszczał żadnego podjazdu z naszej strony. Oficerowie rosyjscy wołali na naszych żołnierzy, jak daleko jeszcze mają do Paryża. Późniejsze mrozy urzeczywistniły ich nadzieje.

Nasz korpus pod dowództwem generała Lahoussaye udał się 1-go października do wsi Dymitrow na trakcie ku małemu Jarosławcowi. Nieprzyjaciel palił wszystkie wsie, mosty i stogi zboża i siana przed nami. Ludność uchodziła, nic prócz ziemi gołej nie pozostawiając. Korpus polski ciągnął na naszem lewem skrzydle, 29-go września został napadnięty. Polacy bili się ze zwykłą walecznością, ale zażądali naszego współdziałania, którego generał Lahonssaye odmówił. Bitwa przeciągała się długo w noc, wreszcie cofnęli się Rosyanie, lecz Polacy ponieśli znaczne straty bez korzyści dla ogółu ruchów. Generał Lahoussaye był wielkim niedołęgą, wszyscyśmy żałowali, że generał Grouchy nie mógł dla swej kontuzyi dowodzić naszym korpusem. Dnia 1-go października przybyliśmy do wsi Dymitrow, spalonej w części przez Kozaków. Okolica, w której znajdowaliśmy się, nie była zniszczoną, znaleziono pod dostatkiem żywności i furażu w pierwszych dniach naszego pobytu. Stojąc w niej jednak do 13 października, wyczerpaliśmy szybko zasoby wszystkie, a w ostatnich dniach trzeba było wysyłać furażerów pod eskortą armat. Nie można było zachować dość czujności, chcąc się od Kozaków ochronić. O mało król neapolitański nie dostał się do niewoli, do którego obozu wpadli znienacka Kozacy, zaledwo zdą-

żył konia dopaść. Zawdzięczał oswobodzenie swoje kompanii piechoty, która z poza furgonów ogniem swojem wstrzymała Kozaków. Murat, dognawszy pułki konne, już przygotowane, rzucił się na ową dzicz, która się rozpierzchła w rozmaite strony. Król neapolitański dowodził korpusem, posuwającym się ku Kałudze. Dał się złudzić przez generała Miłoradowiczowa, z którym zawarł zawieszenie broni, wszakże Rosyanie zerwali je w krótkim czasie bez wypowiedzenia.

Skutkiem owego zawieszenia kroków nieprzyjacielskich wysłaną została dywizya Chastel pod wieś Winkowo, gdzie stanęła biwakiem w brzozowym lesie, nad rzeczką Czerniawą. Tu przybyły do nas furgony i kuchnia cesarska, a kucharz rozłożył cały swój zapas, ażeby sporządzić obiad dla cesarza i jego sztabu. Ślina nam do ust przychodziła, gdyśmy patrzeli na pyszną wędlinę i rozmaite łakocie, których od początku kampanii żaden nie spożywał. Myśmy się żywili najwięcej mięsem, gdziekolwiek zdobytem w okolicy z niebezpieczeństwem życia i chlebem razowym lub sucharami. Można zatem sobie wystawić, jak bardzo byliśmy spragnieni tych pysznych szynek i pasztetów, pokazywanych nam jakby na urągowisko. Porucznik Guit i ja postanowiliśmy sprzątnąć dwie szynki, w serwecie zawiązane, które kucharz właśnie spuścił do kotła, przystawionego do naszego ogniska. Guit poszedł do szaserów swoich, wnet przybyło ich kilkunastu, a każdy w płaszczu kolistym i na około ogniska rozsiedli się. Kucharz krzątał się na około obiadu, chodził od furgonu do stołu, urządzonego na prędce, od stołu do ogniska; szaserzy, upatrzywszy porę, wydobyli szynki, a wrzucili przygotowane już cztery nogi końskie, w brudną szmatę zawiązane, do kotła. Zdobywca szynek oddalił się, inni pozostali. Dziwiło kucharza, że mniemane szynki nie kruszeją pomimo długiego gotowania, jakoż woda kipiała od pół godziny, a za każdem ukłuciem szynek długą śpilką zawsze się przekonywał, że twarde; zniecierpliwiony, wydobywa wreszcie mniemane szynki z kotła. O zgrozo! ledwie go paraliż nie ruszył na widok brudnego płata i czterech nóg końskich, przy których jeszcze podkowy były. »Les jambons de l'Empereur!« zawołał z wściekłością »Ils sont bien sales«, odciął porucznik Guit. Wszyscy się śmiali, a Francuz pobiegł do ge-

17

nerała Chastel, mającego biwak swój o kilkanaście kroków, dla uskarżenia się: »Ils m'ont volé les jambons de l'Empereur, deux superbes jambons de Mayence!« »Et qu' alliez vous faire, cuiste, que vous êtes au bivouac de la cavalerie légère?» odpowiedział generał, »je m' étonnerais fort s'il était arrivé autrement. Comment, tandis que le soldat est à la chair de cheval, exposé à toutes les privations imaginaires dans ce pays maudit, vous venez comme un idiot lui faire voir des jambons, vous les faites cuire au feu de mes chasseurs' et vous avez la simplicité de croire qu' ils ne vous les chipperont pas? Allez, vous êtes une grosse bête, tout ce que je puis vous conseiller, c'est d'emballer bien vite le reste, car ils ne tarderont pas à l'avaler!« Odszedł kucharz zawstydzony, zżymał się, biadał, szukał, wszakże napróżno, wreszcie, wystawiony na bezustanne szyderstwa żołnierzy naszych, zapakował rądle i garnki i przeniósł się do innej części obozu. Ten mały epizod rozweselił nas wszystkich, a nieszczęśliwy kucharz stał się nawet w kampaniach następnych celem żartów naszych; nazywaliśmy go odtąd: »Le jambon de l'empereur«.

W kilka dni po naszem zajęciu Winkowa zerwali Rosyanie zawieszenie broni bez poprzedniego zapowiedzenia kroków nieprzyjacielskich. Dnia 17-go października napadli na korpus księcia Józefa o samym świcie pod Tarutyną. Generał Fiszer zginął w tej potrzebie; wszakże Polacy stawili czoło nieprzyjacielowi, a generał Beningsen widział się zmuszony wstrzymać swój atak. Polacy uszykowali się pod ogniem nieprzyjaciela, wstrzymali go i byliby niezawodnie odpędzili napowrót, gdyby podobną czujność był zachował generał Sebastiani, który z dywizyą swoją stał na lewem skrzydle korpusu polskiego.

Nie był przygotowany do boju, nieprzyjaciel zastał dywizyą jego w nieładzie, spędził ją ze stanowiska, zabrał 40 armat i wszystkie bagaże. Generał zaledwo zdołał wstrzymać swych ludzi, uchodzących w nieładzie, pod Woronowem, tj. o półtorej mili w tył. Skutkiem takiego niepowodzenia naszych cofnął się korpus polski, obawiając się oskrzydlenia. Nasz korpus wsiadł na koń za pierwszym wystrzałem, nieprzyjaciel atakował nas dwa razy, ale został odparty za każdym

razem. Generał Lahoussaye cofnął się w porządku i zrównał z resztą wojska.

Znowu o mało nie dostał się król neapolitański do niewoli w tym napadzie. Ufny w zawieszenie broni, leżał sobie spokojnie w łóżku, gdy pierwsze strzały padły. Ledwo zdołał się ubrać, gdy Kozaki wpadli przed namiot jego; jednakże piechota, już uszykowana w małej wprawdzie liczbie, bo było jej tylko dwie kompanie, odpędziła ich, a król zdołał wsiąść na konia. Stanąwszy na czele karabinierów, rozsiekał cztery bataliony rosyjskie, prowadzone przez generała Müllera, który ubiegał się o zajęcie wąwozu pod Woronowem, ażeby tył zabrać korpusowi 5-mu pod dowództwem księcia Józefa. Prócz straty, poniesionej przez dywizyą Sebastiani, wojsko nasze stawiło wszędzie czoło Rosyanom i zniweczyło ich plany. Ja z mojej strony zdobyłem w tej potrzebie konia kozackiego, który, mogę śmiało powiedzieć, życie później mi uratował skutkiem swej wytrwałości w czasie odwrotu.

Napoleon przekonał się napadem pod Winkowem, że go Rosyanie łudzili pozornymi układami, zatrzymując go jaknajdłużej w Moskwie w celu doczekania się mrozów, które, byli o tem przekonani, skuteczniej im dopomogą przeciwko Francuzom od jakiegokolwiek sprzymierzeńca. Nawet nieprzyjaciele z tem się nie taili; jakoż w rozmowie króla neapolitąńskiego z generałem Miłoradowiczem pod Tarutyną odpowiedział tenże królowi, gdy mu przedstawiał gwałtowną potrzebę dla obydwóch stron zawarcia pokoju: »Il est vrai, Sire, la campagne a fini pour les Français, il est temps qu'elle commence pour les Russes!«

Bitwa pod Winkowem i Tarutyną kosztowała wiele ludzi, zabranych do niewoli, 40 dział i wszystkie furgony, zabrane dywizyi generała Sebastiani, polegli generałowie Fiszer i Dézy, pierwszy adjutant króla neapolitańskiego, który został zabity przy boku króla, gdy nacierał na grenadyerów generała Müllera.

Dwa dni później, tj. 19 października wydał cesarz rozkaz do odwrotu. Sam wyruszył ze zamku Petrowski na czele gwardyi swej. Tylną strażą dowodził książę Treviso (marszałek Mortier), który został w Moskwie aż do 23-go. Od 15-go października już pociągnęły wszystkie tabuny i szpitale woj-

skowe ku Smoleńskowi pod zasłoną korpusu księcia d'Eckmühl (marszałka Davousta.) Batalion Portugalczyków zamknął się w Kremlinie, a razem z nim ówczesny kapitan, a późniejszy pułkownik Kos z korpusu inżynierów polskich, któremu było polecone wysadzić w powietrze już podminowaną siedzibę Ruryków. Dnia 23-go października opuszczał książę Treviso Moskwę, uprowadzając ze sobą zabranego do niewoli rosyjskiego generała Wintzingerode, który, chciwy sławy, wpadł do miasta na czele kilku tysięcy Kozaków, dostał po skórze, a sam został wzięty do niewoli. Pozostawał jeszcze w Kremlinie batalion Portugalczyków i kapitan Kos. Kozacy uwijali sie w mieście, ścigając i mordując włóczęgów, z wojska naszego pozostałych.

Dowódca batalionu miał rozkaz opuścić Kremlin o samej północy; kapitanowi Kosowi polecono zapalić miny, zanim batalion wyruszy. Opowiadam tu owe dokonanie dzieła tak, jak mi udzielił w późniejszym czasie sam pułkownik Kos. »Książę Treviso, mówił Kos, opuścił miasto dnia 23 października około południa. W dwie godziny po jego ustąpieniu, ukazali nam się Kozacy i drużyna (pospolite ruszenie). Każdy, mijający Kremlin, żegnał się, zdejmował czapkę, a wielu z nich przyklękało przed obrazami, wmurowanymi w bramach. Komendant batalionu uszykował ludzi swoich na wałach i w oknach, gotów dać odpór w razie szturmu, wszakże ten motłoch poprzestał na strzelaniu zdala do naszych, my nie odpowiadaliśmy nawet. Zeszedłem do lochu, gdzie miny były pozakładane, było ich 47. Przekonałem się, że wszystko w porządku, pozakładałem lonty i czekałem godziny oznaczonej. Nad wieczorem ucichło w Moskwie, ale Kozaki i chłopstwo pozakładało ognie nad brzegiem rzeki Moskwy i po rozmaitych miejscach naokoło Kremlinu; snać nas pilnowali. O w pół do dwunastej spuściłem się do lochów, dowódca batalionu kazał uprzątnąć jednę z bram, które wszystkie zatarasowane były; ja osobiście przyczepiłem do każdego lontu po kawale hupki, w spiral wykrojonej, a obliczonej na godzinne tlenie, aż zapali lont. Po tej czynnności zapaliłem hupki jednę po drugiej, a również taką samą hupkę zapaliłem i dla siebie, chcąc się przekonać o czasie, kiedy wybuch nastąpi. Po uskutecznionej czynności pobiegłem

do batalionu, już uszykowanego w kolumnę i gotowego do opuszczenia Kremlinu. O samej północy otworzono bramę, batalion wyszedł w największej cichości i przeprawił się przez most, gdy się rozległ krzyk pomiędzy kozactwem i drużyną: »Francuzy!« Ten motłoch otoczył nas zewsząd, wszakże ustępował w miarę posuwania się naszego. Kilkanaście strzałów padło z ich strony, nasi żołnierze nie odpowiedzieli. Wkrótce usłyszeliśmy dzwony Kremlinu, a cała tłuszcza rzuciła się ku oswobodzeniu zamku. Wyszedłszy z Moskwy, zatrzymał dowódca batalion swój w lasku brzozowym o jakie ćwierć mili od miasta, ażeby się przekonać o skutku min. Już dawno rzuciłem dogorywającą hupkę, a cichość nocy nie była przerywaną jakimkolwiek hukiem. Przykra to była chwila dla mnie, obawiałem się zagaszenia lontów, jednakże wiedziałem, żem hupkę przyczepił własną ręką do nich z największą przezornością. Wyrzucałem sobie pospiech, z którym opuściliśmy Kremlin, będąc przekonany, że postradam na zawsze zaufanie moich przełożonych. Pozostawałem przez kwadrans w tej niepewności, aż rozległ się w powietrzu głuchy huk pierwszej miny, a niebawem nastąpiły trzy inne. Dzieło było zatem wykonane, Kremlin leżał w gruzach. Odtąd ucichły dzwony, nastąpiła cisza. Byłem spokojny, batalion ruszył w dalszy pochód. Maszerowaliśmy całą noc bez jakiejkolwiek napaści; około południa złączyli się Portugalczycy z tylną naszą strażą, było to dnia 24 października.«

Takie było opowiadanie pułkownika Kosa, który w organizacyi za czasów naczelnego dowództwa w. ks. Konstantego został dozorcą nauk przy korpusie kadetów w Kaliszu, gdzie go zastała rewolucya 1830 r. W czasie tej wojny był szefem sztabu przy dywizyi generała Giełguda. Po finalnem wykreśleniu Polski z rzędu narodów udzielili poczciwi OO. Kapucyni w Warszawie przytułku pułkownikowi Kosowi, pozbawionemu wszelkiego mienia. Umarł w tym klasztorze w r. 1842-go.

Jakież to przerażenie i popłoch powstać musiały pomiędzy ową tłuszczą, napełniającą Kremlin, gdy zawaliły się cerkwie i zamki wśród okrzyków tryumfu i modłów. Owi chłopi, przywykli od urodzenia uważać Kremlin jako miejsce święte, jakże byli przerażeni, widząc zapadające się mury przybytków,

które szanowali porówno z grobem Chrystusa! A wystawiam sobie, jak spiesznie musieli zmykać z tego zamku, gdzie ziemia się pod ich nogami trzęsła. Ile to poginęło tych nieszczęśliwych! Cesarz Napoleon kazał w Kremlinie zdjąć krzyż z wieży cerkwi ś. Iwana, przeznaczywszy go dla kościoła Inwalidów w Paryżu celem zachowania wiecznej pamiątki pobytu w Moskwie. Drogo opłacony ten upominek dostał się Kozakom napowrót w czasie odwrotu, również i najznaczniejsza część łupów, z Moskwy uprowadzonych.

Bitwa pod Małym Jarosławcem. Potyczka pod Wereją. Mrozy. Rozprzężenie wojska.

Dnia 23-go zajęła dywizya Delzons, należąca do korpusu wicekróla włoskiego, Mały Jarosławiec, miasteczko na trakcie ku Kałudze, wszakże z niego ustąpić musiała dnia następnego przed przemagającą siłą nieprzyjaciela. Wicekról przybył na pomoc swojej dywizyi z całym czwartym korpusem piechoty; Rosyanie wzmacniali swoich, aż wreszcie wystąpiło całe ich wojsko. Walczące siły zajmowały na przemian miasto, które w czasie walki całkowicie spłonęło; wreszcie zostało przy nas. Wielu ludzi poległo w tej potrzebie, Rosyanie bili się z prawdziwą wściekłością. Zauważyłem w tej bitwie, że energia żołnierzy naszych słabła, a przeciwnie wzmagała się energia nieprzyjaciół. Dnia 25-go wpadli Kozacy do samej głównej kwatery cesarskiej; odpędzeni przez grenadyerów konnych, dostali się w ręce naszej dywizyi, która tym razem ciężką im zadała klęskę. Dzielni szaserzy stali pod Gorodynowem, Kozacy, parci przez grenadyerów konnych, a unikając piechoty, której się strzegli zawsze, sądzili, że przełamią nasze szyki, stało się zaś przeciwnie. Zdziesiątkowani natarciem dywizyi Chastel, utracili 6 armat, a, otoczeni zewsząd przez dragonów gwardyi i szwoleżerów Krasińskiego, pojedyńczo się tylko dostali do swoich, największa ich część poległa lub zabraną została do niewoli. Rzecz zastanowienia godna, że Kozacy nacierają z krzykiem, wszakże, gdy wpadną w łapkę, krzyk ich ustaje i uciekają milczkiem. W tej potrzebie ani jeden

Kozak się nie odezwał. Jakie 600 Kozaków poległo. Owe małe zwycięstwo było dla naszych wielką rozkoszą, tak bowiem trudno zmusić Kozaków do walki. Walczą mężnie, gdy ich 10 na jednego przeciwnika, ale nigdy się nie wdają w rozprawę tam, gdzie siła równa, cóż dopiero tu, gdzie z naszej strony była siła przemagająca. Dnia 27-go października ruszyło wojsko nasze ku Możajskowi. Cesarz zaniechał zamiaru dostania się przez Kaługę w południowe prowincye Rosyi, stanęliśmy pod Wereją. Tu znowu porazili szwoleżery Kozaków. W tej potyczce poległ syn hetmana kozackiego Płatow, a z naszej strony dostał się generał Tyszkiewicz do niewoli. Codziennie zmniejszające się siły nasze skutkiem wielkiej ilości zabieranych nam ludzi przez Kozaków, nędzny stan koni i brak furażu nie pozwalały cesarzowi stoczyć powtórnej bitwy, podobnej, jaką stoczył pod Możajskiem. Do tej przyczyny przyłączyła się i druga. Mówiono o spisku generała Malet w Paryżu, któremu nawet udało się aresztować prefekta policyi i wywołać chwilową obawę o tron cesarza Napoleona. Wiadomość o tym spisku doszła Napoleona jeszcze w Moskwie, a sprawiła na nim nadzwyczajne wrażenie. Mało kiedy widziałem cesarza będąc zawsze na forpocztach i aż dotąd nie miałem sposobności z nim mówić. Tyle tylko mi wiadomo z rozmów generałów, że od chwili odebrania tej smutnej wiadomości Napoleon wydawał się bardzo zniecierpliwionym i rozgniewanym.

Nastąpiła zatem smutna konieczność powracania krajem, którym poszło wojsko do Moskwy, krajem całkowicie zniszczonym, żadnych zasobów nie mającym do wyżywienia żołnierzy i koni. Dnia 29-go października stanęło wojsko pod Możajskiem. Mróz chwycił nagle i bez jakiegokolwiek wstępu doszedł odrazu do 15 stopni Réaumura. Wojsko cierpiało z braku żywności, a odzież żołnierza, zastosowana do łagodnego klimatu, nic nie znaczyła w kraju pod strefą, tak na wschód posuniętą. Konie, okute bez ocelów, według zwyczaju francuskiego, nie były w stanie ciągnąć ciężaru, konnica musiała prowadzić konie za cugle, gdzietylko jakiekolwiek gołoledzie się znajdowało. W pierwszym i drugim etapie jeszcze wojsko się trzymało jako tako, ale trzeciego dnia rzuciło kilka tysięcy broń,

a każdy pobiegł za żywnością i odzieżą według instynktu. Liczba włóczęgów była przerażającą, a pomnażała się z każdym dniem. Bagaże stały opuszczone na drodze dla braku koni, zdychających codziennie z głodu. Wkrótce przyszła kolej na wozy prochowe i armaty; mnóstwo wozów, których nie było można uprowadzić, wysadzono w powietrze; słyszałem od rana do wieczora huk wybuchów tego rodzaju. Zrazu biegli Kozacy skwapliwie do każdego furgonu opuszczonego, wszakże zaniechali tego, gdy wyleciało w powietrze kilka wozów prochowych i kilkudziesięciu ludzi zabici albo ranni zostali; odtąd minęło zawsze nieco czasu, zanim który z nich zbliżył się do pozostawionego wozu.

Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci widok owych nieszczęśliwych żołnierzy, przed kilku tygodniami jeszcze pełnych zapału i energii. Przyodziani w najosobliwszy sposób, w szaty jakiejbądź płci i stanu, byle tylko mogły ich osłonić od mrozu dokuczliwego, byliby pobudzili do pustego śmiechu w innych okolicznościach. Otóż wlokło się kilkanaście tysięcy takich istot nieszczęśliwych, przemarzniętych i zgłodniałych; żadnego piętna nie zatrzymali ludzkiego prócz powierzchowności. Oczy powychodziły im nadzwyczajnie z głowy, warstwą brudu i dymu powleczeni, nie zatrzymali nawet barwy, skórze ludzkiej właściwej. Wzrok ich był dziki, twarz wychudzona, wszyscy niejako osłupieli, każdy milczał, a zdawał się niczem nie zajęty. Długa kolumna taka postępowała milcząco ku Smoleńskowi, a następnie ku Wilnu. Gdzie końskie ścierwo leżało, czy dopiero co padłe czy zwierz zdechł w pochodzie naszym do Moskwy, tam się rzucało kilkadziesiąt nieszczęśliwych, rozrzynali obrzydliwą strawę na kawałki i pożerali surową. Żadnego apelu ni komendy nie słuchali, wszystkie stopnie hierarchii znikły, każdy był tylko sobą zajęty. Zebrani w gromadę po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu, postępowali od rana do późnej nocy, ile sił każdemu starczyło. Który z nich padł, temu żaden nie dopomógł do powstania. Każdy go mijał obojętnie, pozostawiając losowi. Co więcej, znajdowali się tacy, którzy takiego odzierali z odzieży, okrywając własne członki łachmanami, zabranymi konającemu koledze, nie zważając wcale na jego jęki i złorzeczenia, a nie było nikogo, któryby

się ujął za nim. Wieczorem zatrzymywała się owa kolumna, gdy się gwiazdy ukazały, równym instynktem. Co było drzewa w okolicy, budynek czy płot, rozbierano na ogień, nie zważając, że w domostwach znajdowali się generałowie albo ranni, a jeżeli zgraję taką odpędzali chwilowi mieszkańcy, palono domostwa i częstokroć ginęli w płomieniach ci, którzy chwilowego spoczynku pod dachem szukali. Po rozpaleniu ogni szukał każdy sposobu do uśmierzenia głodu dokuczającego; najwięcej służył do tego kawał ścierwa końskiego, niekiedy pies albo jakiebądź zwierzę, co tam pod rękę wpadło. Byli tacy, którzy mieli mieszek mąki, pilnie strzeżonej, ci rozpuszczali nad ogniem śnieg w kociołku, sypali garść mąki do wody wrzącej, dodawali do niej parę nabojów prochu i spożywali łakomo ten rodzaj czerniny. Ów klajster obrzydliwy stawał się przedmiotem zazdrości wielu innych, a częstokroć płacono 20 franków i więcej za porcyą tego przysmaku. Ja sam zapłaciłem pod Krasnem, już za Smoleńskiem, 20 franków za mały kieliszek wódki; pod Wiazmą schwyciłem kota, zabiłem, ociągnąłem, upiekłem i spożyłem jako kąsek najwyborniejszy.

Zaspokoiwszy głód, ugasiwszy pragnienie śniegiem roztopionym, kładła się owa tłuszcza naokoło ognisk w ten sposób, że jeden kładł głowę na nogi drugiego; utworzywszy zatem koło naokoło ognia, zasypiali owi nieszczęśliwi, zapominali o cierpieniach swoich na chwilę. Każdej nocy umierało ich wielu, ci już przestawali cierpieć.

Zdarzało się często, że śnieg przykrył wielkim całunem wszystkich; żaden się nie ruszył z miejsca; nikt nie byłby się domyślił, że kilkanaście żebraków koczuje na owem polu; wszyscy leżeli w niejakim rodzaju odrętwienia. Nie było straży, coby ich pilnowała, nie było dowódcy między nimi; im już było wszystko obojętne, gdyż doszli do tego stopnia nieszczęścia, że dla nich było jednem i tem samem umrzeć od razu, albo powlec się o kilka mil dalej; wiedzieli, że się nie wydobędą z położenia swego. Nad ranem podnosili się, ile ich jeszcze pozostało przy życiu, reszta już nie cierpiała — snem wiecznym zasypiali, śmierć przynosiła im ulgę. Nie potrzebowali ni bębna ni trąbki do odebrania hasła; kto mógł, ten wstawał razem ze świtem, chwytał za kij i ruszał dalej. W tym

okropnym czasie ustały wszelkie uczucia przyjaźni i życzliwości; ktokolwiek się rozrzewnił nad losem kolegi, przepadł; należało posiadać nadzwyczajną siłę moralną, ażeby zdobyć zobojętnienie na wszystko, co otaczało, w przeciwnych warunkach człek ginął. Kto pragnął uratować własne życie, ten musiał mijać nawet rodzonego brata, choć siły mu ustawały, a spieszyć czemprędzej dalej. Siła fizyczna stanowiła wszystko; różnica stopni wojskowych już nie miała żadnej wartości. Złoto było niczem, kęs chleba skarbem nieocenionym. Były wypadki, że włóczęga włóczęgę obdzierał nawzajem, w tym przypadku powstawał bój zacięty, kończący się bardzo często śmiercią jednego z nich; inni mijali obojętnie zapaśników. Powszechne hasło u wszystkich było: »Jeść!«

Taki sam niedostatek żywności panował pomiędzy końmi; słoma z dachów, która nawet była bardzo rzadka, bo Kozaki wszystko palili, stała się pokarmem wielu pułków konnnych i wielu bateryi. Oczywiście, że konie opadły ze sił w tym niedostatku; porzucano zatem najprzód bagaże, następnie wozy amunicyjne, a wreszcie i armaty. Konnica zjadła konie swoje. Począwszy od Możajska, widziałem armaty, pozostawione na trakcie, a nieustanne wysadzanie w powietrze wozów prochowych przekonywało o niemożności uprowadzenia ich.

Wojsko, pozostałe pod bronią, dostawało resztki żywności, uprowadzonej z Moskwy, było przedmiotem pieczołowitości cesarza. Mianowicie gwardya pobierała regularnie żywność z Moskwy aż do Smoleńska, gdzie znów zaopatrzoną została we wszystko na dwa tygodnie. Konie artyleryi i konnicy gwardyi dostawały, począwszy od Możajska aż do Smoleńska, po jednym garncu owsa dziennie, a zatem nie utraciły siły, lubo wychudły. Wszakże niegodziwy zwyczaj kucia koni u Francuzów, nie zostawiających oceli przy podkowach, spowodował wielkie straty nawet i w gwardyi. O żołnierzy zdemoralizowanych nikt się nie troszczył, byli plagą wojska pozostałego pod bronią.

Kawalerya liniowa zniknęła zupełnie, konie padały z powodu całkowitego niedostatku furażu, a w miarę padania były natychmiast rozćwiartkowywane i zjadane; jeździec odpinał mantelzak i przyłączał się do maroderów; w parę dni tracił powierzchowność żołnierza, stawał się takim jak inni.

Pierwszym celem zabiegów moich było mieć zawsze kibitkę moją zaopatrzoną w żywność i obrok, a dla tego rzadko kiedy doznawałem niedostatku. Porwałem we Werei trzy worki jęczmienia, przeznaczonego do pułku strzelców konnych, które ukryłem w mojej kibitce. Pod Możajskiem, widząc niepodobieństwo uprowadzenia owego pociągu, przewiesić kazałem dwa worki tego zboża na koniu, jeden już spasłem. Ordynansa mego nigdy nie puszczałem samego z obawy, ażeby się nie zabłąkał. O służbie nie było już mowy, cała dywizya generała zniknęła, kilkudziesięciu oficerów z tej dywizyi przyłączyło się do generała, to było wszystko Pod Wiazmą przekonałem się, że nie wystarczę z obrokiem do Smoleńska, kazałem zatem zabić jednego konia, którym się podzieliłem z kolegami. Ordynansowi kazałem mieć staranie o sobie, ja zaś, zabrawszy resztę jęczmienia na konia, pozostałem przy moim generale. Chastel tak samo uczynił, kazał spalić swój furgon, a, zaprzągłszy do sani opuszczonych dwa najdzielniejsze konie, zabrał w ten sposób, co miał najkosztowniejszego; na trzeciego konia wsiadł, sądząc, że bezpieczniej mu będzie razem z nami aniżeli samemu w saniach.

Pod Dorohobużem doznałem wielkiego głodu, dla konia mego miałem jeszcze cztery garnce jęczmienia, dałem mu je w całości, ja zaś wyprosiłem sobie od Bawarczyków kawał psa, którego zabili, i posiliłem się tą pieczenią. W życiu mojem nic mi się nie wydawało równie smacznem. Umówiłem się z generałem Chastel, że wyprzedzę go do Smoleńska, aby mu zawczasu przygotować jaką taką kwaterę i żywność. Dnia 5-go listopada puściłem się do Smoleńska z porucznikiem Lambertem, adjutantem generała Grouchy. Był to nieoszacowany kolega, nie opuszczało go nigdy wesołe usposobienie nawet w smutnem położeniu naszem. Przekonawszy się, że musimy koniecznie stanąć w jednym dniu w Smoleńsku, chcąc uniknąć niechybnej śmierci przy mrozie, dochodzącym 26 stopni, pogodził się z tą perspektywą, tem smutniejszą, że nie posiadał futra, posiadał tylko jako jedyne okrycie płaszcz kolisty. Puściliśmy się zatem kłusem z Dorohobuża o wschodzie słońca dnia 6-go listopada. Dotąd dziwię się, że Lambert był w stanie wytrzymać straszny mróz bez futra. Jechaliśmy dobrym kłusem,

dopóki sił starczyło, następnie biegliśmy pieszo dla rozgrzania się znowu kłusem; i tak na przemian bez wytchnienia do wieczora. Któż pojmie rozkosz naszą na widok wież Smoleńska! Już nas siły upuszczały, głód straszny nam dokuczał, a konie, lubo wytrzymałe, widocznie ustawały. Wieże obiecanego miasta, lśniące się przy zachodzącem słońcu, podwoiły nasze męstwo; batog kozacki wydobywał resztę sił z koni. «Vivat!», zawołałem, wjeżdżając przy gwiazdach do Smoleńska.

W Smoleńsku. Pod Krasnem.

W Smoleńsku zajechaliśmy na przedmieściu; tam stara baba dostarczyła nam za pieniądze żywności i obroku, już nie ruszyliśmy się z miejsca tego wieczora. Nazajutrz przed wschodem słońca udaliśmy się do plackomendanta, który natychmiast kazał wyznaczyć kwatery dla naszych generałów. Przysposobiwszy, co mogłem dla wygody przybywających, pospieszyłem im naprzeciw, oddawszy resztę zarządu Lambertowi, który zanadto był przeziąbł, by mi mógł towarzyszyć.

Generałowie szli piechotą, jak ich cały sztab. Powitali mnie jako wybawcę, bo przywoziłem im sporą flaszkę wódki i kilka chlebów żołnierskich. Jakże chciwie pożerali biedacy ową strawę!

Udając się ze Smoleńska naprzeciw generałom Grouchy i Chastel, natrafiłem na rynku na sanie, zaprzężone parą litewskich rączych koni, przy których był chłop litewski. Rozkazałem mu ruszyć za mną, chłop się tłomaczył, że jego »panoczek« dopiero co zesiadł i kazał mu czekać, że jest z pod Orszy, dokąd niebawem pospiesza. Dobyłem pistoletu z olstra, wymierzyłem w głowę woźnicy i zagroziłem, że go zabiję w razie oporu. Wszystko było dozwolone w tej nieszczęśliwej epoce, mnie szło o podprowadzenie owego sprzężaju dla generałów. Chłop się uląkł i ruszył, a ja prowadziłem go z jakie trzy mile ku Dorohobużowi, broniąc się ustawicznie od napadu maroderów. Nie mogę wyrazić wdzięczności generała Grouchy, gdym mu powiedział, że owe sanki miały mu służyć. »Brave Polonais«, odezwał się, «je n'oublierai de ma vie cette marque

d'attachement de votre part, vous me sauvez la vie!» Generał Chastel przeklinał w niebo głosy klimat, nawet mi nie podziękował. Generałowie powierzyli ostatnie konie swym wiernym ordynansom i oficerom, mającym jeszcze konie, a zabrali, ile mogli oficerów, pozbawionych koni, na owe saneczki. Zawiesiło się ich ośmiu, chłop szedł pieszo. Około czwartej po południu przybyliśmy na kwaterę. Lambert nie próżnował, rosół gorący, wołowina i groch ukazały się niebawem na stole, nawet udało mu się kupić od markietanki parę butelek wina i kawy. Generałowie nie mogli się nas nachwalić, wszystko zniknęło w oka mgnieniu, a godzina nie upłynęła, gdy wszyscy leżeli, pogrążeni w głębokim śnie.

Dnia 8-go listopada przybyły resztki 4-go korpusu jazdy do Smoleńska, z jakie 150 koni rozmaitej broni, licząc oficerów i żołnierzy. Generał Grouchy zabrał ich ze sobą, dnia 9-go udając się ku Wilnu, nam rozkazał myśleć o sobie. Położenie wojska było coraz smutniejsze bez armat i pociągów, bez konnicy. Pozostawała tylko garstka piechoty, zmniejszająca się codziennie. Prawda, że magazyny, w Smoleńsku nagromadzone, dostarczyły chwilowej ulgi niedobitkom, ale niedostawało odzieży w srogich mrozach, dochodzących do 30 stopni. Podziwiałem wytrwałość starej gwardyi, trzymała się. Napoleon czuł się bezpiecznym wśród tego wyborowego korpusu, który dopiero się rozprzągł, gdy Wilno opuszczał. Połowa z pomiędzy nas miała odmrożone członki, dysenterya grasowała nadzwyczajnie skutkiem przeziębienia, a ducha już nie było między żołnierzami. Żadna pozycya wojskowa nie była do utrzymania z powodu, że wszystkie rzeki i bagna zamarzłe nie stanowiły bezpiecznych punktów oparcia, nieprzyjaciel mógł przechodzić wszędzie.

Cesarz ruszył ze Smoleńska dnia 14-go listopada na czele gwardyi, dnia następnego wyszedł wicekról włoski i książę d'Eckmühl, dnia 16 wyruszył książę Moskwy z tylną strażą, składającą się z 6000 piechoty, podzielonej na dwie dywizye, i 12 armatami, jedynie pozostałemi.

Generał Jomini (który w 1813 zbiegł do wojska rosyjskiego), naówczas gubernator smoleński, dostarczył dwoje sani dla generałów Lahoussaye i Chastel, na których puścili się

ku Wilnu, ja posiadałem owe sanki, gwałtem porwane poprzednio, doprzągłem do nich mego siwosza i ruszyłem za innymi dnia 13-go listopada, zaopatrzywszy się należycie w chleb, wódkę i owies. Spotkałem po drodze wielu znajomych oficerów z wojska polskiego, każdy sankami i dobrze opatrzony, pomiędzy innymi majora Fredro, z którym służyłem w 5 pułku jazdy; siedział w dobrych saniach ruskich, otulony szubą z niedźwiadków i obłożony kilku innemi futrami. Szczęśliwy, wywoził wszystko, co zdobył w Moskwie, ja nie miałem nic prócz mantelzaczka, resztę straciłem pomiędzy Wereją i Dorohobużem. Wieczorem przybyłem do Krasnego, gdzie już się znajdował generał Chastel, adjutant jego porucznik Guit i wierny ordynans z końmi.

Ciągłe przeklinanie losu i zły humor generała Chastel niemiłem czyniło jego towarzystwo, ale stoiczna jego wytrwałość i męstwo niepospolite wzbudzały szacunek. Nie opuszczałem go dlatego i, gdzie mogłem, starałem się mu przysłużyć. Sympatya pociągała mnie wprawdzie do generała Grouchy, wszakże nie żądał mnie, a zatem nie chciałem mu się narzucać. Dnia 14-go listopada natarli Rosyanie na Krasne; położenie nasze było krytyczne; mała garstka znajdującego się wojska w tem mieście nie mogła stawiać długiego oporu. Zatrąbiono alarm, każdy porwał karabin i ładunki; Chastel pierwszy dał przykład do tego, a najznaczniejsza część naszych udała się do kościoła murowanego, ażeby się w nim bronić. Nadciągająca stara gwardya wyprowadziła nas z położenia bardzo krytycznego.

Gwardya stanęła na nocleg w Krasnem, my z naszej strony pospieszyliśmy do Orszy. Dnia 15-go nocowałem w Orszy i główna kwatera cesarska tam stanęła tego samego wieczoru.

Nie należy do opisu przygód życia mego wskazanie działań i ruchów wojska, powiem zatem w krótkości, że dnia 16-go wicekról włoski przerżnął się przez linie rosyjskie pod Krasnem i połączył się z resztkami korpusu swojego i księcia d'Eckmühl (Davousta) ze starą gwardyą. Dnia 17-go okrył się książę Moskwy (Ney) sławą świetnym obrotem swoim, skutkiem którego przeszedł Dniepr po lodzie i dostał się do Orszy, pozostawiając

zdumionego Kutuzowa na pozycyi pod Krasnem, który był już pewien, że Francuzy broń złożą. Niema równego przykładu tak śmiałego i zręcznego obrotu, wykonanego w obec dziesięćkroć przeważającej siły nieprzyjaciela.

Kapitan Paris ze 111-go pułku liniowej piechoty, przyjaciel mój, opowiadał mi następnie ów świetny czyn: »Marszałek, opuścił Smoleńsk dnia 16-go o 8 z rana; termometr oznaczał 26 stopni mrozu. Było nas 6000 piechoty pod bronią, a cała nasza artylerya składała się z 12 armat. Razem z nami ciągnęło jakie 12 000 maroderów. O pół mili od Krasnego ujrzał marszałek całe wojsko nieprzyjacielskie w szyku bojowym na pozycyi. Marszałek kazał się rozwinąć dwom dywizyom swoim; maroderów zmusił do uszykowania się niby w drugą linią. Rosyanie zatrwożyli się widocznie, spostrzegłszy urojone nasze siły; szpiegi doniosły im albowiem, że mała tylko kolumna wyszła ze Smoleńska. Wstrzymali zatem ruch wszelki, a feldmarszałek Kutuzow wysłał oficera do marszałka z wezwaniem, ażeby broń złożył: «Répondez à votre maréchal, odpowiada waleczny Ney, que le prince de la Moskowa sait mourir, mais ne sait pas se rendre!»

»Po takiej odpowiedzi rozpoczął się atak nieprzyjacielski. Artylerya rosyjska, widząc się zabezpieczoną, bo nie było konnicy z naszej strony, zbliżała się do garstki naszej o pół wystrzału armatniego i szerzyła śmierć w naszych kolumnach. Widziano wtenczas marszałka na czele walecznej garstki, nacierającego z bagnetem w ręku na armaty, stojące naprzeciwko nas i spędzającego artyleryą z pozycyi. Prawdziwe szczęście, że noc położyła koniec tej walce nierównej, inaczej bylibyśmy wszyscy niezawodnie wyginęli. Nieprzyjaciel, będąc przekonany, że nas dostał w matnię, zaniechał walki nocnej. Kutuzow chciał, ażeby książę Moskwy przy blasku słońca szpadę swoją mu oddał.«

«Nam rozkazano ognie rozłożyć i posilić się. Zaopatrzeni w Smoleńsku, mieliśmy pod dostatkiem żywności. Jak tylko żołnierze zaposkoili głód, wyruszono milczkiem ze stanowiska, a, przebywszy Dniepr, w którym zatopiono największą część bagaży, połączyliśmy się z cesarzem w Orszy po marszu dwudniowym. Takim był przebieg owej bitwy, w której legło

jakie 2000 Francuzów; największa część maroderów dostała się do niewoli.»

Spotkanie z bratem w Tołoczynie. Przeprawa przez Berezynę.

Dnia 21 przybyłem sam jeden do Tołoczyna i opuściłem generała Chastel, nie mogąc już dłużej znieść jego złego humoru. Tu się z bratem moim spotkałem. Mój Boże! Jaka zmiana w nim zaszła! Już nie był to ów świetny młodzieniec, utrefiony i lśniący cały, którego w Moskwie pożegnałem. Teraz znędzniały, opopielony, obdarty, utracił siły moralne; płakał rzewnie nieborak nad srogim swoim losem, a nie dostawało mu energii, aby go zmienić. Zaklinałem go, ażeby porzucił wszystko, siadł na moje sanki, i przysięgałem mu, że go zawiozę zdrowego do Wolsztyna, bo czułem w sobie moc przezwyciężenia wszystkich przeciwności. Wahał się, nie wiedział, co począć, daleka podróż go straszyła, nie dowierzał mojemu szczęściu; nie miał już owej moralnej siły duszy, nieodzownie potrzebnej każdemu, który pragnie wydobyć się z toni. Biedny Ewaryst pozostał pomiędzy Litwinami w nadziei, że potrafi się ukryć u którego z nich i wrócić na wiosnę do domu. Niestety, inaczej się stało! Zabrany do niewoli pod Oszmianą, przeżył w nędzy 4 lata, po upływie których umarł wskutek trudów poniesionych. Spokój jego duszy!

Los Polaków mniej był nieznośnym od czasów wkroczenia na ziemię litewską. Mieszkańcy Orszy, sami nieomal katolicy, zachowali wiarę, wzmocnioną naukami Jezuitów, którzy tu pozostawili pamiątkę swoją w sercach ludu. Już nie uchodzili przed nami, a, lubo pozbawieni najznaczniejszej części żywności, wszakże znajdowali jeszcze cokolwiek dla pokrzepienia sił naszych. Widoczne ich współczucie pobudzało nas do wdzięczności i zaufania. W Tołoczynie dowiedziałem się, że Czyczagow opanował Mińsk i odparł Ks. Reggio, (marszałka Oudinot) aż do Borysowa — że generał Zajączek utracił nogę, a generał Dąbrowski, wyparowany z przedmostowego szańca pod Borysowem, cofnął się także i spalił mosty na Berezynie.

Pomimo to dotarłem do Borysowa, aby się przekonać nareszcie o naszem położeniu. Tam, sam sobie oddany, nie mający już żadnych obowiązków, szukałem dziury, by się wydostać z matni, w którą zapędził nas mróz i niesłychany upór Napoleona.

Ks. Schwarzenberg, dowódca posiłkowego korpusu austryackiego, odznaczył się od samego początku kampanii niesłychaną obojętnością na sprawę cesarza Francuzów. Zamiast wkroczyć na Wołyń i Ukrainę, jak powinien był uczynić według odebranych instrukcyi od Napoleona, zatrzymał się pod Słonimem, żadnego ruchu nie wykonał i doczekał się wreszcie nadejścia admirała Czyczagowa, który po zawarciu pokoju z Turkami zabierał tyły wojsku naszemu. Schwarzenberg żadnego oporu nie stawił, opuścił dywizyą saską, będącą pod rozkazami generała Régnier; nie dał pomocy generałowi Konopce, stojącemu w Słonimiu z dwoma nowo sztyftowanymi pułkami litewskimi. Te całkowicie zostały zniesione przez przemagające siły rosyjskie; sam zaś z Austryakami ustępował, nie będąc zupełnie niepokojony przez Czyczagowa. Régnier stoczył bitwę z tym ostatnim, nie mając wszakże poparcia Schwarzenberga, cofnąć się musiał. Rosyanie zajęli Mińsk i ogromne zapasy, tam nagromadzone. Z Mińska posunął się Czyczagow nad Berezynę pod Borysów, broniony przez dywizyą Zajączka i Dąbrowskiego. Po spaleniu mostu na Berezynie przeciętą została komunikacya wielkiego wojska z Wilnem. Napoleon był otoczony, sądzić wypadało, że przyjdzie mu broń złożyć i przyjąć warunki, jakie mu Aleksander naznaczy. Kto wie, czy ten obrót rzeczy nie stałby się dla cesarza Francuzów korzystniejszym aniżeli nieszczęśliwe rozwiązanie ostateczne tej walki, w tym bowiem razie byłaby Francya została przy granicach, objętych traktatem Luneville-skim, a Napoleon na tronie.

Ks. Reggio przybył do Borysowa już po spaleniu mostu na Berezynie, zatem nie on, lecz Dąbrowski ustąpił przed Czyczagowem. Generał Wittgenstein parł korpus Ks. Reggio od Witebska, Czyczagow bronił Berezyny od Wilna i Mińska, Kutuzow gnał nas od Smoleńska, forteca Bobrujsk tamowała nam przeprawę na Wołyń. Zdawało się, że pod Borysowem będzie koniec wojny. Siły nasze wynosiły: gwardya cesarska

liczyła jeszcze około 40 000 ludzi; korpus ten nie był wcale zdemoralizowany; piechota utraciła około 20 000 ludzi w kampanii od opuszczenia Moskwy; artylerya składała się ze 120 armat i wszystkich wozów, konnica miała połowę koni, zdatnych do boju. Korpus wicekróla włoskiego mógł mieć około 6 000 piechoty, wszakże utracił wszystkie armaty i całą konnicę.

Korpus marszałka Davousta liczył około 10 000 piechoty pod bronią, 40 armat, 20 kilka wozów prochowych, jakich 300 konnicy. Marszałek Ney miał jeszcze 3000 piechoty i 12 armat z potrzebnymi wozami amunicyjnymi. Korpus marszałka Oudinota, dywizye Dąbrowskiego i Zajączka liczyć mogły razem jakich 6000 piechoty, 55 dział z potrzebnym wozami i 1000 jazdy. Korpus polski pod ks. Józefem liczył około 4000 piechoty, 40 armat i 6000 konnicy. Ks. Belluno (marszałek Victor), przybyły z pod Połocka, przyprowadził 10 000 piechoty, 3000 jazdy i 105 dział z całym parkiem. Całe zatem wielkie wojsko wynosiło pod Borysowem 79 000 piechoty, 6900 jazdy i 372 działa. Nieprzyjaciel miał do 200 000 wojska regularnego, około 20 000 jazdy nieregularnej tj. Kozaków, Kałmuków, Baszkirów itd. Zajmował pozycyą groźną nad Berezyną i otaczał nas zewsząd, oprócz tego zawadzało nam jeszcze jakie 6000 żołnierstwa zdemoralizowanego, które było prawdziwym ciężarem.

Przybyłem do Borysowa 23 listopada. Wnet się przekonałem, że tu nie ma co robić, popasawszy zatem krótko, nawróciłem, szukając starej gwardyi, jakoż spotkałem ją o dwie mile ku Tołoczynowi. Tu dowiedziałem się, że cesarz ma się niebawem udać do Borysowa, że gwardya miała na miejscu oczekiwać dalszych rozkazów, a wreszcie, że polecono generałowi Grouchy zebrać wszystkich oficerów, mających jeszcze konie, i uformować z nich 4 szwadrony, któreby strzegły osoby Napoleona. Czyby dał kto temu wiarę, że z 6900 konnicy, będącej jeszcze przed dwoma dniami pod bronią, dnia 24 listopada zeszczuplała liczba na 2400 kilkadziesiąt koni! Reszta poszła w niwecz, już dla mrozu, dochodzącego do 30 stopni Réaumura, już to dla niedostatku paszy. I owe 4 szwadrony zniknęły wnet, bo oficerowie nie byli w stanie mieć tej samej pieczołowitości o konie swe, gdy ich zebrano w pułk jeden,

jaką mieli w małych oddziałach. Poszedłem do generała Chastel, który jednym takim szwadronem dowodził, ofiarując mu moją osobę do służby. «Mon cher» powiedział mi «si cela continue, dans quelques jours nous n'existerons plus. Que peut faire une armée, comme celle-là à laquelle on ne délivre plus de vivres pour les hommes ni de fourrage pour les chevaux. Je vous conseille de passer — coûte que coûte sur l'autre rive de la Bérésina et de gagner le plus tôt possible la France où le manque complet d'officiers capables se fera sentir; ici un officier de plus ou de moins, importe peu. — Hier j'avais 350 hommes dans mon escadron, aujourd'hui, je n'en ai plus 200, et dans 48 heures, il ne restera même plus de régiment, si on ne me fournit pas de vivres». —

Cesarz, przybywszy dnia 24 do Borysowa, rozkazał gromadzić wszelkie materyały, do postawienia mostu potrzebne, i takim sposobem wprowadził w błąd Czyczagowa, który cały swój korpus ściągnął pod Borysow w celu przeszkodzenia zamiarom Napoleona. Cały dzień 25-go zeszedł na przygotowaniach z jednej i drugiej strony. W nocy z 25 na 26 odebrał marszałek Victor rozkaz udania się bez straty czasu do wsi Wesołowa, o dwie mile od Borysowa, i rzuczenia tam dwóch mostów na Berezynie, które miały być wykończone razem ze świtem. Gwardya pociągnęła pod Wesołowo około południa 26-go i ja za nią udałem się w tę stronę. Reszta wojska pociągnęła za gwardyą. W Borysowie pozostała tylko dywizya piechoty generała Partouneaux. Legia nadwiślańska stanęła pod dowództwem generała Girard na trakcie ku Tołoczynowi, o milę od Borysowa, dla wstrzymania pierwszego zapędu Kutuzowa, nadciągającego od Orszy. Mróz panujący pozwolił nam przejść bagna, otaczające Berezynę, a ciągnące się jakie pół mili od jej koryta. Rzeka ta nie zamarzła dla błotnistego gruntu. Generał Drouot, skoro tylko nadciągnął z artyleryą gwardyi, uszykował 40 dział pozycyjnych nad rzeką dla zabezpieczenia robotników, reszta wojska rozkładała się biwakiem w miarę, jak przybywała. Wnet zbudowano kilka tratw z bali, wyjętych z budynków tej wsi, którą rozebrano całkowicie, i użyto na materyał do zbudowania mostów. Na tratwach poczęli się przeprawiać woltyżery młodej gwardyi przez rzekę,

zaledwie 100 kroków szeroką. Jakich 1000 koni rozmaitej broni przebyło ją wpław. Jakkolwiek słabe to były siły, wystarczyły jednak na wstrzymanie nieprzyjacielskich podjazdów. Tratwy przewoziły nieustannie wojsko nasze na drugi brzeg, a sapery z heroicznem poświęceniem pracowali nad ustawieniem mostów, stojąc we wodzie do połowy ciała podczas mrozu, dochodzącego tego dnia do 16 stopni.

Mieli przekonanie, że od nich zawisł ratunek cesarza i wojska, to też gorliwość ich przechodziła wszelkie wyobrażenia. Luzowali się przy tej ciężkiej robocie, jedni suszyli się przy ogniskach, drudzy pracowali. Rzeczą godną uwagi, że pomimo Kozaków, uwijających się po całej okolicy, nie dowiedział się Czyczagow o stawianiu mostów o dwie mile od swego stanowiska. Cała robota została wykonaną bez jednego wystrzału, a około 4-tej popołudniu zaczęło już wojsko przechodzić na drugi brzeg Berezyny.

Marszałek Victor przedostał się pierwszy na drugi brzeg rzeki i posunął się niebawem pod nieprzyjaciela, którego forpocztę spędził. Po nim przedostał się marszałek Oudinot z grenadyerami swymi; następnie przechodziła stara i młoda gwardya, wszystko w największym porządku. Przeprawa trwała cały dzień i całą noc 27 listopada. Jakież to było poświęcenie saperów! Nie tylko że mosty stawiali, ale pilnowali ich i naprawiali za każdym razem, gdy się psuły; niepodobna bowiem, aby te mosty, tak spiesznie stawiane, były trwałe. Waleczni ci ludzie byli zatem ustawicznie we wodzie, a nie słyszano żadnego szemrania. Cesarz przeprawił się 27 listopada. Ja na moich saneczkach przemknąłem się za ekwipażami generała de la Riboissière, udając, że należę do nich.

Do tej chwili szło wszystko jak najporządniej, nieprzyjaciel nas wcale nie niepokoił; artylerya już się przeprawiła całkowicie, teraz następowały furgony, których była jeszcze wielka liczba. Most psuł się coraz więcej. Piechota przechodziła ciągle drugim mostem, lekko zbudowanym i li tylko dla piechoty przeznaczonym. Ludzie zdemoralizowani oczekiwali dotąd dosyć spokojnie, póki wojsko się przeprawiało, zatem nie było żadnego natłoku. Ja, dostawszy się na drugi brzeg Berezyny, nie czekałem dłużej, lecz puściłem się natychmiast ku

Wilnu; z opowiadania zatem tylko opisuję dalszy ciąg epizodu owej pamiętnej przeprawy.

Dopóki Kutuzow nie nadciągnął, pozostawała jakakolwiek nadzieja, że się wszystko dostanie na drugą stronę Berezyny. Czyczagow, poznawszy swój błąd, cofnął się ku Mińskowi przed korpusami marszałków Oudinota i Victora, a resztki wojska naszego przeprawiły się w porządku należytym. Jednakże most, wystawiony dla artyleryi, zepsuł się całkowicie w nocy z 27-go na 28-go, tak dalece, że już nie był do naprawienia. Furgony obróciły się skutkiem tego ku mostowi, przeznaczonemu dla ludzi pieszych; a właśnie w tym czasie poczęły padać pierwsze granaty rosyjskie, puszczane przez korpus Kutuzowa pomiędzy maroderów naszych.

Jak tylko rozeszła się wieść, że pociągi zwróciły się ku mostowi, dla pieszych przeznaczonego, rzuciła się cała tłuszcza rozprzężonego żołnierstwa w tę stronę. Urzędnicy wojskowi, kobiety, żołnierze, jeźdzcy, jednem słowem, wszystko, co żyło, poczęło się cisnąć ku mostowi pozostałemu. Nie do opisania zamieszanie, jakie powstało. Jedni drugich deptali, wielu było zgruchotanych pod kołami wozów, wielu pospychano z mostu w rzekę i nastąpiła scena okropna. Jęk, krzyk, przekleństwa, wzywanie litości, wrzawa, jakiej trudno sobie wyobrazić. Czy przypadkiem czy z rachuby natarł nieprzyjaciel w tejże chwili. Waleczny Ney, Legia nadwiślańska i kilkuset Bawarczyków zatrzymali go, Oudinot i Victor zmusili Czyczagowa do odwrotu, a marszałek Mortier zatrzymywał Wittgensteina, przybywającego od Witebska na czele 40 000 wojska; 15 000-czny korpus ks. Belluno był zmuszony cofnąć się przed nim nad wieczorem ku mostowi. Tu panowała scena okropna, wszystko się garnęło w tę stronę, granaty nieprzyjacielskie pękały w pośrodku tego tłumu. Zbliżający się nieprzyjaciel przerażał cały rój motłochu, a wojsko, pozostałe pod bronią, torowało sobie drogę na most bagnetami. Gęsty śnieg począł padać i zasępił tak dalece widnokrąg, że dywizya Partouneaux, która ostatnia Borysów opuściła, a miała się połączyć z Legią nadwiślańską, chybiła kierunek i dostała się wśród wojska nieprzyjacielskie. Otoczona z wszech stron, musiała broń złożyć.

Legia nadwiślańska, przyparta do Berezyny, utorowała sobie bagnetem przechód przez most i ostatnia z pomiędzy wojska, pozostałego pod bronią, przeprawiła się przez rzekę, poczem załamał się pod ciężarem motłochu. Kilkuset ludzi przebyło rzekę wpław, inni, porobiwszy tratwy zawczasu, przeprawili się po ustroniach; śmiało jednak liczyć można do 6000 liczbę ludzi, którzy życie utracili przy tej przeprawie, drugie tyle dostało się do niewoli. Nieprzyjacielowi dostały się niezmierne łupy, pozostały bowiem nieomal wszystkie bagaże wojska naszego nad Berezyną. Wiele kosztowności powrzucano do wody wraz z furgonami, które z mostu pospychano. Wszystko to chłopstwo z okolic wydobywało w czasie późniejszym. Ileż to matek postradało dzieci swoje, zabrane na tę kampanią! Niektóre dostały się w ręce nieprzyjaciela, a nie umiejąc wskazać nazwiska rodziców, pozostały na zawsze przy tych, w ręce których los wojenny je rzucił. Nie rozpisuję się nad tym epizodem kampanii 12-go roku, do sytu albowiem przedstawiali go wszyscy dziejopisarze tej epoki. Dość, że powiem, iż wszystkie łupy, w Moskwie zabrane, a pomiędzy innymi i krzyż, zabrany z cerkwi św. Iwana w Kremlinie, dostały się napowrót Moskalom.

U pp. Dowgiełłów. W Taworówce. Wachmistrz i chłop.

Szczęśliwszy od wielu innych, dostałem się na drugi brzeg Berezyny w nocy 26-go na 27-go; nie mogłem się wszakże puszczać do Wilna sam jeden; musiałem się zatrzymać, dopóki gwardya nie wyruszy. Stało jakich sto sanek, oczekujących tak samo na gwardyą jako i ja, wszystkie nieomal należące do wojskowych polskich. Dopiero wyruszyliśmy dnia 29 listopada. Napróżno dowiadywałem się o bracie moim, o generałach Grouchy i Chastel. Każdy, zajęty sam sobą, mało się pytał o innych, pozostałem zatem sam jeden ze szwoleżerem gwardyi, którego zabrałem przed kilku dniami, spotkawszy go pieszo na trakcie.

Będąc już w kraju ojczystym, świadom obyczajów i języka, mogłem podróżować ubocznym traktem, mniej wycieńczonym

od etapowej drogi; z innej zaś strony widziałem się wystawionym na rozmaite niebezpieczeństwa po tych manowcach. Oprócz mantelzaka, obejmującego kilka podartych mundurów i nieco bielizny, nic nie posiadałem, cały bagaż bowiem wraz z ordynansem i końmi postradałem pomiędzy Wiazmą i Dorohobużem. Jechałem dobrym kłusem ku Mołodecznie. Na drodze wśród lasu spotkałem sędziwego obywatela, jadącego ku wojsku naszemu; miał piękne sanie, dobre konie, a był przyodziany w doskonałe futro niedźwiedzie. «Dokąd Pan jedziesz?» zawołałem na niego. «At, do waszego wojska, chcę wyszukać mego syna, który się znajduje w korpusie ks. Józefa.» Żal mi się zrobiło starca, przedstawiłem mu, że, zbliżywszy się do maroderów, utraci uprząż, futro, a być może nawet i buty. Posłuchał mojej rady, zwłaszcza, że mu zaręczałem, iż syn jego niezawodnie sam trafi do domu rodzicielskiego, jeżeli jeszcze przy życiu. Kazał zatem nawrócić, a mnie zaprosił na nocleg do swojego domu.

Pierwszy raz od mojego wyjazdu z Warszawy znajdowałem się w polskim dworze jako gość zaproszony. Wiadomo, czem jest gościnność polska. Gość w domu, Bóg w domu — mówi przysłowie ojców naszych. Jakże mi było dobrze u zacnego tego obywatela! Do dnia dzisiejszego po upłynionych jakich lat 45 czuję jeszcze wdzięczność dla poczciwych pp. Dowgiełłów. Przyjęli mnie nad wyraz serdecznie, ja zaś nie śmiałem się zbliżać do pani domu ani do panienek, bo mnie po prostu gad rozmaity obsiadł. Litowały się nademną, były miłe i dobre; sama pani domu zalewała się łzami na wspomnienie, że jej syn wystawiony jest na te same dolegliwości. Po krótkim namyśle wziąłem gospodarza na bok i wyznałem mu moje wstrętne położenie, oraz wyraziłem obawę zanieczyszczenia mu domu. «Jeżeli nic więcej,» odpowiedział, to temu łatwa rada.» Jakoż zaprowadził mnie do swojego pokoju, musiałem się rozebrać całkowicie, poczem przyodzianego w kożuch zaprowadzono do łaźni, a następnie udzielono świeżej bielizny. Mundur mój rozwieszono w dymie w suszarni, a ja przepędziłem wieczór w szlafroku jegomościnym w miłem towarzystwie. Cóż to za rozkosz dla mnie była rozciągnąć członki znużone w czystej pościeli, którą mnie gospodarz obdarzył. Chciano

mnie zatrzymać, wszakże obawa przed Kozakami, następującymi tuż w tropy nasze, wygnała mnie z miłego domu tego. Wyruszyłem ku Wilnu po dobrem śniadaniu, opatrzony starką wędlinami i chlebem.

Dnia 1 grudnia poganiał znowu Bartoszewski (mój woźnica-szwoleżer), konie, dobrze nakarmione, obydwaj byliśmy w różowym humorze po tak doskonałym noclegu. Już nie miałem kłopotu o żywność aż do Wilna, bo sanie moje były naładowane obrokiem i żywnością. Mróz wzmagał się nadzwyczajnie, sądzę, że było dnia tego z jakich 30 stopni. Jechaliśmy cały dzień tęgim kłusem, powożąc naprzemian. Gdy ręce lub nogi jednemu zziębły, drugi powoził, a tamten biegł przy saniach, dopóki się nie rozgrzał.

Obawiałem się o los generała Grouchy, przy którym miałem nadzieję pozyskać miejsce, bądź to bezpośrednio jako adjutant jego, bądź to umieszczony za wpływem jego przy sztabie jego korpusu. Wiedziałem, że mnie lubił, a po bitwie pod Możajskiem pochwalił męstwo moje wobec całego sztabu, gdy przybyłem z generałem Chastel odwiedzić leżącego wskutek otrzymanej kontuzyi. Wspominał nawet już w Moskwie, że mnie weźmie do siebie, dla tego też całą nadzieję pokładałem w połączeniu się z nim.

Lubo widziałem niestety całe wojsko nasze zniszczone, wierzyłem jednak ślepo w geniusz Napoleona i nie wątpiłem, że się wydobędzie z tej nieszczęśliwej toni. Sądziłem, że niedobitki nasze zatrzymają się w Wilnie, a, połączone z posiłkami nadchodzącymi, stawią czoło ścigającym nas Rosyanom, że wojsko wypocznie i że na wiosnę znów rozpocznieny kampanią. W takich marzeniach pogrążony, byłbym przepędził cały dzień, gdyby nie Bartoszewski, który zatrzymał konie, by im dać wytchnąć, a siebie posilić.

Po jego apetycie i hauście miałem kłopot, czy wystarczymy do Wilna. «To nie, panie poruczniku», odpowiedział, gdym go wstrzymywał od pochłonięcia od razu całkowitego zapasu, «albo to nie natrafimy jeszcze na uczciwych ludzi? Spodziewam się, że się nam jeszcze nadarzy dobry nocleg». Oj, jakże się omylił! Zajechałem nad wieczorem do dworku, leżącego na ustroniu opodal od wsi. Gospodarz, barczysty,

w kożuchu, opasany czarnym pasem skórzanym, przyodziany w lisią czapkę, trzymając kosztur w ręku, przyjął mnie dość grzecznie, poprowadził do obszernej izby, gdzie jejmość się krzątała. Wstąpiłem do tego domu, trzymając w ręku mantelzaczek; pistolety miałem za pasem, a pałasz przy boku. «Czy pan oficer nie każe znieść rzeczy swoich ze sanek?« zapytał gospodarz po chwili. «Jakie rzeczy? odpowiedziałem. Co posiadam, już się tu znajduje». Zadziwił się, że nie wiozę łupów z Moskwy, a, gdym mu powiedział, że w Moskwie przebywałem tylko urywkami, a, będąc ciągle na forpocztach, nie miałem czasu rabować po piwnicach, to moje oświadczenie wpłynęło na usposobienie mego gospodarza. Lekki mój mantelzak, który przeniósł ze stołu na ławkę, przekonał go, że nic nie zawiera, coby wartość stanowiło, a sanki, stojące na podwórzu bez jakiegokolwiek dozoru, świadczyły o prawdzie słów moich. Jakoż zmienił niebawem ton swój ze mną; nie znalazło się dla mnie nic na wieczerzę, krom chleba razowego i barszczu, gotującego się w piecu, i to nawet podano mi z wyraźną niechęcią i uskarżaniem się na ustawiczne najazdy wojskowe. Gdym zaczerpnął kilka razy wody buraczanej, kiszącej się w kłodzie, zawołała na mnie gospodyni opryskliwym głosem: »Da, Pan wszystko wypijesz, a rosołu nie pozostanie dla naszych, gdy przybędą». (Na Litwie nazywają rosołem kwas kiszących się buraków).

Do żywego dotknięty tymi oznakami nieprzyjaźni, odpowiedziałem hardo «Dzisiaj jestem sam jeden, nie robię wam wielkiego kosztu, ale jutro nadciąga tu korpus cały, do którego należę — sam generał Grouchy stanie u was, mnie przysłał, abym kwaterę dla niego urządził, a natenczas mało się pozostanie z waszego rosołu«. Takie zapowiedzenie moje przyniosło skutek pożądany, gospodarz wydał obrok, a gospodyni zapytała się ciekawie, ile wojska przybędzie, a, gdy jej powiedziałem. że w okolicy stanie jakie 6000 ludzi, wykrzykiwała w niebogłosy: «O mój Boże, mój Boże — da — oni wszystko pozabijają!», i nuż krzątać się z uprzątaniem tego, co było na jawie, i chować w skrytki, zawczasu przysposobione.

Słyszałem w nocy, jak wypędzano bydło z obory i uprzątano zboże z lamusu. Nie dowierzając całkiem gospodarzowi

mojemu, kazałem się zaprowadzić do koni moich, ażeby razem z Bartoszewskim noc przepędzić. Kłopot, którego nabawiłem gospodarza, zapowiadając mu liczny kwaterunek, był mi korzystny, poczęto albowiem mieć więcej względów dla mnie, nawet mnie poczęstowano wódką, miodem praśnym i chlebem pytlowym.

Połączywszy się ze swym szwoleżerem, nabiliśmy broń i zatarasowawszy stajnią, udaliśmy się na spoczynek, wyglądając niecierpliwie dnia, ażeby się czemprędzej wydostać z domu tego, gdzie wszystko nam było podejrzane. Miałem słuszność nie ufać gospodarzowi, nazajutrz bowiem, wyjechawszy o świcie, wstąpiłem na posiłek do pobliskiego młynarza, od którego się dowiedziałem, że ów człowiek był to dymisyonowany oficer rosyjski, który, lubo Litwin z urodzenia, przejął się uczuciem ruskiem, złorzeczył naszej sprawie i niejednego już wojskowego sprzątnął, zwłaszcza takich, u których pieniędzy znaleść się spodziewał. W powszechnem rozprzężeniu, jakie naówczas panowało, wszystko było dozwolone, a zatem uchodziły mu morderstwa popełniane. Snać i mnie gotował ten sam los, widząc jednak, że nie posiadam pieniędzy ani łupów, a być może, zatrwożony przybyciem mniemanego korpusu, nie chciał się wystawić na próżne niebezpieczeństwo, tem więcej, że z usposobienia naszego odgadnąć musiał, iż nie damy się obydwaj zarżnąć jak niewinne baranki. «Dziękuj p. porucznik Bogu, żeście wyjechali z Taworówki zdrowo i z życiem«, mówił młynarz, «niejeden tam już zajechał, ale mało który wyjechał; gdzie się podział, niewiadomo». Iluż to łotrów podobnego rodzaju znajdowało się na Litwie w owym czasie, pod nożami których padały nieszczęśliwe ofiary, uszłe przed nieprzyjacielem i mrozem; żaden nie znalazł mściciela, a zbójcy żyli później w dobytkach i mieniu.

Przychodzi mi właśnie na myśl zdarzenie podobnego rodzaju, którego ofiarą padł wachmistrz od szwoleżerów 1812 Po abdykacyi Napoleona w r. 1814 powróciło wojsko polskie do kraju, gdzie nastąpiła nowa jego organizacya pod przewodnictwem w. ks. Konstantego. Pułkownikowi Kozietulskiemu poruczono formować 4-ty pułk ułanów, a że waleczny ten oficer zawsze służył w pułku szwoleżerów gwardyi formacyi generała

Krasińskiego i nim dowodził we wszystkich kampaniach, przeto garnęło się najwięcej starych wiarusów z gwardyi do nowego pułku, a pomiędzy innymi poszedł i wachmistrz, o którym mowa. Sztab 4-go pułku ułanów stanął w owym czasie w Mariampolu w województwie augustowskiem (później przeniesiono go w Lubelskie). Otóż wachmistrz ten, powracając z kampanii rosyjskiej 1812-go r., schorzały i ranny, otrzymał w Mariampolu podwodę, która go miała odwieść do przyległej stacyi. Chłop, wiązący go, wywrócił sanie w lesie, zaczął mordować wachmistrza i obdarł go ze wszystkiego, zabrał mu też trzos, w którym było przeszło 1000 napoleondorów i całkowitą odzież. Po spełnionym czynie nawrócił do swej wsi, pozostawiwszy wachmistrza na pół żywego na trakcie. Wiele innych sani jechało tą drogą. Przypadkiem przejeżdżali także szwoleżerzy, poznali kolegę i zabrali ze sobą. Wachmistrz wyzdrowiał, dostał się do Francyi i służył w pułku swoim aż do chwili powrotu jego do ojczyzny, poczem przystał do 4-go pułku ułanów, który miał garnizon w Mariampolu. Otóż dziwnym trafem poznał tam swego woźnicę z 12-go r., który go tak niegodziwie zrabował, gdy ten przywoził do Mariampola zboże na targ. Nie tracąc czasu, spieszy do pułkownika swego i opowiada mu zdarzenie. Kozietulski przydaje żołnierza chłopu, ażeby go miał na oku, sam spieszy do naczelnika obwodu, prosząc o zarządzenie śledztwa. Osadzony chłop na odwachu zapiera się wszystkiego, nawet twierdzi, że wcale w owym czasie nie był na podwodach; przekonywa się jednak władza z akt swoich, że wieś, z której chłop był rodem, właśnie dostarczała podwód dla wojskowych, z kampanii powracających, a tameczny wójt gminny utrzymuje, że ten sam chłop był na podwodzie po kilka razy w owym czasie. Naczelnik powiatu, pragnąc koniecznie dojść prawdy, kazał wyliczyć chłopu po sto batów trzy dni po sobie, wszakże napróżno, chłop się czynu zapierał. Naczelnik w strachu, że może wachmistrz, złudzony podobieństwem, omylił się, a w takim razie podpada naczelnik pod odpowiedzialność nadużycia władzy, chwyta się ostatecznego sposobu i rozkazuje, ażeby żonę delikwenta i dzieci jego przywołać do biura. Jeszcze raz bada wachmistrza, który uporczywie obstaje przy swojem, uza-

sadniając swoje twierdzenie tem, że chłop miał nos przedzielony na dwoje na kształt nosa zajęczego. Badana żona nie przyznaje się do niczego. Wyliczają jej sto rózg w przytomności męża i dzieci, ale nadaremnie, pokładają na nowo, znowu bić zaczynają, ona się ciągle zapiera jakiejkolwiek wiadomości wśród lamentów i zaklinań na Boga, którym się świadczy, że o niczem nie wie. Wszakże mężowi żal się zrobiło, zmiękło mu serce, patrząc na srogi ból żony: «Przestańcie, panowie, zawołał, już wszystko powiem». Ona się podnosi, a zamiast skruchy uderza męża w policzek: «Ty nędzniku, woła na niego z wściekłością, czemuś wyznał, byłabym wytrzymała drugie tyle, a nicbym nie wyznała». Już było po niewczasie, wzięto chłopa do indagacyi, znaleziono pieniądze, z których tylko 4 napoleondory uronił, resztę zwrócono wachmistrzowi. Ten zaś darował chłopu 25 sztuk za jego plagi, na szwadron dał 100 sztuk, a, otrzymawszy uwolnienie ze służby, okupił się w okolicy Łomży. Widziałem tego samego chłopa w czasie późniejszym w więzieniu w Brześciu Kujawskim, gdzie siedział za rozmaite zbrodnie.

W Wilnie.

Mróz się wzmagał codziennie, trudno było wytrzymać, odmroziłem sobie ręce i nogi w dalszej podróży do Wilna, gdzie stanąłem bez dalszych przygód d. 6. grudnia. Zajechałem wprost do gospodarza, u którego miałem kwaterę, udając się do wojska. Tu zostałem przyjęty jako dawny przyjaciel domu. Trudy doznane stargały siły moje, najwięcej dokuczały mi odmrożone nogi, czułem, że nie potrafię wytrzymać dalszych trudów, postanowiłem zatem pozostać w Wilnie, do czego namawiał mnie usilnie gospodarz mój. Poczciwy ten człowiek dostarczył mi ubrania cywilnego i miał staranie jakoby o własnym synie swoim; konie i sanki moje sprzedał. Szwoleżer nie dał się do pozostania nakłonić. Poszedł dalej za wojskiem, nie wiem, gdzie się podział, nie mogłem się o niego dopytać, gdym znowu się złączył z wojskiem.

W Wilnie dowiedziałem się, że cesarz opuścił wojsko i udał się do Paryża. Porucznik gwardyi szwoleżerów Wąso-

wicz powiózł go ze Smorgoń do Warszawy. Było to z korzyścią dla p. Wąsowicza, który za tę przejażdżkę został od razu szefem szwadronu gwardyi i już ciągle przy boku cesarskim pozostał aż do jego abdykacyi w Fontaineblau 1814-go r. Winien tej okoliczności też swe małżeństwo z panią Aleksandrową Potocką (po rozwiedzeniu się jej z pierwszym mężem), winien także i swe wyniesienie na godność generała brygady w czasie rewolucyi naszej 1830 r. Tak to bywa — jedna chwila szczęśliwa czy nieszczęśliwa stanowi czasem o losie człowieka na całą przyszłość.

Dowiedziałem się u plackomendanta w Wilnie, że generał Grouchy wyruszył już dnia poprzedniego ku Królewcowi. Generała Chastel spotkałem na ulicy. I on dążył do Francyi — przeprawił się przez Berezynę, ale stracił resztę rzeczy swoich. W Wilnie kupił sanki i parę koni i jeszcze tego samego dnia ruszył do Królewca z adjutantem swoim, porucznikiem Quit.

Dnia 9 grudnia przybył król neapolitański, który dowodził wojskiem po oddaleniu się cesarza. Przybyli z nim król włoski, stara gwardya piesza (konnej już nie było), artylerya gwardyi i reszta furgonów, pomiędzy którymi był i skarb wojska. Dopiero dowiedziało się wojsko o odjeździe cesarza i zaraz upadli pozostali żołnierze całkowicie na duchu. Każdy sądził się zgubionym, wcale już nie myślał o dalszym oporze, ale raczej szukał schronienia przed mrozem, dochodzącym do 33 stopni. Żołnierze padali jak muchy; z 71 000 wojska, pozostałego dwa dni przed przeprawą przez Berezynę, zaledwo było jeszcze 6 000 pod bronią! Generała Zajączka przenieśli polscy żołnierze z pod Borysowa do Wilna (miał nogę amputowaną). Pozostał także w Wilnie. Całe wojsko rozkwaterowało się po domach, a dywizya generała Darutte, świeżo przybyła i wcale nie strudzona, wyszła naprzeciwko nieprzyjacielowi. Ktoby uwierzył, że największa część tych wypoczętych żołnierzy zmarzła lub odmroziła sobie członki przez noc jednę, stojąc na czatach! Nazajutrz już nie było dywizyi.

Stara gwardya i kilka pułków trzymało się kupy aż do Wilna, które to miasto mienili żołnierze, nie wiem z jakiego powodu, punktem oparcia i miejscem wypoczynku dla siebie.

Wyjazd cesarza do Paryża zdemoralizował to wojsko do reszty. Gdy zatem przybyły owe resztki do Wilna d. 9 grudnia, chronił się każdy, gdzie i jak mógł, do ogrzanej izby. Nazajutrz mało kto zważał na bębny, wzywające żołnierzy do szeregu o godzinie 3-ciej z rana; całe wojsko leżało niejako jakby w letargu. Dopiero poczęli wychodzić i zbierać się zdrowsi żołnierze o godzinie 8-mej. I tym razem stanęła nieomal sama jedna stara gwardya; reszta ani ruszyła się z domów; zanadto ucierpiało wojsko, każdy wolał się poddać albo zginąć od razu, aniżeli być dłużej wystawionym na te męczeństwa, jakie cierpiał od samej Moskwy. Około 10-tej wpadli Kozacy na przedmieście ze zwykłym swoim krzykiem. Patrzyłem przez okno z domu, gdzie mnie przyjęto, położonego na przedmieściu. Trudno opisać wrażenie, jakiego doznałem, patrząc się na tych, z którymi walczyłem przed kilku dniami. Żałowałem, że pozostałem, radbym był się złączył z plutonem piechoty francuskiej, który, wyszedłszy z miasta, dał ognia do Kozaków. Ci pierzchnęli od razu, a w tymże samym czasie wychodzili niektórzy wojskowi francuscy z domostw i strzelali do uciekającej zgrai. Widziałem pomiędzy innymi szasera z żoną swą, poganiających konika chłopskiego, obładowanego bagażem; oboje, uzbrojeni w karabinki szaserskie, wypadli wrotami z kamienicy przyległej, oboje tak mąż, jak żona dali ognia do zbliżających się Kozaków, którzy też czemprędzej uciekli, a szaser uszedł szczęśliwie. Wreszcie wojsko ustąpiło z Wilna około 12-tej godzinie; pozostało jednak z jakie 15 000 żołnierza, którzy dobrowolnie poszli w niewolę; reszta udała się ku Niemnowi. Nie byłem już świadkiem dalszych przygód nieszczęśliwych moich kolegów, ale patrzyłem się na gwałty, popełniane w Wilnie.

Piechota rosyjska wkroczyła do miasta około wieczora; policya rozkazała ulice wszystkie oświecić, żydzi odznaczali się radością i okrucieństwem. Trudno uwierzyć, że naród, chcący uchodzić za cywilizowany i ludzki, pozwolił żydostwu popełnić w Wilnie tyle barbarzyństw, ile ów trąd ludzkości bezkarnie wywarł nad pół nieżywymi Francuzami i to pod okiem najwyższych władz rosyjskich i z wyraźnem potakiwaniem policyi. Szkaradne te żydy wszelkich klas, czy majętni czy

biedni, mordowali schorzałych, zmarzniętych Francuzów po domach, wyzuwali ich z całego mienia, wyganiali na pół nagich na ulice, gdzie marzli do reszty.

Patrzałem na to wszystko, byłem świadkiem, jak owe łotry wyrzucali z okien na ulicę chorych żołnierzy, a władze rosyjskie patrzały na wszystko obojętnie. Ulice Wilna napełnione były trupami nagimi, które leżały jaki tydzień, aż wywieziono je na lody Wilii. Patrzałem na pięknego młodego Włocha, należącego do gwardyi włoskiej, który nadaremnie prosił od drzwi do drzwi o przytułek, nigdzie go nie przyjęto, nazajutrz rano leżał trup jego zmarzły na ulicy. Biedny młodzieniec nie liczył nad 25 lat. Kto był świadkiem tej nikczemności żydowskiej, kto widział zimną obojętność Rosyan na te sceny barbarzyńskie, ten na całe życie musi powziąć głęboki wstręt i odrazę do jednych i drugich. Pomiędzy ofiarami, poległemi pod nożem żydowskim, znajdował się dziewierz cesarza Aleksandra, ks. wyrtemberski. Zamordowany został w łóżku przez własnego gospodarza, żyda. Ten jeden tylko został ukarany za zbrodnią swą wysłaniem na Sybir.

Litwini odznaczali się ludzkością w tych dniach trwogi; jak mogli, rozciągali opiekę nad niewolnikami. Wielu z tych nieszczęśliwych znalazło przytułek u obywateli i mieszczan. Chłopi wszakże dobijali i obdzierali pojedyńcze niedobitki wielkiego wojska. Ale podejrzliwość wykonawców woli cesarza Aleksandra stawiła wnet tamę dobrym chęciom Litwinów, niebawem położono warunki, które podpisywać musiał, ktokolwiek chciał niewolnika wojennego do siebie przyjąć, a pomiędzy innymi musiał ręczyć własną osobą i majątkiem za dostawienie go władzy na każde zawezwanie, oraz zaręczyć, że nie dozwoli mu oddalić się z miejsca itp.

To odstręczyło wielu od dobrych zamiarów, najwięcej się obawiali Litwini ściągnąć na siebie podejrzliwość policyi, która badawczem okiem uważała na każdego, który tylko okazywał litość Francuzom.

Policzono 5000 ludzi, zabitych przez żydów w Wilnie, reszta pozostałych wojskowych francuskich poszła do niewoli. Generałowie Zajączek, Lahoussaye, Guillaume i Lefebvre, syn marszałka, należeli do jeńców wojennych.

Odzież moja posłużyła mi do ukrycia się przed rosyjską policyą, wszakże taka rzecz rychło na jaw wyjść musiała. Pomiarkowałem to w kilka dni po minie zafrasowanej gospodarza mego, przyznał mi się, iż w tydzień po przybyciu Rosyan do Wilna musiał mnie zameldować policyi dla uniknięcia srogiej odpowiedzialności osobistej. Ale o tem później — przedtem chcę opisać Wilno po zajęciu go przez wojska nieprzyjacielskie.

Nagromadzone ogromne magazyny rozmaitego rodzaju w tem mieście dostały się nietknięte w ręce Rosyan. Uchodzące wojska francuskie nie miały czasu uprowadzić albo zniszczyć tego wszystkiego. Widziałem później roznoszone mundury żołnierskie i sprzedawane całemi partyami za lichą cenę. Ulice były zasłane trupami obnażonymi, których kilka dni po sprawionej rzezi żydowskiej jeszcze nie uprzątnięto, dopiero po przybyciu cesarza Aleksandra do Wilna kazano je znosić na stosy, a następnie wywieść na lody rzeki Wilii, z którymi wiosną popłynęły w okolicę. Kutuzow przybył 13 grudnia do Wilna, a z nim główne wojsko rosyjskie, znędzniałe, obdarte, ale pełne ducha.

Dnia 22 przybył cesarz Aleksander, w. ks. Konstanty i gwardya. Władze przyjmowały monarchę, jak zwykle bywa: nakazano iluminacyą trzydniową, na ratuszu jaśniał ogromny transparent alegoryczny, przedstawiający Rosyą w postaci kobiety, niszczącej hydrę o tylu głowach, ilu wystąpiło przeciwko niej monarchów, sprzymierzonych z Napoleonem. Cesarz Aleksander przebaczył Litwinom, ale policmajster Hertel im nie przebaczył, potajemnie sprzątał i kazał wywozić na Syberyą. Generałowie rosyjscy rabowali dwory obywatelskie. I tak zrabował generał, którego nazwisko wyszło mi z pamięci, zamek ks. Radziwiłła w Nieświeżu i wywiózł z niego wszystkie kosztowności. Zaszła skarga do cesarza, generałowi odebrano łupy, ale — wzięto je do skarbu, jakoż znajdują się do dziś dnia w kredensach cesarskich w Petersburgu srebra z herbami Radziwiłłów.

Proklamacya, wyszła imieniem cesarza Aleksandra, wzywała Litwinów do powrotu, obwieszczała amnestyą zupełną, tchnęła łagodnością i uczuciem ludzkości. Przeciwnie działo

się potajemnie. Taką była zawsze polityka gabinetu petersburskiego, w ustach filantropia, wspaniałomyślność, wielkoduszność, to było przeznaczone dla Europy i dla historyi — chytrość, potajemne okrucieństwo, krwawa zemsta, zdzierstwo, szpiegostwo, zdemoralizowanie systematyczne narodu, wyssanie całego kraju, to rzeczywiste prawidła, któremi rządzono ludy, srogim wyrokiem Boskim poddane pod władzę knuta. Wszakże nikt nie wspomina o tem; pierwszy Custine podniósł część zasłony owego tajemniczego rządu, on pierwszy dał Europie obraz tego, co się dzieje w Rosyi, lubo wszystkiego nie potrafił dowiedzieć się i nie mógł przekonać się o wszystkiem.

Zgromadzono do 10000 niewolników, pozostałych w Wilnie przy życiu; defilowali przed cesarzem Aleksandrem. Serce mi pękało z żalu, gdym patrzał na starych grenadyerów gwardyi, na żołnierzy, ozdobionych krzyżem legii honorowej, prowadzonych w lichej odzieży w głąb kraju w mrozie przechodzącym 30 stopni. Iluż ich to pozostało na gościńcu! Iluż poszło na pastwę dzikiego chłopstwa! Trudno opisać moje cierpienia moralne w tej nowej epoce życia mojego; każda chwila była mi nieznośną, wszystko mnie oburzało, a nie mogłem uczucia mojego przed nikim objawić. Głośna chełpliwość praporszczyków rosyjskich była trucizną dla mnie, przekręcali na korzyść swoją każdy wypadek odbytej kampanii, trzeba było słuchać i milczeć, a częstokroć nawet potakiwać! O jakżem żałował trudów uniknionych, jakżem złorzeczył odmrożonym nogom moim, które mi przeszkodziły pozostać przy głównej kwaterze! Najohydniejsi byli dla mnie Litwini lub inni Polacy, którzy w rosyjskiem wojsku służyli; przechodzili w mowie Rosyan — zdawało się, jakoby ich nienawiść do wszystkiego, co polskie, aż do wściekłości dochodziła.

Żydzi uwijali się około Kozaków, obciążonych łupami, niezmierne zyski ciągnęli z wojska. Patrzałem na służalców oficerskich przyodzianych w paradne mundury generałów francuskich. Widziałem nielitościwie bitych mieszczan za wciskanie się do szeregów niewolników, którym przynosili ciepłą strawę. Coraz kwaśniej spoglądano na mnie w rodzinie Jeziorkowskiego, aż przyznał mi się wreszcie, iż mnie zameldował.

Nie mogłem mu wziąć za złe kroku tego, ale postanowiłem sobie bądź co bądź połączyć się z wojskiem napoleońskiem.

Cesarz Aleksander przepędzał często wieczory w towarzystwie panny Tyzenhaus, frejliny dworu, która, pozostawszy w Wilnie po przybyciu Francuzów, była na balu, dawanym Napoleonowi. Frejliny dworu rosyjskiego nosiły cyfry brylantowe carowej jako oznakę stopnia; panna Tyzenhaus na balu Napoleona oznakę tę włożyła. Śmiałość ta, czasu swego nadzwyczajnie ceniona przez Rosyan i ogłoszona w rozmaitych pismach, zjednała pannie Tyzenhaus względy cesarskie. Aleksander lubił wypoczywać w jej towarzystwie i z trudów i mozołów swobodnie odetchnąć, dla tego zajeżdżał do niej bez etykiety, a w rozmowach przyjacielskich mile czas z nią spędzał. W późniejszym czasie poszła p. Tyzenhaus za mąż za ks. Choiseul-Gouffier, mieszkała w Paryżu i napisała pamiętniki o cesarzu Aleksandrze, w których rozwodzi się o swych osobistych stosunkach z monarchą.

W. ks. Konstanty mustrował gwardyą codziennie, nigdy nie chybiał parady, przy której kazał żołnierzom wykonywać rozmaite obroty pomimo mrozu dokuczliwego. Oficerowie bywali po cukierniach, kawiarnich i teatrach, a przyznać wypada, że byli wogóle gładcy. Usposobienie i charakter Rosyan ma wiele podobieństwa do charakteru polskiego, a, gdyby rząd rosyjski mógł się pozbawić swej chytrości i systematu szpiegostwa, połączyłby był wnet oba narody w jeden węzeł silny i przyjazny.

Postanowiłem puścić się na los szczęścia i szukać w rychłem opuszczeniu Wilna oswobodzenia z pod opieki policyi rosyjskiej, której już byłem zameldowany. Wyszedłem w tym celu na miasto, chcąc się zabrać z którymkolwiek obywatelem, mieszkającym bliżej granicy Księstwa Warszawskiego, bo był to dzień targowy i rozmaite transporty zboża przybywały na sprzedaż do miasta. Chodzącemu po ulicach przyszło na myśl wezwać opieki rektora uniwersytetu Śniadeckiego jako ziomka, urodzonego w jednem województwie co ja, którego współczucia byłem pewny. Zaręczył mi jednak pan Śniadecki, że nie znajdę na całej Litwie żadnego takiego, któryby się wystawił na odpowiedzialność udzielenia mi potajemnego przytułku, sam

ofiarował mi swój dom aż do ukończenia wojny pod warunkiem jednakże, że mu dam słowo honoru, iż się z niego nie oddalę bez jego wiedzy, a w takim razie chciał wziąć obowiązek na siebie wyjednania mi pozwolenia od policyi do pozostania u niego. Już bawił tam Hieronim Gorzeński, syn prezesa Gorzeńskiego z Poznania, który także służył w polskiem wojsku i pozostał w Wilnie. Mnie wszakże chodziło o połączenie się jak najspieszniejsze z wojskiem Napoleona, a mianie poza sobą Moskali, dla tego też nie przyjąłem ofiarowanego mi przytułku, a podziękowawszy p. Śniadeckiemu, poszedłem znów szukać sposobności wydostania się z Wilna. Przybywszy na przedmieście, ujrzałem kilkanaście sani, stojących przed szynkiem, i dowiedziałem się od chłopów, że byli z Księstwa Warszawskiego, z Jezior, dóbr, należących do p. Myszkowskiego, który przysłał do Wilna znaczny transport żyta na sprzedaż. Ekonom był w szynkowni, pobiegłem do niego, powiedziałem, kto jestem, i prosiłem o zabranie mnie do Jezior. Poczciwy Mucha (tak się nazywał, a był Tatarem) przychylił się bez wahania do żądania mego. Pospieszyłem zatem do stancyi mojej, zabrałem rzeczy, a w godzinę później znajdowałem się już na drodze ku Jeziorom. Było to 10 stycznia 1813 r., gdym przedsięwziął wyprawę tyle niebezpieczną, która jednakże przy opiece Boskiej udała się szczęśliwie. Przedewszystkiem mówił mi Mucha, zabierając mnie na sanki swoje, trzeba się dostać za miasto, później pomyślimy o jedzeniu. Ujechaliśmy 10 mil drogi prawie bez zatrzymania się. Wszakże nie doznałem żadnej przygody w całej podróży. Dnia 11 przebyliśmy zamarznięty Niemen pod Olitą, a 12 znajdowałem się w Jeziorach u pana Myszkowskiego.

W Jeziorach na Żmudzi pan Myszkowski, starzec, mający 60 i kilka lat, niski, szczupłej budowy ciała, noszący długą siwą brodę, co w owym czasie należało do osobliwości, mówił źle po polsku, bo urodził się na Śląsku, a całe życie strawił, służąc w pruskich huzarach czarnych, w którym pułku dostąpił stopnia majora. Jeziory otrzymał w darze od króla pruskiego. Dobra te dostały się królowi w spadku po księżniczce Radziwiłłównie, poślubionej ks. pruskiemu. Doznałem uprzejmego przyjęcia w Jeziorach, a żem poznał od razu, iż trudno

p. Myszkowskiemu wysłowić się po polsku, odezwałem się po niemiecku. Trafiłem w słabą jego stronę. »Also Sie sprechen deutsch?« odezwał się radośnie. Odtąd zostałem jego domownikiem i mile widzianym gościem.

Jeziory jestto nie wielkie miasteczko, dawnymi czasy należące do Żmudzi. Król Fryderyk Wilhelm II darował je, jak wyżej wspomniałem, majorowi Myszkowskiemu, prawdziwemu potomkowi w prostej linii margrabiów Myszkowskich z Mirowa, po których Wielopolscy odziedziczyli cały majątek i tytuł. Otóż ojciec owego Myszkowskiego, u którego przebywałem, wyniósł się całkowicie po utracie ojcowizny z Polski na Śląsk, zaciągnął się do wojska pruskiego i osiadł tamże. Syn jego poszedł w ślady ojca, służył pod chorągwią króla pruskiego od dzieciństwa w tym samym pułku, w którym ojciec dowodził, i zjednał sobie łaski królewskie. Majętność Jeziory leżała w owym czasie w obrębie granic Rzeczypospolitej polskiej, a że się toczył wówczas spór o dziedzictwo pomiędzy królem pruskim a domem Radziwiłłowskim, przeto król, nie chcąc występować imieniem swojem przed trybunałem obcego kraju, ustąpił praw swoich majorowi Myszkowskiemu.

Takim sposobem zmieniło się stanowisko jego. Z biednego oficera pruskiego, nie mającego żadnych funduszy oprócz swojej pensyi, stał się majętnym obywatelem ziemskim, właścicielem siedmiu pięknych folwarków. Pan Myszkowski był zarówno jak cała jego rodzina wielkim oryginałem. Żona jego, stara i brzydka Niemka, przepędzała życie z czeladzią, nie pokazywała się nigdy przy stole w czasie obiadu. Najstarsza córka mieszkała sama jedna na osobnym folwarku, a według wyrażenia ojca chciała naśladować królową szwedzką Krystynę. Nie wiem, jak dalece jej się to udało, nie mając sposobności widzenia tej rodziny w dalszym ciągu mojego życia. Starszy syn p. Myszkowskiego miał sobie oddany inny folwark, nigdy nie bywał u ojca, podobno pojął córkę chłopa za żonę; resztę dzieci trzymał pan major przy sobie, nie troszcząc się jednak bynajmniej o ich wychowanie i wykształcenie.

Pozostać musiałem w Jeziorach do miesiąca kwietnia, zapadłem bowiem w skutek trudów wojennych na zdrowiu. Podczas całej choroby doznałem wszelkiej opieki ze strony

gospodarza i żony jego, która, pełna troskliwości, osobiście pielęgnowała mnie i bez żadnej pomocy lekarskiej wyprowadziła z tyfusu niebezpiecznego. Długo jednak nie powracałem do sił i nie mogłem myśleć o połączeniu się z wojskiem mojem. Ponieważ pan Myszkowski posiadał bardzo piękną stadninę, ujeżdżałem mu konie przez jakie 4 tygodnie, dopóki nie byłem w stanie wybrać się w dalszą podróż.

Zważywszy, że Jeziory leżą w dawnej Żmudzi i że chłopi tej okolicy mówią ponajwięcej po żmudzku, przeto muszą koniecznie kapłan i oficyalista mówić i rozumieć to narzecze. Żmudzki język nie ma najmniejszego powinowactwa z łacińską lub grecką mową. Niewiadomo mi, czy kto dotąd badał pierwiastki języka żmudzkiego, dziś jest on tylko w użyciu prostego ludu i wiem, że prawie niemożliwem mi było porozumieć się z mieszkańcami tych okolic. — Czyż tą samą koleją nie pójdzie kiedyś w następnych wiekach i język polski? Zajadłość i zemsta srogiej pamięci cesarza Mikołaja pozbawiła nas Polaków instytucyi, mogących kształcić nasz język narodowy. W usiłowaniu swojem ku zagładzie wszystkiego, co polskie, zniósł Mikołaj uniwersytet, rozpędził Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zabrał wszelkie biblioteki, w kraju nagromadzone. Dzisiaj już niema w Polsce forum naukowego, rozstrzygającego zachodzące wątpliwości i kwestye, tyczące się naszego języka.

Chłop żmudzki z okolic Jezior ma daleko lepsze mienie od chłopa polskiego, posiada znaczniejszą ilość gruntu, używa pastwisk obszernych, hoduje liczne bydło i konie, ma pszczoły, ubiera się w rodzaj siwej siermięgi, tkanej w własnej chałupie przez żonę, do której własne jego owce dostarczają materyału, w czasie mrozów przyodziewa kożuch na siermięgę, chodzi w łapciach, z łyka zrobionych, głowę okrywa wielką czapką futrzaną albo słomianym kapeluszem, stosownie do pory roku. Kobiety noszą granatowe kaftany sukienne, na głowie chustki, niedbale przewiązane. Rzadko kiedy zdarzyło mi się pomiędzy tym ludem spotkać urodziwą dziewkę. Mają się bardzo dobrze; konie niskie i zwięzłe należą do owej silnej rasy koni, którą tylko ten ocenić potrafi, kto przebywał na Żmudzi. Chłopi posiadają wielką ilość pszczół po lasach

i ciągną z tej gałęzi gospodarskiej znaczne dochody. Przemycanie towarów z Prus do Polski i rosyjskiej Litwy przynosi im także nie małe korzyści, wąski przesmyk, wciskający się długą szyją pomiędzy dwie granice, zapewnia im łatwy a pewny zysk ze szwarcowania. Moralność ludu tego stoi, jak dotąd, na bardzo niskim szczeblu cywilizacyi — pełno rozbójników po lasach, kradzieże ustawiczne, a bezkarność tem większa, że w przeciągu kilku godzin może zbrodniarz z łatwością przejść dwie granice.

Filipony, chłopi, osiedli w wielkiej liczbie pomiędzy Szczuczynem a Kalwaryą Górą, pochodzą od rodzin rosyjskich, które uchodziły dawnymi czasy przed prześladowaniem religijnem, a w Polsce znaleźli przytułek. W Rosyi nazywają ich Rozkolnikami albo starowiercami, wyznają religią prawosławną z niektóremi odmianami, odróżniającemi ich od kościoła schizmatycko-greckiego. Owa klasa ludu niesłychanie jest zabobonna; broń Boże palić tytoń lub zażywać tabaki w ich pomieszkaniu, uważają to za świętokradztwo. Wódki nie piją, robactwa nie wolno im tępić w chałupach itd. Lud ten zachował obyczaje, ubiór i zwyczaje rodzinnego kraju; jest przemyślny, handluje z Prusakami i Rosyą, łączy się li tylko pomiędzy sobą, nie wchodząc w żadne związki z Polakami lub Litwinami. Sądziéby się można w głębokiej Rosyi, przybywszy do wsi, zamieszkałej przez Filiponów. Owe osady są to prawdziwe gniazda rozbójnicze; w czasie odwrotu Francuzów namordowali Filiponi mnóstwo żołnierzy, nawet w czasie pokoju niebepiecznie podróżować człowiekowi w okolicach, zamieszkałych przez nich.

Nadzwyczajne lasy, bagna i zarośla dostarczają w Augustowskiem pewny przytułek dla wilków i rozmaitej grubej zwierzyny. Tu się znajdują rysie, łosie, głuszcze, żbiki i wiele innych zwierząt dzikich. W jeziorach łowi się sławną sielawę i stynkę, gatunek łososia, rybkę nadzwyczajnie małą, ale w takiej obfitości poławiana, że stanowi jeden z głównych artykułów żywności prostego ludu.

Był to wielki oryginał ten mój gospodarz p. Myszkowski, nie tak robił jak inni ludzie. Był Polakiem, a po polsku nie mówił, wszystkie uczucia jego były oddane królowi pruskiemu.

Był katolikiem, a sam powiedział mi, że od dzieciństwa nie był w kościele katolickim. Ubierał się dziwacznie, nosił długi surdut granatowy, krótkie spodnie, białe pończochy wełniane i trzewiki; zapuścił długą siwą brodę, głowę przykrywał rodzajem jarmułki lub słomianym kapeluszem. Nigdy nie jadał mięsa, żył samemi jarzynami, owocem i nabiałem. Skąpy względem siebie i swojej rodziny, okazywał się szczodrym dla cierpiących niedostatek i czynił wiele dobrego w okolicy. Nigdzie nie bywał, nikogo ze sąsiadów nie przyjmował do domu swego. Co rok sprowadzał z Królewca zapasy rozmaitego wina, którego nie pił, cukru i kawy, których nie używał wcale, korzeni i różnych bakalii, które nietknięte leżały od wielu, wielu lat w spiżarni. Stołownikom jednak kazał przyzwoicie gotować. Przepędziłem całe trzy miesiące z nim, nikt mnie nie turbował, pomimo żem wcale się nie ukrywał, a nawet często stawali kwaterą u p. Myszkowskiego oficerowie rosyjscy i ze mną otwarcie rozmawiali o przeszłej kampanii jak z kolegą, który brał w niej udział.

Myszkowski chwalił nadzwyczajnie postępowanie pruskiego generała Yorka, który bez rozkazu króla swego opuścił szeregi francuskie i przeszedł z całym korpusem swoim do nieprzyjaciela. Był to pierwszy przykład opuszczenia Napoleona przez sprzymierzonych, a miał się w ciągu roku bieżącego powtórzyć tyle razy, ilu było monarchów w Europie.

Postępowanie dwuznaczne ks. Schwarzenberga dozwalało przypuszczać, że i on niezadługo pójdzie w ślady generała Yorka. Polacy jednakże okazali się wiernymi cesarzowi francuskiemu. Ks. Józef zebrał, co tylko mógł, wojska, obsadził Modlin i Zamość garnizonami dostatecznymi. W Modlinie mianował gubernatorem pułkownika Chodkiewicza, w Zamościu generała Haukego. Obydwaj odpowiedzieli godnie zaufaniu wodza, okryli się sławą przez dzielną obronę powierzonych im twierdz. Z resztą wojska udał się ks. Józef do Krakowa, tam zorganizował, o ile mógł, wojsko polskie, oparł się wszelkim intrygom i namowom emisaryuszów rosyjskich i tyle dokazał szlachetnym swym charakterem, że mu rząd austryacki dozwolił przejść przez kraje swoje i połączyć się w Saksonii z wojskiem francuskiem. Jakoż doprowadził

14000 wojska Napoleonowi, przeszedłszy przez część Galicyi, Morawy i Czechy.

U Siewieluńskich w Łowiczu. Piotr Radoliński. Bronikowscy. Cesarz Aleksander I. Bitwa pod Kaliszem. Prefekt Garczyński.

Wróciwszy do sił całkowicie opuściłem wreszcie Jeziory z początkiem kwietnia 1813 r. i puściłem się w podróż do Wolsztyna. Pan Myszkowski dał mi wielki dowód zaufania, bo sprzedał mi na kwitek trzy dobre konie i bryczkę, a oprócz tego pożyczył mi jeszcze 500 złotych. Cała suma, należąca się p. Myszkowskiemu, wynosiła 2400 złotych, którą też niezwłocznie po przybyciu do Wolsztyna odesłałem mu. Troskliwy o moją wygodę, zaopatrzył jeszcze moją bryczkę w rozmaite wiktuały. Zachowuję pamięć jego ludzkości do śmierci. Dla koni kazał pan Myszkowski dodać mi także jeszcze żołnierza polskiego, przebywającego w jego dobrach. Ten mnie jednak okradł o dzień drogi od Łowicza i uciekł zapewne do swej rodziny. Nie posiadałem żadnej legitymacyi, musiałem zatem być bardzo ostrożnym, jadąc krajem, przepełnionym wojskiem nieprzyjacielskiem. Nie zatrzymałem się dla tego w żadnem mieście; tylko po wsiach opodal od traktu pasłem konie i nocowałem. Do najtrudniejszych rzeczy należały przeprawy przez rzeki, wszakże udawało mi się jakoś zawsze oszukać baczność policyi. Do najnieprzyjemniejszych wrażeń, doznanych w tej dalekiej podróży, zaliczyć muszę przeprawę przez puszczę Augustowską. Zapuściłem się w nią przed świtem. Gdym jechał dobrą milę, poczęły ze wszystkich stron wilki wyć przeraźliwie. Czułem wyraźnie, że mi się na głowie włosy podnoszą, byłem bez broni. Gdyby się tym bestyom zachciało napaść na nas, bylibyśmy pożarci, konie i ludzie, bez ratunku. Skończyło się jednakże na niemiłej muzyce i strachu, koncert ustał ze wschodem słońca, a ja zajechałem szczęśliwie do Szczuczyna, do ojca mego dobrego kolegi Kisielnickiego, który także pozostał w domu rodzicielskim po powrocie z kampanii. Dowiedziawszy się od przejeżdżającego żyda, że się znajduje

u ojca, zajechałem wprost do dworu. Pan Kisielnicki zatrzymał mnie z całą staropolską gościnością u siebie przez kilka dni. Syna jego już w Szczuczynie nie było; wypocząwszy bowiem po trudach kampanii, puścił się także za pułkiem swoim do Krakowa, skąd już przyszła wiadomość, że szczęśliwie stanął. Dla ułatwienia podróży dał mi p. Kisielniecki list, polecający mnie p. Staniszewskiemu, mieszkającemu pod Łomżą. Odtąd nigdy nie zatrzymywałem się na noc, jak tylko u samych obywateli, którzy mnie jeden drugiemu rekomendowali i wskazywali bezpieczne manowce, którymi wojsko nie przechodziło. Minąwszy Sierock, pozostawiłem Warszawę na prawo i udałem się do Kurczewa nad Wisłą, gdziem się przewieść kazał na drugi brzeg. Wszystko poszło wyśmienicie aż do miasta Grójca, przez które jechać musiałem, zmierzając do Łowicza, do kochanego Siewieluńskiego. W samym rynku zatrzymał mnie żołnierz i kazał mi się zameldować plackomendantowi rosyjskiemu. Można sobie wystawić moją obawę, widziałem się już porwanym i pędzonym napowrót w stepy: jednakże Bogu dzięki, wybrnąłem szczęśliwie z tej imprezy. Bóg natchnął mnie odwagą. «Skąd jedziesz i dokąd?», zapytał mnie plackomendant. «Jadę z Warszawy do Łowicza», odpowiadam. Zapytany o paszport, powiadam, że jestem subjektem kupca Zawadzkiego w Łowiczu, że mnie pryncypał mój wysłał do Warszawy w interesie, zalecając mi obrócić drogę na Grójec, ażeby się z wojskiem nie spotykać w razie, gdyby traktem głównym maszerowało, że paszportu żadnego nie posiadam, podróżując po własnym kraju. Jakoż nie wiedziałem, ażeby władze rosyjskie wymagały paszportu za każdem wyruszeniem się z miejsca. «Da — da —», odpowiedział plackomendant, «paszport zawsze potrzebny; nu jedzte z Bohem, a pośle nada Wam imiet sroczku». Jakżem gorąco Bogu dziękował, wybrnąwszy z tej toni! Wyruszyłem czemprędzej z Grójca, a, ujechawszy spory kawał drogi, przepędziłem noc u chłopa o jakie 3 mile od Łowicza. Tu mnie opuścił ów żołnierz, dodany do koni w Jeziorach, zabrawszy mi wszystkie rzeczy — szczęście, że pieniądze miałem na sobie w trzosie. Pozostałem zatem w jednej bieliźnie i w jednym ubiorze; ale nic mnie to już nie obchodziło, bo byłem już pod bokiem Siewieluńskiego. Dziecko, powraca-

jące do rodziców, nie dozna czulszego przyjęcia od tego, jakie mnie spotkało w progach tego kochanego człowieka. Jak Siewieluński, tak i żona jego nie posiadali się z radości, witając jak syna. Niebawem zajęli się odnowieniem lichej mojej garderoby i zaopatrzeniem we wszystko, na czem tylko mi zbywało. Cały tydzień zabawiłem u tych zacnych ludzi, poczem puściłem się w dalszą podróż w towarzystwie człowieka pewnego z Łowicza, najętego do koni moich, obadwa zaopatrzeni legalnym paszportem, przez plackomendanta wizowanym.

Jak na całym świecie, tak i w Polsce znajdowali się już tacy w kraju, którzy nadskakiwali Moskalom, a, przewidując nową erę, garnęli się do partyi rosyjskiej. Odznaczyła się tem specyalnie okolica Kalisza. Dobrze powiedział mędrzec «Si la peste avait des pensions et des faveurs à distribuer, elle aurait des flatteurs».

Tak przeszedł na stronę Aleksandra I Bronikowski, dziedzic Krągoli pod Koninem, szambelan króla pruskiego, potem wielki wielbiciel Napoleona, za czasów Królestwa Kongresowego kasztelan. Był to człowiek, który każdej władzy hołdował i był jej uniżonym sługą. Zresztą był bardzo przyjemny w towarzystwie, potrafił rozweselić salony, był grzeczny dla kobiet, grał doskonale w rozmaite gry, miał wybornego kucharza i był namiętnym myśliwym.

Wypadło cesarzowi Aleksandrowi przenocować w Krągoli pod Koninem, majętności p. Bronikowskiego. Bawiła tam chwilowo u swej ciotki panna Mojaczewska, osoba nad wyraz urodziwa i pełna wdzięku. Cesarzowi Aleksandrowi, który, jak wiadomo, był wielkim wielbicielem płci pięknej, wpadła w oko piękna panienka. Pan szambelan, godny służyć królowi Ludwikowi XV, poczytał sobie za szczęście ułatwić mu miłosne zabiegi. Po wyjeździe monarchy wydał zaraz siostrzenicę żony za własnego syna swego Józefa, który został kamerjunkrem przy cesarskim dworze, towarzyszył swojemu panu przez całą kampanią 1813-go i 14-go roku, był w Paryżu z główną kwaterą, później został naczelnikiem obwodu konińskiego i referendarzem stanu.

Nie był lubiany od obywateli, lubo był poczciwym człowiekiem, ale próżnym. Pasibrzuch, najniższy sługa swej żony

i każdego wyższego urzędnika, przepędził całe życie w Koninie na urzędzie, grając w lombra i wista i chwaląc wszystko, co ze strony rządu wychodziło, nosząc order ś. Anny 3-ciej klasy nawet przy szlafroku, a przy końcu życia swego ucząc się języka rosyjskiego. Żona jego dostała w upominku od cara Aleksandra wspaniałą dyamentową strzałę, teść jej zaś, pan szambelan, cieszący się łaską cesarską, tabakierkę, wysadzoną brylantami. Po ogłoszeniu Królestwa Polskiego Najjaśniejszy Pan raczył szambelana powtórnie odwiedzić w Krągoli i kazał mu wtedy ze skarbu wyliczyć 30 000 zł., które jednak p. Bronikowski później zwrócić musiał za rządów srogiej pamięci Mikołaja.

O drugim synie szambelana, Rafale, nie mam nic innego do powiedzenia, jak tylko, że żył tak samo, jak wielu innych. Żona jego, kobieta cnotliwa i dobra, oddawała się całkowicie wychowaniu jedynej córki swej Melanii, wydanej później za Wiktora Kurnatowskiego.

Pan szambelan wraz z synami pospieszył do Kalisza z całym swoim dworem, gdy główna kwaterya rosyjska stanęła w tem mieście. Wszystko, co należało do dworu rosyjskiego kazało się przedstawić żonie jego; otworzył dom i dawał wieczory, na których sam cesarz po kilka razy bywał. Takie świetne powodzenie pana Bronikowskiego zachęciło do naśladownictwa pana Piotra Radolińskiego, dziedzica Żelaskowa, obywatela bardzo bogatego.

Był to człowiek nadzwyczaj otyły, bez żeny w towarzystwie, nie dobierający wyrazów, pił doskonale, jadł za czterech, grał w karty namiętnie, częstował u siebie aż do zbytku, lubił Niemców i żył z nimi za czasów Prus Południowych. Tyranem był dla poddanych swoich, a był tak silny, że porwał pewnego razu owczarza swego za uszy i oderwał mu oba od głowy. I on przybył do Kalisza, przyjmował w swych salonach nieprzyjaciół ojczyzny, pił i grał z nimi w karty, częstował hojnie, a, puściwszy w niepamięć wszelkie polskie uczucia, stał się ich najgorliwszym stronnikiem. Wreszcie tak dalece zasmakowało mu owe towarzystwo, że, zmieniwszy kontusz na strój francuski, puścił się w r. 1813 za główną kwaterą do Paryża.

Synowie jego podzielili się znacznym majątkiem ojcowskim. Po ich zachowaniu wykwintnem trudno się było domyślić, że to synowie rubasznego Piotra.

Pan Garczyński, prefekt departamentu kaliskiego, wuj mój, opuścił wraz z kilku zacniejszymi obywatelami i kilku urzędnikami siedzibę urzędowania swego po stoczonej bitwie pod Kaliszem, w której generał Regnier, uszykowawszy działa swoje pod Tłokinią, a zasłonięty rzeką Świędrnią, położył na pobojowisku 5—6000 nieprzyjaciela, garnącego się ku Kaliszowi dawnym traktem warszawskim. Po tej bitwie, ostatniej w Polsce stoczonej, cofnął się Regnier ze Sasami, którymi dowodził, na Krotoszyn i Rawicz do Głogowy. Garczyński udał się do Drezna, do króla saskiego, a w. ks. warszawskiego, nie powrócił już nigdy do ojczyzny, umarł w Dreźnie na tyfus w czasie oblężenia po przegranej naszej pod Lipskiem. W czasie bitwy pod Kaliszem odkomenderował Regnier generała saskiego Gablentza z brygady piechoty do wsi Kokanina dla obserwowania nieprzyjaciela, mogącego się posuwać ku Kaliszowi od Konina, Gablentz poddał się tymczasem z całą brygadą bez wystrzału Rosyanom. Było to powtórzenie zdrady Prusaków.

Pospolite ruszenie rosyjskie pod nazwą «Drużyna» albo «Opołczenie» ciągnęło ku linii bojowej w czasie mego przejazdu do Wolsztyna; była to zbieranina dzieci, nie dochodzących 20 lat wieku, albo starców powyżej 50 lat. Owi ludzie nosili odzież chłopską, jedną tylko furażerką wojskową, na której był krzyż blaszany z napisem: «Za wiarę, cara i ojczyznę», różnili się od chłopów ruskich. Całą ich bronią był kosztur, oprawiony w żelazo, a niektórzy mieli toporki za pasem. Nie pojmuję, na jaki cel wyprowadzono tych ludzi z kraju, nie byli bowiem zdatni do żadnej służby wojskowej, przeciwnie, zdaje mi się, musieli zawadzać i utrudniać poruszenia wojska. Nasi chłopi żartowali z nich, a kobiety wypychały z chałup, gdy na kwatery przybywali; żebrali po kraju, a gdy co upatrzyli, to i kradli.

Wiadomość o zwycięstwie Napoleona pod Lützen i Budziszynem, o powrocie króla saskiego do swojej stolicy i o ogólnem poruszeniu całego narodu niemieckiego już mnie w Łowiczu była doszła. Widoczny był już ruch wsteczny wojska rosyj-

skiego; napotykałem na cofające się ambulanse wojskowe, wiele kibitek powracało z bagażem do Warszawy, a natomiast maszerowało kilka pułków konnicy ku Odrze. Na prowincyi nie było młodzieży, wszystko poszło do wojska; nigdzie nie zastałem znajomych, sami starzy obywatele czekali w domach końca olbrzymiej walki. Kraj był wyniszczony do szczętu, bardzo wiele domów po wsiach stało pustkami, nawet i po miastach. Chłopstwo obojętnie patrzało na zmianę politycznego bytu w kraju, mieszczanin niechętnem okiem spoglądał na Rosyan, natomiast przyjmowali ich z wyjątkową serdecznością Niemcy i żydzi. Wielu Niemców nawet zaciągnęło się do ochotników pruskich. Słynący z patryotyzmu swego pruskiego naddzierżawca dóbr Połajewa pod Rogoźnem, p. Saenger, ubrał i umundurował własnym kosztem sześciu jeźdźców, których odesłał do wojska pruskiego.

W Wolsztynie. Pani Węgorzewska. Kapitan Wolniewicz. Stefan i Nepomucen Garczyńscy. Podróż do Drezna.

Stanąłem szczęśliwie w Wolsztynie dn. 17 kwietnia 1813 r. Gdy zajechałem przed dwór rodzicielski, wszyscy byli w kościele, była to bowiem niedziela. Pobiegłem naprzeciwko rodzicom i upadłem im do nóg na samym rynku. Jakież to było serdeczne przyjęcie! Kochane moje siostry, Antonina i Adela, rzuciły się w moje objęcia. «Franiu, drogi Franiu, Ty żyjesz»! takie były ich słowa wśród potoku łez radosnych. Ojciec mnie uściskał, nawet mały jeszcze Apolinary czepiał się mojej szyi — jedynie matka westchnęła, witając mnie, bo przypomniała sobie brata mojego Ewarysta. «O Franciszku» — rzekła — «byłam przekonaną, że powrócisz — ale cóż się dzieje z biednym Ewarystem?» i zalała się łzami. Nie mogąc nic stanowczego powiedzieć o losie brata mojego, opisałem rodzicom ostatnie moje spotkanie z nim pod Tołoczynem — dalszych wiadomości nie byłem w stanie im udzielić.

Nie długo trwała swoboda moja i wypoczynek pod dachem rodzicielskim. Francuskie forpoczty stały na Odrą, o 4 mile

od Wolsztyna — a ja nie przybyłem do rodziców, aby przy nich próżnować. Jeszcze nie widziałem uroku w jednostajności życia wiejskiego, dusza moja wzdychała do orłów Napoleona a przywiązanie moje do bytu narodowego, do tej kochanej Polski, dla której gotów byłem siebie i cały majątek ponieść w ofierze, wyrzucało mi każdą chwilę, nieczynnie spędzoną. Nie były nam tajne porażki sprzymierzonych pod Lützen i Budziszynem, tryumfalny powrót Napoleona do Drezna, dokąd przywołał króla saskiego. Oj! gdyby nie Austrya, byłby Napoleon powrócił nad Niemen, a natenczas istniałoby znowu Ks. Warszawskie, bo nie można było pomyśleć, ażeby po tak niszczącej wojnie cesarz francuski nie był zawarł pokoju, chociaż bez korzyści; lecz gabinet wiedeński przeważył szalę na przeciwną stronę. — Napoleon upadł pod przemocą całej Europy, a my upadliśmy z nim razem. Austrya poczęła się uzbrajać i czynić przygotowania do wojny, skoro wojsko francuskie skutkiem mrozu zniszczało. Metternich zaręczał wprawdzie zrazu cesarzowi Napoleonowi, że uzbrojenia takie mają na celu połączenie się Austryaków z Francuzami przeciwko Rosyi; Napoleon musiał niby w to uwierzyć w nadziei, że przyszłe zwycięstwa jego potrafią mu zjednać pomoc Austryi, z którą połączony związkiem krwi przez małżeństwo swoje z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką, miał prawo spodziewać się, że do jego upadku ręki nie przyłoży.

Wnet rozeszła się wieść o moim powrocie, sąsiedzi rodziców przybywali kolejno odwiedzać nas, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości. Pomiędzy innymi przybyli Tertulian i Adolf Koczorowscy, młodsi obadwaj odemnie (Tertulian liczył wówczas 17 lat, Adolf był jeszcze młodszy). Miałem dla nich zawsze wiele przyjaźni, to też ucieszyłem im się najwięcej. Owi bracia zasłużyli sosie w ciągu życia na ogólny szacunek. Adolf zginął nieszczęśliwie w pojedynku, Tertulian ożenił się z hr. Bnińską; był szczęśliwym małżonkiem i ojcem, wzorowym obywatelem, kochany był przez wszystkich, niestety umarł przedwcześnie.

Wojsko rosyjskie stało nad Odrą i po najwięcej na Śląsku, dywizya generała Wintzingerode miała główną kwaterę w Lesznie, a Kozacy uwijali się po całej okolicy. W Kar-

gowie dodany był podprefektowi Zatorskiemu pułkownik Brendel, dowódca kilku pułków kozackich, który kontrolował czynności podprefekta Otóż, gdy się rozeszła wiadomość o moim powrocie, polecił pułkownik, aby mnie niezwłocznie ujęto i dostawiono do jego sztabu. Poczciwy Zatorski potrafił zadość uczynić rozkazowi, oszczędzając mi nieprzyjemności stawiania się przed człowiekiem, którego postępowanie odznaczało się w całym powiecie jak największą brutalnością. Obawy o siebie samego nie miałem, bo każdy oficer polski, pozostały w Księstwie Warszawskiem, miał dozwolony pobyt tam, gdzie go sobie obierze, byleby się zameldował do najbliższej władzy wojskowej. Otóż pan Zatorski przesłał urzędowy rozkaz wójtowi gminy, by mnie dostawił przed pułkownika Brendla, na ręce ojca mego. Ten, odebrawszy go, kazał mi natychmiast wyjechać do krewnych i znajomych i bawić w rozmaitych domach aż do nadejścia paszportu dla mojej matki i sióstr, jadących do Karlsbadu, w którym byłem umieszczony jako kamerdyner. Zaraz po moim powrocie do domu ułożywszy ten plan, ojciec mój już zawczasu uczynił był odpowiednie kroki do uzyskania paszportu.

Wyruszyłem zatem tego samego dnia do Obiezierza, majętności owdowiałej już natenczas krewnej naszej generałowej Węgorzewskiej. Jakże zmieniła swoje zapatrywania, odkąd poczuła ciężar wojny! Nie była to już owa zagorzała patryotka polska, rozwożąca żywność i tabakę do obozu insurgentów w r. 1794, donosząca naczelnikom insurekcyi o wszystkich obrotach wojska pruskiego. Dzisiaj złorzeczyła Francuzom i Napoleonowi, a sprzyjała wyraźnie sprawie rosyjskiej. Domownikiem w Obiezierzu był dymisyonowany kapitan Wolniewicz, który służył w legii polskiej pod Kniaziewiczem. Znalazłszy tam przytułek, nie ruszył się z miejsca pomimo powstania narodu, za to zwyczajem takiej klasy ludzi mądrze gadał, krytykował obroty wojenne i nieomal dawał do zrozumienia, że jego tylko nie dostawało, ażeby wszystkiemu dać inny kierunek. Oczywiście duszno mi było w Obiezierzu, dlatego zabawiwszy tam 48 godzin, puściłem się do wuja mego Stefana Garczyńskiego, dziedzica dóbr Szelejewo, a prefekta powiatu krotoszyńskiego. Pana Stefana znałem jako patryotę, człowieka uczciwego, nad-

zwyczajnie gościnnego, a lubo dla patryotyzmu swego ściągnął na siebie podejrzenie policyi rosyjskiej, a dom jego rewidowano skutkiem denuncyacyi Niemców, osiadłych w Krotoszynie, byłem przekonany, że znajdę u niego bezpieczne schronienie aż do nadejścia oczekiwanego paszportu.

Wuj mój przyjął mnie z otwartem sercem; był jeszcze całkiem zaperzony na Kozaków, którzy przed kilku dniami przeszukali cały dwór i zabudowania dworskie, szukając broni. W samych początkach zajęcia kraju przez Rosyan przybył policmajster czynnej armii, generał Hertel, do p. Garczyńskiego, będącego jeszcze w owym czasie w Krotoszynie. Tam badał go ściśle, akta rewidował, przetrząsł wszystkie papiery, dochodząc mniemanego spisku przeciwko rosyjskiemu wojsku. Groźba śmierci, Syberyi, knutu, nic nie wskórała, bo spisek nie istniał. Oburzenie starego patryoty granic nie miało. Wzdychał, nie tając się zupełnie z uczuciem swojem za rychłym powrotem Francuzów. Nie dowierzał Niemcom i żydom w Krotoszynie, dla tego też bawił, o ile mu pozwalały obowiązki służby, u siebie na wsi, dokąd zawsze chętnie sąsiedzi lub goście zajeżdżali.

Dziwne przeznaczenie ludzkie! Czym mógł przeczuć, że natenczas 7-letnia Emilia, córka wujostwa, będzie kiedyś moją żoną? Emilka była wtedy dobrem, potulnem dzieckiem, patrzącem na ogorzałego kuzyna z wielkiem uszanowaniem.

Zastałem w Szelejewie ciotecznego brata mego Nepomucena, syna pułkownika Garczyńskiego, zmarłego w Głogowie, dokąd się był schronił przed nadciągającem wojskiem rosyjskiem. Nepomucen pozostał tak jak i ja w kraju dla wypoczęcia po trudach kampanii zeszłorocznej, a teraz szukał sposobu dostania się do szeregów ojczystych. Dowiedziawszy się o planie moim, już mnie nie opuścił. Jakoż obadwaj przebyliśmy forpoczty pod zasłoną liberyi mojej matki.

Zawieszenie broni zatrzymało wojska walczące w pozycyach swoich, a ułatwiło mi sposobność przemknienia się do wojska francuskiego. Zabawiwszy parę tygodni w Szelejewie, powróciłem z Garczyńskim do Wolsztyna po odebraniu listu z uwiadomieniem, że paszport oczekiwany nadszedł. W kilka dni po moim powrocie do rodziców przejeżdżał przez Wolsztyn następca tronu szwedzkiego, ów dawny marszałek francuski Bernadotte,

ks. Ponte-Corvo, który w nadziei uzyskania tronu połączył się z nieprzyjaciołmi Napoleona i Francyi — a dzisiaj spieszył do Reichenbach, gdzie się układał plan na przyszłe obroty wojenne. Stanąłem przed domem pocztowym, chcąc widzieć mego dawnego wodza, i czyhałem na sposobność przypomnienia mu się, miałem bowiem szczerą chęć dać mu do zrozumienia kilku dobitnymi wyrazami, ile oburza opinią publiczną zamiar jego połączenia się z nieprzyjaciołmi Francyi. Nie stało się atoli według mego życzenia; przeprzężono bowiem spiesznie konie; następca tronu zapytał tylko, jak daleko do Reichenbach, na co spiesznie odpowiedział mu p. Dziembowski, dymisyonowany oficer pruski i wielki pruski patryota, i konie ruszyły.

Wyjechaliśmy wreszcie d. 4 czerwca 1813 r. o 11 wieczorem. Matka i obydwie siostry moje karetą, a Garczyński i ja bryką, na której były rzeczy. Kazałem zaprządz trzy konie moje wierzchowe, Garczyński zaprzągł swojego, ażeby być zawczasu umontowanymi. Matka moja, osoba pełna energii, nie okazywała żadnej obawy, owszem dodawała jej córkom, które się bardzo lękały nad możliwymi skutkami, gdyby poznano nasz stopień wojskowy. Co do mnie, porozumiałem się z Garczyńskim w ten sposób, że w najgorszym przypadku, gdyby cofnięto ekwipaże nasze, puścimy się łódką, gdziekolwiek zdobytą, na drugi brzeg Odry do Francuzów. Dnia 5-go stanęliśmy w Karolath, miasteczku nad Odrą, obsadzonem Kozakami. Oficer dowodzący nie pozwolił nam się przeprawić, a odebrawszy paszport, odesłał go do Wschowy generałowi, dowodzącemu forpocztami w tej okolicy.

Minęły dwa dni, zanim paszport wrócił, a mogę śmiało powiedzieć, że to były dwa dni trwogi dla nas wszystkich, bo nie tylko chodziło o przeprawę do wojska naszego, ale chodziło też o odpowiedzialność, spadającą na mojego ojca w razie wykrycia naszych zamiarów. Szczęściem, że się na trwodze skończyło; zwrócono nam paszport, wizowany przez generała Miłoradowicza. Nie tracąc czasu, zaraz puściliśmy się na pram i w pół godziny odbiliśmy od brzegu. Oficer dostał 25 talarów, za które ukłonił się niziuteńko i do samego pramu odprowadził. Pospiech nasz wyszedł nam na dobre, bo zaledwo upłynęliśmy do pół rzeki, przybiegł całym pędem

jakiś Kozak nad brzeg i począł wołać, co miał sił: Wrot! wrot! a machał ręką i czapką, wzywając przewodników do powrotu, ale oni, nie zważając na niego, dobili do brzegu.

Ktokolwiek był zmuszony tłumić w sobie uczucia najdroższe, kto musiał okazywać twarz śmiejącą wrogowi znienawidzonemu, kto nie mógł objawić żalu, przejmującego serce, lecz owszem przytakiwać musiał zdaniom obrzydłym, ten tylko pojąć potrafi radosne uczucie moje, gdym po raz pierwszy znowu zawołał, dobijając do brzegu: «Vive l'empereur!» Mój okrzyk zwrócił uwagę Francuzów, stojących tam na posterunku. «Qui êtes-vous?» zapytał mnie się stary sierżant. «Un officier de la grande armée, qui vient de s'échapper des mains des Russes, voilà mon camarade — et voilà ma mère et mes soeurs qui ont tout risqué pour nous aider dans notre fuite», odpowiedziałem jednym tchem. Wnet byliśmy otoczeni przez cały posterunek. Każdy nam rękę ściskał, każdy chciał być w czemkolwiek usłużnym matce i siostrom, a zdumieni przewodnicy powtarzali pomiędzy sobą: «Na, wer hätte das gedacht»! a jeden z nich, zbliżywszy się do mnie z miną głupkowatą powiedział: «Also sind Sie wirklich Franzosen? Wie ist das nur möglich!»

Skierowałem trakt na Żegań, cały kraj był przepełniony francuskiem wojskiem; usposobienie było jaknajnieprzyjaźniejsze, każdy Prusak oczekiwał na Rosyan jak na oswobodzicieli, młodzież spieszyła ze wszystkich stron do gromadzących się pułków pruskich. W podróży naszej do Żegania mieszkańcy nie taili przed nami nieprzyjaznego usposobienia swego względem Francuzów, a mogłem przekonać się, iż naród niemiecki cały powstanie przeciwko Napoleonowi. Generał Sébastiani, mający główną kwaterę swoją w Żeganiu, niemało się zdziwił, gdym mu się zameldował jako przybywający z Wilna; byłem bowiem pierwszym oficerem, powracającym z niewoli. Naturalnie musiałem mu zdać relacyą z wszystkiego, com widział i słyszał. Wypytawszy się o stanie wojska rosyjskiego, o usposobieniu ducha publicznego w Polsce, o rozmaite szczegóły kazał wydać mi kartę drożną do Drezna, dla mnie, matki, sióstr i Garczyńskiego, za pośrednictwem której mieliśmy prawo do kwater i podwód.

Dziwnie się zdawało matce i siostrom stać na kwaterze, brać podwody i używać wszystkich praw żołnierskich w kraju nieprzyjacielskim; ale nie mogły się bez nich obyć, bo nie byłyby dostały żadnej stancyi po oberżach, wszystkie bowiem przepełnione były wojskiem, również koni po stacyach nie można było inaczej otrzymać. My zaś, to jest Garczyński i ja, wyprzęgliśmy nasze wierzchowce, które teraz szły luzem. Z Żegania puściliśmy się do Drezna na Sorau, a ponieważ usposobienie ludności groziło niebezpieczeństwem, prosiłem w Sorau o żandarma, pod opieką którego dalszą podróż odprawiliśmy.

Ostatnim dowodem życzliwości Austryi do Napoleona było pozwolenie połączenia się Polaków z wojskiem francuskiem, skutkiem czego przeszedł korpus ks. Józefa przez Morawy i Czechy. Książę przyprowadził Napoleonowi około 14 000 bitnego wojska pomimo intryg i namów, ażeby cesarza Francuzów odstąpił. Głuchy na wszelkie obietnice gabinetu rosyjskiego, wyruszył z Krakowa na Podgórze, gdzie wojsko złożyło broń na wozy przysposobione i poszedł do Gabel w Saksonii, gdzie się z nami połączył. Przechodząc pole bitwy pod Austerlitz, zatrzymał ks. Józef wojsko swoje na pobojowisku, tu odprawiło się nabożeństwo, a książę w mowie, pełnej zapału szlachetnego, zachęcał rodaków do wytrwania w sprawie, której przysięgli.

Dnia 4 czerwca przedłużono zawieszenie broni. Mojem zdaniem był to błąd ze strony Napoleona, bo ułatwił ostateczne porozumienie się gabinetu austryackiego z sprzymierzonymi. Już zawarli traktat, Aleksander, król pruski, król szwedzki i Anglik pomiędzy sobą, następnie przyłączyła się Austrya do nich, a monarchowie pospieszyli z Reichenbach do Pragi. Sprzymierzeni podali wprawdzie Napoleonowi warunki pokoju, wszakże raczej dla zachowania formy, bynajmniej w szczerej chęci położenia końca wojnie. Książę Metternich odwiedził cesarza Napoleona dwa razy w Dreźnie. W jednej z tych konferencyi zapytał go się Napoleon, ile mu zapłacił gabinet angielski za podjęcie się ohydnej roli, którą odgrywa. Odtąd przestał bywać ks. Metternich w Dreźnie i pałał nienawiścią ku Napoleonowi.

Generałowie rozmaici zaczęli przechodzić na stronę sprzymierzeńców. Generał Thielemann, dowodzący w Torgau, a służący w wojsku saskiem, przeszedł do Prusaków jeszcze przed zawarciem rozejmu, później przeszedł francuski generał Jomini. Był on rodem z Szwajcaryi, a żydem z wyznania, miał wielkie zdolności, służył w sztabie generalnym wojska francuskiego, a, dezertując, zabrał ze sobą plany na mającą się otworzyć kampanią. Wkrótce przeszedł do nieprzyjaciela wyrtemberski generał Normann na czele dwóch pułków jazdy westfalskiej. Dezercya pojedyńczych oficerów i żołnierzy, należących do wojsk legii reńskich, nie ustawała tak dalece, że wkrótce rozprzęgła się największa część pułków. Mieszkańcy wszystkich krajów niemieckich ogółem byli pełni zapału dla Rosyan. «Czem sobie życzysz być?», zapytałem się raz małego chłopczyka, syna majętnego właściciela w Eisenach. «Życzę sobie zostać Kozakiem», odpowiedział mi smarkacz. Ojciec był bardzo zaambarasowany szczerością syna swego, wszakżem go uspokoił, zaręczając, iż się wcale nie dziwię, że dziecko jawnie wynurza to, czego wszyscy Niemcy potajemnie sobie życzą, że pojmuję ich pragnienie rządzenia się według własnych praw.

Monarchowie niemieccy skorzystali umiejętnie z nienawiści ludów niemieckich do Francuzów, a mianowicie do Napoleona jako twórcy systemu kontynentalnego. Sami wzniecali na wszelki sposób ducha niemieckiego pomiędzy poddanymi swymi, obiecywali swobody największe, wolność narodów, konstytucye i wszystko, o czem tylko marzyć mogli profesorowie i młodzież po uniwersytetach.

Żadna obietnica nie była im za drogą, byleby zwabić pod swe chorągwie wszystko, co było zdolnem do walczenia. Nie potrzebuję opisywać, jak dalece słowa dotrzymali, znajdą się zdolniejsze pióra, które pozostawią pamiątki wdzięczności monarchów Europy po zwalczeniu olbrzyma, przed którym poprzednio bili czołem. Dopięli celu, obalili Napoleona, powrócili do dawniejszych tronów, o nic innego im przecież nie chodziło. Do tej powszechnej krucyaty przeciwko Bonapartemu przyłączył się i sławny generał Moreau, który, wygnany z Francyi za spisek legitymistów przeciw ówczesnemu rządowi, na czele którego to spisku stanął Pichegru, został wygnany do Ame-

ryki. Przybył ze Stanów Zjednoczonych, wiedziony nienawiścią ku Napoleonowi, a, puszczając w niepamięć miłość do kraju rodzinnego, wszedł w służbę nieprzyjaciół Francyi dla dogodzenia zemście osobistej.

Zła wiara była wstępem do ogólnego odpadnięcia konfederacyi reńskiej. W miarę, jak opuszczało szczęście Napoleona, zdradzali go ci właśnie, którzy mu zawdzięczali losy swoje. Jedni Polacy wytrwali wiernie aż do końca, czy dobre czy złe były losy, my nie splamiliśmy naszego honoru; tak samo walczyliśmy za sprawę Francyi pod Marengo, jak pod Lützen, Budziszynem, Lipskiem i Waterloo, bo Polacy nie znają zdrady, mamy wiele wad, cierpimy za grzechy naszych ojców, ale uczciwość cechowała nas zawsze; Polak nie zdradzał nikogo.

Zaliczenie do wojska polskiego. Polacy w Dreźnie. Słubicki.

Karawana nasza stanęła w Dreźnie dnia 11-go czerwca. Napoleon znajdował się w tej chwili w stolicy od 4-go czerwca. Zameldowałem się gubernatorowi miasta, generałowi Duzonel, a gdy się dowiedziano, skąd przybywam, przyjęto mnie z ciekawością i współczuciem. Generał kazał mi powrócić nazajutrz do siebie, chciał bowiem donieść cesarzowi o rzadkim przypadku wyswobodzenia się oficera z niewoli i powrocie jego do wojska francuskiego, który przebył kraj, zajęty przez nieprzyjaciela od Wilna aż do Drezna.

W tym samym czasie przybył też tam i mój dobroczyńca i wódz ukochany, ks. Józef Poniatowski. Moja matka, spotkawszy się z nim u pp. ministrostwa Brezów, wspomniała mu o przybyciu mojem do Drezna i o niesprawiedliwem postąpieniu ze mną na początku kampanii rosyjskiej. Ks. Józef kazał mi przyjść do siebie, przyjął mnie bardzo łaskawie, unieważnił rozkazem dziennym daną mi dymisyą z wojska polskiego i kazał mnie napowrót policzyć w kontrolę wojska z zaliczeniem starszeństwa. Odwiedził matkę moją, o której po całem mieście głośnem było, że przewiozła dwóch oficerów przez forpoczty nieprzyjacielskie, i z całem uwielbieniem dla jej

śmiałego czynu z nią o przeprawie rozmawiał. Ja uściskałem serdecznie dzielnego Kickiego, adjutanta ks. Józefa, który towarzyszył nieodstępnie wodzowi swemu od samego początku kampanii, a z zewsząd wyszedł szczęśliwie.

Generał Duzonel kazał mi się udać do zakładu oficerów francuskich do Moguncyi i tam oczekiwać dalszego przeznaczenia. Nie było mi to wcale do smaku, bo byłem przekonany, że w krótkim czasie zostanę odkomenderowany do któregokolwiek pułku konnicy francuskiej. Chodziło mi o umieszczenie według mojej myśli dla tego też chwyciłem się powrotu mojego do wojska polskiego na podstawie rozkazu ks. Józefa. Rozkaz ten przepisuję tutaj dosłownie.

«Imci Pan porucznik Franciszek Gajewski zostaje roz-
«kazem obecnym J. O. księcia naczelnego wodza wojsk
«polskich przywrócony do wojska polskiego. Dymisya
«jego, udzielona przez generała Wielhorskiego, uważaną
«być ma za niebyłą. Imci Pan porucznik Franciszek
«Gajewski nie traci starszeństwa swego od czasu wstą-
«pienia jego do wojska polskiego. Uda się on bez straty
«czasu do zakładu oficerów polskich do wsi Loebau, gdzie
«dalsze rozkazy odbierze od dowodzącego zakładem ge-
«nerała Niesiołowskiego.» Podpisano:
«Rautenstrauch, generał brygady, podszef sztabu.»

Odebrawszy rozkaz powyższy, uprosiłem sobie pozwolenie pozostania w Dreźnie jeszcze czas jakiś dla wystarania się o miejsce po moim bracie Ewaryście przy ks. Neufchâtelu (marszałku Berthier), jakoż pozyskałem je nieco później.

W Dreźnie bawiło bardzo wiele rodzin polskich, urzędników i obywateli, uszłych z kraju. Wuj mój, prefekt departamentu kaliskiego, Antoni Garczyński, bawił także w Dreźnie, Doznałem wiele współczucia z jego strony, okazywał mi zawsze wiele łaskawości, nawet obiecał mi, że mnie weźmie do siebie po ukończonej wojnie. Przeczuwał upadek Napoleona i zamierzał usunąć się całkowicie z urzędowania po zawarciu pokoju i żyć prywatnie w dobrach swoich. Niestety było w Boskich wyrokach, że już nie powróci do ojczyzny, umarł bowiem, jak wyżej wspomniałam, na tyfus w czasie oblężenia Drezna po batalii pod Lipskiem. O Kaliszanach wspominał

z goryczą, mówił, że, jeżeli jeszcze powróci na swój urząd, wymagać będzie od obywateli, nadskakujących obecnie cesarzowi Aleksandrowi, ażeby odtąd rosyjskie mundury nosili.

Kasztelan Szołdrski, o którym wspominałem na początku tych pamiętników, bawił także w Dreźnie. Nie wiem, z jakiego powodu ujechał przed Rosyanami, bo mu zapewne niktby nic złego nie zrobił, gdyż oprócz dobrych obiadów, które dawał, w niczem nie wpływał na opinią i zarząd kraju.

Pomiędzy wielu oryginałami poznałem natenczas w Dreźnie p. Słubickiego, w owym czasie tytułującego się generałem pospolitego ruszenia kujawskiego. Chodził w mundurze generała brygady ku wielkiemu zadowoleniu próżności i miłości własnej. Był prawdziwym typem elegantów drążkowych z prowincyi. Ubierał się nadzwyczajnie ekscentrycznie. Miał przy łańcuszku od zegarka jakie 2 funty bryloków, szlify generalskie olbrzymich rozmiarów, ale korciło go, że nie był ozdobiony krzyżem wojskowym. Pan generał Słubicki, a późniejszy kasztelan-senator Królestwa, zginął 1833 r. w własnym zamku swoim, w Lubrańcu, zabity, niewiadomo przez kogo, wystrzałem, z podwórza do pokoju wymierzonym.

Cały senat Księstwa Warszawskiego i wszyscy wyżsi urzędnicy zgromadzeni byli w owym czasie w Dreźnie przy osobie króla saskiego; bardzo wielu posłów do izby sejmowej zjechało także do tej stolicy. Widziałem po twarzach posępnych pp. Stanisława Potockiego, Wybickiego, Zamoyskiego itd., że nie mieli wiele nadziei co do przyszłego losu naszego. W rozmowach tych panów z wujem moim Garczyńskim, których wiele razy świadkiem byłem, utyskiwali nad przyszłym losem ojczyzny. Godlewski, poseł maryampolski, dodawał każdemu otuchy; dowodził, że Polska w dzisiejszych okolicznościach potrzebna jest zarówno Francyi jak i Rosyi, zatem, że niechybnie powstanie z jakiejkolwiekbądź strony. Nie baczył snać na Niemców, zapomniał, że dwór austryacki i pruski nie omieszkają korzystać z chwili, ażeby sobie przywłaszczyć część nieszczęśliwej ojczyzny naszej.

Co było znaczniejszych rodaków w Dreźnie, wszystko gromadziło się w salonach pana Brezy, ministra sekretarza stanu przy królu saskim jako księciu warszawskim. Tu było cen-

trum polskiej narodowości, pan Breza mógł bowiem łatwiej od kogokolwiek innego udzielić rady senatorom i oświecić ich w wielu przypadkach, a uprzejmość jego żony wabiła wszystkich do ich domu. Piękna Julia Brezianka, późniejsza hr. Wołłowiczowa, była ozdobą tego towarzystwa. Ja byłem uważany przez pp. Brezów jak własne dziecko, to też każdą wolną chwilę u nich spędzałem.

Zostałem zatem równocześnie oficerem w polskiem i francuskiem wojsku; świetniejszą przyszłość rokowała mi służba francuska, dobra sława kazała pozostać w polskiem wojsku, ażeby pozyskać zadośćuczynienie za krzywdę, wyrządzoną mi przez generała Wielhorskiego, a przedewszystkiem przez Kurnatowskiego. Wiedziałem ja dobrze, że ten ostatni będzie mi nadal szkodził, wszędzie i jak tylko będzie mógł, ale miałem nadzieję, iż potrafię mu się oprzeć dzięki protekcyi ks. Józefa, a potem chciałem koniecznie, chociażby na krótki czas, pokazać się pomiędzy dawniejszymi moimi kolegami, pozostawiając sobie jednak in petto możność dostania się do ks. Neufchâtelu. Poszedłem zatem do gubernatora Drezna, generała Duzonel, i oświadczyłem mu, że ks. Józef wydał mi rozkaz udania się do zakładu polskich oficerów. Generał przychylił się do rozkazu tego; czy doniósł o mojem umieszczeniu w polskiem wojsku czy nie, tego nie wiem, ja zaś pozostałem w Dreźnie aż do 11 sierpnia.

Zawieszenie broni, zawarte zrazu na 5 tygodni, przedłużone zostało aż do 15 sierpnia, skutkiem wpływu Austryi. Każdy z nas był przekonany, że nie doprowadzi to do zawarcia pokoju stanowczego, a słyszałem generałów, ubolewających nad ową bezczynnością, podającą Austryi wszelki czas do zgromadzenia siły swojej. Że Austrya połączy się z sprzymierzeńcami, nie było już tajemnicą dla nikogo.

Francuzi życzyli sobie pokoju — jeden głos dawał się słyszeć wśród nich. «La paix — la paix!» Najwierniejsi słudzy Napoleona wzdychali za pokojem, a nawet nie taili się z tem przed nim. Dotąd nie mogę pojąć uporu cesarza. Wszakże mógł łatwo przewidzieć, że ze swojem świeżem wojskiem, zaledwo co wyszłem z łona rodziny, nie potrafi dokazać cudów, które dawniejsi żołnierze jego dokonywali. Nie umiał zasto-

sować się do okoliczności ani ugiąć swej pychy. Wiadomo, że mógł zawrzeć pokój w Dreźnie, poprzestając na granicach Renu. Sprzymierzeni byli gotowi pozostawić pod władzą jego Belgią, Holandyą, Sabaudyą; królestwo włoskie byliby oddali ks. Eugeniuszowi, Murat byłby pozostał na tronie neapolitańskim. — Cesarz nie zgodził się na takie warunki..... umarł na wyspie św. Heleny!

Obchód imienin Napoleona. Polacy w sztabie księcia Neufchâtelu. Działania wojenne po rozejmie.

Imieniny cesarza przypadały na dzień 15 sierpnia. Że jednak kroki nieprzyjacielskie miały się rozpocząć 16-tego, dla tego oznaczył dzień 10 sierpnia na obchodzenie tej uroczystości. Napoleon nie przeczuwał zapewne, że w roku następnym będzie przyjmował powinszowania na wyspie Elbie, a później na św. Helenie. Fatalność prowadziła go do upadku — Bóg okazał na nim, że pysznych z tronu strąca.

Ostatni ten obchód odbył się z wielką okazałością, a lubo Drezdeńczycy pałali nienawiścią przeciw Francuzom, porówno z innymi Niemcami przyznać musieli, że Napoleon jeszcze był groźny na czele wielkiego narodu tego. Około 80 000 wojska zgromadziło się przy wschodzie słońca na Osterwiese pod Dreznem i w okolicy w dniu naznaczonym. Stara gwardya stała na czele, owa falanga niezwyciężona, złożona z wyboru tego, co pozostało po nieszczęśliwym odwrocie naszym z Rosyi. Na widok jej truchlał nieprzyjaciel, a spokojny mieszkaniec spoglądał na nią z uszanowaniem. Za nią szykowały się: gwardya średnia i młoda, a w końcu pułki liniowe; konnica następowała po piechocie w tymże samym porządku. Na samym ostatku uszykowaną była artylerya.

Cesarz przyjmował o dziesiątej z rana powinszowania od rozmaitych dygnitarzy francuskich i obcych narodów, pomiędzy którymi był i ks. Metternich. Obok cesarza stał wierny sprzymierzeniec jego, król saski, otoczony książętami domu swojego. Napoleon był ubrany w zwyczajny swój mundur strzelców

konnych gwardyi, a miał na piersiach gwiazdę legii honorowej, rozmawiał wiele z ks. Metternichem. Około dziesiątej dosiadł konia i cały orszak udał się na Osterwiese, gdzie przegląd wojska odbył się. Ja znajdowałem się pomiędzy oficerami sztabu ks. Józefa.

Wojsko przywitało cesarza zwykłym okrzykiem: «Vive l'empereur!», który rozległ się w dalekie strony. Cesarz wraz z królem saskim objechał front wolnym krokiem. Już rzadkiemi były owe ogorzałe postacie grenadyerów, które zdobiły przed rokiem szeregi starej gwardyi — natenczas odznaczał krzyż legii honorowej i szewrony, okazujące kilkonastoletnią służbę, nieomal każdego grenadyera; dzisiaj wiele młodych twarzy zajmowało miejsce poległych wiarusów, przyznać atoli trzeba, że korpus ten zachował swą groźną postawę. Po odbytym przeglądzie rozpoczęło się defilowanie wojska: piechota batalionami, konnica szwadronami, artylerya pół-batalionami, a każdy oddział, mijając cesarza, witał go znowu okrzykiem «Vive l'empereur!»

Z pomiędzy całego wojska najdzielniej wystąpił pułk szwoleżerów Krasińskiego starej gwardyi, wszyscy byli zachwyceni, patrząc na postawę dzielnych wiarusów. Prowadził go generał Wincenty Krasiński, który natenczas nie był jeszcze wiernym siepaczem cara Mikołaja i generałem rosyjskim.

Po nim następował ks. Dominik Radziwiłł na pysznym karym tureckim ogierze. Przeszedł on z pułkownika dowódcy pułku ułanów polskich na grosmajora do pułku szwoleżerów. Przystojny, pełen odwagi, siedzący na koniu, jak gdyby z nim zlany w jedną całość, dał ogromną lansadę, mijając cesarza, a równocześnie go salutował. Cała publiczność klasnęła rękoma, a Sasy wołali: «Diese Männchen verdienen einen König zu haben!» Napoleon, obróciwszy się do króla saskiego, powiedział głośno: «Voilà un superbe cavalier!» Zaiste cały ten pułk odznaczał się przed wszystkimi innymi.

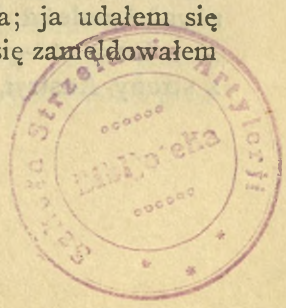
Po odbytem defilowaniu udała się stara gwardya na nowe miasto, gdzie przyrządzono ucztę pod lipami na głównej ulicy, wiodącej na most, i tam ich podejmował pułk saskich grenadyerów gwardyi; inne pułki rozeszły się na kwatery swe, otrzymawszy miesięczny żołd jako gratyfikacyą. Było to zwyczajem

w wojsku francuskiem, że miesiące, w których przypadały imieniny cesarza, cesarzowej i króla rzymskiego, były podwójnie płatne, zatem pobierało wojsko piętnastomiesięczną płacę za 12 miesięcy służby.

Nie istniał już zupełnie pułk Gardes du corps w saskiej gwardyi, znikł całkowicie w odwrocie rosyjskim. Dobrzy moi koledzy leżeli tam gdzieś, pogrzebani w śniegach stepów rosyjskich. Mało kto powrócił, a ci nawet, którzy zdołali przedostać się do kraju rodzinnego, byli kalekami. Kapitan Senft von Pilsach utracił wszystkie palce u rąk przez odmrożenie, Lützerode leżał złożony ciężką chorobą u matki, Berlepsch, Rajski, Nostitz i wielu innych kochanych przyjaciół już nie żyło.

W zamku królewskim był obiad galowy. Przywieziono z fortecy Koenigstein złoty serwis na ową ucztę, podczas której zachowaną była cała etykieta Augustów, królów polskich. Stół był ustawiony w podkowę. Obok cesarza siedział król po jednej stronie, a królowa po drugiej, książęta i księżniczki krwi. Jeden tylko ks. Neufchâtelu przyjęty był do tego stołu, przy którym usługiwali dygnitarze sascy.

W r. 1811 podobna była uczta w Dreźnie; natenczas gromadzili się mocarze legii reńskiej około cesarza, nawet król pruski uważał sobie za honor być zaproszonym na ten bankiet — dzisiaj jeden tylko król saski wytrwał w wierności, cesarz Napoleon sam jeden był jego gościem. Gdy się ściemniło, nastąpiły ognie sztuczne. Wojsko, uszykowane po obydwóch stronach Elby, udawało bitwę i przeprawę przez rzekę, żołnierze strzelali szmermelami, dawano ognia z 40 armat, a strzelano samymi sztucznymi pociskami, które rozmaitymi kształtami przerywały ciemność nocy. Był to cudowny widok, widziałem bardzo wiele pięknych ogni sztucznych, mianowicie urządzone przez Kaliszan w czasie wielkiej rewii wojsk pruskich i rosyjskich 1837 r., lecz żadne nie dorównywały tym tu. Wreszcie wystrzeliło parę set rac w powietrze, a nad niemi zajaśniało olbrzymie N wysoko w powietrzu. Na tem skończył się obchód. Nazajutrz każdy spieszył na miejsce swego przeznaczenia; ja udałem się do Loebau, miasteczka za Budziszynem, gdzie się zameldowałem generałowi Niesiołowskiemu.



Cesarz Napoleon był ponury i stał się w ostatnich czasach zawieszenia broni nadzwyczajnie wrażliwym; przyczyną tego być musiały złe wieści, dochodzące go od ks. Vicenzy (generała Caulaincourt), wysłanego do Pragi dla układania warunków pokoju. Jako przykład tej drażliwości jego posłużyć może fakt, że kopnął na paradzie generała, który mu się przedstawił po poddaniu twierdzy Szpandawy pod Berlinem. Gwałtowność ta oburzyła obecnych, a że się Napoleon potoczył przy tym ruchu gwałtownym, natychmiast mówiono pomiędzy sobą: «L'empereur n'est plus ferme sur ses jambes, il commence à faire des faux pas». Francuzi mają niesłychany dar krytykowania wodzów swoich.

Nie zabawiłem długo w Loebau, dowiedziawszy się bowiem, że cesarz wyruszył do Zgorzelic, a ks. Józef stanął nad granicą Czech, wyrobiłem sobie od generała Niesiołowskiego pozwolenie udania się do ks. Józefa. Przybywszy do Gabel, pozyskałem od niego upoważnienie starania się o miejsce po moim bracie w sztabie ks. Neufchâtelu. Udałem się zatem do głównej kwatery cesarskiej w Zgorzelicach, gdzie przybywszy, podałem zaraz prośbę do ks. Neufchâtelu i zostałem natychmiast przyjęty.

W sztabie tym było dużo Polaków, pomiędzy innymi szef szwadronu Abramowicz, być może krewniak późniejszego policmajstra w Warszawie za czasów Paszkiewicza; był tam Ludwik Jelski, kapitan, późniejszy prezes banku polskiego za Polski Kongresowej. Dzieliłem z nim kwaterę i stół w całej kampanii 1813 i 14 r. Był tam Józef Grabowski, późniejszy dyrektor Ziemstwa kredytowego w Poznaniu i marszałek sejmu prowincyonalnego tamże, mianowany hrabią przez króla pruskiego, Rejtan, syn sławnego posła na sejmie 4 letnim, Kościelski, który, przeszedłszy do służby rosyjskiej, został generałem, Milberg, generał w wojsku polskiem. Niegolewski, w owym czasie szef szwadronu gwardyi szwoleżerów, służył także w tym sztabie, odznaczył się później w Poznańskiem wielkim swym patryotyzmem. Roman Sołtyk, przyjaciel mój z lat szkólnych, a późniejszy generał artyleryi w czasie rewolucyi 30-go roku, również należał do sztabu, umarł na emigracyi.

Dnia 12-go sierpnia nastąpiło wypowiedzenie wojny z strony Austryi, dnia 16-go rozpoczęły się kroki nieprzyja-

cielskie. Sprzymierzone wojska wkroczyły do Czech, książę Schwarzenberg objął naczelne dowództwo. Blücher nie czekał ostatniego dnia rozejmu, lecz natarł już 14-go na Francuzów, wygnał ich z Wrocławia i, połączywszy się z korpusem rosyjskim generała Osten-Sackena, przymusił marszałka Macdonalda do cofnięcia aż do Zgorzelic. Następca tronu szwedzkiego zasłaniał Berlin przed marszałkiem Neyem, a książę Schwarzenberg. przeszedłszy granicę saską pod Schandau, posuwał się na Drezno.

Napoleon, opuściwszy stolicę saską na czele swej gwardyi, przybył do Zgorzelic 18-go, gdzie zamierzał znieść wojsko Blüchera, wszakże wódz pruski, uwiadomiony przez szpiegów o nadciągającym cesarzu, cofnął się spiesznie do Budziszyna. Napoleon, nie mając czasu go gonić, musiał oswobodzić przedewszystkiem Drezno, zagrożone 150 000 korpusem ks. Schwarzenberga. Z tego powodu podążył przez Żytawę (Zittau) ku saskiej stolicy, zaś księciu Józefowi kazał wkroczyć do Czech przez Gabel. Generał Umiński otrzymał rozkaz wtargnięcia w granice austryackie i zajęcia Reichenbachu i Friedlandu. W tych poruszeniach rozmaitych przeszedł generał wyrtemberski Normann na czele dwóch pułków konnicy do nieprzyjaciela.

Napoleonowi szło o zniesienie Blüchera, sądził, że potrafi go podejść, a, uwiadomiony przez generała Duzonel i króla neapolitańskiego, że Drezno wytrzyma kilkodniowe oblężenie, obrócił się nagle z Żytawy ku Budziszynowi; przezorny jednak wódz pruski, doskonale poinformowany o każdym ruchu przeciwnika przez sprzyjających mu krajowców, wyśliznął mu się zręcznie. Walczyliśmy ostro z Prusakami dnia 21 i 22 sierpnia. Ustąpili za rzeczkę Katzbach, gdzie cesarz musiał ich zostawić, bo nie było już czasu do stracenia, trzeba było ratować Drezno. Pozostawiwszy Macdonalda (ks. Tarentu) o własnych swych siłach, puścił się do stolicy forsownym marszem. Zły los ścigał Napoleona. Ledwo Macdonald zaczął się przeprawiać przez Katzbach według polecenia cesarskiego, gdy rzeczka ta skutkiem deszczy, spadłych w górach, nadzwyczajnie wezbrała. Okoliczność ta nieszczęśliwa nie pozwoliła marszałkowi użycia całych swoich sił przeciwko nieprzyjacielowi, gdyż połowa nieomal korpusu francuskiego nie mogła się przedostać przez

rzekę. Blücher zniósł część wojska walczącego, zabrał całą artyleryą i z jakie 10 000 niewolnika. Owa przegrana pod Katzbach miała miejsce parę dni po wygranej naszej pod Dreznem.

Główna kwatera nasza stanęła 25 w Stolpe, dokąd przybyliśmy o zachodzie słońca. Zostałem bez zwłoki czasu wysłany do Drezna z doniesieniem o rychłem przybyciu cesarza nazajutrz i dla powzięcia wiadomości o tamecznym stanie rzeczy. Miałem depesze do króla saskiego, do gubernatora miasta i do króla neapolitańskiego. Przybywszy późno w noc do Drezna, kazałem pocztylionowi zajechać wprost do gubernatora, którego wieść o zbliżaniu się cesarza bardzo uradowała; wydał w mojej obecności rozkazy do rozmaitych władz, ażeby nie przenosiły się na nowe miasto; było bowiem postanowione już dnia poprzedniego, aby nazajutrz opuścić stare miasto, przebyć Elbę, zniszczyć na nowo arkady mostu, (wysadzonego przez marszałka Davousta w czasie odwrotu), i oczekiwać za rzeką przybycia cesarza. Król neapolitański kazał mi się posilić w swoim salonie, nie posiadał się z radości, gdy mu powiedziałem, że nazajutrz cesarz stanie ze starą gwardyą w Dreźnie. Król saski przyjął tak samo radośnie owe uwiadomienie. Wszyscy nabrali nadziei, a pewność rychłej odsieczy napełniła każdego otuchą. Uczyniwszy zadość obowiązkom służbowym, a mając dwie godziny wolne przed odebraniem raportu do króla neapolitańskiego i gubernatora, udałem się do kochanych pp. Brezów. Przekonany byłem, że tam u nich zastanę wszystkich Polaków. Wszedłem zakurzony do salonu, gdzie wszystko tchnęło wykwintnością, i stałem się też wnet przedmiotem powszechnego zajęcia, bo, gdy witałem się z panią domu, głośno powiedziałem: «Spieszę do państwa z głównej kwatery z doniesieniem, że cesarz jutro w południe będzie w Dreźnie». „Gdzie cesarz? gdzie cesarz?“ wołano zewsząd. Gdym doniósł, iż przybyłem z depeszami do królów saskiego i neapolitańskiego i do gubernatora miasta, każdy się do mnie cisnął, każdy wypytywał, nie mogłem podołać z odpowiedziami. Uspokoiwszy, jakem mógł, ciekawość, uściskałem matkę, siostry i wuja. Ten polecił mi donieść ks. Neufchâtelu, że ma pewną wiadomość, iż nieprzyjaciel przypuści w dniu jutrzejszym szturm do miasta. O pierwszej z rana pobiegłem po depesze; przed kwaterą gu-

bernatora stały już zaprzężone konie kuryerskie. Udałem się do króla neapolitańskiego, następnie do gubernatora, od którego wziąłem prócz raportu pod straż moją kozackiego majora, ujętego dnia poprzedniego, którego przysyłali cesarzowi. W Stolpe byłem, gdy poczęło świtać. Przez całę drogę biadał mi ów jeniec nad nieszczęśliwym swym losem, nad rozpaczą swych Kozaków itp. Nie spuszczałem go z oka, ażeby mu odjąć wszelką chęc wyskoczenia z bryczki i umknięcia w zarośle, trzymałem pistolet w ręku, gotów do niego wypalić w razie potrzeby.

Dnia 25 sierpnia wyruszyła gwardya o świcie pod Drezno, cesarz wyprzedził wojsko i znajdował się już w zamku królewskim o dziesiątej z rana. Kolumny nasze maszerowały nad rzeką Elbą. Nieprzyjaciel, stojący nad drugim brzegiem rzeki, począł naszych razić ogniem działowym; musiano obrać inny trakt dla parku artyleryi, ażeby ochronić wozy prochowe od przypadku, wysłano jednak niebawem na pozycyą dwie baterye nasze, które wnet zmusiły armaty sprzymierzonych do milczenia. Król saski przeniósł się z całym dworem swoim do nowego miasta, dokąd kule nieprzyjacielskie nie sięgały. Pontoniery francuscy i sascy postawili dwa mosty na łyżwach przy murowanym moście drezdeńskim dla ułatwienia przeprawy nadciągającemu wojsku. Gwardye poczęły się przeprawiać około południa.

Nie rozumiem, z jakiego powodu ks. Schwarzenberg nie przypuścił szturmu od rana samego, wszakże opanował już 24-go wszystkie przystępy do miasta. Grosser Garten, reduta przy pałacu W. Moszyńskiego, Osterwiese, przystęp do miasta od Pirny były w ręku nieprzyjacielskiem. Gdyby był uderzył na wały ze wszystkich stron dnia 25-go, niema wątpliwości, że byłby zmusił korpusy marszałków Victora (ks. Belluno) i Gouviona St. Cyr do cofnięcia się za Elbę, miał bowiem 150000 sprzymierzonych pod rozkazami swymi. Marszałek Victor nie miał więcej nad 16000 ludzi, a marszałek Gouvion St. Cyr miał 20000 do obrony Drezna. Ale wódz austryacki chciał postąpić metodycznie, kazał przysposobić faszyny i drabiny, a ta zwłoka czasu dozwoliła przybiedz Napoleonowi na odsiecz. Stara i młoda gwardya, kirasyery, szwoleżery i dywizya dragonów już były w Dreźnie 26-go z rana.

Artylerya i gwardya zajmowały wszytkie ulice, prowadzące do bram miasta, około 2-giej z południa, gdy sprzymierzeni rozpoczęli szturm. Trzysta armat ryknęło jednocześnie na miasto, a silne kolumny posunęły się ku niemu z rozmaitych stron; przedmieścia od Tharandtu, Plauen, Pirny zostały opanowane. Kule gradem sypały się na stolicę. W tej właśnie chwili przybiegłem do matki i sióstr, aby im bezpieczniejsze schronienie zapewnić, gdy nagle przybiega jak oparzony pan generał powstania kujawskiego, Słubicki, wystraszony i blady. «Panie, woła przerażony, ratujcie się! Obozy padają (chciał powiedzieć granaty, a tłumaczył z francuskiego „des obus"), człowiek życia nie pewien, właśnie przed tą kamienicą legło dwóch żołnierzy.» Stał przy oknie, wtem pada granat przed pompę i zabija w oczach naszych żołnierza, gaszącego przy niej pragnienie. «Otóż macie, woła Słubicki, któż tu wytrzyma!» i ucieka czemprędzej. Ja, sprowadziwszy matkę i siostry do tylnej części domu, która była sklepioną, zabierałem się do powrotu na miejsce służby, gdy wchodzi do tegoż sklepienia cała rodzina saska i odzywa się do nas stary Sas:

„Reussen, Oesterreicher und Preussen, wie Sand am Meere, heute sind sie die Herren der Stadt, heute ist es mit der französischen Herrschaft aus". Ja im na to odpowiadam, wsiadając na koń: „Noch sind sie nicht hier, machen Sie aber bei Zeiten Ihre Lampen zurecht, die werden Sie bald gebrauchen, das steht fest, sei es für uns oder für die Allierten" i puściłem się ku zamkowi.

Napoleon stał nad mostami, wojsko defilowało bez przerwy, kule armatnie z trzaskiem padały we wodę i wokoło nas, wszakże żadna nie trafiła w łyżwowe mosty. W miarę przybywania pułków rozkazywał cesarz, w którą stronę mają się udać. Generałowi Monthion, podszefowi sztabu, dał rozkaz udania się na wieżę kościoła św. Krzyża i z niej zdawania raportów o obrotach nieprzyjacielskich. Generał zabrał mnie i trzech innych kolegów, ażeby mieć kogoś do przesyłania raportów. Z tej wieży widziałem jak na dłoni wszystkie obroty i całą siłę nieprzyjaciela, rozpostartego naokoło miasta, widziałem także szykujące się kolumny do szturmu, całe bataliony opatrzone w drabiny, ukryte poza domami przedmieścia,

widziałem wszystkie ulice miasta, wiodące do bram, napchane francuskiem wojskiem.

Około 6-tej wieczorem przybliżył się nieprzyjaciel do wałów w nadziei rychłego zwycięstwa; wszakże przygotował mu Napoleon niespodziankę, której nie przewidywał. Gdy kolumny, opatrzone w drabiny i faszyny, żwawo ruszały na wały od przedmieścia Pirna i Welsdorf, a z wałów już tylko ogień z ręcznej broni się odzywał, działa bowiem, zbyt zbliżone do nacierających kolumn, ustały strzelać — otwierają się nagle wszystkie bramy miasta. Mordercza salwa armatniego ognia sieje śmierć i zamieszanie w głębokie kolumny szturmujących, a z okrzykiem: «Vive l'empereur!» wypadają Francuzi ze wszyskich stron, niszczą lub zabierają do niewoli wszystko, co napotykają, popłoch ogólny wszczyna się pomiędzy nieprzyjaciółmi. Murat rąbie ich na czele kirasyerów, w mgnieniu oka wyparte ich szyki z przedmieść. «Napoleon przybył do Drezna!»; zawołał przerażony Schwarzenberg i daje rozkaz do odwrotu. O dziesiątej wieczorem, prócz niewolników, nie było sprzymierzonych w bliskości miasta. Schwarzenberg rozłożył swe wojska po za Grosser Garten na drodze, wiodącej do Pirny, Prusacy stanęli na drodze ku Tharandtowi, a Rosyanie na polach przyległych do Plauenscher Grund, w kierunku do Freiberga.

Mieszkańcy Drezna patrzeli radośnie na zwycięstwo nasze, ochroniło ich bowiem od okropności, spotykających miasta, wzięte szturmem, dla tego też oświecili je wieczorem bez jakiegokolwiek rozkazu, a głośne hura witały powracającego cesarza. Po ukończonej służbie udałem się do mojej matki, zastałem tam liczne grono rodaków, winszujących sobie wzajemnie wygranej i opowiadających wrażenia, których każdy doznał. Nikt z Polaków nie doznał szwanku w czasie bombardowania czterogodzinnego oprócz panny służącej jakiejś polskiej pani, której granat potrzaskał nogę w bramie w chwili, gdy wchodziła do sieni.

O świcie dnia 27 już był cesarz na koniu. Deszcz lał strumieniami. Wojsko nasze zajmowało Gross-Garten i pozycye naokoło miasta, począwszy od Osterwiese aż do brzegu Elby ku Pillnitz. Król neapolitański zebrał cześć kirasyerów na Osterwiese, Napoleon znajdował się przed frontem starej gwar-

dyi w samym środku pozycyi naszej, na drodze ku Strehlen. Dwa korpusy francuskiego wojska, będące w pierwszej linii, rozpoczęły walkę w kierunku ku Freibergowi. Marszałek Mortier walczył pod wsią Blasewitz, od której to miejscowości wstrzymywał korpus rosyjski Wittgensteina. Odebrałem tego dnia polecenie pozostania przy nim dla prędszego uwiadomienia cesarza o jakimkolwiek wypadku. Schwarzenberg obawiał się o komunikacye z Czechami, Vandamme albowiem, przeprawiwszy się na moście, rzuconym na Elbie pod Stolpe, wkroczył do Pirny i zajął trakt do Cieplic, wiodący przez Peterswalde, Giesnebel i Kulm. Pozostała jedyna droga odwrotu dla sprzymierzonych na Freiberg, tę zagrażał król neapolitański po rozbiciu korpusu austryackiego i zabraniu 10000 niewolników.

Nie myślę opisywać poruszeń obydwóch wojsk, walczących w tym dniu, dosyć, gdy powiem, że wygrana nasza mogła byłaby pociągnąć za sobą ważne skutki, gdyby właśnie w tym czasie doznane porażki marszałków Neya pod Berlinem, Macdonalda nad rzeką Katzbach, a mianowicie generała Vandamme pod Kulm nie były przeciągnęły szalę losu na stronę sprzymierzonych. Sprawiedliwa kara spotkała generała Morean pod Dreznem. Kula armatnia albowiem urwała mu obydwie nogi, gdy właśnie rozmawiał z cesarzem Aleksandrem, któremu towarzyszył jako ochotnik w czasie tej bitwy. Moreau, puszczając w niepamięć sławę, zdobytą w czasie rzeczypospolitej francuskiej, a oddany całkowicie nienawiści swej przeciwko Napoleonowi, zaparł się uczucia swego do ojczystego kraju i połączył się z nieprzyjacielem jego. Zginął sprawiedliwie, od nikogo nie żałowany, pod wsią Leubnitz. Zaniesiono go do Cieplic, gdzie umarł po dwudniowych cierpieniach. Nieprzyjaciel utracił w tej bitwie do 40000 ludzi, poległych, rannych i zabranych do niewoli, 26 armat 118 chorągwi rosyjskich i pruskich; niewolników mało zabrano, wszyscy nieomal należeli do wojska austryackiego.

Co do mnie, powróciłem do miasta przemoknięty i znużony, wszakże bez szwanku, a, zdawszy raport mój, pospieszyłem do matki, rzuciłem się na łóżko i spałem jak zarżnięty.

Z wycięstwem pod Dreznem kończy się okres powodzenia Napoleona — już odtąd szczęście go odstąpiło, a pomimo całego geniuszu bohatera nic mu się zgoła już nie udawało.

Bitwa pod Kulm.

Ścigany żwawo nieprzyjaciel po przegranej pod Dreznem, cofał się na Freiberg, Dippoldiswalde, Annaberg i rozmaitemi drożynami przemykał się przez Kruszczowe góry. Francuski korpus generała Vandamme zajął ważną pozycyą pod Nollendorfem, korpus marszałka Gouvion St. Cyr stał w Giesnebel, przecinając trakt główny do Cieplic i nie dopuszczając nieprzyjaciela do połączenia gdzieśkolwiek sił swoich. Reszta wojska francuskiego parła sprzymierzonych ze wszech stron. Zdawało się, że wojsko Schwarzenberga spotka niechybne zniszczenie.

Wypadki, z pozoru nic znaczące, są często podobno przyczyną wielkich klęsk i niweczą plany, genialnie ułożone. Któżby uwierzył, że dwa zraziki pieczeni baraniej, na zimno spożyte przez cesarza Francuzów, pociągnęły w następstwie swojem zniesienie całego korpusu generała Vandamme i zabranie go do niewoli! Wszakże tak było. Po wygranej pod Dreznem przybyła, dnia 29 sierpnia, główna kwatera cesarska do Pirny. Stara gwardya dochodziła do Peterswalde. Marszałek Gouvion. St. Cyr znajdował się w Giesnebel, a miał rozkaz za przybyciem młodej gwardyi połączyć się w Nollendorfie z generałem Vandamme. Temu zaś ostatniemu polecono uderzyć na Cieplice, jak tylko przybędzie do Nollendorf marszałek Gouvion St. Cyr. W Cieplicach znajdowała się gwardya rosyjska i sprzymierzeni monarchowie. Zajęcie tego miasta i rozbicie gwardyi cesarza Aleksandra stanowiło o losie ks. Schwarzenberga i tem samem o losie wojny.

Napoleonowi po przybyciu do Pirny, około 10 z rana, zachciało się jeść. Nie było jakoś narazie nic przygotowanego w cesarskich furgonach kuchennych. Ponieważ się niecierpliwił, podano mu kilka owych zimnych zrazików baranich, na prędce w mieście znalezionych. Uspokoiwszy głód, uczuł boleści żołądkowe i był przekonany, iż został otruty. Pod takiem wrażeniem wsiadł do karety swojej i spiesznie do Drezna powrócił. gdzie rzeczywiście cierpiał przez kilka dni. Powracając do Drezna, nie wydał żadnego rozkazu, generałowie nie znali jego planów, gwardya stanęła w Peterswalde, a, dowiedziawszy się o powrocie cesarza do stolicy saskiej, również do niej wróciła.

Marszałek Gouvion pozostał w Giesnebel; jeden tylko generał Vandamme zeszedł z górnej pozycyi swej pod Nollendorf, zmierzając ku Cieplicom. Pospieszyli się zaraz Niemcy uwiadomić o tem szalonem poruszeniu francuskiego generała pruskiego dowódcę Kleista, błąkającego się od czasu odwrotu z pod Drezna pomiędzy górami z resztkami swego korpusu, dla którego szukał przesmyku, by się połączyć z gwardyami w Cieplicach. Wódz pruski skorzystał bez zwłoki z udzielonej mu wiadomości i zajął stanowisko, opuszczone przez generała Vandamme, które było kluczem linii operacyjnej Francuzów. Generał rosyjski Ostermann wyszedł z gwardyami na spotkanie z korpusem Vandamma, a dla pozyskania czasu do bezpiecznego odwrotu monarchów zgromadzonych w zamku ks. Clary. Rozpoczęła się krwawa rozprawa, nieszczęście chciało, że w czasie walki przybył ks. Schwarzenberg traktem od Annabergu, a Kleist szykował się do ataku od Nollendorfu. Ostermann, lubo rozpaczał o losie swoim, stawiał mężny opór Francuzom pod wsią Kulm o jakie pół mili od Cieplic. Gdy Vandamme, pewien zwycięstwa, przygotowywał się do zadania ostatniego ciosu gwardyom, których dowódcę generała Ostermanna, ciężko rannego od kuli armatniej, odnoszono z pola bitwy, wyrwało mu pewne zwycięstwo przybycie dwóch nieprzyjacielskich korpusów. Schwarzenberg naciera na niego z prawego skrzydła, Kleist tyły mu zabrał. Wojsko francuskie nie ma się gdzie uformować, rozbite i rozproszone, uchodzi małymi oddziałami. Generałowie Vandamme Haxo, Guijot i 10000 ludzi dostają się do niewoli, cała artylerya francuska utracona, korzyści, osiągnięte na polach Drezna, stracone.

Rozmaite epizody odbyły się w tym dniu nieszczęśliwym. Pułkownik Maksymilian Fredro, dawny major 5 pułku jazdy, otoczony przez nieprzyjaciół, woła o pardon, Prusacy nie chcą mu życia darować. W ostateczności robi znak trwogi, jakiego używają wolnomularze, co widząc dwóch oficerów pruskich, ratują go z narażeniem własnego życia, biorąc pomiędzy siebie, i wyprowadzając z pośród rozjuszonego żołdactwa. Dalej, gdy przyprowadzono generała Vandamma, znanego ze swych rabunków, przed cesarza Aleksandra, «Vous voilà, pillard, rzekł do niego monarcha, vous ne ferez plus de rapines.» «Il est

vrai, Sire» odpowiedział jeniec, «j'ai beaucoup pillié dans ma vie, mais il y a de plus grands crimes qui n'offusquent pas ma conscience.» Była to aluzya do owej nocy, w której zamordowano cesarza Pawła. Aleksander wyszedł zmieszany, Vandamma wywieziono na Syberyą, z której powrócił dopiero po zawartym pokoju 1814 r.

Pałac Vandamma w departamencie de la Moselle był ciekawy z tego, iż znajdowały się tam ułamki z wszystkich pałacy, w których kiedykolwiek stawał kwaterą. Widziało się w nim żelazne sztachety, zabrane z Schoenbrunn, balustradę z pałacu w Poczdamie, kominek marmurowy z pałacu ks. Leiningen i rozmaite podobne upominki, zrabowane wprawdzie, ale oryginalne w rodzaju swoim. »Si j'avais deux Vandamme, j'en ferai fusiller un», mawiał Napoleon o swoim generale, nie lubił go dla ustawicznego rabowania, znając jednak zdolności jego, powierzał mu zawsze dowództwo tam, gdzie ważnych skutków się spodziewał. Porażka pod Kulm, zwycięstwa Blüchera nad rzeką Katzbach, Bernadottego pod Grossbeeren i Jüterbogk, w której pobici zostali Macdonald i Oudinot, zniweczyły plany cesarza. Musiał się już ograniczyć na odpornej kampanii, nie opuszczał jednak biegu Elby, by trzymać na wodzy królów bawarskiego, wyrtemberskiego i w. ks. badeńskiego, na niewiele mu się to jednak przydało, gdyż ludy niemieckie bez wyjątku powstały przeciwko niemu. Można zwyciężyć wojska, podbić narody, nie mające energii, ale ogólnego powstania ludów, jakiego dały Hiszpania i Niemcy przykład, zwalczyć niepodobna. Cała Europa powstawała na tego, który jeszcze przed rokiem całą nią trząsł. Napoleon, dziecko rewolucyi, zaparł się jej, przytłumił ducha nowej ery, zwiastującego odrodzenie się ludów, wyzutych z wszelkich praw swych na korzyść potomków Hunnów, Gotów, Wizygotów, Wandali, Franków i innych, dzisiaj przygnębione narody łączyły się przeciwko niemu, a nowi mocarze, powstali pod jego zasłoną, musieli się łączyć chętnie czy niechętnie z ogółem. Jedyni Polacy wytrzymali, chociaż położenie nasze stawało się z dnia na dzień smutniejsze. Przekonaliśmy się, że już nie chodziło o Polskę, że cesarz o byt Francyi walczyć poczyna, ale wielu z nas gotowało się opuścić raz na zawsze kraj, o którego losie srogim nikt nie wątpił,

gdy się dostanie w ręce odwiecznych wrogów naszych. «Bóg wie, czy powrócimy kiedy do ojczyzny», mawiał nieraz wuj mój, prefekt Garczyński, «a jeżeli przyjdzie nam osiąść na obcej ziemi, to Ty przy mnie zostaniesz.» Obiecywałem skłopotanemu, iż go nie odstąpię, bo też to prawda, nie byłbym nigdy powrócił, gdyby Napoleon był się utrzymał na tronie.

Niebezpieczna wyprawa.

Główna kwatera była zawsze w Dreźnie. Napoleon wychodził wedle potrzeby to przeciwko Blücherowi, który się już posuwał ku Elbie, to znów przeciwko Schwarzenbergowi. Ponieważ mieszkańcy donosili każdocześnie nieprzyjacielowi o kierunku, branym przez kuryery francuskie, przekonawszy się o tem szpiegowaniu, rozkazał Napoleon raz na zawsze, aby wysyłano kuryerów równocześnie w trzy rozmaite punkty, sam wyruszał lub pozostawał, jak mu wypadało. Takim sposobem nie mógł nieprzyjaciel wiedzieć o planach jego. Cesarz rzadko kiedy się pokazywał, zawsze był zajęty w gabinecie swoim, całe noce trawił bezsennie, ale za to my oficerowie z jego sztabu przesiadaliśmy się z konia na koń albo z bryczki na bryczkę, wioząc rozkazy lub zasięgając wiadomości. Służba taka, lubo bardzo intratna, bo płacono nam ze skarbu po 10 fr. od mili na koszta pocztowe, wszakże była niezmiernie uciążliwą, należało mieć dobre zdrowie, ażeby wytrzymać ustawiczne te jazdy dniem czy nocą. Wojsko okazywało cierpliwość i wytrwałość, młodzi żołnierze, dopiero co zaciągnięci, rywalizowali ze starymi, których liczba się uszczupliła. Ale konnica nie odpowiadała piechocie i artyleryi. Francuz nie jest tak jak Polak, Węgier lub Kozak urodzonym kawalerzystą; Francuz potrzebuje kilkoletniego wykształcenia, zanim zostanie dobrym jeźdźcem, a tu byli sami młodzi ludzie, którzy po części obawiali się siadać na konia. Cesarz utworzył straż honorową (la garde d'honneur), ażeby choć w części uzupełnić luki, powstałe w konnicy skutkiem zeszłorocznej kampanii, tym sposobem wprowadził na linią bojową 10000 młodzieży, synów samych majętnych obywateli. Stare pułki nazywały ich «les régiments

des Messieurs», bo owa młodzież należała po najwięcej do rodzin wykształconych, była ugrzeczniona, zachowywała ton salonowy, a w rozmowach pomiędzy sobą nigdy inaczej nie mówili do siebie wzajemnie jak Monsieur. Biedaki ci niesłychanie wycierpieli, zanim wyrobili się na dobrych żołnierzy, na męstwie im jednak nie zbywało, nawet nie jednę bitwę rozstrzygnęli w kampanii 1814 r. Zabawne zdarzenie opowiadano mi o takim młodym gwardziście honorowym, co dopiero przybyłym do pułku.

Wydano mu furaż trzydniowy dla konia. Odebrawszy go, wsypał koniowi cały obrok do żłobu i założył całe siano za drabinę i rzekł do rumaka «Tiens, en voilà pour trois jours». Łatwo można sobie wyobrazić, ile to koni zniszczało w tych pułkach, zanim się żołnierze obeznali ze sposobem paszenia i pielęgnowania ich.

Wszyscy generałowie i wyższi oficerowie wzdychali za pokojem. «La paix, la paix!», powtarzano ciągle w obecności cesarza. On, wiedząc o tem, powtarzał przy każdej sposobności, że i on pokoju pragnie, ale pod warunkami, zgadzającymi się z honorem Francyi. We wszystkich odezwach jego do wojska i w ogóle w rozmowach przebijała chęć zakończenia wojny, że nadal trwała, zwalał winę na sprzymierzeńców.

Dnia 1 września zostałem zawezwany do gabinetu ks. Neufchâtelu, który oddał mi depeszę do ks. Tarentu (Macdonalda) «Znam twoją gorliwość, odezwał się do mnie, i dla tego powierzam ci przed wszystkimi kolegami twymi ważną tę ekspedycyą, którą koniecznie musisz oddać ks. Tarentu. Oto masz list, który nie obejmuje nic ważnego, a służyć ci ma w przypadku, gdybyś się dostał do niewoli, w takim razie oddasz go nieprzyjacielowi. Ale o to masz rzeczywistą depeszę» i oddał mi wąską wstęgę papieru, w wosku maczaną, na której były wyrazy cyfrowane. Trzeba było mieć klucz, ażeby przeczytać. «Droga, którą pojdziesz, mówił dalej, jest niebezpieczna, Kozaki przecinają nam wszystkie komunikacye, a zatem używaj wszelkiej ostróżności. Ten zwitek nie powinien pod żadnym warunkiem wpaść w ręce nieprzyjaciela. Gdybyś miał być zabrany do niewoli, łatwo go ukryjesz przed każdym, dalsze postępowanie zostawiam twojej przebiegłości». Gdym już

miał odchodzić, rzekł jeszcze: «Daj mi Pan słowo honoru, że nieprzyjaciel nie dostanie tego biletu». Jakoż zaręczyłem na słowo honoru, że go nie będzie posiadał. —

Odebrawszy od płatnika potrzebne pieniądze na podróż i na nieprzewidziane wypadki, pożegnawszy się z matką, siostrami i wujem, puściłem się jak na stracenie w tę niebezpieczną wyprawę. Polecenie tajemne było wielkości orzecha włoskiego. Włożyłem rulonik w pistolet, mając zamiar wystrzelić z niego w razie napadu Kozaków. Kuryerskie konie zawiozły mnie szczęśliwie aż do Budziszyna. Spotkałem na szosie próżne furgony francuskie, złupione kilka godzin wstecz przez Kozaków; dało mi to poznać, jak dalece trzeba mi się mieć na ostróżności.

W Budziszynie stał cały garnizon na ulicy, gotów do walki, piechota miała broń w kozły ułożone, przy każdej bramie stały po dwie armaty — obsłużone przez kanonierów z lontami zapalonymi. Komendant placu zdziwił się, żem szczęśliwie przebył drogę z Drezna, uwiadomił mnie, że się ks. Tarentu znajduje w okolicy Zgorzelic, wszakże ani myśli móc dotrzeć do niego, bo wszystkie drogi przecięte, a patrole nieprzyjacielskie krążą po rozmaitych manowcach. Takie oświadczenie, lubo mi nie było przyjemne, nie wstrzymało mnie od zamiaru wykonania odebranego rozkazu. Zapytałem się plackomendanta, czyby nie było w mieście jakiego zaufanego człowieka, obeznanego z okolicą, na któregoby można liczyć. Na co mi odpowiedział: «Znasz Pan Niemców, za pieniądze do wszystkiego gotowi, ale, skoro będą mogli nas zdradzić, to uczynią bez wahania — ja na moją odpowiedzialność nie mogę powierzyć życia francuskiego komukolwiek z tutejszych mieszkańców.» Nie było zatem innego sposobu, jak puścić się samemu. Prosiłem zatem plackomendanta, aby mi kazał dostarczyć ubioru cywilnego i wydać świadectwo od magistratu, jakobym się udawał w okolicę za kupnem baranów. Nie mało mi się przydała znajomość dokładna języka niemieckiego, jako też i okolicy, w której po kilka razy przebywałem, również dyalekt saski, którego nabyłem w czasie służby mojej w tamtejszem wojsku. Wydobywszy zwitek z pistoletu, a kazawszy wywiercić dziurę w grubym kiju, w który się opatrzyłem, wpuściłem go w nią.

Stolarz tamtejszy tak zręcznie zaszpuntował od wierzchu, iż pałka moja żadnemu podejrzeniu podlegać nie mogła. W tem przebraniu puściłem się nazajutrz rano ku Zgorzelicom, mając jako legitymacyą jedynie świadectwo z Budziszyna, jakobym był czeladnikiem rzeźnickim. Śmierć mnie nie przerażała, ale myśl, że, schwytany jako szpieg, sromotnie wisieć będę na gałęzi, przyjemną mi nie była. Będąc jednak szczerze oddanym sprawie napoleońskiej i wiedząc, że przynoszę ze sobą marszałkowi wieść o rychłem przybyciu samego cesarza, oraz rozkaz obrotu, skutkiem którego można było wziąć na Blücherze odwet za bitwę pod Katzbach, żwawo podążyłem naprzód.

Spodziewając się, że przed południem patrole nieprzyjacielskie już powróciły do pułków swoich, wyszedłem z Budziszyna o 10-tej rano. Komendant placu odprowadził mnie aż do forpoczt, by zaś nie być zatrzymanym na przypadek powrotu w nocy, udzielił mi hasła na dwa dni następne, a ścisnąwszy rękę, pożegnał temi słowy: «Puissé-je apprendre au plus vite que vous êtes arrivé sans encombres à votre destination!»

Gdy znalazłem się sam jeden na szosie, zrobiło mi się trochę ckliwo. Westchnąłem do Boga i puściłem się pierwszą ścieżką, wiodącą ku granicy czeskiej w góry, którą wnet doszedłem do wsi. Nie zatrzymałem się w niej. W karczmie pili Prusacy z Kozakami, nikt mnie nie zatrzymał. Idąc dalej, napotkałem na patrol kozacki. Oficer spytał mnie po rosyjsku, dokąd idę, na co mu po niemiecku odpowiedziałem, że go nie rozumiem. Szedłem z patrolem jakie ćwierć mili, potem zboczyłem ścieżką w góry, wcale niebadany przez tego oficera. Udało mi się szczęśliwie dostać do Loewenberga, gdziem zastał już posterunek francuski. Odetchnąłem, znajdując się pomiędzy swymi. Śmieszna rzecz, że, przedostawszy się bez trudności przez nieprzyjaciela, stałem się podejrzanym własnym kolegom. Jakoż przytrzymano mnie u placówki pomimo płynnej mojej mowy francuskiej i odesłano do Loewenberga pod strażą żołnierza. Traf chciał, że, idąc ulicą do plackomendanta, spostrzegłem dobrego mego przyjaciela, kapitana Monrois. Zawołałem na niego. Zdziwiony, nie poznał mnie zrazu, wszakże niebawem przypomniał sobie, kto jestem;

począł się śmiać i dziwić z mojego przebrania. Towarzyszył mi do plackomendanta, u którego odpocząłem w towarzystwie mojego przyjaciela.

«Vous l'avez échappé bel», mówił mi Monrois, «savez-vous, mon cher, que vous avez frisé la corde? Fait prisonnier, on vous prenait pour un espion et vous pendait comme tel». Marszałek Macdonald wkroczył do Loewenberga. Nadzwyczajnie ucieszył się z odebranych wiadomości, obiecał mi, że w swoim raporcie do cesarza wspomni o mnie pochlebnie. Zatrzymałem się tylko czas potrzebny dla odebrania depesz dla cesarza, wszakże miałem sposobność przekonać się w ciągu tych kilku godzin o smutnym stanie wojska, zdemoralizowanego ustawicznem niepowodzeniem i bardzo zmniejszonego wobec utraty wielu ludzi, wziętych do niewoli. Sporo żołnierzy nie miało broni, połowa armat dostała się w ręce nieprzyjaciół, konie były zniszczone. Widziałem też kilkuset Prusaków, zabranych do niewoli francuskiej, wściekła nienawiść malowała się na ich obliczu, mianowicie twarz jednego oficera uderzyła mnie, typu prawdziwie pruskiego. Ten się wcale nie liczył ze słowami swemi, zaręczał mieszkańcom, zgromadzonym około niewolników, że Blücher przybędzie do Loewenberga przed wieczorem. Odebrawszy od marszałka raporty, wsiadłem na konia, dostarczonego mi przez żandarmeryą, i, eskortowany przez kilku szaserów, wróciłem w nocy do Budziszyna. Przebrawszy się w mundur u plackomendanta, który mi się szczerze ucieszył, podążyłem zaraz dalej do Drezna, gdzie stanąłem 3-go września.

Wyprawa do Neya. Batalion polski starej gwardyi.

Opowiedziałem ks. Neufchâtelu nieład, w jakim się korpus ks. Tarentu znajduje, nie taiłem przed nim, że owa część wojska potrzebnie rychłej reorganizacyi i wsparcia. Zapewne raport Macdonalda potwierdził moje sprawozdanie, bo cesarz wyruszył dnia 4-go z gwardyą i kirasyerami naprzeciw cofającemu się korpusowi.

Prowadzono razem z gwardyą znaczny transport broni celem uzbrojenia na nowo młodych żołnierzy, którzy swe kara-

biny postradali. Kirasyery generała Latour-Maubourg pociągnęły także z cesarzem, jako też i artylerya gwardyi pod rozkazami generała Drouot.

Dnia 5-go września znajdował się cesarz w Hochkirch, pamiętnem z przegranej Fryderyka w czasie 7 letniej wojny. Tu zgromadził cały korpus marszałka Macdonalda, miał przemowę do niego i kazał uzbroić na nowo pułki, które broni nie miały. Cesarz usiłował wzbudzić ducha upadłego w żołnierzach znękanych. Nie byli to już owi starzy wojownicy francuscy, przywykli do trudów, a oddani całą duszą swemu wodzowi. Dzisiaj stały przed Napoleonem same niedorostki, zaledwie wyszłe z dziecięcych lat; stare wojsko, przed którem drżała Europa, leżało pod śniegami Rosyi, a nowe pułki topniały jak śnieg! Owa młodzież nie była w stanie wytrzymać takich trudów wojennych.

Zamiarem cesarza było uderzyć na Blüchera i znieść śmiałego tego wodza, wszakże Blücher, uwiadomiony przez szpiegów o przybyciu Napoleona, cofnął się spiesznie aż pod Budziszyn. Nie przyszło zatem do bitwy. Z innej strony odebrał cesarz raport o zajęciu miasta Pirny przez oddział wojska ks. Schwarzenberga, co było powodem, że po kilkudniowych, nic nie znaczących utarczkach powróciła główna kwatera do Drezna. Dnia 8-go zajęło nasze wojsko znowu Pirnę, skąd cofnął się rosyjski generał Wittgenstein, 9-go byliśmy w Siebstadt, a 10-go w Bartenstein. Nigdzie nam nieprzyjaciel placu nie dotrzymał, ale z innej strony parł korpusy, przy których Napoleona nie było. Odbywaliśmy zatem ustawiczne marsze i kontrmarsze, których środkowym punktem było Drezno. Wojsko nasze stoczyło ważniejszą walkę pod Peterswalde na samej czeskiej granicy, w czasie której ranny został szef szwadronu Radoński, dowodzący szwadronem Krakusów. Waleczny ten oficer zniósł cały pułk lekkiej jazdy austryackiej w potrzebie powyżej wspomnianej, ale sam swoją osobą przypłacił zwycięstwo. Zawieziono go na pół już nieżywego do Drezna, gdzie kilka miesięcy dogorywał. Bitwa pod Peterswalde była ostatnim krokiem zaczepnym Napoleona. Jak tylko opuścił korpus znów natarł na ks. Tarentu Blücher i zagnał aż do Stolpe. Z innej strony marszałkowie Ney i Oudinot ustąpili aż pod Wittenberg przed

następcą tronu szwedzkiego (Bernadotte), musiał zatem cesarz zaniechać planu uderzenia na Schwarzenberga i powrócić do Drezna. Wszakże, zanim wykonał odwrót, zajął dnia 15-go Nollendorf, dnia 16 go posunął się ku Kulm, a 17-go walczyliśmy na owem pobojowisku, gdzie Vandamme został pobity. Cieplice były przed nami, patrzałem na wieże tego miasta; wszakże było w przeznaczeniu Francuzów nie dostać się do niego.

Dnia 19-go powróciła znowu główna kwatera do Drezna, a 21-go znów walczyliśmy z Prusakami. Blücher cofnął się jednak spiesznie wedle zwyczaju swego, 24-go zajęli Francuzi Zgorzelice, a wódz pruski stanął w Budziszynie. Na tej demonstracyi skończyła się wyprawa przeciwko niemu, 27-go ujrzałem ponownie Drezno.

Nienawiść wszystkich Niemców do Francuzów nie miała granic i okazywała się na każdym kroku. Mieszkańcy wcale się też z nią nie taili, a, gdzie mogli, dopomagali sprzymierzeńcom. W takiem usposobieniu ogólnem groziło największe niebezpieczeństwo pojedyńczemu wojskowemu, a mianowicie nam oficerom ze sztabu, o których wiedziano, że jeździmy z depeszami i rozkazami. Pocztmistrze sascy dostarczali nam najlichszych koni, pocztylioni wzbraniali się pospieszać, a oficer wysłany musiał mieć ustawicznie pałasz albo pistolet na podorędziu, aby zabezpieczyć się nie tylko od napaści, ale też, żeby zmusić pocztyliona do popędzania koni.

Razu pewnego posłano mnie do marszałka Neya pod Wittenberg. Na stacyi za Miśnią odmówił mi pocztmistrz koni. Udałem się do stajni i z pistoletem w ręku kazałem szykować konie, znajdujące się tam. Nie wiem, jakby się było skończyło, gdyby nie był nadszedł patrol żandarmeryi, który mi dopomógł pomimo oporu pocztmistrza, twierdzącego, że konie co dopiero wyprzężone powróciły z kursu. Z powrotem od marszałka Neya nie mogłem już jechać ponad brzegiem Elby, bo celni strzelcy pruscy posunęli się pod prawy brzeg rzeki, a kule ich sięgały aż na lewą stronę. Musiałem zatem skierować podróż od Lipska na Eulenburg i Hubertsburg, a z tego miejsca kierować się manowcami, pozostawiając Miśnią na lewo. W tej mojej przeprawie zdarzyło mi się,

żem dostał narowistego konia na poczcie w jakiejś nędznej mieścinie. Nie mogłem pospieszać (jeździłem konno dla uniknięcia ustawicznego poganiania pocztyliona). Niedługo się namyślając, zsiadłem z konia, pocztyliona, towarzyszącego mi, zrzuciłem z jego podjezdka, wsiadłem na niego, a pozostawiłem Niemca ze szkapą, dla mnie przeznaczoną. Ten wrzeszczał, przeklinał, ale ja już byłem daleko. Na stacyi następnej zagroziłem, że w łeb koniu strzelę, jeżeli mi złego dadzą. Takim to sposobem zapewniałem sobie prędszy powrót do Drezna, gdzie powróciłem wśród ustawicznych zatargów.

W Lipsku dowiedziałem się o rozpoczęciu ruchu odwrotnego wojska naszego. Już wywożono lazaret i wszelkie efekty wojskowe; kilkanaście tysięcy wozów i furgonów ciągnęło pod silną eskortą ku Francyi. Stanowisko moje w sztabie generalnym wtajemniczało mnie w wiele spraw, zatajonych publiczności — nie omieszkałem też donieść mojemu wujowi Garczyńskiemu o rychłem już naszem opuszczeniu linii Elby; radziłem mu, ażeby się zawczasu zabrał i udał do Francyi. Niestety, nie poszedł za mą radą, snać przeznaczeniem jego było złożyć kości swoje w Dreźnie. Minister sprawiedliwości Ks. Warszawskiego, hr. Łubieński, referendarz stanu Morawski, Słubicki i wielu innych obywateli usłuchali mej rady, wyruszyli zawczasu za Ren i powrócili zdrowo do ojczyzny.

Zawiozłem marszałkom Neyowi i Oudinotowi rozkaz połączenia się z głównym korpusem wojska francuskiego, skutkiem czego marszałek Ney pociągnął ku Dessau. Nieprzyjaciel, nie wiedząc o tym ruchu, wkroczył do miasta tego, a sądząc się bezpiecznym, rozkwaterował się w niem wraz z kilkoma sotniami Kozaków. Marszałka ostrzegł o tem — milę przed Dessau — powracający stamtąd pewien obywatel. Nie zważając na słabe swe siły, wpada do miasta ze sztabem swoim i dwoma szwadronami dragonów i zabiera do niewoli kilkudziesięciu Kozaków i kilka set piechoty pruskiej, reszta uciekła. Po tej gratce stanął przed zamkiem księcia i wysłał oficera, ażeby murgrabiemu doniósł o jego przybyciu. Jakże się zadziwił ów oficer, gdy zastał w sali na pierwszem piętrze Kozaka na koniu, który się schronił do tej kryjówki nowego rodzaju przed wpadającymi Francuzami! Nie mniejsze było zadziwienie mar-

szałka i całego sztabu na widok powracającego z zamku oficera, wiodącego za sobą brodatego Kozaka na koniu w całym rynsztunku!

Nadeszła wreszcie dla Napoleona godzina opuszczenia Drezna. Dnia 7. października wyjechał cesarz, król saski i cała rodzina. Ja, odebrawszy błogosławieństwo od matki, uściskałem serdecznie siostry i dobrego wuja, poszedłem pożegnać się z dobrą i kochaną panią Breziną, nadobną jej córką, podpiłem sobie z rodakami, którzy mnie uraczyli po raz ostatni, a zabrawszy ze sobą dzielnego Wojtkowiaka, polskiego ułana, puściłem się nocą za główną kwaterą

Wojsko radowało się, że opuszczamy okolice Drezna, całkiem zniszczone, żołnierz już nie mógł liczyć na posiłek, mieszkańcy radowali się nadzieją, że nie powrócimy i że teatr wojny przeniesie się w inne okolice. Wszakże pozostał marszałek Gouvion St. Cyr w Dreźnie na czele 25000 ludzi. Zamiarem cesarza było uderzyć na Blüchera, który się przez Elbę przeprawił pod Miśnią, znieść jego korpus, stoczyć bitwę z następcą tronu szwedzkiego i zająć Berlin. Obliczył bowiem, że może wykonać manewr taki, zanim przybędzie ks. Schwarzenberg z głównem wojskiem sprzymierzonych na odsiecz. Atoli odebrana wiadomość o odstąpieniu od jego sprawy królów bawarskiego, wyrtemberskiepo i w. ks. badeńskiego zniweczyła owe plany; cesarz musiał się cofnąć za Ren, chcąc zachować komunikacyą z Francyą.

Byliśmy już w drodze ku Torgau, gdy wojsko odebrało rozkaz cofnięcia się do Eilenburga. Cesarz chciał stoczyć walną bitwę, a dla tego ściągnął wszystkie siły swoje. Było nas 120000, nieprzyjaciel rozwinął 350000 wojska. Nie można było powątpiewać o stanowczem spotkaniu, mającem rozstrzygnąć o losie kampanii, wszakże nie było już w szeregach dawnego zaufania w zwycięstwo. Ks. Józef walczył bez odpoczynku od 7 października z nadciągającymi Austryakami, a w tej ciężkiej próbie dawało szczupłe wojsko polskie ciągle nowe dowody nieustraszonego męstwa. Napoleon, chcąc okazać, ile nam ufa, kazał wodzowi polskiemu wybrać jeden batalion zasłużonych wiarusów, z których utworzył polski batalion starej gwardyi. Niestety, oddano dowództwo tej wybornej

falangi człowiekowi, nie odpowiadającemu duchem swoim świetnemu przeznaczeniu swemu. Podpułkownik Kurcyusz, lubo dobry żołnierz, shańbił nazwisko swoje, pozostając w Lipsku po naszej przegranej — a batalion starej gwardyi, nie mając dowódcy, rozszedł się, nawet oficerowie nie zostali przy swoich żołnierzach, o ile zdrowo wyszli z tej morderczej walki. Możeby się było wszystko inaczej stało, ale nasz ukochany wódz już wtedy nie żył, nie było go już na czele wojsk polskich, a w pierwszych dniach odwrotu poszedł każdy za własnym popędem serca i rozumu. Muszę także nadmienić, że po batalii pod Lipskiem wyraźnie zapomniano o batalionie polskiej starej gwardyi francuskiej, nie wydano żadnych rozkazów, w sztabie zaś głównym wojska polskiego nie myślano o oddziale tym, który już liczył się do wojska francuskiego.

W obozie ks. Józefa. Umiński. Pułkownik Morawski. Krakusi. Dąbrowski. Wierzbołowicz.

Dnia 14 października stanęła główna kwatera cesarska w Lipsku. Już się tam znajdował król saski z całą rodziną i dwoma batalionami gwardyi przybocznej (w mundurach ponsowych), stara gwardya francuska rozłożyła się przed rogatkami nad traktem, wiodącym do Grimma. Spotkałem się w Lipsku dnia tego z moim ciotecznym bratem, Heliodorem Skórzewskim, który po śmierci generała Fiszera, poległego roku zeszłego pod Tarutyną w Rosyi, został adjutantem ks. Józefa. Opowiadał mi o ciągłych spotkaniach polskiego korpusu z Austryakami, począwszy od 7 b. m., i uwiadomił mnie, że kwatera księcia znajduje się o dwie mile od Lipska na trakcie ku Chemnitz. Mając czas wolny, jeszcze dnia tego samego udałem się ze Skórzewskim do obozu polskiego, chcąc się nacieszyć kolegami i oddać ks. Poniatowskiemu hołd uszanowania. Nie miałem wtenczas przeczucia, iż to po raz ostatni rozmawiam z bohaterem polskim. Spotkałem naturalnie mnóstwo znajomych w obozie. Umiński, niskiego wzrostu, zawsze czupurny i zamaszysty, wyglądał jak Tamerlan w swej czamarze granatowej i szerokich amarantowych szarawarach. Szkoda

że cnoty żołnierskie tego dzielnego wojaka nadzwyczajnie silna namiętność do kart skaziła. Nie było dzielniejszego i śmielszego dowódcy pułku od Umińskiego; możnaby obszerne dzieło napisać o jego potyczkach z nieprzyjacielem; cóż z tego, kiedy przy pierwszej sposobności brał się do kart, prowadził grę szaloną, zakłócał tym sposobem własną równowagę, aż nareszcie utracił nawet dobre imię swoje w czasie emigracyi. Widziałem się także w tym dniu z pułkownikiem Morawskim, generałem w czasie Polski Kongresowej, ministrem wojny w czasie ostatniej rowolucyi naszej. Morawski był wcale innego usposobienia. Zatopiony w literaturze, poświęcał jej każdą wolną chwilę i nieraz w marszu na koniu tłomaczył wiersze francuskie na polskie — niektórzy oficerowie słuchali go z zajęciem, a wszyscy podziwiali łatwość jego do rymowania. Morawski należy do liczby Polaków, którzy ponieśli do grobu nieskazitelne imię, każdego czasu zachował wierność krajowi swemu. Był dobrym wojskowym, dobrym obywatelem, dobrym ojcem, szanowanym od rodaków i cudzoziemców, dziś spoczywa spokojnie w zaciszu wiejskim na cmentarzu w Oporowie w Wielkiem Ks. Poznańskiem. Poezye Morawskiego, drukiem ogłoszone, zajęły rodaków w wysokim stopniu; mianowicie wiersze pod tytułem «Dworek mego dziadka» wielce się podobały.

Ks. Józef przyjął mnie łaskawie i serdecznie — wszystko było w ruchu około niego, więc tylko od czasu do czasu kilku słowy, pełnemi dobroci, odzywał się do mnie. Gutakowski, Kicki, Artur Potocki, Kamenecki, adjutanci jego — pędzili w rozmaite strony, to znów powracali do niego po nowe rozkazy. Miły Boże — ileż to luk powstało w tem dzielnem wojsku ledwie cztery dni później, od chwili, gdy rozmawiałem po raz ostatni z ks. Józefem!

Krakusy powstały dopiero po kampanii rosyjskiej, gdy naczelny wódz poprowadził do Krakowa resztki wojska polskiego i zwołał pospolite ruszenie. Gromadząca się młodzież województwa krakowskiego i innych, niezajętych jeszcze przez nieprzyjaciół, dla rychlejszego uformowania się w pułk przyjęła ubiór narodowy z okolic Skalmierzyc jako mundur i stąd powstała nazwa «Krakusów». Książę oddał dzielnemu

Umińskiemu dowództwo nad nowem wojskiem; pod jego też rozkazami służyli pułkownicy Dwernicki, Oborski, oraz wielu dawnych oficerów, dla których nie było miejsca w przerzedzonych szeregach dawnego wojska. Wkrótce stanęli nowi żołnierze na równi ze starymi pułkami pod względem waleczności w boju. Mustry nie było czasu ich wyuczyć, w paradzie nie słynęli z regularności obrotów, ale umieli się szybko rozwinąć i uformować kolumnę, nacierali śmiało i byli niezmordowani. Wnet stali się postrachem jazdy węgierskiej i Prusaków; najbardziej dotrzymywali im pola Kozacy i ułani, jako równą bronią uzbrojeni. Pierwotny mundur Krakusów składał się z kierezyi granatowej i szarawarów karmazynowych, mieli pasy karmazynowe, czapkę niską, czworograniastą, uzbrojeni byli w pałasz, parę pistoletów i lance z chorągiewką w dwa kolory: karmazynowy i biały. Po przejściu Renu odesłano, co pozostało Krakusów, do Wersalu, gdzie ich na nowo zorganizowano i oddano pod dowództwo pułkownika Dwernickiego, (Umiński dostał się do niewoli pod Lipskiem), a natenczas dano im czapki, zbliżone krojem do oryentalnych. Umiński wprowadził do Saksonii 4000 Krakusów, Dwernicki miał ich we Francyi około 1500.

W czasie powstania 1830 roku sztyftowano znowu Krakusów, rząd rosyjski albowiem nie chciał o nich słyszeć przy organizacyi wojskowej 1815 roku; broń owa była mu zanadto patryotyczna. W tej smutnej epoce narodowego ruchu znowu Krakusy dali się we znaki Moskalom — dzisiaj jedynie po nich pozostało wspomnienie, ale nie wygaśnie w sercach prawych synów nieszczęśliwej Polski.

Wojsko francuskie zgromadziło się z całej okolicy pod Lipskiem w dniach 13, 14 i 15 października, a zajmowało pozycye naokoło miasta; wszakże w daleko większej jeszcze liczbie przybywali sprzymierzeni i formalnie otaczali nas. Wojska legii reńskiej, wyjąwszy pułk jeden celnych wyrtemberskich strzelców, opuściły naszą sprawę i przeszły do nieprzyjaciela. Wojsko saskie i wyżej wymieniony pułk dopiero trzeciego dnia dokonali szkaradnej zdrady. W czasie odstąpienia wojsko bawarskie spotkało na drodze Romana Sołtyka i zabrało go ze sobą do niewoli. Król neapolitański stoczył bitwę kawaleryi

pod Pegau d. 14. O mało co w niej nie zginął, oficer pruski albowiem natarł na niego z wymierzonym pałaszem »Ergieb Dich, König!« zawołał, ale przyboczny strzelec Murata, który nigdy swego pana nie odstępował, przebił kordelasem Niemca i z konia go zwalił.

Namioty cesarskie rozbito dnia 14. pod wsią Grosse-Heide; stara piesza gwardya rozłożyła się w czworobok naokoło nich. W tym dniu żadnej nie było walki — obie strony oczekiwały przybycia wojsk, a w miarę, jak korpus nadciągał, naznaczano mu pozycyą.

Generał Monthion, szef sztabu generalnego, wysłał mnie już po zachodzie słońca dla powzięcia wiadomości o stanie rzeczy na objazd lewego skrzydła wojska naszego. Napotkałem wtedy na dywizyą generała Dąbrowskiego, obozującego pomiędzy wsiami Poritz i Klemden. Dąbrowski, zawsze niechętny ks. Józefowi, unikał ile możności znajdować się bezpośrednio pod jego dowództwem, a umiał zawsze postawić się na stanowisku, nie mającem styczności z naczelnym wodzem wojsk polskich. W tej dywizyi znajdowało się dużo Poznańczyków, bo Dąbrowski lubił Wielkopolan i chętnie się nimi otaczał. Zaproszony do biwaku pułkownika Ignacego Mycielskiego, szefa sztabu Dąbrowskiego, a późniejszego komendanta kadetów w Kaliszu, zastałem tam pomiędzy innymi znajomymi adjutanta przy Dąbrowskim, Wierzbołowicza. Naturalnie każdy wnioskował o nadchodzącej bitwie; dużo takich było, co powątpiewali o jej wypadku, ja rokowałem wygraną Napoleonowi i mówiłem: »Przed bitwą pod Austerlitz zdawało się położenie cesarza równie krytyczne, wszakże zwyciężył i podyktował pokój.« »Tak jest«, odpowiedział mi na to Wierzbołowicz, »ale to temu 8 lat, a ów przeciąg czasu stanowi dla Francuzów epokę ośmiu wieków pod względem różnicy w wojsku ówczesnem a dzisiejszem. Wspomnijcie na słowa moje: Napoleon przegra bitwę, cofnie się za Ren, bardzo łatwo być może, że sprzymierzeni wtargną do Francyi, dzisiaj tak ogołoconej z ludności, zdolnej do dźwigania broni; natenczas nie będzie już walka o przewagę jego w Europie, ale o jego tron. Co do losu Polaków, niewarto nawet o nim wspominać, Moskal zagarnie resztę ojczyzny naszej, nam pozostanie wybór po-

między nowymi legionami albo, poddając się kolei przeznaczenia, służbą rosyjską.

Wierzbołowicz snać był duchem wieszczym natchniony.

Powracając późno w nocy z obiadu tego, widziałem trzy wypuszczone race, oświecające tło firmamentu w kierunku Halli; domyśliłem się, że to znak, dany przez nieprzyjacielski korpus wojska; doniosłem ks. Neufchâtelu o spostrzeżeniu mojem, skutkiem czego wysłano oficera od sztabu do generała Bertranda, dowodzącego w tej stronie.

Bitwa pod Lipskiem.

Zaświtało wreszcie na widnokręgu; całą noc nieomal spędziłem bezsennie, ale nie czułem zmęczenia, byłem podniecony, wiedziałem albowiem, że dziś rozstrzygać się będzie los całej Europy. Słońce wschodziło w całym blasku swoim d. 16 paź. Był to jeden z piękniejszych dni jesiennych, które w północnych strefach tyle uprzyjemniają tę porę roku. Dym wznosił się w proste słupy ponad kominami; powietrze było ciche. Wiedząc, że się niebawem rozpocznie całodzienna walka, każdy z nas posilił się, opatrzył się, czem mógł i, dosiadłszy najdzielniejszego konia, stanął na swoim posterunku. Jak zwykle, wystąpiły pułki francuskie w całej paradzie, każdy zajął miejsce, zawczasu wskazane. Daleko od nas czerniły się linie nieprzyjacielskie, ale nigdzie ujrzeć nie można było Kozaków, którzy mają wielkie uszanowanie przed armatami. Równina, całkiem ogołocona z lasu, dozwalała mi dojrzeć większą część pola bitwy, z której opiszę, o ile słabe me zdolności pozwolą, tylko to, co sam naocznie widziałem.

Jakie 80 dział rozpoczęło walkę naokoło Lipska. Z której strony człowiek spojrzał, wszędzie widział siwy dym prochu; nieprzyjaciel nacierał zewsząd. Zdaje mi się, że największe natężenie swoje skierował na wieś Liebertwolkwitz nad rzeką Pleisse. Wieś ta była broniona przez ks. Józefa na czele Polaków. Sześć razy nieprzyjaciel przypuszczał szturm, atakując dwiema kolumnami z dwóch stron. Za każdym razem odparły go polskie zastępy. Wysłano mnie po dwakroć do

Liebertwolkwitz dla dowiedzenia się o położeniu rzeczy; wszystko mi tu przypominało bitwę pod Możajskiem, ta sama rzeź, ta sama zaciętość walki, równie gęste kule armatnie, prujące z rykiem powietrze. Pola naokoło tej wsi, ogrody i ulice były zasłane trupami. Mieniłem się szczęśliwym, powróciwszy bez szwanku z raportem. Około południa ruszył cesarz ze sztabem swoim i szwadronami służbowymi do wsi Dolitz, gdzie generał Lauriston i marszałek Macdonald wstrzymywali nieprzyjaciela; tu Francuzi dokazywali cudów waleczności, wszakże byliby zmuszeni ustąpić, gdyby im nie przyszedł ks. Reggio z pomocą. Po jego przybyciu wnet się zmieniła postać rzeczy na tem miejscu walki, bój z odpornego przeszedł w zaczepny, a kirasyery i dragoni francuscy, rozbiwszy jazdę austryacką, zabrali do niewoli dowodzącego na tym punkcie generała Meerfelda i kilka tysięcy niewolników.

Najkrwawszy bój tego dnia toczył się pod Liebertwolkwitz i Dolitz. Nie mogę zdać sprawy z działania innych korpusów, nie byłem bowiem do nich wysłany. Ks. Józef dnia tego okrył się sławą. Natomiast szef sztabu jego, generał Rożniecki, przesiedział cały ten dzień ukryty w piwnicy w Lipsku, gdzie się przed kulami nieprzyjacielskiemi schronił. Polecono mi, gdy bój ustał, odprowadzić generała austryackiego hr. Meerfelda do Lipska.

Jechaliśmy obydwaj konno późno w noc. »Czy sądzisz Pan«, odezwał się do mnie jeniec, »że cesarz Napoleon wygrał bitwę?« „Nie tylko jestem o tem przekonany, ale mam nadzieję, że cała Europa podzieli moje zdanie", odpowiedziałem — »Mylisz się Pan«, mówił dalej Meerfeld, «dzisiaj był to dopiero wstęp, jutro przybywają rezerwy rosyjskie, Blücher i następca tronu szwedzkiego, a natenczas dopiero rozpocznie się prawdziwa walka». Meerfeld mówił prawdę — ja mu nie dawałem wtedy wiary, ale przekonałem się dnia następnego, że nieprzyjaciel pożycyi swoich nie opuścił.

Ks. Józef był bohaterem dnia tego; w zawziętej walce przeciw nieprzyjacielowi cztery razy liczniejszemu, nie dozwolił przeprawić się przez rzekę Pleisse. Dwaj jego adjutanci, Szydłowski i Skórzewski, odnieśli rany przy boku jego, pod księciem ubito dwa konie, wszakże sam wyszedł bez szwanku.

W nagrodę za tyle waleczności przysłał mu Napoleon buławę marszałkowską — książę przyjął owe wyniesienie z wyraźną boleścią serca, poznał albowiem z tego, że losy polskie już rozstrzygnięte.

Któż z przytomnych nie podziwiał dnia tego waleczności naszych wiarusów! Trzeba było widzieć ową piechotę, stojącą niezachwianie wsród ognia morderczego, twarze ich były okopcone od dymu i osmolone od prochu. W miarę ubytku padłych kolegów zapełniali powstałe luki nowemi siłami, a dzielny ich opór niszczył zajadłą natarczywość nieprzyjaciół. A cóż powiedzieć o konnicy naszej! Widziałem Umińskiego na czele Krakusów. Miał chustkę w zębach, siedział na dzielnym siwym koniu. Uszykowawszy jazdę swoją w kolumnę szwadronami, wpadł jak wściekły na kirasyerów i szwoleżerów austryackich, przybywających w pomoc rozbitym hufcom generała Łazarewa, złamał w mgnieniu oka ową ciężką jazdę, rozbił, pomięszał i, lubo była o wiele liczniejszą, rozpędził po całem polu i nabrał dużo niewolnika. Z innej strony widziałem generała Maison we wsi Dolitz; był ranny, wszakże nie opuścił swej dywizyi — szykował ją właśnie w kolumnę; kule padały jak grad. Jedyny raz w całem moim zawodzie wojskowym widziałem tam właśnie kulę armatnią, która, lecąc, mignęła mi tuż przed oczami. Gdybym był stał o jeden krok dalej, byłaby urwała mi głowę. «Dites à l' empereur», mówił mi ten generał, «qu'il soit tranquille pour le village, tant qu'il me restera un souffle de vie et un soldat, l' ennemi n'y entrera pas». I dotrzymał słowa. Zachował wieś aż do przybycia marszałka Oudinot.

Napoleon dn. 16. odparł wszystkie natarcia sprzymierzonych, wszakże walka nie była rozstrzygnięta. Dla tego oczekiwaliśmy nowej bitwy w dniu następnym, nieprzyjaciel jednak dn. 17. wcale się nam nie pokazał, zachował się spokojnie w liniach swoich, snać oczekiwał nadciągnięcia świeżego wojska. Z naszej strony nie sprzeciwił się cesarz temu odpoczynkowi, a, korzystając z niego, wysłał oficera do forpoczt przeciwnej strony, który imieniem ks. Neutchâtelu zażądał rozmowy z ks. Schwarzenbergiem, ale odpowiedziano mu, że w obecnem położeniu ani czas ani potrzeba jakiegokolwiek porozumienia.

Korzystając z wolnej chwili, udałem się do Lipska w celu odwiedzenia rannego Heliodora Skórzewskiego i innych kolegów moich. Tam, poleciwszy ciotecznego mego brata bankierowi Freye, wziąłem Skórzewskiemu dwa konie i masztalerza i powróciłem do głównej kwatery. Cesarz zbliżył linią swoją więcej ku miastu, ażeby korpusy wojska mogły się wzajemnie łatwiej wspierać. Główna kwatera przeniesioną została pod wiatraki, bliżej Lipska.

Dnia 18 wszczęła się bitwa o samej 8 godzinie z rana, lewe skrzydło nieprzyjacielskie rozpoczęło bój szturmem na wsie Dolitz i Dossen, z których nasi ustąpili nie bez silnego oporu. Przy tym ataku zginął generał w służbie austryackiej Hessen-Homburg, prowadząc kolumnę na Dolitz. Około 10-tej wrzała bitwa w całej wściekłości, śmiało powiedzieć można, że z jakie 200 armat ryczało naokoło Lipska. Sprawiedliwie przyznać trzeba, że Prusacy w tym dniu morderczym okryli się sławą. Ks. August pruski i generał Pirch dali dowód przy szturmie na wieś Probstheida nieustraszonego męstwa. Z naszej strony równie walecznie Francuzi odpierali wszelkie natarcia nieprzyjaciela, Schwarzenberg nigdzie nie mógł przełamać naszych. Widząc nadaremne usiłowania kolumn swoich, które malały pod gradem francuskich kartaczy, skorzystał z przewyższającej liczby artyleryi swej i ograniczył działanie na ogień armatni, który jakby z ręcznej broni nie ustał aż do wieczora. Pomimo znacznych strat zachował Napoleon wszystkie pozycye na prawem skrzydle. Inną jednak koleją losu walczył ks. Moskwy na lewem skrzydle naszem. Nacierali tam na niego Blücher i Bernadotte, który z prostego żołnierza i zapalonego sansculotty dzisiaj siedział u stóp tronu szwedzkiego, oczekując chwili, gdy włoży na głowę koronę Gustawa Adolfa. Zapomniał całkowicie, że był kiedyś francuskim republikaninem.

Ks. Moskwy dowodził lewem skrzydłem francuskiego wojska, miał pod rozkazami swymi prócz własnego korpusu korpus marszałka Oudinota, dywizyą generała Bertranda, dywizyą polską generała Dąbrowskiego i cały kontyngens saski, złożony z dwóch dywizyi piechoty generałów Deschau i Lecoque, (ten ostatni Sas rodowity, pochodzący, być może, z rodziny francuskiej, wyszłej z kraju za Ludwika XIV w czasie prześladowań reli-

gijnych), dalej z dywizyi jazdy pod dowództwem generała Prittwitza i z kilkudziesięciu armat, któremi dowodził pułkownik Raabe.

Ks. Moskwy wiódł zaciętą walkę z nieprzyjacielem dwa razy silniejszym, stawiał mu wszędzie czoło, nie ustępując piędzi ziemi, lecz w rocznikach nowoczesnych wojen niesłychana zdrada, uknowana przez generałów i dowódców saskich (z wyjątkiem generała Deschau, który niczem honoru swego nie splamił), miała wkrótce szalę szczęścia przeważyć na stronę sprzymierzonych. Ohydny ten czyn, okrywając wykonawców sromotą i pogardą na wieczne czasy, odegrał się w następujący sposób. Generałowie Lecoque, Prittwitz i pułkownik Raabe, oraz wszyscy dowódcy pułków postanowili bez wiedzy króla przejść do nieprzyjaciela na czele całego saskiego wojska i zamiar ten wykonali wśród bitwy, schodząc z pozycyi, ich honorowi powierzonej. Bronili oni linii pomiędzy Paunsdorf i Schönfeld. Około 3 godziny z południa wysunął się pułkownik Raabe z całą saską artyleryą o jakie 300 kroków przed linią. Generał Régnier, spostrzegłszy ten ruch, kompromitujący bezpieczeństwo dział, wysłał do dowódcy adjutanta z poleceniem, ażeby się cofnął. «Nehmet ihn gefangen» — rozkazuje Raabe kanonierom swoim — i biorą w niewolę biednego adjutanta, a Raabe, zbliżywszy się jeszcze o jakie 300 kroków do nieprzyjaciela, który przestał dawać ognia do nich, wypuszcza z dział swoich całą salwę kartaczową w szeregi tych, z którymi przed chwilą jeszcze po bratersku walczył. Na takie hasło, snać zawczasu umówione, z radosnymi okrzykami przechodzi konnica i piechota saska do nieprzyjaciela. W pół godziny całe dzieło było dokonane. Jeden tylko generał Deschau pozostał z dwoma adjutantami swymi w szeregach francuskich i udał się do króla swego.

Napoleon, nie wyrzekłszy słowa, gdy się dowiedział o zdradzie Sasów, oderwał z prawego swego skrzydła 4 pułki jazdy, z którymi pospieszył w pomoc marszałkowi Neyowi. Owa konnica, a mianowicie konni grenadyerzy odpędzili nieprzyjaciela aż do Paunsdorf i Schönfeld, gdzie się utrzymali.

Widziałem po raz pierwszy w tym dniu «race kongrewskie», wypuszczane przez dwie angielskie baterye rakietników,

naumyślnie przysłanych, ażeby i Anglia wzięła udział w bitwie narodów. Nowa ta broń, mianowicie zdatna w czasie bombardowania miast, może także być użytą ze skutkiem przeciwko konnicy; szum powietrza w czasie spadania racy pomiędzy konie przeraża je, a, gdy pęknie i rozpryskuje się, płyn rozpalony naokoło, każda iskra upadająca na konia, przepala mu skórę aż do żywego mięsa; nic jej nie ugasi, dopóki się sama nie strawi. Łatwo można sobie wystawić nieład w pułku, gdzie kilkanaście koni w ten sposób jest rannych.

Nazwisko pułkownika Kongrew, wynalazcy tego nowego sposobu zabijania ludzi, podano do dalekich pokoleń, a nikt nie wie nazwiska wynalazcy pługa. Zawsze to tak bywa na świecie, ludzie tylko o tych pamiętają, co im dokuczyli.

Słońce zaszło, ryk armat ustał, gdzieś niegdzieś odzywał się jeszcze ogień ręcznej broni, aż wreszcie i on ustał. Po całej okolicy zajaśniała iluminacya z ogni biwakowych pół miliona ludzi, ściągniętych z krańców Europy, ażeby się pod Lipskiem zabijać.

Każdy upadał z utrudzenia, ale każdy z nas miał zadowolenie z spełnionego obowiązku. To przekonanie musiało mianowicie generałowi Dąbrowskiemu być wynagrodzeniem za poniesione trudy i wysilenia dywizyi jego w tym dniu. Po zdradzie Sasów bronił przystępu do miasta pod samymi murami Lipska na czele swej dywizyi, ledwie dochodzącej do 8000 ludzi, utrzymał się, nawet odpędził cały korpus Sackena. Rozstawiwszy pułki po ogrodach miejskich, zabezpieczony rowami i kanałami, stawił czoło 40000 ludziom i wszędzie nieprzyjaciela odparł. W tej walce tak nierównej pułkownik Cichocki, dowódca piechoty liniowej polskiej, otrzymał ciężką ranę w głowę kulą karabinową, która weszła nad jednem uchem, a pod drugiem wyszła. Leżał bez przytomności na pobojowisku, tam go obrano z odzieży. Po uciszonej walce w nocy rozkazał generał Dąbrowski pułkownikowi Mycielskiemu wziąć kompanią grenadyerów i odszukać ciało Cichockiego, by je pochować z honorami wojskowymi. Po długiem szukaniu wydobyto poległego, całkiem obnażonego, z pomiędzy trupów i przyniesiono do obozu polskiego. Cichocki ducha nie był wyzionął, jeszcze oddychał, położono go na słomę, przykryto płaszczem żołnierskim

i zdano raport Dąbrowskiemu, który posłał lekarza dywizyi Szturmera dla przekonania się o stanie rannego. Ten obejrzał go, orzekł, że skona lada chwilę, nawet rany nie opatrzył. Tak minęła noc, nazajutrz wszczął się bój, a Cichocki żył ciągle. Natenczas Szturmer opatrzył mu jako tako głowę, nasłano słomy do furgonu, okryto płaszczem zawsze tym samym jako całą odzież i wraz z ekwipażami odesłano do Erfurtu. Koniec końcem, Cichocki pysznie przyszedł do siebie, żył jeszcze 17 lat, pozostał czynnym w służbie, jedynie wskutek rany tej słuch zupełnie stracił.

Odwrót z pod Lipska. Śmierć ks. Józefa. Kapitan Deschamps.

Jak tylko noc ukończyła walkę, zaraz ruszyły ekwipaże wojskowe ku Erfurtowi. Wojsko nasze zajęło pozycyą wokoło miasta bardziej ściśnioną, a znaczna część artyleryi pociągnęła drogą ku Weissenfels. Ks. Józefowi i ks. Tarentu polecono zasłaniać odwrót wojska, pod każdym względem trudny. Trzeba było albowiem przechodzić ulicami na przedmieściu Lipska, przeprawiać się przez mosty i długą trytfę od Lipska aż do Lindau.

Napoleon opuścił swój biwak o 9 z rana, objechał całą linią bojową, na której już walczono, i udał się do Lipska, gdzie się po raz ostatni widział z poczciwym królem saskim. Czułe musiało zaiste być pożegnanie obu monarchów, wiernie dochowających sobie wzajemnej przyjaźni; jeden cofał się jako lew zraniony, drugi szedł w niewolę, obarczony latami i moralnie zraniony wiarołomstwem wojska swego, a obydwaj wystawieni na niepewność przyszłych losów. Stałem przed kwaterą króla saskiego wraz z całym sztabym w czasie tych krótkich chwil pożegnania. Król odprowadził Napoleona aż do bramy, mówiono mi, że królowa i księżniczka Augusta miały łzy w oczach, patrząc na opuszczającego ich Napoleona. Gdy cesarz opuścił króla saskiego, ja pobiegłem pożegnać się z Heliodorem Skórzewskim, leżącym w bliskości kwater królewskich; leczył się u bankiera Freyego wraz z kolegą swoim,

szefem szwadronu Szydłowskim, także adjutantem ks. Józefa, i Edwardem Potworowskim (porucznikiem); wszyscy trzej byli ranni dnia poprzedniego. O mało drogo byłbym przypłacił to pożegnanie się z nimi, uścisnąłem im rękę i powróciłem spiesznie, ale już niepodobnem mi było dla nadzwyczajnej ciżby ulicznej w przedmieściu, zwanem Grimma, dostać się do cesarskiego orszaku. Niebezpieczeństwo groziło tem większe, że pułk strzelców wyrtemberskich, oraz gwardya piesza saska, aż dotąd nam wierni, zamknąwszy bramy miasta, obsadzili stare mury naokoło niego i szykowali się najwidoczniej do działania przeciwko nam. Zewsząd rozlegał się okrzyk: «Es leben die Allierten!», a gdy już sprzymierzeni dotarli do pierwszych domów Lipska, poczęli owi Wyrtemberczycy i Sasi istotnie strzelać na cofające się nasze kolumny. Ja znajdowałem się na przedmieściu Grimma, gdy w tym natłoku przyłączył się do mnie sztabowy kapitan Montesquieu, pospieszać nie mogliśmy absolutnie w tej ciżbie szalonej ani myśleć o dotarciu do mostu na Elsterze, jedynego pozostawionego wojsku do przyjścia. «Nous sommes flanqués», mówi do mnie Montesquieu, bo już kule karabinowe do nas dochodziły, a Dąbrowski ustąpił z ogrodu Reichla. W tej ostateczności przychodzi mi do głowy myśl, której zawdzięczamy ocalenie nasze. Zacząłem wołać na całe gardło: «Place à l'empereur!» Montesquieu tak samo, ciżba się rozstępuje, każdy szuka wzrokiem Napoleona, a my puszczamy się pędem naprzód i szczęśliwie most przebywamy. Jakże mi Montesquieu dziękował! W Moguncyi przyjazny spełniliśmy toast na pamiątkę tego mego pomysłu, ks. Neufchâtelu z nami śmiał się z mojej przytomności umysłu.

Odwrót wojska naszego, z razu porządny i groźny, przemienił się w końcu na bezład, trudny do opisania. Niemożliwem było uniknąć zamieszania, przebywając ulice przedmieścia pod ogniem nieprzyjaciół i przeprawiając się przez jeden tylko most. Nie pojmuję, dla czego nie wystawiono jeszcze kilka innych na wąskiej rzece Elsterze, byłaby się nimi mogła przeprawić piechota i konnica, a most główny mógł pozostać dla artyleryi i pociągów; tym sposobem mógłby był cesarz bez znacznej straty ocalić swe wojsko.

Tymczasem stało się inaczej, wszystko i wszystkich prowadzono ku temu jednemu mostowi, a to było przyczyną owej wielki klęski, którą Napoleon poniósł. — Gdy się nieprzyjaciel wdarł do ogrodów i na przedmieście Grimma, powstał tam nieład nie do opisania. Kilka furgonów zawadziło o siebie i zatamowało drogę, wojsko je obaliło. Żołnierze przechodzili po nich, ale zatamowano nimi przeprawę dział, które wszystkie pozostały na przedmieściu razem z długim szeregiem wozów prochowych.

Francuzi bronili wytrwale przystępu do przedmieścia owego, (Grimma), kilkuset Polaków, ukrytych w ogrodzie Reichla, wstrzymywało nacierający korpus Sackena; ks. Tarentu wydobył się z swoim korpusem szczęśliwie z tej toni i przeszedł most.

Ks. Józef pozostał z Polakami w tylnej straży. Lubo dwa razy ranny, nie opuścił dowództwa współbraci; rzucał się kilkakrotnie na czele ułanów swoich na nieprzyjacielskie kolumny, a, gdy zaklinano go, ażeby ustąpił, wyrzekł te wiekopomne słowa. »Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu jednemu go oddam«. Cóż mogła garstka walecznych w obec mas, okrążających nas! Książę z goryczą widział nadaremne poświęcenie się bohaterskiego wojska, uszczuplającego się za każdem nowem natarciem, poznał, że nadeszła chwila całkowitego odwrotu. Dziwnie nieszczęśliwy los chciał, że podoficer od saperów, stojący z lontem zapalonym przy podminowanym moście, ujrzawszy nadciągający pułk Krakusów, wziął ich za Kozaków i wysadził most przed nimi. Wszelka w obec tego komunikacya cofającego się pułku z resztą wojska została przecięta. Wszystko, co było jeszcze na przedmieściu, musiało broń złożyć.

Ks. Józef ruszył do ogrodu Reichla. Nie miał innego wyboru jak oddać pałasz albo przebyć wpław wąskie na kilka sążni koryto rzeki. Obrał ostatnie, lubo osłabiony był utratą krwi, płynącej z dwóch ran. Dzielny jego arabczyk uchwycił przedniemi nogami przeciwny brzeg koryta ocembrowanego, ale ześliznął się zadniemi we wodę głęboką, a jeździec wpadł w nurty Elstery i utonął. Stoi dotąd pomnik w ogrodzie Reichla, wystawiony przez właściciela «Ku wiecznej pamiątce

polskiego bohatera» O biednym naszym wodzu przepełnione są karty dziejopisów, wszakże nie zdarzyło mi się czytać o kapitanie Deschamps, który, ratując ks. Józefa, sam wraz z nim utonął. Młody ten oficer, jedyny z oficerów, będących świadkami nieszczęśliwego zgonu księcia, rzucił się w wodę, widząc, że tonie wielki wódz, podsadził go pod brzeg, ale książę, snać zbyt osłabiony, uchwycił się ramienia Deschampsa zamiast cembrowiny i obydwaj razem utonęli. Reszta adjutantów z sztabu ks. Józefa popadła w niewolę. — I waleczny Umiński podzielił los tych wszystkich, którzy nie zdołali przedostać się za rzekę; on także oddał miecz swój w ręce zwycięscy.

Strata Francuzów dochodziła do 50 000 wojska poległego, rannego i zabranego do niewoli. Utraciliśmy 150 armat i z jakie 500 wozów. Marszałek ks. Józef i trzech generałów dywizyi poległo. Ks. Moskwy i ks. Raguzy (Marmont) byli ranni, jako też i 4 generałów dywizyi; do niewoli dostało się 7 generałów dywizyi i 9 generałów brygady francuskich. Rożniecki, Rautenstrauch i Bronikowski dobrowolnie pozostali w Lipsku; nie chcieli oni nadal podzielać losu wojska polskiego. Sprzymierzeni monarchowie uważali sędziwego króla saskiego jako jeńca; nieszczęśliwy ten monarcha wyszedł na ich spotkanie, wszakże minęli go, nie zatrzymując się wcale, a nazajutrz wywieziono go wraz z całą królewską rodziną do Charlottenburga pod Berlin. Odtąd królestwem saskiem aż do ukończenia kongresu wiedeńskiego rządził ks. Repnin.

Wojsko polskie. Książę Sułkowski. Krukowiecki.

Przebywszy most, jak wyżej opisałem, miałem kłopot o rzeczy i o luźne moje konie, ale, gdy przybyłem do Lindau, zastałem tam już mojego poczciwego Wojtkowiaka. Z nim też przybył masztalerz Skórzewskiego, konnopolec, zabrany do niewoli 1812 r. wraz z końmi pana swego. Miałem zatem 6 koni wierzchowych do mojego użytku. Później ten sam masztalerz, gdym został raniony, skradł mi parę koni i uciekł z nimi do Rosyan.

Wydobywszy się sam z niebezpieczeństwa, chciałem ułatwić pozostającym żołnierzom przeprawę przez Elsterę. W tym celu zebrawszy kilkudziesięciu żołnierzy, kazałem im otworzyć śluzę, tamującą wodę tej rzeki przy młynie w pobliżu Lindau. Rozłoszczony właściciel, wystawiony na stratę z tego powodu, chyżo wziął się sam do wyciągania stawideł i to w sposób tak gwałtowny, że stracił równowagę, wpadł w wirującą tam rzekę i utonął w moich oczach. Ani pomyśleć nie było można o ratunku. Widzę dzisiaj jeszcze tego nieszczęśliwego Niemca, ojca rodziny, jak go woda wyrzuciła. Żal mi go serdecznie, bo byłem poniekąd niewinną przyczyną jego śmierci.

Dnia 19 października udało się wojsko nasze drogą ku Weissenfels, maszerowaliśmy całą noc, a, przebywszy przed tem miastem rzekę Saale, zapalono na niej most. Cesarz zmierzał czemprędzej ku Erfurtowi. Jakaż to różnica dzisiejszego położenia Napoleona z tem, co było przed 5-ciu laty! Natenczas przybywał Aleksander do Erfurtu w odwiedziny do cesarza Francuzów; wszyscy książęta i królowie konfederacyi reńskiej hołdowali mocarzowi Francyi! Car rosyjski ubiegał się o jego przyjaźń, a król pruski wysyłał do niego posłów swoich — dziś — przybywał Napoleon do Erfurtu, uchodząc przed sprzymierzoną na zgubę jego Europą i za wałami tej fortecy szukał bezpiecznego noclegu dla siebie!

Dnia 21 nie miałem służby — był to po pięciodniowem uganianiu z korpusu do korpusu mój dzień wypoczynku. Wojsko nasze zmierzało ku Erfurtowi. Ambroży Skarżyński, o którym wspominałem już, służył natenczas w szwoleżerach Krasińskiego, był szefem szwadronu, a dnia tego właśnie stał z dwoma kompaniami na gościńcu, którym przechodziły furgony. Bronił go przed austryackimi huzarami, którzy się od Nauenburga pojawiali. Przybyłem do niego na gawędkę i razem maszerowaliśmy. Huzary ukazywali się co chwila, ale nie zbliżali się do nas; jeden z nich tylko, snać śmielszy od innych i ufny w konia swego, podjeżdżał ku nam ustawicznie i dawał ognia do Skarżyńskiego i do mnie. Wystrzeliwszy, zwracał konia, nabijał karabinek i znów się wracał, biorąc nas jako cel strzałów swoich. Już kilka kul świsnęło około nas, aż wreszcie zwróciliśmy uwagę na tego napastnika. »Trzeba go wziąć do nie-

woli«, mówi do mnie Skarżyński, i równocześnie zwalnia konia, zbliża się do flankierów, tym rozkazuje zabrać Węgrowi tył, a gdy go okolą natrzeć z krzykiem na niego. My z naszej strony mieliśmy wówczas wprost uderzyć na niego. Szwoleżery wykonali obrót, a my puściliśmy się na niego. Węgier zwrócił zaraz konia wprost na stromą górę i wymknął się z koła. Ja dognałem go i co tylko miałem go ciąć pałaszem, gdym ujrzał, dostawszy się na szczyt góry, cały szwadron huzarów o sto kroków od siebie, który rzuca się na mnie z krzykiem: »Haue zu! haue zu!« Zwracam klacz, wtem czuję, że się siodło podemną przekręca, wypuszczam nogi ze strzemion, chwytam się oburącz grzywy, a klacz biegnie, co wyskoczyć może, ku naszym. Siodło pod jej brzuchem, ja siedzę na oklep. To wszystko mniej czasu trwało aniżeli ten opis, wnet byłem pomiędzy swoimi — huzary nie gnali dalej, a Skarzyński ze śmiechem pyta mnie, czemu tak spieszę się? Co prawda, trochę strachu użyłem — nawet w tym wszystkiem pałasz mi z ręki wypadł, lecz kilku szwoleżerów poskoczyło po niego i jakoś odnaleźli mi go.

Stotysięczne wojsko nasze szybko zmierzało ku Renowi, ażeby uprzedzić wojsko bawarskie, które połączone z austryackiem, już opanowało Hanau i przecinało nam odwrót. Z jakie drugie 100 000 wojska znajdowało się po fortecach. Generał Hauke, który zginął na ulicy w Warszawie 1830 r., bronił Zamościa, gdzie okrył się sławą. Pułkownik Chodkiewicz zamknął się w Modlinie z 8000 wojska. Generał Wojcicki bronił Torunia, Rapp Gdańska; Głogów, Kistrzyn, Szczecin obsadzone były garnizonami francuskimi nad Odrą. Drezno, Torgau, Wittenberg, Magdeburg i Hamburg były w naszem ręku nad Elbą. Erfurt, Wesel i inne fortece bliżej Francyi miały załogi francuskie i były na wszelki wypadek pozostawione w stanie należytej obrony. Wszakże w dzisiejszych okolicznościach raczej fortece te zawadzały i nie mogły już posłużyć do przeprowadzenia dawniejszych planów cesarza, bo dziś musiał prowadzić wojnę odporną. Nieprzyjaciel prowadził milion wojska na Francyą, która, wycieńczona dwuletniemi stratami, nie mogła postawić wyrównającej siły. Fortece zatem, będące daleko poza linią bojową, pozbawiały nas tylko załóg, w nich zamkniętych, a nie-

przyjaciel nie troszczył się o nie, bo blokował je słabemi siłami, które jednak, połączone z całą ludnością kraju, pałającą nienawiścią do nas, uniemożliwiały jakąkolwiek wyprawę. Po przegranej naszej pod Lipskiem wszystkie narody europejskie oprócz Polaków i Duńczyków połączyły się przeciwko Napoleonowi. Nawet Murat, król neapolitański, dziewierz cesarza, odstąpił sprawy jego i połączył swe wojsko z wrogami w nadziei utrzymania się na tronie, pozyskanym od Napoleona. Pułki polskie dochowały wierności aż do ostatniej chwili.

Wielkie zamieszanie zapanowało w polskiem wojsku po śmierci ks. Józefa. Tak jak rój pszczół bez matki osierocone były i nasze hufce. Nieszczęśliwa nasza miłość własna wzięła górę w tych smutnych okolicznościach, każdy pragnął być wodzem naczelnym, a słuchać nie chciał nikt; wojsko zaufania nie miało do żadnego z generałów, każda dywizya chwaliła swego dowódcę, a potępiała resztę.

Nieszczęśliwa animozya Dąbrowskiego dla księcia, datująca od roku 1806, wywarła jak najniekorzystniejsze skutki w tym smutnym stanie rzeczy, ponieważ wszyscy, uwielbiający Poniatowskiego, czuli żal do Dąbrowskiego. Z innej zaś strony każdy w gruncie przyznawać musiał, iż sprawiedliwie należało się naczelne dowództwo wojska polskiego zasłużonemu temu generałowi, który niezachwianie służył sprawie ojczystej od roku 1794. Dąbrowski ze swej strony zupełnie się nie starał o to dostojeństwo, przeciwnie, zdawało się, jakoby go unikał. Wiedząc, jak trudno dowodzić rodakami, ograniczał się na ścisłym dozorze i pieczołowitości około swojej dywizyi, o resztę nie pytał. Inne pułki polskie błąkały się pojedyńczo, a nie było wtedy w pierwszym czasie po bitwie pod Lipskiem odpowiedniego męża, któryby był potrafił je zebrać w jeden korpus. Nieład wszczął się niebywały w całem wojsku naszem i wielu żołnierzy zbiegło z szeregów — tem bardziej, gdy doszła wiadomość, że cesarz Aleksander przyjmuje ich łaskawie i każdego do domu odsyła. Wobec takiego zbiegu okoliczności w pierwszych dniach odwrotu bardzo dużo żołnierzy i nawet oficerów pozostało w tyle i przeszło do nieprzyjaciół.

Cesarz, uwiadomiony o tem położeniu i usposobieniu Polaków, wybrał ks. Sułkowskiego i rozkazem dziennym miano-

wał go naczelnym wodzem wojsk polskich 24 godziny przed przybyciem do Erfurtu. Niewiadomo mi, z czyjego natchnienia i rady nastąpił ten wybór, ze wszech miar nieszczęśliwy. Ks. Sułkowski, dzielny w boju, dał dowody na czele swego pułku niepospolitej waleczności w Hiszpanii. Postąpiwszy na generała brygady, powrócił do kraju, jako taki odbył kampanią 1812 r., a w 1813 r. otrzymał od króla saskiego patent na generała dywizyi wojska polskiego.

Nagłe jego wyniesienie na wodza naczelnego wzbudziło w najwyższym stopniu niechęć starych generałów, a mianowicie generała Sokolnickiego, który niezaprzeczenie miał daleko większe zdolności i zasługi. Stary Dąbrowski milczał i nie zdradził się przed nikim z uczuciami swemi. Wiadomem było, iż nie pragnął objąć dowództwa nad wojskiem polskiem, wszakże odosobnił ile możności dywizyą swoją od polskiego korpusu.

Sułkowski był słabego charakteru, jestto wada narodowa pomiędzy nami, dał się powodować najpierw żonie, a następnie wszystkim zausznikom, których zwykle każdy ma mniej lub więcej przy sobie według stopnia, jaki posiada. Nie dowierzał sobie, czuł, że jego nominacya pokrzywdziła wielu starszych generałów, i dla tego wahał się działać według własnej inicyatywy. Osobiście prawy, waleczny, pełen honoru, wszakże lękliwy w gronie generałów, nie umiał przybrać od razu tonu i sprężystości, potrzebnej naczelnemu wodzowi, i z tego powodu nie wzbudzał zaufania. Zasięgał w każdej rzeczy rady otaczających go generałów, chociaż wiedział, że ci są nieżyczliwie dla niego usposobieni. Nie wiedział jednak, jak dalece sięga ich nieżyczliwość i padł ofiarą ich nikczemnego knowania. Generałowie pomiędzy sobą porozumieli się, ażeby Sułkowskiego zgubić, a nieszczęśliwej pamięci Krukowiecki, w owym czasie generał brygady, był duszą wszystkich tych intryg. On to podał myśl Sokolnickiemu, aby przedłożyć nowemu wodzowi, iż wojsko na duchu zupełnie upadło i że ogólnie żąda powrotu do ojczyzny. Krukowiecki, znany od dawna jako intrygant, zawalidroga, szermierz pojedynkowy, w czasie całego zawodu wojskowego zawsze dołki kopał pod nogami zwierzchników, tak, że każdy obawiał się mieć go pod swymi rozkazami; gdzie mógł, szukał kłótni, strzelał doskonale

z pistoletu, dla niego było to rozkoszą wyzwać kogoś na pojedynek (nie liczyłem wprawdzie ofiar, padłych pod jego strzałami, lecz słyszałem, że było ich podobno 16). Tak długo Sokolnickiego nudził i jątrzył przeciwko nowemu dowódcy, aż go nakłonił do następnego czynu. Zgromadzili się generałowie Sokolnicki, Sierakowski, podobno i Morawski, Krukowiecki i kilku innych i, udawszy się do ks. Sułkowskiego, oświadczyli mu imieniem wojska polskiego, do czego ich nikt nie upoważnił, że, widząc spełzłe nadzieje odzyskania samoistnego bytu ojczyzny, postanowiło wojsko polskie porzucić sprawę Napoleona i poddać się cesarzowi Aleksandrowi.

Sułkowski, zamiast aresztować tych wszystkich, co śmieli tak do niego przemawiać i oddać ich pod sąd wojenny, bojąc się więcej rozdrażnić umysły sprężystem wystąpieniem, nie zbadał ducha żołnierzy, nie przemówił do nich, lecz, pełen obawy o własny i całego wojska polskiego honor, uwierzył słowom generałów. W wyobraźni swej widział już biedny Sułkowski wojsko, jemu oddane, przechodzące z orłami swymi do odwiecznych wrogów naszych, a tym sposobem hańbiące sześcioletnią nabytą w czasie Księstwa Warszawskiego sławę. Krukowiecki, widząc wahanie wodza, nabrał tem więcej bezczelności i zapytał: «Cóż powiedzieć pułkownikom i całemu wojsku? Wszyscy oczekują odpowiedzi księcia, od niej zawisło dalsze ich postępowanie». «Ale, generale», odpowiedział Sułkowski, «przedstaw im, że, opuszczając w nieszczęściu cesarza, splamią na wieczne czasy honor polski». Niespokojny do najwyższego stopnia, zaczął zaklinać otaczających go, ażeby użyli całego wpływu i starali się odwieść wojsko od tych zamiarów, całkiem zmyślonych i zrodzonych w zawistnym i zazdrosnym umyśle Krukowieckiego i wspólników, bo wojsko polskie ani myślało o odstąpieniu Napoleona. Tymczasem generałowie odpowiedzieli, że sami nie myślą nowymi legionami dowodzić i że nikt z Polaków do nich się nie zaciągnie.

Twierdzili, iż wszystkim żywo stoi w pamięci sposób, w jaki były uważane polskie hufce, zanim cesarz wkroczył do Polski; że nie zapomniano, jak rząd francuski pozbywał się ich i frymarczył nimi, gdy tylko do boju ich nie potrzebował, że rzeczpospolita francuska podarowała legią Dąbrowskiego

rzeczypospolitej cysalpińskiej, innych zaś pozbywała się, wysyłając na St. Domingo i do Kalabryi. Nie chcąc się znów na nowo wystawić na takie smutne koleje, nikt z Polaków Renu nie chce przekroczyć. „Idź, generale», rzekł Sułkowski do Sokolnickiego, oświadcz wojsku, że im daję w zastaw słowo moje honoru, że i ja nie przejdę Renu, ale nasza dobra sprawa wymaga, ażebyśmy odprowadzili cesarza aż do granicy państw jego, następnie wolno każdemu działać według własnego sumienia.«

Złapali Sułkowskiego w sidła, a niczego więcej też nie chcieli, wiedzieli albowiem, że bądź co bądź dotrzyma bez jakichkolwiek warunków danego słowa, a tym sposobem pozbędą się go. Powtarzam, wojsko wcale nie myślało odstąpić sprawy Napoleona, owszem każdy był przekonany, że jedną tylko wytrwałością potrafią sobie zjednać szacunek i względy cesarza Aleksandra, a być może nawet doprowadzą go do uczynienia dla Polaków tego, czego oczekiwali ze strony Napoleona. Takie rozumowanie wyższych umysłów trafiło do przekonania ogółu, a ci, którzy przedstawili Sułkowskiemu tak fałszywy obraz usposobienia wojska, sami pierwsi wojsko w tym duchu wierności utrzymywali, a rozsiewali potworną wieść, że Sułkowski myśli sam o opuszczeniu Napoleona, co stało się powodem, że do reszty stracił wszelkie zaufanie ludzi swoich. Jak gdyby zła jaka gwiazda prowadziła go w przepaść, książę nie pokazał się wojsku, z nikim nie rozmawiał, całą energią utracił, martwił się, a poradzić sobie nie umiał. Być może, że tęsknota za ukochaną żoną (Ewą z Kickich) kobietą nadzwyczajnych zdolności umysłowych i powabną jak rzadko, była też powodem tego moralnego rozprzężenia.

W takiem usposobieniu zdał cesarzowi w Erfurcie naczelny wódz wojska polskiego raport, że wojsko polskie wzbrania się przekroczyć Renu. «Sam się odezwę do nich», odpowiedział Napoleon i kazał się zebrać całemu polskiemu wojsku dnia 30 paź. pod wsią Steinfeld, w pobliżu miasta Fuldy. Stanęła więc garstka pozostałych Polaków (około 6000 ludzi), otaczając święcie zachowane orły nasze, które tak w Rosyi, jak w Saksonii ustrzegli, żaden nie brakował. Cesarz przybył przed front, twarz jego była spokojna, głos łagodny, pełen życzliwości,

oko spoglądało bystro na wiarusów. Generał Sokolnicki mowę cesarza, w miarę jak mówił, tłomaczył na polskie. «Polacy» odezwał się Napoleon, «wódz wasz naczelny doniósł mi, że zamierzacie odstąpić mnie i przejść do nieprzyjaciela. Kilka tysięcy żołnierzy więcej lub mniej nie zdoła zmienić kolei losów w obecnej wojnie. Zwracam wszakże uwagę waszą na własny honor wasz. Zachowajcie go w równym stopniu nieskazitelnym, jak go dotąd dotrzymaliście. Pomyślcie też o prawdopodobnym losie waszym, gdy jako zbiegi przyjdziecie do nieprzyjaciela. Jakże przyjmie was cesarz Aleksander, jakimże wzrokiem będzie na was patrzał, gdy przybędziecie żebrać o łaskę jego? A któż się wstawi za wami u monarchów sprzymierzonych? Wszakże, uciekając odemnie, pozbawiacie się prawa do jakichkolwiek względów, a oddajecie się na łaskę i niełaskę całkowicie bezbronni. Przeciwnie zaś, jeżeli nie odstąpicie orłów moich i wiernymi pozostaniecie gwiaździe mojej, w takim razie, przyrzekam wam zająć się waszym losem i nie podpisać pokoju zanim ten traktatem zapewniony nie będzie.»

Twarze starych wiarusów, w miarę jak przemawiał do nich wódz ubóstwiany, do którego wszystkie serca lgnęły, co raz więcej się rozjaśniały, a, gdy skończył, jeden głośny okrzyk «Vive l'empereur!» rozległ się we wszystkich szeregach. Potem generał Sokolnicki w imieniu hufców odpowiedział cesarzowi, oświadczając, że «wojsko polskie nigdy nie myślało o odstępieniu jego sprawy.»

«Oceniłem was sprawiedliwie», odpowiedział cesarz, «nie dając wiary słowom, czerniającym was», a, obróciwszy się do generała Dąbrowskiego, który, obcy jakiejkolwiek intrydze, stał na czele dywizyi swej, rzekł do niego. «Odbierz dowództwo ziomków twoich, zawsześ ich prowadził drogą chwały i honoru, a wybacz mi, stary generale, że ominąłem cię «et d'avoir préféré à vous ce polisson» i wskazał na bladego ks. Sułkowskiego, który zupełnie od zmysłów odchodził i dopiero po niewczasie poznał, jak dalece dał się otumanić.

«Najjaśniejszy Panie», odezwał się Dąbrowski, «jakie będzie nasze stanowisko w wojsku Waszej Cesarskiej Mości?» «Będziecie zawsze wojskiem polskiem, uważać was będę jako przedstawicieli narodu waszego, mój minister spraw zagranicznych

będzie z wami korespondował.» Powtórny okrzyk «Vive l'empereur!» rozległ się po szeregach, wszyscy z największym zapałem pałaszami wywijali, piechota szaka swe na bagnetach podniosła, a muzyka zagrała: «Jeszcze Polska nie zginęła.»

Sułkowski zawrócił konia i w towarzystwie hr. Zabiełły, adjutanta swego, inni go bowiem odstąpili, udał się do Gotha, gdzie się w kilka dni później przedstawił cesarzowi Aleksandrowi.

W nowej organizacyi został generałem dywizyi i przybocznym adjutantem cesarza Aleksandra, wkrótce jednak wziął dymisyą i przeniósł się do zamku swego rydzyńskiego, a w Warszawie już więcej wcale się nie pokazał. Miał w ordynacyi swojej dużo zajęcia, to też zajął się odtąd wyłącznie porządkowaniem, majątkowych interesów, pozostałych w największym nieładzie po ojcu, oczyścił Rydzynę i Leszno z ciążących na nich długów i pozostawił synowi swemu majątek znaczny. W roku 1830 nie brał ks. Sułkowski udziału w powstaniu narodowem. Wkrótce po ukończeniu wojny o naszą niepodległość umarł w zamku rydzyńskim.

Pod Kwerfurtem. Wojtkowiak. Bitwa pod Hanau.

Wybiła i dla mnie zła godzina. Mieliśmy pod miastem Kwerfurtem dn. 27 paźd. krwawe spotkanie. Granat pękł nieomal pod koniem cesarza, odłamy jego zabiły dwóch szaserów, a mnie jeden taki kawał ciężko w udo zranił. Miałem udo rozprute, dzięki Bogu, że kość nie była nadwyrężoną. Rana zawsze dolega, ale jest nieszczęściem w czasie odwrotu wojska, gdy się ma silne postanowienie nie dostać się do niewoli. W takim razie potrzebna jest niepospolita energia i zahartowanie. Zdrowy i młody, pokonałem trudy wszystkie i dostałem się do Moguncyi. Febra trawiła mnie, ból głowy nieznośny dolegał, w gorączce wisiałem na koniu, a tak dalece byłem osłabiony, iż sam o własnych siłach na niego wsiąść nie mogłem. Mój wierny Wojtkowiak nie odstępował mnie, dostarczał mi wszystkiego, opatrywał ranę, pilnował, gdym zasnął, i strzegł, ażebym nie pozostał w tyle daleko od wojska. Inaczej postąpił sobie ów masztalerz Skórzewskiego. Łotr ten ukradł mi dwa konie

i uciekł z nimi do nieprzyjaciela. Wojtkowiak wówczas dostał do pomocy polskiego ułana, który, utraciwszy konia, pieszo zmierzał ku Moguncyi.

Obydwom zawdzięczam życie, a przedewszystkiem ujście przed ścigającym nas nieprzyjacielem. Mianowicie podczas potrzeby pod Hanau stali się oni prawdziwymi moimi opiekunami, strzegli mnie, gdym leżał bezprzytomny w malignie na łosiej skórze mojej pod gołem niebem, prowadzili mnie z miejsca na miejsce, zsadzali i wsadzali na konia, wybierając bezpieczne schronienie w lasku przy szosie. Wojtkowiak rozniecał ogień, gotował mi kaszę, a ułan opiekował się końmi. Bitwa wrzała w pobliżu, huk dział i ogień ręcznej broni, krzyki walczących dochodziły mnie, wszystko było mi obojętnem; wycieńczony, pragnąłem odpoczynku. Byłem sam jeden, żaden kolega mnie nie odwiedził, każdy, sobą zajęty, zapomniał o złym losie kolegi. Po pułkach więcej koleżeństwa aniżeli w sztabach, tam oficerowie tworzą poniekąd jednę rodzinę, dzielą dobre i złe chwile, potrafią wypróbować charakter kolegi, a w wielu wypadkach dzielą się ostatnim kęsem chleba; w sztabie tego niema, każdy mniejwięcej sobie samem zostawiony. Przyznaję, że tu większa bystrość umysłu, ogłada obyczai, więcej wiadomości wojskowych, ale nie ma serdeczności ani tego żołnierza, przywiązanego do swego oficera, poświęcającego się chętnie dla niego. Kto w pułku w czasie wojny nie służył, ten nawet wyobrażenia nie ma o wzniosłości prostego wiarusa.

Bawarczycy wystąpili przeciwko Napoleonowi, wojsko ich połączyło się z Austryakami. Feldmarszałek Wrede, w służbie króla bawarskiego, objął dowództwo nad korpusem austryacko-bawarskim i zajął miasto Hanau, a tem samem przeciął wojsku francuskiemu odwrót do Moguncyi; trzeba było koniecznie wyparować go z Hanau, aby przeprowadzić artyleryą i pociągi. Bawarczycy byli od 1796 sprzymierzeni Francyi, od tego czasu wojska francuskie i bawarskie walczyły wspólnie, dziś połączyły się z nieprzyjaciółmi Napoleona. Bitwa pod Hanau trwała dwa dni, 29 i 30 października. Stara gwardya wygnała bawarskie i austryackie wojska z miasta. Wojsko pod miastem walczyło na polu otwartem. Ks. Dominik Radziwiłł został ciężko kontuzyonowany w tej bitwie od kuli armatniej i dwa tygodnie później

umarł. Z nim wygasła linia ks. Radziwiłłów z Nieświeża, najbogatsza z pomiędzy wszystkich, sławna księciem wojewodą wileńskim «Panie Kochanku».

Wypoczynek 36 godzinny w owym lasku w czasie bitwy pod Hanau, wraz z cytrynami, któremi mnie leczył Wojtkowiak, (skąd je brał, nie wiem, ale z pewnością z kopę ich spożyłem) zbawiennie oddziałał na zdrowie moje. Febra mnie opuściła i, lubo bardzo osłabiony, wszakże już powracający do zdrowia, przybyłem do Frankfurtu nad Menem 31 paź., a w dwa dni później przebyłem Ren pod Monguncyą na długim moście łyżwowym, łączącym szaniec przedmostowy i miasteczko Kastel z Moguncyą. Tu byliśmy już bezpieczni, każdy mógł odpocząć pod zasłoną potężnych wałów, otaczających to miasto.

Położenie Francyi 1813 i 1814 r.

Ukończona zatem była druga kampania. W pierwszej walczyła Rosya sama jedna przeciwko Europie, w drugiej zagrażały Francyi połączone siły Europy — gotowe wtargnąć do kraju, będącego postrachem wszystkich rządów stałego lądu 1792. Już nie dostawało Napoleonowi owych starych żołnierzy, przed którymi składały broń wszystkie wojska europejskie, a młodzież, ściągnięta do zastąpienia ich, nie była zdolną do zniesienia trudów wojennych. Były to dzieci prawie owi nowo zaciężni, dochodzący zaledwo ośmnastu lat, konie, przeznaczone pod jazdę, były co dopiero wyprzężone od pługa. Czyż można było rokować zwycięstwo z takiemi siłami? Śniegi i lody Moskwy, nurty Berezyny, noże żydowskie w Wilnie, mordercze walki pod Lützen, Budziszynem, Dreznem, Katzbach, Kulm, Jüterbogk, Lipskiem, Hanau i wiele innych pochłonęły wielką armią. Głośno wołano po całej Francyi o pokój, każdy był zniechęcony. W takiem usposobieniu narodu powrócił Napoleon do Paryża dla pozyskania nowych wysileń i stawienia czoła nieprzyjacielowi, zagrażającemu wtargnięciem do Francyi. Senat i ciało prawodawcze, aż dotąd ślepo wykonywające wolę cesarską, wybrały złą chwilę dla przedłożenia monarsze niezbędnej potrzeby pokoju. Dobrze o niej wiedział Napoleon, wszakże

niepodobieństwem było zdać się na łaskę i niełaskę sprzymierzonych, a, jeżeli ktokolwiek innego był zdania, musiał to być człowiek zaprzedany nieprzyjaciołom Francyi. Nie uniewinniam ja wcale Napoleona, przyznaję owszem, że, zaślepiony powodzeniem i chwałą, której dostąpił, zapomniał o Francyi w ostatnich latach, a skierował całą politykę na korzyść dynastyi swojej, lecz każdy przyznać musi, iż nie był to czas wytykać błędy monarsze, gdy milionowe wojsko nieprzyjacielskie stanęło nad granicami cesarstwa. Któż albowiem na owem posiedzeniu senatu, zwołanem w Paryżu przez Napoleona w końcu roku 1813, odezwał się z niewczesnemi skargami? Oto właśnie ci, którzy ślepo go słuchali, gdy był w szczęściu, ci, którzy pomimo obowiązków swoich nie dopilnowali dobra kraju, nie korzystali z prerogatywy, dozwalającej im objawić zdanie, chociaż sprzeciwiało się widokom cesarza? Wszyscy ci dygnitarze wykonywali w milczeniu wolę pana tak długo, jak mu szczęście sprzyjało, dzisiaj, gdy mu potrzebne było współczucie, by wydobyć Francyą z niebezpieczeństwa, paraliżowali energiczne powstanie wszystkich synów ojczyzny, wytykając cesarzowi błędy jego i wskutek nich ściągnięte na kraj nieszczęścia. Niewczesne takie głosy rozdwajały tylko umysły i wzbudzały nieufność ku wodzowi, który sam jeden tylko mógł wyprowadzić Francyą geniuszem swoim z rozpaczliwego położenia.

Zgraja emigrantów, powróciwszy do kraju skutkiem amnestyi Napoleona w czasie, gdy jeszcze był konsulem, a których niechęć do nowego rządu ukryta była dotąd tylko z obawy surowej kary, teraz korzystała skwapliwie z rozstroju, poczynającego się objawiać w senacie i w wyższych sferach rządu, dla knowania jawnie intryg, prowadzących dotąd w największej tajemnicy. Starali się działać wszelkimi sposobami na umysł ludu francuskiego, podburzali opinią na cesarza, a kierowali ją ku Burbonom. Wszakże zdrowa część narodu trzymała się Napoleona jako przedstawiciela wyobrażeń nowoczesnych i zasad, przyjętych 1789 roku. Jakoż wszyscy nieomal chłopi, posiedziciele dóbr narodowych, skonfiskowanych szlachcie, a przedawanych następnie w czasie rewolucyi, wszyscy dawni wojskowi, wszyscy Francuci, którym honor ojczyzny obojętnym nie był, nie dali się uwieść, owszem, wszyscy stanęli w obronie kraju.

Dawni republikanie, przygnębieni silną dłonią Napoleona, a znienawidzeni przez niego, poczęli także wychodzić z swych kryjówek. Ci mieli za sobą przychylność motłochu wielkich miast Francyi; ludność przedmieści Paryża, Lugdunu i wielu innych, zasilała owy odcień polityczny rekrutami swymi, pragnęła powrotu republiki i federalizmu.

Nie wszyscy jednak upadli na duchu lub knuli spiski przeciwko cesarzowi, znaleźli się i ludzie honoru, którzy wobec grożącego niebezpieczeństwa ojczyzny poświęcili niechęć osobistą, a spieszyli na obronę Francyi. Generał Carnot, były minister wojny za czasów Dyrektoryatu, republikanin nieugięty, wraz z kilku innymi wojskowymi ofiarował usługi swe cesarzowi, który mu powierzył obronę Antwerpii.

Ks. Benewentu Talleyrand de Périgord z ks. Otrantu Fouchetem byli w owym czasie duszą wszelkich knowań na zgubę Napoleona. Talleyrand, któż nie słyszał o nim! Exksiądz, exbiskup, exrojalista, exrepublikanin, człowiek, obdarzony nadzwyczajną przebiegłością i dowcipem, bez czci ni wiary, pałał zemstą ku cesarzowi od czasu, gdy nie pozyskał godności wielkiego kanclerza państwa i miał odebrany sobie kierunek ministerstwa spraw zagranicznych dla tego, że wplątał radami swemi kraj w wojnę hiszpańską. Fouchet był Reformatem, gdy wybuchła rewolucya francuska, zrzucił habit i stał się groźnym terorystą. On pierwszy głosował za skazaniem na śmierć nieszczęśliwego Ludwika XVI. Po wstąpieniu Napoleona na tron zapomniał o dawniejszych zasadach, potrafił pozyskać zaufanie nowego władcy, został ministrem policyi, a w późniejszym czasie księciem Otrantu, cesarz jednak przekonał się, że nadużywa władzy w osobistych widokach i mianował na jego miejsce ks. Rovigo, a Fouchet żył odtąd prywatnie. Teraz obydwaj połączyli się ze sobą mimo, że nienawidzili się wzajemnie. Chodziło im przedewszystkiem o zgubę Napoleona. Oni kierowali krokami zwolenników Burbonów, podobno nawet zawiązali korespondencyą z monarchami sprzymierzonymi, gdy wojska tychże zbliżały się pod Paryż, a po zajęciu stolicy Francyi przez nieprzyjaciół Talleyrand pierwszy w senacie, zgromadzonym na rozkaz cesarza Aleksandra, podał projekt pozbawienia Napoleona i dynastyi jego tronu.

Rozpaczliwem było położenie Francyi przy końcu r. 1813 i początku 1814 r. Cała Europa nieomal stanęła zbrojnie przeciwko niej, a nawet jeden z rodziny cesarskiej, ów sławny Murat, król neapolitański, po przegranej pod Lipskiem odstąpił sprawy Napoleona. Z innej strony nie było już energii w narodzie francuskim, znękanym ustawicznemi wojnami. Narody podbite i wcielone do Francyi buntowały się za przybyciem wojsk nieprzyjacielskich — i tak Holendrzy otworzyli porty swoje Anglikom, Włochy powstały, departamenty nadreńskie przyjmowały Niemców jako wybawicieli, a emigranci wychodzili ze swoich nor i burzyli pospólstwo. Włochy, puściwszy w niepamięć z jednej strony wieczyste Austryi dokuczania, z drugiej starania Napoleona o rozwinięcie ich bytu, wygonili z Medyolanu bohaterskiego ks. Eugeniusza Beauharnais, wicekróla włoskiego, o którym można to samo powiedzieć, co o Poniatowskim, że był «un chevalier sans peur et sans reproche».

Minister Łubieński. Referendarz Morawski. Tyfus. Napad Kozaków pod Valenciennes. Chłop i cesarz. Pojmanie rosyjskiego pułkownika. Uratowanie dwóch pruskich oficerów. Niewdzięczność.

W Moguncyi powróciłem do zdrowia, wypoczynek i większa wygoda przyczyniły się do tego. Rana moja nie przeszkadzała mi już w konnej jeździe, pociągnąłem zatem za główną kwaterą do Metzu, maszerując etapami przez Kaiserslautern, Saarbrück itd. Wojsko polskie wysłane zostało do Wersalu po wkroczeniu do Francyi dla reorganizacyi swojej. Zakłady polskie, znajdujące się aż dotąd w Sedanie, pociągnęły za wojskiem. Ja postąpiłem na rotmistrza wojska francuskiego i już nie miałem odtąd styczności z wojskiem polskiem W Metzu zastałem ministra sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, hr. Łubieńskiego, który osiadł w tej fortecy wraz z córką swą i zięciem, referendarzem Morawskim. Przyjemne bywa przywitanie Polaka za granicą, wszakże nieocenionem jest, gdy się nieomal całkiem straciło nadzieję powrotu do ojczyzny, a napotyka na towarzysza przymusowego wygnania.

Dom pana ministra stał się moim domem przez cały czas mego pobytu w Metzu. Kolega mój, Ludwik Jelski, i ja przepędzaliśmy tam wszystkie wolne chwile. Jakaż to rozkosz rozmawiać w ojczystym języku na obczyźnie i wspominać «swoich» przed osobami, którym stosunki familijne są znane! Chwile, przepędzone w towarzystwie zacnych pp. Morawskich i pana Łubieńskiego, nie wyjdą mi z pamięci; niestety nie widziałem ich więcej od czasu, gdy opuścili Metz, i, lubo mieszkali po skończonej wojnie w dobrach swych o 7 mil tylko od Wolsztyna, okoliczności tak zrządziły, żem nigdy nie był w Oporowie. Wkrótce wyjechali za urlopem do Paryża koledzy moi i przyjaciele, Józef Grabowski, Jelski i Suchorzewski. Pozostałem dla braku pieniędzy sam jeden w Metzu, gdzie powtórnie zapadłem na zdrowiu; dostałem tyfusu, leżałem jak Łazarz, opuszczony od kolegów, którzy bądź bujali po Paryżu, bądź to obawiali się zarazy. Jedynie pp. Morawscy, dowiedziawszy się o mojej niemocy, przysłali mi swego lekarza i dowiadywali się codziennie o stanie zdrowia mojego. Znowu dzięki pieczy poczciwego mego Wojtkowiaka powróciłem do zdrowia, mogłem zatem, odebrawszy z domu zasiłek pieniężny, połączyć się ze sztabem głównym przy rozpoczęciu kampanii 1814 r. Minął czas, w którym Francya postawiła jedenaście armii na obronę granic swoich i jednocześnie gromiła nieprzyjaciela, oraz groźne powstanie Wandei. Już znikło wielkie wojsko francuskie, postrach Europy, a dzieci, zastępujące starych grenadyerów, wyrwane przymusem z łona rodziny, nie miały ni siły dostatecznej ni doświadczenia potrzebnego.

Nieprzyjaciel rozlał swe hufce po wszystkich granicach. Począwszy od Hüningen aż do morza Północnego, zajął wszystkie departamenty pograniczne, a Wellington na czele Anglików, Hiszpanów i Portugalczyków opanował prowincye południowe cesarstwa. Przeszło milion wojska nieprzyjacielskiego posuwało się ku Paryżowi, a z naszej strony zaledwo można było stawić 200 000 ludzi do odporu. Stara gwardya była jeszcze postrachem wrogów, jeszcze się trzymała, reszta wojska naszego topniała jak śnieg w marcu, wszakże stare wiarusy nie byli w stanie podołać przeciw skojarzonej całej Europie. Ten hufiec wyborowy wytrwał święcie, zachował zawsze sławę

swoją, a, gdy wybiła ostatnia jego godzina pod Waterloo, gdy, otoczony zewsząd, wezwany został do poddania się, wyrzekł dowódca jego generał Cambronne, owe wiekopomne słowa: «La garde meurt, mais ne se rend pas». I legli starzy weterani w tym samym szyku, jak stali.

Jakże gorżko musiał wyrzucać sobie Napoleon nieszczęsny ruch wielkiego wojska do Moskwy po zdobyciu Smoleńska. Całe jego nieszczęście poczyna się od tej epoki. Ślepy, kto nie dostrzega wyraźnego działania ręki Boskiej w tym niesłychanym zwrocie kolei szczęścia. Nie działał tu fatalizm czy przeznaczenie, Bóg dał ludziom poznać na nowo, że On tak samo podnosi, jak gruchoce trony. Porównajmy Napoleona, biesiadującego w Dreźnie na zamku królewskim 1812 r., otoczonego ubiegającymi się o łaskawe spojrzenie królami Europy, do więźnia na wyspie św. Heleny, umierającego pod wpływem zabójczego klimatu, gdzie go wygnała bezecna polityka angielskiego gabinetu, a powtórzymy w głębokiej pokorze wraz z królem psalmistą: «Widziałem pysznego w całej świetności blasku, Pan skinął i zniknął jak mara.»

Nowa kampania poczynała się pod smutną wróżbą. Zbogaceni, w bojach osiwiali wodzowie pragnęli wypoczynku i swobodnej pory do używania owych milionów, łaską cesarską nabytych. Dowódcy pułków żadnego nie mieli zaufania w owych dzieciach, oddanych im pod komendę, a ta młodzież ze swej strony złorzeczyła swemu srogiemu losowi. Cały naród wyglądał z niecierpliwością pod jakimibądź warunkami końca wojny. Mała tylko garstka szczerze służyła Napoleonowi, wcielając losy swoje do losów bohatera. Do tej małej garstki i ja naturalnie należałem.

Zanim się cesarz udał na linią bojową, ustanowił w Paryżu regencyą państwa: Maryi Ludwice, żonie swej, powierzył rządy kraju, dodał jej jako doradcę brata swego Józefa, króla hiszpańskiego, i radę, złożoną z kilkunastu senatorów. Przed samym wyjazdem swoim powołał do Tuileryów cały korpus oficerów gwardyi narodowej paryskiej i powierzył im w mowie, pełnej szlachetnego uczucia i godności, bezpieczeństwo syna swego, króla rzymskiego, i spokój stolicy. Wszyscy poprzysięgli mu wywiązać się z zaszczytnego zadania, położyć życie

i poświęcić majątek. Zobaczymy, jak się wywiązali z przysięgi, dobrowolnie wykonanej.

Napoleonowi zależało pokonać pojedyńcze korpusy nieprzyjacielskie, każdy z osobna. Chciał pierwszy cios wymierzyć na wojska Schwarzenberga. W tym celu skoncentrował siły swoje we Vitry-le-François, miasteczku w Szampanii, a stąd udaliśmy się ku Langres. Napoleon opuścił Paryż dnia 25-go stycznia. Już go więcej w tym roku nie oglądał, a dopiero po powrocie z wyspy Elby przepędził tam kilka chwil, zanim się udał na walkę ostateczną. Powietrze było szkaradne, śnieg i deszcz padał na przemian, błoto nadzwyczajne po wszystkich drogach, a roztopy były po polach tak wielkie, że żołnierze nie tylko obuwia swe w niem potracili, ale nawet wielu postradało w niem życie, ugrzęznąwszy w topieli, z której nie mogli się wydostać.

Dn. 17 stycznia uderzyła dywizya generała Milhaud na kawaleryą rosyjską generała Łanskoj. Generał Duhesme rozbił dnia tego kilka pułków pruskich i zabrał parę set ludzi do niewoli. Mieliśmy zatem przed sobą — nie Austryaków, jak myślano, lecz Prusaków i Rosyan. Dnia 29 napadł cesarz znienacka na korpus Blüchera pod Brienne. O mało co, że się wódz pruski wówczas nie dostał do niewoli, sądząc się albowiem zupełnie bezpiecznym, roztasował się w pysznym zamku ks. de la Rochefoucauld, a wymknął się oknem z niego przed wpadającymi Francuzami.

W Brienne istniała szkoła artyleryi jeszcze przed rewolucyą 1789. Napoleon pobierał tam pierwsze swe nauki. Tuż przed miastem stoi ów zamek ks. de la Rochefoucauld, był on umeblowany z całą wytwornością, odpowiednią wysokiemu rodowi właściciela. Była tam galerya obrazów i bogaty gabinet historyi naturalnej. Otóż wojsko sprzymierzonych zrabowało doszczętnie ten zamek; co nie mogli zabrać, zniszczyli. W gabinecie historyi naturalnej był jeden pokój osobny, całkiem zastawiony rzadkimi i osobliwymi dziwolągami; zachowane były w spirytusie. Żołnierze alkohol wypili, a ciała, w nim zachowywane, leżały porozrzucane. Widziałem to na własne oczy.

Waleczny generał Pirée, przypominający śmiałością swoją sławnego Lassalla, który poległ pod Wagram, spotkał się d. 27

stycznia z nieprzyjacielem pomiędzy Mézières i Brienne i chociaż daleko słabszym był pod względem liczby wojska, zmusił nieprzyjaciela do odwrotu. Wskutek nadzwyczajnego błota nie mógł dalej go ścigać.

Dnia następnego Napoleon o mało co nie dostał się do niewoli; Kozaki napadli albowiem niespodzianie na niego w chwili, gdy wyjeżdżał z lasku pod Valenciennes. Nie było nas więcej jak jakich 30-tu oficerów i jeden szwadron służbowy gwardyi szwoleżerów. Wszyscy rzuciliśmy się śmiało na nich, lecz Kozacy, ufni w znacznie większą przewagę swą, dotrzymywali placu. Trudne było nasze położenie, oficerowie otaczali cesarza, każdy z nas zrzucił kilku Dońców z koni, nie było tego, któryby nie miał pałasza zakrwawionego. Szef szwadronu Gourgaud, oficer ordynansowy, a następnie towarzysz cesarza na wyspie św. Heleny, utopił pałasz swój w piersiach Kozaka o jakie dwa kroki od cesarza. Szczęście, że przybyła nam odsiecz w najgwałtowniejszej potrzebie, inaczej byłby ten niespodziewany napad zakończył całą wojnę, bo widoczną było rzeczą, iż musielibyśmy uledz.

Napoleon nawet szpady nie wydobył w czasie całej tej utarczki, patrzał na wszystko z najzimniejszą krwią. »Merci, Gourgaud«, powiedział swemu oficerowi ordynansowemu, gdy Kozak, przebity, zwalił się z konia tuż przy cesarzu, a dopiero za nadejściem generała Lefebvre Desnouettes i cofnięciem się nieprzyjaciela, uśmiechając się, rzekł: »Il était temps que Desnouettes arrivât«.

Szkaradne powietrze, roztopy niebywałe nie dozwoliły dokonać celu zamierzonego; cesarz musiał się zatrzymać w miejscu. Dnia 19 lutego uderzyły na nas połączone siły Blüchera, Sackena i Wittgensteina pod wsią La Rothière, o kilka mil od Brienne. W tej bitwie dostała się do niewoli cała dywizya piechoty francuskiej; szef szwadronu szwoleżerów dostał się także w dniu tym do niewoli z kilkudziesięciu żołnierzami. Takie były albowiem roztopy, że szwoleżerzy musieli pozsiadywać z koni i wyprowadzać je z błota, przyczem zostali wzięci do niewoli przez ścigających nas sprzymierzonych.

Wieśniacy w Szampanii, zniecierpliwieni rabunkiem, połączyli się w oddziały partyzanckie, które niszczyły ekwi-

BIBLJ... SZKOŁY PODCHORĄŻYCH ARTYL... Poznań

paże sprzymierzonych i zabijały wszystkich żołnierzy pojedyńczych. Sprzymierzeni zaś palili wsie i rozstrzeliwali kogokolwiek z bronią w ręku schwytali. Wszakże przeszkadzało im owe coraz więcej szerzące się powstanie, utrudniało ruchy wojska i zmuszało do wielkiej ostróżności. Z innej zaś strony przyłączyli się dawni emigranci do ks. Angoulême, przybyłego w tym czasie do Francyi, i przypięli kokardę białą. Owe rozdwojenie umysłów zapowiadało wojnę domową we Francyi. Manifestacya wprawdzie emigrantów nie była groźną, bo znaczna część ludności sprzyjała Napoleonowi jako monarsze, odpowiadającemu wyobrażeniu swobód rewolucyi 1789 r., ale podawała niechętnym punkt oparcia. Gdyby cesarz był chciał korzystać z usposobienia ludności wiejskiej, gdyby był jej dodostarczył doświadczonych oficerów, niezawodnie byłoby się powstanie narodu wkrótce rozszerzyło i mogło się stać groźnem dla nieprzyjaciela, lecz Napoleon zanadto był przeciwny jakiemukolwiek ruchowi, nie biorącemu początku od niego, ażeby miał go zasilać; znosił walkę chłopów z nieprzyjacielem, bo mu ona była na rękę, ale nie legalizował jej — nie wspierał partyzantów, pozostawił im wolność prowadzenia wojny na własny rachunek. Chłopi donosili nam o każdym ruchu nieprzyjaciela; dokładnie podawali siłę jego, rodzaj broni, byli wybornymi posłańcami, a za ich pośrednictwem korespondował nasz główny sztab z wszystkimi korpusami armii. Muszę tu przytoczyć rozmowę cesarza z chłopem, przybyłym do niego z doniesieniem. Chłop, przyodziany jak zwykle we Francyi w modrą płócienną koszulę, (blouse), mający na głowie okrągły kapelusz lakierowany, a saboty na nogach, zbliża się śmiało do cesarza, który w tej chwili zsiadał z konia, rozmawiając z generałem Sébastianim.

»Bonjour, monsieur l'empereur« i uchyla nieco kapelusza, ale pozostawia go na głowie. »Ah ça c'est que voilà, le maire de notre commune qui vous envoie ce paquet de lettres, qui ont été trouvées sur un cadet, auquel les jeunes gens de Chènesais ont fait passer l'envie de manger.« I podał rozmaite ekspedycye niemieckie i rosyjskie cesarzowi.

Napoleon: »Comment avez-vous fait pour vous emparer du courrier?«

Chłop: »Dame, ne faut pas être bien malin pour cela — il y a eu bien d'autres qui y ont passé.«

Napoleon: »Votre commune est donc en armes contre l'ennemi?«

Chłop: »Ce n'est pas la seule, tout le pays est levé. Voyez-vous, monsieur l'empereur, c'est qu'ils n'y vont pas de main-morte, les Cosaques, ça pille, viole et ne nous laisse que les deux yeux pour pleurer, aussi leur rend-on comme on peut; tel que vous me voyez, j'en ai tué deux avant-hier, c'étaient des Prussiens. Je rentre chez nous et les trouve brisant le bahut, ma femme tout en pleurs, ça n'a pas duré le temps que je vous le conte, leur affaire était faite. Chacun avait un coup de coutel dans le ventre. Il n'y avait plus qu'à déguerpir; je dis à ma femme d'emporter ce qu'elle peut, je jette mes Prussiens dans le puit, et nous gagnons Chènesais où nous voilà établis jusqu'à nouvel ordre.«

Chłop ten doniósł, że powstanie chłopów rozszerza się codziennie, że zabijają mnóstwo pojedyńczych żołnierzy — że chłopy napadają na patrole i mniejsze oddziały, a, znając dokładnie miejscowość, każdocześnie potrafią się ochronić przed większymi oddziałami, wysyłanymi na ich poskromienie. Powiadał także, że nieprzyjaciel spalił już kilkanaście wsi, mszcząc się w ten sposób za zabicie żołnierzy swoich. »Mais cela augmente notre nombre«, dodał, »car tous ceux qui sont ruinés, courent dessus comme sur des loups«.

Z opowiadania tego przekonaliśmy się, że wnet rozpocznie się wojna narodowa. Czemuż cesarz nie wywołał jej! Nieprzyjaciel nigdy nie byłby się posunął pod Paryż, mając w tyle naród cały pod bronią, ale Napoleon czuł wstręt nieprzezwyciężony do każdej manifestacyi tchnącej rewolucyą; a właśnie mogła taka manifestacya wielce mu dopomódz. W końcu dopiero, gdy było po niewczasie, uznał potrzebę odwołania się do ludu, jak opowiem później.

Wojsko nasze przybyło do Troyes dnia 3 lutego. Miasto, stolica dawnej Szampanii, odznacza się cechą starożytności, mianowicie uderzył mnie widok wspaniałego kościoła katedralnego, w najpyszniejszym stylu gotyckim zbudowanego. Już od Moguncyi, a nawet od poczynających się krajów katolickich

w Niemczech, odznaczają się świątynie Pańskie wielkiem bogactwem, o którem nie ma się wyobrażenia w Polsce. O ile oprócz tego przewyższa przepych owych budowli skromne nasze kościółki drewniane, o tyle przewyższa wykształcenie księży katolickich we Francyi wykształcenie duchownych polskich. Księża francuscy służyć mogą jako wzór duchowieństwu wszystkich narodów katolickich.

Usposobienie mieszkańców Troyes nie było nam przyjazne. Miasto było gniazdem partyzantów Burbonów, a przyznać trzeba, że duchowieństwo, lubo bardzo ostrożnie, sprzyjało Burbonom, a miało wielki wpływ na ludność tamtejszą. Wielu emigrantów wymknęło się już z Troyes i pospieszyli połączyć się z ks. Angoulême. Cesarzowi nie był tajny duch, panujący w tem mieście, surowo też polecił władzom tamtejszym pilnować emigrantów. Powieszono tu szpiega, Francuza, schwytanego z listami do rozmaitych osób, pisanych z polecenia ks. Angoulême. Przypięto mu na odzieży napis: «Traître à son pays, espion et colporteur de fausses nouvelles». Przy powtórnem wkroczeniu naszem do Troyes po wygranych pod Montmirail itd. rozstrzelano jakiegoś margrabiego, kawalera orderu św. Ludwika, za jawne sprzymierzenie się z Burbonami i działanie w tym duchu. Jednem słowem, Troyes najbardziej było nieprzyjazne sprawie Napoleona z pomiędzy wszystkich miast Francyi. Wogóle zaś sprzyjała szlachta i dawni dygnitarze Burbonom, naród zaś był za Bonapartem.

Dnia 5 lutegu opuścił cesarz Troyes, a wojsko udało się do Nogent-sur-Seine. Deszcz z śniegiem tak padał, że trudno opisać błoto, które powstało, złe drogi utrudniały bardzo ruchy nasze. Troyes przyjęło solennie cesarza Aleksandra, deputacya, złożona z 12 obywateli, podała mu prośbę o przywrócenie Burbonów na tron. Była to pierwsza manifestacya tego rodzaju w Francyi. Aleksander odpowiedział, że się nie mięsza we wewnętrzne interesa kraju, że od Francuzów samych zależy stanowić w tym względzie. Emigranci i część mieszkańców przyjęli białą kokardę.

Wojsko nasze stanęło 10 pod Sézanne, miasteczkiem małem w Szampanii. Było nas wszystkiego 3 kopusy piechoty, stara gwardya i 8 pułków konnicy. Pomiędzy Sézanne a wsią Champ

Aubert napadliśmy na rosyjski korpus generała Atsufiewa, korpus został rozbity, a sam generał Atsufiew i generał-major Połtoracki dostali się do niewoli; 1500 niewolników, cała artylerya i bagaże korpusu tego były trofeami tego zwycięstwa. Kapitan Berthier i ja zabraliśmy do niewoli w czasie natarcia strzelców konnych gwardyi pułkownika Waszkowa, a że Berthier był krewnym ks. Neufchâtelu, rozgłoszono to od razu, wspomniano nawet o tem przed cesarzem, który nas pochwalił przed całym sztabem swoim.

Wojsko biwakowało po stoczonej bitwie w błocie, cesarz i sztab główny pomieścili się, jak mogli, w Champ-Aubert, nędznej wioszczynie. Kilkunastu wyższych oficerów, pomiędzy którymi byłem i ja, rozkwaterowało się w chacie na ustroniu. Późną nocą przybył do nas adjutant marszałka Lefebvra (ks. Gdańska) i prosił o przyjęcie marszałka do naszej kwatery. Nie dopuścił jednak marszałek, abyśmy się z chaty dla niego ruszali, tylko z nami podzielił schronienie, aczkolwiek szczupłe.

Pierwsza ta wygrana od rozpoczęcia kampanii napełniła wojsko radością i podniosła ducha żołnierza. Zewsząd rozlegał się okrzyk: «Vive l'empereur!», a każdy marzył o pobiciu wrogów. Dnia 11 przyszła kolej na pruski korpus Yorka, który pierwszy w roku zeszłym odstąpił cesarza. Korpus ten cofnął się z wielką stratą pod opiekę przybywającego mu w pomoc wojska rosyjskiego Sackena. Wpadliśmy na nich pod Montreuil i rozbiliśmy Rosyan i Prusaków. W tej potyczce rozbiły 4 szwadrony gwardyi szwoleżerów Krasińskiego 4 bataliony grenadyerów rosyjskich, jeden po drugim. Kilka tysięcy niewolników i 21 armat dostało się w nasze ręce. Pod Montmirail nastąpiła nowa bitwa, gdzie się ustawiła «la garde d'honneur». Gdy owe 4 pułki wyborowej młodzieży szykowały się do ataku, nadjechał cesarz przed front i odezwał się: «Garde d'honneur, l'ennemi se vante de prendre Paris, le laisserez-vous entrer?» «Ils n'y iront pas, ils n'y iront pas!» krzyknęła waleczna młodzież, w chwilę potem widziano ją rozbijającą pruskie czworoboki. Największa część pruskiej piechoty dostała się do niewoli albo legła na placu, jeden jednak batalion oparł się wszystkim usiłowaniom z naszej strony. Znajdował się wśród niego generał York ze sztabem swoim, a dzielni jego żołnierze wytrzy-

mali sześć ataków naszej konnicy, kartaczowy ogień konnej artyleryi i uszli szczęśliwie do lasu. Roztopy panujące nie pozwoliły działać artyleryi z całą energią, a nadchodząca noc ocaliła resztki korpusów Sackena i Yorka.

W tej porażce Prusaków i Rosyan pozostawił nieprzyjaciel batalion pruski w murowanym folwarku z rozkazem trzymania się do ostatka, ażeby nie dopuścił wojska nacierającego. Niepodobieństwem było oddziałowi temu wyratować się Ale dowódca wzbraniał się złożyć broń; głuchy na nasze wezwanie, kazał nawet dać ognia do wysłanego naszego parlamentarza. Nie było rady, rozkazano jednemu batalionowi starej gwardyi zabrać się do szturmu, artylerya zrobiła wnet wyłom w murach, a grenadyery opańowali folwark bez wystrzału. Według prawa wojennego nie może się wojsko, strzelające do parlamentarza, spodziewać pardonu. Nastąpiła zatem rzeź, kłuto nielitościwie Prusaków. Z mojej strony byłem tyle szczęśliwy, że wydobyłem z biedy dwóch pruskich oficerów, którzy, uchwyciwszy się nóg moich, wołali, każdy ze swej strony rozpaczliwie: «Um Gottes willen, retten sie mich, meiner Frau, meiner Kinder willen». Wyprowadziłem ich zdrowo na pole, odbijałem z narażeniem własnego życia wymierzone na nich ciosy i bagnety. Tak samo uczynił generał Krasiński i kilkunastu oficerów, którzy wpadli do folwarków po zdobyciu go, ale dowódca gruby sztabsoficer pruski, został nielitościwie pokłuty, wyprowadzono go na pół żywego, nie wiem, co się z nim stało. Na złe mi jednak wyszła ludzkość moja. Będąc 1828 r. w Szczecinie, zostałem zaproszony na obiad do komercienrata von Rahm, któremu przedawałem drzewo. Otóż znajdował się pomiędzy gośćmi szlachcic pomorski. Z toku rozmowy okazało się, że szlachcic ten był jednym z oficerów, których ja wyprowadziłem z owego folwarku. Nie mogąc znieść, iż chełpliwość jego pruska mi nie imponowała, szukał wyraźnie zaczepki, byłby pragnął awantury, a może i pojedynku, gdyby nie poczciwy gospodarz, który temu zapobiegł.

Bitwy. Dzielny porucznik polski. Nominacya na podpułkownika. Niebezpieczna misya.

Znowu zabłysło szczęście Napoleonowi. Niewolnicy, zdobyte armaty, chorągwie, wprowadzone z tryumfem do Paryża, biuletyny, po gazetach ogłaszane, podniosły ducha mieszkańców stolicy. Wojsko nie posiadało się z radości, dezercya ustała, nieprzyjaciel cofnął się spiesznie, a każdy z nas był pełen nadziei, że wnet powstanie chłopów dokona tego, czego siły wojska nie potrafią.

Rozbitki korpusów Yorka i Sackena, zgromadziwszy się pod Château-Thierry sur Marne, usiłowały przeszkodzić Napoleonowi w przeprawie, stanęły na wzgórzach po lewej stronie rzeki. Nad samem korytem ciągnęły się w tem miejscu obszerne łąki, które szosa przecina, opasana po obydwóch bokach głębokimi rowami. Nieprzyjaciel, spędzony z pozycyi swojej na wzgórzach, cofnął się na łąki pod zasłonę armat, będących na drugim brzegu rzeki. Nasza konnica i artylerya konna gnała za cofającą się piechotą. Piękny był to zaiste widok, owe masy konnicy, spuszczające się z rozmaitych punktów na łąkę. Będąc jednym z najpierwszych pomiędzy flankierami, mogłem się napatrzeć na to wspaniałe panorama. Napróżno szukała piechota opieki w swych działach, pomimo gradu kul i granatów wnet ją rozbili kirasyerzy i szwoleżerzy. Jedynie uszło to, co się na szosę dostało, a nie mogło być odciętem od mostu. Nieprzyjaciel, przeprawiwszy się do miasta, wysadził most w powietrze. W tej potrzebie legło kilkunastu Tatarów litewskich, którzy w roku 1812 uformowali pułk osobny, a po odwrocie naszym składali szwadron, umundurowany z turecka pod nazwą: «Éclaireurs des cheveau-légers de la garde», a liczyli się do pułku szwoleżerów gwardyi. Poległ pomiędzy nimi ich «Mufti» (ksiądz turecki), człowiek bardzo odważny, a mający wielki wpływ nad Tatarami.

Dnia 13 zajęli nasi Château-Thierry, zrabowane do szczętu przez ustępującego nieprzyjaciela. Tu doszła nas wiadomość o ogólnem powstaniu całej okolicy. Chłopi zabijali nieprzyjaciół bez pardonu, legło ich już do 2000 tym sposobem.

Odpocząwszy dzień jeden w Château-Thierry, wyruszyło wojsko dnia 14 na spotkanie z Blücherem, który koncentrował siły swoje w okolicy Montmirail. Napotkaliśmy go pod Vauchamps, ale stary ten lis spiesznie się cofnął, pozostawiwszy jednak 2500 niewolników w ręku naszem. Stoczyliśmy zatem czwartą bitwę od 10 lutego. Ludność paryska oglądała znowu 10 chorągwi, 15 dział i owych 2500 niewolników, których pędzono przez całą stolicę. Armaty Inwalidów ryknęły na znak nowego zwycięstwa, a my spieszyliśmy znowu do nowych walk.

Raporty marszałków Victora, Oudinota i Macdonalda doniosły o zbliżającym się na czele znacznych sił księciu Schwarzenbergu pod Paryż. Cesarz zmuszony był opuścić Blüchera, cofającego się w nieładzie ku Compiègne. Wojsko przepędziło noc z 15 na 16 pod La Ferté-sous-Jouarre, dnia 16 przybyliśmy do Guignes, 17 zniósł marszałek Marmont do szczętu korpus austryacki, zabrał mu całą artyleryą i kilka tysięcy niewolnika. Książę Schwarzenberg cofnął się skutkiem tej porażki i połączył się z Bawarczykami. Dnia 18 uderzył marszałek Victor (ks. Belluno) na nieprzyjaciela z boku, zabrał mu 11 armat i jakie 3000 niewolnika.

Bolesno nam było walczyć przeciwko Bawarczykom. Od roku 1800 byli z nami, dzielili trudy i zwycięstwa nasze, dla czegoż zmuszała walecznych tych ludzi zmiana polityki bawarskiego gabinetu upatrywać nieprzyjaciela w koledze wczorajszym? Każdy nieomal oficer bawarski był ozdobiony krzyżem legii honorowej, wielu z nich posiadało dotacye na kanałach francuskich. Jestem przekonany, że Bawarczycy i Wyrtemberczycy walczyli niechętnie przeciw Francuzom, zawsze okazywali się życzliwymi naszej sprawie.

Dnia 18 lutego spotkały się wojska francuskie z autryackiem, bawarskiem i wyrtemberskiem pod Montereau. Francuzami dowodził Napoleon, sprzymierzonymi Schwarzenberg. Zwycięstwo nie mogło być wątpliwem. Sprzymierzeni cofnęli się spiesznie aż do Troyes. Ludność miasta Montereau zadała znaczną klęskę cofającemu się wojsku sprzymierzonych i dawała ognia do niego z okien i dachów w czasie cofania się jego przez miasto, co nie mało przyczyniło się do strat i rozprzężenia nieprzyjaciół.

W tej potrzebie działały znowu dwa pułki piechoty polskiej, nowo uorganizowanej i wysłanej z Wersalu na linią bojową. Porucznik takiego pułku zdobył tego dnia chorągiew na nieprzyjacielu i przyniósł ją cesarzowi. Przypominam sobie po dziś dzień dzielnego, krępego Mazura, jak wywijał zdobytą chorągwią przed cesarzem, zanim ją rzucił pod nogi jego. Zwyczajem, przyjętym w wojsku francuskiem, było wówczas, że płacono po sto napoleondorów każdemu oficerowi czy żołnierzowi za zdobytą na nieprzyjacielu chorągiew. Gdy zatem wielki szambelan dworu hr. Turenne podał rolkę złota owemu Polakowi, tenże cofnął się o parę kroków i odwróciwszy się do cesarza, rzekł do niego łamaną francusczyzną: «Moi, Sire, non argent, moi légion d'honneur.» Cesarz kazał mi wytłomaczyć rodakowi, że bynajmniej nie traci prawa do krzyża, który dostanie, ale że owa pieniężna nagroda udzieloną mu została jako dar ojca synowi swemu.

»Kiedy tak, odpowiedział Mazur, pieniądze biorę, bom bez grosza, ale krzyż muszę dostać!« Gdym przetłomaczył cesarzowi słowa wiarusa, wręczył mu krzyż własnoręcznie, mówiąc mu: »Vous l'avez bien méritée«.

Montereau leży na lewym brzegu Sekwany; po prawym brzegu tej rzeki wznosi się na wzgórzu starożytny zamek, górujący ponad miastem i całą okolicą. Tu zesiadł cesarz z konia. Mieliśmy jak na dłoni przed sobą oba walczące wojska. Cesarz kazał ustawić na dziedzińcu działa ciężkiego kalibru. Raziły one cofającego się mostem nieprzyjaciela, na którego oczekiwali uzbrojeni obywatele miasta. Napoleon wymierzył osobiście armatę i dowiódł, że nie zapomniał dawnego zawodu.

Chłop francuski więcej może ma miłości do kraju swego aniżeli chłop polski, ale daleko więcej ma skłonności do morderstwa. Jakoż wieśniacy okoliczni zabijali nielitościwie, gdziekolwiek im się pora do tego nastręczyła. Żadnemu nieprzyjacielowi życia nie darowali, a gdy im z naszej strony robiliśmy wyrzuty, że nie zabierają ich do niewoli, odpowiadali z uśmiechem: »Il n'y a que les morts qui ne reviennent pas«.

Dnia 22. spotkaliśmy się znowu z Austryakami pod Méry-sur-Seine; miasto to spalone zostało przez nieprzyja-

ciela. Każde pogorzelisko pomnażało liczbę partyzantów, spokojny mieszkaniec chwytał za broń dopiero po utracie swego mienia i odpłacał mordami krzywdę doznaną.

Dnia 23. posunęły się nasze forpoczty pod Troyes. Generał bawarski, broniący miasta, kazał podpalić przedmieścia, ale sam opuścił miasto w nocy milczkiem. Deputacya, wybrana z pomiędzy członków kapituły, municypalności i znaczniejszych obywateli, wyszła za miasto dnia 24, aby przyjąć Napoleona. Cała ludność radosne okrzyki wznosiła, widocznie zmieniła uczucia nieprzyjazne, któremi przejętą była, zanim zasmakowała przyjemności pobytu wojsk sprzymierzonych.

Niema lepszego lekarstwa dla sprzyjających nieprzyjacielskiemu wojsku jak pobyt tegoż u zwolenników swoich. Doświadczenie takie cudownie też poskutkowało w Troyes: wymuszona kontrybucya wojenna, spalone przedmieścia, rabunek znacznej części domów, przymusowe dostarczanie żywności, inkwaterunek i t. p. dziwnie działały na umysły. Emigranci zapomnieli o Burbonach, a witali radośnie zastępy cesarskie. Kawaler Gounault, który się przed wszystkimi innymi odznaczał niechęcią ku istniejącemu porządkowi, poprowadził deputacyą do cesarza Aleksandra i wygłosił mowę, żądając powrotu Burbonów na tron francuski, przypłacił życiem nierozsądny ten postępek. Przyaresztowany po powrocie wojska francuskiego do Troyes i stawiony przed sąd wojenny, został rozstrzelany. Główny jednak herszt i przywódca wszystkich rojalistycznych intryg, niejaki markis de Vidrange, zemknął zawczasu. Dobrze zrobił, bo byłby niezawodnie podzielił los Gounaulta.

W Troyes zostałem mianowany podpułkownikiem w sztabie głównym. Nadzwyczajny ten awans, którego się wcale nie spodziewałem (byłem dopiero kapitanem od trzech miesięcy), wzniecił przeciwko mnie zazdrość polskich moich kolegów. Niestety, skoro tylko szczęście sprzyja rodakowi, czy to w kraju ojczystym czy za granicą, zawsze uczucie zazdrości góruje w umyśle Polaka. Niechaj się wywyższy cudzoziemiec, nic nie powiedzą, ale niechaj tylko postąpi rodak, już sarkanie, niechęć, nienawiść przeciwko niemu. Największą złość okazywał kapitan Milberg, który służył od r. 1809 w tym stopniu. Nie dziwiłem się, że mu przykre było ominięcie, wszakże

ja temu winien nie byłem, a że mnie używano do najtrudniejszych misyi i żem nigdy nie zawiódł zaufania, położonego we mnie — nagroda mi się słusznie należała. Wyznaję jednak, że byłbym wolał krzyż legii honorowej, którego wówczas jeszcze nie miałem.

Generał Monthion, podszef sztabu głównego, wręczając mi patent, kazał mi się niezwłocznie udać do ks. Neufchâtelu. Zastałem go samego w gabinecie, oczekującego na mnie.

»Cesarz, rzekł, pokłada w Panu zaufanie, dał Ci tego dowód nominacyą, którąś odebrał na podpułkownika, nadeszła pora dla Pana usprawiedliwić wybór jego. Metz jest otoczony nieprzyjacielem, trudny, a nawet nieomal niepodobny przystęp do niego, wszakże musisz się koniecznie dostać do tego miasta i oddać gubernatorowi tę depeszę: od niej albowiem zależy powodzenie całej kampanii. Bardzo być może, że wpadniesz w ręce nieprzyjaciół, w takim razie musi być ten rozkaz zniszczony. Pod żadnym względem nie może się dostać w ręce sprzymierzonych. Lubo depesza jest cyfrowaną, jednak mogłaby być odgadniętą. Ufam Panu, dowiodłeś nieraz, żeś mężny, przekonany więc jestem, że usprawiedliwisz mniemanie, o Panu powzięte». Wraz z depeszą oddał mi książę asygnacyą na sto napoleondorów. Generał Monthion kazał mi wydać rozkaz do wszystkich władz krajowych, aby każdemu żądaniu mojemu zadość uczyniono.

Pierwszem mojem żądaniem było od mera z Troyes dwóch zaufanych przewodników, bezpiecznych, obeznanych dokładnie z okolicą. Koń nie był mi potrzebny, owszem zawadzałby mi tylko w tej niebezpiecznej przeprawie. Pozostawiłem go zatem pod opieką mego poczciwego Wojtkowiaka. Wziąłem tylko kordelas i parę pistoletów i puściłem się pieszo w towarzystwie dwóch handlarzy bydła. Ci znali wszystkie manowce i kryjówki, przebiegając ustawicznie prawie kraj, mieli wszędzie znajomych i nie wątpili o szczęśliwem dostaniu się pod mury fortecy, ale powiedzieli mi wyraźnie, że na przemknięcie się przez nieprzyjacielski korpus, oblegający Metz, sposobu niema. Byłem naówczas młody, liczyłem 22 lata, miałem energią i sprzyjałem całą duszą sprawie Napoleona, nie dbałem o życie, nic mnie do niego nie przywięzywało, a nadzieja rychłego

postąpienia w hierarchii wojskowej była potężnym bodźcem, który wiódł mnie ku niebezpiecznej tej przeprawie. Dzisiaj, przyznaję, nie byłbym zdolny do tak zuchwałego przedsięwzięcia. Opuściłem Troyes wesół i dobrej myśli, radowałem się nawet, widząc przed sobą kolej rozmaitych przygód. Jeden z przewodników wyprzedzał mnie o jakie 200 kroków. Stanęła była z nim umowa, że w razie napotkania nieprzyjacielskiego oddziału, krzyknie na cały głos i pocznie uciekać w bok, aby mi dać czas ukrycia się. Umówiliśmy się także o miejsce zbiorne na przypadek rozbiegnięcia się w rozmaite strony. Droga wiodła pomiędzy winnicami mało udeptanemi ścieżkami po nad strumieniem i po bagnach. Mijaliśmy każde mieszkanie ludzkie, każdą drogę, zatrzymywaliśmy się na odpoczynek tylko u ludzi, dobrze znanych przez moich przewodników, gdzie zawsze doznawałem serdecznego przyjęcia. Wysyłali oni dzieci swe na zwiady, nie jednę ważną wiadomość przez nich uzyskałem. O milę od Brienne przewiózł mnie w nocy rybak przez rzekę Aube na małem czołenku, a przewodnik zaprowadził do chłopa znajomego, mieszkającego na ustroniu. Tu dowiedziałem się, że wszystkie siły nieprzyjacielskie pospieszyły naprzód i że mało co zostało w okolicach Metzu.

Przewodnicy moi rozdawali wszędzie chłopom biuletyny, których sporą ilość dano im w Troyes, by nimi uwiadomić naród o zwycięstwach naszych. Minąwszy St. Menehould i Verdun, dostałem się do Lotaryngii, gdzie już było więcej lasów, którymi śmielej postępować było można. Wszakże i tu napotykał przewodnik, idący naprzód, kilka razy snujące się patrole i pojedyńczych żołnierzy, dawał wtedy znak umówiony, a my zmykaliśmy z ścieżki czy to w gąszcz czy w jaki parów, dość, że nas nigdy nie spostrzeżono. Upatrzywszy miejsce dogodne, kładliśmy się na ziemię, czekając na hasło przewodniczącego towarzysza. Ten zmykał jak najspieszniej przed ścigającym go oddziałem, aż go oddalił o kilka staj od naszego schronienia, wreszcie dawał się pochwycić. Następowała skrupulatna rewizya jego osoby, pytano o przyczynę uciekania, zabierano mu kilka franków, na ten cel zawsze pozostawionych w kieszeni, koniec końców puszczano go lekko poturbowanego;

wracał wtedy ku nam wolno, nucąc umówioną piosenkę «J'avais égaré mon sabot», aż nas odnajdował i znowu puszczaliśmy się dalej w podróż. Zdarzało się jednak, że schodziliśmy się dopiero późnym wieczorem w miejscu, zawczasu oznaczonem na nocleg.

Pomimo całej ostróżności naszej byłbym jednak wpadł pod Bar-le-Duc na oddział nieprzyjaciół, zbliżający się do fermy, w której wypoczywałem, ale chłop, gospodarz tego folwarku, wysłał dla pewności zaraz po mojem do niego przybyciu dwóch swoich synów na zwiady. Wkrótce jeden z nich wrócił, donosząc o zbliżaniu się kilkudziesięciu kawalerzystów. W okamgnieniu wyprowadziła nas gospodyni do sadu, przeprawiła przez strumień, płynący za ogrodem, i kazała pociągnąć za sobą kładkę, łączącą obydwa brzegi. Uczyniwszy to, pobiegliśmy w winnicę i ukryliśmy się pod kołkami od wina. Synowie zaś gospodarza poczęli umykać w stronę przeciwną, ukazując się raz po raz z daleka patrolowi. Manerw ten udał się, Prusacy gnali za chłopcami z pół godziny, zanim ich schwytali, a gdy się przekonali, że są to synowie owego chłopa, u którego dali koniom wytchnąć, gniewali się o niepotrzebne trudzenie koni. Chłopcy tłomaczyli się obawą, jaką wzbudza w nich widok «de messieurs les ennemis».

Miałem na mundurze bluzę chłopską a zamiast kapelusza wojskowego furażerkę (une casquette), nie można mnie było zatem z daleka poznać jako wojskowego. Nie pamiętałem, ażebym w życiu mojem smaczniej spał i jadł, jak w tej mojej wędrówce ku Metz.

Nieocenionych miałem przewodników, prawdziwym labiryntem mnie prowadzili, a umieli każdego tak doskonale wybadać, że zawsze na pewno przybliżaliśmy się do celu. Bywało jednak, że leżeliśmy po kilka godzin ukryci czy to w winnicy czy pod dachem albo w jakiej dziurze. Natenczas porywała mnie obawa dostania się do niewoli, kryłem moją depeszę opodal od siebie, ażeby w żadnym razie nie dostała się w ręce nieprzyjaciół. Zawsze swobodnie odetchnąłem, gdy Godard (jeden z przewodników moich) zawołał: »En route!« P chociaż zawsze nieszczęściem jest dostać się do niewoli otwartym boju, wszakże niczem w porównaniu, gdy się jest schwytanym jak złodziej i wyciąganym z nory.

Owa moja przeprawa trwała aż do ostatniego lutego. W tym dniu stanąłem u młynarza nad Mozelą o dwie mile od Metzu. Młynarz podjął się doprowadzić mnie do fortecy za wynagrodzeniem 200 franków. Chętnie mu je bez targu obiecałem. Przewodnicy moi czekać mieli u niego na mnie. W nocy z 28-go lutego na 1-go marca zabrał mnie młynarz na czołno swoje w zawierusze, przypominającej ukraińskie; śnieg na pół z deszczem padał, a tak było ciemno, że ręki przed oczami rozpoznać nie było można. Gdym wskoczył do małego czołenka, kazał mi się młynarz położyć jak długi na dnie, sam siadł z tyłu, odbił od brzegu i puścił łódź pędem prądu. Najmniejszego szelestu nie robił, kierował sterem, trzymając się zawsze środka rzeki. Po obydwóch brzegach Mozeli stały czaty nieprzyjacielskie, widziałem ognie ich o jakie 100 kroków — a my przepłynęliśmy niepostrzeżenie. Chwila ta była groźna, nigdy jej nie zapomnę. Słota i niebywała ciemność nocy dopomagały nam, a zręczność młynarza i dokładna jego znajomość biegu wody uczyniły możliwem to, co dla każdego innego niepodobieństwem było.

Dostawszy się do pierwszych fortyfikacyi, zastałem rzekę zabarykadowaną długim łańcuchem, sięgającym od jednego brzegu do drugiego. «Qui vive?» zawołał szyldwach. «France», odpowiedziałem śmiało, a kamień spadł mi z serca. Niebawem wylądowałem, a dostawszy się do posterunku, kazałem się bez zwłoki czasu zaprowadzić do gubernatora, mimo że byłem do szczętu przemoknięty. Obudzono pana generała, który zupełnie pojąć nie mógł, że przemknąłem się szczęśliwie z Troyes. Prosiłem o nocleg w jego pomieszkaniu, zaprowadzono mnie do osobnego pokoju, gdzie ciepłe, wygodne łóżko stało przygotowane.

Wypełniłem zlecenie mi poruczone, miałem wielkie zadowolenie własne i pewność usługi, oddanej cesarzowi, a marząc o dalszych stopniach chwały, zasnąłem snem sprawiedliwych i znużonych.

Powrót z Metzu. Pułkownik Kurnatowski. Ambroży Skarżyński.

Gubernator odebrał przezemnie rozkaz porozumienia się z garnizonami Thionville, Saarlouis, Verdun i Sedan, miał zebrać załogi tych fortec, pozostawiwszy je pieczy gwardyi narodowej i artyleryi wałowej, a z korpusem, w ten sposób zorganizowanym, miał działać na tyłach nieprzyjaciela, wspierając ile możności gerylasów. Ten ruch, tyle groźny i rokujący dezorganizacyą znacznej części nieprzyjacielskiego wojska, byłby niezawodnie przyszedł do skutku, gdyby się było wojsko pod rozkazami Marmonta oparło 48 godzin pod Paryżem, a cesarz byłby zdążył na odsiecz, ale zdrada była już uorganizowana; Talleyrand nastroił machiny, a inni wykonali jego plany.

Dostałem się wprawdzie do Metzu, ale bynajmniej nie miałem zamiaru i ochoty pozostać w fortecy przez cały czas oblężenia. Porozumiałem się zatem z gubernatorem, który w celu ułatwienia mi wydostania się po za linią wojska oblegającego kazał kilku pułkom wykonać wycieczkę na obóz nieprzyjacielski wieczorem dnia 1 marca. Skorzystałem z kilku godzin wolnych, aby odwiedzić pp. Morawskich i ministra Łubieńskiego. Łubieński podstarzał się znacznie, na siłach opadał, pp. Morawscy oczekiwali z wielką rezygnacyą rozwiązania zagadki o dalszym losie. Smutno rozstaliśmy się, odtąd już ich więcej nie widziałem.

Kazałem sobie przyprowadzić młynarza, który do Metzu mnie dowiózł i, zapłaciwszy mu, zasięgnąłem rady jego co do powrotu naszego. Przyznawał, iż niepodobieństwem płynąć w chwilowych warunkach pod wodę, powierzył zatem czołno znajomemu w Metzu i przyrzekł mi doprowadzić mnie napowrót do swego młyna, bylebyśmy potrafili ominąć czaty nieprzyjacielskie. Byłem przedmiotem największej ciekawości w czasie dwunastogodzinnego pobytu mego w Metzu, musiałem opowiadać szczegóły kampanii, a że miałem ze sobą kilka numerów Monitora, kazał gubernator biuletyny odczytać przed frontem w czasie parady.

Skoro tylko wojsko zgromadziło się do wykonania wycieczki, wypuszczono mnie z młynarzem przez furtkę, (la poterne), minęliśmy forpoczty nasze — i znowu byłem na polu sam z młynarzem, otoczony nieprzyjacielem ze wszech stron, bez zasłony ni pieczy, puściliśmy się jednak żwawo w drogę. Bitwa wrzała o jakie ćwierć mili, deszcz już nie padał, a my cicho, ostróżnie posuwaliśmy się wśród nocy ciemnej. Uszliśmy w nieustannej obawie jakie ćwierć mili, nie wyrzekłszy słowa, żadnej drogi nie trzymając się. Postępowałem za młynarzem, który kierował się według znajomości okolicy. Trzeba nam było przebrnąć przez strumień, mieliśmy wodę do uda, wszakże stanęliśmy nad ranem szczęśliwie w młynie. Tu naradziłem się z moimy towarzyszami z Troyes, Godardem i Charnierem, skutkiem czego ten ostatni udał się do Toul dla powzięcia dalszych wiadomości.

Zastał tam świeżo przybyłe wojsko nieprzyjacielskie i dowiedział się, że cesarz na czele gwardyi pociągnął ku Rheims i że Austryacy zajęli napowrót Troyes. Ta wiadomość zdecydowała nas udać się ku St. Menehould dla zbliżenia się ile możności do głównej kwatery. Podróż była nader niebezpieczna wobec licznych Kozaków, uwijających się po szosie, wiodącej do Paryża. Kraj był całkowicie otwarty, płaski, żadnego wzgórza, żadnego zarośla Postanowiliśmy dla tego podróżować tylko nocą, we dnie ukrywaliśmy się, gdzie było można po szopach i poddaszach. Pomimo wielu wypadków, ukrywania się i przygód rozmaitych, których opowiadanie byłoby zanadto rozwlekłe, snać Opatrzność czuwała nad nami i szczęśliwie wydostałem się z tej toni. Wszędzie doznałem od chłopów i wyrobników sympatyi i usługi, a przekonałem się, że z energią i przezornością można pomiędzy swymi urągać policyi i najsurowszemu postępowaniu władzy.

Przybyłem wreszcie dnia 7 marca o milę od Rheims. Dowiedziałem się od węglarza, u którego dzień ten spędziłem, że Prusacy znowu zajęli to miasto, wszakże nie wiedział, w którą stronę obrócił się cesarz. Skutkiem tej niepewności Charnier udał się do miasta, Godard w okolicę dla powzięcia języka, ja pozostałem sam w budzie, węglami tak doskonale obsypanej, że trudno byłoby powziąć jakie podejrzenie. Nad

wieczorem powrócili moi towarzysze z wiadomością, że cesarz pociągnął ku Soissons, aby dogonić Blüchera, którego korpus kilkakrotnie zdziesiątkowany, nie mógł już nam czoła stawić. Wódz pruski biegł naprzeciwko korpusom Bülowa i Bernadottego, aby, wzmocniony, módz obrócić się ku Paryżowi.

Chociaż byłem strasznie zmęczony, pospieszyłem tej samej nocy w okolicę, gdzie wojsko nasze miało kwatery. Nad ranem przybyłem do La Fère-en-Tardenois, tam już nieprzyjaciel nie dochodził. Powziąwszy języka, pospieszyłem do wsi Mont-St.-Martin, gdzie wstąpiłem do wójta gminy (le maire), który wskazał mi Commercy jako punkt, gdzie prawdopodobnie zastanę Francuzów. Zażądałem od niego «trois bidets» (małe koniki), których mi dostarczył wraz z przewodnikiem, i puściłem się wraz z towarzyszami mymi do Commercy, gdzie przybyłem późno w nocy. W miasteczku tem pełno było rannych Francuzów, przywiezionych z pod Berry-au-Bac i z pod Craonne. Tu pozostawiłem Godarda, który zaniemógł, i, wziąwszy od monsieur le maire konie wierzchowe, puściłem się z Charnierem do Ostelle, gdzie się znajdowała główna kwatera.

Stanąłem 9 marca przed ks. Neufchâtelu po dwutygodniowej podróży, odbytej wśród ciągłego niebezpieczeństwa o głodzie i w niewygodach wszelkiego rodzaju.

Pamiętną mi będzie całe życie ta moja wyprawa, jakiej podobnej mało kto dokonał, a która mnie samemu dzisiaj romansem być się zdaje. Bo czyż to prawdopodobnem zdać się może, ażeby oficer mógł przebyć jakie 40 mil drogi — w mundurze, (lubo ukrytym pod chłopską bluzą), w kraju, zajętym przez nieprzyjaciół, żeby się potrafił przedostać do fortecy oblężonej, żeby znów wymknął się z niej i powrócił bez szwanku do swego wodza? Ale nie pierwsza była to moja próba, wszakżem z Wilna przybył do Drezna pod tymi samymi warunkami, a z Drezna dostałem się do marszałka Macdonalda po przegranej pod Katzbach.

Koledzy moi witali mnie jak powracającego z tamtego świata. Generał Monthion, gdym mu się zameldował, wyrzekł z niekłamanem zadowoleniem: »Il n'y a qu'un Polonais, qui soit capable de courir de pareils risques et de s'en tirer

Biblioteka

d'affaire«. Ks. Neufchâtelu, zwykle kwaśny i gderający, przyjął mój raport łaskawiej niż zwykle — odebrał depesze, które przywiozłem z Metzu, wypytał mnie pilnie o powstanie chłopów w Szampanii, a, odprawiając mnie, zapewnił, iż zda sprawę cesarzowi o poświęceniu mojem.

Napoleon nie zasypiał sprawy, każdy dzień nieomal nowem zwycięstwem oznaczony był z jego strony — wszakże cofnąć się musiał ze stratą z pod Craonne. Nie mam zamiaru opisywać kampanii, wspominam tylko o rzeczach, których byłem naocznym świadkiem. Nie mogę jednak zamilczeć o czynie podpułkownika Ambrożego Skarżyńskiego, jednego z najdzielniejszych oficerów konnicy, który zabrał na czele szwadronu swego szwoleżerów pod Berry-au-Bac z jakich 200 Kozaków, Baszkirów i Kałmuków. Bo trzeba wiedzieć, że cesarz Aleksander wyprowadził przeciwko Francyi całą dzicz północną, było to powtórzenie owej migracyi ludów barbarzyńskich z czasów potęgi rzymskiej.

W nocy z dnia 8-go na 9-go marca wysłał cesarz oficera swego ordynansowego, wiernego Gourgaud, na czele dwóch batalionów piechoty dla napadnięcia na Prusaków, stojących pod wsią Estonville. Porażony nieprzyjaciel cofnął się w nieładzie do Laon, miasta, stojącego na górze wśród bagien, przez które do niego trzy szosy prowadziły. Ks. Moskwy spędził z jednej strony Prusaków aż do miasta, Generał Beillard na czele dragonów i strzelców konnych gwardyi atakował go z drugiej strony, wszakże zmuszony był cofnąć się przed krzyżowym ogniem bateryi pruskich, ustawionych na górze. Trzecią szosę wskazano Marmontowi do opanowania. W nocy z 9 na 10 staliśmy się panami wszystkich trzech przystępów aż pod samą górę, wszakże nadaremne były usiłowania marszałków ku rozwinięciu się i spędzeniu z pozycyi połączonych pruskich korpusów Blüchera i Bülowa, których siła wynosiła 80 000 ludzi, gdy nasze wojsko liczyło zaledwie 35 000. Baterye nieprzyjacielskie, okrywające całą górę, miotały pociskami jakby wulkan jaki na nasze ściśnione kolumny, co nam znaczną stratę sprawiało. Blücher, poznawszy osłabienie nasze pod wieczór, wypuścił całą jazdę swoją na korpus Marmonta, który doznał wielkich strat w ludziach i część swej artyleryi utracił. Od

tego dnia począł Marmont zdradzać sprawę Napoleona, a chwilowe powodzenie cesarza odtąd ustało.

Wojsko nasze cofnęło się do Soissons 11 marca. Generał Moreau przed kilku dniami haniebnie otworzył bramę generałowi Bülowowi, chociaż mógł się bronić, bo miasto to jest ufortyfikowane. Poddanie się tego nikczemnika wybawiło Blüchera z grożącego mu zniszczenia, był bowiem oskrzydlony i zmierzał forsownymi marszami ku granicy belgijskiej, ale niedołężność gubernatora Soissons wybawiła go. Prusacy natenczas zrabowali miasto i pociągnęli do Laon, gdzie nam klęskę zadali.

Duch mieszkańców dawnej Pikardyi nie był tak groźny nieprzyjaciołom jak w Szampanii, bo prowincya ta mniej od wojny ucierpiała; jakoż większy spokój tam panował, nieprzyjaciel furażował bezpiecznie w Pikardyi, nawet oddziały jego kwaterowały się po wsiach, byłoby jednak przyszło do tego samego stanu rzeczy co w Szampanii wobec rabunków, których się dopuszczali Prusacy, gorzej bowiem od wszystkich innych wojsk sprzymierzonych postępowali sobie we Francyi.

Opuszczając Soissons, powiększyło się nasze wojsko o jakie 1 000 ludzi, dobrowolnie zaciągniętych. Dnia 13 przyszła kolej na nas odwetu za porażkę, doznaną pod Laon. Korpus rosyjski generała Saint-Priest, emigranta francuskiego, całkowicie został zniesiony przez ks. Moskwy, a sam hr. Saint-Priest poległ w tej potrzebie. Prusaków wyparowano znowu z Rheims, a szwoleżery gwardyi zabrali dwa pułki piechoty pruskiej do niewoli, które w nagłym odwrocie z miasta tego zostały odcięte.

Główna kwatera zabawiła dwa dni w Rheims, ja odszukałem tam dawnego emigranta i guwernera mego z Wolsztyna, p. Eyrier. Ucieszył mi się starzec jak synowi, wziął mnie do siebie na kwaterę, uczęstował szampanem takim, jakiego ani przedtem ani potem nie piłem. Pokazywał mi odmalowany widok Wolsztyna. Biedny Eyrier opłakiwał stratę syna, poległego w Rosyi, złorzeczył wojnie i Napoleonowi i był zagorzałym burbonistą. Uważałem wogóle, że po miastach daleko więcej znajdowało się burbonistów aniżeli po wsiach, mianowicie sprzyjano im w tych miastach, gdzie był konsystorz i biskupi — snać w tem działał wpływ księży,

nieprzyjaznych ogólnie Napoleonowi, mianowicie od czasu uwięzienia papieża.

Domyśliłem się z obrotów wojska naszego, że cesarz miał zamiar uderzyć powtórnie na Blüchera, ale odebrane raporty od marszałków Victora i Macdonalda uwiadomiły go o poruszeniu ks. Schwarzenberga z całą siłą swoją na Paryż. Opuściliśmy skutkiem tego Rheims dnia 17 marca. W czasie pobytu cesarza w tem mieście wyszedł dekret, wzywający całą ludność Francyi do obrony ojczyzny; drugi dekret powoływał całą ruchomą gwardyą narodową na linią bojową. Owe dwa dekrety były dowodem potrwania wojny, co Francuzów nadzwyczajnie zniechęciło. Żądali pokoju pod jakimikolwiek warunkami, nie chcieli pomnieć na to, że, chcąc uzyskać pokój, potrzeba go wywalczyć stanowczem zwycięstwem i stanąć w groźnej postawie. Ale wyższa klasa we Francyi, zobojętniała na wszystko, gotową była znieść wszelkie poniżenia, byleby wojna ustała. Powołanie ruchomej gwardyi narodowej także na nic nie posłużyło, gwardziści albowiem tejże samej nocy uciekali do swych siedzib, a, jeżeli jaka część pozostała, nie można jej było użyć w boju z obawy popłochu, któryby niezawodnie wznieciła za pierwszym wystrzałem.

Dnia 18-go stanęła główna kwatera w Épernay. Waleczny ks. Moskwy stoczył w dniu tym bitwę z korpusem bawarsko-austryackim pod Sommesous. Nieprzyjaciel cofnął się do La Fère-Champenoise. Kawalerya nasza zabrała w odwrocie dużo niewolników, chłopy wyrznęli daleko jeszcze więcej ludzi. Dnia 19-go rozpędził Generał Letort, dowódca dragonów gwardyi, jeden z najwaleczniejszych oficerów jazdy francuskiej, chmarę Kozaków i innej jazdy nieregularnej, opanował most na rzece Marne pod Plancy. Inny oddział jazdy polskiej pod dowództwem pułkownika Kurnatowskiego zabrał pod miastem Méry 13 pontonów, cały tabór bagaży i kilkuset niewolników. Podpułkownik Ambroży Skarżyński nadybał tego dnia 6 Kozaków, przemykających się pomiędzy posterunkami naszymi, i zabrał ich do niewoli. Badani, w jaki sposób mogli się dostać w okolicę, całkiem zajętą przez nasze wojska, odpowiedzieli, że generał rosyjski Langeron, (także francuski emigrant), stojący z korpusem swoim o 4 mile na północ, oddał im pismo

(mieli rzeczywiście depesze przy sobie) i kazał im udać się o 8 mil na południe, gdzie austryackiemu generałowi mieli wręczyć owe pismo. Rzeczywiście w tej odległości mniejwięcej znajdował się ks. Schwarzenberg.

Wiele miałbym do powiedzenia o Ambrożym Skarżyńskim. Jeżeli napisze swoje pamiętniki, będą nadzwyczajnie zajmujące, bo odznaczył się wielkiem męstwem, siłą fizyczną i przytomnością umysłu w każdem zdarzeniu. Kozaki znały go dobrze, a gdziekolwiek dostrzegli jego siwego konia, tam zawczasu zmykali — on osobiście wielu z nich schwycił lub trupem położył. Razu jednego stała brygada lekkiej jazdy gwardyi pod rozkazami generała Lefebvre Desnouettes, uszykowana u podnóża pasma pagórków, zakrywających widok — z drugiej strony stał nieprzyjaciel. Kozaki co chwila dojeżdżali na wierzchołki pagórków, z których przyglądali się obrotom naszym. Generał, zniecierpliwiony tem ustawicznem szpiegowaniem ruchów jego, rzekł do oficerów, będących przy nim: »Który z panów podejmie się schwycić Kozaka żywcem i przyprowadzić go do mnie?« »Ja« odezwał się równocześnie Skarżyński i sztabstrębacz, należący do orszaku generała. — »Kiedy tak, jedźcie więc razem«, mówi Lefebvre Desnouettes.— Ale Skarżyński oświadczył, że nie pojedzie z Francuzem, bo Francuzi nie umieją bić się z Kozakami, dodał, że, jadąc sam jeden, zaręcza schwycić Kozaka, ale nie ręczy nawet za życie Francuza, jeżeli ten będzie mu towarzyszył. Generał i inni przytomni oficerowie oburzyli się na to odezwanie, a generał rozkazał Skarżyńskiemu zabrać na specyalne polowanie trębacza. Wyjechali zatem obaj na te harce. — Skarżyński ostrzegł trębacza, ażeby jechał pod górę obok niego, dopóki konia nie zatrzyma, tj. dopóty Kozacy nie spostrzegą ich. Ostrzegł go, aby puścił konia całym pędem, gdy ujrzą piki kozackie, a wpadłszy razem na nich w chwili, gdy będą dojeżdżać na wierzchołek, żeby uchwycił tego samego Kozaka, którego on pochwyci, i żeby go pomiędzy sobą unieść i całym biegiem wracać do swoich. Po chwilce, ujrzawszy w powietrzu piki zbliżających się Kozaków, Skarżyński zawołał »En avant!« i puścił konia swego, ale trębacz pozostał w tyle; oczywiście Skarżyński wstrzymał także swego rumaka. Kozaki spostrzegł-

szy ich, zwrócili się szybko do swoich, a sotnia kozacka, stojąca w pobliżu, wysunęła się. »Baissez-vous!« zawołał Skarżyński i zwinął się pod kark konia swego. Francuz, nie rozumiejąc, co znaczy ostrzeżenie, oglądał się, a tymczasem kula trafiła go w pierś. »Je suis blessé!«, zawołał, a w tej chwili krzyknęli Kozacy »Bolny, bolny!« i kilkunastu z pomiędzy nich ruszyło naprzód. Skarżyński uchwycił cugle konia trębacza, a, zwróciwszy się, pędził ku naszym pułkom, ale ranny Francuz nie mógł się widocznie utrzymać na koniu i spadł z niego, a Kozacy w tejże samej chwili zakłuli go. Scena ta cała rozegrała się w oczach generała. Skarżyński, powróciwszy do niego, powiedział mu: »Général, nous navons ni Cosaque ni trompette«. Generał milczał ponuro.

Z listem do cesarza austryackiego. Nominacya na pułkownika. Koniec wojny. Generał Krasiński.

Schwarzenberg, połączywszy wszystkie siły swoje, zamierzał spotkać się z cesarzem. Zgromadził w tym celu cały swój korpus. Składał się tenże z Austryaków, Bawarczyków, Wyrtemberczyków i kilku dywizyi rosyjskiego wojska. Dnia 20-go marca wystąpiły dwie silne nieprzyjacielskie kolumny dla opanowania mostu pod Plancy, drugie dwie ruszyły na miasto Arcis-sur-Aube. Połączona jazda sprzymierzonych, spędziwszy naszą konnicę z pola, kusiła się o most pod Arcis-sur-Aube. Manewr taki byłby w razie udania się odciął wojska nasze od rezerw. W tej potrzebie stanął cesarz na czele jazdy gwardyi. Po raz pierwszy widziałem go wtedy, wydobywającego krótką szpadkę. Poprowadził pułki do walki powtórnej, a, wsparty liczną artyleryą konną, odzyskał pole, utracone poprzednio. Jazda i artylerya odegrały główną rolę w tym dniu, piechota mało działała. Cała korzyść była zatem po stronie sprzymierzonych, jakoż mogli daleko liczniejszą jazdę wyprowadzić na linią w porównaniu do naszej. Generał Sébastiani stoczył także z swojej strony potyczkę kawaleryi w tym samym dniu i udało mu się spędzić z pola dragonami swoimi dwadzieścia pułków nieprzyjacielskiej jazdy. Ale bitwa

nie została rozstrzygniętą, wojska biwakowały każde na pozycyi swojej.

Dnia 21-go cofnął się cesarz za rzekę Aube, mnie powołano w nocy do niego. C'est vous, lieutenant-colonel qui avez été à Metz?« zapytał się. Na potwierdzającą moją odpowiedź dodał: »Vous allez vous rendre au quartier général del'empereur d'Autriche à Langres, vous y conduirez le prince de Liechtenstein, fait prisonnier pendant l'affaire d' hier, vous demanderez d'être introduit absolument en présence de l'empereur et lui remettrez en mains propres la lettre que voici». »Mais, Sire, zapytałem się, que ferais-je en cas que l'on ne me laisse pas parvenir jusqu' à Langres?« »Dans ce cas, vous demanderez au prince de Liechtenstein de s'en charger, à votre retour le brevet de colonel vous sera délivré.« Podziękowawszy cesarzowi za tak szybki i niespodziewany awans na pułkownika, wyruszyłem krótko potem w koczu, mając obok siebie księcia Liechtensteina, opasłego Niemca z czerwonym nosem, przed końmi pocztowymi jechał konno trębacz. W Chaumont zatrzymał mnie generał, dowodzący przednią strażą wojska austryackiego, i w żaden sposób nie chciał mnie przepuścić do Langres. Musiałem zatem list Napoleona, pisany do swego teścia, powierzyć Liechtensteinowi, samemu zaś wypadło mi czekać przez dwa dni na odpowiedź wśród wojska austryackiego, w towarzystwie węgierskich huzarów, z którymi się nawet zaprzyjaźniłem. Odebrawszy wreszcie 23-go marca proste uwiadomienie, podpisane przez hrabiego Lebzeltern, że list Napoleona oddany został Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości, powróciłem w najgorszym humorze do głównej kwatery francuskiego wojska, gdzie wręczony mi został patent na pułkownika.

Napoleon, przewidując swój upadek, szukał śmierci, lecz go Bóg oszczędzał, ażeby odpokutował w życiu doczesnem za grzechy swoje. Pod Arcis-sur-Aube poległo tuż przy nim kilku oficerów, należących do sztabu jego, a, gdy usłyszał głośne szemranie przywiązanych do niego generałów, odwrócił się do nich z bolesnym uśmiechem i rzekł: »Soyez tranquilles, le boulet qui doit terminer ma vie, n'est pas encore coulé.« W parę tygodni później znowu przyszła mu myśl zakończyć

życie trucizną, ale i ta nadzieja zawiodła go. Musiał żyć i wypróżnić kielich goryczy do dna.

Nie wspomniałem dotąd o kolejach wojska polskiego od chwili rozpoczęcia w Wersalu nowej organizacyi. Nie miałem wprawdzie żadnej z niem styczności, tylko tyle powiedzieć mogę, że waleczny generał Dąbrowski tak czynnym się okazał, że już przy końcu miesiąca lutego mógł wysłać na linią bojową dwa pułki piechoty, (każdy po 2000 ludzi) pod dowództwem generałów Żymirskiego i Wronieckiego, tudzież wysłał dwa pułki ułanów i pułk Krakusów, dowodzonych przez pułkowników Kurnatowskiego, Tomickiego i Dwernickiego. Każdy pułk ułanów liczył po 800 koni, Krakusów było 1000 koni. Wysłał także jednę bateryą pieszą i jednę bateryą konną, dowodzoną przez podpułkownika Szweryna. Owe wojsko nie zostało złączone w jeden korpus, porozdzielano je pomiędzy rozmaite korpusy francuskie. Pułkom polskim w miarę przybywania przeznaczano miejsce w linii bojowej. Krakusy dostali się do korpusu marszałka Marmonta, generał Sébastiani wziął dowództwo nad ułanami, piechota poszła pod rozkazy ks. Moskwy, a artylerya działała według potrzeby w rozmaitych korpusach. Wojsko polskie odznaczało się męstwem i poświęceniem tak samo w tej kampanii jak zwykle, każdy dowódca korpusu ubiegał się o Polaków, a obywatele, mówiąc o naszych hufcach, nazywali je: »L'élite de l'armée«.

Powróciwszy z Chaumont, już nie zastałem żadnego wojska w Szampanii, tak Francuzi jak nieprzyjaciele spieszyli pod Paryż. Cesarz liczył na energią króla hiszpańskiego, a rodzonego brata swego (Józefa), na wierność marszałków i na dobrze mu znane męstwo wojska swego, był zatem przekonany, że sprzymierzeni doznają niesłychanego oporu pod murami stolicy i że połączone korpusy marszałków Marmonta i Mortiera, kawalerya generała Souham i gwardya narodowa potrafią kilka dni obronić ją. Sam miał zamiar odciąć nieprzyjaciela od rezerw, pozbawić go amunicyi i żywności, a w końcu, gdy dozna spodziewanego oporu korpusów, broniących Paryż, rzucić się na niego z tyłu w połączeniu z pospolitem ruszeniem.

Gdyby ten plan cesarza był doszedł do skutku, niewątpliwie niesłychana klęska spotkałaby wojska sprzymierzone,

bodaj czyby nie były zmuszone broni złożyć, ale zły duch cesarza i całej Francyi czyhał na dogodną chwilę, by wykonać plany ukute. Talleyrand był w Paryżu.

Schwarzenberg, połączywszy siły swe po batalii pod Arcis-sur-Aube z Blücherem, dostał się w ostatnich dniach marca pod mury Paryża. Niesłychany popłoch powstał pomiędzy doradcami króla Józefa na wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu. Zamiast się chwycić środków energicznych, zorganizować obronę rozpaczliwą i oczekiwać na przybycie cesarza, każdy myślał li tylko o bezpieczeństwie osobistem. Talleyrand wysłał powierników swoich, ci powiększali popłoch, rozsiewając rozmaite fałszywe wieści. Zapytany o radę, oświadczył się stanowczo za poddaniem stolicy, aby miasto uchronić od rabunku; twierdził, że jest niepodobieństwem, aby mogło stawić skuteczny opór nieprzyjacielowi z tak małem wojskiem i słabemi siłami. Podobno Talleyrand nawet wysłał emisaryusza swego do cesarza Aleksandra, zawiadamiając go o ogólnem położeniu i o popłochu rady rządzącej. Fouchet działał ze swej strony na pospólstwo przedmieści, skłonne zawsze do zmiany, a zniechęcone do istniejącego porządku rzeczy.

Nędzny brat cesarza ograniczył działanie swoje na tem, że wysłał do Napoleona kuryera z doniesieniem o niechybnem poddaniu się stolicy, jeżeli spiesznie nie przybędzie objąć kierunku obrony. Na taką wieść cesarz pod zasłoną dwóch szwadronów konnicy gwardyi puścił się ku Paryżowi, nie zdołał jednak przybyć na czas i odebrał wiadomość o zawartej kapitulacyi w Essonne, ostatniej stacyi pocztowej na trakcie ku Fontainebleau, o dwie polskie mile od Paryża. — W pierwszej chwili chciał stanąć na czele cofającego się wojska, wygnać z stolicy nieprzyjaciela lub zginąć. Wszakże usilne prośby ks. Neufchâtelu i generała Beillarda odwiodły go od tego rozpaczliwego przedsięwzięcia. (Generał Beillard właśnie był przyniósł cesarzowi wiadomość o ustąpieniu marszałków z Paryża i o zawarciu kapitulacyi.)

Napoleon powrócił więc do Fontainebleau. Monarchowie sprzymierzeni obawiali się pozostać w Paryżu, sądząc, że Napoleon niechybnie podstąpi pod miasto i wznowi walkę o stolicę swoją, a nie dowierzali ludności Paryża; gdyby bowiem połą-

czyła się z wojskiem francuskiem, w takim razie sprawiłaby wielką klęskę sprzymierzonym. Chcieli dla tego przenieść główną kwaterę swoją do Meaux, a Paryż militarnie tylko obsadzić. Talleyrand odwiódł od tego planu cesarza Aleksandra, który stanął kwaterą w pałacu jego. Wtajemniczył go Talleyrand w ukutą zdradę marszałka Marmonta i generała Souhama. Marmont! Na samo wspomnienie tego nędznika cała moja dusza wzdryga się z oburzenia. Marmont zaczął zawód swój wojskowy jako adjutant generała Bonapartego, jemu zawdzięczał wyniesienie swoje, dzielił z nim kwaterę, jadł chleb swego generała, a w miarę wyniesienia się własnego posuwał go cesarz w honorach. Otóż sprzeniewierzył się marszałek dobroczyńcy swemu, wpadł w sidła, zastawione przez ks. Benewentu (Talleyranda) i poddał 25000 bitnego wojska nieprzyjacielowi. Do tej ohydnej zdrady należał generał Souham, szef sztabu jego, dowodzący jazdą w korpusie Marmonta. Pozwolili nieprzyjacielowi korpus cały otoczyć i, gdy nie było już żadnego ratunku, przeszli osobiście do sprzymierzonych. »Nous sommes trahis!«, krzyknęło waleczne wojsko. Widząc się w matni, otoczonem zewsząd, chciało się na zdrajcach zemścić, ale tych już nie było, poszukali zawczasu wśród nieprzyjacielskich szeregów bezpiecznego schronienia.

Niepodobna było przerznąć się przez otaczające silne korpusy sprzymierzonych, wojsko musiało uledz smutnej konieczności, złożyło broń, a pułki zostały pojedyńczo porozdzielane w okolicach Wersalu. I Krakusi nasi podzielili los całego korpusu ks. Raguzy i musieli poddać się i pójść na naznaczone im rozkwaterowanie.

Gdy generał Krasiński, stojący z szwoleżerami gwardyi w Essonne, doniósł cesarzowi o tej zdradzie, tenże wyrzekł: »Comment? Marmont! Marmont qui a mangé mon pain, qui a couché au même bivouac avec moi!« Jakże bolesne uczucie musiało natenczas przejąć serce bohatera! Taka chwila niewątpliwie wiele błędów odkupuje w oczach Pana Zastępów.

Gdy Krasiński czekał z szwoleżerami w Essonne na dalsze rozkazy cesarza, który zamierzał uderzyć na Paryż, jeżeli mocarze sprzymierzeni nie skłonią się do ostatecznych podanych im warunków pokoju, zawiezionych do głównej

kwatery przez ks. Moskwy, generała Bertranda i wielkiego koniuszego, generała Coulaincourt, napisał Krasiński piękny list do cesarza, wyrażając się w następujących słowach: »Sire, un maréchal de France Vous a trahi; Vos soldats ont dû mettre bas les armes, d'autres de Vos généraux passent à l'ennemi; Votre capitale se déclare pour Votre déchéance. Il est du devoir et de l'honneur des Polonais de se rallier dans cet instant critique autour de la personne de Votre Majesté. Seuls contre tous, nous Lui resterons fidèles et combattrons jusqu'à la mort. J'attends les ordres de Votre Majesté auxquels nous nous conformerons en tous points«.

Jakże się to ludzie zmieniają! Któżby uwierzył, że ten sam Krasiński, naówczas pełen szlachetnego uczucia honoru i godności rycerskiej, będzie w Warszawie w kilka lat później nikczemnym siepaczem i wykonawcą woli policyi rosyjskiej, że będzie głosował w czasie sądu sejmowego w r. 1825 za śmiercią rodaków, że będzie członkiem komisyi śledczej za w. ks. Konstantego, że przywiąże się w r. 1830 do strony rosyjskiej, że, oplwany i błotem obrzucony przez pospólstwo warszawskie, zawdzięczać będzie życie tylko usilnym prośbom ówczesnego dyktatora Chłopickiego, że da z balkonu słowo honoru zgromadzonemu na ulicy ludowi, iż odtąd wiernie będzie służył krajowi — i że w 24 godziny później znów pobiegnie w szeregi moskiewskie, że zrzuci kokardę narodową i mundur polski, a pysznić się będzie znakami ruskimi — że wreszcie będzie w Warszawie dowodził paradą dnia 29 listopada 1855 na pamiątkę poległych generałów w tymże dniu 25 lat wstecz przy rozpoczęciu się powstania narodowego i będzie całował w rękę archymandrytę schizmatyckiego, odprawiającego nabożeństwo pod pomnikiem na Saskim placu, wystawionym ku uwiecznieniu pamiątki poległych w wierności względem Mikołaja JW. Panów: Stanisława Potockiego, Haukego, Meciszewskiego, Siemiątkowskiego!!!

Zdrada Marmonta zadała ostatni cios Napoleonowi. Monarchowie sprzymierzeni obawiali się jeszcze tak dalece, że zdecydowali się pozostawić berło Francyi synowi jego pod tym tylko warunkiem, że cesarz opuści Francyą — ale, gdy doszła wiadomość o poddaniu się 25000 korpusu, nie

obawiali się już więcej lwa zwyciężonego. »Comment pouvez-vous prétendre négocier au nom de votre maître et faire sonner bien haut le dévouement de son armée, quand voilà le duc de Raguse qui l'abandonne!« powiedział cesarz Aleksander księciu Moskwy, usiłującemu wyjednać tron dla króla rzymskiego. Nie było co robić. Marszałek i generałowie powrócili do Fontainebleau z żądaniem abdykacyi Napoleona tak imieniem swojem jak i syna i całej rodziny.

W Fontainebleau. Kościuszko. Krzyż legii honorowej i dyplom hrabiowski. Podpułkownik Grabowski. Wyjazd Napoleona na Elbę.

Co do mnie, smutno czas mi schodził w Fontainebleau, nie mającemu nic do czynienia, wśród rozmaitych wieści, dochodzących nas z Paryża, jednych gorszych od drugich. Cesarz rzadko kiedy wychodził z pokojów swoich. Dwór jego zmniejszał się codziennie, poczęła go opuszczać zgraja pochlebców, intrygantów i pasibrzuchów. Francuzi, niepomni na własny swój honor, miotali obelgami na bohatera, który, chociaż sam sobie przypisać mógł upadek swój, wszakże wydźwignął ojczyznę z rozpaczliwego położenia, wzniósł Francyą na taki szczyt chwały, jakiego nigdy przedtem nie była dosięgła.

Zamek w Fontainebleau z dnia na dzień stawał się bardziej pustym, aż doszło do tego, że zabrakło cesarzowi na usłudze. Niemało nacierpiał się Napoleon, a najbardziej dokuczył mu Mameluk jego, Rustan, którego przywiózł z Egiptu. I ten zemknął do Paryża. Zapragnął bohater śmierci, ażeby położyć koniec wszytkiemu, i postanowił życie zakończyć, spożywając truciznę. Od czasu odwrotu naszego z Rosyi nosił cesarz przy sobie truciznę w sygnecie, rozpuścił ją w wodzie i wypił w nocy z 12 na 13 kwietnia. Ale utraciła moc swą śmiertelną i sprowadziła tylko straszne boleści żołądkowe. Kamerdyner Marchand spał w pokoju sypialnym cesarza według przyjętego zwyczaju w poprzek drzwi na materacu. Usłyszał jęki, przybiegł do łóżka i widział, jak Napoleon, na pół żywy, kurczył się w boleściach nadzwyczajnych. Stan

taki trwał z pół godziny, wreszcie przyszły wymioty i ulżyły cesarzowi. Marchand zaraz pobiegł do generała Bertranda, wielkiego marszałka dworu, który spał w przyległym pokoju. Posłano natychmiast po nadwornego lekarza Ivana, równocześnie przybyli ks. Bassano, minister-sekretarz stanu, i wielki koniuszy generał Coulaincourt. Napoleon słabym głosem odezwał się do nich: «Tout me trahit — même le poison», i wskazał na szklankę, w której jeszcze pozostało nieco płynu. Ivan, przekonawszy się o istotnym zamiarze cesarza, stracił przytomność, wybiegł z zamku i uciekł do Paryża.

My, oficerowie sztabu cesarskiego, zgromadziliśmy się na drugi dzień rano do salonu służbowego. Byli tam obecnymi: wielki szambelan hr. Turenne, oficer ordynansowy cesarza, pułkownik Gourgaud, kilku generałów francuskich, polski generał Kossakowski i polscy kapitanowie Ludwik Jelski i Aleksander Fredro. Nikt ust nie otworzył. Każdy wyczekiwał usunięcia kryzys, od którego zawisło życie cesarza. Była to dla nas wszystkich chwila okropna, wreszcie wyszedł z apartamentów główny lekarz Larrey i głośno wyrzekł «Il est sauvé!». «C'est pour souffrir davantage, mieux eût valu qu'il fût mort», odezwał się hr. Turenne. Ja zaś głośno zawołałem «Dieu soit loué!» i wszyscy zaczęliśmy sobie wzajemnie winszować, iż wódz ukochany jest ocalony.

Dni upływały nam bezczynnie, w czasie umów o przyszłym losie cesarza nie mieliśmy żadnej służby, a zatem było nam nudno. Postanowiliśmy kilkunastu z nas odwiedzić dawnego bohatera i męczennika polskiego — Kościuszkę, mieszkającego na wsi u przyjaciela swego Zeltnera o dwie mile od Fontainebleau. Zostaliśmy przyjęci nadzwyczajnie łaskawie przez dawnego naczelnego wodza, a dzisiaj skromnego mieszkańca nie dużej wioski.

Kościuszko był niskiego wzrostu, szczupłej budowy ciała, ściągłej twarzy, siwy całkowicie, lecz oko miał żywe. Bardzo uprzejmy i miły w rozmowie, przyjął nas jakby synów. Spytawszy się o nasze nazwiska, najbardziej radował się Krakusom, wypytywał się o ich rodziny. Gdy mu podpułkownik Reytan wymienił swoje nazwisko, musiał mu opowiedzieć o losach sławnego posła i całej rodziny. Kościuszko nie

był zwolennikiem Napoleona, ganił go, że w roku 1812 nie ustanowił połączenia Litwy z W. Księstwem Warszawskiem. Łzy mu stały w oczach, gdy rozmawiał o losach ojczyzny, nam otwarcie radził, abyśmy się szczerze do cesarza Aleksandra przywiązali i od jego łaski oczekiwali odrodzenia się ojczyzny.

Gdyśmy mu wyrazili w serdecznych słowach nadzieję, że nas poprowadzi do cesarza Rosyi i że nam będzie przewodniczył, odpowiedział nam słowa następujące:

«Każda epoka ma mężów swoich, mój czas już minął, ja niepotrabiłbym się już przyłożyć do dobra ojczyzny, zawiódłbym prawdopodobnie zaufanie rodaków dla podeszłego wieku mego, mnie się już nie godzi mięszać do sprawy publicznej. Tu mam schronienie, ale opuszczę je, gdybym miał być turbowany, a w takim razie udałbym się do Szwajcaryi».

Istotnie Kościuszko opuścił Francyą wkrótce po wstąpieniu na tron Ludwika XVIII i osiadł w kantonie Bern, na wsi u tego samego przyjaciela swego Zeltnera. Po śmierci jego Polacy wystarali się o zwłoki jego i przywieziono je do Krakowa. W pobliżu starego grodu usypano mogiłę dla Kościuszki, która strzedz miała stolicy Piastów i Jagiellonów od zachodu, tak jak od wschodu i północy mogiły Wandy i Krakusa przypominają dawne dzieje narodu. Kopiec Kościuszki miał przenieść na późniejsze pokolenia protestacyą przeciwko ohydnemu rozszarpaniu kraju naszego — miał uczyć przyszłe pokolenia, że istniał mąż, który nie wątpił o narodzie swym wśród ogólnego zepsucia pod panowaniem niedołężnego króla.

Skoro tylko wiadomem się stało, że cesarz Napoleon ma się usunąć na wyspę Elbę według warunków, podanych mu przez sprzymierzonych, postanowiłem jemu poświęcić resztę mojego życia. W tym celu napisałem prośbę, którą mu wręczyłem przy pierwszem widzeniu, gdy się udawał na przegląd batalionu starej gwardyi, mającemu towarzyszyć mu na wygnanie. »Que me demandez-vous?« zapytał mnie cesarz, odbierając prośbę, głosem nadzwyczaj łagodnym. Przedłożyłem mu moje życzenie, prosząc, by mi wolno było towarzyszyć mu gdziekolwiekbądź.

Cesarz uśmiechnął się smutno, podał mi rękę i w te słowa do mnie się odezwał. »Vous êtes Polonais, brave jeune homme — il est de votre devoir de servir votre pays. Ce n'est que les vétérans que j'emmène avec moi; quant à vous, il vous reste encore bien des années à passer avant d'avoir le droit de vous reposer, rejoignez donc vos compatriotes et servez votre patrie!«

Spotkał mnie wtedy ostatni dowód łaski cesarskiej; przypiął mi własnoręcznie krzyż legii honorowej, nazajutrz zaś wręczył mi hr. Turenne dyplom hrabiowski, z którego jednak w późniejszym czasie nie korzystałem, dla znacznych bowiem kosztów stemplowych nie postarałem się nigdy o potwierdzenie owego francuskiego tytułu. Do dziś dzień odżałować nie mogę, żem cesarza usłuchał; byłbym powinien zrobić tak jak inni, którzy wbrew woli Napoleona ns wyspę Elbę mu towarzyszyli; żadnego nie odesłał, wszyscy zostali pomieszczeni. Ja powróciłem do kraju, gdzie gorżkie sobie wymówki nieraz robiłem, że nie poszedłem za bohaterem, do którego przywiązanie moje nie miało granic. W rok później byłbym z tryumfującym Napoleonem powrócił do Paryża, a gdybym nie był położył kości moich pod Waterloo, miałem zawsze dosyć czasu do powrotu.

W owym czasie, gdy wszyscy nieomal opuszczali nieszczęśliwego Napoleona, dał podpułkownik Józef Grabowski piękny dowód wierności. Zanim doszła wiadomość o zdradzie Marmonta, został Grabowski wysłany z depeszami z Fontainebleau w okolicę Nangis. Droga, którą jechał, skutkiem owej zdrady została zajętą przez nieprzyjaciela i dostał się do niewoli, miał jednak tyle przytomności umysłu, że, dostrzegłszy nieprzyjaciela, depeszę swoją upuścił w krzak. Austryacy, w których ręce się dostał, obdarli go z munduru, odebrali mu pieniądze, zegarek — ale depeszy nie znaleźli. Oddział ten zatrzymał się na nocleg w folwarku. Właściciel, chłop francuski, spoił Austryaków, a, gdy zasnęli, wyprowadził Grabowskiego tylnemi dzwiami, odziawszy go w bluzę chłopską, i wskazał mu kierunek, którym miał iść, by się do Francuzów dostać. Jakoż Grabowski przyszedł szczęśliwie do forpoczt dywizyi francuskiej. Tu wzięto go za szpiega lub dezertera, a, gdy twierdził, że porzuconą depeszę gotów znaleść, bo zna dokładnie

miejsce, dano mu w tym celu podoficera i 10 żołnierzy. Owa eskorta odebrała w obecności Grabowskiego rozkaz dać ognia do niego w przypadku, gdyby chciał uciekać.

Grabowski znalazł depeszę i rozkaz, wydany ze sztabu głównego, aby się udać do dywizyi generała Lallemand. Dotarłszy istotnie na miejsce przeznaczenia swego, powrócił do Fontainebleau już po abdykacyi Napoleona.

Wszyscyśmy go otoczyli z wielkiem zajęciem: generał Monthion, podszef sztabu, zaprowadził go do ks. Neufchâtelu, a przedstawiając go, powiedział: «C'est encore, monseigneur, un Polonais, qui nous reste fidèle.»

Wyrokiem mocarstw sprzymierzonych oddaną została wyspa Elba na własność Napoleonowi. Mógł się wprawdzie bronić jeszcze, mógł wywołać wojnę domową i, odzywając się do narodu, bez wątpienia długo mógłby był walczyć jeszcze, ale cesarz nie chciał rozlewu krwi dla swej własnej osoby, a skoro ten sam senat, który był mu ślepo posłusznym w czasie powodzenia, którego członkowie jemu zawdzięczali los swój i miliony, wyrzekł imieniem narodu całego detronizacyą jego, cesarz przyjął warunki, podane przez nieprzyjaciela.

Wszyscy, którzy byli w niełasce u Napoleona, niezwłocznie przyłączyli się do tymczasowego rządu. Generał Dupont, shańbiony poddaniem 25000 dywizyi swojej pod Baylen w Hiszpanii, był jednym z najpierwszych, który przypiął kokardę białą i wykonał przysięgę na wierność Ludwikowi XVIII, jako królowi francuskiemu. Mianowany ministrem wojny przez rząd tymczasowy w Paryżu, rozkazał wojsku francuskiemu, wiernemu Napoleonowi, cofać się poza Orléans, nam Polakom polecił udać się po rozkazy do cesarza Aleksandra.

Należałem do szczupłej liczby pozostałych aż do tej chwili przy cesarzu Napoleonie, pozostałem także i teraz pomimo odebranego rozkazu. Byłbym się niezawodnie puścił na wyspę Elbę, gdybym tylko był miał jakiekolwiek fundusze, ale byłem bez grosza, nie odebrawszy żołdu od Nowego roku, zaledwie miałem kilkaset franków w kieszeni, nie mogłem zatem puścić się w tak odległe strony, nie mając pewności, czy zdołam się przeprawić aż do życzonego celu. Pozostałem jednak i teraz przy Napoleonie aż do ostatniej chwili pobytu jego w Fon-

tainebleau. Mało wiernych dzieliło nieszczęście pana swego. Sztab cały udał się częścią do Paryża, dokąd pojechał i ks. Neufchâtelu z adjutantami swymi, którzy należeli wszyscy do najdawniejszych rodzin fraucuskich, a byli już teraz zagorzałymi stronnikami Burbonów. Jednakże pozostali generałowie Flahaut, Coulaincourt, ks. Vicenzy, wielki szambelan hr. Turenne, generał Montesquieu, generał Bertrand, wielki szambelan dworu, dalej pułkownicy Gourgaud i Montholon, oficerowie ordynansowi cesarza. Z Polaków był generał Kossakowski, szef szwadronu Jerzmanowski, który z kilkudziesięciu szwoleżerami gwardyi towarzyszył cesarzowi na wyspę Elbę, i ja. Nie będę opisysywał czułego rozstania Napoleona z gwardyą swoją — wszystkie niezliczone opisy życia Napoleona nad uroczystym aktem tym szeroko się rozwodzą, ale pamięć tej bolesnej chwili święcie zachowuję w umyśle moim. Dzisiaj po upływie 44 lat widzę jeszcze przed sobą smutną, bladą twarz żegnającego się cesarza i łzy, płynące jak groch po twarzy generała Petit, szefa gwardyi grenadyerów. Jestem stary, siwizną okryty, znękany przygodami życia, mieszkam na ustroniu, daleko od spraw światowych, już nie czuję w sobie owego młodocianego zapału do sprawy, której wiernie służyłem, ale wspomnienie owej uroczystej chwili, owego pożegnania wodza z wiernem wojskiem swojem, przejmuje mnie dotąd żalem i uwielbieniem dla bohatera i żołnierzy jego.

Z upadkiem Napoleona nastąpiła w całej Europie nowa era — zamiłowanie do wzniosłych czynów ustało, duch wielkości i szlachetności zniknął, a nastąpiła epoka nieufności, spekulacyi i deklamacyi. Już niema odtąd na scenie świata wielkich charakterów, ale pozostaje szachrajstwo, próżne krzyki w izbie deputowanych, zła wiara gabinetów względem ludów, które w ogólnej sprawie szafowali krwią i majątkiem swoim, a którym obiecywano wolność i swobody, trudne do urzeczywistnienia wobec kast uprzywilejowanych, bo te po ukończonej wojnie żądały dawnego porządku rzeczy.

Pieniądz stał się bożyszczem wszystkich. Żydzi, Rothschild na czele, zebrali i codziennie zbierali miliony. Rządy, nie ufające ludom, pomnożyły żołnierstwo, a w całej Europie, z wyjątkiem Anglii, oddano pierwszeństwo stanowi wojsko-

wemu. Prawdziwa wiara schroniła się w ustronia dalekie, nieznane, a w miejsce słodkiej nauki Chrystusa pojawiła się hipokryzya, odziana szatą wiary. Dzisiaj obywatel znaczy tylko tyle, że można z niego podatki ciągnąć, codzień większe. Pieniądz, pieniądz i jeszcze raz pieniądz — oto powszechne hasło dzisiejsze u ludów cywilizowanych. Byleby zebrać prędko majątek, byleby posiadać pieniądze, byleby opływać w dostatki — oto cel życia. Mniejsza o szacunek lub sumienie, od owej epoki rzadko kto zważa na «taką drobnostkę» — miłosierdzie — nieznane słowo, chciwość obok zbytku wszelkiego rodzaju to są cechy cywilizacyi od czasu upadku Napoleona. Zależało rządom wniknąć w tajniki ludów, nad którymi panują, utworzono zatem legiony szpiegów, które zgangrenowały społeczeństwo i wyzuły prywatnych ludzi z wszelkiej moralności. Szpieg był hojnie wynagradzany, otrzymywał zapewnienie zatajenia nazwiska i rzemiosła swego. Z tego powodu namnożyło się tego plugastwa w sposób niesłychany. Zaufanie zniknęło nawet w gronie rodzin, bo zdarzały się wypadki, że najbliżej połączone osoby związkami krwi denuncyowały się wzajemnie. Taki oto dzisiejszy stan w Europie.

Dnia 20 kwietnia zaszły powozy, mające Napoleona odwieść nad brzeg morza Śródziemnego. Stara gwardya oczekiwała na dziedzińcu na wyjazd wodza, komisarze mocarstw sprzymierzonych, nadesłani, aby mu towarzyszyć, powsiadywali do powozów swoich; cesarz ścisnął rękę niejednemu z nas, wsiadł do karety; obok niego zajął miejsce generał Bertrand, gwardya prezentowała broń, bębny się odezwały, batalion grenadyerów, towarzyszący cesarzowi na Elbę, wziął na ramię broń i pociągnął za nim. My w głębokiem milczeniu pozostaliśmy na miejscu i, uścisnąwszy sobie wzajemnie dłoń, udaliśmy się każdy według swojej myśli.

Wąsowicz. W Paryżu. Jacek Jezierski. Dwa polskie stronnictwa. Wjazd Ludwika XVIII do Paryża.

Miałem do wyboru powrócić do ojczyzny lub służyć nadal w wojsku francuskiem; miłość do kraju i przywiązanie do

rodziny wzięły górę, połączyłem się z rodakami w St. Denis, gdzie mi wskazano kwaterę. Nieszczęśliwe było to przedsięwzięcie, bo przywiązanie moje do Napoleona było głębsze, aniżeli sobie z tego zdawałem wówczas sprawę. Pułkownik Galbois, dobry mój znajomy, nalegał, bym pozostał w służbie francuskiej, i przyrzekał użyć wpływu swego, aby mnie umieścić w pułku konnicy. Generał hr. Girardin namawiał koniecznie, bym podał prośbę do ministra wojny o umieszczenie mnie jako instruktora w pułku ułanów; nie mogłem się jednak przekonać do pełnienia służby w wojsku Ludwika XVIII ani patrzeć z zimną krwią na obojętność Francuzów w obec upadku Napoleona i własnej potęgi. Powróciłem zatem do Polski w nadziei, że car Aleksander wskrzesi Polskę taką, jaką była przed r. 1772.

Nie przewidywałem wtedy smutnych kolei ojczyzny mojej — nie miałem wyobrażenia o chytrości gabinetu petersburskiego, o postępowaniu władz rosyjskich. Gdy mi się oczy otworzyły, było już zapóźno — nie pozostawało mi nic innego, jak porzucić służbę i chwycić się pługa.

Przechodząc nagle z wojska, gdzie honor i miłość do wodza łączyły ścisłem ogniwem wszystkich ze sobą — gdzie żołnierz był prowadzony honorem i uważany jako człowiek, do służby, w której szpiegostwo wzajemne kolegów między sobą było systematem, gdzie niewolnicze posłuszeństwo i demoralizacya należały do prawideł wykształcenia, gdzie kije były bodźcem karności, gdzie kradzież była uważana jako cecha chytrości, gdzie guzik, porządnie nie zapięty, pociągał nieomal za sobą karę śmierci, widziałem się wśród żywiołów, zbyt sprzecznych z moim sposobem zapatrywania się, by długo wytrzymać.

Wielu kolegów moich podzielało mój sposób myślenia; jedni sobie życie odebrali, największa liczba służbę opuściła, lecz o tem później będzie mowa.

Udałem się z Fontainebleau do Paryża w towarzystwie podpułkownika Wąsowicza, o którym zapomniałem wspomnieć, że i on nie opuścił Napoleona do wyjazdu jego. Wąsowicz był to ten sam oficer gwardyi szwoleżerów, który wiózł cesarza 1812 r. z Smorgoni do Paryża. Napoleon zatrzymał go odtąd przy sobie, posunąwszy na podpułkownika w pułku, w którym służył. Wierny mój Wojtkowiak prowadził wypoczęte ko-

nie moje. Trudno było opisać wrażenia, jakiego doznałem, napotykając pierwszych Kozaków w Essonne — nie mogłem się przezwyciężyć i odpowiedzieć na ich przyjacielskie pozdrowienie, chociaż czułem, iż moja niechęć do tych ludzi, służących od kolebki wiernie carowi, jest całkiem niesprawiedliwa. Smutek mój wzmagał się w miarę pomnażającego się wojska sprzymierzonych, które mijałem, zbliżając się do Paryża. Złorzeczyłem w duchu nowemu porządkowi rzeczy, przeklinałem Marmonta, Talleyranda i wspólników. Takie było też usposobienie największej części wojska polskiego. Późniejsze pokolenie, wzrosłe pod systematem rosyjskim, nie znało różnicy pomiędzy nim, a dawnym sposobem prowadzenia ludzi, wszakże zachowało serce polskie. Dało tego niezbity dowód wojsko polskie w r. 1830, lubo wymustrowane przez w. ks. Konstantego.

Paryż był przepełniony oficerami wojsk sprzymierzonych — rozmaitość mundurów i języków przypominała wieżę Babel. Obok pachnącego z daleka oficera gwardyi rosyjskiej, ściśniętego w mundurze swoim, a posuwającego grzeczność nawet wobec kobiet bardzo wątpliwej sławy, widziano chudego Austryaka w podszarzałym białym mundurze; chełpliwy Prusak z czerwonym nosem wyprężał się w towarzystwie Szkota w spódniczce, którą tenże nosił w miejsce odzieży spodniej. Kozak i Baszkir zajadali smacznie chleb razowy z musztardą jakby z konfiturami, Kozak z nieodstępną swoją nahajką gonił w Palais-Royal za drażniącemi go Wenusami i całował im ręce. Baszkir o cerze oliwkowatej ciągnął wychudłego konia za sobą i rozmawiał migami z gapiącem się pospólstwem. Prusacy krzyczeli i puszyli się wszędzie, razili wszystkich zarozumiałością swoją, a żyli nadzwyczajnie oszczędnie. Anglik w mundurze pąsowym osobliwego kroju chodził rozpięty i pysznił się ogromnym żabotem swoim. Niekiedy jechał generał albo wysoki urzędnik rosyjski czwórką w karecie, po rusku zaprzężoną; pisk zwoszczyka, ostrzegającego przechodniów, był nowością dla Paryżanów. »Ah, mon Dieu, ne voilà-t-il pas qu' ils attelent leurs chevaux avec des cordes!«, mówili, dziwując się uprzęży nieznanej. Tak samo wzbudzały małe kapelusiki angielskie i ogromne pióra kogucie, do nich przyczepione,

zdziwienie i śmiech pospólstwa, Angielki również zwracały uwagę na siebie śmiesznym ubiorem. Jednem słowem, Francuzi drwinkowali, sadzili się na dowcipy, a zapominali o upodleniu własnem.

Miasto zyskało miliony skutkiem pobytu sprzymierzonych, ale człowiek zastanawiający się, koniecznie musiał pogardzać ludem, przyzwyczajającym się tak łatwo do poniżenia. Nie obyło się jednak bez rozmaitych zajść pomiędzy Francuzami a oficerami sprzymierzonych, najczęściej jednak były pojedynki pomiędzy Francuzami rozmaitych odcieni politycznych. Emigranci wysypali się z nor swoich, dawni Wandejczykowie i Chouani chcieli wojskowych cesarskich prześladować i tytułami swymi ich poniżyć. Stąd wynikały krwawe zajścia, gdzie zwykle jeden z przeciwników pozostawał na placu.

Talleyrand potrafił utrzymać się na pierwszem miejscu w tym odmęcie. Górował czy to w radzie ministrów mocarzy sprzymierzonych czy pomiędzy członkami rządu tymczasowego, jego zdania słuchano wszędzie, a szczególnie potrafił owładnąć umysł cesarza Aleksandra.

Jacek Jezierski, kapitan Krakusów, a jeden z najweselszych i najpoczciwszych kolegów, widząc ową mięszaninę mundurów różnobarwnych, wpadł na pomysł przyodziania własnego swego munduru Krakusów w Paryżu, wcale nieznanego, bo wszyscy oficerowie z czasów cesarza, o ile nie byli w służbie, chodzili po cywilnemu. Wystąpił zatem jednego dnia w całej paradzie w Palais-Royal; w mgnieniu oka otoczony był tłumem ludu, a ponieważ Jezierski miał rude włosy i był niski, nie wiedziano, do jakiej mógł należeć narodowości — jedni brali go za Turka, drudzy za Baszkira. My, koledzy jego, po cywilnemu ubrani, chodziliśmy za nim, strasznie ubawieni ciekawością gapiów paryskich, lecz nawet do głowy nam nie przyszło, co za wyborna mistyfikacya będzie dalszym ciągiem. Aleksander Fredro przemówił parę słów po polsku do Jezierskiego. W tej samej chwili zbliżył się do niego Francuz i zapytał: «Excusez, monsieur, voudriez-vous bien me dire à quelle nationalité appartient l'officier que voilà?» «C'est l'ambassadeur de l'empereur du Maroc, un Arabe», odpowiada bez zająknięcia Fredro. «Merci, monsieur». Wieść, że poseł cesarza marokańskiego przybył do

Paryża, rozeszła się jak błyskawica. Jezierski odegrał tę samą komedyą w ogrodzie Tuileryów, wszędzie gromadziły się tłumy około owego mniemanego posła nadzwyczajnego, a nawet bardzo poważne kobiety, wielce zaciekawione, biegły za nim! Trudno wystawić sobie łatwowierność i głupkowatość Paryżanina.

Faubourg St. Germain tryumfował. Owa siedziba dawnej szlachty nigdy nie była Napoleonowi przychylną, a po upadku jego nie posiadała się z radości. Stare matrony były w nieustającym zachwycie z powodu zawezwania Ludwika XVIII na tron Francyi. Salony szlachty stały otworem dla oficerów sprzymierzonego wojska, przyjmowano ich wszędzie z nadzwyczajną uprzejmością. Panie z wysokiej arystokracyi sadziły się jedna przez drugą na uprzyjemnienie im pobytu w stolicy. Mężczyźni dopomagali żonom i córkom i, nie zważając na klęski kraju, mieli tylko w pamięci powrót do stanowiska, jakie zajmowali przed rokiem 1789.

Skutkiem tego szału powszechnego pomiędzy dawną szlachtą zapanowała wyraźna niechęć z ich strony przeciwko wszystkiemu, co należało do partyi cesarza, niechęć ta wzięła sobie specyalnie za cel wojsko francuskie. Nawet marszałkowie i generałowie, sławą okryci, bywali wystawieni na mizerne, jednak bolesne pociski z strony dawnych markizów, hrabiów i całej tej arystokratycznej koteryi. Uczucie to nieprzychylne i lekceważenie przyczyniły się bardzo do powrotu Napoleona w roku następnym.

Ludwik XVIII przewidywał wprawdzie złe skutki takiego ustawicznego drażnienia, nie potrafił jednak tamy temu położyć. Dawna arystokracya okazywała wyłącznie sympatye swe nieprzyjaciołom Francyi, od szlachty młodej stroniła; niezaprzeczone jej zasługi około ojczyzny wynagradzała ironią i pogardą. Szalony ten stan rzeczy długo trwać nie mógł, to też zaczęli ludzie energiczni i wypróbowani w bojach, urzędnicy doświadczeni, wszyscy nabywcy dóbr skonfiskowanych za czasów rzeczypospolitej, jako też cała masa narodu tęsknić za Napoleonem. Słyszałem na własne uszy, jak generał Letort, dowódca dragonów gwardyi cesarza, przepowiadał, że właśnie owa nikczemna dawna arystokracya przyczyni się do upadku Burbonów.

Lubo miałem wskazaną kwaterę w St. Denis, nająłem sobie pomieszkanie w samym Paryżu. Odebrawszy 3 miesięczny żołd, jako też zasiłek pieniężny z domu rodzicielskiego, a nie mając żadnego obowiązku służbowego, zwiedzałem osobliwości miasta i uczęszczałem po towarzystwach polskich. Domy pani Tyszkiewiczowej i księżnej Jabłonowskiej były nam Polakom otwarte. Salony francuskie nie miały dla nas powabu, rej wodzili tam sprzymierzeńcy, a emigranci im nadskakiwali.

Miałem sposobność zauważenia w towarzystwie polskiem dwóch stronnictw, występujących już wtenczas na jaw; pierwsze, do którego ja należałem, a głową którego był stary Dąbrowski, zachowujące w sercu cześć i przywiązanie do Napoleona, szanujące wspomnienia krótkotrwałego bytu Księstwa Warszawskiego i mężów, zasłużonych w tej drogiej epoce, nienawidziło nowego porządku rzeczy, zachowując w tajnikach serca nadzieję, że Bóg sprowadzi jakąkolwiek zmianę. Drugie stronnictwo upatrywało w cesarzu Aleksandrze wskrzesiciela samoistnej Polski, puszczało w niepamięć krzywdy i zniewagę godności narodowej, doznane z strony Rosyi, poddawało się utopii, że gabinet petersburski zmieni względem Polaków chytre swe postępowanie, że Rosya nam poda dłoń braterską, że zwróci prowincye, oderwane od Polski roku 1772, i że zbuduje Królestwo Polskie, nie zależące od niej, rządzone własnemi swemi prawami, którego królem będzie car Rosyi. Stronnictwu temu przewodniczył Wincenty Krasiński, należeli do niego w Paryżu generałowie Morawski, Sokolnicki i wszyscy ci, którym szło o własny byt. Chociaż szczupła z początku, pomnożyła się partya ta rosyjska znacznie po powrocie naszym do kraju. Przyznać trzeba, że pierwsze lata panowania cesarza Aleksandra nad Polakami usprawiedliwiać się zdawały poniekąd ufność ich. Starsi jednak ludzie, mianowicie ci, którzy byli świadkami naocznymi polityki rosyjskiej względem Polski, wszyscy wychodźcy z Litwy i prowincyi, do Rosyi odpadłych, jak n. p. Izydor Krasiński, Chłopicki, Sierawski, sędziwy Małachowski i wielu innych nie dowierzali Moskwie, mieli przekonanie, że praktyka rosyjska w żaden sposób nie może zezwolić na odrodzenie się Polski niepodległej, samoistnej, silnej, rządzonej ustawami liberalnemi, że nie zgodzi się nigdy na to, aby istniał

kraj taki, rządzony przez jednego monarchę, panującego nad Rosyą i Polską, coby poniekąd wytykało nieustannie barbarzyństwo cesarstwa obok liberalnego rządu w Polsce.

Usunęli się w późniejszym czasie z tego powodu wszyscy z służby, widząc nadaremne usiłowania swe ku dobru ojczyzny. Co do mnie, nie wątpię o życzliwości Aleksandra dla Polaków, dał tego dowody, nadając nam swobody, których się nie można było spodziewać, troskliwość jego o dobro Polski była mianowicie w pierwszych latach jego nad nami panowania niezaprzeczoną, całkiem jednak inaczej spoglądał na nas gabinet petersburski; nieustannem jego usiłowaniem było zniechęcić ku nam monarchę.

Przysłany do Warszawy Nowosilcow działał według instrukcyi, odbieranych z ministerstwa petersburskiego, a wywierał zgubny wpływ na osobę cesarza skutkiem raportów swoich. Polaków zaś drażnił i pastwił się nad nimi, o ile pochodzili z prowincyi, do Rosyi odpadłych. Pamiętną będzie srogość jego nad młodzieżą uniwersytetu wileńskiego i szkół tamtejszych. Z drugiej strony pastwił się w. ks. Konstanty nad wojskiem dawnem, wprowadził kije, nieznane w Księstwie Warszawskiem, do regulaminu karności. Szczególne miał upodobanie w biciu starych, zasłużonych żołnierzy.

Trzeba być sprawiedliwym. Gdybym był Rosyaninem, i ja wołałbym ustawicznie tak, jak niegdyś Kato nad Kartaginą: «Delenda Polonia.» Rosya nie może istnieć jako państwo europejskie. Mając przed sobą Polskę, silną i samoistną, byłaby wówczas państwem azyatyckiem. Nie można się zatem łudzić, ażeby polityka rosyjska kiedykolwiek zgodziła się na Królestwo Polskie, takie, jakie było przez 1772 r., nawet gdyby było dzierżone przez cara Rosyi, to groziłoby zawsze niebezpieczeństwo panowania innego monarchy w Polsce, a w takim razie ustałby eo ipso cały wpływ rosyjski w Europie. Rozpisuję się nad tem dla tego, że zaczęli się znajdować tacy pomiędzy Polakami, którzy, szczerze przywiązani do ojczyzny, spodziewali się ze strony Rosyi odrodzenia Polski. Nasuwa się oprócz tego inna uwaga, przekonywająca o niepodobieństwie utrzymania konstytucyi, nadanej nam przez cesarza Aleksandra. W jakiż sposób mógł utrzymać się rząd konstytucyjny, na

podstawach liberalnych oparty, wobec groźnego absolutyzmu i ciemnoty rosyjskiej, gdzie słowo cesarza — prawem, a pieniądz wielką sprężyną, poruszającą sumienia wszystkich urzędników państwa według woli tego, co płaci! Owe cacko, Polska, tak zwana przez cesarza Aleksandra, stukło się po jego śmierci, a srogiej pamięci cesarz Mikołaj dał nam odczuć, czem jesteśmy w rzeczywistości. Do przekonania mego przemawia wielkie państwo słowiańskie, w któremby się zlały wszelkie szczepy słowiańskie, a które potrafiłyby opierać się stanowczo germanizmowi cisnącemu się wyraźnie ku wschodowi. Takie państwo, połączone związkiem federalnym, z zachowaniem języka, obyczajów i wewnętrznego zarządu, właściwego każdemu narodowi w obrębie granic swoich, nad któremby jeden monarcha panował, może postawić cesarzy Rosyi na stopień siły i świetności, której w przeciwnym razie Rosya napróżno upatrywać będzie w niemoralnem barbarzyństwie swojem. Dopóki jednak gabinet rosyjski nie będzie uważał nas za naród pobratymczy i nie pozwoli nam używać praw i swobód własnych, to doprowadzi nas do stanu niewoli, spodli następne pokolenie, ale nigdy mieć nie będzie z Polaków życzliwych sojuszników. Rosya będzie miała niewolników, ale poyska nie przychylnych jej obywateli.

Ludwik XVIII odbył uroczysty wjazd swój do Paryża 3 maja 1814 r. Byłem tam obecny. Wszystko się tu działo jak zwykle przy każdej uroczystości. Tłum ciekawy i pospólstwo kiedy niekiedy wykrzykiwało «Vive le roi!», zresztą żadnego entuzyazmu ni radości ze strony narodu. Grenadyerzy starej gwardyi stali ponuro na dziedzińcu zamkowym. Blachy pozłacane z orłami nie zdobiły już ich wysokich bermycy; orły z laurowymi wieńcami nie unosiły się już nad batalionami. Kokarda biała zastąpiła kokardę trójbarwną, a płachta biała, do żerdzi przyczepiona, powiewała w powietrzu w miejsce szlachetnego orła, który zwiedził wszystkie stolice Europy. Nie była to już gwardya stara, przezwano ją grenadyerami Francyi. Uczułem politowanie i wzgardę dla starego ks. Neufchâtelu, który, otoczony swymi adjutantami, konno jechał obok otwartej karety, wiozącej opasłego Ludwika i siostrzenicę jego, ks. Angoulême, córkę nieszczęśliwego Ludwika XVI. Owi adjutanci pp.: La-

bourdonnais, Beaufremont i inni nie posiadali się z radości, powtarzali co chwilę: «Vive le roi!», powiewali chustkami, zachęcali niemych widzów do okrzyku wspólnego, lecz napróżno. Jeden tylko upudrowany Francuz, nie pomnę jego nazwiska, czerwony na twarzy jak burak, biegł od tryumfalnego łuku St. Denis aż do kraty przed dziedzińcem Tuileryi. Wrzeszczał wiwaty na króla, jego rodzinę i na wszystkich magnatów dawnej przedrewolucyjnej Francyi. Szczególnym był on zagorzalcem, wszystkich znudził, nie zważał jednak na sykanie powszechne.

Mocarze sprzymierzeni mieli tyle taktu wobec króla francuskiego, że wojska swe konsygnowali w kwaterach w dzień uroczystego wjazdu jego do stolicy; jedynie gwardya narodowa pełniła służbę w mieście. Wszakże każdy z panujących miał przed mieszkaniem swojem odwach, złożony z wojska własnego. Przybywszy do Tuileryi, podziwiał Ludwik XVIII panujący w nich przepych, bo też rzeczywiście urządzenie przechodziło wszelkie zamki panujących świetnością swoją. Ileż to uczuć bolesnych musiał równocześnie doznać Ludwik XVIII, wstępując do dawnej siedziby przodków swoich!

Pospólstwo ściągnęło posąg cesarza z kolumny placu Vendôme. Motłoch zawsze i wszędzie sobie równy, klęka i bije czołem przed potęgą szczęśliwą, rzuca na nią błotem w nieszczęściu. Konie, zabrane z Wenecyi, stały jeszcze jakoby zaprzężone do wozu tryumfalnego, wzniesionego na łuku przed Tuileryami. I te zabrali w rok później sprzymierzeni przy powtórnym powrocie roku następnego do Paryża. Opatrzność snać zawyrokowała, iż nic takiego nie pozostanie we Francyi, co było zdobyte w czasie wojen rewolucyi.

Dnia 15 maja odbył cesarz Aleksander przegląd wojska polskiego na polach pod St. Denis. W orszaku cesarza znajdował się brat jego, w. ks. Konstanty, przyszły naczelny wódz wojska polskiego; pierwszy to raz patrzałem na niego. O ile mi się twarz Aleksandra wydawała łagodną, o tyle uważałem dzikość w spojrzeniu i rysach cesarzewicza. W kilka dni po owym przeglądzie odebraliśmy rozkaz powrotu do ojczyzny. Unikając trudów mozolnych i nudów marszu etapami, wyro-

biłem sobie pozwolenie od generała Krasińskiego, któremu powierzył cesarz dowództwo nad powracającem wojskiem czynnem, udania się pocztą do kraju.

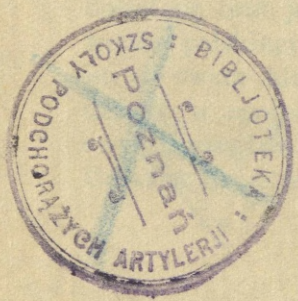
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Pr. mvent.
276 1




BIBLJOTEKA
SZKOŁY PODCHORĄŻYCH ARTYLERJI
Poznań

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
32200/
13 r